

# PISMA ZBIOROWE



A handwritten signature in cursive script, reading "J. Piłsudski." The signature is written in dark ink and is positioned above the printed name.

JÓZEF PIŁSUDSKI  
w roku 1928.



J Ó Z E F P I Ł S U D S K I

PISMA ZBIOROWE

WYDANIE PRAC DOTYCHCZAS DRUKIEM OGŁOSZONYCH

TOM IX

WARSZAWA 1937

INSTYTUT JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO  
POŚWIĘCONY BADANIU NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI

TOM NINIEJSZY ZREDAGOWAŁ,  
WSTĘPEM I PRZYPISAMI ZAOPATRZYŁ  
KAZIMIERZ ŚWITALSKI

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ TADEUSZ GRONOWSKI  
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE

## WSTĘP

Tom dziewiąty zawiera to, co napisał i powiedział Józef Piłsudski od 12 maja 1926 r. do 12 maja 1935 r., kiedy ręka Jego opadła, a głos zamarł — na zawsze.

I znowu przez te dziewięć lat, podobnie jak w latach 1918—1922, zwarło się życie Piłsudskiego z losami Polski i biografii od historii oddzielić nie można.

Przez cały ten czas Piłsudski nie opuszczał ani na jedną chwilę stanowiska Generalnego Inspektora Armii i urzędu Ministra Spraw Wojskowych. Przez cały czas mocą swego autorytetu dawał dyrektywy w polityce zagranicznej.

W chwilach, gdy potrzeba było ważkich decyzyj i siły w ich przeprowadzeniu, brał urząd szefa rządu w swoje ręce. Gdy uważał, że swoje zadanie spełnił, zrzekał się premiershipu. Pozostawiał sobie decydujący wpływ w sprawach, które uważał za ważne. W innych dziedzinach udzielał rad zmieniającym się premierom.

Rok w rok z rozmysłem zmniejszał zakres swego bezpośredniego wpływu na sprawy państwowe. Życie jego było pełne «burz dla nerwów», które stargały zdrowie. Chwile zmęczenia przychodziły częściej. Ale nie to było istotnym powodem ograniczania swej władzy. Z żelazną konsekwencją «skracał» — jak sam się wyrażał — «swój cień», który od niego padał na Polskę, by wtedy, gdy go nie stanie, jej sieroctwo nie było tak wielkie.

To postanowienie Piłsudskiego widoczne jest i na kartach tego tomu. Publiczne enuncjacje urywają się jakby na 1930 roku. Listy na zjazdy legionistów, pisma kondolencyjne — oto w późniejszych latach prawie wszystko. Dla po-

znania działalności Piłsudskiego po 1930 roku «Pisma Zbiorowe» przestają być jednym ze źródeł. Dla tego okresu jedyne dokumentami będą relacje z rozmów z Piłsudskim. Dlatego i ja we wstępie do niniejszego tomu ograniczę się do lat 1926—1930.

Piłsudski w tym okresie poświęcał, podobnie jak dawniej, sporo uwagi wspomnieniom i rozważaniom historycznym. Cała ówczesna intensywna praca Piłsudskiego nad zagadnieniami polityki zagranicznej, uzewnętrzniła się w publicznych enuncjacjach jego tylko w bardzo skromnym zakresie. Olbrzymia część tego tomu dotyczy spraw wewnętrznych Polski.

Gdy lata 1926—1930 przyprószy patyna czasu, między dzieje Polski w tym okresie a tym, co mówił i pisał Piłsudski w owych chwilach, może się zakraść jakby znak zapytania. Dlaczego Piłsudski, który władzę po wypadkach majowych miał układem sił zabezpieczoną, tyle czasu, tyle energii i tyle namiętności wkładał w sprawy polityki wewnętrznej? Przecież przy swej odwadze do decyzji, przy sile swego charakteru, mógł on spokojnie przejść do porządku dziennego nad całym parlamentaryzmem polskim. Mógł również przez czynienie pozornych ustępstw, nie szkodząc w większym stopniu interesom państwa, ułożyć sobie życie o wiele łatwiej. Obie te drogi Piłsudski odrzucił, piętując sobie wskutek tego trudności, na które czytelnik tego tomu natrafi na każdej nieledwie karcie.

Wypadki majowe potoczyły się tak, że wynikło z nich coś w rodzaju rewolucji, coś, co było jakimś zamachem stanu. Ludzkość przeżyła wielką ilość zbrojnych przewrotów. Mają one swój schemat. Zwykle po nich następuje taka lub inna dyktatura zwycięzcy: warstwy czy człowieka. Piłsudski sprzeniewierzył się temu szablonowi. Nie poszedł utartymi drogami, a to zawsze wielokrotnie mnoży trudności.

Piłsudski mógł po zwycięskim skończeniu swej akcji w dniu 14 maja 1926 r. okrojować taki ustrój, jaki uważał dla państwa za korzystny. Nie zrobił tego. Ograniczył się do uzyskania na drodze najzupełniej legalnej tylko takich zmian w konstytucji marcowej, by Prezydent Rzeczypospolitej mógł

rozwiązywać ciała ustawodawcze i by mogło być bardziej zapewnione uchwalanie przez nie na czas budżetu. Nie poszedł za powszechnym wówczas żądaniem, by «sejm rozpedzić» i rozwiązał sejm i senat dopiero w tym dniu, w którym kończyły się ich kadencje. Piłsudski skazał siebie z całym rozmysłem na prawie dwuletnie życie z sejmem, na życie, o którym wiedział, że nie będzie łatwe.

Piłsudski nie narzucił swoją wolą ustroju, bo rzeczy narzucone dają mniejszą gwarancję trwałości, bo prawo tym jest silniejsze, im bardziej uświęca wytworzone już obyczaje. Piłsudski postanowił kosztem żmudnej, nieraz nudnej walki wytworzyć te nowe obyczaje ustrojowe.

Nie uważał, by drogą prowadzącą do tego celu były natychmiastowe po wypadkach majowych wybory. Pragnął, by krew przelana jak najszybciej wsiąkła w «ziemię jednym i drugim jednakowo drogą, przez obie strony jednakowo umiłowaną» i nie chciał tej krwi puszczać na jarmark wyborczy, bo wtedy przedłużyłaby się waśń braterska. Piłsudski nie miał wówczas zorganizowanego obozu politycznego, któryby zmianę ustroju stawiał jako swoje naczelne zadanie. Wybory w owym czasie zarządzane niezależnie od tego której z dotychczasowych partij politycznych przyniosłyby one sukcesy, nadziei na zwiększenie władzy wykonawczej kosztem wyrzeczenia się zanadto rozwielnionych praw parlamentu — dać nie mogły.

Gdy w końcu 1927 r. skończyła się kadencja pierwszego Sejmu zwyczajnego, do nowych wyborów stanął obóz popierający politykę Piłsudskiego i zdobył on prawie 28% mandatów w Sejmie, a prawie połowę mandatów w Senacie. «Blok Bezpartyjny» stał się najlichnieszym klubem parlamentarnym. Przeciw niemu zblokowały się wszystkie inne partie, nie pragnące zmiany ustroju w kierunku przez Piłsudskiego wskazanym.

Wytworzyła się w ten sposób w drugim Sejmie zwyczajnym większość, nie mająca wspólnego programu pozytywnego, ale zgodna w taktyce opozycyjnej przeciw rządowi Piłsudskiego. Piłsudski mógł i wtedy przeciąć ten stan rzeczy zarzą-

dzeniami likwidującymi parlamentaryzm w Polsce. Nie zrobił tego. Po przeszło półtorarocznej walce z Sejmem poszedł na nowe wybory.

Obozowi, który szedł do wyborów z hasłem zmiany ustroju, Piłsudski pragnął pomóc zarządzeniami, nie-raz bardzo drastycznymi, jak i swoimi enuncjacjami i swoim nazwiskiem. Gdy obóz ten uzyskał w obu ciałach ustawodawczych większość, Piłsudski przywiązał wiele nadziei do możliwości zgodnej pracy «trzech głównych czynników w państwie — Prezydenta Rzeczypospolitej, Rządu i Sejmu», by potem drogą ustawową móc utrwalić nowy ustrój Polski.

Przez cały ten okres Piłsudski pracował dla lat, które po nim przyjdą. Gdyby chodziło mu tylko o teraźniejszość, to walki tej, którą nieledwie każda karta tego tomu rozbrzmiewa, nie potrzebowałby. Mógł sobie Sejm swoimi votami nieufności czy Trybunałami Stanu «wyluskiwać» poszczególnych ministrów, mógł przegłosowywać żądania ustąpienia całych gabinetów, mógł obcinać tendencyjnie pozycje budżetowe, mógł żądać permanencji swoich obrad. Wobec realnego układu sił i wobec niewiary samego sejmu, by mógł rządy pomajowe swymi rządami zastąpić, miał Piłsudski na wszystkie sejmowe sztychy cały arsenał kontrparad, mieszczących się w ówczesnym kodeksie prawnym.

Jeżeli pobitego w maju 1926 r. przeciwnika Piłsudski przez dalsze lata ściga namiętnie, to robi to na to, by złe karty dziejów Polski na stałe odwrócić. Zetrzeć je tak, by do nich nawrotu być nie mogło. Wyplenia on z pasją dotychczasowy typ polityków parlamentarnych, by Polskę od ich zamachów na siłę państwa zabezpieczyć.

Gdy Piłsudski w latach 1918—1922 pierwszy raz z pałacu belwederskiego rządził Polską, to, streszczając wypowiedzenia się ówczesne Piłsudskiego, pisałem we wstępie do tomu V, że «snuje się przez nie jakby dialog między swobodą a siłą, dialog szukający pogodzenia, ufny jeszcze, że znajdzie rozwiązanie, nie obrażające ani jednej, ani drugiej miłości».

Gdy Piłsudski drugi raz z tego samego miejsca rządził

Polską i gdy czyta się w tym tomie myśli w tych samych murach belwederskich wypracowane, to na pierwszy rzut oka wydaje się, że płomień miłości rzadziej tu wybucha cudownym swym blaskiem. Serdeczny ton — jak choćby w tym danku złożonym po raz ostatni swoim żołnierzom na zjeździe legionistów w Wilnie — zdaje się być jakby przytłumiony świstem chłuszczących słów. I możnaby sądzić, że zamilkł dialog między miłością do siły a miłością do swobody i że na scenie została tylko moc.

Ale rozgarnijmy gniewne słowa, które podyktowała potrzeba twardej walki o nowy typ człowieka w Polsce i zajrzyjmy co na dnie dążeń Piłsudskiego leżało. Przeczytajmy jego słowa odgradzające się od wszelkiego «cezaryzmu». Zobaczmy, że Piłsudski chciał mieć ustrój, w którym Prezydent Rzeczypospolitej, Rząd i Sejm mają pracować dla dobra państwa każdy w swoim zakresie. A wtedy znowu słyszymy dialog między miłością do mocy a miłością do swobody.

Jeżeli głos o siłę wołający jest tu donośniejszy, to dlatego, że w nieodrodzonych duszach polskich wolność wrogiem mocy się stała. Co kilkanaście kart Piłsudski targa tę strunę bolesną. Raz wraz powraca do swoich nadziei, wypełniających mu serce przy powrocie z Magdeburga do Polski, że w wielkiej chwili wolności odrodzą się i dusze polskie. Co chwila wybucha goryczą, że doznał zawodu — tym boleśniejszego, że przez walkę całego swego życia o niepodległość — sam «przygotowany był moralnie do swobodnej Polski».

Dlatego, gdy w ósmą rocznicę odzyskania wolności mówi, to tęsknoty swoje w życzenia dla Polski przyobleka:

Gdy ze wskrzeszeniem ciał i duszy odrodzenie nadejdzie, «cieplem od zimna się schronimy», «cieplem wilgoć i zarazę zdusimy», «siłę i piękno w jedno razem zwiniemy» i «wspólny uśmiech szczęścia znajdziemy».

\*

\*

\*

Piłsudski w tym okresie czasu, który obejmuje tom niniejszy, sprawował różne urzędy. Przez wszystkie te lata był Generalnym Inspektorem Armii i Ministrem Spraw Wojsko-



wych. Dwa razy był Prezesem Rady Ministrów od 2 października 1926 r. do 27 czerwca 1928 r. i od 25 sierpnia do 4 grudnia 1930 r.

Nastęrczały się wobec tego przy redagowaniu tego tomu takie same trudności, jakie mieliśmy w tomie V, obejmującym czasy sprawowania urzędu Naczelnika Państwa, trudności znalezienia odpowiedniego kryterium: co należy uważać za indywidualny utwór Piłsudskiego, a co za dokument urzędowy, formalnie tylko przez niego podpisany. Trzymaliśmy się przy rozstrzygnięciu tych zagadnień tych samych zasad, które wyluszczyliśmy we wstępie do tomu V. Ułatwieniem tu był fakt, że Piłsudski w pierwszym okresie swego premierostwa powierzał podpisywanie wielu aktów urzędowych wicepremierowi Bartłowi, a przy drugim sprawowaniu przez siebie urzędu Prezesa Rady Ministrów wicepremierowi Beckowi.

Na znaczne trudności natrafiliśmy przy ustalaniu tekstów utworów zawartych w tym tomie. Prasa publikowała je w różnych wariantach i z licznymi błędami. Trzeba było wybierać teksty najobszerniejsze i najbardziej poprawne. Tylko nieliczne teksty, umieszczone w t. IX «Pism — Mów — Rozkazów», mogły być przez nas bez zmian przedrukowane. Wszystkie inne wymagały znacznych korektur.

Dzięki zachowaniu się stenogramów mogliśmy pierwszy raz podać tu niektóre przemówienia w ich właściwej formie. Jednym z przykładów jest mowa na zjeździe legionistów w Kielcach z dnia 8 sierpnia 1926 r. Była ona dotychczas znana w streszczeniu prasowym, które było nie tylko znacznym skrótem, ale zawierało nieprawdopodobne wprost wypaczenia myśli. Dziennikarze, pędzeni pośpiechem, podawali swym organom telefoniczne sprawozdania z przemówień Piłsudskiego i w ten sposób wkradło się masę błędów, które prostować na drugi dzień było ze względów technicznych trudno.

Przy redagowaniu przypisów wstępnych byłem w tym tomie nieco skrępowany. Przy bardzo wielu utworach Piłsudskiego zwalczałem swoją pokusę zaznaczenia szerzej i dobitniej, jaka była geneza i jaka intencja tego lub innego wypowiedzenia się Piłsudskiego. Moje notatki z owych czasów da-

wały mi dużo pod tym względem materiału. Obawiałem się jednak, że takie moje uwagi, podawane z konieczności w skrótach, mogły być uważane za niedość udokumentowane.

Przy komentowaniu tekstów przyjąłem jako zasadę, że wtedy, gdy Piłsudski wypowiada jakieś zarzuty, to choć wiem dokładnie co miał Piłsudski na myśli i do czego lub do kogo się one odnoszą, powstrzymuję się od bliższych wyjaśnień, skoro sam autor tylko ogólnie zarzuty sformułował.

Różnice między niniejszym tomem «Pism Zbiorowych» a tomem IX «Pism — Mów — Rozkazów», który obejmował mniej więcej ten sam okres działalności pisarskiej Piłsudskiego, są następujące:

Czytelnicy znajdą w nim 10 utworów, których nie było ani w t. IX, ani w suplementach «Pism — Mów — Rozkazów». Tytuły ich są następujące:

1) Wizyta korespondenta «Le Matin» u Piłsudskiego w Sulejówku (23 maja 1926 r.).

2) Wywiad z korespondentem «Le Matin» (25 maja 1926 r.).

3) Wywiad z korespondentem «Le Matin» (10 grudnia 1927 r.).

4) Przemówienie na trzecim posiedzeniu Rady Naukowej Wychowania Fizycznego (22 czerwca 1929 r.).

5) Pismo do piosła Seweryna Czetwertyńskiego (1 lutego 1930 r.).

6) Depesza do Aleksandra Zelwerowicza (7 maja 1931 r.).

7) List do Holówkowej (3 września 1931 r.).

8) Depesza do biskupa Bandurskiego (10 stycznia 1932).

9) Przemówienie na czwartym posiedzeniu Rady Naukowej Wychowania Fizycznego (22 maja 1932 r.).

10) Depesza do kapitana Bajana (20 września 1934 r.).

Usunięte zostały dwa pisma Piłsudskiego do Marszałka Sejmu Rataja w sprawie dekretów prasowych, umieszczone w t. IX «Pism — Mów — Rozkazów» na str. 109—111, gdyż zostały one zredagowane przez Ministra Sprawiedliwości i musieliśmy je uznać za dokumenty urzędowe Prezesa Rady Ministrów.

Kilka utworów Piłsudskiego, umieszczonych w przypisach do t. IX «Pism — Mów — Rozkazów», stanowią tu osobne pozycje. Są to:

1) Rozmowa z Marszałkiem Daszyńskim (31 października 1929 r.).

2) Komunikat prasowy o zajęciach w dniu 31 października 1929 r. (31 października 1929 r.).

3) Rozmowa z Marszałkiem Senatu Szymańskim (25 marca 1930 r.).

4) Komunikat prasowy o przyjęciu misji tworzenia gabinetu (23 sierpnia 1930 r.).

W innej zupełnie redakcji zostały podane teksty następujących utworów:

1) Odczyt wygłoszony na zjeździe legionistów w Kielcach (8 sierpnia 1926 r.).

2) Przemówienie na posiedzeniu Rady Naukowej Wychowania Fizycznego (15 luty 1927 r.).

3) Przemówienie na zjeździe legionistów w Kaliszu (7 sierpnia 1927 r.).

4) Przemówienie na tajnym posiedzeniu Rady Ligi Narodów (10 grudnia 1927 r.).

Przy redagowaniu tomów V, VI, VIII i IX znaczną pomocą była mi praca włożona przez śp. generała Juliana Stachewicza i p. Władysława Pobóg-Malinowskiego w wydawnictwo «Pism — Mów — Rozkazów».

Przy komentowaniu «Poprawek historycznych» pomógł mi dr Waław Lipiński, który był czynny przy ich pierwszym wydaniu z r. 1931.

Z bardzo wielu trudnościami nie dałbym sobie rady, gdyby nie ofiarna pomoc, jaką mi dał w całej mojej pracy dr Henryk Kołodziejski. Nie potrafiłbym na określony czas oddać do druku tomów: VI, VIII i IX, gdyby mnie przy szukaniu materiałów do przypisów i zestawianiu tekstów nie wyręczyła p. Maria Głowińska.

*Kazimierz Świtalski.*

WYWIAD UDZIELONY PRASIE PO PIERWSZYM DNIU  
WALK MAJOWYCH

(12/13 maja 1926 r.)

*Wystąpienie zbrojne Piłsudskiego rozpoczęte dnia 12 maja 1926 r. wytworzyło pod koniec tego dnia następującą sytuację w Warszawie: Centrum miasta z Krakowskim Przedmieściem i Nowym Światem było zajęte przez oddziały oddane Piłsudskiemu. Południową część miasta zajmowały oddziały, słuchające rozkazów rządu Witosza.*

*Od wieczora tego dnia Piłsudski urzędował w Komendzie Miasta i tam w nocy z dnia 12 na 13 maja 1926 r. przyjął przedstawicieli prasy, wobec których wypowiedział niżej przytoczone oświadczenie o powodach swego zbrojnego wystąpienia.*

*Oświadczenie to podajemy według «Kuriera Porannego» z dnia 13 maja 1926 r.*

— Nie mogę długo mówić — jestem bardzo zmęczony zarówno fizycznie, jak moralnie, gdyż będąc przeciwnikiem gwałtu, czego dowiodłem podczas sprawowania urzędu Naczelnika Państwa, zdobyłem się, po ciężkiej walce z samym sobą, na próbę sił z wszystkimi konsekwencjami.

Całe życie walczyłem o znaczenie tego, co zowie imponderabilia, jak — honor, cnota, męstwo i w ogóle siły wewnętrzne człowieka, a nie dla starania o korzyści własne czy swego najbliższego otoczenia.

Nie może być w państwie za wiele niesprawiedliwości względem tych, co pracę swą dla innych dają, nie może być w państwie — gdy nie chce ono iść ku zgubie — za dużo nieprawości.

---

## ROZKAZ DO ŻOŁNIERZY

(22 maja 1926 r.)

Dnia 14 maja o godz. 15-tej oddziały, oddane Piłsudskiemu zajęły Belweder. Prezydent Wojciechowski i członkowie rządu Witosa schronili się do Wilanowa. Tam w godzinach popołudniowych Rada Ministrów na posiedzeniu, odbytym w obecności Prezydenta, zgłosiła swoją dymisję. Tego samego dnia Prezydent Wojciechowski wystosował do Marszałka Sejmu Rataja pismo, w którym zrzekł się swego urzędu. Dnia 15 maja 1926 r. Marszałek Sejmu objął, zgodnie z Konstytucją, zastępczo funkcję Prezydenta Rzeczypospolitej. Marszałek Rataj po konferencji z Piłsudskim powierzył misję tworzenia gabinetu Kazimierzowi Bartłowi, który tegoż dnia rząd utworzył. Tekę Ministra Spraw Wojskowych objął Piłsudski. Oddziały wojskowe, które brały udział w wypadkach majowych, powróciły do swoich dawnych miejsc postoju. Dnia 22 maja 1926 r. Piłsudski wydaje niżej przytoczony rozkaz do armii, wyrażający nadzieję, że mimo świeżo stoczonych walk żołnierz polski pierwszy stanie do zgody, do braterstwa i do wspólnej pracy.

Rozkaz podajemy według «Rozkazu Dziennego Ministerstwa Spraw Wojskowych», nr 43.

**Żołnierze!**

Nie po raz pierwszy słyszycie mój głos. Ongiś na polach bitew, gdy młode państwo jeszcze ząbkowało, jak chorobliwe dziecko, prowadziłem was w boje, które w zwycięstwach, pod moim dowództwem wywalczonych, na długie wieki okryły sławą i blaskiem bohaterskie Wasze sztandary.

Po innych bojach przemawiam do Was dzisiaj. Gdy bracia żywią miłość ku sobie, wiąże się węzeł między nimi, mocniejszy nad inne węzły ludzkie. Gdy bracia się waśnią i węzeł pęka, waśń ich również silniejszą jest nad inne. To prawo życia ludzkiego. Daliśmy mu wyraz przed paru dniami, gdy w stolicy stoczyliśmy między sobą kilkudniowe walki. W jedną ziemię wsiąkła krew nasza, ziemię jednym i drugim jednakowo drogą, przez obie strony jednakowo umiłowaną. Niechaj krew ta gorąca, najcenniejsza w Polsce krew żołnierza, pod stopami naszymi będzie nowym posiewem braterstwa, niech wspólną dla braci prawdę głosi.

Jest prawda twarda i harda o żołnierzach. Wszyscy mamy jedną wspólną siostrzycę, władającą nad pracą naszą żołnierską. Jest nią śmierć, ścinająca kosą tego, na którego palec Boży wskaże. Służb takich nie sprawuje nikt inny, prócz nas, żoł-

nierzy. Takimi byliśmy, gdyśmy ongiś wzięli Polskę słabiutką i drżącą na swoje bary, by po znojach i zwycięstwach oddać ją współobywatelom silną i pewną życia. Lecz widzimy ją niestety w wiecznych swarach i kłótniach, w jakiejś rozkoszy panoszenia się jednych nad drugimi. I gdy dokoła nas wre wszędzie kłótnia i zawiść partyjna, gdy dygoce nienawiść i rozpała się niechęć dzielnicowa, trudno, by żołnierz był spokojny.

A jednak chcę być pewnym, że nie kto inny, jak żołnierz polski pierwszy się ocknie, pierwszy do zgody i braterstwa stanie. Niech przeto nie myśli wróg żaden czy nieprzyjaciel, że ziemię naszą znaleźć może bezbronną. Staniemy jak zawsze jeden obok drugiego, by dać za ojczyznę życie, a wspomnienie o bojach majowych w Warszawie, o tych walkach, któreśmy z sobą stoczyli, nie dzielić, lecz łączyć nas wtedy z sobą będzie, jak wspomnienie gwałtownej sprzeczki między kochającymi się wzajemnie i kochającymi swą rodzinę braćmi.

Żołnierze, stanąłem znowu na Waszym czele jako Wasz Wódz. Znacie mnie. Bezwzględny dla siebie, stałem zawsze pośród Was w najcięższych waszych bólach i trudach, w mękach i niepokojach. Znacie mnie i jeśli nie wszyscy kochać mnie potraficie, wszyscy musicie mnie szanować jako tego, który was do wielkich zwycięstw prowadzić potrafił, a przy ogólnym zepsuciu i demoralizacji nie chciał i nie umiał korzyści własnej pilnować lub dochodzić.

Niech Bóg nad grzechami litościwy nam odpuści i rękę karzącą odwróci, a my stańmy do naszej pracy, która ziemię naszą wzmacnia i odradza.

Rozkaz przeczytać we wszystkich podwładnych mi oddziałach itd.

Minister Spraw Wojskowych  
Józef Piłsudski  
Pierwszy Marszałek Polski.

---

WIZYTA KORESPONDENTA «LE MATIN»  
U PIŁSUDSKIEGO W SULEJÓWKU

(23 maja 1926 r.)

*Po walkach majowych w 1926 r. korespondenci dzienników zagranicznych ubiegali się o wywiady z Piłsudskim. Dnia 23 maja 1926 r. po południu minister spraw zagranicznych Zaleski zawiadomił korespondenta francuskiego dziennika «Le Matin» Sauerweina, że Piłsudski zgodził się*



przyjąć go u siebie w Sulejówku, dokąd Sauerwein w towarzystwie min. Zaleskiego tegoż dnia pojechał.

O przebiegu tej wizyty dał Sauerwein sprawozdanie w artykule «Le Matin» z dnia 24 maja 1926 r.

Poniżej podajemy w przekładzie z oryginału te ustępy artykułu, które zawierają wypowiedzenia się Piłsudskiego. Relacja Sauerweina z tej wizyty nie była autoryzowana.

*Witając dziennikarza, Piłsudski powiedział, co następuje:*

— Jestem bardzo szczęśliwy, że mogę pana dziś przyjąć u siebie. Musiałem odmówić wszelkiej rozmowy dwom panu kolegom, którzy weszli do tego ogrodu bez mego pozwolenia. To miejsce jest bardzo spokojne, chociaż może pan tu zobaczyć lance i konie. To moi ulani chcą koniecznie mnie pilnować.

— Zaczynam widzieć jasno — rzekł mi on, *przeciągając ręką po czole* — mój obowiązek i moją drogę. Po tej dwudniowej walce byłem zupełnie wyczerpany fizycznie i moralnie. Tej walki nie tylko nie szukałem, ale chciałem jej uniknąć za wszelką cenę. Bylbym jej uniknął, gdyby nie było wśród żołnierzy tłumu cywilów<sup>1)</sup>, którzy z podziwu godnym lekceważeniem niebezpieczeństwa, przeszkadzali manewrować kabinom maszynowym.

Były w tej walce sceny cierpienia nadzwyczajne, bez precedensu. Żołnierze robili wszelkie możliwe wysiłki, aby ochronić swych przeciwników i ludność cywilną. Na szczęście od samego początku natarcia zdobyliśmy sześć dział samochodowych, które posiadali nasi przeciwnicy. Gdyby nie to, byłoby dużo więcej ofiar. Często bitwę wstrzymywano, aby dać przejść kobiecie lub dzieciom.

Mówi się, że wojna cywilna jest również okrutna, jak każda inna. Przeciwnie, u nas była ona bardziej rycerska. Żołnierze, którzy uwierzyli wówczas, że muszą do siebie strzelać, stali się znów dobrymi kolegami. Natomiast oficerowie przebaczą sobie mniej łatwo i będzie pewnie parę pojedynków.

— Z punktu widzenia technicznego — *ciągnie dalej Marszałek, ożywiając się* — ta smutna bitwa była cudowna. Nasi, w obliczu swych przeciwników, walczyli bez zarzutu. Dzisiaj prosilem nawet sztab o dokładne przestudiowanie metody bitwy warszawskiej dla nauki. Wytrzymałość niektórych oddziałów była zdumiewająca. Jeden pułk kawalerii przybył do mnie

<sup>1)</sup> Na podstawie relacji o tej rozmowie min. Augusta Zaleskiego stwierdziliśmy, że w tym miejscu Sauerwein nie zrozumiał Piłsudskiego, który mówił, że tłum cywilów utrudniał pod względem technicznym walki.



z Pułtuska <sup>1)</sup>). W ciągu jednego dnia przebył on 120 km, mimo to nie chciał wycząć i wziął udział w wielkim manewrze nocnym, dzięki któremu nasi przeciwnicy zostali otoczeni.

— *Ale — zapytałem Marszałka — nie obawia się pan opozycji niektórych dzielnic?*

— *Prawda, — odpowiedział mi on — że Poznańskie np. jest dzielnicą zupełnie różną od Warszawy, jego kultura jest zupełnie inna, poziom materialny dużo wyższy. Trzeba będzie czasu, żeby ułożyć to wszystko. Nie wierzę, aby parlamentarzyści mogli tego dokonać.*

Co zaś do opozycji kilku generałów, nie obawiam się jej. Kiedy chcieli iść na Warszawę, przeciąłem szlaki kolejowe swoim pułkiem czołgów. Dało im to czas do namysłu. Zresztą, żołnierze są ze mną. Moimi wrogami są generałowie zdemoralizowani i stronnicy.

Niech mnie pan nie pyta, co będę robił w przyszłym tygodniu. Mam wybór środków i zdecyduję, gdy przyjdzie czas. Jeśli mogą być jakieś wahania w wyborze środków, kiedy się chce pozostać w ramach legalności, to nie ma ich tam, gdzie celem jest ocalenie Polski. Tylko sposób rządzenia oparty na silnej władzy może dać tu dobre wyniki. Nie będę gwałcił Konstytucji, ale nie cofnę się przed moim obowiązkiem.

*W tej chwili wchodzi pani Piłsudska, podają herbatę i papierosy.*

— *Nie chciałbym, — mówi Marszałek — aby pan odjechał, nie zobaczywszy moich córeczek. Jedna ma sześć, druga osiem lat, to prawdziwe frygi.*

*Zawołał:*

— *Jadwigo i Wando, chodźcie tutaj!*

---

### WYWIAD OGŁOSZONY W «KURIERZE PORANNYM» Z DNIA 25 MAJA 1926 R.

*Po wypadkach majowych życie codzienne bardzo szybko powróciło do swych normalnych form. Dnia 22 maja 1926 r. Marszałek Sejmu rozesłał do członków izb ustawodawczych zawiadomienie, że posiedzenie Zgromadzenia Narodowego dla wyboru Prezydenta odbędzie się dnia 31 maja 1926 r. Piłsudski drogą enuncjacji prasowych pragnął uświadomić społeczeństwo, jaka jest jego ocena sytuacji politycznej, wytworzonej wypadkami majowymi.*

---

<sup>1)</sup> Korespondent popełnił tu pomyłkę. Piłsudski mówił zapewne o 5-tym pułku jazdy, który przybył z Ostrołęki. Z Pułtuska przemaszerował 13 p. p. Por. t. IX, str. 19.

*W wywiadzie niżej przytoczonym Piłsudski podaje swoje motyw, które go skłoniły do zbrojnego wystąpienia, daje przebieg wypadków i swoich prób jak najrychlejszego zaprzestania walki, tłumaczy dlaczego nie poszedł na więziecie przez siebie dyktatury i ujawnia swój plan związania kandydatów na urząd Prezydenta wspólnym zobowiązaniem, że nie wdadzą się w żadne zobowiązania ani wobec stronnictw ani wobec przedstawicieli jakichkolwiek interesów.*

*Wywiad podajemy według «Kuriera Porannego» z dn. 25 maja 1926 r.*

— *Wobec całego szeregu sprzecznych wersji, krążących wokół wypadków dni 12, 13 i 14 maja i znacznych rozbieżności w opinii co do ich ujęcia, czy nie chce Pan Marszałek dać swego autorytatywnego ich oświetlenia?*

— Rozumiem pańskie pytanie i wiem, że winienem obszernie wytłumaczyć wypadków mojej ojczyźnie. Nie chcę zatrzymywać się długo na różnych detalach, które dotąd zbieram, jako materiał historyczny, lecz dam panu ogólny przebieg wypadków, tak, jak on wrył się w moją pamięć. Przypuszczam, że pan pamięta, iż przez cały początek roku bieżącego, nie mówiąc już o końcu ubiegłego roku, toczę usilną walkę o naprawę stosunków w Rzeczypospolitej, specjalnie zaś w wojsku. Walka ta w swoich perypetiach nie dawała nigdy decyzywnego rezultatu. Tak, że wydawało mi się, iż przeciwko moim postulatom ześrodkowały się wszystkie siły, które według mnie zatrzymywały proces rozwoju Polski, a zwiększając ustawicznie demoralizację i gangrenę aparatu państwowego, czyniły dla mnie niemożliwym trwanie dłużej w beczynności. Oburzała mnie specjalnie absolutna bezkarność wszystkich nadużyć w państwie i wzrastająca coraz bardziej zależność państwa od wszystkich «nuworiszów», którzy na równi ze mną i wielu ludźmi przyszli do państwa polskiego ubodzy i zdążyli kosztem państwa i kosztem wszystkich obywateli w kilka krótkich lat wyrosnąć na potentatów pieniężnych, chcąc, by ku hańbie naszej ojczyzny państwo we wszystkich drobiazgach zależało od nich.

Ostatnim momentem, który mnie zmusił do decyzji, było utworzenie rządu, przypominającego mi bezecnej pamięci rząd, z powodu którego wyszedłem ze służby państwowej<sup>1)</sup>, nie chcąc swoim imieniem i służbą popierać ludzi, którzy, zdaniem moim, brali udział w najcięższej zbrodni, dokonanej na

<sup>1)</sup> Mowa o rządzie Witosa (od 28. V. 1923 r. do 14. XII. 1923 r.). Por. t. VI, str. 24—35.

Polsce, — w zabójstwie Prezydenta Rzeczypospolitej, Gabriela Narutowicza, mego zresztą osobistego przyjaciela. Bezkarność w tej dziedzinie z góry przesądzała trwanie bezkarności we wszystkich innych dziedzinach.

Rząd ten od razu ogłosił rządy «silnej ręki», zwracając się przede wszystkim przeciwko mnie osobiście<sup>1)</sup>. Decyzję wystąpienia powziąłem z wewnętrznym postanowieniem starać się jedynie o obalenie rządu, nie występując zresztą przeciwko osobie Pana Prezydenta Wojciechowskiego. Dotąd żałuję, iż Pan były Prezydent naraził mnie i siebie na śmieszłą sytuację na moście Poniatowskiego<sup>2)</sup>, zamiast kazać reprezentować siebie przez tych, którzy nie śmieli stanąć mi do oczu.

— *Właśnie przebieg tej rozmowy nie jest dotychczas dobrze znany opinii...*

— Osobiście oświadczyłem Panu Prezydentowi, że wolę z nim pertraktować, niż toczyć boje. Pan Prezydent wybrał inną drogę. Nie chcąc narażać osoby Prezydenta na udział bezpośredni w boju, co było dla mnie rzeczą łatwą, przerzuciłem przejście przez Wisłę na most Kierbedzia, dokąd natychmiast się udałem, i co, jak pan wie, zostało dokonane prawie bez strat. Krótkie boje nastąpiły dopiero przy posuwaniu się od placu Zygmunta w głąb miasta. Te boje, także z niewielkimi stratami, dały w moje ręce cały plac Saski wraz z centralnymi instytucjami wojskowymi.

Po przybyciu wieczorem do Komendy Miasta zaprosiłem do siebie p. marszałka Rataja<sup>3)</sup> i stwierdziłem od razu, że mam już przewagę sił, które wzrastać będą niemal z każdą godziną, lecz że i teraz uniknąć chcę większych wstrząśnień, na co jest czas, i dlatego proponuję mu, że jeśli uważa to za potrzebne, by rozpoczął mediacje między mną a Belwederem. Dodałem, iż śpieszyć z tym trzeba, gdyż z natury rzeczy już dnia następnego, jeśli mediacje nie będą zakończone w przeciągu nocy, będę musiał iść dalej siłą ze wszystkimi jej konsekwencjami. P. marszałek Rataj zgodził się ze mną i podjął tę próbę, która nad ranem dała rezultat zupełnie negatywny, zupełnie nie z mojej przyczyny.

W drugim więc dniu walki mógłbym właściwie zakończyć spór orężny względnie łatwo. Uległem jednak jeszcze i tym razem próbie, zaproponowanej mi z innej strony, — nazwisk

<sup>1)</sup> Mowa o konfiskacie wywiadu z Pilsudskim, zamieszczonego w «Kurierze Porannym» z dn. 11. V. 1926 r. Por. t. VIII, str. 333.

<sup>2)</sup> Odnosi się to do rozmowy między Pilsudskim a Prezydentem Wojciechowskim, która odbyła się po południu dn. 12. V. 1926 r.

<sup>3)</sup> Rozmowa Pilsudskiego z Marszałkiem Ratajem odbyła się dnia 12 maja 1926 r. o godzinie 21-ej.

w tej chwili wymienić nie chcę — prolongowania mediacyj w inny sposób <sup>1)</sup>). Wiedziałem, iż w ten sposób zwiększam może straty w ludziach, lecz wewnętrznie mogłem zdobyć się na zaniechanie zupełne tego sposobu wstrzymania nie tylko rozlewu krwi, lecz i sięgających głębiej rozdrażnień, które mogłyby jako rezultat dać zjawiska trudniejsze do opanowania. Przy czym dodam, że nie miałem na myśli rozruchów socjalnych, gdyż po wejściu do Warszawy stwierdziłem stan psychiczny miasta, idący wraz ze mną tak zdecydowanie na przelom moralny w naszej ojczyźnie, że zdawałoby się, iż wszyscy, a więc i przeciwnicy, muszą to widzieć. Dałem więc tylko termin, do którego nie prowadzę ataku decydującego. Termin ten miał upłynąć o godzinie 11 wieczorem, gdyż dla uniknięcia przelewu krwi osób cywilnych przygotowałem się do nocnego ataku. Próba owa, jak mnie się zdaje, niechętnie prowadzona, rozchwiała się, tak, iż o godzinie 11 zawiadomiono mnie, że nie mam na nic liczyć. Jednocześnie rozchwał się jednak mój plan ataku nocnego, gdyż kontrola wykazała fakt zmęczenia żołnierzy długimi marszami, które — nawiasem mówiąc — mogą uchodzić za rekordowe nie tylko u nas, ale i na całym świecie, że wymienię tylko 13-ty pułk piechoty i 5-ty pułk jazdy <sup>2)</sup>). Dlatego też atak decydujący poprowadziłem dopiero rano dnia następnego, kończąc go koło 5 godziny i zmuszając sztab, dowodzący po tamtej stronie, do bezładnej i nonsensownej ucieczki.

Późnym wieczorem przyjechał do mnie do sztabu kapelan Prezydenta, ks. prałat Tokarzewski, z prośbą o zaniechanie wszelkiej walki i z innymi, całkiem prywatnymi, kwestiami od Pana Prezydenta. Stałem natychmiast do dyspozycji p. Wojciechowskiego, by mu ułatwić wszelkie jego osobiste sprawy. Natomiast prosiłem p. marszałka Rataja, by zechciał ubrać w formę urzędową wyrażoną przez Pana Prezydenta Wojciechowskiego chęć dymisji. Tym się sprawa zakończyła, gdyż próby ściągnięcia większych sił z Poznańskiego i z Pomorza ku Warszawie, chociaż zostały — jak pan dobrze wie — uczynione, z góry według mnie skazane były na coś w rodzaju

<sup>1)</sup> Mowa prawdopodobnie o rozmowach Piłsudskiego z redaktorem «Słowa» St. Mackiewiczem, a później z Zdzisławem Lubomirskim i Aleksandrem Meysztowiczem w godzinach popołudniowych dnia 13 maja 1926 r. na dworcu wileńskim. W rozmowie tej poruszana była myśl wysłania deputacji, złożonej z obywateli miasta Warszawy i duchowieństwa, do Prezydenta Wojciechowskiego z przedstawieniem konieczności zaniechania walki. Deputacja ta nie doszła do skutku.

<sup>2)</sup> 13-ty pułk piechoty przemaszerował forsownym marszem z Pułtuszki, a 5-ty pułk jazdy z Ostrołęki.



wojny kokoszej. Nie wydawało mi się bowiem możliwym rozpoczynanie przez wojsko walki raz jeszcze.

Przechodzę teraz do punktu, który, zdaje się, głównie zajmuje umysły, to jest do próby, która mi się zupełnie udała, — pójście dalej drogą legalizowania tego, co zaszło. Miałem do wyboru: albo przeciągnąć dalej strunę i zakończyć tak, jak, zdaje się, żądano ode mnie — jakąś próbą dyktatury i wzięciem władzy w swoje jedynie ręce, albo, co mi się wydawało, jako droga możliwa, próbę zalegalizowania faktu dokonanego, gdy Pan Prezydent Wojciechowski otworzył do tego drogę, i odwołania się w ten sposób do sił moralnych w mojej ojczyźnie, które — jak mi się zdawało — zostały silnie podekscytowane moim wystąpieniem.

Wybrałem drugą drogę i wtedy śpieszyłem jak najgwałtowniej, czyniąc nacisk pod względem czasu, nie pod względem treści, na p. marszałka Rataja, który prawnie do wyboru nowego prezydenta jest jego zastępcą i zatem miał obowiązek sformowania nowego rządu, wobec ustąpienia poprzedniego. P. marszałek Rataj wybrał do sformowania rządu prof. Bartła<sup>1)</sup>. Prof. Bartel jednak odmawiał, będąc, jak twierdził, przeciwnikiem zasadniczym sejmowych rządów. Wyznaję otwarcie, iż poparłem p. Rataja w zwałczeniu, że się tak wyrażę, woli prof. Bartla, który jednak zażądał rewanzu z mojej strony<sup>2)</sup>. Na rewanz ten się zgodziłem pod warunkiem, iż rząd uważać się będzie za tymczasowy do wyboru nowego Prezydenta, i dlatego cały swój nacisk położyłem na możliwie szybkie zwołanie Zgromadzenia Narodowego, by nowy Prezydent mógł zacząć pracować, daj Boże, silniej i skuteczniej, niż to było z dotychczasowymi Prezydentami, nie wyłączając i mnie, jako byłego Naczelnika Państwa.

Rozumiem, iż w ten sposób zawiodłem wiele nadziei, we mnie pokładanych, i wyrzekłem się tak łatwej w okrzykach formy, jak dyktatura jednego człowieka. Zrobiłem to jednak z całą rozwagą i świadomą decyzją, pomimo, iż ufam swoim siłom i swojej wewnętrznej wartości. Zrobiłem to zaś dlatego, żeby odzwyczajono się u nas w Polsce zwalać spokojnie wszystko na jednego człowieka, dając mu potem niechętną pomoc, bez dania codziennej, solidnej pracy wielkiej ilości ludzi, niezbędnej dla zreformowania przyzwyczajzeń, tak silnie zresztą krytykowanych, w całym aparacie państwowym.

Będę o tym mówił z panem jeszcze kilka razy do wyboru

<sup>1)</sup> Kandydaturę prof. Bartla wysunął Piłsudski.

<sup>2)</sup> Mowa o tym, że Bartel prosił Piłsudskiego, by wszedł on do gabinetu w charakterze Ministra Spraw Wojskowych.

Prezydenta i wówczas będę miał okazję wejść w detale i szczegóły. Teraz ograniczę się jedynie tym ogólnym stwierdzeniem. I mogą krytykować mnie ludzie tak, jak im się żywnie podoba, ja zaś nie przestanę twierdzić, że zrobiłem jedyny w swoim rodzaju fakt historyczny, że zrobiłem coś podobnego do zamachu stanu i potrafił go natychmiast zalegalizować i że uczyniłem coś w rodzaju rewolucji bez żadnych rewolucyjnych konsekwencji. Dodać muszę, że jestem pełen podziwu dla zachowania się wojska podczas walki. Walka odbywała się w mieście, pełnym pokus dla głodnego często żołnierza. Trzeba bowiem wiedzieć, że ja walczyłem z zaimprovizowanym sztabem, który miał, naturalnie, trudności w zaaprowizowaniu na czas oddziałów. Przy tym tak oryginalnej bitwy, toczonej w mieście, wśród publiczności, zbierającej się tłumnie koło żołnierzy, wśród krążących tramwajów, nigdy dotąd w świecie nie było. Żołnierze mężnie wytrzymali prywatnie i zachowywali się zarówno w stosunku do publiczności, jak i branych gęsto jeńców z wyszukaną grzecznością.

Niestety, nie mogę tego powiedzieć o przeciwnej stronie. Wymienię najprzykrzejsze dla mnie fakty. Przede wszystkim najbardziej oburzający jest fakt zajęcia siłą szpitala Ujazdowskiego<sup>1)</sup>). Pułki 22-gi, 1-szy i 13-ty, które tamtędy zmierzały ku granicom miasta, w kierunku Belwederu, by prędzej uwolnić z opresji część pułku szwoleżerów, broniącą się w swoich koszarach, — wahały się dość długo, ponosząc straty, przed atakowaniem obsadzonego przez przeciwnika szpitala. Ta spreczna z wszelkimi prawami międzynarodowymi prawda działania przeciwnej mi strony obciąża odpowiedzialność tych, co tam dowodzili. Nie mogę też powiedzieć, aby zachowanie się dowódców takich, jak p. Malczewski, ówczesny minister spraw wojskowych, w stosunku do poszczególnych oficerów i żołnierzy, którzy przypadkowo często trafiali w jego ręce, należało do przyzwoitych. Szwoleżerom, którzy, jak wiadomo, noszą na szlifach moje cyfry, gdyż jestem ich szefem, p. Malczewski rwał szlify, deptając je nogami, i znieważał nieraz czynnie bezbronnych ludzi<sup>2)</sup>). Strzelano również do okien mieszkań rodzin oficerów szwoleżerskich, gdzie pozostawały bezbronne kobiety i dzieci. Już nie mówię o próbie nastraszenia mojej żony i dzieci, gdy raz po raz posyłano lotników, którzy krążyli

<sup>1)</sup> Na teren szpitala ujazdowskiego weszły części 10 p. p., 57 p. p. i 58 p. p.

<sup>2)</sup> W drugim dniu walk 13 maja 1926 r. koszary 1 pułku szwoleżerów zostały zajęte przez oddziały, walczące po stronie rządu Witosza i około 400 szwoleżerów zostało «wziętych do niewoli».

nad Sulejówkiem, gdzie żadnych wojsk nie było, udając, że chcą rzucać bomby.

— *W tym opisie wypadków, o ile zrozumiałem, Pan Marszałek dał zarazem ich genezę?*

— Tak jest!

— *A teraz chciałbym przejść do innej kwestii. Jako konsekwencję wybrania przez Pana Marszałka drogi legalizowania wypadków opinia rozumie objęcie przez Pana Marszałka Prezydentury. Czy wolno zapytać o stosunek Pana Marszałka do tego postulatu społeczeństwa?*

— Wiem, że pytanie to jest skierowane ku mnie z tak wielu stron, iż winienem dać na nie odpowiedź. Niech pan jednak pozwoli, że odpowiem publicznie wymijająco, gdyż musi być dany wybór pomiędzy kilku kandydatami. Czekam więc zgłoszenia publicznie kilku kandydatów, bym mógł ich wszystkich — z wyjątkiem tych, którzy na mój szacunek nie zasługują, lub nawet zasługujących, lecz pochodzących ze stronnictw sejmowych — zebrać u siebie, by ich namówić do jednego publicznego aktu. Akt ten wyobrażam sobie w postaci deklaracji, że żaden z kandydatów, zebranych u mnie, nie idzie na żadne «pacta conventa»<sup>1)</sup> ani ze stronnictwami sejmowymi, ani z bankami, prywatnymi czy z grupami koncernów i interesów. W ten sposób, przypuszczam, udałby mi się protest przeciwko zwyczajom polskim tak dawnym, jak ongiś elekcyjne wybory królów, a które, jak mi się zdaje, chcą w stosunku do Prezydenta powtarzać stronnictwa wraz z udającymi dawnych magnatów «nuworiszami». Przecież Prezydent, tak, jak ongiś król, reprezentować musi całe państwo, ze wszystkimi stronnictwami i ze wszystkimi warstwami. Jest z natury rzeczy jeden tylko i, jako taki, stojąc u góry, jest skazany na samotność.

Hańbą Polski, zarówno w okresie, gdy szła do upadku, jak i w nowej Polsce, t. zw. demokratycznej, jest obciążenie swego przedstawiciela na zewnątrz i wewnątrz wszelkimi wysokimi przysięgami, których sami wyborcy nie składają, albo składając, nie dotrzymują, i odebranie temu przedstawicielowi nawet pozorów władzy bezpośredniej, któraby ułatwić mogła dotrzymanie przysięgi, mówiącej między innymi o obronie godności imienia polskiego na świecie<sup>2)</sup>.

<sup>1)</sup> Tak nazywano w prawie publicznym polskim umowę dobrowolaną pomiędzy królem, obieranym przez naród, a stanami Rzeczypospolitej Polskiej, na mocy której obie strony wzajemnie względem siebie zaciągały obowiązki.

<sup>2)</sup> Art. 54 Konstytucji z dn. 17. III. 1921 r., zawierający rotę przysięgi Prezydenta R. P., miał następujące zwroty: «Przysięgam... dobru



Sam zaś zwyczaj, stosowany dawniej i w naszych czasach, bezczeszczenia publicznego przedstawiciela narodu i ojczyzny, nikczemnego wdzierania się do spraw i uczuć najbardziej prywatnych, stałych prób robienia z tego, co jest, jak wojsko, sztandarem państwa i narodu, jakiejś szmatki, tarzanej w błocie, nie jest dla nikogo zachęcającym momentem znośnienia tej obrzydliwości publicznego życia polskiego — na stanowisku Prezydenta.

Dlatego też, powtarzam, przy stawianiu kandydatur nie chcę być jedynym kandydatem Polski i chciałbym w pierwszej chwili zbliżyć się ze współczuciem i serdeczną pomocą człowieka, który ma siłę wewnętrzną, bo potrafił to paskudztwo przeżyć i w sobie strawić, do tych szczęśliwych lub nieszczęśliwych wybrańców narodu polskiego, nim kłamka wyborów nad kimkolwiek zapadnie.

## WYWIAD Z KORESPONDENTEM «LE MATIN»

(25 maja 1926 r.)

*Dnia 25 maja 1926 r. Piłsudski udzielił korespondentowi paryskiego dziennika «Le Matin» Sauerweinowi niżej przytoczonego wywiadu, w którym poruszone zostały następujące sprawy: stanowisko Piłsudskiego wobec wyboru nowego Prezydenta Rzeczypospolitej, ocena nastrojów w dzielnicy poznańskiej, opinia o niemożności przyjęcia się w Polsce faszyzmu, stanowisko Polski w polityce zagranicznej, zagadnienie zmiany ustroju w Polsce i stosunek Piłsudskiego do prawicy i lewicy.*

*Wywiad był autoryzowany przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Został on ogłoszony w «Le Matin» z dnia 26 maja 1926 r.*

*Tekst podany przez nas jest przekładem z oryginału.*

*Na pytanie dziennikarza o kandydaturę na stanowisko Prezydenta Rzeczypospolitej, Piłsudski odpowiedział:*

— Według naszych ustaw kandydatura stawiana jest przez stronnictwa. Sądzę, że na skutek ostatnich wydarzeń postawią moją. Głosowanie odbywa się następnie automatycznie<sup>1)</sup>, a po nim kandydat może wypowiedzieć się, czy przy-

powszechnemu Narodu ze wszystkich sił wiernie służyć; wszelkie zło i niebezpieczeństwo od Państwa czujnie odwracać; godności imienia polskiego strzec niezachwianie.

<sup>1)</sup> To znaczy zgodnie z regulaminem Zgromadzenia Narodowego bez dyskusji.

muje wybór, czy go odrzuca. Jeżeli chodzi o to, co wołałbym — to byłbym raczej zwolennikiem listy kandydatów. Nie chciałbym być jedynym kandydatem, wołałbym raczej wraz z innymi wziąć inicjatywę, by wypowiedzieli się wszyscy razem, że ustawy polskie są wadliwe z racji słabej władzy, jaką dają Prezydentowi. Wymaga się od niego, aby bronił swego kraju i godności narodowej, a nie daje mu się możliwości robienia tego rzeczywiście. Wszyscy kandydaci mogliby wymagać od zgromadzenia posłów reformy w tym kierunku.

— *Wobec tego, że w ciągu dnia dużo słyszałem o agitacji, jaką pewne czynniki polityczne w dalszym ciągu podtrzymują w Poznaniu, pragnąłem poznać opinię Marszałka o tej drażliwej sprawie.*

— Nie przypuszczam, — *powiedział mi* — aby było w tym poważne niebezpieczeństwo. Są to raczej codzienne tarcia, jakie się często spotyka w państwach, które połączyły różnorodne prowincje, przez długi czas administrowane przez rozmaite obce rządy. W Poznańskim siła pracy niemieckiej zmieniła bardzo zwyczaje i obyczaje rasy, a również ta dzielnica została uchroniona od wszystkich skutków wojny. Wynika z tego trochę niezadowolonia u innych Polaków, którzy obserwują ten stan rzeczy, ale od tego do niebezpieczeństwa separatyzmu — daleko.

— *Jakże — zapytałem Marszałka — zapatruje się pan na ustrój społeczny. Czy jest pan zwolennikiem faszyzmu?*

— Myślę, że nie mogłoby się przyjąć nic podobnego w Polsce. Ludność jest cierpliwa, ale potrzebne jej jest szczerze zaufanie do swych przewódców; nie zniosłaby takiego użycia siły przez małe organizacje lokalne. Nie, to nie dla nas!

— *A jaki jest pana program w stosunku do zagranicy?*

— Nie mogę — *mówi Marszałek po chwili namysłu* — wchodzić w szczegóły polityki zagranicznej. Ale to mogę panu powiedzieć, że moja koncepcja streszcza się w jednym tylko słowie: pokój. Kraj, wyczerpany wojną, poruszony wstrząsami wewnętrznymi, potrzebuje koniecznie pokoju. Nie pragniemy niczego, żadnej zmiany terytorialnej, chcemy żyć i wzmacniać się w pokoju. Ale gdybyśmy np. zostali zaatakowani, umielibyśmy się bronić. To leży w mojej naturze — *odrzuca Marszałek z uśmiechem* — i to jest także w naturze narodu polskiego. Widziano w ostatnich dniach, jakie ma zalety, do jakiej karności i do jakiego umiarkowania jest zdolna nasza armia nawet w najcięższej z walk, w wojnie domowej.

— *Ale, panie Marszałku, nie mówi pan wcale jak dyktator! — nie mogłem powstrzymać mego zdziwienia.*

— Czyż to potrzeba być dyktatorem? Jestem człowiekiem silnym, lubię decydować sam. Ale gdy patrzę na historię mojej ojczyzny, nie wierzę, — naprawdę — aby można było rządzić w niej batem. Nie lubię bata. Nasze pokolenie nie jest doskonałe, ale ma pewne prawa do względów. Następne pokolenie będzie jeszcze lepsze. Nie! nie jestem za dyktaturą w Polsce. Inaczej wyobrażam sobie głowę państwa: trzeba, aby miał on prawo szybkiego powzięcia decyzji w zagadnieniach, dotyczących się interesu narodowego. Szykany parlamentarne opóźniają tylko najnieodzowniejsze rozwiązania.

— Żyjemy w chaosie ustawodawczym. Nasze państwo odziedziczyło prawa i przepisy trzech państw; dorzucono do nich jeszcze nowe. Trzeba to uprościć, oddając pełnię władzy Prezydentowi. Nie mówię, aby trzeba było dokładnie naśladować Stany Zjednoczone, gdzie wielka siła władzy centralnej jest zrównoważona szeroką autonomią różnych stanów, ale trzeba szukać w tym zakresie pojęć czegoś, co możnaby zastosować w Polsce.

— *Mówią, panie Marszałku, że zyskuje pan sympatię w stronnictwach i prawicy i lewicy?*

— Powtarzają te formułki aż do znudzenia. Nie lubię ich, one kryją różne zupełnie pojęcia społeczne. Otóż chwila rozwiązania zagadnień społecznych nie nadeszła jeszcze. Jesteśmy sąsiadami Rosji; w kraju tym pokuszono się na eksperyment społeczny na wielką skalę, wywracając jedne urzędnia, aby je zastąpić przez drugie. Nie mamy ochoty naśladować tego. Kiedy wróciłem z Magdeburga, pod koniec wojny, miałem w ręku władzę absolutną. Mogłem ją zachować, ale spostrzegłem, że Polska winna być ostrożną, bo jest młoda i biedną. Musi unikać ryzykownych eksperymentów. Ryzykancstwa lewicy i prawicy są w równowadze u nas, czego dowodzi ta słaba większość, wskutek której uchwała się ustawy. Chwilowo musi pozostać tak jak jest, bez chęci stosowania eksperymentalnego programu czy to lewicy, czy to prawicy. To, co jest najważniejsze, to moralność życia publicznego. Trzeba ogromnego wysiłku uczciwości, po demoralizacji, którą zostawiły po sobie lata wojny i wieki niewoli.

— Mam przyjaciół pośród prawicy, mam ich i pośród lewicy, ale nie polityką partyj Polska może się dźwignąć. Kraj i ja mamy aż dość tych etykietek i programów.

---

WYWIAD OGŁOSZONY W «KURIERZE PORANNYM»  
Z DNIA 27 MAJA 1926 R.

Zwolennicy przewrotu majowego, rekrutujący się w ciałach ustawodawczych ze stronnictw lewicowych, uważali, że naturalną konsekwencją niedawno zaszytych wypadków powinno być objęcie przez Piłsudskiego władzy Prezydenta Rzeczypospolitej. Stąd stawianie przez nich kandydatury Piłsudskiego na ten urząd. Piłsudski był przeciwny traktowaniu wyboru Prezydenta w płaszczyźnie walki między ówczesną lewicą i prawicą sejmową i nie chciał uważać siebie za przedstawiciela jednego z obozów parlamentarnych. Temu zapatrywaniu daje Piłsudski wyraz w niżej przytoczonym wywiadzie, stwierdzając, że nie był zwolennikiem ani polskiej prawicy ani polskiej lewicy. Za zadanie najważniejsze uważa Piłsudski: wyjście z marazmu, w jaki pogrążyły państwo dotychczasowe metody rządzenia, i przywrócenie karalności za wykroczenia. Jako cel najbliższy stawia przerwanie na jakiś czas obrad parlamentarnych i szybkie utworzenie rządu przez nowego Prezydenta.

Wywiad podajemy według «Kuriera Porannego» z dnia 27 maja 1926 r.

*Na uwagę przedstawiciela prasy, że wypadki 12, 13 i 14 maja w odniesieniu do sejmu dały w rezultacie pęknięcie izby na dwa wyraźne obozy, prawicę i lewicę, określone nie przez co innego, jak stosunek do dokonanego przewrotu moralnego, — Marszałek Piłsudski dał odpowiedź następującą:*

— Nie sędzę, aby pan miał, ściśle mówiąc, rację. Nie przypuszczam, aby w ogóle racjonalnym było uleganie przyzwyczajeniom, nie powiem nawet myślowym, lecz przyzwyczajeniom dźwiękowym, związanym z pojęciami: «prawica» i «lewica». Polska powstała po ciężkiej, długoletniej wojnie, która wstrząsnęła całym światem, i znajdujemy się i my, i świat cały jeszcze dotąd w okresie krystalizowania się nowych pojęć politycznych. Nadużywamy zaś w niesłychany sposób pojęć starych, przedwojennych, które dużo i bardzo dużo straciły na wartości. Jeżeli pojęcia «lewica» i «prawica» mamy rozumieć jako odpowiedniki głębokich socjalnych prądów, istniejących w całym świecie, to znajdziemy, że we wszystkich państwach, z wyjątkiem naszego sąsiada ze wschodu, siły socjalne znajdują się w stanie równowagi, chociaż niewątpliwie mamy do czynienia z gwałtownym poszukiwaniem metod wyjścia dla nowego, powojennego życia.

Osobiście stwierdziłem natychmiast po wyjściu z Magdeburga, iż Polska w tym stanie równowagi będzie musiała pozostać długo, gdyż z jednej strony jest bardzo uboga i na



eksperymenty zabraknie jej sił materialnych, z drugiej zaś strony zabraknie jej sił moralnych, jak odwagi, gdy wyszła do nowego życia ze społeczeństwem, przyzwyczajonym do głębokiego upokorzenia i tchórzostwa myśli, nabytych podczas długich lat niewoli narodowej i politycznej, niewoli u obcych. Dlatego też, jeżeli pojęcia «lewica» — «prawica» są związane z ruchami socjalnymi, nie byłem nigdy osobiście w nowej Polsce stronnikiem dawania wyraźnej przewagi jednej stronie lub drugiej i wyrażałem zawsze myśl, której się i teraz trzymam, że dla nas eksperyment, zrobiony przez naszych sąsiadów ze wschodu, nie jest zachęcający. Natomiast nie wierzę w nasze siły pod tym względem, byśmy w porównaniu z naszymi sąsiadami z zachodu i innymi państwami na świecie mogli się zdobyć na dawanie im przykładów rozwiązywania problemów socjalnych, gdy słusznie czy niesłusznie wszędzie na świecie — jak twierdzę — dotąd równowaga socjalna utrzymuje się.

Jeżeli zaś «lewica» i «prawica» mają oznaczać pojęcia polityczne, związane z daleką i dawną przeszłością, sięgającą hen! — gdzieś aż do wielkiej rewolucji francuskiej, to wybaczy pan, lecz próbując analizy stosunków politycznych w mojej ojczyźnie, nigdy nie mogłem skonstatować, co jest właściwie mówiąc lewicą, a co prawicą. Jeśli pan weźmie np. jeden z aktów naszej historii najbardziej hańbiących — zamordowanie Prezydenta Narutowicza — został on dokonany niewątpliwie przez ludzi, należących do t. zw. prawicy. Tymczasem wszędzie na świecie akty mordów przedstawicieli państw dokonywane są przez tę lewicę, która przekracza wszelkie granice ustrojów politycznych obecnego świata, tak, iż niesposób takiej lewicy nawet włączyć w rejestr stronnictw politycznych lewicy<sup>1)</sup>.

Prawica gdzie indziej charakterystycznie dąży do zmniejszenia siły i potęgi parlamentaryzmu na rzecz władz wykonawczych, u nas zaś najwybitniejszymi przedstawicielami rozwydrzenia partyjnego i oparcia wszystkiego w Polsce na prawach i przywilejach panów posłów i senatorów jest nie kto inny, jak t. zw. prawica. Także autorem Konstytucji, obierającej władzę wykonawczą z wszelkich cech siły na rzecz «złoty wolności» posłów i senatorów, jest właśnie prawica.

Tak, iż gdy się rozumie pojęciami «prawica» i «lewica», musi się zabrnąć w jakiejś sprzeczności z pojęciami ogólnie istniejącymi i trzeba stanąć zupełnie bez wyjścia.

Osobiście nigdy nie chciałem być członkiem ani polskiej

<sup>1)</sup> Mowa o anarchistach.

prawicy, ani polskiej lewicy. Nie chciałem nigdy należeć do żadnego stronnictwa, ani też aprobować panowania stronnictw nad Polską.

— *Z tego wnosić należy, że Pan Marszałek, jako wysunięty kandydat na Prezydenturę, nie uważa się za przedstawiciela jednej połowy obecnego sejmu, i że w ogóle jest przeciwny traktowaniu wyboru Prezydenta w płaszczyźnie walki między obecną lewicą i prawicą sejmową?*

— Naturalnie. I, zdaniem moim, kwestia, postawiona zarówno przeze mnie, jak i przez życie, nie na tym polega. Polega ona przede wszystkim na zdolności ze strony państwa karania wykroczeń i nadużyć — specjalnie pieniężnych, tak, aby Polska przestała być śmieszną w świecie, oraz na tworzeniu warunków, umożliwiających wyjście z marazmu, do którego doprowadza metoda pracy państwowej w Polsce. Proszę przecież wyobrazić sobie, iż jesteśmy zlepieni z okrawków trzech państw, z których każde miało swoje prawa, swoje przepisy i swoją metodę pracy państwowej. Jesteśmy dziedzicami — chcąc nie chcąc — tych trzech metod. Wobec tego zaś, że trzy te państwa pracowały przeciwko Polsce w sposób wyraźny i jasny, mamy mnóstwo przepisów, ciężących na nas stale i ustawicznie dotąd, gdyż — jak prawdopodobnie pan tego nie wie — zniesienie tego całego bagażu musi być uczynione, według istniejących u nas koncepcyj, przez równorzędne polskie instytucje. Więc część przez sejm i senat, część przez sejm, wreszcie inna część przez Radę Ministrów. Może pan sobie wyobrazić, jak to wolno postępuje, jak wolnym jest ten proces oswabadzania się od smutnej naszej przeszłości, gdyśmy byli podzieleni na trzy części, i co, dzięki powolnemu postępowi pracy państwowej, dotąd jak najstaranniej utrzymujemy. Nie dziwię się też wcale, gdy spotykam ludzi, którzy ze wzruszeniem ramion mówią, iż Polska jak gdyby dumna jest z tego, że potrafiła utrzymać w całej nienaruszalności wszystko to, co w Polsce robiły państwa i ustroje polityczne, które albo nie istnieją wcale — jak Austria, albo zmuszone były przez rozwój życia przejść do całkiem innych form, jak Rosja i Niemcy. Wyglądamy zapewne niezwykle archaicznie. Niedawno np. z pewnym podziwem dowiedziałem się, że jakies przykre i nużące przepisy nie mogą być zniesione, gdyż były wydane przez ś. p. Arkadiusza Stołyppina <sup>1)</sup> oraz Radę Państwa... w Petersburgu. Równorzędnymi zaś organami u nas, w Polsce, co do-

<sup>1)</sup> Piotr Arkadjewicz Stołyppin, ros. min. spr. wewn. w 1906 r., zginął wskutek zamachu w Kijowie w 1911 r.

tąd jeszcze nie określono, jest albo sejm sam, albo nawet i sejm z senatem.

— *Właśnie ta paląca potrzeba sanacji państwa wyraża się w zawistym na milionach ust w Polsce pytaniu, które muszę powtórzyć: czy Pan Marszałek zgodzi się postawić swoją kandydaturę na stanowisko Prezydenta?*

— Pan mnie wciąż pyta, tak zresztą, jak i inni ludzie, o moją kandydaturę na Prezydenta. Chciałbym zwrócić wszystkim uwagę, iż przed ustąpieniem ostatecznym z urzędu Naczelnika Państwa wygłosiłem przemówienie, w którym starałem się wyjaśnić, dlaczego nie chcę kandydować na urząd Prezydenta Rzeczypospolitej <sup>1)</sup>. System Konstytucji, która została uchwalona przez sejm konstytucyjny, dał w ręce panów posłów i senatorów tyle przywilejów i tyle sposobów zatamowania każdej pracy w państwie, że — zdaniem moim — każdy Prezydent jest skazany na męczeństwo. Cóż dopiero mówić o mnie, człowieku, który namiętnie lubi pracę, dającą szybkie efekty, i który z trudem znosić jest w stanie długie rozmowy i przetargi bez decyzji i efektu. Już wtedy stwierdziłem, że ja do takiej pracy się nie nadaję i że trzeba szukać innych ludzi, którzyby mniej tracili cierpliwości w bezpłodnym szarpaniu siebie dla zupełnie, zdaniem moim, beznadziejnego przekonywania pp. posłów i senatorów, by się wyrzekli swoich przywilejów przeszkadzania rządowi w pracy i nie wciągali Prezydenta do pracy na rzecz dobra i korzyści partyj, ba — nawet kliczek.

— *W przeciagu trzech i pół lat, dzielących nas od chwili wypowiedzenia przez Pana Marszałka swej opinii, to jest od listopada 1922 r., może nie tyle w samym sejmie, ile w społeczeństwie dojrzała świadomość tej głębokiej słuszności i dzisiaj, oczywiście, powszechnie rozumie się, iż sejm ten zakończy swój żywot naprawieniem tego błędu Konstytucji, to jest rozszerzeniem uprawnień władzy wykonawczej w osobie Prezydenta. Opinia rozumie, iż tylko pod tym warunkiem jest w ogóle możliwy i celowy wybór Prezydenta, a zwłaszcza, jeżeli nim ma być Pan Marszałek.*

— Proszę pana. Ja nie chcę twierdzić, iż tak nie jest, lecz to, co pan nazywa opinią, nie jest panem posłem czy senatorem. Wyznaję — trzeba mieć dużo optymistycznej ufności, aby się zdobyć na akt wiary w tak dziwne przewroty moralne. Przecież rzadkimi są wypadki na świecie, aby uprzywilejowane warstwy chętnie się wyrzekały swoich przywilejów. Jeszcze rzadszymi zaś są wypadki w historii, by czyniły to kliki i kli-

<sup>1)</sup> Przemówienie na zebraniu w Prezydium Rady Ministrów. Por. t. V, str. 286—296.



czki. Co do mnie — wybaczy pan — bardziej przypuszczam, iż sejm i senat po wyborze nowego Prezydenta ustąpią opinii o tyle, że się na pewien czas rozejdą, zawiesiwszy miecz Damoklesa swoich przywilejów i praw zahamowania każdej czynności rządowej nad głową nowego elekta, który zająć się będzie musiał utworzeniem nowego rządu. Daj Boże, by przy tym tworzeniu nowego rządu nowy elekt nie został skompromitowany niemożliwością dokonania tej pracy w szybkim tempie, gdy do pomocy mu staną, tak, jak dotąd było w Polsce, wszystkie stronnictwa, grupy i kliki poselskie i senatorskie.

WYWIAD OGŁOSZONY W «KURIERZE PORANNYM»  
Z DNIA 29 MAJA 1926 R.

*Piłsudski postawił sobie jako cel najbliższy utworzenie rządu, który by, wbrew dotychczasowym zwyczajom, został sformowany bez wpływu czynników parlamentarnych. Temu zagadnieniu poświęcony jest niżej przytoczony wywiad, wskazujący, że zarówno permanentne obrady ciał parlamentarnych absorbujące czas ministrów, jak i uzależnienie się gabinetu od partii muszą doprowadzić do tego, że rząd ani sprawnym ani silnym być nie może.*

*Wywiad podajemy według «Kuriera Porannego» z dn. 29 maja 1926 r.*

— *Poprzednią naszą rozmowę Pan Marszałek zakończył wyrażeniem obawy o sytuację przyszłego Prezydenta jeśli od pierwszego swego kroku, jakim będzie powołanie nowego rządu, stanie wobec konieczności współpracy ze stronnictwami i klikami sejmowymi. Ponieważ zagadnienie współpracy władzy ustawodawczej z wykonawczą jest w tej chwili u nas niezmiernie aktualne, czy nie zechciałby Pan Marszałek powrócić obecnie do tej kwestii?*

— *Bardzo jestem zadowolony, że zadaje mi pan to właśnie pytanie. Jest to pytanie, wiążące się właściwie z całym mnóstwem zjawisk, stanowiących palącą sprawę kryzysu parlamentaryzmu nie tylko u nas, lecz bodaj w całym świecie. U nas, jak zawsze twierdzą i twierdziłem od dawna, ten kryzys przyjść musiał i szybciej, i ostrzej, niż gdzie indziej, wyjąwszy, naturalnie, Włochy, gdzie kryzys dał to, co obecnie w tym kraju widzimy<sup>1)</sup>. Wszyscy u nas ciągle mówią, jak zresztą i wszędzie, że potrzebny jest silny rząd.*

<sup>1)</sup> Mowa o przewrocie Mussoliniego, który rozpoczął się marszem faszystów na Rzym dnia 22. X. 1922 r.

Lecz cóż stanowi istotę silnego rządu? Istotę siły stanowi decyzja, pobierana w odpowiednim dla efektu działania czasie. Siły inaczej przedstawić sobie nie mogą. I zgoda — niech według zasad demokracji za tę silną decyzję rząd będzie odpowiedzialny. Ale niech ma możliwość decydować, niech ma za co odpowiadać.

Tymczasem w zwyczajach naszych samo sformowanie rządu zależy nie od Prezydenta, lecz — jako to widzieliśmy w ostatnich czasach — ciągle i stale od przewlekłych i długich narad klubów, stronnictw, klik, kliczek i konwentyklów, tak, iż wydawać się każdemu musi, że np. każdy minister poza umiejętnością prowadzenia swego resortu musi posiadać: a) talent mówcy parlamentarnego, b) zdolność specjalną do intryg parlamentarnych, c) umiejętność łagodzenia poszczególnych pretensyj i pretensyjek poszczególnych posłów w stosunku do siebie.

Na tę specjalną pracę, nic wspólnego z treścią jego resortu nie mającą, musi minister poświęcać tyle czasu i tyle wysiłków, iż zgodnie ze wszystkimi obserwacjami na treść pracy, za którą niby jest odpowiedzialny, oddać może jakieś pół godziny w ciągu doby. Zwiększać zaś ten czas może jedynie, gdy na szczęście dla rządu sejm i senat zdecydowane są odpocząć. Wtedy dopiero w każdym rządzie następuje także chwila zasłużonego odpoczynku i wielkie westchnienie ulgi. Dopiero wtedy minister ma możliwość zaznajomienia się ze swoim resortem istotnie i powiedzenia sobie, iż jest człowiekiem, który za cośkolwiek w swoim resorcie odpowiadać może. Przypuszczać, że taki desygnowany do usług pp. posłów i senatorów minister ma możliwość wykazania siły rządzenia — jest czystą fikcją.

Dla śmiechu przytoczę jeden przykład. W gabinecie ministra resortu, którym specjalnie się zajmuję, pracuje kilku oficerów wraz z siłami pomocniczymi jedynie na to, aby zestawiać bez ustanku sypiące się żądania posłów, żądania, których treścią systematycznie jest: a) przeniesienie znajomych, krewnych, znajomych tych krewnych, no i tych zbliżonych do posłów wyborców — z miejsca na miejsce w wojsku, b) robienie takich czy innych ulg w służbie wojskowej również krewnym, znajomym posła i znajomym tych krewnych, znajomym potrzebnych w okręgu wyborczym ludzi itd.

Zwracam uwagę, iż próby robienia ulg w służbie wojskowej np. przez psucie sobie palców, zmniejszanie sztucznie siły wzroku itp. są surowo karane. I zapytać się godzi, czy ten system robienia ulg grzesznościowych nie podpada pod ten sam

paragraf kary, gdy, zdaniem moim, liczba przestępstw, dokonywanych w ten sposób, przekracza znacznie liczbę przekroczeń, ujawnianych i karanych, lecz niepokrywanych przez zupełną nieodpowiedzialność poselską.

Wszyscy więc łatwo mówią o silnym rządzie, wszyscy to żądanie stawiają, nawet sami posłowie i senatorowie, lecz już przy formowaniu rządu czynią wszystko, by rząd 9/10 swojej siły utracił przez «pacta conventa», zawarte ze stronnictwami, klubami, z grupami posłów, z konwentyklami, które się na takiego ministra zgodziły z wprowadzeniem groźby cofnięcia tej zgody w razie, gdyby ów «siłacz» nie dogadzał protekcjom, protekcyjkom, żądaniom i kaprysom p. posła czy senatora, ich krewnych, kuzynów i kuzynek jego, nie mówiąc o poszczególnych wpływowych jego wyborcach.

Nie wiem, czy można sądzić, że rząd w ten sposób sformowany, albo w ten sposób rządzący, kiedykolwiek w Polsce będzie silny, przynajmniej ja osobiście nie widzę metody rozstrzygnięcia kwadratury takiego koła. Dodam jeszcze jedno, o czym wspomniałem już przed wypadkami majowymi. Musi się przy tym procederze zatracić wszelką odpowiedzialność istotną tak dalece, iż każdy szczerzy demokrata musi się palić ze wstydu. Demokracja bowiem polega na wyraźnej odpowiedzialności władzy wykonawczej. Tymczasem już sam fakt postawienia do rządu posła stwarza nieodpowiedzialność jego za czynności przed kimkolwiek, aż do wygaśnięcia jego pełnomocnictw poselskich <sup>1)</sup>). Nikt bowiem nie jest u nas tak naiwny, by przypuszczał, iż poseł znajdzie bezwzględność u kolegów i by miał czegokolwiek w ogóle obawiać się poza niezadowoleniem swoich własnych kolegów. Przede wszystkim wchodzi we wszystkich wypadkach w grę prestiż, nawet nie sejmu, lecz klubów, tak, że doprawdy jeszcze najbardziej zdatnymi do odpowiedzialności są posłowie t. zw. «dzicy», lub członkowie takich klubów, które także są «dzikimi», t. j. nie mającymi wielkich ilości członków. To też obserwować się dała w Polsce wzrastająca bezkarność w stosunku do wszystkich czynności, zwykle uważanych za przestępstwo. Każdy, kto miał za sobą jakiegokolwiek przekroczenia, szukał natychmiast służby nie u państwa, lecz u odpowiedniego klubu poselskiego, szukając

---

<sup>1)</sup> Art. 21 Konstytucji z dn. 17. III. 1921 r. zawierał następujący ustęp: «Przez cały czas trwania mandatu posłowie nie mogą być pociągani do odpowiedzialności karno-sądowej, karno-administracyjnej i dyscyplinarnej, ani pozbawieni wolności bez zezwolenia Sejmu».

protekcji i osłony najbardziej efektywnej. Zdawało się niekiedy, iż po prostu naigrywano się publicznie z praw i z możliwości karania przez państwo. To też, gdy przyszedłem na urząd ministra spraw wojskowych, z prawdziwą przyjemnością oddałem sądowi i prokuraturze najbardziej jaskrawe i znane wypadki, które się ciągnęły miesiącami nie z innego powodu, jak z powodu protekcji posłów i senatorów.

— *Problem rządu silnego zatem Pan Marszałek widzi w uniknięciu wpływu sejmu na tworzenie rządu?*

— Naturalnie. Może Prezydent mylić się w wyborze ludzi, lecz błąd ten łatwiej jest naprawić, niż zmuszać rząd do ugrzęźnięcia natychmiast w musowych zobowiązaniach w stosunku do klubów, stronnictw, konwentyklów, klik i kliczek poselskich i senatorskich. I niech mi wolno będzie wyrazić nadzieję, że dla uniknięcia nowego, lecz znacznie ostrzejszego już kryzysu, sejm i senat zechcą uwzględnić, że w tym wypadku lepiej może nie narażać siebie i kraju na próbę trwania nadal w złych zwyczajach i obyczajach poselskich i senatorskich.

---

## PRZEMÓWIENIE DO PRZEDSTAWICIELI STRONNICTW SEJMOWYCH

(29 maja 1926 r.)

*Dnia 29 maja 1926 r., na dwa dni przed posiedzeniem Zgromadzenia Narodowego, na którym miał być dokonany wybór Prezydenta Rzeczypospolitej, odbyło się w Prezydium Rady Ministrów na zaproszenie premiera Bartla zebranie przedstawicieli stronnictw parlamentarnych dla wysłuchania opinii Piłsudskiego o wyborze kandydata na stanowisko Prezydenta Rzeczypospolitej.*

*W zebraniu wzięli udział posłowie: Dębski, Erdman, Jedynek («Piast»), Miedziński, Poniatowski, Woźnicki («Wyzwolenie»), Chaciński, Romocki (Chr. Dem.), Daszyński, Marek, Moraczewski, Niedziałkowski, Ziemięcki (P. P. S.), Michalski, Stecki (Chr. Nar.), Chądzyński (N. P. R.), Dąbski, Łaskiewicz, Polakiewicz, Waleron (Str. Chłopskie), Gaczyński, Kościółkowski, Krzyżanowski (Grupa Pracy).*

*Na tym zebraniu Piłsudski wygłosił niżej przytoczone przemówienie, mające wobec siły realnej, którą miał po wypadkach majowych, charakter jakby ultimatum. Piłsudski gwarantuje w nim swobodny obiór Prezydenta, ale ostrzega, by z kandydatem na Prezydenta nie zawierano układów partyjnych; domaga się, by nowy Prezydent mógł*

*utworzyć rząd bez nacisku stronnictw i by parlament na jakiś czas przestał się zbierać.*

*Przemówienie zostało podane w ówczesnej prasie w tekstach różniących się między sobą. Podajemy je według najobszerniejszego tekstu «Kurierza Porannego» z dnia 30 maja 1926 r., zaznaczając odmiennym drukiem ustępy, które streszczają przemówienie w trzeciej osobie.*

*Marszałek Piłsudski zaznaczył na wstępie, że podejmując zaproszenie premiera Bartla podzielenia się z zebranymi poglądem swym osobistym na dotychczasową ciężką rolę Prezydenta Rzeczypospolitej, nie ma zamiaru wygłaszania mowy kandydackiej, lecz tylko chce wyrazić swój osobisty pogląd na rzecz.*

— Nie będę się wdawał — mówił Marszałek Piłsudski — w dyskusję nad wypadkami majowymi. Zdecydowałem się na nie sam, w zgodzie z własnym sumieniem i nie widzę potrzeby z tego się tłumaczyć.

Głównymi powodami obecnego stanu rzeczy w Polsce — to jest nędzy, słabizny wewnętrznej i zewnętrznej — były złodziejstwa, pozostające bezkarnie. Ponad wszystkim w Polsce zapanował interes jednostki i partii, zapanowała bezkarność za wszelkie nadużycia i zbrodnie.

W odrodzonym państwie nie nastąpiło odrodzenie duszy narodu. Gdy wróciłem z Magdeburga i posiadałem władzę, jakiej nikt w Polsce nie piastował, wierząc w odrodzenie narodu, nie chciałem rządzić batem i oddałem władzę w ręce zwołanego przez Sejm Ustawodawczego, którego wszak mogłem nie zwoływać. Naród się jednak nie odrodził. Szuje i łajdaki rozpanoszyły się. Naród odrodził się w jednej tylko dziedzinie, w dziedzinie walki orężnej, t. zn. pod względem odwagi osobistej i ofiarności względem państwa w czasie walki. Dzięki temu mogłem doprowadzić wojnę do zwycięskiego końca. We wszystkich innych dziedzinach odrodzenia nie znalazłem. Ustawiczne waśnie personalne i partyjne, jakies dziwne rozpanoszenie się brudu i jakiejś beczelnej, łajdackiej przewagi sprzedajnego nieraz elementu.

Rozwielmożniło się w Polsce znikczemnienie ludzi. Swobody demokratyczne zostały nadużyte tak, że można było znieawidzieć całą demokrację — co Marszałek odczuwał najboleśniej, jako zdecydowany demokrata. — Interes partyjny przeważał ponad wszystko. Partie w Polsce rozmnożyły się tak licznie, iż stały się niezrozumiałe dla ogółu. To wszystko skierowane było przeciw każdemu, kto reprezentował państwo. Tych reprezentujących państwo było trzech: mnie, jako Naczelnikowi Państwa, obrzadzano życie ciągłą naganką, oszczer-



stwami i najwstrętniejszymi potwarzami. Nie upadłem tylko dlatego, że jestem silniejszy od was wszystkich. Drugiego reprezentanta wprost zamordowano, a moralni sprawcy tego mordu uszli bezkarnie. Trzeci padał pod ciężarem męki z powodu sejmu i senatu.

— Gdy byłem — *powiada Marszałek* — po raz ostatni w Belwederze u p. Wojciechowskiego, żal mi go było. Człowiek tajał, postarzał się pod wpływem pracy sejmu i senatu. Kiedy go usiłowałem namówić do nieulegania wpływow partyjnym, odrzekł, że chciałby partiom oprzeć się, ale czuje, że ulegnie. W takich oto warunkach stawia się tych, których się wybiera na reprezentantów państwa.

*A dalej, przechodząc do chwili obecnej, Marszałek oświadczył:*

— Warunki tak się ułożyły, że mogłem nie dopuścić was do sali Zgromadzenia Narodowego, kpiąc z was wszystkich, ale czynię próbę, czy można jeszcze w Polsce rządzić bez bata. Nie chcę czynić nacisku, ale ostrzegam, że sejm i senat są instytucjami najbardziej znienawidzonymi w społeczeństwie. Róbcie raz jeszcze próbę. Nacisku nie będzie. Żadna siła fizyczna nie zaciąży nad wami. Dałem gwarancję swobodnego obioru Prezydenta i słowa dotrzymam, ale ostrzegam, nie zawierajcie z kandydatem na Prezydenta układów partyjnych. Kandydat na Prezydenta musi stać ponad stronnictwami, winien umieć reprezentować cały naród. Wiedźcie, że w przeciwnym razie nie będę bronił sejmu i senatu, gdy dojdzie do władzy ulica. Nie może w Polsce rządzić człowiek pod terrorem szuj i temu się przeciwstawiam.

Wydalem wojnę szujom, łajdakom, mordercom i złodziejom i w walce tej nie ulegnę. Sejm i senat mają nadmiar przywilejów i należałoby, aby ci, którzy powołani są do rządów, mieli więcej praw. Parlament winien odpocząć. Dajcie możność rządzącym odpowiadać za to, czego dokonają. Niech Prezydent tworzy rząd, ale bez nacisku partyj. To jest jego prawo.

Z kandydaturą moją róbcie, co się wam podoba. Nie wstydę się niczego, skoro się nie wstydę przed własnym sumieniem. Jest mi obojętnym — wiele głosów otrzymam. Dwa, sto, czy dwieście. Nie robię jednak żadnego nacisku co do wybrania mojej osoby. Wybierajcie tego, kogo będziecie chcieli, szukajcie jednak kandydatów apartyjnych i godnych wysokiego stanowiska. Gdybyście tak nie postąpili — widzę wszystko w czarnych dla was kolorach, a dla siebie w barwach przykrych, bo nie chciałbym rządzić batem. Rządzenie batem obrzodziłem sobie w państwach zaborczych.

W rozkazie moim do wojska powiedziałem, że wzięwszy państwo słabe i ledwie dyszące — oddaliśmy obywatelom odrodzone i zdolne do życia. Cóżście z tym państwem uczynili? Uczyniliście zeń pośmiewisko!

Obecnie rząd próbuje przygotować rozmaite prace. Obawiam się jednak, że po wyborze Prezydenta wszystko pójdzie po dawnemu. Boję się, że sejm chce pozostać. A trzeba, abyście panowie rozeszli się na pewien czas, bo musi się przecież stać coś nowego. Niech Prezydent przez pewien okres nie ma sejmu i senatu na karku. Trzeba mu dać swobodę do utworzenia rządu i do rozpoczęcia prac, za które rząd będzie przed sejmem potem odpowiadał. Nie chciałbym mieć wyrzutów, że nie doprowadziłem do końca rozpoczętej roboty i że bał nie świstał na ulicach.

Moim programem jest zmniejszenie łajdactw i utorowanie drogi uczciwości. Czekam, a zapewniam panów, że się nie zmienię. Trzeba przejść ponad partyjne interesy, dać oddech państwu i elektowi. Elekt musi posiadać honor ponad chęć zarobienia kilkudziesięciu groszy. Jeżeli chodzi o mnie, to powtarzam raz jeszcze, że się nie zmienię. Będę ścigał złodziei! Zastanówcie się nad tym, panowie, przemyślcie i przedyskutujcie...

## PISMO DO MARSZAŁKA SEJMU O NIEPRZYJĘCIU WYBORU NA PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ

(31 maja 1926 r.)

*Dnia 31 maja 1926 r. odbyło się posiedzenie Zgromadzenia Narodowego dla wyboru Prezydenta Rzeczypospolitej. Wynik głosowania był następujący: Piłsudski otrzymał głosów 292; Adolf Bniński, wysunięty przez Związek Ludowo-Narodowy (N. D.) i Klub Chrześcijańsko-Narodowy (partia Dubanowicza), otrzymał głosów 193, głosów nieważnych oddano 61.*

*Piłsudski zawiadomiony o swym wyborze na Prezydenta wystosował do Marszałka Rataja jako przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego niżej przytoczone pismo, podające powody nieprzyjęcia przez niego wyboru na Prezydenta Rzeczypospolitej.*

*Oryginał listu znajduje się w Archiwum Sejmu.*

*Tekst, zgodny z oryginałem, podajemy według «Kurieru Porannego» z dn. 1 czerwca 1926 r.*

Panie Marszałku!

Dziękuję Zgromadzeniu Narodowemu za wybór. Po raz drugi w mym życiu mam w ten sposób zalegalizowanie moich

czynności i prac historycznych, które, niestety dla mnie, spotykały się przedtem z oporem i niechęcią dosyć szeroką. Tym razem dziękuję wszystkim panom, że wybór mój nie był jednomyślnym, tak, jak to było w lutym 1919 r.<sup>1)</sup> Mniej może w Polsce będzie zdrad i fałszu.

Niestety, przyjąc wyboru nie jestem w stanie. Nie mogłem wywalczyć w sobie zapomnienia, nie mogłem wydobyć z siebie aktu zaufania i do siebie w tej pracy, którą już raz czyniłem, ani też do tych, co mnie na ten urząd powołują.

Zbyt silnie w pamięci stoi mi tragiczna postać zamordowanego Prezydenta Narutowicza, którego nie zdołałem od okrutnego losu ochronić, zbyt silnie działa na mnie brutalna napaść na moje dzieci.

Nie mogę też nie stwierdzić raz jeszcze, że nie potrafię żyć bez pracy bezpośredniej, gdy istniejąca Konstytucja od Prezydenta taką właśnie pracę odsuwa i oddala.

Musiałbym zanadto się męczyć i łamać. Inny charakter do tego jest potrzebny.

Przepraszam za zawód, który czynię nie tylko tym, co za mną głosowali, lecz i tym, co poza salą Zgromadzenia żądają tego ode mnie.

Sumienie, do którego się odwoływałem po tysiąc razy ostatnimi dniami, nie pozwala mi zadośćuczynić tym żądanom.

Dziękuję raz jeszcze za wybór i proszę o natychmiastowy — daj Boże — szczęśliwy wybór Prezydenta Rzeczypospolitej.

## ENUNCJACJA PRASOWA O PROF. IGNACYM MOŚCICKIM

(1 czerwca 1926 r.)

*Nieprzyjęcie przez Piłsudskiego wyboru na Prezydenta Rzeczypospolitej było dla całej opinii niespodzianką i wywołało wśród sfer politycznych konsternację. Piłsudski wysunął kandydaturę prof. Ignacego Mościckiego, który został dnia 1 czerwca 1926 r. wybrany Prezydentem Rzeczypospolitej przez Zgromadzenie Narodowe.*

*Ponieważ osoba Mościckiego nie była szerokim sferom dostatecznie znana, Piłsudski ogłasza w prasie niżej przytoczoną enuncjację o motywach, które go skłoniły do wy-*

<sup>1)</sup> Por. t. V, str. 62

*sunięcia kandydatury Mościckiego na urząd Prezydenta Rzeczypospolitej.*

*Tekst podajemy według «Kuriera Porannego» z dn. 2 czerwca 1926 r.*

Zadaje pan pytanie bardzo dla mnie przykre. Nie dlatego, by moje przyjazne stosunki z prof. Mościckim i jego rodziną były w czymkolwiek naruszone, lecz ze względu na nieprzyjemność publikowania szczegółów tak osobistych spraw, jak przyjaźń między ludźmi. Rozumiem jednak dobrze, że prof. Mościcki z chwilą wybrania go na Prezydenta staje się do pewnego stopnia własnością narodu. I rozumiem zaciekawienie jego osobą. Sądzę także, iż mam prawo mówić o nim publicznie, aby osłonić jego osobę przed szarpaniem plotkami i wymysłami, które, niestety, w Polsce częściej znajdują posłuch, niż spokojna prawda. Chcę więc wierzyć, iż zarówno p. Mościcki, jak i p. Mościcka nie wezmą mi za złe tej niedyskrecji.

Znam prof. Mościckiego od bardzo dawna<sup>1)</sup>, i nieraz w mym życiu, podróżując po świecie, zawadzałem o niezwykle gościnny i serdeczny jego dom. Przyjemnie mi jest zaznaczyć, iż w moim tułaczym nieraz życiu, jakie pędziłem w młodym zupełnie wieku, dom państwa Mościckich był dla mnie jednym z przyjemnych odetchnień, które tym mi jest droższym we wspomnieniach, że wewnętrzna wysoka kultura gospodarzy, nabyta przez wychowanie prawie w jednakowych ze mną warunkach, przypominała mi nieraz, stracone już wówczas dla mnie, życie w rodzinnym cieple. Prof. Mościcki ciężko pracował nie tylko na utrzymanie swojej rodziny na emigracji, lecz również dla tej wielkiej sławy, jaką posiada zarówno w nauce, jak i w dziedzinie wielkiej techniki.

Poznałem go w Londynie. Widywałem go bardzo często w Szwajcarii, gdzie pracował na uniwersytecie we Fryburgu<sup>2)</sup>, zyskując renomę jednego z największych wynalazców, jakich ma świat, w dziedzinie elektrotechniki i chemii. Pragnę zaznaczyć, iż jedna specjalna cecha szczególnie mnie zawsze uderzała w p. Mościckim. Przy ogromnej pracy nad swymi pomysłami, do ich urzeczywistnienia szedł drogą konstruowa-

<sup>1)</sup> Znajomość Piłsudskiego z Ignacym Mościckim datuje się od lata 1896 r. W tym bowiem czasie odbył się w Londynie międzynarodowy kongres socjalistyczny, na który przybył z kraju Piłsudski, jako redaktor nielegalnego «Robotnika» i członek Centralnego Komitetu Robotniczego Polskiej Partii Socjalistycznej i wtedy poznał Mościckiego przebywającego wówczas w Londynie.

<sup>2)</sup> Prof. Mościcki pracował na uniwersytecie we Fryburgu w latach 1897—1912.



nia nowych zupełnie wynalazków, jako środków dla wykonania głównego pomysłu. Śmiał się często, twierdząc, iż nieraz te pomocnicze, że tak powiem, wynalazki okazywały się znacznie zyskowniejszymi i łatwiejszymi do zastosowania, niż pomysły główne, które wymagały dłuższej pracy i tak, jakgdyby uciekały od niego gdzieś w dalszą przestrzeń. Oburzał się zawsze wtedy, iż musi się zajmować rzeczą mniejszej dla niego wagi, gdyż to mu się udaje, a jednocześnie przeszkadza w głównej pracy.

Ta miła prawda o metodzie wielkich prac i męce tworenia łączy bardzo wielu ściśle ludzi jednakowego moze w tej mierze charakteru. Dlatego też, przypuszczam, nieraz w przeszłości łatwiej mi było porozumieć się z prof. Ignacym Mościckim, niż z wielu innymi kolegami życia i współtowarzyszami pracy.

Umysł taki, jak prof. Mościckiego, nie daje się nigdy wepchnąć w ramy doktryn, a specjalnie nie uda się nigdy zamknąć takiej duszy w ramki maluczkich doktrynek, ciasnych formułek i jeszcze ciasniejszych prawidełek, jakimi ludzie tak chętnie krępują i siebie, i tych, którzy muszą pracować nad większymi zagadnieniami.

Prof. Mościcki jest wybitnym technikiem. Ma więc metody ujęcia każdej rzeczy, nad którą pracuje, technicznie. Gdym, zdecydowany nie przyjąć urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej, myślał o innych kandydaturach, dobieierałem sobie w myśli ludzi o wyższej kulturze i o wysokim napięciu tego, co jest honorem i godnością osobistą, nie znoszącą upokorzenia. I gdym się wahał między dobieranymi w myśli ludźmi, przeważał we mnie zawsze moment techniczny nad momentem humanizmu, który także mógł wchodzić w rachubę. Sądzę bowiem, iż ojczyźnie naszej brak jest w pracy państwowej dobrych techników tej pracy, specjalnie, gdy idzie o większe sprawy, o wykrycie błędów w olbrzymiej maszynie państwowej, będącej w biegu.

Z przykrością dowiedziałem się, iż p. Mościcka, nadzwyczaj miła i serdeczna kobieta, jest obecnie chora, co sprawia, że nowowybrany Prezydent, gdy wybór tak go zaskoczył, pierwsze swe kroki musi poświęcić chociażby krótkiej opiece nad chorą żoną<sup>1)</sup>. Ku swemu a i mojemu żalowi Prezydent Mościcki przez pewien czas będzie zmuszony urzędować, nie mając przy sobie swej długoletniej towarzyszki życia.

<sup>1)</sup> Prezydent Mościcki wyjechał do Lwowa dn. 1. VI. 1926 r., powrócił do Warszawy w dniu zaprzysiężenia, t. j. dn. 4. VI. 1926 r. rano.



**PISMO DO PREMIERA BARTLA W SPRAWIE WARUNKÓW PRZYJĘCIA TEKI MINISTRA SPRAW WOJSKOWYCH**

(8 czerwca 1926 r.)

Rząd Bartla utworzony dnia 15 maja 1926 r. bezpośrednio po wypadkach majowych zapowiedział, że trwać będzie tylko do wyboru nowego Prezydenta. Po wyborze Ignacego Mościckiego na urząd Prezydenta i po złożeniu przez niego przysięgi w dniu 4 czerwca 1926 r. rząd Bartla podał się do dymisji. Prezydent Mościcki powierzył Bartłowi utworzenie gabinetu. Bartel zwrócił się do Piłsudskiego z prośbą o objęcie teki Ministra Spraw Wojskowych. W odpowiedzi na tę prośbę wystosował Piłsudski do Bartla niżej przytoczone pismo o warunkach pod jakimi gotów jest przyjąć proponowaną mu tekę.

Pismo podajemy według «Polski Zbrojnej» z dn. 10 czerwca 1926 r.

**O NAJWYŻSZE WŁADZE WOJSKOWE.**

Warszawa, dnia 8 czerwca 1926 r.

Do  
PANA PREMIERA

w miejscu.

Na zaproszenie Pana Premiera objęcia w jego gabinecie teki ministra spraw wojskowych, oświadczam niniejszym, że gotów jestem przyjąć to zaproszenie pod następującymi warunkami:

1. Interpretacja postanowień art. 46 Konstytucji<sup>1)</sup> była dotychczas tak dowolna i tak naginana w kierunku zapewnienia wpływów poszczególnym stronnictwom politycznym, iż domagać się muszę jasnej i niedopuszczającej żadnych wątpliwości wykładni.

W szczególności — wychodząc z założenia, że wojsko nie może być dowodzone nieindywidualnie (to jest, że musi być

---

<sup>1)</sup> Art. 46 Konstytucji z dn. 17 marca 1921 r. brzmiał jak następuje: «Prezydent Rzeczypospolitej jest zarazem najwyższym zwierzchnikiem sił zbrojnych Państwa, nie może jednak sprawować naczelnego dowództwa w czasie wojny.

Naczelnego Wodza sił zbrojnych Państwa na wypadek wojny mianuje Prezydent Rzeczypospolitej na wniosek Rady Ministrów, przedstawiony przez Ministra Spraw Wojskowych, który za akty, związane z dowództwem w czasie wojny, jak i za wszelkie sprawy kierownictwa wojskowego — odpowiada przed Sejmem».

dowodzone indywidualnie) — żądam stwierdzenia, że żadna inna możliwość, aniżeli dowodzenie indywidualne, nie jest przez Pana Premiera przewidywana.

Z indywidualnego prawa dowodzenia wynika jednocześnie odpowiedzialność moja, jako ministra spraw wojskowych, w trzech kierunkach:

1. W stosunku do Prezydenta Rzeczypospolitej, jako Najwyższego Zwierzchnika Sił Zbrojnych Państwa.

Kwestia uprawnień odnośnych Prezydenta nie została dotychczas unormowana, wobec czego zastrzegam sobie uregulowanie tej sprawy w formie przyjęcia przeze mnie w obecności Pana Premiera skonkretyzowanych i spisanych życzeń Prezydenta Rzeczypospolitej i ustalenia w ten sposób stosunku Prezydenta, jako Najwyższego Zwierzchnika Wojskowego, do ministra spraw wojskowych<sup>1)</sup>.

2. W stosunku do Pana Premiera — jako członka Rady Ministrów, w skład której mam wejść bez umniejszenia moich uprawnień indywidualnego dowodzenia wojskiem.

Proponuję przyjęcie gwarancji mojej odpowiedzialności w formie podania o moją dymisję. Podanie to zostanie złożone przeze mnie na ręce Pana Premiera, który będzie uprawnionym przyjmując je w każdej chwili, w której uzna to za potrzebne.

3. Wobec sejmu — w myśl postanowień Konstytucji z wyeliminowaniem jakiegokolwiek odpowiedzialności przed senatem, jako ustawowo niezastrzeżonej.

II. Wojsko wówczas jedynie nie znajduje się w sytuacji fałszywej, jeżeli ma wyobraziciela swojej służby i istotnego swojego przeznaczenia jedynie jako siły zbrojnej państwa dla obrony całości i niepodległości.

Wyobrazicielem takim musi być oficer, który sam siebie i grono innych wyższych i niższych oficerów przygotowuje na wypadek takiego konfliktu zewnętrznego.

Oficer ten bierze w ten sposób na siebie najcięższy obowiązek, jak w ogóle spaść na oficera może, i z tego powodu powinien mieć prawo wywierania nacisku na mnie, jako ministra spraw wojskowych, we wszystkich kwestiach, związanych z obroną państwa. Oficer ten powinien być postawiony w wojsku tak, by był przez każdego żołnierza uważanym za najwyższego żołnierza w armii.

Jako minister spraw wojskowych, będąc honorowym oficerem, oświadczam z góry, że w kwestiach obrony państwa będę reprezentował jego zdanie, a nie swoje, pokrywa-

<sup>1)</sup> Por. t. VIII, str. 325—329.

jąc w ten sposób konstytucyjną odpowiedzialnością jego pracę i jego żądania.

Wobec tego, że wszystkie starania w kierunku ustalenia zakresu działania najwyższych władz wojskowych nie wydały dotąd konkretnych wyników, a brak takiego oficera, jako wyobraziciela wojska, wpływa demoralizująco na wojsko, żądam przywrócenia mocy mojemu dekretowi o «organizacji najwyższych władz wojskowych» z dnia 7 stycznia 1921 r.<sup>1)</sup>, który wydałem jako Naczelny Wódz w czasie stanu wojny, a który to dekret utracił moc obowiązującą wskutek uchylecia go z chwilą mojego ustąpienia ze służby wojskowej.

Józef Piłsudski  
Marszałek Polski.

## MOWA NA ZJEŹDZIE LEGIONISTÓW W KIELCACH

(8 sierpnia 1926 r.)

*Zjazd legionistów, zwoływany corocznym zwyczajem w rocznicę aktu 6 sierpnia, odbywał się w 1926 r. w Kielcach. Wziął w nim udział Piłsudski, który dnia 8 sierpnia 1926 r. wygłosił w sali kina «Fenomen» niżej przytoczony odczyt.*

*W pierwszej części odczytu Piłsudski zestawia los uczestników naszych powstań z losem legionistów. Uczestnicy powstań mieli większe niż legioniści prawa żywić nadzieje w powodzenie swoich ruchów a doznali zawodu. Mniej nadziei na dopięcie swoich celów światało legionistom — a los okazał się dla nich o wiele łaskawszy.*

*W drugiej części odczytu Piłsudski podnosi, że legioniści mieli w odróżnieniu od reszty społeczeństwa odwagę myśli i odwagę w swej pracy i dali na sobie przykład, że te zalety mogą wbrew ostrzeżeniom ludzi «rozsądnych» dawać sukcesy.*

*Wydawcy t. IX. «Pism — Mów — Rozkazów» odczyt ten kielecki podali w tej formie, w jakiej został on streszczony przez ówczesnych sprawozdawców prasy stołecznej. W papierach K. Świtalskiego znalazł się stenogram tego odczytu. Z porównania stenogramu ze streszczeniami okazało się, że były one wyjątkowo nieudolne. Z natury rzeczy w streszczeniach zginął styl Piłsudskiego, zgubione zostały piękne jego wyrażenia i zwroty. To było do wybaczenia. Gorzej, że bardzo wiele myśli zostało streszczonych zupełnie niejasno, a w bardzo wielu miejscach, zwłaszcza w pierwszej części mowy, sens myśli został wypaczony. Najgo-*

<sup>1)</sup> Por. t. VIII, str. III—V.

*rzej — że wskutek po prostu niedostyszenia wkradły się nonsensy. Tak na przykład Piłsudski mówił o miejscowości «Książ», sprawozdawca przesłyszał się i stąd w streszczeniach mowa o jakimś księdzu, który miał dawać gościnę legionistom w zamku Wielopolskich.*

*Dlatego oparliśmy się w obecnym wydaniu na tekście stenogramu, który był dobrze zrobiony i wymagał niewielkiego opracowania stylistycznego.*

*O powodach, dlaczego przemówienia Piłsudskiego dostawały się do prasy nie według stenogramów, a w streszczeniach sprawozdawców dziennikarskich, mowa jest we wstępie do niniejszego tomu.*

Szanowne panie i szanowni panowie! Przemawiam do was w Kielcach, w mieście, do którego dziś — naszym ongiś szlakiem, szlakiem kadrówki — biegną dziesiątki i dziesiątki młodzieży <sup>1)</sup>. Kielce, może bez swej chęci, związane są z nami i z naszymi dziejami tak silnie i tak nierozłącznie! Dlatego może to wydaje się dziwne, a jednak jest prawdziwe, że jadąc do Kielc i będąc dziś w nich, oswobodzić się nie mogę od pewnych myśli. Kielce bowiem wiążą się z osobistymi losami prawie każdego z tych, którzy dwanaście lat temu wyszli ze mną z Krakowa. Bo losy Legionów, losy legionistów nie należą do zwykłych losów, ani do przeciętnych prawd życiowych.

Więc wspominając, myślałem, że kiedy ongiś, dwanaście lat temu, jeszcze w Jędrzejowie zatrzymywałem bieg naszych kadrówek <sup>2)</sup>, gdy jeszcze w Chęcinach wahałem się czy dać rozkaz wmaszerowania do Kielc naszej awangardzie — nie przypuszczałem, że w cztery i coś lat potem w tym samym mundurze strzeleckim, który ongiś nosiłem, przyjmować będę posłów zagranicznych, składających pokłon przedstawicielowi naszego Państwa. Gdy w Chęcinach chwiałem się w swej decyzji, widząc przed sobą bieg wrogiej dywizji kawalerii <sup>3)</sup>, która świeżo moją drogę przecięła, nie przypuszczałem wtedy nigdy, że za cztery, pięć, sześć lat dowodzić będę armią polską, bijącą za każdym razem armię nieprzyjacielską.

Tak silnie, tak nierozłącznie wiąże się praca naszych Legionów z przewrotem osobistego życia prawie że każdego z legionistów. Każdy z nich stawał się w tej pracy, którą przeszliśmy, innym człowiekiem, stawał się jakby z poczwarki motylem.

<sup>1)</sup> Mowa o odbywających się z okazji zjazdu legionowego zawodach drużyn strzeleckich na szlaku Kraków—Kielce.

<sup>2)</sup> Oddziały Piłsudskiego przebywały w Jędrzejowie w dniach 9—11 sierpnia 1914 r.

<sup>3)</sup> Mowa o 14 dywizji kawalerii rosyjskiej gen. Nowikowa.

Kielce są tak wyjątkowo drogie myślom i wspomnieniom wielkiej części legionistów, bo tu był pierwszy pocałunek wojny, bo tu był pierwszy krok do awantur naszych girlandy.

I dlatego tak jasno, tak wyraziście stają przed wieloma z was jak i przede mną wszystkie wspomnienia, wszystkie myśli i wszystkie przeżycia tych chwil, kiedy szlakiem kadrówki biegliśmy hen z dalekiego Krakowa do kieleckich murów.

Opanowany tymi wspomnieniami, o nich jedynie i o tych przeżyciach, które wtedy miałem, chcę dziś mówić.

Oto jedno z najżywszych wspomnień, które dotąd stoi mi przed oczyma. Idąc z awangardą, rzucałem za sobą etapy, by gros moich sił miało gdzie się zatrzymać, gdzie zjeść i gdzie odpocząć po marszach. Jednym z tych naszych etapów na drodze od Miechowa był Książ Wielki. Ma on pamiątkę w postaci dużego, starego zamczyska margrabiów Wielopolskich<sup>1)</sup>. W tym zamku rozkładali się teraz nowi obozownicy, przypominając ubiegłe dawne czasy. Spędziłem w nim wtedy niejedną godzinę i bezwiednie przypominały się w nim i rzucały mi się przed oczy obrazy, tak znane mi z opowiadań słuchanych w dzieciństwie, jak to ojcowie nasi szli tymi samymi szlakami, którymi i my swoje drogi zaczynaliśmy.

I zdawało mi się nieraz, że z murów zamczysk powstawała, jak upiorne zjawisko, wielka postać magrabiiego Wielopolskiego, tego, który ojców naszych okrutnym był nieraz przeciwnikiem, zwalczającym, zresztą bezskutecznie, ich dążenia powstańcze. I zdawało mi się, że ta wielka twarz nalana patrzy na mnie, wodza nowych powstańców, wykrzywia się ku mnie jakimś złym uśmiechem i mówi tak, jak niegdyś ojcom naszym mówiła: Jacy wy mali!

Jak mała i jak nikoma była ta siła, którą rozporządzałem. Wydawać się mogło, że niepodobna, by tak mała siła wielkie skutki w dziejach Ojczyzny wyrzucić była w stanie. Ta chwila wahania, ta trudność spojrzenia naprzód z otuchą, z odwagą, z jakimś przekonaniem, że nie zginie się tylko marnie na tym wielkim pobojuwisku, który świat cały wtedy gotował, — ten ciężar duszy, który legł prawie na każdym z nas bardziej myślącym, pozostał mi żywym bardzo silnym wspomnieniem.

Wyciągnąłem wtedy z moich dalekich wspomnień, moje sybirskie przeżycia myśliwskie, gdy strzelbą się bawiłem, włócząc się po tajgach. Dla myśliwego ważna jest pora zórz. Powstają one wtedy, gdy słońce ma zejść i wtedy gdy słońce zagasza. Są zorze poranne i wieczorne. Ileż tych zórz czekałem

---

<sup>1)</sup> Zamek Wielopolskich stoi, ściśle biorąc, w miejscowości Mirów.



niecierpliwą myślą, ileż ich przeżyłem, przebiegając dalekie puszcze sybirskie. Dziwne są złudy, dziwne są uludy w grze światła i cieni, kładących się wtedy, gdy słońce znika, i wtedy, gdy wstaje. A tak te zorze poranne i wieczorne są do siebie podobne, tak gra światła jednakowo mówi, tak gra cieni jednakowo szepce. Uluda zórz wieczornych, uluda zórz porannych. Świat wówczas inaczej wygląda, bardziej tajemniczo. I pewności nie ma, czy to zorza wieczorna gaśnie, czy zorza poranna wstaje. Te same zjawiska w przyrodzie, te same światła, te same cienie. Pali się niebo, a nie ma słońca życiodajnego. Palą się światła szkarłatem i purpurą. Szepce przyroda o nowych rzeczach, które nastąpią. Jest jakby ta sama prawda zórz wieczornych i zórz porannych.

Wszystko, co słabe wśród stworzeń, wszystko, co niemocne, ucieka, chowa się od krwiożerczych przesładowców. Drapieżnicy nocy są inni, a inni drapieżnicy dnia. Inne ofiary zbierają i inaczej czynią swe rozprawy ze słabymi.

Słabe stworzenia wołają noc. Lepiej chowają się w ciemności, lepiej kryją się przed drapieżcami, lepiej unikają prawdy przemocy.

Ja, jako człowiek drapieżca, biegnący ze strzelbą, która prześciga lotnego ptaka swym pociskiem, a chyżością swego pocisku prześciga chyżość zwierząt — jako drapieżca wśród innych drapieżców siadałem nieraz zadumany nad wielką prawdą zórz wieczornych i zórz porannych. Nie ma słońca, a niebo się jednak pali, a światło istnieje. Złuda prawdy zórz porannych i zórz wieczornych, mieszcząca się w prawdzie cieni i w prawdzie światła.

Ileż tych zórz porannych i zórz wieczornych przeżyła również i ludzkość cała i nasza ojczyzna. Ileż ulud, ileż złud ludzkość przeżyła, gdy słońca nie było, a światłem niebo się paliło.

I gdy, idąc ku Kielcom, biegłem wspomnieniem ku naszej smutnej przeszłości, czułem zorzę wieczorną, co zachodzi z gaśnięciem dnia, noc dając wszystkiemu. I wspominałem ojców naszych i dziadów, którzy ongiś wiosnę swoją w zorzach przechodzili i chcieli wierzyć, że zorze, które okazały się wieczornymi, porannymi były.

Hen, gdzieś na rubieży istnienia Polski dawnej, wyrasta dziwnie wielkie imię. Imię, któremu kurhany stawiają, imię, które dziecku małemu powtarza się jako imię wielkie i znajome — imię Tadeusza Kościuszki. Słońce zapadło i skryło się na długo, a On i Jego ludzie nie chcieli wierzyć, że słońce zagasło. Swoją wielką wiosnę życia spędzili oni, jak my, gdy bez światła, bez słońca życiodajnego biegliśmy w dniach sierp-

niowych w uludę zorzy, która i dla nas mogła być tylko zorzą wieczorną, choć okazała się później, że była poranną.

Te same im, co nam, towarzyszyły zjawiska. Ta sama była prawda światła i prawda cieni. Tak samo jak ich — nas przeklinał rozsądek, tak samo jak Kościuszcze, nam rzucano w oczy oszczerstwa, tak samo jak ich — nas niemoc deptała i mieszała z błotem.

I raz po raz coraz to innym pokoleniom los jakby okrutny zapalał na naszym niebie zorze, by uludy i złudy rozsiewać.

Przyszedł rok 1812. Część Polski była wolną. Wielki człowiek nie nasz, lecz obcy — Napoleon wskrzeszał Polskę i szedł z ogromnym wojskiem przez nią jak długa i szeroka gdzieś na wschód — daleko. Palily się wtedy zorze szkarłatne na horyzoncie. Rozum nie chciał ich widzieć. A mimo to szli nasi pradziadowie walczyć i ginąć na Litwie i pod Moskwą. I znowu z tego okresu zostało wielkie imię, któremu obecnie pomniki stawiają, czyniąc go ojcem honoru i ojcem ojczyzny<sup>1)</sup>.

I przyszło nowe pokolenie i znowu zapaliły się zorze 1830 r. Pokolenie całe rzuciło się w wir wojny, w której klęskę poniosło. A zorze paliły się szkarłatnym rumieńcem na niebie, ludzie wierzyli w uludę zórz tak pięknych, tak rumianych. Szkarłatem barwiły się rabaty, szli do boju chłopcy, jak malowanie. A zorze były — wieczorne.

I znowu idzie nowe pokolenie. Znowu mamy w r. 1863 tę prawdę zórz wieczornych. Noc uludy zamiast słońca na horyzoncie naszym.

Ileż więc złud oszukańczych, ileż mamideł mieliśmy my już za sobą, gdy w dni sierpniowe 1914 r. ruszyliśmy szlakiem z Krakowa do Kielc. Świat cały stawał w stal zakuty, świat cały rzucał wtedy miliony prawd wojny — a my byliśmy tak mali. Powstawała dla nas uluda światła bardziej mglisto, niż ongiś. Szerzej kładły się cienie, a smugi światła były rzadsze. Garść zapomnianych ulud, siły za sobą nie mających. I w tym wahanii mamideł zórz wieczornych i porannych przeżyliśmy długie lata naszego życia.

Gdy nieraz porównuję pracę naszą z pracą naszych ojców i dziadów, mam zawsze pewne westchnienie zazdrości i poczucie tryumfu. Westchnienie zazdrości wyrzywa mi się dlatego, że my pracowaliśmy w znacznie chłodniejszej atmosferze, niż to było udziałem naszych ojców. Gdy suche cyfry przeliczyć, gdy naga i twardą prawdę sobie w oczy rzucić, to wiadomo, że udział Polaków w Legionach był procentowo znacznie mniej-

<sup>1)</sup> Mowa o ks. Józefie Poniatowskim.

szy, niż udział Polaków przy wszelkich innych próbach powstań w przeszłości. Chłodniejsza więc aura była dla nas, niż dla tych, co ongiś innymi szlakami biegli ku słońcu.

Gdy zmierzyć przestrzeń czasu, którą przetrzymać trzeba było, to znowu my mamy za sobą dłuższą Golgotę, niż oni. Tamte zapasy kończyły się w rok, w półtora — nasze trwały cztery długie lata. I zorza nasza paliła się na horyzoncie tak chwiejnie, tak mglisto nieraz, iż zdawało się, że ciemna noc zaraz nastąpić musi. Potwierdza to, co już mówiłem, że uluda i złuda była u nas większa, niż u tych, którzy, łudząc się, szli w noc niewoli.

Przeżyliśmy cztery długie lata męczarni, podczas których wszystko do nas mówiło: pozostaw nadzieję, pozostaw złudzenia. Gdy więc myślę o tym, jak my, zaczynając nowe osobiste życie, biegliśmy szlakiem kadrówki od Krakowa do Kielc, to stwierdzam prawdę dla mnie niezbitą:

Szliśmy szlakiem, którym szli ongiś ojcowie i dziadowie nasi, szliśmy, mając przed sobą, jak to teraz już wiemy, historyczne życie świetniejsze, niż oni, lecz mieliśmy zorze ciemniejsze, niż oni. I uluda cieni i światła w naszych zorzach gorzsy nam los wrożyła, niż ten, który był ich udziałem. Ludzić się mieli więcej oni prawo, niż my, panowie.

Tyle wspomnień nawiały na mnie Kielce. Pierwsze nasze kroki, pierwsze kroki wojny, niepewność losu, niepewność prawd, które nieśliśmy ze sobą.

Proszę pań i panów, oddałem dań prawdzie historycznej, którą mamy za sobą. Niech mi wolno będzie podnieść jeszcze inną stronę prawdy historycznej, związanej z nami i naszymi przeżyciami. W odczytach moich dotykałem często najrozmaitszych stron naszych przeżyć i naszych prawd, które nieśliśmy Polsce. Próbowałem oświetlić problem prawdy historycznej polskich Legionów w najrozmaitszy sposób. Dziś chcę dotknąć jednej prawdy, którą ledwie zarysowałem w dawnych moich odczytach o Legionach. Prawdy o odwadze myśli i odwadze metod pracy.

Gdy jakaś rzecz nowa się dzieje, rzecz nowa się staje, musi ona mieć przedtem myśl, która przeczy temu, co było. Dlatego jest nową, dlatego jest inną, niż te prawdy, które się przedtem wyznawało. I gdy się myśli o nowych prawdach, które zjawiały się na świecie nie tylko u nas, lecz wszędzie, zawsze przyjść trzeba do jednego i tego samego przekonania, że dla niesienia nowych rzeczy trzeba umieć odważnie myśleć, trzeba umieć przeskoczyć przez każdą przeszkodę myślową.

Myśl bowiem ludzka opiera się na tym, co jest. Jutro ma być podobne do wczoraj, wczoraj ma być tylko małą przeszłością naszego dzisiaj. Na tym polega przeciętna, codziennie wyznawana prawda. Chcąc mieć myśl nową, trzeba przeskoczyć przez te przeciętne prawdy. Do tego trzeba odwagi myśli. Napoleon, jeden z bardzo wielkich ludzi i myślicieli zarazem, twierdził, że sztuka łamania przeszkód jest bardzo prosta, a łamał on wielkie przeszkody w swoim życiu. Nie trzeba tylko — mówił on — uważać przeszkody za przeszkody. Ten sposób łamania przeszkód przez nieuważanie czegoś za przeszkodę, stanowi podstawę odwagi myśli.

I my, wnosząc nowe rzeczy w życie Polski, stając się nowatorami, musieliśmy mieć w sobie tę odwagę myśli dla przekraczania prawd istniejących w naszym środowisku, prawd powszechnie wyznawanych, prawd przeciętnych. Musieliśmy sobie powiedzieć, że nie będziemy uważali czegoś za przeszkody, by te przeszkody przeskoczyć. Była w nas ta odwaga myśli, która rozpoczyna życie inne, życie nowe

I jeżeli w naszej awantur girlandzie doszliśmy do tak niezwykłych wyników, to sędzę, że prócz odwagi myśli, prócz przeskakiwania przeszkód, których nie uważaliśmy za przeszkody, mieliśmy również i odważną pracę. Cztery nasze długie lata, przez które przeszliśmy, nim, pomimo złowróżebnych oznak na niebie i ziemi, ujrzeliśmy słońce wschodzące, miały za sobą odwagę nie tylko myśli, ale również i odwagę pracy. Bez tego nie moglibyśmy tych czterech lat przeżyć, nie moglibyśmy przetrwać wobec tylu przeszkód, które spotkaliśmy na drodze.

Mamy więc za sobą i odwagę myśli i odwagę pracy — czynniki, które dają zawsze nowe życie, nowy sposób ujęcia prawd ludzkich, dotąd wyznawanych. Z prawdziwą przyjemnością stwierdzą zawsze tę naszą odwagę myśli i odwagę pracy wszyscy, którzy z nami w historii do czynienia będą mieli. Nielatwo bowiem było przejść tę pracę, którą przechodziliśmy. Stawiano nam przeszkody zewsząd. Stawiali nam je swoi i obcy. Stawiało nam je życie na każdym kroku. Żyliśmy bowiem w chwilach ciężkich zmagania się dziejowych, przy których utracić głowę jest bardzo łatwo. Przetrwać cztery lata w tym zmaganiu się było rzeczą niełatwą i trzeba było mieć dużą odwagę metody pracy, żeby to uczynić.

Tworzyliśmy więc nowe prawdy, odważnie myśląc i odważnie pracując. Tą syntezą, moi panowie, nieraz bawiłem się, gdy myślałem o swojej i waszej przeszłości. Bawiłem się zaś nie dla czego innego, jak tylko dlatego, że żyliśmy i ży-



jemy w pokoleniu, które odwagę myśli i odwagę pracy mało ceni. Społeczeństwo, wychowane w prawdzie niewoli, gdzie odwagę karano zewsząd, społeczeństwo, które po długo i ciężko nabytym doświadczeniu nie chciało wierzyć w żadne zorze i czyniło prawdę nocy stałą i nieustanną — to społeczeństwo zatraciło bardzo silnie odwagę myśli i odwagę pracy.

Jeżeli powrócę do swoich wspomnień myśliwskich, to powiedziałbym, że społeczeństwo polskie przypominało mi zawsze kacze towarzystwo, zbierające się w rodzinnym błotku. Kaczki, jak wiadomo, przelatują w czasie zórz. W ciągu dnia siedzą w jednym miejscu w obawie przed drapieżnikami dziennymi. A że kaczki są żarłoczne, więc wyjadają koło siebie prawie wszystko i czekają z niecierpliwością nadejścia zórz, by przelecieć na inne miejsce i znaleźć nowe pożywienie.

Siedząc podczas zórz na zasadzce w oczekiwaniu przelotu ptaków, wyobrażałem sobie zawsze, że napewno w rodzinnym błotku kaczki gdakają nie w inny sposób, a w taki: «Wylecieć trzeba ani za wcześnie, ani za późno, a akurat w swojej porze. Ten, kto wyleci wcześnie, zginąć niechybnie musi. Dlatego też lepiej zawsze jest czekać».

Oto rozum stanu, najmądrzejsza prawda, jaka istnieć może. W ten sposób zachowuje się i drogocenne życie i prawdy rozumne tryumfują. I gdy jakaś niecierpliwa kaczka czy kaczor rozwijał skrzydła, bo nie mógł już wysiedzieć, gdały inne kaczki poważnie: «Zginie, na pewno zginie, wyleciał za wcześnie».

Ta prawda, do której dochodziłem, myśląc o społeczeństwie polskim hen, jeszcze kiedyś na Syberii, trwało we mnie ściśle, nieuchronnie i nieodwołalnie podczas mego całego długiego życia. Szła ona za mną wiernie krok w krok po szlakach kadrówki, spotkała ona mnie w Kielcach, jak w innych grodach Polski, gdy razem z Legionami wędrowałem po niej, jak szeroka i długa. Wierna towarzyszka myśli, wierna towarzyszka pracy mojej i waszej.

Gdały o nas poważne kaczozy, gdały poważne kaczki, kiwając smutnie głowami i ucząc młode kacząta, żeby nie szły w ślady tych półrozumnych ludzi. W błocie brakowało pożywienia, nie przeszkadzało to jednak nigdy gdakać dalej.

Prawda ta, wychowana przez długie okresy niewoli, przez niemoc wewnętrzną, którą społeczeństwo polskie przeżywać musiało w niewoli — prawda nocy, gdy słabe stworzenia boją się silniejszych, — prawda ucieczki od dnia, od jasnego słońca, gdyż na niebie był drapieżnik, dwugłowy ptak o olbrzymiej mocy szponów i dzioba, — prawda niemocy i słabości była



zawsze tchórzliwą. Nie starała się nawet odwagi myśli i pracy zdobywać, szukając nieraz potępienia dla tych, co odważnie myślą lub odważnie pracują.

Gdy więc, moi panowie, przebyliśmy drogę, odważnie myśląc i odważnie pracując, wylatując akurat zawczasie, a nie za późno, czyniąc wszystko wbrew prawdom, które wyznawano, i gdy przeżyliśmy dotychczas dobrych kilka lat Polski — to chciałbym na naszym przykładzie stwierdzić, że nie zawsze prawda odważnej myśli i odważnej pracy kończy się tak źle, jak ludzie w Polsce przypuszczają. Skończyła się ona bowiem, jak to panowie doskonale wiecie, dla wielkiej ilości legionistów względnie bardzo dobrze. Choć przyzwyczajeni jesteście do skarg, do utyskiwania na los i na wszystko, bo do tego nawykliście podczas legionowego życia, nie możecie nie stwierdzić, że jednak przez wejście do Legionów osiągnęliście względnie bardzo dużo.

Nasz przykład prawdy o odważnych myślą, o tych, którzy wchodzili w zorze pomimo złud wielkich przez ojców naszych i dziadów przeżytych, o tych, którzy potrafili w zorzach wieczornych szukać światła, a zorze poranne przejść z odważną pracą — jest dowodem i stwierdzeniem dla wszystkich, że odważnie myśleć i odważnie pracować jest nieraz lepiej, niż gdać w błotku.

## PRZEMÓWIENIE W NIEŚWIEŻU

(25 października 1926 r.)

*W czasie wyprawy kijowskiej w bitwie z bolszewikami pod Malinem poległ dnia 28 kwietnia 1920 r. mjr. Stanisław Radziwiłł, adiutant Naczelnego Wodza.*

*Dnia 25 października 1926 r. odbyła się w Nieświeżu uroczystość dekorowania przez Piłsudskiego sarkofagu mjr. Radziwiłła złotym krzyżem «Virtuti militari».*

*Po tej uroczystości Albrecht Radziwiłł na obiedzie wydanym przez siebie na zamku w Nieświeżu wygłosił toast na cześć Piłsudskiego. W odpowiedzi Piłsudski wygłosił niżej przytoczone przemówienie.*

*Podajemy je według «Czasu» z dn. 29 października 1926 r.*

Stare to zameczysko mówi nam, jak śmierć i życie spletały się z sobą w pracy nad tymi murami. Miałem adiutanta, który z tego pochodził gniazda, i niewątpliwie duch Stanisława

Radziwiłła jest z nami, gdy tu bawi jego Wódz Naczelny. Ani mnie to przeraża, ani dziwi. Dziś chcę jego wspomnieć nie jako umarłego, lecz jako żywego. Rycerska prawda tego domu uosiobiła się w nim. Duma wielkiego domu, który tak dawno przeszłości naszej służył, zlały się w nim z wierną i twardą służbą żołnierza. Dom Radziwiłłów dał nam w przeszłości szereg ludzi, co w służbie państwa zasłynęli czy na polach bitew, czy w radach senatorów.

Piję dziś nie za pamięć o poległym, gdyż wierzę, że pamięć o nim żywa będzie wśród panów, lecz dziękując, wrzucony przemówieniami poprzedników, toast ten wznoszę za ród Radziwiłłów, goszczący mnie dziś, by pozostał równie wieczny, jak te stare mury Nieświeża...

### PRZEMÓWIENIE PRZEZ RADIO W ÓSMĄ ROCZNICĘ ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

(11 listopada 1926 r.)

*W związku z obchodem ósmej rocznicy odzyskania niepodległości wygłosił Piłsudski dnia 11 listopada 1926 r. przez radio niżej przytoczone przemówienie o cudownych przemianach zaszłych między latami niewoli a czasem odzyskania wolności i o błogosławionych skutkach, gdy ze «wskrzeszeniem ciała» i «odrodzeniem duszy» następuje.*

*Tekst podajemy według «Głosu Prawdy» z dn. 12 listopada 1926 r., który ogłosił przemówienie według stenogramu dostarczonego pismom przez wydział prasowy «Polskiego Radia».*

Siedzą przy mnie dwa dzieciaki, dzieciaki miłe, i proszą o bajkę. Dlatego też powiem paniom i panom bajkę dla dzieci i dla dorosłych. «Tyle szczęścia, co jest we śnie, tyle prawdy, co jest w pieśni»<sup>1)</sup>. Tak pan jakiś pisał, z panów jeden taki był, co pisał, a my, co czytamy, niekiedy mu wierzymy, a niekiedy nie. Ale za to dziś prawdę powtarzam, «bo są czary i są dziwy, byle ktoś tam był szczęśliwy».

<sup>1)</sup> Jest to trochę zmieniony cytat z «Pieśni o ziemi naszej» Wincentego Pola. Oryginalne brzmienie jest następujące:

«Tyle szczęścia, co człek prześni,  
Tyle życia, co jest w pieśni».

Razu pewnego zobaczyłem gromadkę dzieci, schyloną i skurczoną nad jakimś przedmiotem. Patrzyłem zdumiony, co na brudnym, śmietnistym podwórzu one widzieć mogły, i dojrzałem małą żabkę. Żabka, w błocie utyłana, zabrudzona, w piachu wywalana, skakała niezgrabnie na długich nogach i wylupiastymi oczkami łyskała na dzieci. Zapytałem dzieciaka — na co wy tu patrzycie? Na to mi jeden chłopak odpowiedział, że przecież była taka żabka na świecie, co — on sam o tym czytał — na śmietniku skakała, a nagle przez czary i dziwy wyjechała złocista karetą — ogromna karetą, w sześć rumaków wielkich zaprzężona. Sześciu wielkich hajduków pod uzdy rumaków trzyma, a z karety wysiadają panie, strojne nad wyraz! Panie pudła z karety wyjmują i, o czary! i, o dziwy! — z żabki robi się nagle cud dziewica, cud dziewczyna — o przepięknych oczkach i liczku! Tylko łachmanami przedartymi się chroni, zziębnięte ciało gołe przez dziury świeci i oczy ma cudne i piękne liczka. Z żaby, zatyłanej, w błocie uwalanej, tak piękna dziewczyna wyskoczyła z karety, a panie, strojne nad wyraz, niosą koszulkę białą, koszulkę cienką — jedwab najlepszy. Za koszulką idą pantaloniki, falbanki strojne, piękne, ładne falbaneczki, a gorsecik, co jej na piersi zawiązują, taki jest barwny, taki ładny — sznurki jedwabne...

Dziewczyna sama sobie się przypatruje i dziwi się. A suknia, w którą ją przybierają, w białe perelki, róże, przeszzyta złotem, srebrem, świeci. Piękna dziewczyna patrzy na nóżki. A na nóżki idą już pończoszki śnieżno-białe i ciepłe, a tak ładne, że nóżki, czerwone od chłodu, w biały marmur się zamieniają, by pięknie przeświecać przez śliczne pończoszki. Ale co tam pończoszki! Kiedy wreszcie przynoszą pantofelki, nad białość białe, nad puchy miększe, cieniutkie, i jej na małe nóżki chłodne wdziewają! Żabę brudną, na dziewczynę cudną przez czary zmienioną, wsadzają do karety i jedzie ona na białe, na wielkie pałace i sale. W pałacach i salach posadzki świecą, jak lustra, i w lustrze takim dziewczyna cudnej swej piękności się przygląda, a złe dziewczęta, z zazdrości żółkłe, gwarzą i szepczą o niej, jako o złej i przewrotnej dziewczusce. A panie złe i macochy złe rzeczy do ucha sobie szepczą. Są więc czary i dziwy, kiedy dziewczę jest szczęśliwe. Powiadają, że bajek na świecie nie ma!...

Tak mi chłopak mówił i czekał, żeby z żabki cud dziewczyna wyskoczyła i karoca na śmietnisko zjechała. Sam nie wiem, czy to bajki prawdziwe, ale, że są czary i dziwy, kiedy ktoś jest bardzo szczęśliwy, to jest prawdą. To ja sam na wła-

sne uszy słyshałem, na własne oczy widziałem, własnymi palcami dotykałem takich czarów i dziwów, że doprawdy aż opowiadać strach. Prawda, że może nikt z nas miłego dzieciaka nie widział, któryby nagle, po lesie biegając, poziomki zbierając, zobaczył las z pierników i pierniki, jak gałązki, oblamując, do ust wkładał. A któż dziecko widział, które nagle, skacząc na jednej nóżce, w ogrodzie zaczarowanym się znalazło i widziało na gałęziach czar-ptaki, wesoło szczebioczące i wesoło pomiędzy sobą mówiące? A któż miłą dziewczuskę widział, która w ogrodzie zaczarowanym się znalazła? Tutaj widziała, jak grucha sama jej do buzi idzie, by sok z niej wyssała, a rumiane jabłuszka do kieszonki spadały jej same z gałęzi. Ja zaś wierzę, że taka dziewczuszka gdzieś istnieje, że takie chłopaki żabki ładne oglądają, gdy w cud dziewicę się zmieniają, bo są czary i dziwy, kiedy dziewczę jest szczęśliwe, bo są czary i dziwy, kiedy chłopak jest szczęśliwy. Ja własnymi uszami słyshałem, palcami dotykałem i widziałem czar nad czary, cud nad cudy i o tym wam opowiem.

Był kiedyś listopadowy dzień, jasny, kiedyś roczków niewiele, a działy się wtedy czary i działy się dziwy. Na drodze błotnistej, w błoto wszędzie zawalanej, ciągnie szary, krótki i niedługi — wąż szary chłopaków i chłopców.

Tak samo, jak ta żabka niezgrabna, skacząc szli, zmęczeni, przytupując niekiedy zmarzniętymi nóżkami, po drodze błotnistej, szarej i wilgotnej. Biedne chłopaki, biedni chłopcy! Przytuleni do siebie, drżeli z zimna, oczki ich były niewyspane, po nocy ciężkiej i ciężkich dniach wielu. Nogi zmoczone w trzewikach podartych, w błocie utyflanych, szli, tuląc się często do ziemi, by choć na chwilę przykucnąć i przez chwilę odpocząć. Szli, ciągnęli w dzień 11 listopada, hen! gdzieś pod mury Krakowa<sup>1)</sup>. Na czele ich jechał chłopak inny, jechał na młodej kasztance z łysą głową. Kasztanka, córa pól i łąków, zalotnie szła w miasto, skąd przyszli biedne chłopaki, w błocie utyflani, w łachmany odziani, skąd przyszli chłopcy, co na grzbietach kubraki zawieszane, zapaskudzone insektami, w koszulach brudnych, jak ziemia sama, szli do miasta. Jakąż przeszli oni ciężką dolę! Szli noc całą, tak, że śmierć im wszędzie w oczy zaglądała. Szli przez bramy śmierci, przez wrota jej ciasne i duszne, szły biedne chłopaki, czując śmierć za sobą.

A prowadził ich chłopak inny, idąc z nimi po błocie w wozach ciemnych, przez lasy ciemniejsze od ciemności. A gdy

---

<sup>1)</sup> Mowa o marszu legionistów spod Uliny do Krakowa w dniu 10 listopada 1914 r. Por. t. IV, str. 248—305.

księżyc z za chmury na nich wyglądał, wydawało się tylko, że to blask kosa śmierci w oczy im błyska. A nieprzyjaciół, co na nich czyhali, śmierć im niosąc, było bez liku, było bardzo wielu. Szli biedni chłopcy i biedne chłopaki, do ziemi przyciśnięci, brudni i zawszeni, podarci i obdarci, jak żebraki, szli, tęskniąc do murów Krakowa, gdzie o schronieniu tylko i o spoczynku marzyli. Biedni chłopcy, biedne chłopaki, tak, jak owa żabka, po brzegach śmietniska niezgrabnie skakali. A na czele ich jechał chłopak inny, jechał na ładnej wiejskiej klaczy, co w złocie słońca złotym włosom lśniła. Klacz szła zalotnie do miasta i kiwa im na wszystkie strony. Lecz miasto złym okiem wiejską klacz spotkało. Gdy wchodziła już w pierwsze domy miasta, z góry pędziło straszdyło-auto, hucząc i sycząc, łomocąc bruki miejskie puste i próżne, tak, jak puste i próżne główki bywają i łomocą i krzyczą swą prostotą.

I klacz wiejska na zadzie przysiadła, nogami brykała. Prychać nozdrzami ze strachu zaczęła, a ów chłopak uspakał ją głaskaniem i batem i zaczął mówić jej o czarach i o dziwach. «Poczekaj, kasztanko, nie tutaj będziesz, w stolicę wejdiesz, w bruki jej kopytami zadzwonisz, lud mnogi patrzeć na cię będzie. Na twoją szyję ładną i na twój złoty włos!... Nie bój się, kasztanko! Próżny strach twój tutaj!...» I nie wiem i wam nie powiem, dlaczego to tak było, lecz są czary i dziwy, kiedy chłopak jest szczęśliwy. Czy to na wieżach marjackich, koroną zdobnych, są czarowne słowa, czy hejnały, co godziny liczą, może w dźwiękach zaczarowane mają, czy w wielkim dzwonie Zygmunta, co na Polskę sercem bije, jest siła czarowna, czy w podziemiach Wawelu króle, śpiący snem wiecznym, czary w ustach mają, czy w trumnie Kościuszki, czy w wielkiej trumnie Mickiewicza głosy w spiżę czarów biją, nie wiem i nie powiem. Lecz są czary i dziwy, kiedy chłopak jest szczęśliwy!...

Więc minęło roczków niewiele, latek niedużo, dzień goni dzień, noc nockę prześciga, przyszedł znowu listopada dzień 11 — patrzy znowu kasztanka ta sama, łysym łbem kiwa, a świat zaczarowany przed jej oczami się przesuwa. W stolicy bruki pod kopytami jej dzwonią i wszystko zupełnie inaczej wygląda. Czar nad czary i dziw nad dziwy! Kasztanka idzie, łbem łysym kiwa i wciąż się dziwi, gdzie chłopiec szary i brudny, gdzie pan mój zawszony? I, łbem kiwnąwszy, sięga do swego pana. Ten sam — ten samiuteńki, lecz cóż się z nim dzieje? Patrzcie, jaki zmieniony! Na piersi gwiazd tyle, ile państw liczy świat. Na piersi wstęga, co kolorem nieba i za-



łoby o zwycięstwach mówi w wielkiej wojnie i do niebios o zwycięstwie krzyczy <sup>1)</sup>. Grzmia bębny warkotem okrutnym. Brzmią trąby mosiężne krzykiem, wołając żołnierzy. Idzie lud zbrojny, idzie twarda w zbrojach piechota, hełmy na nich stalowe, świecą lufy żelazne, idą krokiem twardym, miarowym, idą po zwycięstwo. Za nimi, w spiżę zamknięte, ciężko i twardo idą armaty. Wśród ognia szły konie, prężąc ciała, wielkich armat ciężkie koła bruki przebijają, aż szyby się trzęsą. Za nimi malowane ułany nad ułany! Jedni idą konni, drudzy spieszeni, a trąby mosiężne i warkot bębnów, fanfar odgłosy o zwycięstwie mówią. Świat cały jest zaczarowany! Kasztanka łbem kiwa i wciąż się dziwi, bo są czary, bo są dziwy, kiedy chłopak jest szczęśliwy. Świat zaczarowany, przemiany ogromne, skąd idą? dokąd płyną? czy z bajek i czarów? czy z czego innego?

Panie i panowie, którzy mnie słuchacie, pozwólcie, bym skończył, bo czas już upływa, bym skończył życzeniem na dzień 11 listopada przyszłego roku. Nie wiem, panie i panowie, jak powita nas 11 listopada w przyszłym roku. Może nam szyby deseniemi szronu przesłoni i śniegiem przyprószy dachy i ulice miasta. Wiemy, że gdy przy wskrzeszeniu ciała i duszy odrodzenie się odbywa, ciepłem od zimna się schronimy. Może listopad przywita nas wicherą, wiewem wiatru, co w szyby dzwoni i w kominach jęczy, co o śmierci mówi i o strachach krzyczy — wiem, że wskrzeszenie ciała z odrodzeniem duszy siłę i piękno w jedno razem zwije. Wichury złamiemy i tarczę ochronną przeciw wiatrowi znajdziemy. I nie wiem, panowie, być może w wilgotny dzień jesienny, z chłodem przenikliwym wilgoci dzień 11 listopada nam rzuci. I wtedy też z wskrzeszeniem ciała, z duszy odrodzeniem ciepło wewnętrzne znajdziemy, co wilgoć i zarazę zdusi. A może uśmiechnie się tak, jak uśmiechało się w czarownym dniu 11 listopada 1918 roku? I słońko jesiennie lica przygrzeje i wiatr łagodny w twarz chłodzić będzie i wtedy z duszy odrodzeniem znajdziemy wspólny uśmiech szczęścia z bytowania z duszą wielką i odrodzoną. Życzę paniom tego i panom i miłym dzieciom...

Do widzenia państwu!...

---

<sup>1)</sup> Mowa o wstędze orderu «Virtuti Militari», która ma dwa kolory: czarny i błękitny.

**PRZEMÓWIENIE NA POSIEDZENIU SEJMOWEJ  
KOMISJI BUDŻETOWEJ**

(15 grudnia 1926 r.)

Walka parlamentu z rządami pomajowymi miała wówczas dwie formy. Pierwsza to uchwalenie votum nieufności poszczególnym ministrom. Druga to tendencyjne zmniejszanie budżetu. W myśl pierwszej taktyki Sejm dnia 24 września 1926 r. uchwalił votum nieufności dwom ministrom gabinetu Bartla: ministrowi spraw wewnętrznych Młodzianowskiemu i ministrowi oświaty Sujkowskiemu. Rząd Bartla podał się wskutek tego do dymisji, ale Prezydent Mościcki zamianował dnia 27 września 1926 r. rząd Bartla w jego poprzednim składzie. Wtedy parlament uciekł się do drugiej taktyki. Senat przy uchwalaniu prowizorium budżetowego na czwarty kwartał 1926 r. zmniejszył dnia 28 września 1926 r. budżet o 34 milionów, co akceptował Sejm dnia 30 września 1926 r. Na skutek tego gabinet Bartla podał się do dymisji a Prezydent Mościcki mianował dnia 2 października rząd Piłsudskiego, który tego samego dnia zamknął zwyczajną sesję Sejmu na dni trzydzieści. Spór o formę otwarcia nowej sesji spowodował opóźnienie otwarcia sesji Sejmu. Otwarcie jej nastąpiło dnia 13 listopada 1926 r. na Zamku. Sejm dnia 15 grudnia 1926 r. na rannym swym posiedzeniu uchwalił w trzecim czytaniu prowizorium budżetowe na pierwszy kwartał 1927 r. w brzmieniu rządowym. Sejm odstąpił od swej taktyki obcinania sum w prowizoriach budżetowych. Na skutek tego faktu Piłsudski tego samego dnia, wziął w charakterze Ministra Spraw Wojskowych udział w posiedzeniu sejmowej komisji budżetowej, na którego porządku dziennym była debata nad budżetem Ministerstwa Spraw Wojskowych na rok 1927/28. Wzięcie przez Piłsudskiego udziału w debatach sejmowej komisji budżetowej było wtedy z jego strony próbą nawiązania pewnej współpracy rządu z sejmem.

W niżej przytoczonym przemówieniu Piłsudski poruszył następujące zagadnienia: 1) trudność racjonalnego gospodarowania w wojsku przy ówczesnym systemie wyznaczania wszystkim resortom co miesiąc sum na ich wydatki, 2) sprawę rezerwy zaopatrzenia, 3) sprawę przerosłu administracji w wojsku, 4) sprawę skrócenia czasu służby wojskowej i łączącą się z tą sprawą kwestię przysposobienia wojskowego, 5) sprawę usunięcia pośrednictwa przy dostawach.

Posiedzenie komisji budżetowej pod przewodnictwem posła Rymara rozpoczęło się o godz. 16,30 referatem posła Kościalkowskiego. W trakcie referatu około godziny 19-tej przybył Piłsudski. Po godzinie obrad nastąpiła przerwa do godz. 21,30. O tej godzinie przybył Piłsudski drugi raz do sejmu, wysłuchał końca referatu posła Kościalkowskiego i przemówień dyrektora departamentu Najwyższej Izby

*Kontroli Rogozińskiego, posłów Michalskiego, Liebermana, Polakiewicza, Czertwertyńskiego po czym wygłosił niżej przytoczone przemówienie, które podajemy według «Polski Zbrojnej» z dnia 16 grudnia 1926 r., dokonując kilku zmian w tekście na podstawie urzędowego protokołu z posiedzenia sejmowej komisji budżetowej z dnia 15 grudnia 1926 r.*

Poruszono tu sprawę stosunku Korpusu Kontrolerów Ministerstwa Spraw Wojskowych do kontroli państwowej<sup>1)</sup>. Nie pisałem ustawy o tej kontroli<sup>2)</sup>, zresztą cała kontrola tyczy się roku 1925, co mnie obchodzi inaczej, niż panów<sup>3)</sup>. Mnie w kontroli za r. 1925 obchodziła tylko kwestia, dlaczego ja mam być obciążony deficytem 65 milionów, co stanowi poważną ujmę w całej gospodarce wojskowej<sup>4)</sup>.

Poruszę dwie rzeczy najważniejsze. Pierwszą jest budżet wojskowy i sposób wydatkowania miesięczny w porównaniu z budżetem, pisanym na rok, a nawet na pięć lat, jak niektórzy panowie twierdzili<sup>5)</sup>. Okazuje się zawsze taka dzika sprzeczność, gdy wydatki miesięczne porówna się z jakimkolwiek planem rocznym, a coś dopiero pięcioletnim, że wydaje mi się po prostu fikcją trzymanie się jakiegokolwiek planu.

Nieraz w dyskusjach zwracałem uwagę na to, że należałoby dojść chociaż do kwartalnego obliczenia, a nie mieć całej biedy, związanej z wydatkami miesięcznymi. Jeżeli na innych resortach nie odbija się to tak silnie, jak na wojskowym, to jest wynikiem tej prawdy niezbitej, że inne mają przeważnie tylko gaże, gdy wojsko ma bardzo skomplikowaną gospodarkę, związaną z wyżywieniem, ubraniem, mieszkaniem ludzi. Ta gospodarka cierpi bardzo, gdy musimy się liczyć tylko z wydatkami miesięcznymi.

<sup>1)</sup> Z referatu pos. Kościalkowskiego dyr. dep. Najwyższej Izby Kontroli, pos. Lieberman, pos. Czertwertyński i pos. Michalski wynieśli wrażenie, że pragnął on ograniczenia zakresu działania Najwyższej Izby Kontroli w stosunku do wojska na rzecz «Korpusu Kontrolerów» (instytucji, która sprawowała kontrolę gospodarki w wojsku w imieniu Ministra Spraw Wojskowych) — i przeciw temu w dyskusji protestowali.

<sup>2)</sup> Instytucja «Najwyższej Izby Kontroli» powstała drogą ustawy, uchwalonej przez Sejm Ustawodawczy dnia 3 czerwca 1921 r.

<sup>3)</sup> W r. 1925 Piłsudski nie pełnił żadnej funkcji w wojsku.

<sup>4)</sup> Mowa najprawdopodobniej o zmniejszeniu wydatków Ministerstwa Spraw Wojskowych w r. 1925 o sumę 65 mil. 191 tys., specjalnie z budżetu wydatków nadzwyczajnych (budowle, fortyfikacje, rezerwa zaopatrzenia).

<sup>5)</sup> Odnosi się to do wyrażenia pos. Czertwertyńskiego, który w debacie powiedział: «W sztabie generalnym był opracowany i ukończony projekt zaopatrzenia rezerw do 1930 r. Należy stworzyć te rezerwy przez zagwarantowanie tego w ustawie skarbowej w ciągu kilku lat».

Dzięki poprawieniu się ogólnej sytuacji finansowej wojsko teraz mniej cierpi. Jak referent podniósł, przy terażniejszej gospodarce znacznie mniejsza ilość pieniędzy zostaje dla skarbu z tytułu niewydania. Dzieje się to dlatego, że wydałem rozkaz wydawać wszystko, choćby na złość, żeby nie oddawać skarbowi z powrotem<sup>1)</sup>, a po drugie dlatego, że — jak powiedziałem — ogólna sytuacja finansowa się poprawiła i można liczyć choć nie na pewno, że miesięczny wydatek będzie przynajmniej taki sam, jak poprzedniego miesiąca.

Jest to nieszczęściem całego naszego budżetowania, a zwłaszcza nieszczęściem dla wojska, że budżet roczny staje się zwykle fikcyjnym, gdyż trudno sobie powiedzieć zawczasu, jak za 12 miesięcy będzie wyglądał odcinek miesięczny. Ja twierdziłem zawsze, że z ogólnego planu budżetowego zostają tylko jakieś urywki ogólne, jakieś ogólne prawdy, które jednak nie są dostatecznymi wytycznymi dla trzymywania się ściśle nawet budżetu rocznego, a cóż dopiero jakichś planów na dalszą metę. Jest to ogólna nasza wada, wprowadzona nie przez rząd, który ja tu reprezentuję, ale, zdaje mi się, że to był poseł Michalski<sup>2)</sup>. Pan dostatecznie działał przeciw wojsku, ja się temu przyglądałem. Ale zostało to odziedziczone przez nasz rząd i stanowi jedno z przekleństw gospodarki wojskowej. Jeżeli dodamy do tego stały, nagły wzrost cen, który czyni każdy budżet nierealnym, to musicie panowie przyznać, że nie znajdziecie żadnego administratora, któryby nie był zmuszony do ciągłego łatania sytuacji.

Jeżeli np. weźmiemy budownictwo, to jest ono po prostu klęską, gdyż żaden inżynier ani budowniczy nie może budować domu, nie będąc pewnym, czy nazajutrz nie zatrzyma roboty. Wskutek obcinania oszczędnościowego rozmaitych budżetów cierpi specjalnie budownictwo. Dlatego dziś nie ma mowy o jakimś planie budowniczym dla żadnego działu. Byłoby to fikcją, o której można pisać i mówić, ale której nie można wykonać. Dlatego mamy gmachy, podprowadzone pod dach, które jednak stoją niedokończone, stają się ruiną, wskutek opadu deszczów i śniegów procent ich wartości coraz bardziej maleje.

Przy takim nieszczęsnym budżetowaniu odbija się to szczególnie na funkcjach wojskowych. Zawsze krytycznie od-

---

<sup>1)</sup> Istniały wtedy rozporządzenia, że miesięczne kwoty przeznaczone poszczególnym resortom na wydatki, o ile nie zostały do końca miesiąca wydane, musiały być zwracane Ministerstwu Skarbu.

<sup>2)</sup> Jerzy Michalski był ministrem skarbu od 26 września 1921 r. do 6 czerwca 1922 r.

noszę się do administracji wojskowej, ale muszę uwzględnić te trudności, które mają ci ludzie, zmuszeni wykręcać się, jak pi-skorz, z nieszczęścia miesięcznych budżetów, a tym bardziej, proszę księcia, nie można się trzymać planów pięcioletnich <sup>1)</sup>.

Historia pracy wojskowej uczy, że system oszczędnościowy, który był czy to skutkiem inflacji czy drożyzny, dotykał głównie trzech rzeczy: budownictwa, które obcinano, koni, które stanowią najdroższy element w wojsku dla przekarmienia, a których liczby zmniejszono bardzo znacznie, a wreszcie rezerwy zaopatrzenia, a to dlatego, że była umieszczona w nadzwyczajnych wydatkach.

Ja kazałem to pomieścić w wydatkach zwyczajnych dla uniknięcia ścinania w mechaniczny sposób. Chcę jednak powiedzieć w sprawie rezerwy zaopatrzenia, że mam tu pewne specjalne wahania i wątpliwości, czy ta rezerwa jest głównym momentem, który nam jest potrzebny, jeżeli ją pojmiemy w ten sposób, że magazyny powinny być zapełnione, a obliczone w stosunku do rozbudowy wojska na 10 czy 12 lat na-przód.

Już kiedy pracowałem na placu Saskim <sup>2)</sup>, z pewnym sceptycyzmem patrzałem na usilne starania zrobienia planu na szereg lat w stosunku do wojska, nie dlatego, że to się tyczy Polski, ale dlatego, że sposób prowadzenia wojsk w ogóle musi podlegać rewizji. Poród nowych koncepcyj jest bardzo ciężki i powolny, a tymczasem obciążenie teoretyczne dąży do tego, aby wojsko budować na wzór tego, co było przed r. 1914, i to nie tylko dlatego, że ten wzór istnieje jeszcze i myśmy się do niego przyzwyczaili, ale i z tego powodu, że we wszystkich państwach, a także i u nas, wielkim ciężarem jest masa oficerów, którzy do czego innego nie są zdadni, jak do pracy według wzorów z przed r. 1914, i którzy ciążą na budżecie w bardzo silny sposób. Tak samo dzieje się u naszego sąsiada zachodniego i we Francji, a najmniej może w Anglii, która umiała z tego wybrnąć cesarskimi cięciami <sup>3)</sup>.

Nowy system rodzi się bardzo powoli. Podniesiono tu

---

<sup>1)</sup> Pos. Czetwertyński według protokołu z tego posiedzenia powiedział w tym miejscu: «Ja to odnosilem do nadzwyczajnych wydatków».

<sup>2)</sup> Odnosi się to do pracy Piłsudskiego w roli szefa sztabu generalnego od 16. XII. 1922 r. do 26. V. 1923 r.

<sup>3)</sup> Najprawdopodobniej mowa o demobilizacji przeprowadzonej po wojnie w Anglii w bardzo szybkim tempie, przy czym oficerowie rezerwy, którzy dosłużyli się wysokich stopni na wojnie, znaleźli się chwilowo na bruku.



sytuację polityczną<sup>1)</sup>, na którą ja zapatruję się nie tak pesymistycznie, jak panowie. Ale faktem jest, że wojsko dotąd nie zostało skasowane i wszędzie istnieje, a więc tym bardziej powinno istnieć w Polsce, która przez nikogo nie jest gwarantowana i w wielkiej części jest pozostawiona samej sobie. Przeróbka pracy wojskowej nie da się dokonać w sposób taki, jaki proponował pan poseł Lieberman, który mógł spokojnie powiedzieć, że nasz budżet wojskowy jest zbyt jednostronny i powinien uwzględnić także mobilizację moralną i materialną całego narodu na wypadek wojny i dlatego należy budżet wojskowy zmniejszyć<sup>2)</sup>. Tak patrzeć na pracę wojska nie wolno, dopóki się ma wojsko. Co innego, jak wojsko się usuwa. Dopóki istnieje, trzeba się starać, aby było jako tako dobre, i wtedy trzeba na wojsko płacić.

Więc sądziłem, że rezerwa zaopatrzenia, to jest zapelnienie magazynów, któreby zaopatrzyły armię w dostateczne ilości w razie wybuchu wojny, lecz przy tej sumie doświadczeń, które zostały zrobione do dzisiejszego dnia, nie da się tego nigdy osiągnąć bez nagłego wkładu większych pieniędzy. Dlatego szukałem sposobu przerwania ciężaru na inne prace, zabezpieczające pod tym względem przynajmniej pierwsze dni jakiegos konflikty zbrojnego, do którego byśmy przez nieszcześnie może kiedykolwiek doszli. W stosunku do rezerwy zaopatrzenia odnoszę się nieco bardziej sceptycznie, niż poprzednio, ze względu na doświadczenia tyłu lat, gdyż zawsze je obcinano i rezerwa ta była kozłem ofiarnym, nad którym znęcali się panowie, a także z musu ten czy inny minister spraw wojskowych. Gdyby panowie zgodzili się na zdanie posła Czetwertyńskiego, aby to nie podlegało «virement» na następny rok, nie mam nic przeciwko temu, sądzę jednak, że

---

<sup>1)</sup> Pos. Polakiewicz mówił na tym posiedzeniu, że «duch Locarna znikł, położenie międzynarodowe znacznie się pogorszyło».

<sup>2)</sup> Pos. Lieberman według protokołu mówił na tym posiedzeniu: «przecież w nowoczesnej wojnie bierze udział cały naród i względy moralne i materialne grają tu wielką rolę. Nasze położenie ekonomiczne nie pozwala nam na tak wysoki, bo dochodzący do 35% całego budżetu, budżet wojskowy. Oczywiście zrozumiałe jest, że wielkość naszych granic i grożących niebezpieczeństw kazały nam trzymać ogromną armię. Ale pogwałcenie praw gospodarczych osłabia obronną siłę państwa. P. referent zaleca pewne przesunięcie wydatków z części wegetacyjnej na materiałową. Ale jak to skutecznić? My socjaliści mamy na to sposób: ograniczenie stanu budżetowego armii. Ja również zapowiadałam taki wniosek o zmniejszeniu stanu armii o 50.000 żołnierzy; przy tym część zaoszczędzonych pieniędzy ma iść na inne resorty, a druga część na lepsze zaopatrzenie techniczne armii».

można mieć pewne zastrzeżenia<sup>1)</sup>). Jąbym bardziej kładł nacisk na uzbrojenie, które wymaga także bardzo znacznych wkładów pieniężnych, jeżeli mamy być lepiej przygotowani.

Drugą rzeczą, którą chciałbym poruszyć, jest administracja. Poseł Polakiewicz żądał wprowadzenia etatów, dlatego, że obiecał to gen. Sosnkowski, a poseł Lieberman mówił to samo, powołując się na gen. Żeligowskiego. Skarżyli się oni na przerost administracji w porównaniu z wartością samego obiektu, którym się administruje. Jest to niewątpliwie jedna z największych bolączek naszej armii. Otóż muszę powiedzieć, że przerost administracji jest cechą charakterystyczną wszystkiego, co robią Polacy. Wszędzie administracja zjada dochody przedsiębiorstw nawet prywatnych. Jest to również chorobą naszego wojska. Dla usprawiedliwienia siebie powiem, że, niestety, jestem obciążony dziedzicznie bardzo silnie. Dźwigam na sobie prace nie tylko wojska polskiego, ale i prace Józefa II i Katarzyny II, jako dziedzicznie obciążony zwyczajami, pod tym względem bardzo odległymi. Jednym z największych kłopotów wojska jest obecnie rozmieszczenie oficerów t. zw. administracyjnych, których liczba rośnie wskutek dyskwalifikacji oficerów do pracy liniowej. Są to nie tylko ludzie ranni lub kontuzjowani, ale mnóstwo nieużytków wojskowych, któreśmy w siebie wchłonęli podczas szybkiego tworzenia wojska w latach 1919 i 1920 w tak wielkiej liczbie, że stało się to prawdziwym ciężarem dla wojska.

Powróciwszy do armii, zastałem w niej wielu ludzi zdyskwalifikowanych, ludzi, którzy brali pensje, nic nie robili i siedzieli u siebie w majątkach, oraz administrację większą, niż zostawiłem. Jestem znany w armii z zacieklej walki z przerostem administracji i zarzutu, abym się do niego przychyłał, zrobić mi chyba nie można. Jestem zwolennikiem rzucania człowieka na głęboką wodę — niech sobie radzi, a jak nie poradzi, to utonie. Panowie zaś właśnie waszymi prawami nie dajecie mu utonąć, robicie sztuczne pęczery i ja walczę z tymi prawami, które nie dają utonąć wszelkim niedołęgom.

Bywały wypadki, że ktoś, wydalony ze służby za nadużycia, stawał się przedmiotem zazdrości tych, którzy zostawali, bo nie umieli czy nie zdążyli zrobić nadużyć. Dzieje się to wszystko na podstawie praw, przez panów uchwalonych. Jeśli

---

<sup>1)</sup> Co powiedział pos. Czetwertyński por. str. 54 przyp. 5. Myśl Piłsudskiego była tu najprawdopodobniej następująca: Można by zastanowić się nad praktycznością rady Czetwertyńskiego, by Minister Spraw Wojskowych nie miał prawa sum przeznaczonych na rezerwę zaopatrzenia używać w przyszłości na inne cele.

ktoś się poda do dymisji, co często uważam za szczęście, to emeryturę płaci minister skarbu. Płacimy emerytury nie tylko za polską służbę, ale i za służby dawniejsze każdemu, kto się zgłosi. Jestem zwolennikiem skrócenia administracji, lecz jeśli panowie sądzą, że przy tych prawach, któreście uchwalili, jest to możliwe w szybkim czasie, to się grubo mylicie<sup>1)</sup>.

Podniesiono tu sprawę ryczałtowej gospodarki<sup>2)</sup>. Dała ona dużą oszczędność i możność wybrnięcia po nagłym i ogromnym obciążeniu budżetu za ministra Żeligowskiego<sup>3)</sup>. Biedny gen. Żeligowski nie mógł sobie dać rady z sytuacją, wówczas powstała, a to obciążenie jest też zasługą panów. Minister Żeligowski był tu, mówiąc po rosyjsku, «biez winy winowat»<sup>4)</sup>. Takie sytuacje zmuszają później do łatania.

Administracja — to nie tylko praca oficerów nielinowych, ale i żołnierzy. Procent ludzi, zatrudnionych w administracji, w porównaniu z zatrudnionymi w wyszkoleniu żołnierza, wzrasta ciągle. Dzieje się to niejednokrotnie również skutkiem niemożności przekroczenia praw, wydanych przez panów. Dowódcy ambicjonują się do pracy gospodarczej i administracyjnej i często z tego punktu widzenia bywają też oceniani, choć rzadko dobry administrator jest jednocześnie dobrym dowódcą wojskowym. Czy uda mi się zadowolić nie tylko panów, ale i siebie, o co mi zwłaszcza idzie, w walce z przerostem administracji, i postawić wojsko wyżej, niż inne działy, — nie wiem, bądźcie jednak panowie pewni, że dołożę wszelkich starań i robię nacisk, aby wojsko wyprzedziło pod tym względem wszystkich innych.

Dążenie do skrócenia służby wojskowej jest zjawiskiem stałym na całym świecie. Wybuch wojny zastał we wszystkich państwach, z wyjątkiem Rosji i Francji, dwuletnią służbę wojskową<sup>5)</sup>. U nas — zwracam uwagę panów na materiał wojskowy, jakim rozporządzamy. Polski żołnierz uczy się wojenki bardzo szybko, lecz nigdy dokładnie. Jest trochę lekkomyślny

<sup>1)</sup> Mowa tu o pragmatykach służbowych, które utrudniały usuwanie urzędników, a więc i urzędników wojskowych.

<sup>2)</sup> Za wprowadzeniem w jak najszerszym zakresie gospodarki ryczałtowej, polegającej na wyznaczaniu oddziałom odpowiednich sum, w ramach których mogą zaspokajać swoje potrzeby z większą swobodą — opowiadał się referent budżetu Ministerstwa Spraw Wojskowych pos. Kościalkowski.

<sup>3)</sup> Por. t. VIII, str. 334.

<sup>4)</sup> Winny bez winy.

<sup>5)</sup> W Rosji i we Francji służba wojskowa trwała trzy lata (w Rosji — ustawa z dn. 23 czerwca 1912 r. punkt 17, we Francji — ustawa z dn. 7 sierpnia 1913 r.).

i łatwo przechodzi do porządku nad swymi obowiązkami. Białorusin i Rusin uczy się znacznie trudniej, lecz jest dokładniejszy, niektórzy oficerowie specjalnie cenili sobie ten materiał. Dla naszego więc żołnierza skrócenie służby wojskowej nie jest pożyteczne. Zmuszenie żołnierza do powtórzenia pewnych ćwiczeń więcej razy mechanicznie przyzwyczajają do dokładności.

Drugi wzgląd — to wielka ilość analfabetów. Gdy żołnierz przejdzie już szkołę, będzie to wielką ulgą, lecz póki procent analfabetów jest tak wielki, trudność skrócenia służby jest duża. Ten materiał, jakim rozporządzamy, nie nadaje się do skrócenia służby.

Trzeci wzgląd — to właśnie przerost administracji, który sprawia, że wypuszczamy wielu ludzi, którzy właściwie przeszli przez wyszkolenie krótsze, niż przepisowy czas służby. Służba bowiem w istocie trwa u nas krócej, bo ze względów oszczędnościowych skracamy ją, gdy tylko można, pod różnymi pozorami, aby nie być zmuszonymi żywić żołnierzy. Robimy więc oszczędności, do czego w swoim czasie zmuszał p. Michalski, na co skarżył się minister Sosnkowski, gdy byłem jeszcze Naczelnikiem Państwa. To samo jednak i ja niekiedy, niestety, stosować muszę. Służba więc efektywnie jest dość znacznie skrócona. Szukam jednak dalszego wyjścia z sytuacji i może przyjdę z odpowiednim projektem. Mamy, mianowicie, różne części wojska, które wymagają różnego czasu dla wyszkolenia. Jazda, konna artyleria, wojska łączności, pewne części broni technicznej, lotnicy — to są różne rodzaje broni, które wymagają jedne dłuższego, inne krótszego czasu służby.

A cóż dopiero mówić o większości wojska, o piechocie, której praca ćwiczeniowa staje się coraz bardziej skomplikowaną, t. zn. że coraz trudniej być dobrym piechurem, a mimo to ciągle i w wojsku, i w pojęciu panów liczymy się tylko ze stanem z przed 1914 r., kiedy ta broń główna nie była tak skomplikowana i kiedy wszystkie oszczędności robiono na jej skórze. Trzeba się jednak zastanowić, czy można robić oszczędności kosztem piechoty, która dziś używa kilku rodzajów broni i wymaga wyćwiczenia w używaniu tych broni osobno i w kombinacjach rozmaitych. Trzeba się nad tym zastanowić, gdyż toby dało pewne oszczędności i z drugiej strony dałoby zadowolenie, że pewna część ludzi mogłaby służyć znacznie krócej.

Ale w takim razie stanęlibyśmy w zupełnej sprzeczności z zasadą powszechności służby wojskowej; jeden służyłby dwa i pół lata, a drugi tylko pół roku. Ze stanowiska techniki woj-

skowej to wystarczy, ale nie wiem, czy wystarczy dla zasady komukolwiek. O tym nieraz myślałem, gdy rozmyślałem o sposobach skrócenia służby wojskowej i zmniejszenia ciężaru, który powstaje przy pewnym kontyngencie i przy pewnej organizacji armii.

Drugą zaś ważną dla skrócenia czasu służby sprawą, na którą zwracam uwagę wszystkich dowodzących i inspekcjonujących, to jest kwestia ludzkich zdolności pedagogicznych. Żądać od oficera, żeby był dobrym dowódcą, a równocześnie zdolnym pedagogiem, to jest rzecz trudna i obawiam się, że gdy zwiększymy nacisk w kierunku szybkiego nauczania żołnierzy, staniami wnet przed kryzysem, przed którym stanęły wszystkie armie, przed kryzysem jak gdyby konieczności podziału korpusu oficerów na dwie kategorie, z których jednaby tylko uczyła, a druga była od reszty służby. A każdy z panów był w szkołach i wie, że zdolnych pedagogów jest bardzo mało. Ja sam, który miałem do czynienia niegdyś z bardzo niezdolnymi pedagogami, śmiem twierdzić, że zdolność pedagogiczna jest słabo rozsiana po świecie. Ten kryzys w pedagogii wojskowej jest jednym z ciężkich problemów, przed którymi stajemy, bo przeważna część materiału oficerskiego nie jest przygotowana do szybkiego przeszkolenia większej ilości materiału ludzkiego, danego mu na krótki okres czasu, a kiedy się ten okres jeszcze skróci, wtedy praca ich stanie się jeszcze bardziej nerwową, to zaś odbije się w złym obchodzeniu się z ludźmi. Pedagog niezdolny irytuje się bardzo silnie i sekuje ten biedny materiał ludzki.

Ja to wiem po sobie, bo sam jestem też złym pedagogiem, i ile razy musiałem uczyć, tyle razy byłem wściekły i robiłem przykrości tym, których uczyłem. Dodajmy jeszcze jedno — że również ten materiał oficerski musi być przez dłuższe ćwiczenie i kształcenie przygotowywany, nim zacznie pracować tak szybko, jak sobie tego życzą panowie, wołający o skrócenie czasu służby wojskowej.

To są moje zastrzeżenia i ten projekt, z którym może wystąpię i nad którym radzę zawczasu się zastanowić, będzie szedł w kierunku technicznym, to znaczy w kierunku skrócenia służby wojskowej tylko dla pewnej części wojska, ale czy to zadowolili żądanie powszechności służby wojskowej, to jest kwestia, którą panowie będziecie musieli wziąć na siebie.

Mówiono o przysposobieniu wojskowym. Naturalnie, że daje ono dużo, bo uwalnia od szkoły rekruckiej, ale też tylko tyle, bo nie jesteśmy pod względem urządzeń przygotowani na to, żeby dać coś więcej. Wszelkie próby, żeby pójść tą drogą



dalej, spotkałyby się z wydatkami tak znacznymi, że wyniosłoby to znacznie więcej, niż panowie chcecie uchwalić w budżecie. Bo jeśli sądzicie, że ideał szwajcarski nie kosztuje, to grubo się mylicie — kosztuje on znacznie drożej, niż przeciętny wydatek na żołnierza gdzie indziej, ponieważ istnieje wtedy mus trzymania całego mnóstwa instruktorów, rozsianych wszędzie, mus trzymania materiału dla kształcenia po magazynach i magazynikach, tak, że nie wiem, czy panowie odważylibyście się na taki system, na który ja zaraz zażądałbym miliard, aby go wprowadzić w ciąg dobrych kilkunastu lat. Przyniesienie wojskowe jest bardzo pożądane, u nas jest ono oparte dotąd na pracy ochotniczej. Ja zresztą staram się rozszerzyć te próby znacznie dalej ze względu na to, że otrzymuje się materiał przeszkolony w początkowych rzeczach, ale poza tym niewiele z tego korzyści.

Wreszcie jedna rzecz — usunięcie pośrednictwa przy dostawach. Opuszczam ręce, mówię to szczerze. Dziwię się, że panowie tego wymagacie od wojska, kiedy sami macie z tym ciągle do czynienia i tego zrobić nie możecie. Przecież my jesteśmy państwem «pasków», gdzie pośrednik ma ogromne dochody. Jest to zorganizowana praca i u nas jest ona prawem dla każdego. Boję się, że wojsko nie jest w stanie wyprzedzić pod tym względem wszystkich panów osobiście. Jeżeli panowie mówią o małorolnych albo o włościanach<sup>1)</sup>, jak wojsko do nich trafi?

Każdy pułk musiałby mieć swych agentów, którzyby to zbierali. Nie wiem, czy producenci są do tego przyzwyczajeni, czy wojsko da sobie radę z takim procederem. Jeżeli gdziekolwiek takie próby były czynione, ciekaw byłbym takich prób... Być może, to było przed wojną. Nie chciałbym zanadto powoływać się na te próby, dlatego, że zazwyczaj przy bliższym zbadaniu okazują się one zawodnymi. Byłbym bardzo zadowolony, gdyby się to udało, ale bez wypróbowania twierdzić nie można, że to łatwo da się zrobić, że prostym rozkazem da się załatwić.

Streszczam się — najważniejsze wady w naszym wojsku, to miesięczne budżety. Ja to odziedziczyłem, a z zarządzenia rządu mamy teraz przynajmniej to, że wydatki miesięczne są już na kilka miesięcy jednakowe. Daje to znaczną poprawę.

Druga rzecz — to przeciążenie wojska żywiołami administracyjnymi. Z tym walczę. Liczę na to, że przy usilnych staraniach moich i moich podwładnych zdołam zwalić ciężar na

---

<sup>1)</sup> Mówił o tych sprawach na komisji pos. Kościalkowski.

ministerstwo skarbu, przez pozbycie się oficerów t. zw. administracyjnych, dla których nie znajduje się pracy w wojsku.

Trzecia rzecz — co do służby wojskowej, może wystąpię z projektem skrócenia tej służby w sposób zróżniczkowany, przecząc w ten sposób zasadzie powszechnej służby wojskowej, gdyż dotąd wydawało mi się to jedynym sposobem, który prowadzi do skrócenia służby przynajmniej dla części wojska.

Czwarta rzecz — to rezerwy zaopatrzenia. Mam swoje duże wątpliwości wobec tego, że dotąd najzupełniej się nie udaje. A chcę większy nacisk położyć na uzbrojenie.

---

## WYWIAD W «GŁOSIE PRAWDY» O PRZEWROCIE NA LITWIE

(24 grudnia 1926 r.)

*W nocy z dnia 16 na 17 grudnia 1926 r. wojskowi należący do spisku i członkowie litewskich związków wojskowych pod wodzą majora Plechawiciusa dokonali w Kownie zamachu stanu. Prezydent Litwy Grinius zrzekł się swego urzędu, a Sejm kowieński wybrał dnia 19 grudnia 1926 r. prezydentem Smetonę, który powierzył rządu gabinetowi Waldemarasa. Zamach stanu był zwrócony przeciw rządowi Slezewiciusa, który opierał się na lewicy i na mniejszościach narodowych Litwy Kowieńskiej.*

*W związku z tymi wypadkami Piłsudski daje niżej przytoczony wywiad, w którym obok oceny sytuacji na Litwie, zwraca uwagę na fakt, że przy utrzymywaniu ze strony Litwy wrogiej atmosfery przeciw Polsce każde zachwianie się władzy w Kownie może grozić Polsce zamieszkami granicznymi i wskazuje na konieczność normalnego ułożenia ze strony Litwy jej stosunku do Polski.*

*Wywiad podajemy według «Głosu Prawdy» z dnia 25 grudnia 1926 r.*

— *W czasie dokonywującego się na Litwie przewrotu rozsiewane były różne wersje w sprawie rzekomych zarządzeń, poczynionych w związku z tym przewrotem przez rząd polski. Czy nie zechciałby Pan Marszałek wypowiedzieć się w tej sprawie?*

— *Jedyne zarządzenie, wydane przeze mnie, polegało na możliwie bacznej i wydatnej obserwacji samych wypadków, rozgrywających się w Kownie, jak i naszej z Litwą granicy. Nie*

będę przeczył, że nerwy administracji i garnizonów pogranicznych były narażone na bardzo silną i wielką próbę, gdyż, jak pan wie, stosunek Litwy do Polski stanowi najzupełniejszy wyjątek bodaj w całej Europie, gdy Litwa nie uznaje stanu pokoju między nią a Polską. Kiedy więc rozrywała się tak gruntownie władza centralna w Kownie, na granicy nie istniała wówczas żadna odpowiedzialna władza i każdy swawolnik lub nawet rozbójnik, podniecony stanem wojny, który Litwa w stosunku do nas utrzymuje, mógł spokojnie, w imieniu Litwy, taką wojnę rozpoczynać. Nie ma bowiem wątpliwości, że ten nieco przydługi okres wychowania ludzi z pominięciem pokojowego zachowywania się, jaki utrzymywały rządy litewskie względem Polski, dać musi zawsze pewną ilość ludzi, dla których prawa, cechujące stan pokoju wśród cywilizowanych państw, nie istnieją. I chociaż rozumiem całą niemożliwość prowadzenia z nami wojny przez sąsiadujące z nami państwo, gdy zanika kontrola oraz nie widać ręki odpowiedzialnego, więc ostrożniejszego w obchodzeniu się z zapalnikami, wzniesionymi pożar — otwierają się wszelkie możliwości dla części ludzi, wychowanej w niezdrowej atmosferze wewnętrznego pozwalania sobie na wybryki w stosunku do sąsiada — czynienia tych wybryków na własną rękę. To też, powtarzam, niepokój całego pogranicza wzrastał z dniem każdym, wobec długiego i przewlekłego trwania kryzysu na Litwie.

Osobiście, jako szef rządu, nie pozwoliłem na żadne kroki celem wzmocnienia sił na naszej granicy z Litwą. Kierowałem się przy tym głębokim zaufaniem, jakie wyrobiłem sobie na podstawie własnej obserwacji w stosunku do ludności, zamieszkującej obie strony linii granicznej. Jest to bowiem ludność, która może najwięcej cierpi wskutek tych anormalnych, jakoby wojennych, stosunków, narzuconych jej przez byłe rządy litewskie. Ileż bowiem jest tam cichych tragedii, gdy związki rodzinne są brutalną ręką zrywane, a związki sąsiedzkie, przez wieki uświęcone, niemożliwe do utrzymania. Z prawdziwą też przyjemnością stwierdzić mogę, iż przy moim nakazie niewzbraniania swobodnego przekraczania granicy i na jedną, i na drugą stronę, przy ulżeniu surowej, centralnej ręki z Kowna, po raz pierwszy od kilku lat być może matki mogły uściskać swoje dzieci, a przyjaciele uściskać sobie ręce.

Obliczenia moje okazały się słusznymi. W przeciągu całego kryzysu, trwającego dość długo, nie mieliśmy ani jednego wypadku granicznego, tak, iż spokój nie był nigdzie zakłócony.

Ograniczyłem się więc — powtarzam — tylko do nakazu

zdwojonej baczności i zwiększonej pracy obserwacji. Wszelkie więc plotki i uwagi takiej czy innej prasy nie mają żadnych podstaw.

— *Czy Pan Marszałek uważa, że na Litwie nastąpiła już stabilizacja stanu rzeczy, wytworzonego przez przewrót?*

— Zadaje mi pan pytanie nadzwyczajnie trudne do rozstrzygnięcia. Rząd polski, więcej, niż przed miesiącem, miał ściśle informacje, że Litwa ma wejść w okres, gdy nabrzmiałe problemy będą rozstrzygane siłą. Już z enuncjacyj i z wynurzeń, które obecnie są publikowane, daje się spostrzegać fakt, iż odbywały się w tym kraju jak gdyby wyścigi między różnymi ugrupowaniami w próbach dokonywania przewrotu <sup>1)</sup>. I sam ten fakt musi niekiedy wzbudzać wątpliwości co do szybkiego załatwienia wszystkich spraw, wzbudzających taki właśnie stan rzeczy w tym kraju. Dodam, że przecież poprzedni rząd opierał się na większości sejmu, dość świeżo wybranego i zebranego w Kownie <sup>2)</sup>.

Gdy zestawimy wszystkie te fakty, wydawać się może, iż obecna sytuacja wygląda, jak prowizorium. Nieraz jednak właśnie prowizoria są najbardziej trwałymi urządzeniami.

Czy rząd p. Waldemarasa będzie tym szczęśliwym prowizorium na Litwie, zależeć to będzie, zdaniem moim, głównie nie od czego innego, jak od tego, czy zdoła on oswobodzić się od nieco zbyt niepowściągliwych orzeczeń, określeń i formuł, tak dobrze znanych i nam, i całemu światu, a które stanowiły niejednokrotnie powód do zniechęcenia, jakie ciężko odczuwać musiała na sobie Litwa w stosunkach wzajemnych narodów i państw.

Co do mnie, życzyłbym bardzo tej powściągliwości i rozsądku każdemu rządowi litewskiemu, a więc i rządowi p. Waldemarasa. Nie widzę jednak w tej chwili żadnych podstaw do obawy, abyśmy mieli zakłócone święta z powodu naszego niespokojnego sąsiada, który z taką łatwością wypowiadał słowo «wojna», a z taką trudnością wykrztuszał słowo — «pokój».

---

<sup>1)</sup> W opozycji do rządów Śleszewiciusa obok grupy wojskowych znajdowała się litewska partia klerykałna.

<sup>2)</sup> Wybory do sejmu kowieńskiego odbyły się dnia 10 maja 1926 r. Sejm ten wybrał dnia 7 czerwca 1926 r. Prezydentem Litwy Griniusa. Gabinet Śleszewiciusa został mianowany dnia 15 lipca 1926 r.

PRZEMÓWIENIA NA PIERWSZYM POSIEDZENIU RADY  
NAUKOWEJ WYCHOWANIA FIZYCZNEGO

(15 lutego 1927 r.)

*Rozporządzeniem Rady Ministrów z dnia 28 sierpnia 1927 r. została utworzona przy Ministerstwie Spraw Wojskowych Rada Naukowa Wychowania Fizycznego «celem prowadzenia badań naukowych, wydawania opinii i stawiania wniosków w zakresie powszechnego wychowania fizycznego».*

*Dnia 15 lutego 1927 r. przez cały dzień toczyły się pod przewodnictwem Piłsudskiego, w charakterze Ministra Spraw Wojskowych, obrady pierwszego posiedzenia Rady Naukowej Wychowania Fizycznego w sali konferencyjnej Ministerstwa Spraw Wojskowych.*

*Przemówienia Piłsudskiego na tym posiedzeniu podajemy według urzędowego protokołu tego posiedzenia, ogłoszonego drukiem nakładem Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego (Drukarnia Ministerstwa Spraw Wojskowych).*

W imieniu Rządu mam zaszczyt przewodniczyć pierwszemu posiedzeniu Rady Naukowej Wychowania Fizycznego. Pierwszy punkt porządku dziennego, który mam przed sobą, muszę zapelnąć sam, t. zn. muszę zagaić posiedzenie. W tym zagajeniu nie będę panom mówił, ani też starał się przekonywać o ważności wychowania fizycznego, ani też o takich czy innych, związanych z tym czynnościach. Chcę tylko wyjaśnić jedną specjalną rzecz, z powodu której panie i panowie zostaliście tu zebrani. Mianowicie wtedy, kiedy w Rządzie zainteresowałem się sprawami, związanymi z wychowaniem fizycznym, wobec tego, że przyszedłem do Rządu, że tak powiem, z okolic, które nie są rządem, sądziłem, że znajdę pod względem regulacji tej sprawy puste miejsce.

Z tego też powodu, gdy przyszły pierwsze uchwały Rady Ministrów w tej sprawie, musiałem się wkrótce przekonać, że tego pustego miejsca nie ma, że istniały zarządzenia i ustawy związane już dawniej z wychowaniem fizycznym, które jednak dla jakiegoś powodu, o którym będę mówił, czyniły tak, że człowiek stojący poza Rządem nawet o nich nie wiedział.

Skąd to płynie? Płyne to z bardzo charakterystycznej prawdy, która zawarta była w poprzednich ustawach. Poprzednie ustawy bowiem z urzędowania i z funkcji Rządu zrobiły pewną egzagerację. Szczynną i wielce trudną funkcją Rządu



jest regulowanie wysiłków ludzkich, skierowanych w pewnym kierunku, danie im pomocy i zarządzeń w celu określenia stopnia tej pomocy.

Poprzednie ustawy regulowały same siebie. Poprzednie ustawy szły w kierunku regulacji wysiłków samego Rządu, nie czego innego. Dlatego też nie dało się spostrzec, ażeby te wysiłki samego Rządu zrobiły tyle, by je można było spostrzec w dobie wychowania fizycznego, albo też w całej pracy z tym związanej.

Gdy przejrzałem listę wszystkich rad, których wysiłki były zużyte dla podniesienia wychowania fizycznego, z pewnym przerażeniem spostrzegłem, pomimo, że żadnemu z tych panów nie jestem w stanie odmówić szacunku, że w ogromnej ilości, w olbrzymiej większości są to ludzie, którzy nigdy wychowaniem fizycznym się nie zajmują, ani w stosunku do siebie, ani w stosunku do kogokolwiek, i dlatego jestem pewien, że te rady nigdy wychowania fizycznego nie poruszą i nigdy nic w tej sprawie nie zrobią, oprócz pobierania diet przez zjazdy.

Są to właściwie zjazdy urzędnicze, a wobec tego, że urzędnik nie jest obowiązany myśleć o wychowaniu fizycznym, a jest obowiązany czynić co innego, wychowanie fizyczne nie mogło się zmienić. Natomiast rady się zbierały: rady wojewódzkie, rady naczelne i poprzez przeszukiwanie samych siebie, sprawa nie ruszyła naprzód.

Stanowisko Rządu, który tu reprezentuję, jest inne. Sięgamy do ludzi, którzy interesują się bezpośrednio tym czy innym obiektem pracy ludzkiej, tym czy innym materiałem, który jest z tą pracą związany. Sięgamy do ludzi, chcąc, by oni sami pracowali, zostawiając Rządowi tylko to, co jest związane, jak powiadam, z tą funkcją Rządu, o której mówiłem — regulacją wysiłków ludzkich, zorganizowaniem ich, o ile one sobie są sprzeczne, gdyż to się najczęściej zdarza, z określeniem stopnia pomocy rządowej, którą dać można na ten czy inny obiekt pracy ludzkiej, i zarządzeniem takim, aby te tarcia ludzkie, które się tak często spotykają, możliwie mało szkody przynosiły, a odwrotnie, aby zespolenie i zjednoczenie ich dało możliwie duże wyniki.

Nie bierzemy więc na siebie więcej pracy, związanej z wychowaniem fizycznym, albowiem, jeżeli tamte rady nie zajmowały się same wychowaniem fizycznym, to to samo muszą powiedzieć, że nikt z nas się tym nie zajmował i nikt nie chce mieć pretensyj, ażeby być w tej sprawie autorytetem. Dla-

tego też praca nasza wiąże tylko trzy funkcje, które wychowanie fizyczne regulują. Na czele został postawiony Minister Spraw Wojskowych, obok, jak widać, są przedstawiciele innych dykasteryj: Ministerstwa Oświaty i Spraw Wewnętrznych.

Jeżeli postawiliśmy na czele Ministerstwo Spraw Wojskowych, to nie dla czego innego, jak dlatego, że nie ma szerszej pracy wychowania fizycznego, jak w wojsku, które uczy pomiędzy innymi opanowania organizmu swego dla celów innych tak, ażeby organizm służył dla siły fizycznej poszczególnego żołnierza. Jest to bodaj najszersza i najdalej posunięta praca nad wychowaniem fizycznym człowieka. Wychowanie fizyczne człowieka nie może mieć bowiem innego celu, jak używanie swego organizmu, swej fizycznej konstrukcji dla celów, postawionych wyżej. Dlatego też wojsko, które najsilniej to czyni już przez samo swoje zadanie, które przerabia niezręcznego na człowieka zręcznego, na człowieka używającego swego organizmu dla takich czy innych celów, jest najważniejszym terenem wychowania fizycznego w Polsce, jak i na całym świecie. Dlatego też Ministerstwo Spraw Wojskowych, które z musu musi brać i czynić wielkie wysiłki, by przygotować ludzi, którzyby uczyli tego opanowania swego organizmu, którzyby umieli tę rzecz przeprowadzić — jest z musu inicjatorem bardzo wielu postępów w tej dziedzinie, czyniąc bardzo wielu ludzi specjalistami w tej sprawie — i dlatego też Ministerstwo Spraw Wojskowych zostało postawione na czele, jako posiadające najwięcej pod tym względem środków i najwięcej umiejętności w tej dziedzinie.

Obok widzimy Ministra Oświaty, który musi mieć do czynienia z wychowaniem fizycznym młodego pokolenia, które to wychowanie fizyczne, jak państwo wiecie, jest dość spóźnione u nas w porównaniu z innymi krajami. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zaś ma do czynienia ze wszystkimi stowarzyszeniami takiego czy innego gatunku, takiej czy innej miary, mającymi te czy inne cele i Ministerstwo to z musu regulować musi życie tych stowarzyszeń. Dlatego też te trzy Ministerstwa zostały połączone w jedno dla pomocy wychowania fizycznego.

Jeszcze raz powtarzam, że zwracamy się, jak to już głosi nasza ustawa, w samej pracy nie do instytucyj rządowych, lecz do tych, którzy wzięli jako część swojej pracy życiowej nie co innego, jak wychowanie fizyczne, jak sport, jak wszystkie inne z tym związane rzeczy i tym staramy się pomóc. Sam zaś

Rząd, czy w postaci władz centralnych, czy w postaci władz wojewódzkich, powinien dążyć do tego, ażeby te sprawy uregulować i nieść pomoc tam, gdzie to wychowanie fizyczne ma przeszkody.

Inną jest rzeczą, gdy będziemy mówili o wychowaniu fizycznym w szkole. Tam jest mus pracy rządowej, która właściwie jest skierowana w inną dziedzinę, szuka bowiem wychowania umysłowego, wychowania dzieci — powiedzmy moralnego, i gdzie wychowanie fizyczne wchodzi jako część całej funkcji pracy nad umysłem i nad ciałem biednych tych dzieci. Ja wyrażam otwarcie, jako wielki przyjaciel dzieci, a nie starszego pokolenia, że współczuję mocno dzieciom, że ich w ten sposób traktują, jak to dotąd jest praktykowane w szkołach. Dlatego w wychowaniu fizycznym chętnie będę współczuł dzieciom, które w dusznej atmosferze szkolnej muszą z konieczności wyprostowywać swoje biedne nóżki, chociażby zrobiwszy rzecz, niezawsze dopuszczalne w szkole.

Teraz o samej Radzie Naukowej. Rada Naukowa powstała u nas nie dla rozstrzygnięcia kwestyj, związanych z realizacją wysiłków ludzkich w kierunku wychowania fizycznego; Rada Naukowa jest, że tak powiem, organem pomocniczym Rządu. Nie chcę zmuszać Panów do podziwiania naszej skromności rządowej, który nie ma pretensji do tego, aby reprezentować naukę w tej sprawie. Jeżeli chcemy być sumienni, musimy zasięgnąć opinii tego stanu naukowego, który u nas w Polsce pod tym względem istnieje, tego stanu doświadczenia, które u nas istnieje. Nie chcę pod tym względem wbijać panów w ambicję, gdyż wiem, że stan naukowy w tej sprawie jest względnie niski, względnie daleko nie sięga, a zatem nie ma mowy o tym, ażeby w Polsce był nadzwyczajnie wysoki postęp. Idzie mi o to, że chcę z tym stanem naukowym, jaki istnieje — z tym stanem doświadczenia, czy to doświadczenia sportowego, czy też związanego z pracą nad siłą swego organizmu, nie tylko się liczyć, ale powołujemy go także do dania nam rady w tych sprawach, które przez nas będą traktowane. Inicjatywa z waszej strony jest najzupełniej zakreślona. Witając więc panie i panów, proszę dać nam z jednej strony tę niewielką ilość czasu, a z drugiej te wielkie wysiłki, które chcemy zużyć dla postępu w wychowaniu fizycznym i o które do was zwracać się będziemy.

*Po referacie Dyrektora Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego ppłk. Ulrycha*

*o programach prac Rządu w zakresie wychowania fizycznego oraz zadań Rady Naukowej Wych. Fiz. i po referacie delegata Ministerstwa Oświaty ppłk. Kilińskiego o wytycznych projektu ustawy o powszechnym wychowaniu fizycznym, Piłsudski otworzył dyskusję, a po niej oświadczył:*

W naszej dyskusji nie doszliśmy jeszcze do możliwości stwierdzenia, jaką drogą poprowadzić wychowanie fizyczne społeczeństwa. Był krytyczny stosunek do obecnego stanu sprawy. Nie możemy jednak stawiać żadnych żądań w stosunku do obecnego stanu. Stoimy przed systemem, który od razu nie dałby się zmienić. Trzebaby komisyjnie ustalić, aby nie iść za szeroko.

Przeciążenie pamięci w szkolnictwie jest istotnie za duże. To jednak jest związane z przerobieniem systemu szkolnego.

*Przy dyskusji nad wewnętrznym regulaminem Rady Naukowej Wychowania Fizycznego jeden z członków Rady, Mieczysław Orłowicz, był zdania, iż pożądanym byłoby, aby były stałe Komisje i następnie, aby została określona minimalna liczba ich posiedzeń.*

*Na to Piłsudski wypowiedział następującą opinię:*

Uważam, iż nie należy określać częstości posiedzeń. Zbierać się należy wówczas, gdy coś jest do roboty.

Czy należy organizować stałe komisje? Takie komisje chciałyby żyć, pracować same. Tęby dublowało prace w Ministerstwach z pracami w komisjach. Lepiej iść drogą praktyczną. Niech część członków, mieszkających w Warszawie, wejdzie do komisyj<sup>1)</sup>, tak, aby każda z nich miała sekretarza na miejscu i komunikowała się z Państwowym Urzędem Wychowania Fizycznego. Nie trzeba długich regulaminów, bo one unieruchomiją ludzi.

---

<sup>1)</sup> Zostały utworzone trzy komisje: Komisja dla opracowania projektu ustawy o powszechnym obowiązku wychowania fizycznego, Komisja dla opracowania projektu Państwowego Instytutu Wychowania Fizycznego i Komisja dla spraw zorganizowania opieki lekarskiej nad wychowaniem fizycznym.

PRZEMÓWIENIE PRZEZ RADIO DO UCZESTNIKÓW  
ZJAZDU OFICERÓW REZERWY

(18 czerwca 1927 r.)

*Dnia 18 czerwca 1927 r. odbywał się w Krakowie zjazd oficerów rezerwy. Piłsudski wygłosił w Warszawie przez radio do uczestników zjazdu, zebranych w krakowskim oficerskim kasynie, niżej przytoczone przemówienie o konieczności wzajemnego szacunku wojskowych i cywilnych.*

*Przemówienie podajemy według «Polski Zbrojnej» z dn. 19 czerwca 1927 r.*

Szanowni panowie! Przemawiając do was, czuję się dziwnie, bo nie jestem przyzwyczajonym przemawiać do maszyn, a do ludzi. Zebraliście się panowie w Krakowie, jako oficerowie rezerwy, którzy i w pracy w wojsku, i w pracy cywilnej mają tej pracy dużo i odczuwają to zarówno w surdutowej, jak i w krawatowej waszej pracy codziennej. Odczuwam to żywo, bo sam jestem zmuszony do takiej pracy.

Jak wiecie dobrze, pomiędzy stanem cywilnym a stanem wojskowym wszędzie i zawsze jest jakiś rozdźwięk i wzajemna niechęć. Życie samo daje te sprzeczności. Wymaga się od nas, abyśmy, amfibiowy stan wiodąc, po polach skakali, jak sarny, a po morzach się uginali, jak szczupaki za zdobyczą. Te sprzeczne wymagania życia wymagają dwu czynności, tak wzajemnie z sobą sprzecznych, co zmusza nas do tego, byśmy te dwa stany, wojskowy i cywilny, ciągle pomiędzy sobą godzili.

Co do mnie, jako Prezes Rady Ministrów, stale pracuję nad tym, aby wzajemny szacunek pomiędzy stanem wojskowym i cywilnym istniał, jako zasada pracy polskiej. Chciałbym w tej chwili prosić was jak najusilniej, byście mi w pracy tej dopomogli.

Polska ma dziwny grzech myśli, ciążyący na niej. Wojsko jest u nas czymś obcym, czymś nieznanym, jak gdyby niepotrzebnym. Wojsko jest to jak gdyby niepotrzebna prawda życiowa. Grzech ten jeszcze długo ciążyć będzie na Polsce. Tym większe są zasługi i usiłowania tych, którzy wojsko kochają, aby tę myśl pogodzić z codziennym życiem.

Życzę wam jak największej i jak najskuteczniejszej pracy. Proszę usilnie i o pamięć o mnie i o tym, byście umieli te dwa zwaśnione obozy pogodzić i aby praca wasza mogła wydać pomyślne i dla pracy cywilnej, i wojskowej rezultaty.

Do widzenia panom!...



## PRZEMÓWIENIE PRZY SKŁADANIU PROCHÓW SŁOWACKIEGO DO GROBÓW WAWELSKICH

(28 czerwca 1927 r.)

*Dnia 7 marca 1927 r. odbyło się posiedzenie Rady Ministrów, na którym postanowiono sprowadzić prochy Słowackiego do kraju, celem złożenia ich na Wawelu.*

*Dnia 14 czerwca 1927 r. dokonano ekshumacji prochów Słowackiego na cmentarzu Montmartre w Paryżu. Sprowadzenie prochów do Polski odbyło się drogą morską z Cherburga do Gdyni i Gdańska, skąd Wisłą do Warszawy. Po uroczystościach w stolicy trumnę z prochami Słowackiego przewieziono do Krakowa, gdzie dnia 28 czerwca 1927 r. odbyła się uroczystość złożenia prochów do grobów królewskich. Na dziedzińcu wawelskim wypowiedział Piłsudski niżej przytoczone przemówienie o poecie, który, żyjąc w nas nieustannie, przewyciężył prawa śmierci i który w niewoli siłę miecza zastąpić chciał siłą ducha.*

*Przemówienie podajemy według «Monitora Polskiego» z dn. 30 czerwca 1927 r.*

Gdy przed trumną stoję, mówić muszę o śmierci, o wszechwładnej pani wszystkiego, co żyje. Wszystko, co żyje, umiera, a wszystko, co umiera, żyło przedtem. Prawa śmierci są bezwzględne. Są jak gdyby stwierdzić chciały prawdę, że co z prochu powstało, w proch się obraca. Gdy kamień na tafle spokojnej wody rzucamy, powstają kręgi, idące wszereż i zamierające powoli. Tak żyją ludzie, gdy śmierci bramy przepastne przekroczą; kręgi powoli zamierają i nikną, pozostawiając po sobie pustotę, a nawet zapomnienie. Prawa śmierci i prawa życia, związane ze sobą, są bezwzględne i bezlitosne. Żyło ludzi mnóstwo i wszyscy pomarli. Pokolenia za pokoleniami, żyjące codziennym życiem, zwykłym lub niezwykłym, do wieczności przechodzą, pozostawiając po sobie jeno ogólne wspomnienia. Wspomnienia, gdzie imion nie ma i nie ma nazwisk. A jednak prawda życia ludzkiego daje nam i inne zjawiska. Są ludzie i są prace ludzkie tak silne i tak potężne, że śmierć przewyciężają, że żyją i obcują między nami. Przed sobą mamy trumnę ze szczątkami człowieka, szczątkami, które świadczą o prawdzie, że proch jesteś i w proch się obrócisz. Słowacki, jak żywa prawda życia, jest między nami. Staje się znajomym coraz szerszym kręgom. Wiemy o nim tyle, jak o żadnym ze swoich znajomych. Wiemy i o tym, czego nawet o braciach nie wiemy. Jest z tego powodu naszym żywym znajomym. Znamy drobnostki jego życia, anegdoty o nim, ba, jak

sam pisze poeta, list do ekonomia lub wieczne przymierze z Handzią czy Marylką są nam znane i znajome <sup>1)</sup>). Są skądś wyciągnięte i rzucone przed oczy. Śmierci prawa są w ten sposób przewyciężone. Jest nam żywym znajomym i żywa znajomość Słowackiego staje się coraz powszechniejsza i coraz szersza, tak, że ma znajomych więcej, niż miał ich za życia. Gdy wezmę odwrotnie i policzę kilkanaście milionów Polaków, wśród których żył Słowacki, co z nich pozostało? Nie mają ani imienia, ani nazwiska, gdyż kilka zaledwie osób z ówczesnego pokolenia staje nam jako żywsze istoty, jako ci, którzy żyją, którzy nie umierają i nie nikną. Żył sto lat zaledwie temu, zaledwie trzy pokolenia wymarły lub wymierają, a jednak, gdy policzymy ludzi, o których cośkolwiek wiemy, to jest ich tak mało, a gdy mówimy o Słowackim, to spotykamy się z nim codziennie i z nim obcujemy. Powtarzamy jego słowa, jak gdyby był żywą istotą, powtarzamy wrażenia, które przeżywał, jeżdżąc po świecie. Wiemy, co mu się podobało, a co nie pozostawiło na nim żadnej impresji. Jest więc żywy i żyje wśród nas i prawda śmierci okrutna, prawda śmierci potężna nie istnieje dla niego. Powiecie może, że to metafora, że to nie jest słuszne, a jednak ta żywa prawda istnienia człowieka bez względu na to, co kto o niej mówi, jest żywą, prawdziwą i realną. Słowacki żyje dlatego, że umrzeć nie może. Zda się, jak gdyby bramy śmierci przepastne za nim zamknęły się nieszczelnie. Dla niektórych ludzi zostają one otwarte, tak, że życie i śmierć się nie rozdziela. Zda się, że są ludzie, którzy żyć muszą dłużej, których życie trwa nie latami, a wiekami, wbrew prawdzie przyrodzenia ludzkiego. I gdy teraz szczątki Słowackiego wprowadzamy do grobowców królewskich, wiemy, że przedłużamy mu życie dalej jeszcze i że żyć będzie tak długo, aż murów Wawelu nie naruszy czas zniszczeniem, a skała, która nad Wisłą samotna tu

<sup>1)</sup> Mowa o następujących słowach Słowackiego:

«.....lecz jeśli twe dzieła  
Zapise sława wszystkiego pamiętna:  
Ten dom, z którego cię nędza wypchnęła,  
Będzie świątynią, a te ciche świerki  
Pójdą na krzyże i na tabakierki,  
A twe koszule porzną na szkaplerze,  
A twe papiery — choćby to był tylko  
Od ekonomia list, albo przymierze  
Wiecznej miłości z Handzią lub Marylką —  
Sawantką, łzami rzewnymi wypierze  
I w sztambuch wklei.....

(«Beniowski», Pieśń I, w. 308—318).

stoi, nie ulegnie śmierci. Dajemy mu w ten sposób dłuższe życie, dłuższą prawdę bytowania, które zostają pomiędzy ludźmi.

Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę i widzę szkielety, co o Stwórcy świadczą, twierdząc, że są szkielety żywe, przejrzyste, świeże i młode, tak, że płakać po nich nie umiałby nikt szczerze <sup>1)</sup>). Nie płaczemy też po Słowackim! Gdy idzie trumna jego przez całą Polskę, witają go ludzie, nie zaś żegnają, tak, jak gdyby był żywym człowiekiem, i żałobne dzwony nieżałobnie biją, lecz biją radością i tryumfem. Nikt z nas nie potrafiłby zapłakać nad zmarłym. Twierdząc raz jeszcze, że bramy przepastne śmierci dla niektórych ludzi nie istnieją. Świadczą o prawdzie wielkości takiej, że prawa wielkości są inne, niż prawa małości. Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę i widzę przeszłości gościńce, po których kroczy ludzkość i po których teraz stąpa historia, to widzę umoszczone twarde drogi, które ludzie, pokoleniami idąc w życie i pokoleniami umierając, mościli życiem swoim, tak, jak i śmiercią. Pokolenia, które zostawiły ślady, szkieletami i pracą codzienną i codziennym odpoczywaniem, mościły gościńce trwale i wieczne. Lecz wszędzie, gdzie gościńce mają skręty, wszędzie, gdzie załomy drogi, gdzie ludzie wahania i gdzie ludzie małych trwoga, stoją na załomach, jak drogowskazy, olbrzymie głazy, świadczące o wielkiej prawdzie bytowania. Stoją olbrzymie głazy samotne, lecz z nazwiskami, gdy ludzie giną bezimiennie. Na naszym gościńcu historycznym, gdzie pokolenia za pokoleniami idące mościły drogi i życiem, i śmiercią, czasy Słowackiego były załamaniem, były prawdą historyczną ciemności niewoli i bezsiły. Słowackiego wielkość sięga stu lat, gdy na ziemiach polskich przedostatnie powstanie 1830 r. skasowało jedną prawdę życia historycznego, skasowało wojsko. Wojsko, ta prawda siły ramienia, co broni i chroni, co życie dając, życie in-

<sup>1)</sup> Zdanie to jest reminiscencją następujących wierszy z «Beniowskiego»:

«Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę  
I widzę kości, co jako sztandary  
Wojsk zatraconych, pod górnymi grzbiety  
Leżą — i świadczą o Bogu — szkielety;»

Pieśń V, w. 465—468.

- i «Bo kiedy grzebię w ojczyzny popiołach,  
A potem ręce znów na harfie kładnę:  
Wstają mi z grobu mary, takie ładne!  
Takie przejrzyste! Świeże! żywe! młode!  
Że po nich płakać nie umiałbym szczerze».

Pieśń V, w. 394—398.

nym otwiera, co krwią, jak cementem, mości prawdę historii i trwania narodu, znikło w r. 1830. Wtedy zapanowało wahanie na tym skrucie drogi, danym nam przez los. W trosce prawdy siły ramienia, w trosce prawdy nadziei, że ramię się wzmocni, znikły i upadły. I mamy zaraz próby, by miecze, co w podziemiach zasnęły lub tylko echem grają, zastąpić inną siłą, siłą ducha. Gdy miecze się skrzyżują, skry padają. Starano się wykrzesać prawdy duszy, tak silne i mocne, że w pracy skry padały także. Starano się zastąpić prawdy proste, siłę miecza prawdą siły ducha, — tak, by wzmocniwszy ducha, móc trwać w niewoli i móc uzyskać siły, gdy tych sił będzie potrzeba. Była to dziwna praca ówczesnego pokolenia, gdy ręce ludziom mdlały i gdy bojaźń tej prawdy ludzi nikczemniła i ludzi do rozpacz doprowadzała; starano się zamienić prostą prawdę miecza siłą ducha, który się męczył w trwodze, że sile miecza nie dorówna. Poszły w niebo harfy, gdy miecze pod ziemię się chowały, niszcząc i rdzewiejąc. Gdy przed Słowackim, jedną z harf szczerzłoty, stoję, gdy warstwy mąk jego i pracy jego przeliczę, znajdę w tej harfie jedną strunę, co zawsze brzęczała, znajdę prawa dumy i prawa rozkoszy cierpienia dla dumy, dla godności ludzkiej. Szarpany niemocą ciała, szarpany niemocą prawd, które wyznawać rozum mu kazał, szukał w rozpacz dumy siły, targającej wnętrzości swoje i ojczyzny swojej. Znajdziecie brzęczące struny dumy i struny godności ludzkiej na każdym kroku. Szedł, pracując, szedł, myśląc, że duma stargana i sponiewierana wyda nie jęk rozpacz, lecz siłę olbrzyma. Pracował, jak i inni, myślał o możliwości, aby duch ludzki mógł zastąpić siłę ciała. I nieraz potwornie się męcząc, wątpił, jak i inni. «Godności nie mam, przed męką uciekłem» <sup>1)</sup>. Tak mówi o sobie, męcząc się potwornie, i nie mógł wydobyć siły skończenia męczarni śmiercią. Stargana duma i sponiewierana, w błoto człowiek zdeptytany, hardo prawa godności człowieka, dumę nie w siłę miecza, lecz w siłę ducha przerabiała. On z kraju był nie dumnych helotów i dumy tej pragnął, by była siłą, by siłę dała, by wartość mocy, potęgę Polski mieć mogła. Gdy niegdyś jednego z większych, co ostatnie prowadzili bunty i powstania, pytałem, który z wieszczów najwięcej wpłynął, najwięcej działał, gdy miecze na naszej ziemi zadzwoniły, stwierdzał mi zawsze, że naszym poetą jest Słowacki.

Miłość ojczyzny — o! to słońce świetne  
Dla serc, co dumne, sieroce, szlachetne,

<sup>1)</sup> Słowacki: «Rozmowa z matką Makryną Mieczysławską», w. 58.

Całe się czystym miłościom oddadzą.  
 Jako żórawie, co łańcuch prowadzą,  
 Świetniejsze serca wylatują przodem;  
 Umrą ich duchy, lecą przed narodem <sup>1)</sup>.

Gdy teraz, patrząc na trumnę, wiem, tak, jak wszyscy zebrani, że Słowacki idzie, to wiem, że idzie tam, gdzie głazy na naszym gościńcu stoją, świadcząc nieledwie chronologicznie przez imiona o naszej przeszłości. Idzie między Władysławy i Zygmunty, idzie między Jany i Bolesławy. Idzie nie z imieniem, lecz z nazwiskiem, świadcząc także o wielkości pracy i wielkości ducha Polski. Idzie, by przedłużyć swe życie, by być nie tylko z naszym pokoleniem, lecz i z tym, którzy nadejdą. Idzie, jako Król Duch.

*Po zakończeniu przemówienia Marszałek Piłsudski zwrócił się do otaczających nosze z trumną oficerów z następującymi słowami:*

W imieniu rządu Rzeczypospolitej polecam panom odnieść trumnę do krypty królewskiej, by <sup>2)</sup> królom był równy.

## PRZEMÓWIENIE NA CZEŚĆ PAPIEŻA PIUSA XI

(2 lipca 1927 r.)

*Dnia 2 lipca 1927 r. odbyła się w Wilnie przy udziale Prezydenta Mościckiego i Piłsudskiego uroczystość koronacji obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej. Po uroczystościach odbył się w kasynie oficerskim obiad wydany przez arcybiskupa Jabłrzykowskiego. Na obiedzie tym po mowie wygłoszonej przez arcybiskupa Jabłrzykowskiego na cześć Piłsudskiego, Piłsudski wznosił niżej przytoczony toast na cześć papieża Piusa XI.*

*Przemówienie podajemy według «Kuriera Porannego» z dn. 3 lipca 1927 r.*

Gdy mamy tu tak wielką uroczystość kościelną, trudno nie wspomnieć o Głowie Kościoła. Jeżeli my nie mamy żadnych tak wielkich praw i przywilejów, abyśmy mogli żądać dla siebie specjalnych uprawnień przy pełnieniu obowiązków tak wysokich, jakie pełni Jego Świątobliwość, to mamy jednak możliwość udać się do tego sentymentu, który niechybnie żywi ku naszemu narodowi, ku naszemu państwu. Złączeni

<sup>1)</sup> Słowacki: «Wacław», fragm. XXIX, w. 722.

<sup>2)</sup> Bardzo wielu słuchaczy tej mowy stwierdza, że w tym miejscu Piłsudski powiedział nie: «by» ale «bo».



bowiem jesteśmy z Jego Świątobliwością pierwszymi poczynaniami życia naszego państwowego.

Gdy Jego Świątobliwość, jako ks. Ratti <sup>1)</sup>, był u nas nuncjuszem apostołskim, z jego przeżyć ówczesnych wspólnych nie mogliśmy nie wynieść głębokiego przekonania, że możemy być zawsze pewni jego uczuć i sentymentu w stosunku do nas. Jeżeli dzisiaj ta uroczystość tak głęboka porusza serca miejscowe, serca Wilna, które do Obrazu Ostrobramskiego żywią tak głęboką miłość i głęboki szacunek, to zawdzięczamy to także Jego Świątobliwości, który jeszcze w dawniejszych czasach obiecał mi, że specjalnie dla Wilna spodziewa się znaleźć chwilę czasu dla osobistej pracy. Chcę zaznaczyć, że Polska nie tylko ma serdecznego przyjaciela, ale i że serce to umie być okazanym. Dlatego też pozwoli Pan Prezydent, że w imieniu rządu, który tu reprezentuję, wzniosę toast na cześć Jego Świątobliwości Piusa XI.

---

ZYCZENIA PRZYSŁANE BISKUPOWI WŁADYSŁAWOWI  
BANDURSKIEMU Z OKAZJI CZTERDZIESTOLECIA JEGO  
KAPŁAŃSTWA

(24 lipca 1927 r.)

*Dnia 24 lipca 1927 r. ksiądz biskup Władysław Bandurski obchodził czterdziestolecie swego kapłaństwa. Z okazji tej uroczystości Piłsudski przesłał jubilatowi drogą telegraficzną życzenia, które podajemy niżej według «Polski Zbrojnej» z dn. 24 lipca 1927 r.*

Raczy przyjąć Wasza Ekscelencja szczere, z głębi serca płynące, życzenia w uroczystym dla nas dniu Czterdziestolecia Swego Kapłaństwa.

Żołnierz Polski zawsze pamiętać będzie, kto złotoustymi słowy rozpałał jeszcze w dniach niewoli serca ludzkie, każąc o świętej miłości Ojczyzny, i kto z żołnierzem tym w dniach Wielkiej Wojny szedł do rowów strzeleckich, krzepiąc go słowem pociechy <sup>2)</sup>).

Oby Bóg przez długie jeszcze lata darzyć chciał Waszą Ekscelencję pełnią zdrowia i sił, tak potrzebnych Polsce.

---

<sup>1)</sup> Por. t. V, str. 126.

<sup>2)</sup> Odnosi się to do bytności ks. biskupa Bandurskiego w okopach legionistów na froncie pod Kostiuchówką w lecie 1916 r.

## PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE LEGIONISTÓW W KALISZU

(7 sierpnia 1927 r.)

*Doroczny zjazd legionistów w rocznicę aktu 6 sierpnia został w 1927 r. zwołany do Kalisza. Ponieważ w tym roku przypadła dziesięcioletnia rocznica uwięzienia legionistów w obozie koncentracyjnym w Szczypiornie, odbyła się z okazji zjazdu uroczystość odsłonięcia w tej miejscowości pomnika na cześć żołnierzy Legionów.*

*Po tej uroczystości wygłosił Piłsudski dnia 7 sierpnia 1927 r. w świetlicy 29 pułku piechoty przemówienie o roli agentur obcych w okresie legionowym i w pierwszych latach niepodległości.*

*Teksty tego przemówienia ogłoszone w ówczesnej prasie różnią się między sobą dość znacznie i rozstrzygnięcie, na którym z tekstów drukowanych należało by się oprzeć jest bardzo trudne, tym bardziej, że żaden z nich nie był przez Piłsudskiego autoryzowany. W papierach K. Świtalskiego znalazła się odbitka maszynowa surowego stenogramu tej mowy. Na podstawie tej odbitki stwierdziliśmy, że tekst «Monitora Polskiego» z dnia 8 sierpnia 1927 r. jest przedrukiem tego właśnie stenogramu z jego wszystkimi oczywistymi błędami. Byliśmy wobec tego zmuszeni opracować stylistycznie ten surowy stenogram i w tej formie podajemy niżej przytoczone przemówienie.*

**Kochani koledzy i towarzysze broni!**

Zwyczajem naszym legionowym jest, że rok rocznie zbieramy się w rocznicę sierpniową i zarazem zwyczajem jest, że ja, jako były wasz Komendant i były wyobraziciel waszej pracy, muszę przemawiać. Ciężary na tych uroczystościach są podzielone: wy macie krzyk, a ja mam pracę mówienia.

Kiedy myślałem, o czym mam dziś mówić, przypomniałem sobie wszystko, co dotychczas z okazji naszych poprzednich zjazdów mówiłem, szukając tematu dla dzisiejszego mego przemówienia do was, szukając tych rzeczy, którem przeżył, a o których mogę mówić bez obawy powtarzania tego, co przy okazji naszych rocznic, a było ich przecież wiele, już powiedziałem.

Przemawiam w 13 rocznicę naszego wymarszu z Krakowa, w 13 rocznicę naszych urodzin. Jesteśmy już prawie podlotkami i nagromadziło się w naszej pamięci dużo przeżyć z tych długich lat.

Gdy tematu dla dzisiejszego przemówienia szukałem, doszedłem do wniosku, że niedostatecznie w moich przemówie-

niach legionowych podkreśliłem jedną wielką prawdę naszego istnienia, naszej pracy, jedną prawdę naszego życia.

Nie ma już chyba teraz żadnych wątpliwości co do faktu historycznego, który starałem się w poprzednich odczytach nieraz wyjaśnić, że wtedy w 1914 r., kiedy wojna wybuchła na świecie i kiedy ludzie szli przelewać strumieniami i potokami swą krew dla takich czy innych celów, to między tymi celami nie było celu Polski. Nikt dla Polski krwi przelewać nie chciał i nikt celów politycznych związanych z Polską w początkach wojny nie stawiał i stawiać nie chciał.

Myśmy, legioniści, zrobili ten wstęp do możliwości przelewania krwi za Polskę. Poszliśmy niewielką garstką ludzi, tym różniąc się od wszystkich innych, że swój niewielki strumień krwi, którąśmy mogli dać ze siebie, dać chcieliśmy dla Polski, nie dla czego innego.

To jest nasza palma pierwszeństwa w pracy dla ojczyzny.

Mieliśmy tę palmę pierwszeństwa. Staraliśmy się przekonać naszych rodaków, że jest rzeczą rozsądną i rozumną przelewać krew dla siebie, nie dla kogo innego. Ta palma pierwszeństwa, którą my mamy, jest naszą cechą historyczną, i w poprzednich odczytach starałem się wyjaśnić, jako człowiek znający historię i lubiący ją, jakie są skutki pierwszeństwa. Jak trudno jest przebywać taką drogę i jak trudno jest zrobić rzecz nową.

W pracy tej, która daje nam palmę pierwszeństwa, spotkaliśmy jednak natychmiast zjawisko, które spokojnie nazwę agenturami obcymi.

Z natury rzeczy, ja, jako były Naczelnny Wódz, który prowadził wojnę, wiem, co znaczy agentura i znam jej mechanizm pracy. Musiałem zetknąć się z taką pracą czy wtedy, gdy występuje ona jako obserwacja, czy też jako próba skłonienia do takich czy innych zmian, które byłyby potrzebne dla interesów armii i celów politycznych tego czy innego państwa.

Nie dziwię się więc wcale, że do nas agentury się przyczepiły i że, obserwując nas, szły krok w krok za nami agentury obcych państw, agentury płatne, bo innej agentury świat nie posiada.

Mieliśmy, naturalnie, agenturę obcą jednego z państw zaborczych, a wobec tego, że praca nasza, gdyśmy szli przelewać krew za Polskę, nie mogła nie przeczyc w różnym stopniu interesom państw zaborczych, które chciały, aby przelewano krew tylko za nie, a nie za co innego, agentura musiała stanąć w sprzeczności z naszymi dążeniami, musiała w interesach zaborcy nam szkodzić, aby nas w dążeniu do wielkości zatrzy-

mać, aby nas usunąć od wielkości, aby krew przelana za Polskę nie była za wielką dla interesów zaborców. Stąd płynie to ciągle szukanie ze strony zaborcy, ze strony jego agentur sposobu odebrania nam w miarę możliwości tych cech, któreby nas charakteryzowały jako przelewających krew jedynie za Polskę, a nie za co innego.

Wobec tego, że liczba nas, jako przełamujących nowe drogi, była względnie mała, że zatem ogół naszych rodaków z nami nie szedł, praca tej agentury była znacznie ułatwiona.

Starano się nas poniżyć, starano się nas usunąć od prac tych, do których myśmy dążyli, starano się nas nieco splamić, abyśmy ładni bohaterstwem dla innych nie byli. Porównuję to do działania muchy, która, jak wiadomo, pstrzy, dając czarne i brunatne kolory. Robiono czarne i żółte plamy na naszych mundurach, by one podpadały pod kolor zaborcy.

Przypomnijcie sobie, panowie, te usilne starania czynione w stosunku do nas, ażebyśmy wyglądali jak mniejszy landszturmista, z rękawem otoczonym czarno-żółtą opaską<sup>1)</sup>, przypomnijcie sobie przykrości, robione naszym mundurom, walkę o nasze sztandary, niosące orły z jedną tylko głową, a nie z dwiema, czy najrozmaitsze próby, czynione stale i ustawicznie, abyśmy podlegali zupełnie austriackiemu mundurowi, stawianemu ponad nasz mundur.

W parze z tą agenturą austriacką szła agentura inna, agentura rosyjska, to jest tego państwa, z którym Austria i myśmy walczyli. Szła akurat w tym samym kierunku, także płatna, także czyniąca to, co obcy zaborca od niej wymagał, pracująca nad obniżeniem naszej pracy, brukająca nas słowami, określeniami, abyśmy pociągającymi dla swoich rodaków nie byli.

Jeżeli wezmę okres dowodzenia wami, okres, gdy byłem waszym reprezentantem tak, jak mi on wygląda w moich przeżyciach, to śmiało i spokojnie stwierdzam, że bok w bok z nami szła zawsze jedna i druga agentura, służąc obcym, służąc zaborcy, który starał się obniżyć naszą wartość, zmienić nasze chęci, narzucić myśli inne, dla niego pożądane.

Jeżeli wezmę przeżycia moje, jako waszego dowódcy, zmuszonego nieraz w waszym imieniu pertraktować z najrozmaitszymi dowódcami innymi, targować się o wasze wygody, o wasze codzienne, wojenne życie, z panami tych czy

---

<sup>1)</sup> W r. 1914 władze austriackie wydały rozkaz, by legionieści nosili na rękawie czarno-żółtą opaskę.

innych sztabów, to mam większe, niż wy, doświadczenie i większy, niż wy, wgląd w to, co za tym się kryło.

Mogę panom z zupełną pewnością stwierdzić, że najsympatyczniej odnosili się do nas i najbardziej rozumieli naszą sytuację ci, którzy nigdy polskiego słowa nie umieli wymówić, to znaczy, że nam wygodniej było porozumiewać się z takimi korpusami czy dywizjami, których językiem codziennej mowy był nie język słowiański, a niemiecki, węgierski czy rumuński. Tam nam było najlepiej. Tam najwięcej spotkałem ludzi, którzy wchodzili w naszą sytuację, tam najwięcej rad mądrych spotkałem, jak można zachować prawa, nie ulec zniszczeniu i zaszykanowaniu. Najwięcej znalazłem obrońców nie wśród kogo innego, jak wśród najbardziej nam obcych ludzi, którzy starali się jedynie o siłę i potęgę swego państwa, biorącego udział w wojnie.

Proszę panów, agentury obce, to jest zjawisko stałe i codzienne, towarzyszące nam rok za rokiem, dzień za dniem, jest to część naszego życia tak wielka i tak starannie w stosunku do nas ułożona, iż nasza praca — że tak powiem — jest współbieżna z pracą agentur obcych.

Obok palmy pierwszeństwa, którą my w stosunku do prawa Polaka przelewania krwi tylko za Polskę, a nie za co innego mamy, znajduję i inne zjawisko, które bardzo nieśmiało i bardzo powoli zaczyna nam sekundować. Spotkaliśmy je czy po wsiach, czy po dworach, czy po miasteczkach polskich. W porównaniu bowiem z innymi legionami w naszej historii<sup>1)</sup>, z twórcami naszej pieśni narodowej<sup>2)</sup>, mieliśmy to szczęście, żeśmy przez cały czas walczyli na polskiej ziemi i że, jeżeli weźmiemy granice teraźniejszej Rzeczypospolitej, tośmy ani razu poza te granice nie wyszli. Mieliśmy więc jako stałe otoczenie to, które teraz w Polsce istnieje, tę samą polską ludność. Jeżeli przypomnę sobie swoje wrażenia w tych ciągłych marszach i przemarszach przez najrozmaitsze części Polski, w tych stale zmienianych kwaterach, jeżeli zestawię sobie wszystkie wrażenia od 1914 do 1916 r., w którym nasze marsze się skończyły, to znajduję tę narastającą prawdę, że coraz mniej byliśmy obcy dla swoich, coraz więcej zyskiwaliśmy sympatii i coraz więcej mocy. Szło to jednak okropnie powoli, szło tak powoli, że ręczę, iż niejeden z was w nocie ciche i lży przelewał swoje, i gorzkniał, i gniewał się, i scyniczał zbyt szybko z powodu tego braku odczucia ojczyzny.

<sup>1)</sup> Mowa o Legionach Dąbrowskiego.

<sup>2)</sup> Mowa o pieśni «Jeszcze Polska nie zginęła», której autorem był Józef Wybicki.



Nazwałem was ongiś żołnierzami bez ojczyzny, trawestując w ten sposób wyrażenie Żeromskiego o dawnych legionistach, których nazwał żołnierzami-tułaczami.

W okresie naszych marszów po Polsce narastały w stosunku do nas uczucia, szeptane nam do uszu. Szeptano je, bo ludzie bali się wówczas wszystkiego. Gdy sobie ten czas przypomnę, znajduję zawsze jakąś skromność Polski, bojącej się wszystkiego i wszystkich, bojącej się wyrzec jakiegokolwiek słowa, którą stać było tylko niekiedy na ciche łzy rozczulenia. Na łzy takie same, z jakimi patrzyło się ongiś na zakazane obrazki, na malowanki rycerskie z czasów Napoleona, z czasów powstania listopadowego, na mundury z czerwonymi rabatami, przypominającymi ludowe stroje krakowskie, na wysokim czaka. Oglądano te malowanki z rozczuleniem, równocześnie zakrywając je szybko w strachu, że ktoś inny na nie spojrzy. Na widok ich brało jakieś rozczulenie, jakąś tęsknota zobaczenia malowanek na jawie, zobaczenia żywymi oczyma tego, o czym się śniło, o czym się szeptało. Sentymentalne serce mieliśmy zawsze, lecz sentymentalne w bezsilności.

Gdy sobie przypomnę te lata, które przewojowaliśmy: koniec 1914 roku, rok 1915 i rok 1916, na który przypadają nasze ostatnie wielkie boje na Wołyniu, to znajduję bardzo powoli narastającą dla nas sympatię. Bardzo powoli poczęto otaczać nas nimbem bohaterstwa, niby nimbem szaleństwa, niby nimbem piękności jakiejś, nad którą łzy ronić trzeba, że jeszcze ją widzieć można.

Mamy więc dwa zjawiska bardzo jaskrawe, z którymi idziemy w swojej pracy dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku. Przez 24 miesiące idziemy, mając obok i dokoła siebie agentury obce, starające się nas nieco obniżyć i zbrukać, starające się uczynić nas mniej pięknymi dla otoczenia, starające się zbrzydzić nas, ażebyśmy wzorem dla innych nie byli. Idziemy z palmą pierwszeństwa przelewania krwi za Polskę jako nieco odludki i nieco opstrzeni ludzie. A obok tego mamy drugie zjawisko: narasta w stosunku do nas sentyment do bohaterstwa, do bohaterstwa jakby nieco nierozumnego. Odnoszą się do nas, jakbyśmy byli nieco tym pierwiosnkiem, który zawczasie spod śniegu wyrósł i główkę swoją niepotrzebnie na mróz naraża, jakbyśmy byli nieco jak te ptaki przelotne, które przez jakąś omyłkę swego instynktu przylecą zbyt wcześnie, aby paść martwe w rodzinnym kraju, jakbyśmy byli nieco jak jacy spóźnieni wędrowcy dawnych czasów, jak mary przeszłości, przypominające dawnych marzycieli, niezłomnych rycerzy.

Oto przeżycia moje z tych lat. Z jednej strony obce i płatne agentury, szukające obniżenia naszej wartości i naszej pracy, a z drugiej strony bardzo niejasne i bardzo nie-liczne objawy współczucia dla naszej pracy.

Jeżeli panowie wezmą następne czasy, będzie to okres nagłego wyrastania sprawy polskiej, okres, w którym po raz pierwszy zaczynają się sprawą polską zajmować wszędzie, gdy dawniej mówić o niej nie chciano. Dzieje się to dlatego, że państwa, które rzuciły w grę miliony istnień, na szalę wypadków miliardy złota, zatrzymały się w jakiejś dziwnej równowadze sił, bez możliwości z niej wyjścia. Jest to koniec roku 1916 i 1917. Idą te lata, gdy wrażenia ogólne nie dają możliwości sądu o zwycięstwie szybkim jednej strony walczącej nad drugą. Zaczyna się wtedy poszukiwanie jakiegoś ciężarka, któryby, rzucony na szalę, zaczął przechylać ją na tę czy inną stronę. Po dwóch latach dzikiej pracy wojennej, gdy wylano już olbrzymie morze krwi, gdy świat podzielono na to, co jest po jednej, i na to, co jest po drugiej stronie drutu kolczastego — gdyż już państw neutralnych brakło na świecie — gdy wciągnięto do boju świat cały, w gabinetach i dowództwach zaczynają szukać gwałtownie jakiegoś takiego ciężarka, który mógłby choć trochę zaważyć na szali, by ją nieco przechylić na stronę zwycięstwa.

W poszukiwaniach tych poszukiwano i Polski.

Moi panowie! Nie dziwię się, że państwa zaborcze tej kwestii nie chciały dotykać i długo się męczyły nad formułami, nad wymyśleniem jakiegoś takiego znaku na niebie i ziemi, ażeby Polska była i nie była, żeby jakoś można było za jak najmniejszą cenę wykpić się ze swej gwałtownej potrzeby poszukiwania choćby najmniejszego ciężarka.

Jak powiadam, między innymi ciężarkami, które wyciągano czy to z lamusa przeszłości, czy to jako nowy zupełnie koncept, rzucono się i do sprawy polskiej. W ten sposób od końca 1916 r. zaczyna sprawa polska narastać, zaczyna być czymś, co ma cenę, o czym warto mówić. To, co stanowi Polskę, co stanowi polskie siły, zaczyna być jakąś wartością dla innych. Zarazem moi państwo zaczyna się nad nami zwycięstwo absolutne agentur. Nie dla czego innego, jak dlatego, żeśmy niedostatecznie przez te dwa lata zyskali poparcie i siły ze strony naszego otoczenia, tak że nad nami, jako nad konkurentami łatwo przejść można było do porządku dziennego. Gdy tylko wiatrak polski zawiął, agentury wszystkich trzech stron poczuły — że tak powiem — żer, poczuły możliwość chwycenia atutów polskich w swoje ręce tak, by każdy, kto im pla-

cił, był z nich zadowolony. Byle nie oddać atutów w ręce tych, którzy mieli za sobą sławę dobrych żołnierzy i trochę wariatów.

Jakże to w ręce wariatów oddać losy Narodu?!

Przecież to niemożliwe!

To było to pierwsze hasło, rzucone przeciw nam.

Gdy tylko, powiadam, ważka polska zaczęła przechodzić z rąk do rąk, z papieru na papier, gdy pomiędzy komendami najrozmaitszych narodów kursować zaczęły papiery i projekty, związane z polską ważką, z polską wartością, gdy w tych papierach zaczęto mówić o możliwości zrobienia czegoś z Polski, od tej chwili zaczęliśmy spotykać już nie obserwację agentur, ale otwartą walkę z nami. Twierdzę, że druty kolczaste nie przeszkadzały wcale połączeniu agentur państw z sobą walczących. Mimo, że te mocarstwa walczyły między sobą, ich agentury były na tym odcinku zupełnie jednozgodne w pracy. Pragnęły one nas obniżyć, przełamać, by dać zwycięstwo swej agenturalnej prawdzie.

Ja, proszę panów, szczęśliwy jestem, że posiadam najrozmaitsze papiery, które jeszcze nie ujrzały światła dziennego, a które krążyły między dowództwami, między państwami<sup>1)</sup>, stwierdzające, że od r. 1916 zaczyna sprawa polska iść w górę i że to szukanie ważek, które mogłyby być na szalę rzucone, zaczyna ważyć w umysłach wielkich mężów stanu i wielkich generałów, dowódców wojsk stron walczących.

Do naszej palmy pierwszeństwa dołączyła się palma męczeństwa, gdyż nie ma wątpliwości, że nasza harda prawda, którąśmy przeciwstawili prawdzie agenturalnej, dała w rezultacie absolutne zwycięstwo agenturze. Zostaliśmy w tym starciu z agenturami pobici. Świącimy teraz dziesięciolecie Szczypiorna, dziesięciolecie Magdeburga, dziesięciolecie tych czy innych więzień, do których nas rozesłano.

Kończę w ten sposób rozpatrywanie tego okresu życia legionowego, w którym braliśmy czynny udział w wojnie. Powtarzam, są to lata, w których sprawa polska w ten czy inny sposób się wysuwa. Jest ona czymś, co się liczy, czym kombinuje się słusznie czy mylnie — to wszystko jedno — ale brać ją w rachubę zaczęto, czego przedtem nie robiono.

Wytlumaczyłem państwu powody i przyczyny, dla których ta kombinacja zjawiała się na świecie. Powtarzam: świat

---

<sup>1)</sup> Mowa o aktach Naczelnej Komendy austriackiej i jej korespondencji z Naczelną Komendą niemiecką w sprawie polskiej. Dokumenty te zostaną wydane przez «Instytut Józefa Piłsudskiego».

dochodził do równowagi i szukał jakiejś wazki, ażeby dać szybkie zwycięstwo. Świat męczył i dręczył się w wojnie i szukając tej wagi, natrafił na polską wazkę, czy trzy czy cztery luty wartą — nie chcę mówić, jak ją rachowano — wazkę, która mogłaby przyczynić się do przechylenia szali na tę czy inną stronę.

Spotykamy wówczas świat agentury, idący przeciwko nam całą siłą, całą parą, starający się nas zbrukać, pstrzący nas w ten czy inny sposób, abyśmy kwiatami polnymi nie pachnieli, abyśmy mniej byli piękni i ładni.

Świat agentury odniósł zwycięstwo i to wtedy, gdy wyzyskanie sytuacji dla Polski stało się możliwe. I pod tym względem, powtarzam, nie ma różnicy pomiędzy światem agentur po tej stronie drutu czy po tamtej. Świat agentury szedł tą samą drogą, gdyż interesy zaborców w stosunku do Polski były jedne i te same czy po tej stronie drutu, czy po innej: jeżeli trzeba, żeby było coś z Polski, to niech to będzie jak najmniejsze, niech to będzie najmniej poważne i znaczne.

Panowie! W całym naszym legionowym przeżyciu mamy palmę pierwszeństwa przelewania krwi za Polskę, wziętą przez nas w okresie, gdy nikt o Polsce nie chciał myśleć, a palma męczeństwa przychodzi wtedy, gdy o Polsce zaczynają mówić na świecie, gdy Polska staje się wartością, gdy poczyna mieć swoją cenę. Ja, jako reprezentant ówczesny Legionów, powędrowałem do Niemiec, do więzienia, a wielu z was powędrowało do mniej wygodnych ubikacyj. Mnie, jako generałowi, nie chciano robić zbyt wielkich przykrości i dawano mi życie generalskie w więzieniu, podczas gdy was czekały gorsze rzeczy, — bo Szczypiorno, Benjaminów <sup>1)</sup> nie należały do przyjemnych ubikacyj. Tak samo w innych miejscowościach sekowano was należycie. Mnie sekowano, izolując absolutnie od świata, tak, ażeby swego wpływu nie mógł wyrzucić na nikogo.

Sprawa polska tymczasem wyrastała coraz bardziej, wyrastała nie powiem ażeby przez nas, przez Polaków. Dlatego, że myśmy za mało usiłowań sami w to włożyli i przy tych powodziach krwi, które wylano w tym czasie na świecie, strumyczek polski, który płynął wylaną krwią dla Polski, był zanedo znikomy i zanedo nieznaczny.

Proszę panów! Nadchodzi koniec roku 1917 i cały rok

---

<sup>1)</sup> W Benjaminowie zostali uwięzieni ci oficerowie legionowi — Królewiaczy — którzy w 1917 r. odmówili złożenia «beselerowskiej» przysięgi.



1918. Każdy z was żywo pamięta, jak sprawa polska szła już podskokami naprzód. Ile papieru zapisano wówczas o sprawie Polski we wszystkich gabinetach walczących państw. Ile projektów wydano, jak robić Polskę tak, aby jej nie było i ile najrozmaitszych dokonano usiłowań, aby to osiągnąć. To prawdopodobnie już przekracza rozmiar biblioteki wcale przyzwoitej. I pisano, i próbowano najrozmaitszych sposobów. Polska zaczyna być modna, zaczyna być kwestią, która jest dokuczliwa, gdyż trzeba wobec niej koniecznie zająć swoje stanowisko i trzeba koniecznie określić to stanowisko wszędzie na całym bożym świecie.

Zaczyna się okres, gdy za Polskę z musu leją krew inni, nie tylko Polacy, lecz prawie każde z państw walczących. Polska narasta jako pewnik, jako coś, co przychodzi, jako coś, co nadejdzie w tej czy innej postaci i co do życia ma prawo.

Do pracy, związanej z wyzyskaniem tej wielkiej prawdy narastania sprawy polskiej idzie, moi panowie, tylko agentura. Polska jest mocno od tej pracy odsunięta. Agentury były wygodne. Agentura bowiem polega na tym, że jeżeli kto płaci, to służby za zapłatę wymaga i nie ma w czasie wojny, gdy panują dzikie prawa wojenne, prawa odmowy, gdy człowiek jest zapłacony. Gdy, proszę państwa, w r. 1918 po przyjeździe z Magdeburga stanąłem do pracy państwowej polskiej i gdy w tym samym mundurze, w którym tu przemawiam, reprezentowałem Polskę i formowałem wojsko już polskie, miałem wgląd w sprawy świata nieco głębszy, niż poprzednio, i mogę panów zapewnić, że agentury państwowe, które się o polską skórę targowały i które się o nią układały według własnej woli, miały głębsze znaczenie, silniejsze i pewniejsze, niż wszystko, co agenturą nie było. Gdy przyszły historyk dostęp mieć będzie do tajnych archiwów poszczególnych państw — bo i te czasy zawsze nadchodzą — wtedy ujawnione będą być mogły «dossiers»<sup>1)</sup>, bo to tak technicznie się nazywa, każdego z płatnych agentów. Agentów określonych według ich ceny, według tego, ile kosztowali. Cena ich jak na giełdzie spada lub się podnosi. Gdyż to jest pewnik, że nikt nie chce płacić agentów za drogo. Agenci chcą podnieść i wyśrubować ceny za siebie i za swoją pracę, a odwrotnie państwa szukają zbiccia tej ceny, stawiając coraz silniejsze żądania. W tych «dossiers» znajdziecie nazwiska wielu waszych znajomych. Pracowano bowiem wtedy, rzucając sowicie pieniędzmi, jako systemem najtańszym wykpienia się ze sprawy polskiej, systemem, który

<sup>1)</sup> Zbiór dokumentów, akta dotyczące jakiejś osoby lub sprawy.



państwo mniej kosztował, który, cynicznie mówiąc, był po prostu interesem. Mówię jako człowiek, który wie, jaka jest cena, którą się za te rzeczy płaci.

Gdy więc legioniści zostali usunięci jako czynnik brutalnym nad nimi zwycięstwem za pomocą więzień, cała praca polska i cała sprawa polska trafiła do rąk agentur, złożonych z Polaków, którzy pracowali na rzecz państw różnych, nieraz na rzecz kilku państw, gdyż to w końcu wojny zaczęło być zupełnie w modzie. Ten agent był cenny, który potrafił pracować na rzecz kilku państw. Każde z nich trochę on zdradzi i w ten sposób dowie się nieco danych, sprzedając je innemu państwu. Ta moda dotychczas istnieje i stanowi dla mnie jeden z obiektów śmiechu, gdyż przyszedłem do przekonania, iż tacy agenci, którzy służą pięciu lub sześciu równocześnie, nie mają już żadnej wartości.

Tymczasem wojna doprowadziła do tego, że w rozpędzie i poszukiwaniu sposobów osłabienia państw walczących płacono agentom szalone sumy, zaoszczędzając w ten sposób krwi ludzkiej. Szukano sposobów szkodenia państwom najrozmaitszymi, najzłośliwszymi metodami, które opłacano pieniędzmi sowicie. Szukano bolączek państwa i rzucano agentury na to, aby znalazły sposób uderzenia w miejsce, gdzie boli, gdzie dostępu nie ma często bagnem, gdzie dostępu nie ma kula. Starano się zepsuć mechanikę państwa, z którym się walczyło, wprowadzając w nie coraz silniejszy rozkład. Przy ogólnym zmęczeniu wojennym szukano raczej rozkładu wewnętrznego przeciwnika i dlatego rzucano swych agentów w najbardziej bolesne dla państw walczących miejsca. Dlatego też żądano olbrzymich sum dla przekupienia ludzi, dla kupienia jakiegoś dziennikarza, dla kupienia jakichś panów, którzyby mogli szkodzić własnej ojczyźnie. Wyzyskiwano coraz to szybsze tempo męczenia się ludzi wojną, co otwierało drogi, które dawniej były zamknięte.

Proszę państwa w 1918 r. — zgodnie z piosenką legionową — «ni z tego, ni z owego była Polska na pierwszego». Żywo pamiętam ten czas. Od tego czasu liczę swoje przeżycia największe i najcięższe. Od tego bowiem czasu zacząłem pracować na Państwo Polskie, stojąc na jego czele. Proszę państwa, ten dziki chaos, w który wpadłem po powrocie z Magdeburga, dziki chaos sądów, zdań, myśli, dziki chaos ugrupowań, dziki chaos, niemożliwy do ułożenia w jakiegokolwiek łańcuchu. Te dzikie rozbieżności były tak wielkie, tak olbrzymie, że uważam to za jeden z cudów talentu, że mogłem z tego

chaosu wyprowadzić państwo na jakąś ścieżkę, gdyż wydawało się to wprost niemożliwością.

Skarżymy się teraz na wielką ilość stronnictw. Cóż dopiero mówić o owych czasach, gdy stronnictwa składały się z czterech lub pięciu ludzi, zebranych w jakiejś knajpce. Mianowali oni siebie stronnictwem, odsądzali wszystkich innych nie tylko od wszelkiej cnoty i wartości, ale robili z nich ludzi potwornych zbrodni i zapowiadali, że za żadną cenę, za żaden skarb, za żadne pieniądze i za żadne rzeczy na świecie nie pójdą nigdy z nikim — prócz ze sobą, w pięciu — razem jedną ścieżką. Chaos słów był tak wielki, że gdyby nie moja mocna głowa, tobym doprawdy zwariował od wysłuchiwania jednego dnia pięćdziesięciu ludzi. Wszyscy bezsilni, nie poczuwający się do żadnej siły, a żądający usłuchania ich recept zbawienia Polski, których sami nie byli pewni, ustępujący łatwo od każdego słowa, a za to tym zażarciej zwalczający obok mieszkającego sąsiada.

Wiem, że wśród panów znajdują się tacy, którzy mają do mnie pretensję, że z nimi za mało obcowałem podczas naszego zjazdu. Jestem człowiekiem, który przeżył rok 1918. Ja, proszę panów, wtedy po 20 godzin rozmawiałem z ludźmi<sup>1)</sup>, z jednym, drugim i trzecim, z dziesiątym i pięćdziesiątym, nie mogąc żadnego człowieka z drugim pogodzić, nie mając zupełnie możliwości postawić jednego obok drugiego z zamiarem współpracy. Z ludźmi, wyklinającymi tak łatwo swoich współbraci, odsądzającymi ich od czci i wiary tak swobodnie, uniemożliwiający mi swoim kłótniczym systemem pracę. Powtarzam, dość było przeżyć koniec 1918 r., żeby zbrzydzić sobie rozmowę z Polakami, żeby powiedzieć sobie, iż jest niemożliwością rozmawiać z Polakiem.

Powiadam, zaliczam to do cudów swej pracy, że w tak dzikim chaosie wybrnąć mogłem, zmuszając Polskę do postawienia pierwszych swych kroków jako państwo. Całe moje przeświadczenie, które z tamtych czasów wyniosłem, było nie inne, jak to, że istnieje olbrzymia trudność doprowadzenia jakiejś narady z Polakami do końca. Męcząca to praca tak dalece, że wytworzyłem całe mnóstwo pięknych słówek i określeń, które po mojej śmierci zostaną, a które naród polski stawiają w rzędzie idiotów. Tak zniechęciły mnie rozmowy wspólne z dziesięcioma Polakami razem. Jakie cudackie argumenty wytaczano, ażeby zapomnieć o tych argumentach nazajutrz, aby mówić nazajutrz co innego w porównaniu z tym,

<sup>1)</sup> Por. t. V, str. 18 i 19.

co mówiono wczoraj. Jakie cudackie prawa myślenia wynajdywano, ażeby udowodnić, że ktoś jest tak winny, że trzeba go powiesić, zamiast z nim rozmawiać. Jak ciężko było dojść do jakiegoś rozstrzygnięcia w tej sytuacji, gdy się chciało pracować z innymi.

Pamiętam, proszę państwa, moje myśli i moje decyzje, które sobie wówczas stawiałem. Stawiałem mianowicie prawdy następujące:

Nasze legionowe bohaterstwa i nasze legionowe zwycięstwa musiały być osamotnione dlatego, że aby być bohaterem, trzeba było wtedy za wiele żądać od przeciętnego człowieka. Ale teraz Polska jest już państwem. Może wynagradzać ona będzie męczeństwo i blizny balsamem zalewać. Stanie się podobna do innych państw i bohaterów na czoło jako wzór postawi i laurem im zapłaci. Myślałem, że wraz z odrodzeniem Polski materialnym i duchowo Polska odradzać się zacznie, że wyzbywać się zacznie tchórzostwa i wyzwalać się zacznie od pracy agentur, że przestanie pracę dla obcych uważać za najrozumniejszą i za najpewniejszą pracę dla Polaka.

Gdy kończyła się wojna, a Polska rodziła się wraz ze skończeniem wojny, kiedy cały świat pokój wyzyskiwał dla siebie, a myśmy o dwa lata dłużej w porównaniu ze światem wojować musieli, przyglądałem się bacznie, szukając ustawicznie stwierdzenia lub osłabienia prawdy, którą dotychczas, t. zn. do r. 1918 spotykałem. Prawdy, że naród polski jest słaby wewnętrznie, że z trudem zdobywa się na prawdy mocne, silne, samodzielne i dlatego łatwo służy obcym, dlatego nie widzi wstrętu do służby obcemu, — a nie dla siebie jedynie — że zatem jest mniej wartościowy w porównaniu z innymi narodami, u których tego nie znajduje.

Przeżycia moje, jako Naczelnika Państwa, w wielu rzeczach odskakują już od przeżyć moich, jako legionisty. Nie wątpię bowiem, że legionisci, trzymając palmę pierwszeństwa i palmę męczeństwa Polski, znaleźli w okresie już niepodległości bardzo wielu współtowarzyszy, współkolegów, bardzo wielu współpracowników, tak, że nie będąc dość liczni, zaczęli tonąć w masie, która — zgodnie z moimi oczekiwaniami — wraz z państwem polskim wyrastała <sup>1)</sup>). Uczucie ulgi nieraz znalazłem w moich pracach i myślach jako Naczelnik Państwa i Naczelnym Wódz, myśląc o sile państwa w stosunku do zadań, jakie wojna zawsze wysuwa — zadań szukania zwy-

<sup>1)</sup> Myśl ta sama jaśniej została wypowiedziana na str. 92, w. 16—21.

cięstwa. Jeżeli jednak dotknę tu prawdy służenia obcemu, to ta prawda nie zmaląła.

Nigdy nie zapomnę wrażeń moich, jako Naczelnika Państwa, gdy nasz hymn narodowy, nasz sztandar narodowy był nieco śmieciuchem, rzuconym w kąć dla sztandarów obcych i dla hymnów obcych, tak, jakby Polacy pokazać chcieli, że to są mniejsze wartości, aniżeli wszystko, co nie jest polskie. Widziałem starania ustawiczne i stale idące bez ustanku w jednym i tym samym kierunku, aby agentury obce, płatne, były możliwie na górze państwa. Szły one krok w krok obok mnie jako Naczelnika Państwa, szukając wytworzenia kilku rządów w Polsce — obok rządów, stojących przy mnie, — rządów agentur, stojących poza mną. Widziałem uśmiechy reprezentantów obcych państw, gdy śmiało w oczy mi patrząc, mogli powiedzieć, że moje zamiary mogą być zniszczone zupełnie nie przez kogo innego, jak przez polskich agentów. Widziałem to, proszę państwa, i nieraz uciekałem ze swymi zamiarami do odległego pokoju, aby sekretów państwa nie wydać na rozszarpanie obcym. Uciekałem nieraz od moich najbliższych pomocników, dlatego, aby moje prawdy i moje zamiary nie były wydane na łup kogokolwiek bądź, byle był cudzoziemcem. Nigdy nie byłem pewien, że gdy piszę rozkaz, nie będzie on czytany prędzej w biurach wszystkich obcych państw, niż przez moich podwładnych. Nie byłem nigdy pewny, czy taki lub inny mój zamiar polityczny nie będzie natychmiast skontrolowany przez agentury państw obcych z taką siłą i pewnością, że musiałbym się go wyrzec.

Jeżeli więc, panowie, pod względem tej szarej pracy, która niegdyś szła koło nas, koło legionistów, jako sentymentalna prawda niemocy i lezki ronionej, poprawiliśmy się znacznie, to nie poprawiliśmy się, moi panowie, pod względem agentur obcych, idących krok w krok za naszym państwem. Mówię to śmiało, gdyż jest to moja prawda, jako Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza podczas wojny, prawda, którą śmiało zostawiam historii, jako prawdę przeze mnie zbadaną aż do dna, a odczuta bardziej boleśnie, niż wszystkie inne prawdy.

Mogę panom powiedzieć, że system moich kalkulacji zawsze rozbijał się nie o co innego, jak o tę siłę agentur obcych, płatnych przez obcych dla szkodenia Polsce, aby nie była ona zbyt silna, aby nie miała tej siły, jaką mogłaby mieć w tej czy innej chwili. Nieraz myślałem sobie, moi panowie, że tak wstrętnej prawdy żadne państwo nigdy w swoim życiu nie miało i gdy szukałem porównań historycznych, znajdowa-



łem zawsze momenty upadku Polski, gdy, proszę panów, ludzie dzielili się pomiędzy sobą tylko tym, od kogo pensję brali, czy od protektorki Polski — imperatorowej Katarzyny II, czy od przyjaciela Polski — Fryderyka Wielkiego, czy od trzeciej konkurentki — Marii Teresy.

Przypomnę tu jeden fakt, który żywo stanął mi w oczach, gdy oglądałem olbrzymi pałac<sup>1)</sup> zbudowany przez księcia Sułkowskiego<sup>2)</sup>, jednego z najbardziej wykształconych magnatów polskich. Mógł on, z własnego skarbcza łożąc, wybudować sobie olbrzymi pałac z 250 pokojami, a zatem sięgający do wielkości Watykanu. Mógł sobie pozwolić na taki zbytek w owych czasach, aby dla swoich koni kryte olbrzymie maneże budować. Magnat ten majątek swój chciał zostawić Komisji Edukacyjnej, a zatem dążył do kultury w Polsce, do jej podwyższenia, do jej ustalenia. I ten sam książę Sułkowski wymieniony jest w liście pensjonariuszy Katarzyny II, jako pobierający rocznie 150 dukatów. On, człowiek, który taką sumę mógł przegrać codziennie w karty. Znaczy to, że czuł się on w obowiązku brania pensji od imperatorowej, jako jej sługa i jej pokorny wielbiciel. Powiem państwu, że ten obrazek z historii, który mi stanął w oczach, przypominał mi się ciągle, gdy byłem Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem. Zdawało się niekiedy, że służba obcemu jest najbardziej honorowa, jest najbardziej zaszczytna, jest najbardziej narodowa.

Przypomniałem czas początku Legionów, gdyśmy, chodząc w oberwanej odzieży, chcieli krew przelewać jedynie dla Polski i gdyśmy w najlepszym razie mogli zyskać za to miano wariatów albo jakichś wypędków od rozumu i honoru.

Przypomniałem czas Legionów, gdy agentury obce były silniejsze, niż wszelkie prawdy polskie, gdy służbę dla obcych stawiano jako rozum stanu i mądrość stanu Polski.

My, legioniści, pełni bohaterstwa wyszliśmy na przelanie krwi tylko dla Polski.

Przez agentury wszystkich trzech zaborców zostaliśmy natychmiast upstrzeni i splamieni tak, aby nasze bohaterstwo

<sup>1)</sup> Mowa o pałacu w Rydzynie.

<sup>2)</sup> Ks. August Sułkowski (1729—1786) wychowany na sposób cudzoziemski, służył najpierw dworowi wiedeńskiemu. Mianowany przez Stanisława Augusta pisarzem wielkim koronnym i drugim komendantem korpusu kadetów, oddał się na usługi Repnina i za jego protekcją został w 1768 r. wojewodą gnieźnieńskim. W 1776 r. został wojewodą kaliskim, w 1782 r. — wojewodą poznańskim. Był członkiem Komisji Edukacyjnej Narodowej. Własnym kosztem założył w Rydzynie kolegium pijarów i szkołę kadecką dla ubogiej szlachty.



wyglądało jak najbrzydziej, jak najwstrętniej, aby naszej krwi, która oszczędna być musiała, nie było zanadto, aby nie była zbyt znaczna i zanadto widoczna, bo to przeczyło interesom wszystkich zaborców. Od pierwszej chwili naszego życia znaleźliśmy tuż obok siebie z jednej strony agentury, z drugiej bezmoc naszej Ojczyzny. Przez dwa lata naszej pracy zjawiska te idą krok w krok obok siebie.

W następnych dwóch latach państwa, umęczone przez wojnę, szukają ciężarka, aby go na szalę wypadków rzucić i wagę, stojącą dotychczas w równowadze, w tę czy w inną stronę przechylić. W poszukiwaniu ciężarków znaleziono także i sprawę polską, i agentura idzie natychmiast wszędzie na zwycięstwo nad nami i nad naszą pracą. Zwycięża ona nas w roku 1917, kładąc nas bezpowrotnie, rzucając nas w więzienia i dając nam w rękę palmę męczeństwa.

Gdy Polska się zaczyna, zaczyna się polepszenie stosunków, My, legionieści, nie jesteśmy wtedy wcale jedynymi Polakami, którzy za Polskę krew otwarcie przelewali. Idzie za nami całe mnóstwo ludzi, tak, że w tej masie płyniemy i nie możemy brać na siebie przedstawicielstwa tej krwi, którą Polacy na polach bitew i w szalonych wysiłkach przelali.

Lecz zwycięstwa nad agenturami nie odnieśliśmy wcale. Agentury, jak jakieś przekleństwo idą dalej bok w bok i krok w krok.

Moi panowie, gdym wziął za temat tę prawdę, wybrałem ją rozmyślnie i nie dla czego innego, jak dlatego, aby kropkę nad «i» postawić, aby nie było powiedziane, że my musimy menażować prawdy agentury. Polskę, być może, czekają i ciężkie przeżycia. Podczas kryzysów — powtarzam — strzeżcie się agentur. Idźcie swoją drogą, służąc jedynie Polsce, miłując tylko Polskę i nienawidząc tych, co służą obcym.

### LIST DO JADWIGI DANIŁOWSKIEJ

(22 października 1927 r.)

*Dnia 21 października 1927 r. zmarł powieściopisarz, przez długi czas członek PPS., legionista, Gustaw Daniłowski.*

*Piłsudski do wdowy po Gustawie Daniłowskim wysłał dnia 22 października niżej przytoczony list z wyrazami współczucia.*

*List podajemy według «Głosu Prawdy» z dn. 25 października 1927 r.*

Szanowna pani!

Jestem głęboko wzruszony zgonem ś. p. Gustawa Daniłowskiego. Pragnę wyrazić cały żal mój i współczucie. Odchodzi od nas bojownik wolności niestrudzony, pisarz, czujący sercem i krwią, żołnierz sprawy ojczyznej, człowiek czystości charakteru nieskazitelnej. Ból tej ciężkiej straty, który Panią dotyka, niech umniejszy żałoba, okrywająca myślącą część społeczeństwa i dawnych towarzyszy broni.

Warszawa, 22 października 1927 r.

Józef Piłsudski.

## POŻEGNANIE GENERAŁA ŻELIGOWSKIEGO

(27 października 1927 r.)

*Gen. Lucjan Żeligowski na własną prośbę przeszedł dnia 31 sierpnia 1927 r. w stan spoczynku. Piłsudski, chcąc dać wyraz swego szacunku dla gen. Żeligowskiego, wydał na jego cześć dnia 27 października 1927 r. w warszawskim oficerskim kasynie śniadanie, w którym wzięli udział członkowie rządu i generalicji, i podczas którego Piłsudski wypowiedział niżej przytoczone przemówienie.*

*Podajemy je według «Głosu Prawdy» z dn. 28 października 1927 r.*

Żegnaj Cię, panie generale, w imieniu rządu i armii. Zyczę Ci, byś na tej nowej dla się drodze życia zaznał spokoju i ukojenia po wzruszeniach, jakie przeżywałeś razem z nami. Nie chcę tu podnosić twej pracy i twych zasług w poszczególnych wypadkach, bo wszystko to jest zapisane w historii. Podkreślam jednak, że zawsze, zarówno na stanowisku Naczelnika Państwa, jak i Naczelnego Wodza, ceniłem wysoko twoje zalety — szczerłość i uczciwość żołnierską. Honor służby, który cechował cię, cenię wyżej ponad honor osobisty, bo ten honor jest tak niezwykle trudny do utrzymania, że wobec niego wszystkie prawdy bledną, blednie wobec niego nawet honor osobisty.

We wspomnieniach moich zostałeś na zawsze, jako rycerska prawda służby honoru, jako prawda człowieka, który włożył czysty mundur i takim go nosi. Zarówno w służbie państwowej, jak i w wojsku umiałeś, generale, zyskać szacunek nie tylko dla siebie, ale i dla służby. Należysz do tych postaci, dla których w historii szacunek nie zaginie. Dziś, żegnając cię w imieniu rządu i wojska, chcę ci powiedzieć, że jesteś i będziesz niezapomnianym wśród nas — swoich przyjaciół.

## PRZEDMOWA DO DRUGIEGO WYDANIA «ROKU 1920»

(pierwsze dni listopada 1927 r.)

*W r. 1927 «Instytut Badania Najnowszej Historii Polski» przygotował do druku drugie wydanie «Roku 1920». Do tego wydania Piłsudski napisał w pierwszych dniach listopada 1927 r. niżej przytoczoną przedmowę. Wyraża on w niej swój żal, że przyjęta przez niego konstrukcja pracy: «Rok 1920» jako polemiki z Tuchaczewskim zrobiła z jego książki «przyczynek jedynie historyczny, a nie właściwą historię» — i daje krytyczną ocenę polskich publikacji historycznych, odnoszących się do tego okresu czasu.*

*Tekst przedmowy podajemy według drugiego wydania «Roku 1920».*

Kiedym trzy lata temu pisał swoją książkę, nieraz przy pisaniu zastanawiałem się nad specjalną jej konstrukcją, która mnie ustawicznie krępowała. Związałem się bowiem względnie niewielką broszurką p. Tuchaczewskiego, któremu w ten sposób pozostawiłem inicjatywę w konstrukcji swojej własnej pracy. Gdy teraz już minęły trzy lata, ten zasadniczy błąd — na który rozmyślnie zresztą szedłem — wywołuje we mnie jak gdyby coś w rodzaju żalu. Z powodu bowiem przyjęcia tej właśnie konstrukcji, zrobiłem ze swojej książki przyczynek jedynie historyczny, a nie właściwą historię. Opuszczałem więc całę mnóstwo i swoich własnych przeżyć, i czynności dowodzonego przeze mnie wojska, i mnóstwo danych, związanych z przeżyciami historycznymi mego narodu, które nieraz stanowiły decydujące motywy mojego postępowania, jako Naczelnego Wodza, dlatego jedynie, by nie zadać kłamu konstrukcji małej broszury, związanej z przeżyciami i państwowymi, i wojennymi nie naszej strony, lecz strony nieprzyjacielskiej. Pomimo jednak żalu, który odczuwam, muszę się pogodzić z faktem, tak, jak on się stał w rzeczywistości życia.

Przy drugim wydaniu nie jestem w stanie osobiście naprawić tego błędu, tak, jak nieraz marzyłem, że to kiedyś zrobię. Zbyt zajęty jestem bowiem sprawami państwowymi i nie zdołałbym nigdy przepracować ogromnego materiału, który z taką pracą jest związany. Nie potrafiłbym nawet wymusić na sobie przestudiowania zwiększonego w ilości materiału historycznego ściśle wojennego, który od czasu wydania mojej książki w druku się ukazał. Zastąpił mnie w tej właśnie części pracy historycznej przyjaciel mój, gen. Stachiewicz, któremu niezmiernie wdzięczny jestem, że zechciał się tego podjąć, dając mi swoją współpracę równie chętnie, jak dawał ją przy

pierwszym wydaniu, jako szef naszego Wojskowego Biura Historycznego. Zestawienia literatury historycznej, uczynione przez niego i jego współpracowników, znajdzie czytelnik w przypisach<sup>1)</sup>. Naturalnie, ten system i ta konstrukcja szkodzić musi samej książce, gdyż nie jest to przepracowanie podane w tekście i związane organicznie z samą książką. Lecz innego wyjścia wraz z p. gen. Stachiewiczem nie znalazłem.

Materiał historyczny, który był do przepracowania, wyrosł przez tych kilka lat do znacznych rozmiarów i wyświetlił dość wielką ilość zjawisk, które przy pisaniu książki mogły być czy wątpliwymi, czy niejasnymi. Niestety, nasz ówczesny nieprzyjaciel prześcignął nas w tej sprawie bardzo znacznie. Nietylko bowiem praca historyczna rosyjska prześciga nas pod względem ilości roboty, w historię włożonej, ale różni się także od naszych prac swoją jakością. Już przy wstępie, napisanym przeze mnie w r. 1924, zakończyłem swoją przedmowę słowami: «Kończę wstęp wyrażeniem żalu, że niektóre nasze publikacje historyczne stoją, niestety, tak nisko, że ani dobrym źródłem być nie mogą, ani zasługiwać nie są w stanie na porównanie z pracą w tej dziedzinie naszych byłych przeciwników, a często, zbyt często, robią wrażenie prac żaka szkolnego, który, wiedząc, że zawinił, błagą i nadrabianiem miny oszukać się stara surowego nauczyciela — historię». Nie mógłbym cofnąć swego określenia, niestety, i teraz, gdyż na publikacjach «historycznych» naszych nie radziłbym nikomu z poważnych historyków opierać swoje sądy, ani też wyrabiać swe zdanie, nawet, gdy chodzi o publikacje oficjalne.

Przeglądając jedną z książek, wydanych w Rosji, a mianowicie książkę p. Witolda Putny<sup>2)</sup>, który podczas operacji warszawskiej dowodził 27-mą dywizją sowiecką, należącą do 16-ej armii i zwycięską przy szturmie na Radzymin, znalazłem bardzo ciekawy i rzadki w historii wojny ustęp, opisujący fakt zerwania istotnej łączności wszystkich dywizyj tejże 16-ej armii z dowódcą armii już dnia 18 sierpnia. Zerwanie tej łączności nastąpiło w tak gruntowny sposób, iż od dnia tego aż do wieczora dnia 25 sierpnia dowództwo 16-ej armii, odchodząc ku wschodowi aż za Wołkowysk, nie dowodziło właściwie swoimi wojskami, gdyż przez cały ten czas moje

<sup>1)</sup> Przypisy te znajdują się w II wydaniu «Roku 1920» na str. 291—378. O powodach nieumieszczenia tych przypisów w t. VII «Pism zbiorowych» mówi Józef Moszczeński w swoim wstępie do t. VII «Pism zbiorowych», str. 7.

<sup>2)</sup> Mowa tu o książce Witolda Putny: «K Wiśle i obratno», wydanej w Leningradzie w r. 1927.



prawo-flankowe dywizje — 1-sza z kawalerią, a potem i 21-sza (górska) — stały i poruszały się pomiędzy dowództwem armii 16-ej a cofającymi się w bezładzie dywizjami tejże 16-ej armii ku północo-wschodowi w stronę Białegostoku. Nie przeszkodziło to jednak, jak stwierdza p. Witold Putna, dowódcy i sztabowi 16-ej armii wydawać codzienne rozkazy do każdej z dywizyj przez cały ten czas, pomimo, iż ani raporty od dywizyj do armii, ani rozkazy od armii do dywizyj nie dochodziły nigdy. To znaczy, iż historia istotna i realna szła swoją drogą realności zjawisk, swoją zaś zupełnie odrębną drogą biegu fikcyjne rozkazodawstwo, zapisane w dokumentach.

Polskie publikacje historyczne oficjalne, specjalnie praca nad bitwą warszawską szefa do niedawna naszego Biura Historycznego <sup>1)</sup>, są pisane w ten właśnie sposób, jak gdyby kto chciał opisać działanie 16-ej armii na podstawie dokumentów dowództwa tejże armii, wtedy, gdy pisało ono rozkazy bez związku z wojskami i realnością zjawisk wojennych, gdy 16-ta armia była odłączona i żadnych stosunków z armią swoją, to jest żołnierzami i dowódcami dywizyj, nie miała. Ten oryginalny sposób pisania historii bez związku z realnością zjawisk wojennych był, niestety, jak dotąd, charakterystyką literatury historycznej polskiej. Muszę więc, niestety, żał swój, który w przedmowie do «Roku 1920» wyrażałem, — wyrażać i teraz.

## PRZEMÓWIENIE W AMBASADZIE FRANCUSKIEJ

(19 listopada 1927 r.)

*Dnia 18 listopada 1927 r. Marszałek Francji Franchet d'Esperey dekorował Piłsudskiego na dziedzińcu Zamku królewskiego najwyższym francuskim odznaczeniem wojskowym: «Medalem Wojskowym». Następnego dnia ambasador Francji Laroche wydał obiad, na którym po mowie ambasadora Laroche'a na cześć przymierza polsko-francuskiego i po toastie Marszałka Franchet d'Esperey'a na cześć Piłsudskiego, Piłsudski wypowiedział niżej przytoczone przemówienie, które podajemy według «Głosu Prawdy» z dn. 20 listopada 1927 r.*

Panie ambasadorze, panie marszałku!

Żywo poruszony tak serdecznymi słowami, z jakimi panowie zwrócili się do mnie, pragnę podziękować panom go-

<sup>1)</sup> Mowa o pracy gen. Mariana Kukiela drukowanej w «Bellonie» (sierpień 1925) p. t.: «Pierwsze wytyczne operacji warszawskiej». Por. t. VIII, «Niecico o biurze historycznym», str. 217—239.



rażo i powiedzieć panu, panie marszałku, raz jeszcze, jak głęboko odczuwam wyróżnienie ze strony Jego Ekscelencji Pana Prezydenta Republiki, który w celu nadania mi najwyższego francuskiego odznaczenia wojskowego, polecił panu, panie marszałku, doręczyć mi jego insygnia.

Dumny z tego, że będę nosił medal wojskowy, który symbolizuje w mych oczach nieśmiertelną chwałę armii francuskiej, witam w pana osobie jednego z najznakomitszych i najbardziej bohaterskich jej wodzów, przypominając tak czynną rolę, jaką pan odegrał w charakterze generalissimusa na jednym z najważniejszych frontów<sup>1)</sup> i przyczynił się do zwycięskiego końca wojny światowej.

W imieniu armii polskiej wyrażam naszą szczerą radość, że widzimy pana pośród nas i że możemy okazać panu całą przyjaźń i te wszystkie uczucia braterskie, jakie żywimy względem pełnej chwały armii sprzymierzonej, której jest pan tak godnym i tak znakomitym przedstawicielem.

Wysokie zalety, jakie wyróżniają tę armię, są zarazem zaletami całego narodu francuskiego. Podobnie węzły tak serdeczne i tak przyjacielskie, jakie istnieją pomiędzy armią francuską i polską, łączą również całe nasze kraje.

Wznosząc puchar za zdrowie pana, panie ambasadorze, pana, który reprezentuje tutaj Francję i przyjmuje nas z tak niezwykłą gościnnością, oraz za zdrowie pana, panie marszałku, wyrażam me bardzo gorące życzenia chwały i szczęścia dla waszej wielkiej ojczyzny.

---

## WYWIAD UDZIELONY POLSKIEJ AGENCJI TELEGRAFICZNEJ W SPRAWIE LITWY

(30 listopada 1927 r.)

*W drugiej połowie 1927 r. stosunki polsko-litewskie znacznie się zaostrzyły. Rząd Waldemarasa, nie bardzo pewny swego stanowiska w kraju, począł uprawiać politykę skrajnie nacjonalistyczną. Zamykał szkoły i towarzystwa polskie, aresztował działaczy polskich. Rząd polski został zniewolony do zastosowania w początku października 1927 r. środków odwetowych, musiał zamknąć litewskie seminarium nauczycielskie w Wilnie, kilkanaście szkół litewskich na Wileńszczyźnie i wydalić pewną ilość Litwinów działa-*

---

<sup>1)</sup> Marsz. Franchet d'Esperey w czerwcu 1918 r. został naczelnym wodzem armij sojusznicznych na Bałkanach, doprowadzając do zwycięstwa państw sojusznicznych na tym froncie.

jących na szkodę państwa. Rząd litewski wniósł 15 października 1927 r. do Ligi Narodów skargę na te zarządzenia Polski, pomawiając ją o agresywne zamiary wobec Litwy. W listopadzie rząd Waldemarasa wydał zarządzenia o charakterze mobilizacji skierowanej przeciw Polsce. Sowiety i Niemcy poszły w sukurs dyplomatyczny Litwie.

Rząd polski dnia 28 listopada 1927 r. wysłał notę cyrkularną do państw, w której po stwierdzeniu, że Polska nie żywi w stosunku do Litwy żadnych agresywnych zamiarów, domaga się od państw użycia przez nich wszystkich środków dla przelamania stanowiska Litwy, która nie chce nawiązania normalnych stosunków z Polską i głosi uparcie, że znajduje się z nią w stanie wojny.

Niżej przytoczony wywiad udzielony Polskiej Agencji Telegraficznej dnia 29 listopada 1927 r. jest uzupełnieniem wspomnianej noty. Piłsudski wskazuje w tym wywiadzie na anormalne zjawisko, wynikające z utrzymywania przez Litwę stanu wojny jej z Polską, podaje motywy, które skłoniły go do zaniechania mobilizacji ze strony Polski, i atakuje w ostry sposób Waldemarasa.

Wywiad podajemy według «Monitora Polskiego» z dn. 1 grudnia 1927 r.

Nota nasza, rozesłana do wszystkich państw, gdzie jesteśmy reprezentowani, zwraca się do tych państw z prośbą o pomoc w pracy naszej nad zniesieniem stanu wojny na naszych granicach.

Stan wojny, utrzymywany w stosunku do nas przez Litwę, jest jedynym istniejącym w chwili obecnej na świecie; jest anomalią i stanem chorobliwym tego zakątka kuli ziemskiej.

Granice nasze z Litwą są z tego powodu całkiem niepodobne do innych na świecie. Stanowią one tu przedmiot stałej trwogi i niepokoju, gdyż tu żadna praca normalnie prowadzona być nie może, gdzie, jak dawniej na dzikich stepach naszych kresów, praca idzie jedynie pod osłoną broni, gdzie brat nie może latami widzieć brata, matka umierająca nie może pożegnać na łożu śmierci dzieci, gdzie nie można mieć żadnego, drobnego nawet interesu<sup>1)</sup>, gdzie wieść potrzebna czy pełna od swoich bliskich dochodzi, pomimo małej przeszkazy, dopiero po tygodniach czy miesiącach<sup>2)</sup>.

My, Polacy, pomimo to wszystko, utrzymywaliśmy stale stan pokoju, spodziewając się wytrwałym i spokojnym zacho-

<sup>1)</sup> Niechęć Litwy do nawiązania normalnych stosunków dyplomatycznych z Polską sprawiała, że nikt z Polski nie mógł wyjechać do Litwy i odwrotnie.

<sup>2)</sup> Było to wynikiem braku — z winy Litwy — konwencji pocztowej między Polską a Litwą.

waniem się przyzwyczać przeciwników do pokoju, ustalić ten stan i przetrwać w nim, szukając lekarstwa na błędy stanu wojny w czasie. Gdy nie z naszego powodu i nie z naszego zażalenia sprawa ta przeszła do Ligi Narodów, stan rządu p. Waldemarasa stał się nerwowym i podnieconym tak dalece, że rozpoczęto zarządzenia mobilizacyjne. Gdym się o tym dowiedział, spędziłem noc całą na szukaniu decyzji. Nie mogłem nie widzieć skutków opóźnienia naszej mobilizacji. Mimo, iż wiedziałem, że w prędkim czasie zwycięstwo będzie moje, drzeć musiałem, że groza wojny wisi nad tymi częściami kraju, które staną w pożdże, gdy nie zdążę na czas biegnąć tam z pomocą. Rozum i logika wojny każe śpieszyć z odpowiedzią na mobilizację przyspieszoną pracą, by się nie dać wyprzedzić przeciwnikowi, — każda godzina bowiem opóźnienia grozi gdzieś komuś śmiercią czy ruiną bytu. Przy stanie wojny, który nam rząd litewski narzuca od tak dawna, miałem przemyślaną tę chwilę, gdy wypadnie mi decydować o naszej odpowiedzi.

Tym razem sprawa stanu wojny oddana jest na forum międzynarodowe, gdzie prawa pokoju, a nie wojny, są prawdą wyznawaną.

Zdecydowałem pójść za wyższą racją stanu i za wyższą logiką i już nazajutrz zadeklarowałem p. ambasadorowi Francji <sup>1)</sup>, że zdecydowałem nie mobilizować, czekając decyzji Rady Ligi Narodów w odpowiedzi na naszą notę.

Uważam za swój obowiązek wyjaśnić te względy, które sytuację czyniły najcięższą, gdym ważył motywy, które prze mogły prostą decyzję o mobilizacji.

Prezes rządu litewskiego, p. Waldemaras, wzbudza we mnie obawę z powodu stanu swego umysłu; jest, zdaniem moim, niepoczytalnym. W wymuszonych na nim pertraktacjach z nami uznał, że jest z nami w stanie wojny i żądał, by Polska za zmienienie stanu wojny czymkolwiek mu zapłaciła, tak, jak gdybyśmy tę wojnę już przegrali. Powiedzieć można, że jest tylko bezczelny.

Teraz, w jednej ze skarg na nas dowodzi, że Piłsudski swoim wyjazdem do Wilna, skąd pochodzi i ma swą rodzinę, zagraża bytowi państwa litewskiego <sup>2)</sup>. Bardzo wdzięczny był-

<sup>1)</sup> Ambasadorem Francji w Polsce był wtedy Laroche.

<sup>2)</sup> Mowa o drugiej skardze, wniesionej przez rząd litewski do Ligi Narodów dnia 26 listopada 1927 r., w której Waldemaras, wskazując na bytność Piłsudskiego w Wilnie dnia 9 października 1927 r. podczas obchodu rocznicy zajęcia Wilna przez gen. Żeligowskiego i na narady jakie wtedy Piłsudski odbywał, pisał: «nie może być żadnej wątpliwości, że Marszałek Piłsudski przybył do Wilna z zamiarami, dotyczą-

bym za ten komplement, świadczący o potędze mojej osoby, lecz każdy przyzna, że to argument, zaczerpnięty z bogactw rozumu ludzi, przebywających w szpitalu wariatów. Oto, dalej jeden z argumentów jednej z not dyplomatycznych tego pana — za stan pokoju Polska ma zapłacić pomocą niedoleżnej gospodarce tego pana w Kłajpedzie, dając gwarancję wywozu pewnego «quantum» swych towarów przez Kłajpedę. Lecz wobec tego, że większość towarów będzie pochodzić z Wileńszczyzny, p. Waldemaras oświadcza, że właściwie prawnie należą one do Litwy, więc można je skonfiskować po drodze, nim przyjdą do Kłajpedy, której byt ma być podtrzymany wywozem z Polski. Gdy dodam, że ten superpatriota litewski był długi czas Rosjaninem, potem Niemcem i wreszcie Litwinem, to każdy mi przyzna, że mamy do czynienia ze zjawiskiem niemal szpitalnym.

Gdy więc pomyślałem, że w stanie nerwowego podniecenia mogą być czynione niepoczytalne kroki, które łatwo wywołać mogą decyzje, prowokujące gwałtem Polskę, z wielkim ciężarem na duszy ulegałem wyższej racji stanu i wyższej nad wojnę i jej prawdami prawdzie pokoju. Uważam więc w obecnej chwili za swój obowiązek zwrócić się z apelem do swych współobywateli, by ze spokojem, umiarem i z należytą powagą zechcieli zachować się wobec groźby, do nas skierowanej, gdy miecz się znajduje w ręku szaleńca. Proszę wszystkich o spokój i spokojny stosunek do wieści i plotek, które w takich czasach krążą.

A przy zachowaniu takiego spokoju, ufam, że po przejściu kryzysu, w co chcę wierzyć, będziemy dumni, iż wbrew oczekiwaniom wszystkich wrogów naszych wykazemy tę prawdę siły, którą daje opanowanie siebie, tak potrzebne we wszystkich ciężkich chwilach.

Wreszcie jeszcze jedno. Przy okrutnych prześladowaniach, jakie teraz panują na Litwie w stosunku do przeciwników rządu, wielu z Litwinów szuka ucieczki i przytułku na naszej ziemi<sup>1)</sup>. Jeżeli żałować można, że dzięki stanowi wojny

---

cymi losu Litwy. Fakt, iż przywiózł on ze sobą ministra spraw zagranicznych p. Knolla, dowodzi, że sprawy polityki zagranicznej grały tu doniosłą rolę. Nie łatwiej jest odgadnąć, jaki plan działania przywieziono do Wilna, jednakże akcja, mająca na celu prześladowanie Litwinów, wskazuje dobitnie, że miała ona być skierowana przeciwko Litwie i że nie odznaczała się pokojowością. Prasa polska w sposób niedwuznaczny zamieszczała pogróżki wojenne».

<sup>1)</sup> Rząd Waldemarasa zastosował wówczas bardzo ostre środki represyjne przeciw swej opozycji. Skutkiem tego wielu działaczy litewskich musiało szukać schronienia na terytorium Polski.



nie mogliśmy współżyć ze swymi, tak drogimi sercu wielu współrodaków, sąsiadami, to gdy wreszcie z powodu nieszczęść w ich kraju przybyło do nas liczne ich grono, wzywam wszystkich do okazania im gościnności i pomocy w ich biedzie.

Polska zna z tak niedawnej przeszłości, co znaczy dola emigranta, niepewnego swej przyszłości i przebywającego w bólu tęsknoty za swym zagonem. Najpiękniejsze porywy naszej poezji, które duszę naszą rzeźwiły, powstały z pracy takich emigrantów. Niech nie zaznają, gdy są u nas, gorzkiego chleba pogardy i niechęci.

### PRZEMÓWIENIE NA TAJNYM POSIEDZENIU RADY LIGI NARODÓW (10 grudnia 1927 r.)

*Na jednym z punktów porządku dziennego grudniowej sesji Rady Ligi Narodów była sprawa polsko-litewska. Litwa pragnęła na tym forum uzyskać wycofanie ze strony rządu polskiego odwołanych jego zarządzeń w stosunku do ludności litewskiej w Polsce. Polska zgodnie ze swą notą cyrkularną z dnia 28 listopada 1927 r. dążyła do zmuszenia Litwy, by wyrzekła się ona stanu wojny z Polską.*

*Pierwsze posiedzenie Rady Ligi, poświęcone sporowi polsko-litewskiemu, odbyło się dnia 7 grudnia 1927 r. Waldemaras, popierając swoje noty, skarżące się na zarządzenia Polski, domagał się wyznaczenia międzynarodowej komisji dla zbadania położenia ludności litewskiej w Wileńszczyźnie. Minister Spraw Zagranicznych Zaleski domagał się ustalenia ze strony Litwy normalnych stosunków pokojowych. Referentem sprawy został obrany Holender Beelaerts van Blockland.*

*Dnia 9 grudnia 1927 r. przyjechał do Genewy Piłsudski i odbył kilka konferencyj z przedstawicielami innych państw.*

*Przemówienie Piłsudskiego na tajnym posiedzeniu Rady Ligi Narodów odbytym dnia 10 grudnia 1927 r. rano było podane w ówczesnej prasie polskiej w różnych relacjach. Wydawcy «Pism — Mów — Rozkazów» oparli się na sprawozdaniu «Ilustrowanego Kurjera Codziennego».*

*Nie wdając się w ocenę, które ze sprawozdań dziennikarskich najwierniej oddaje wypowiedzenia Piłsudskiego, woleliśmy się tu oprzeć na protokóle urzędowym z tego posiedzenia.*

*W czasie tajnych jednak posiedzeń Rady Ligi Narodów sporządzane są jedynie protokoły analityczne bez stenogramu przemówień. W tak sporządzanych protokółach gubi się dynamika wystąpień. Dlatego niżej przytoczone przemówienie Piłsudskiego nie oddaje należycie efektu, jaki osiągnął Piłsudski przypierając Waldemarasa do muru swym nagłym zapytaniem: pokój czy wojna?*



*Po odczytaniu sprawozdania przez Beclaerts van Blockland, przemówieniu Waldemarasa i dyskusji nad sprawą procedury w załatwieniu polsko-litewskich kwestyj mniejszościowych*

«Marszałek Piłsudski stwierdza, że dyskusja weszła na grunt niebezpieczny, przynajmniej dla niego. Przybył z Warszawy umyślnie i wyłącznie dlatego, aby wiedzieć, czy panuje stan pokoju, czy też stan wojny między Litwą i Polską. On pragnie tylko pokoju. Deklaracja jednak p. Waldemarasa nie pozwala mu jasno zorientować się pod tym względem. Nalega, aby dowiedzieć, jaki jest właściwie stan rzeczy».

*Po uwagach, wypowiedzianych przez Stresemana, Brianda, Waldemarasa i Chamberlaina*

«Na bezpośrednie pytanie Marszałka Piłsudskiego, Waldemarasa odpowiada, że stan wojenny nie istnieje między Litwą a Polską.

Marszałek Piłsudski oświadcza, że kwestia mniejszości, która została podniesiona, nie interesuje go zupełnie. Jedyna rzecz, którą przyjmuje do wiadomości, to ta, że jest pokój między Litwą a Polską. Jest szczęśliwy, że dowiedział się o tym, a skoro tak jest, poleci, aby w niedzielę zaśpiewano «Te Deum» we wszystkich kościołach w Polsce. Teraz może powrócić do Warszawy, pozostawiając resztę roboty swemu koledze p. Zalesskiemu».

*Przy końcu posiedzenia*

«Marszałek Piłsudski pragnie podziękować wszystkim członkom Rady, że zechcieli poświęcić swój czas i pracę dla likwidacji zatargu — dziękuje również p. Waldemarasowi za jego tak jasną deklarację pokojową» <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Wobec wyrzeczenia się przez Waldemarasa stanu wojny z Polską Rada Ligi na jawnym swym posiedzeniu, zwołanym tego samego dnia wieczorem uchwaliła rezolucję, której pierwszy ustęp brzmiał jak następuje:

«Przyjmując do wiadomości solenne oświadczenie przedstawiciela Litwy, że Litwa nie uważa się za będącą w stanie wojny z Polską i że wobec tego oba kraje pozostają w spokoju; przyjmując do wiadomości solenne oświadczenie przedstawiciela Polski, że Rzeczpospolita Polska uznaje i uszanuje niezależność polityczną i całość terytorialną Rzeczpospolitej Litewskiej; Rada Ligi zaleca obu rządów nawiązanie w najbliższym czasie bezpośrednich pertraktacyj, mających na celu ustalenie dobrzych stosunków, od których zależy pokój».

Skutek przemówienia ogłoszonego przez Piłsudskiego w Genewie był ten, że zmusiło ono rząd litewski do sprzecyzowania stanowiska i do wyrzeczenia się stanu wojny z Polską, co było krokiem naprzód do ustabilizowania rozgraniczenia terytorialnego między Polską a Litwą.

## WYWIAD Z KORESPONDENTEM «LE MATIN»

(10 grudnia 1927 r.)

*Przed wyjazdem z Genewy Piłsudski udzielił korespondentowi dziennika «Le Matin» Sauerweinowi wywiadu, w którym wyraża swoje zadowolenie z wyników osiągniętych w Radzie Ligi Narodów i wypowiada charakterystykę działalności Ligi.*

*Tekst, który podajemy, jest przekładem z wywiadu umieszczonego w «Le Matin» z dn. 12 grudnia 1927 r.*

Jestem zadowolony z przyjęcia, jakiego tu doznałem. Nie przybyłem ani dla studiów społecznych, ani politycznych, ale w ściśle określonym celu, aby usłyszeć słowo «pokój».

Tego celu pragnąłem z całych sił, gdyż była to sprawa pokoju lub wojny. Aby rozpocząć wojnę, trzeba mieć na to poważne przyczyny i zrobić to po długim namyśle; aby jej uniknąć, trzeba mieć na to mocne postanowienie. Miałem do tego swoje słuszne powody. Powiedziałem po prostu: «Panowie, róbcie pokój, a zwłaszcza nie traćcie czasu, gdyż bardzo się spieszę».

A było mi nie tylko pilno wrócić do Warszawy, gdzie czekały na mnie sprawy mego kraju, lecz spieszyłem się, gdyż tego rodzaju stan rzeczy nie powinien się przedłużać.

Cała robota została bardzo dobrze przygotowana przez mego ministra spraw zagranicznych, p. Zaleskiego.

Wszystko poszło doskonale. Ale dla mnie wszystko było skończone z chwilą, gdy — ku mej wielkiej radości — usłyszałem oświadczenie, że pokój jest zapewniony.

Muszę również zaznaczyć, że Francja była mi bardzo pomocną, jak się tego od niej spodziewałem i powinniśmy wszyscy gorąco podziękować p. Briandowi.

— *A jakie były, Panie Marszałku, Pana wrażenia co do Ligi Narodów?*

*Piłsudski zastanowił się chwilę, jak gdyby miał pewną trudność w wyrażeniu po francusku wszystkich odcieni swych myśli.*

— Jest w Lidze Narodów dużo dobrego — *powiedział* — i bardzo pożyteczna jest jej działalność. Uważam jednak, że po zapadłych decyzjach gubią się tu trochę w formułach, które wpływają na zapomnienie o rzeczywistości. I jeszcze jest rzecz inna. Sytuacja jest czasem trochę fałszywa. Chcę przez to powiedzieć, że w swobodnej rozmowie towarzyskiej przy śniadaniu lub herbatce, mając wiele czasu na rozmowę, bez wąt-

pienia łatwiej nieraz układa się różne sprawy, a można przy tym stracić trochę z oczu doniosłość wielkich interesów, które się reprezentuje. Jest w tym pewien rodzaj koleżeństwa raczej natury prywatnej, gdy gawędzi się z przyjemnością i kończy rozmowę uściskiem dłoni. A gdy to się powtarza kilka razy do roku, można mieć czasami złudzenie, że się załatwiło wielkie spory, podczas gdy spory te w rzeczywistości nie zostały uregulowane między samymi narodami. Trzeba uważać na tę rafę podwodną. Ale mimo to jest tu wiele dobrego i nie uskarżam się na pracę, którąśmy tu wykonali.

— *Teraz, gdy Pan przyjechał do Genewy, Panie Marszałku, czy nie ma Pan ochoty przyjeżdżać tu od czasu do czasu?*

— Jestem bardzo zadowolony ze swego przyjazdu i z tego, że potwierdziłem przez swą obecność układy, z których wypływa przywrócenie pokoju z naszymi sąsiadami. Co zaś do przyjazdów — to co innego. Nie lubię podróżować bez określonego celu i mam nadzieję, że nic już nie wywoła konieczności mego przyjazdu do Genewy.

## PRZEMÓWIENIE DO GRUPY POSŁÓW I SENATORÓW Z BEZPARTYJNEGO BLOKU WSPÓŁPRACY Z RZĄDEM

(13 marca 1928 r.)

W dniu 28 listopada 1927 r. Prezydent Rzeczypospolitej Mościcki rozwiązał swoim zarządzeniem Sejm i Senat, z powodu upływu czasu, na który zostały wybrane. Dnia 5 grudnia 1927 r. pojawiło się rozporządzenie Prezydenta zarządzające wybory do Sejmu na dzień 4 marca, a wybory do Senatu na dzień 11 marca 1928 r. Wybory do Sejmu dały Bezpartyjnemu Blokowi mandatów 122 a wybory do Senatu 46 mandatów. Obóz zwolenników polityki Piłsudskiego zdobył więc w Sejmie przeszło 27% mandatów a w Senacie przeszło 41%, stając się najliczniejszym klubem parlamentarnym.

Dla ułożenia planu działania w przyszłym Sejmie odbyło się z inicjatywy Piłsudskiego zebranie nielicznej grupy posłów i senatorów z Bloku Bezpartyjnego w mieszkaniu Sławka w dniu 13 marca 1928 r.

Na zebraniu tym Piłsudski wypowiedział przemówienie, którego streszczenie zacytował poseł Antoni Anusz w swoim artykule: «Decydujący moment w życiu państwa», ogłoszonym w «Kurierze Porannym» z dnia 17 października 1930 r. Z zrypisów do tomu IX «Pism — Mów — Rozka-

*zów», redagowanych przez Anusza, widać, że oparł się on na notatkach uczestnika zebrania sen. Targowskiego.*

*Na podstawie obszernych notatek, zrobionych na tym zebraniu przez K. Świtalskiego, mogliśmy stwierdzić, że streszczenie przemówienia Piłsudskiego podane przez Anusza nie zmienia na ogół sensu myśli wtedy wypowiedzianych.*

*Streszczenie to jednak jest tylko bardzo wielkim skrótem przemówienia. Następstwo poruszanych tematów zostało zmienione. Nie uwzględnione zostały wszystkie zagadnienia, wysunięte wtedy przez Piłsudskiego, który obok sprawy wzmocnienia władzy Prezydenta, zmiany metod pracy parlamentarnej i pracy nad budżetem, obok sprawy udzielenia rządowi pełnomocnictw w pewnym zakresie — poruszył nadto zagadnienie swego w ogóle stosunku do parlamentaryzmu, sprawę reformy samorządu i sprawę wyboru prof. Bartla na marszałka Sejmu.*

*Wierni obranej metodzie uwzględniania w «Pismach zbiorowych» tylko tych utworów, które zostały przed tym gdzieś opublikowane, nie mogliśmy zużytkować notatek K. Świtalskiego. Będą one mogły być uwzględnione w zamierzonym wydawnictwie, zawierającym relacje z rozmów z Piłsudskim.*

Nie poszedłem drogą oktrojowania, a więc łamania Konstytucji i legalizmu. Musi się w społeczeństwie odbyć łamanie o ustrój. Poszczególne elementy władzy w państwie muszą odzyskać swe prawa i atrybuty. Najpierw należy rozszerzyć władzę Prezydenta. Jego rola obecnie jest zbyt nikła. Nie może nic zrobić bez kontrasygnaty. Do czego jest na każdym akcie potrzebna kontrasygnata? Rząd powinien mieć możność rządzenia krajem, to jest jego zadanie. Sejm, jako całość, jako instytucja, gra rolę w państwie, ale w żadnym razie nie poszczególny poseł. Jeżeli Prezydent nie jest na wewnątrz państwa przedstawicielem narodu, to jakim sposobem sobie poseł ma prawo ten przywilej brać? Wskutek niechlujnego opracowania Konstytucja stała się podobna do rękawiczki <sup>1)</sup>. Metoda pracy kompromituje instytucję sejmu. 5 do 10 posłów może przeszkodzić i zahamować pracę. Poza tym ucieka się od sejmu przy decydowaniu najważniejszych spraw, w których główną rolę odgrywają konwentykle. Wskutek niemożliwego regulaminu metodyka pracy stała się gorszą od Konstytucji. Musicie pójść na rewizję Konstytucji, ale to praca bardzo długa, gdyż tam jest tyle zagadnień i spraw, że szybko ich wyczerpać niepodobna. Natomiast na razie najważniejszy jest

<sup>1)</sup> Prawdopodobnie mowa o tym, że można było Konstytucję różnie interpretować.

regulamin i ten musicie przepracować. Jedną z ważniejszych rzeczy jest ta, by porządek dzienny sejmu był razem z rządem układany. Tymczasem sejm, jako instytucja, się zatracą. Sejm nie jest od tego, by zamęczał rząd. Zresztą, o ile sejm nie będzie chciał z rządem współpracować, to będzie rozpędzony. Skoro idę na chęć współpracy z sejmem, to oczekuję ze strony sejmu i metody współpracy. Tymczasem poseł stał się wypędkiem od odpowiedzialności, ale i wypędkiem od honoru. Ja nie idę na skasowanie sejmu, chcę uszanować obecne formy państwa, ale również chcę ochronić Prezydenta od wstydu prezydentowania, to też jeszcze raz idę na próbę współpracy z sejmem. Trzeba na tyle przepracować regulamin i ustalić metodę pracy, by uniknąć szukania okazji do zbierania się, a pracować w sejmie tylko wtedy, gdy jest nad czym. Na tym polegałaby na czas pewien poprawa stosunków w sejmie. Nie należy zapominać, że o ile dawniej «liberum veto» przysługiwało jednostce, to obecnie przysługuje kolegalnej liczbie piętnastu posłów. Przez przebudowane urządzenia sejmowe uniknięto w Polsce rewolucji, ale za to zgubiono państwo, w Anglii zaś na odwrót, Cromwell rewolucją obalił przerost parlamentu, ale uratował przez to państwo. Polska powinna mieć ustrój parlamentarny, nie może być na świecie wyjątkiem, jak Włochy lub Rosja. Niekoniecznie jednak musi sejm czy parlament przeszkadzać rządowi rządzić i płać mu stale złe figle, bo na to jest państwu potrzebny... Ważną rzecz stanowi kwestia pełnomocnictw, szczególnie, gdy chodzi o nasze traktaty. Większość naszych spraw handlowych dotyczy stosunków z Rosją i Niemcami, a cechą naszego handlu z tymi dwoma państwami — to szmugiel. Z Niemcami nie dojdziemy do porozumienia przed nowymi tam wyborami <sup>1)</sup>, z Rosją zaś będzie stale istniało małe prowizorium. Ale rząd, skrepowany brakiem pełnomocnictw, nie może prowadzić owocnie pertraktacyj. Pełnomocnictwa są również potrzebne do ratyfikacji różnych małych, drobnych traktatów, których nieratyfikowanie we właściwym czasie sprawia, że stale jesteśmy nie w porządku do innych państw. W zamian za otrzymanie pełnomocnictw, ja daję inną obietnicę, a mianowicie, że nie lubię dekretów i z dekretami śpieszyć się nie będę. Zresztą uważam, że dekrety są jedynie racjonalne, gdy chodzi o unifikację kodyfikacji, zacierającej różnicę dawnych zaborów. W pełnomocnictwach potrzebnych mogę zrobić w stosunku do istniejących pewne ograniczenia, ale powinny być też zrobione pewne dodatki, do-

<sup>1)</sup> Wybory w Niemczech odbyły się dnia 20 maja 1928 r.



tyczące spraw traktatowych i celnych. Budżet i pełnomocnictwa — to są sprawy konieczne, inne już bardziej od waszej pracy i woli zależą.

## PRZEMÓWIENIE PRZY OTWARCIU DRUGIEGO SEJMU

(27 marca 1928 r.)

Na dzień 27 marca 1928 r. zostało wyznaczone otwarcie nowowybranego Sejmu. Piłsudski postanowił, że odczytywanie w ciałach ustawodawczych orędzia Prezydenta Rzeczypospolitej na znak szacunku dla Głowy Państwa powinno się odbywać w należnym spokoju. Kiedy więc w chwili jego wejścia do sali sejmowej w roli premiera, mającego odczytać orędzie Prezydenta, rozległy się z ław posłów komunistycznych okrzyki, Piłsudski po trzykrotnej zapowiedzi, że «Panowie będą wyrzuceni z sali» polecił Ministrowi Spraw Wewnętrznych gen. Składkowskiemu policją usunąć z sali krzyżących posłów. Wywołało to protesty ze strony posłów lewicy. Piłsudski powiedział wtedy: «Uprzedzam panów, że ja nie będę urzędował przy krzykach i wtedy Sejmu nie otworzę».

Po słownej kontrowersji między posłem Wyrzykowskiem a posłem Polakiewiczem Piłsudski odezwał się: «Cicho tam, proszę nie przerywać» — po czym zaczął odczytywać niżej przytoczone orędzie Prezydenta Rzeczypospolitej, zredagowane przez Piłsudskiego. Wskazuje ono, że praca nowowybranego Sejmu nad podniesieniem moralnej i materialnej kultury będzie mogła odbywać się w lepszych warunkach niż je miały poprzednie sejmy, i stawia jako główny cel dla sejmu poprawę ustroju i osiągnięcie harmonijnego współdziałania władz państwa.

W archiwum «Instytutu Józefa Piłsudskiego» znajduje się a) rękopis Piłsudskiego zawierający projekt ustępu odnoszącego się do spraw zagranicznych i zakończenia orędzia (por. podane w tym tomie facsimile tego rękopisu), b) trzy teksty maszynopisu, odzwierciedlające zmiany tekstów przy redagowaniu orędzia przez K. Świtalskiego.

Historia tych dokumentów jest następująca: Dnia 25 marca 1928 r. wezwał Piłsudski K. Świtalskiego, wręczył mu wspomniany rękopis i, zaznaczając, że nie jest ze swego brulionu zadowolony, polecił mu zredagować orędzie. Tekst zredagowany przez K. Świtalskiego według ogólnych dyrektyw Piłsudskiego został przez niego i przez Prezydenta Mościckiego akceptowany.

Przemówienie podajemy według sprawozdania stenograficznego z pierwszego posiedzenia II Sejmu z dnia 27 marca 1928 r.

*Ten sam tekst orędzia Prezydenta został odczytany przez Piłsudskiego i na pierwszym posiedzeniu nowowbranego Senatu, które odbyło się również dnia 27 marca 1928 r.*

W imieniu Pana Prezydenta Rzeczypospolitej!

Po raz trzeci od chwili odzyskania wolności zbiera się Sejm Rzeczypospolitej, a po raz drugi jej Senat. Pierwszy Sejm zaczynał obradować wtedy, gdy losy naszego państwa były jeszcze bardzo niepewne, gdy o mury tego gmachu były echa wojny, prowadzonej o nasze granice, i odgłosy krwawych zmagania się naszych żołnierzy o prawo Polski do samodzielnego życia. U kolebki drugiego Sejmu stała błąda jeszcze jutrzeńka pokoju, ciężka troska o stan skarbu państwa, a chmury coraz to czarniejsze i coraz bardziej groźne zbierały się wówczas nad naszym życiem gospodarczym.

Panowie macie rozpocząć swą pracę w momencie po wielokroć szczęśliwszym. Pierwszy Sejm obradował podczas wojny, drugi rozpoczynał swą działalność wtedy, gdy nasza praca pokojowa była dopiero w zarodku. Dziś bardzo znacznie i skutecznie praca ta została naprzód posunięta.

Przez ogólną opinię została należycie oceniona nasza gorliwa współpraca w utrwaleniu i wzmocnieniu dzieła powszechnego pokoju. Przyjaźń specjalna, która łączy Polskę z Francją i Rumunią, daje nam tym większą pewność w naszej pracy pokojowej, że nikomu ona nie zagraża, a daje rękojmię dłuższej, wspólnej pracy w zawiłych i ciężkich zagadnieniach.

Rząd nasz za swe specjalne zadanie postanowił sobie biec z wysiłkiem pokojowego i zgodnego współżycia tam, gdzie o to ułożenie stosunków najtrudniej, gdyż prawem było dotąd, że najwięcej jest sporów nie gdzie indziej, jak między sąsiadami. Utrwalenie się stosunków międzynarodowych, zniknięcie tak jeszcze do niedawna usprawiedliwionych obaw o stan skarbu państwa, usunięcie grozy, ciężącej jeszcze przed dwoma laty nad naszym życiem gospodarczym, stwarzają pomyślne warunki dla rozważnej i spokojnej pracy panów. Tym łatwiej będzie więc panom zużyć swe siły dla podniesienia moralnej i materialnej kultury, tak silnie u nas zaniedbanej, nie z naszej, lecz z obcej winy.

Życzę panom, byście czas umieli wyzyskać dla poprawienia powszechnie odczuwanych wad naszego ustroju państwowego, bez którego siły z żadnymi trudnościami uporać się nie będziemy w stanie.



Arbeitspaar ebeanged an utroneni hweiz  
dima u de ceapozabiliti d pawdrey radowig daperiam  
paor e stajun d roneu e e wygeten partem ne  
dag ni iadren jawa do nigogyn. Flora. swizema jeta  
2. jidag jreag na dwece kziges nismadonane do jrag  
1. normalget stornion jangly partem jidil jidun  
2. squadw ewiged, mowy o ditre, do hyl stajun e rone  
me dged h jidun slow "wajn" contala digi miday  
fray rarye agda contala <sup>prawyta</sup> ~~oprotion~~ jow oronika.

Stomnos parzysty narodni i gac. Pracei (Pzypak spegza  
ktora spay pabny i Fozarys; Pczarys ~~uzwazam bract~~  
nie zaprzajzaja dije nam leu wyngj parzoyi i moaj  
fracy parzoyi; i uronnu nie zaprzajzaja dije em spayzajz  
dunij ojzikej fracy v czortyl i czjonych czajdzajz  
Rzod naje w zadanie czj gycyobke sobei przotit bur  
i wywiznani goczajzajz i zgodny wydzajzajz leu gdrze  
obo wyple. nczajzajz, gdy prawem przot bylo dotajz  
i moajzajz jak spoziv ne gdrizajzajz je ponzajzajz  
dyczajzajz. >

Projekt przemówienia przy otwarciu Sejmu w dniu 28 marca 1928 r.  
Fotografia strony 1-szej.





Życzę panom, byście z najlepszą wolą, licząc się z realnymi potrzebami życia, szukali rozwiązania wielkiego zagadnienia harmonijnego współdziałania władz państwa i to zarówno przez położenie nowych podstaw prawnych w tej dziedzinie, jak i przez zdrowe obyczaje codziennego życia. Wreszcie życzę panom w waszej pracy owocności, którą osiągnąć można, jak w każdej zresztą ludzkiej działalności, tylko wtedy, gdy wysiłki swoje i uwagę kieruje się na rzeczy istotne.

Podpisane przez Pana Prezydenta.

W imieniu Pana Prezydenta ogłaszam Sejm za otwarty.

Według ustanowienia Pana Prezydenta porządek dzienny dzisiejszego posiedzenia ma być:

- 1) przeprowadzenie ślubowania posłów,
- 2) wybór Marszałka Sejmu.

Według woli i mniemania Pana Prezydenta przewodniczyć zebraniu będzie p. poseł Bojko<sup>1)</sup>). Proszę p. posła o zajęcie miejsca.

Jako prezes gabinetu zaświadczam, że p. poseł Bojko złożył i podpisał ślubowanie poselskie na ręce Pana Prezydenta w mojej obecności dzisiaj na Zamku.

---

## WYWIAD Z REDAKTOREM «GŁOSU PRAWDY»

(1 lipca 1928 r.)

*Parlament obradował od dnia 27 marca 1928 r. do 22 czerwca 1928 r. W ciągu tych pierwszych trzech miesięcy życia nowego sejm u stosunki między nim a rządem stały się od razu napięte. Ciała ustawodawcze uchwaliły wprowadzić w tym czasie prowizorium budżetowe na okres od 1 kwietnia do 30 czerwca 1928 r., ale już przy uchwalaniu budżetu na r. 1928/29 partie opozycyjne lewicy i prawicy wstrzymały się od głosowania nad nim. Wnioski rządowe były systematycznie odrzucane nawet w pierwszym ich czytaniu, co miało charakter wyraźnej demonstracyjny. Wbrew zwyczajom parlamentarnym kandydatura na przewodniczącego Sejmu wysunięta przez najliczniejszy klub Bloku Bezpartyjnego została odrzucona, a jego wnioski poczynają być z góry skazane na przegraną wobec utworzenia*

---

<sup>1)</sup> Jakub Bojko był nauczycielem wiejskim, brał udział w życiu publicznym, był posłem na sejm galicyjski i do parlamentu austriackiego, w Polsce niepodległej był posłem i wicemarszałkiem Sejmu Ustawodawczego, senatorem i wicemarszałkiem pierwszego Senatu i posłem na sejm drugi.

się frontu wszystkich partij sejmowych przeciw obozowi popierającemu politykę Piłsudskiego.

Piłsudski, który z chwilą, gdy Sejm rozpoczął próby obalania rządów, objął 2 października 1926 r. gabinet, przetrzymał koniec kadencji poprzedniego sejm, przeprowadził wybory i mimo że w owym czasie zaniemógł, nie opuścił swego stanowiska dopóki budżet nie został uchwalony. Z tą chwilą sesja budżetowa mogła być zamknięta. Stało się to dnia 22 czerwca 1928 r. W pięć dni później t. zn. 27 czerwca 1928 r. Piłsudski podał się do dymisji i tego samego dnia został mianowany gabinet Bartla, którego skład od poprzedniego gabinetu różnił się tylko tym, że tekę Ministerstwa Oświaty w miejsce Dobruckiego objął K. Switalski a tekę Ministerstwa Kolei w miejsce Romockiego Kühn.

Dnia 30 czerwca 1928 r. przyjął Piłsudski redaktora «Głosu Prawdy» Stpiczyskiego i udzielił mu wywiadu, w którym podaje motyw wyścia swego ustąpienia ze stanowiska premiera, krytykuje ograniczenie władzy Prezydenta Rzeczypospolitej przez Konstytucję marcową, krytykuje metodę pracy, która jest udziałem premiera, atakuje system prac parlamentarnych, zawiadamia, że będzie dalej kierował polityką zagraniczną i zapowiada, że przy każdym cięższym kryzysie stanie do dyspozycji Prezydenta.

Wywiad podajemy według «Głosu Prawdy» z dnia 1 lipca 1928 r., opuszczając wszystkie zwroty, mające charakter impresji redaktora Stpiczyskiego.

— Chce pan wywiadu? Oho!... to nie taka łatwa sprawa!...

— Dobrze, dam wywiad. Ale...

— Po pierwsze — wszystko, co powiem, musi być wydrukowane bez żadnych zmian i opuszczeń. Wolno wam pisać komentarze, jakie chcecie, ale zmieniać moich słów nie wolno. To warunek pierwszy.

— *A drugi?* — *pytamy pośpiesznie.*

— Drugi jest następujący. Widzicie, ja umyśliłem sobie uczynić mały luksusik, na który termin już mi zapadł. Na ten luksusik muszę koniecznie zapracować specjalnie pieniądze. Otóż postanowiłem, że pracą tą będzie wywiad dla prasy.

— *Czy mógłby Pan Marszałek zdradzić tajemnicę tego luksusiku?*

— Oho!... No, ale dobrze. Nie wiem tylko, czy pan będzie zadowolony z tego, co powiem, ale... niech będzie!... Już przed trzema laty spotkałem dwoje istot, które mnie niezmiernie rozbawiły. Dążyły one do bardzo skromnego, lecz zupełnie wspólnego im celu. Celu, który, sądziłem, rozmawiając z nimi, jest dla nich i miłym, i nawet jak gdyby czyniącym życie bardziej radosnym. Na drodze do realizacji wspólnych usiłowań stały jedynie słowa i pojęcia, inaczej formułowane. Ile razy

byłem przy rozmowach tych istot, tyle razy pękałem ze śmiechu, gdyż oboje zaczynali rozmowę tak, że prowadziła ona do kłótni, nigdy do zgody. Wobec tego, że w Polsce spotykam to zjawisko bardzo często, wziąłem ich sobie za typ, za coś, co jest zupełnie stylowym dla stosunków polskich. I dlatego rok rocznie parę razy sprawdzałem, jakżeż ta wspólna praca życiowa tych istot wygląda. Przy jednym takim sprawdzaniu usłyszałem najbardziej okrutne odezwanie się jej do niego: «Jeżeli pan znowu zaczyna w ten sposób, jak zwykle, to ja z panem przestaję mówić i nigdy widzieć się nie będę». Dlatego też, gdy w tym roku przy sprawdzaniu dowiedziałem się, że te istoty, w jakiś niewytłumaczony dla mnie sposób, podały sobie ręce do zgody i zdecydowały się, w daleko gorszych, niż dawniej, warunkach, na wspólną życiową pracę, postanowiłem sobie zarobić zupełnie specjalnie, poza budżetem domowym, parę tysięcy złotych, aby nieco ulżyć tym istotom i choć trochę zmienić niesprzyjające im być może warunki. Nazwisk, naturalnie, nie wymienię, gdyż nie chcę przeszkadzać tak zbożnemu porozumieniu przez «gazeciarzy», a może i interpelację w sejmie.

— Jeżeli ktokolwiek gdziekolwiek myśli czy sądzi, iż przyczyną mego podania się do dymisji ze stanowiska szefa gabinetu polskiego był stan mego zdrowia, — grubo się myli. Panowie lekarze, których zwołałem, na moje pytanie, postawione zupełnie oficjalnie i brzmiące:

— Czy Marszałek Piłsudski jest zdolny do pełnienia tych obowiązków, które dotąd pełnił, czy też nie? —

jednogłośnie odpowiedzieli, że o zdolności nie mogą w żaden sposób wątpić i nie mogą mi nie powiedzieć, iż wszystkie badania, nawet najbardziej sztuczne, wykazują zdolność niezminiejszą. Co prawda, dodali, iż skłonni są przypuszczać, że ten nadzwyczajny wydatek energii i siły, który czyniłem, pełniąc kilka urzędów jednocześnie, należy do przekroczeń, nadwyrężających niechybnie zdrowie człowieka, który to czyni. Lecz zdolność nie została w żaden sposób nadwyrężona.

Dlatego też, będąc człowiekiem, który sam jedynie rozporządza swoim zdrowiem i życiem, mogę zachować wszystkie urzędy, które dotąd miałem, kosztem nadwyrężania mego zdrowia, które zresztą całe życie tak samo nadwyrężałem.

Mógłbym być także, za zgodą Pana Prezydenta, a przypuszczam i za zgodą kolegów-ministrów, z którymi tak długo pracowałem i u których — jak sądzę — cieszę się wielką sym-

patią, wziąć dłuższy urlop, któryby dał mi możliwość postawić moją maszynę na nowo na szyny, by znowu zdrowie sobie nadwyreżala.

Jeżeli jednak tego nie uczyniłem i wniosłem Panu Prezydentowi podanie o zwolnienie mnie ze stanowiska szefa gabinetu, to uczyniłem tak z innych motywów i z innych powodów, które tu wyluszczyć, gdyż postanowiłem publicznie je wyjaśnić, tak, jak wyjaśniłem na posiedzeniu rady gabinetowej w obecności Pana Prezydenta na Zamku <sup>1)</sup>).

Pierwszym motywem jest fakt, iż nie znoszę organicznie urzędu szefa gabinetu, tak, jak on jest u nas postawiony konstytucyjnie. I dlatego przez cały czas pełnienia tego urzędu przestrzegałem Pana Prezydenta, iż nie będę w stanie długo tego urzędu znosić i ciągle mu doradzałem, by przygotował sobie w myśli co najmniej trzech czy czterech ludzi, którzyby kolejno mogli pełnić ten urząd, tak, by spocząć mogli od pełnienia urzędu, tak nonsensownie postawionego przez naszą konstytucję, jak to jest teraz.

Dla wyjaśnienia tej sprawy muszę porównać — co stałe przy pełnieniu tego urzędu czyniłem — urząd prezesa gabinetu z urzędem Prezydenta.

Prezydent, w naszej konstytucji, jest postawiony w sytuację najbardziej fałszywą, jaka dla człowieka stworzoną być może. Gdy z jednej strony jest reprezentantem Rzeczypospolitej Polskiej wszędzie i ciągle, to z drugiej strony nie ma żadnego prawa, aby mógł w jakimkolwiek bądź stopniu reprezentować siebie, swoje myśli, lub swoją pracę. Gdy więc jest najspecjalniej ze wszystkich wybrany na to, by był jeden, sam i stał najwyżej, to odebrano mu konstytucyjnie nawet cień jakiegokolwiek władzy, jakiegokolwiek możliwości ulżenia sobie w sytuacji i zrobienia z tak wyjątkowej pracy — na którą, dodam, wyjątkowo najzupełniej przysięga <sup>2)</sup>) — czegokolwiek, by mógł czuć się, jako człowiek, a nie jak jakiś podrzutek, rzucony na łaskę i niełaskę wszystkich.

Dość panom powiedzieć, że nie ma on prawa stworzyć sobie najbliższego otoczenia, nawet jeśli chodzi o lokajów czy pokojówki, bez innego człowieka, który może się na jego wybór nie zgodzić i narzucić mu osoby, dla niego niechętne. To znaczy, że naród przez swą konstytucję postępuje z człowiekiem wybranym, który, moralnie, będąc jedynym i stojąc naj-

---

<sup>1)</sup> Posiedzenie rady gabinetowej odbyło się dnia 25 czerwca 1928 r.

<sup>2)</sup> Por. t. IX, str. 19—20.



wyżej, odpowiada przed historią, postępuje tak nikczemnie i tak bezecznie, jak nie postępuje nikt w świecie nawet ze swoją utrzymanką lub z osobą, najzupełniej od siebie zależną.

Nie mogę przy tym nie dodać, że męczy mnie w tym wypadku stale wspomnienie mojej osobistej historii, gdy byłem Naczelnikiem Państwa i gdy po wojnie, zwycięsko przeze mnie przeprowadzonej, jako Naczelnny Wódz, zdecydowałem po długich wahaniach nie robić nic i pozostawić Polskę samą sobie. Wahania zaś moje tyczyły się rozstrzygnięcia pytania: czy mam sejm, tak zwany suwerenny, sejm ladacznic — że nie użyję słowa, którym ówczesny Naczelnik Państwa, Józef Piłsudski, w swoich rozumowaniach stale sejm określał i które z powodu ludowego i jaskrawego brzmienia doskonale i ściśle charakteryzuje sejm suwerenny — rozpędzić i nacisnąć go nogą zwycięzcy tak, jak na to zasługiwał, — czy też wybrać tę drogę, którą istotnie historycznie wybrałem — pozostawić Polskę samą sobie. Może, gdybym był stanął na pierwszej drodze, nie potrzebowałaby Polska przeżywać później wypadków tak zwanych majowych.

Sejm ladacznic, pracujący w owe czasy nad konstytucją, w swoich obliczeniach co do wyboru przyszłego Prezydenta Rzeczypospolitej nigdy nie wahał się co do swoich przypuszczeń, iż na to stanowisko wybrany będzie nie kto inny, jak popularny nadzwyczajnie w całym narodzie, nigdy nie umiejący się shańbić chciwością pieniężną człowiek, który swoją zwycięsko przeprowadzoną wojną i siłą charakteru wyprowadził Polskę z chaosu i dał jej znacznie większe granice, niż te, które dla niej zakreślano wszędzie. Dlatego też praca konstytucyjna poszła w kierunku zrobienia przyszłemu Prezydentowi tylu przykrości i tyle — powiem — hańby życia, ile tylko zdziczałe i potwornie głupie umysły mogły wymyślić.

Chciano w ten sposób, jak ja to określam, konkurenta suwerenności posłów zasunąć gdzieś w kąt i zasypać możliwie śmieciem. Jeżeli ten niecny zamiar nie dotknął mnie, zaszło to jedynie dlatego, że m spsocił im historię i najspokojniej od pełnienia tego urzędu się usunął. Wtedy — jak wiadomo — pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej naprzód zhańbiono bezecnymi manifestacjami, a potem zabito — był to mój serdeczny przyjaciel — aby konkurent suwerenności posłów wiedział i rozumiał, czym grozi walka z suwerenami.

Przy pozostawieniu Prezydenta bez władzy, przy stworzeniu mu wszelkich możliwych świństw i wszystkich niecności, jakie są możliwe do pomyślenia, przeciwstawiono jemu,

jako mającego te świństwa i niecności robić, nie kogo innego, jak szefa gabinetu.

Szef gabinetu w naszej Konstytucji, w naszych zwyczajach i obyczajach wygląda jak «omnipotens», czyli wszechpotężny. Względnie niedawno, przy przeszłym sejmie, spróbowałem wykorzystać tę omnipotencję w kierunku odwrotnym, niż to myśli Konstytucja, to znaczy w kierunku odwrotnym, niż Prezydenta, — i odmówiłem zapłacenia pensji posłom, suwerenom, żeby i ich przekonać o omnipotencji pana szefa gabinetu.

Jednak ta omnipotencja, czy wszechpotęga, ma swoje duże i liczne «Schattenseite», czyli ciemne strony.

Zgodnie z moim pojęciem o pracy ludzkiej «wszystko» łączy się zawsze znakiem równania ze słowem «nic». Gdy szef gabinetu ma opiniować wszystko i do wszystkiego swój palec przyłożyć, to jeśli sumiennie ten obowiązek wypełnia, na pewno nie robi nic i czyni pracę swoją nieproduktywną, nieefektywną. Być może, iż mądry sejm ladacznic suwerennych miał i to na myśli, ażeby możliwie dużo suwerenności — specjalnie do kas skarbowych — zachować dla siebie, dla posłów do sejmku.

Jeżeli w przeciągu mego prawie dwuletniego urzędowania, jako prezes gabinetu <sup>1)</sup>, mogłem uczynić względnie dużo i wiele, to wyznaję, że stało się to możliwym jedynie dlatego, że dużą część swojej jakoby omnipotencji zrzuciłem na pomocnika swego, p. prof. Kazimierza Bartla, i w ten sposób oswobodziłem sobie czas na myśli i na wynalezienie metod do przeprowadzenia choć małej części tego, com zamierzał, stając się na urządzie szefa gabinetu polskiego. Rozumiem jednak dobrze, że gdybym sumiennie wypełniał wszystkie obowiązki szefa gabinetu, to nie zrobiłbym nic i to absolutnie nic w Polsce.

Na radzie gabinetowej u Pana Prezydenta na Zamku stwierdziłem, że urząd szefa gabinetu jest dlatego tak uciążliwym, iż całym zajęciem takiego pana jest niańczenie wszystkich podrzutek, które wszyscy mu podrzucają. A że pochodząc spod Wilna, słyszałem nieraz przekleństwo, brzmiące: «Kab ty cudze dzieci niańczył!» — z trwogą myślałem o doli takiego nieszczęśnika.

Więc idą naprzód wszyscy panowie ministrowie, mili koledzy gabinetowi, którzy ciągle i ustawicznie, czy to przy przeszkodach w swojej pracy, czy to chcąc coś uczynić extra,

<sup>1)</sup> To znaczy od 2 października 1926 r. do 27 czerwca 1928 r.

czy to zgodnie z polskim charakterem, prowadząc spory między sobą, podrzucają szefowi gabinetu kochane, pieszczone, a niekiedy zamorusane i niekochane dziatki do niańczenia. Sam proces tak zwanego «uzgadniania», który w procesie urzędniczym u nas zajmuje tak wygodne i tak wściekle rozłożyste miejsce, trwa zwykle tak nieznośnie długo i tyle zużywa papieru, iż wyznam otwarcie, że pomimo, iż proces ten jest nakazany maszynie państwowej, ani razu nie ośmieliłem się dotknąć stosu arkuszy, zapisanych maszynowym pismem, ze strachu, bym nie poszedł do szpitala wariatów. A jednak było to moim bezpośrednim obowiązkiem.

Wynalazłem sposób najodpowiedniejszy — zdaniem moim — uzgadniać samych panów ministrów, a nie ich urzędników, pozostawiając ministrom samym czytanie elukubracyj ich urzędników, potrzebnych jakoby do procesu uzgadniania.

Namiętność do centralizacji, istniejąca w sposób śmieszny i głupi w naszym narodzie, czyni pracę tak zabawną pod względem prawnym, że prawie trzy ćwierci porządku dziennego każdej Rady Ministrów wypełniają kwestie, jak — zmiany granic gmin w poszczególnych częściach państwa, pozwolenia na kupno nieruchomości cudzoziemcom, pozwolenia dla poszczególnych obywateli Polski na wstąpienie do Legii Cudzoziemskiej we Francji, zmiany na stanowiskach urzędowych względnie bardzo niskiej klasy, wszystkie odznaczenia z jakimkolwiek bądź odznaczeniem naszym czy cudzoziemskim, no i podobne jeszcze pięknotki naszych urzędzeń państwowych. Do wszystkich tych rzeczy pan prezes gabinetu musi rączkę przyłożyć i paluszkami wycisnąć swoje «placet». Przy sumiennym — powtarzam — spełnianiu swych obowiązków omnipotencją zniknąć musi gdzieś w powodzi papierów i to mnóstwo podrzuteczków tak maleńkich i tak drobniutek, zajmujących chociażby po trzy minuty czasu, zalewa swą liczbą tak szalenie prawdę o omnipotencji, że znika ona zupełnie, pozostawiając biednemu człowiekowi «ino sznur»<sup>1)</sup>. Do liczby tych podrzuteczków dodać należy namiętność protekcyjną Polaków i Polek, którzy i które z podziwu godną uporczywością chcą ustawicznie i ciągle tylko pięciu lub trzech minut dlatego, aby z szefa gabinetu zrobić albo pokątnego doradcę w ich prywatnych interesach, albo sędziego i eksperta w wynalazkach — to zwykle zajmuje pół godziny czasu, w pięciu minutach nie da się załatwić — albo uczynić go wykonawcą ich chęci usunięcia jakiegoś funkcjonariusza państwa lub, odwrotnie, wyzna-

<sup>1)</sup> Cytat ze słów Chochola w «Weselu» Wyspiańskiego.

czania na nieistniejące etaty nadzwyczajnie godnych młodzieńców, lub też zwolnienia od odpowiedzialności za nadużycia skarbowe całego mnóstwa niezwykle miłych i niezwykle serdecznych ludzi, którzy tylko przez namowy i jakieś dziwne machinacje sięgnęli palcami do worka skarbowego, albo wreszcie przy wysokiej znajomości jurysprudencji wśród Polaków i Polek — zatrzymania lub nawet skasowania procesów cywilnych.

Liczba więc podrzutek w ten sposób wzrasta bezmierne, tak, że nie można nie zniechęcić tego urzędu. Panowie zaś lekarze w swoim orzeczeniu stwierdzili, iż jedynym jeszcze ratunkiem przy pełnieniu tylu urzędów jest dla mnie zaniechanie jakiegokolwiek walki ze sobą, gdyż ta najwięcej kosztuje i najwięcej może zdrowie nadwyrężyć. Gdy ten wyrok usłyszałem, byłem najzupełniej zdecydowany prosić Pana Prezydenta o dymisję, gdyż przy mnóstwie podrzutek, które szef gabinetu ma do pilnowania, można się wściekać, lecz można też nie walczyć ze sobą. Natomiast, gdy pomyślałem o jednym obowiązku szefa gabinetu, z góry sobie powiedziałem, iż spokojnie pełnić tego urzędu nie mogę — mówię tu o smutnej konieczności dla szefa gabinetu — współpracowania z sejmem. Gdybym nie walczył z sobą, tobym nic innego nie czynił, jak bił i kopał panów posłów bez ustanku, gdyż mają metodę pracy taką, która z góry przeczy wszelkiej efektywności i produktywności tej pracy.

Gdy z uśmiechem patrzę na to, jak małe dzieci uroczyście i z nadzwyczajną powagą rozmawiają z lalką, jako z żywą zupełnie istotą, gdy nakazują jej różne czynności i same za nią tę czynność wypełniają, gdy — jak to u córek zauważyłem — posadziwszy przy sobie lalkę podczas obiadu, przysuwają do porcelanowej buzi łyżkę zupełnie poważnie, to mogę się uśmiechać, lecz, wyznaję, brać udziału w tej pracy nie jestem w stanie.

Lecz gdy panowie, tak szczerze i nienawistnie konkurujący w suwerenności z Panem Prezydentem i zazdrośnie strzegący swoich niczym nie zasłużonych przywilejów, używają w pracy tych metod najzupełniej nonsensownych, jak małe dzieci, podsuwające łyżkę strawy do porcelanowej buzi, to ja nie jestem w stanie ani tego słuchać, ani na to patrzeć. Sam proces pracy, polegający na pracy mówienia, należy do pomysłów najbardziej potwornych, jakie kiedykolwiek ktokolwiek wymyślił.

Sam należę do mówców, którzy, jak to widziałem na salach, umieją wzruszyć, umieją znaleźć formę, umieją powie-



dzieć tak, iż sala jest przykuta do ust mówcy. Lecz gdyby mnie kazano w przeciągu paru tygodni codziennie przemawiać publicznie, tobym sam siebie uważał za publiczną szmatę.

Tymczasem panowie posłowie mogą to czynić w sali sejmowej w przeciągu nie paru tygodni, lecz paru miesięcy. I trzeba widzieć tę salę, wysłuchującą tych przemówień w sposób najbardziej ubliżający powadze i porządkowi, i panów posłów, zachowujących się tak, jakby ta sala była szynkiem. Gdy jeden mówi, piętnastu panów chodzi po sali, załatwiając jakieś prywatne interesiki — czterdziestu panów głośno między sobą rozmawia, pokazując mówcy plecy — stu panów opowiada sobie anegdotki mniej lub więcej nieprzywoite i tylko panowie ministrowie muszą jakoby zachowywać się w takim miejscu przyzwoicie. Każdy z posłów ma prawo wrzeszczeć, krzyczeć, ma prawo rzucać obelgi, ma prawo oszczercze pisać interpelacje, dotyczące honoru innych, ma prawo i przywilej zachowywać się jak świnia i łajdak, natomiast ci, co tak ciężko pracują, jak to jest z ministrami, pobierając za szaloną pracę jakieś głupie grosze, muszą zewnątrz udawać nadzwyczajny dla tej sali szacunek.

Wszystkim panom posłom wolno mówić od rzeczy, nie przystępując ani jednym słowem do sprawy, która jest na porządku, i mówić to często tak nudno, tak piekielnie nużącym językiem i formą, że można dostać boleści żołądkowych.

Ładnieby wyglądała ta sala, gdybym, słuchając zaleceń doktorów, nie zechciał walczyć ze sobą!

Stwierdzam stanowczo, że tych piekielnych nudów, które z sali sejmowej wieją, nie mógłbym wytrzymać nawet pół godziny. Przy przeszłym sejmie, który zawsze nazywałem sejmem korupcji, nieraz musiałem się przygotowywać do przemówienia, jako szef rządu, z góry będąc przygotowany — gdy przemówię publicznie z tej sali, będzie to ostatni dzień posiedzenia sejmu. Miałem wtedy przygotowanych parę określeń metod pracy sejmowej, które tu powtórzę. Gdy byłem przygotowany mówić o metodzie pracy za pomocą stałych i ustawicznych przemówień, chciałem stwierdzić, że atmosfera w sali przesiąka stopniowo nudą bardzo silnie i do tego stopnia, że staje się trującą. «Nawet lotne muchy nie wytrzymują waszego, panowie posłowie, gadania, do tego stopnia, iż żadna na inną muchę już nie skacze, a gdy która leniwie to uczyni, to tamta nawet skrzydełek nie podnosi, na pół już zdechła z nudów».

Chciałem przytoczyć jedno miłe bardzo dla mnie porównanie, które uczynił — mówiąc o pracy parlamentarnej — je-



den z wybitnych parlamentarzystów francuskich. Twierdził on, iż gdy myśli o pracy parlamentarnej, w której żywy brał udział, widzi na szynach ciężką lokomotywę, pracującą pełną parą; widzi palaczy, podrzucających pod kocioł olbrzymimi łopatomami węgiel; maszynę, ślizgającą się po szynach z powodu ciężaru, który za sobą wlecze i... zaprzęzoną nie do czego innego, jak szpilki, jako produktu ciężkiej pracy maszyny, przeciąganego na niewielką przestrzeń <sup>1)</sup>.

Osobiście znalazłem i inne porównanie, mianowicie — w kryminalistyce angielskiej był okres czasu, gdy pod naciskiem t. zw. czartystów, czyli związków zawodowych, postanowiono zaniechać konkurencji taniej pracy więźniów, skazanych na ciężkie roboty («Hard Labour»). Zdecydowano wtedy zająć więźniów ciężką pracą bez żadnego efektu. Zbudowano mianowicie na strychach więzień duże miechy, poruszane siłą mięśni ludzkich i wydmuchujące powietrze do powietrza. Zmuszano więc więźniów do katorżnej pracy w pocie czoła bez żadnego efektu i ujrzenia celu tej dziwnej pracy. Musiano jednak ze względów humanitarnych zaniechać tego systemu po pewnym czasie, gdyż trzecia część więźniów przeszła do szpitala wariatów. Ileż to razy, gdy przyglądałem się systemowi pracy sejmu, który w pocie czoła, nudnie i przewlekłe próbuje przekonać świat, że najlepszą metodą technicznej pracy jest wygłoszona od rzeczy mowa, przypominałem sobie tę trzecią część biednych katorżników angielskich, co od głupich miechów, dmuchających powietrze w powietrze, zmieniali swój pobyt w domu dla «Hard Labour» na hałasy, krzyki i nonsensowne działania mieszkańców szpitala wariatów.

Dodam, dla uniknięcia jakiegokolwiek nieporozumienia, że sam osobiście, jako dyktator Polski, sejm zwołałem, że mogąc zgnieść, jak robactwo, sejm ladacznic, po zakończonej zwycięsko wojnie, tego nie uczyniłem, że cały czas, jako szef gabinetu, postępowałem bardziej konstytucyjnie, niż sam sejm, i że zatem nikt oskarżyć mnie nie może o braki demokratycznych pojęć, będących w mojej głowie. I bardzobym sobie życzył, aby panowie posłowie nie identyfikowali swojej metody pracy z demokratyzmem. Zaszczytu tą pracą demokratyzmowi nie przynoszą.

Gdy więc trzeci sejm Rzeczypospolitej rozpoczął swą pracę i ja miałem możliwość, jako szef gabinetu, widzieć nowe tryumfy metody pracy sejmu, tak sprzeczne z moją duszą,

---

<sup>1)</sup> Piłsudski cytował nieraz w rozmowach to zdanie jako opinię wybitnego przywódcy socjalistów francuskich Jana Jaures'a.

która nie znosi pracować bez efektu widocznego, i tak sprzeczące z moim organizmem, który kwadransu jednego nie może siebie upodabniać do owej małej, nędznej, na pół zdechłej muchy, zdecydowałem, że mam do wyboru raz jeszcze — zaniechać wszelkiej współpracy z sejmem i stanąć do dyspozycji Pana Prezydenta, aby okrojować nowe prawa w Polsce, albo ustąpić ze stanowiska szefa gabinetu polskiego, który musi z sejmem współpracować.

Wybrałem to drugie i dlatego przestałem być szefem gabinetu polskiego. Powtórzyłem przy tym Panu Prezydentowi raz jeszcze moją radę, by szukał poza mną i p. Kazimierzem Bartlem jeszcze kilku ludzi, którzyby «Hard Labour» pracy szefa gabinetu wytrzymać czas pewien mogli. Z drugiej strony dodałem, że przy każdym cięższym kryzysie staję do dyspozycji Pana Prezydenta, jako szef gabinetu, biorący śmiało decyzję na siebie i wyciągający równie śmiało konsekwencje ze swoich decyzyj. Dodam, że za obopólną zgodą Pana Prezydenta i szefa gabinetu, p. Bartla, dyrektywy szefa gabinetu w stosunku do polityki międzynarodowej polskiej, jak dawniej, pozostają w moim ręku.

## PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE LEGIONISTÓW W WILNIE

(12 sierpnia 1928 r.)

*Doroczny zjazd legionistów w rocznicę aktu 6 sierpnia został zwołany w 1928 r. do Wilna na dzień 12 sierpnia. W dniu tym Piłsudski w sali «Reduty» wygłosił niżej przytoczone przemówienie. Jest ono podzięką Wodza swoim żołnierzom, za to, że go kochali, że byli z niego dumni, za to, że mu krwią swą i życiem dali «prezent» z rodzinnego jego miasta, a za co, «gdy serce swym grobem poi — serce swe na Rossie kładzie» wśród mogił swoich żołnierzy. Ostatnie to przemówienie Piłsudskiego na zjeździe legionistów.*

*Podajemy je według «Monitora Polskiego» z dn. 13 sierpnia 1928 r.*

Szanowne panie i kochani koledzy!

Gdy w Wilnie mam mówić, nie chcę w swej mowie ni zgrzytów, ni goryczy. Małym chłopcem biegałem tu po ulicach. Do szkoły tu chodziłem i do miasta. Uczyłem się tu przywiązywać, jak uczyłem się myśleć i uczyłem się kochać. Gdy więc w Wilnie mówię, nie szukam goryczy, nie wołam zgrzytów.

Gdy nad tematem mowy swej namyślałem się, szukałem zwykłych, najzwyklejszych tematów: znalazłem jeden, być może nieudolny, lecz o nim mówić będę, będę mówił o lingwistyce — do klasycznej szkoły tu chodziłem. W lingwistyce nigdy nie był mocny, przeciwnie — dość wielki wstręt do języków odczuwałem, lecz w przebiegu mego żywota siedziałem w tyłu więzieniach i tyle lat życia swego w samotności spędziłem, żem czuł pociąg do zastanawiania się nad słowami i nad pojęciami, które te słowa oznaczają. Będę mówił o jednym słowie tak, jak nieraz w samotności nad tym słowem myślałem. Słowo to w języku polskim brzmi «miły». Słowo, które się na inne języki ledwo daje tłumaczyć. Gdy szukałem w innych językach odpowiednika, nigdzie go nie znalazł. Słowo «miły» synonimowo nie da się oznaczyć. Jeżeli słowo przybliżone, jakim jest «piękny», nawet «ładny» weźmiemy, to «miły» niekiedy jest przeciwstawne do tego, co piękne, do tego, co ładne. Mówimy: «miły wyraz twarzy», mówimy: «miły uśmiech», mówimy: «miłe przeżycia». A pojęcie piękna w tym nie istnieje. Miła rzecz nie jest piękna. Inna prawda duszę przykuwa. Inna myśl przyciąga. «Miły», gdy dobrze pomyśleć, jest miłym i basta. Nie znajdziemy żadnego odpowiednika, któryby temu słowu odpowiadał lub go jako tako tłumaczył. Jest w tym czar i urok. Urok i czar, który jest silniejszy nad moce i piękniejszy nad piękno, który daje chwilę przyciągającą i duszę skuwającą ku sobie, tak, że niebo wprowadza na ziemi. I gdy myślę znowu o pojęciu «miły», sądzę, że najłatwiej to sobie wytłumaczyć, gdy miłe przeżycia ku sobie przywołam, gdy zacznę tłumaczyć słowo «miłe» tym, co dla ludzi wszystkich jest miłe, co mówi o miłym. I pierwszą rzeczą, którą wezmę, są prawa matczyne. Ileż to dzieci próbowałem przekonać, że matka ich jest brzydka. Pomimo, że nieładna była, każde dziecko zacięcie się bronilo. Nie spotkałem dziecka, któreby mogło stwierdzić, że matka jest brzydka, i gdy nie mogło słowa «piękna» wykrztusić, od razu zgadzało się ze mną, że matka jest miła. Matczyne łono, matczyne pieścizny, pieściwe pieścizny dziecka, które serce matki wykuwa i z siebie wyrzuca; gdy dziecko w trwodze się budzi, pierwsze spojrzenie widzi nad sobą matki schylonej, by pieścizną gładzić dziecko, by je uspokoić. Gdy dziecko silniej zaszlocha, matka dziecko zawoła, by je uspokoić, ku sobie przywiązać i szloch w piersi zdusić. I ileż wspomnień! Gdy mówię o matkach, ileż miłych wspomnień i miłych przeżyć ciągnie się ku temu, co matczyne i miłe.

Przejdę do drugiego przeżycia, tak ciężkiego u nas, co

dziećmi jesteśmy. Każdy z nas przeżywał okresy, gdy był złamany, gdy pierś ciężko oddychała, a poranek, gdy budził człowieka, budził go z uczucia ciężaru. Każdy to przeżywał, a gdy w ciężkiej prawdzie życia i gdy w ciężkich prawdach przeżycia pieszczota zgryzotę dusi, gdy oddech powraca do piersi i zmarszczki na czole wygładza, gdy pomoc człowieka znajduje, by nie być szmatką zmarniałą, niezdatną do życia, to wtedy te przeżycia są miłe, zostają w pamięci, nie znikają.

Jeszcze jedna, może najbardziej jaskrawa prawda «miłego». Jest nią dziecko. Nad głową stoi czas, nad duszą świszczy bat i człowiek się z sobą mocować musi, aby wytrzymać, i wtedy — ramię małego dziecka — dziecka, prawda, bezsilnego, co myśleć nie umie, lecz czarownie się uśmiecha, dłońmi pieści tak, jak jedwab, zmarszczki wygładza i troski zwalczać każe. Bezsilność dziecka jest jego potęgą. Niewprawny język, niewprawne członki ciała, ruszające się niezgrabnie, nosek, jak kartofelek, czoło łysawe, ani to piękne, ani siła. Patrzenie, dziecko słabe, ledwo słowo wymówi, a w domu to słabe słowo, jak silne języka słowa, powtarzają. Język dziecka staje się językiem dorosłych. Nowe słowa dziecko tworzy, które zostają u ludzi w pamięci wieki całe. Bezsilność, połączona z siłą, brzydota z pięknem, to jest miłe, to czar — to urok, co serce zniewala, co przykuwa do siebie i mocno ku sobie pociąga.

Jeżeli nie wszyscy panowie tak z dziećmi obcuja, jak ja, to jednak dobra połowa ludzkości, matki z dziećmi mające do czynienia, mają te przeżycia miłego tak silne i tak niezłomne, że niosą swe przeżycia z dziećmi aż do grobu.

Gdym myślał, panowie, o słowie «miłe» i o wszystkich uczuciach, które czarem, urokiem ku sobie skłaniają, zawsze przypuszczałem, że człowiek, gdy do grobu idzie, poduszkę wspomnień ze wszystkich swoich miłych przeżyć uplata, tak, by to, co miłe, szeptało strudzonej głowie o tym, co miłe pamięta, i we wszystkim znajdziemy jedną wielką prawdę. Siłę pieszczoty, co pieściwie dzieła tworzy, co pieściwymi dziełami zmarszczki wygładza, młodość nową daje i daje przeżycia tak silne i trwałe, że wszystkie inne zgładza, a z «miłem» idzie człowiek do grobu.

Kochani koledzy, gdy o wszelkich zjazdach myślę, którem widział, przeżywał i które ze sobą porównywałem, zawsze znajdowałem jedną wielką prawdę dla nas, że zjazdy nasze są bardziej dziecinne, gdy nawet koledzy i koleżanki zwinności nóg nie próbują i niezgrabnych lub zgrabnych podskoków figlarnych nie robią, kiedy w życiu udają dorosłych, a nie dzieci. A gdy wy, panowie, się zbieracie, to najczęściej udajecie

dzieci. Gdy się znajdziecie w jakim mieście, mury pękają od was, od waszych krzyków i hałasów, święto z sobą niesiecie, musowe dla innych, święto jakieś, które macie w duszy, gdy się spotkacie. Bezwiednie ku sobie idą ręce, bezwiednie z uśmiechem uśmiech się spotka. Bezwiednie uściskiem się łączą dłonie i usta. Niechętni ku sobie ludzie zapominają o niechęci. I miasto, które swym zjazdem zaszczycać, musi mieć święto, gdyż zmuszacie je świętować. Noc zmienia się na dzień. Dzień zmienia się w jakieś okrzyki i hałasy, ludzie znajdują w sobie powagę życia gdzie indziej, lecz nie na naszych zjazdach. I gdym się, panowie, zastanawiał nad tym, dlaczego te nasze zjazdy do innych zjazdów nie są podobne, dlaczego w nich tyle szczerości i tyle jakiegoś odmłodzenia i dziecinnady, tom szukał długo i badał, nie chcąc uczuciom swoim pozwolić się unieść, subiektywnym wrażeniom lub subiektywnym sądom.

Moi panowie! Gdy palec Boży ziemi dotyka, stuletnie dęby ku ziemi gną szyję, a gdy grzmoty i błyskawice po ziemi idą, ptaszyny i ludzie chowają się do schronisk i domów. Gdy palec Boży ziemi dotyka, gdy idzie taka wielka wojna, jaką myśmy przeżyli, to ziemia jęczy i woła, a wyroki gdzieś w niebie wysoko się piszą — dla jednych zatracenie, dla innych odrodzenie. I gdy czasy tak wielkie idą, co świat na inny zmieniają, to, proszę panów, czasy te nie są na miarę piersi tchórzaków, piersi łotrzyków. Muszą gdzieś iść czasy odrodzenia.

Moi panowie, gdyśmy ongiś szli w pole, gdy byliśmy garstką, różniliśmy się od wszystkich żołnierzy dokoła i niczym innym myśmy się nie różnili, jak że pierś bujnie czuła i śpiewała huczną pieśń odrodzenia naszej ziemi. I gdy teraz, po tylu latach się spotykacie, to pieśń odrodzenia, którą ongiś śpiewały piersi, dotąd ją czujecie, bo odrodzenie i wiosna to jedno, i gdy wiosna na ziemi idzie, suche badyle się zielenią, suche wierzby kwitną i zwierzę każde i każdy człowiek pierś ma rozszerzoną. I pieśń miłości, gdy trele słowicze, gdy ryki tygrysów po ziemi idą z potęgą wiosny, gdy idzie odrodzenie, to wszystkie fibry duszy, wszystkie fibry ciała inaczej biją, inaczej śpiewają. I gdyśmy ongiś po naszej ziemi szli w bojach, gdy smutek, gdy boje na ziemi naszej panowały, to myśmy szli do boju, jak do tańca, jak do tańca na równych posadzkach, myśmy szli po drodze do pewności odrodzenia, w odrodzenie wierząc i o odrodzeniu myśląc. Większość z was, panowie, młodzi wówczas byli, nie mieli tłuszczu na różnych częściach ciała, nie mieli siwizny na skroniach i z młodą duszą szliście naprzód. I teraz, gdy o was myślę, gdy dzieje wa-



sze badam i gdy się przyglądam wszystkiemu, coście przeszli, zawsze przypominam sobie Słowackiego wierszyk <sup>1)</sup>, który wam tu przytoczę:

«Młodość miał bardzo piękną, niespokojną.  
Ach! taką tylko młodość nazwać piękną,  
Która zaburzy pierś jeszcze niezbrojną,  
Od której nerwy w człowieku nie zmiękną,  
Ale się staną niby harfą strojną  
I bite pieśnią zapału nie pękną.  
Przez całą młodość, legionista <sup>2)</sup> bujnie  
Za trzech ludzi czuł — a więc żył potrójnie».

Naturalnie, strawestowałem tu trochę Słowackiego, gdyż Słowacki legionistów nie znał.

Gdy w Wilnie mówię, zgrzytów nie wołam, goryczy nie proszę i do pamięci sobie wołam te moje z wami przeżycia, których wiązanek całą mam w pamięci. I nie badam, lecz po prostu wspominał, to, co mi miłe, wspominał to, co było mi pieszczotą.

Wśród kilku wiosen, któreśmy razem przeżyli, pamiętam jedną, co bojem silnym pod Kostiuchnowką była zakończona <sup>3)</sup>. Szła wiosna, wiosna polska. Stałem wtedy na kwaterze w zbudowanym i pozostawionym dla mnie szałasie <sup>4)</sup>. Szalas był duży. Szalasem go nazwę, gdyż dach miał papierem, tekturą, słomą pokryty, i cały domek z desek się składał. Dla elegancji wprawiono nawet szyby. I tych szyb w moim pokoju było kilka. Otwarto wszystkie okna i przez okna wiosna się wdzierала, wiosna poleska, jakaż inna od innych wiosen na świecie. Upojny, silny zapach sosen z upojnym zapachem bagien, bagna poleskie, bagna siwym mchem pokryte, kwitły i jaśniały wiosną. Upojny las poważnie szumiał, dając żywiczne ciepło i żywiczną gorycz. Gdzieś kaczory tęsknie nawoływały kaczki, gdzieś na reducie Piłsudskiego <sup>5)</sup> strzały brzmiały, wrywając się w wonną wiosnę i wiosnę głużyły te strzały. A było w nich coś zniewalającego, mnie śmiercią grożąc.

Wiosna szła na mnie, tak, jak na ludzi idzie. Wspominałem wszystkie wiosny, które przeżywałem, jedną za drugą. Wiosna w nerwy mi wchodziła. Maj uroczy z całym nowym

<sup>1)</sup> Słowacki: «Beniowski», Pieśń I, w. 17—24.

<sup>2)</sup> W oryginale są słowa: Pan Beniowski.

<sup>3)</sup> W dniach od 4 do 6 lipca 1916 r.

<sup>4)</sup> Mowa o ziemiankach pozostawionych przez II Brygadę Legionów w miejscowości nazwanej Nową Rarańczę.

<sup>5)</sup> «Redutą Piłsudskiego» nazwano najbliższej do okopów nieprzyjacielskich wysuniętą pozycję pod Kostiuchnowką w lecie 1916 r.

cieplem i nowym życiem w przyrodę wchodzący. Gdzieś przez okno wdzierał się pogwar, wesole okrzyki mego sztabu, który pod wieczór zbierał się do anegdot. Byłem sam w pokoju i zwyczajem swoim namiętnie po pokoju chodziłem. Mierzyłem krokami swą małą chatkę. Raz po raz, chwila za chwilą, minuta za minutą, godzina za godziną. Zapominałem się, jak w wiosnie, i pierś chciała głęboko odetchnąć, w przestrzeni głębiej odczuwać wiosnę życia. Wyszedłem. Księżyc srebrzysty kładł swe cienie wesole i smutne w lesie. Obejrzałem się dokoła i nagle szloch człowieka usłyszałem. Zwróciłem oczy w tamtą stronę. Księżyc błyskał na karabinie mojej warty, warty dowódcy, co na straży swego odcinka stała. Spojrzałem, szary żołnierz, skulony na płocie, płakał. Wstyd mi się zrobiło. Podeszedłem ku niemu zobaczyć i spytać, czemu płacze — może mu pomóc potrafię? Miłe chłopię, oparte piersią na płocie, ręką spoczywało na karabinie i szlochało. Podniosłem jego twarz i ujrzałem: — twarz małego chłopca, dziecinna, stał na warcie i płakał, jak dziecko. Łzy mu z oczu się lały, tak, jak u dzieci. Twarz młodociana i karabin przy nim. Pierś rozrywał mu szloch, tak, jak rozrywa szloch pierś mężczyzny. Poglądziłem go po twarzy i spytałem: «Chłopcze, co ci jest?» Myślałem, może mu w rodzinie ktoś umarł, może biedak płacze po objęciach zdradliwej kochanki, może urlopu ci trzeba — dam ci urlop. Przyłgął ustami do mej ręki i szlochał jeszcze silniej. Uspakajałem go, jak mogłem. «Komendantcie, — ryczał chłopiec — ja nie mogę już patrzeć, jak Komendant się męczy i jak pomóc w niczym Komendantowi nie mogę». I zaczął mówić takie brednie, niesłychane jakieś rzeczy o tym, jakby się zakradł do Komendanta, jakby chciał mu całą czekoladę rzucić pod nogi, bo Komendant tak ją lubi. To brednie dziecka-żołnierza, nie umiałem go nawet pocieszyć. Cóż zrobić z takim malcem, który płacze, na warcie stojąc, na karabinie się opierając, i płacze nad męką Komendanta, chcąc mu coś z siebie ofiarować, coś dać po prostu człowiekowi, co się za nich męczy. Chłopak mi nieznan, z twarzy niewidziany, jako chłopię małe stał zawsze w tylnych szeregach — drągali zawsze naprzód stawiali. Pieścił wodza, płacząc nad jego męką.

Biegnę do innego wspomnienia. Pamiętam dzień moich imienin we Lwowie. W r. 1916 po ciężkiej chorobie, której na Polesiu się nabawiłem<sup>1)</sup>. W teatrze szła wielka zabawa, jak zwykle, walce, śpiewanie, bicie mi brawa, krzycząc: «Niech

<sup>1)</sup> Por. t. VI, str. 74.

żyje Piłsudski!» A potem szły inne czasy nieco <sup>1)</sup>. W Austrii zostałem zaproszony na obiad do komendy miasta <sup>2)</sup>. Jestem na tym obiedzie. Koło mnie dla grzeczności usadowiono oficerów, którzy mówią po polsku, chcą ze mną po polsku rozmawiać. Rozmawiamy przy czarnej kawie. Opowiada mi major zdarzenie, które miał z żołnierzami I Brygady. Powiedział mi on: Szedłem po ulicy i widzę: żołnierze idą w czasie niedozwolonym, bo koło godziny pierwszej wieczorem. Idą legioniści. Dwóch nieco się zataczających żołnierzy, którzy, przechodząc, nawet mnie szturchnęli. No, wie pan, panie brygadierze, to są rzeczy zupełnie niedozwolone. Zatrzymałem ich stanowczo. Patrzyli na mnie, honorów mi nie oddali. Spytałem: Co wy za żołnierze? My z I Brygady. Dobrze, z I Brygady, ale zachowujecie się tak, jak nie żołnierze, mówiłem. Ja ich skarcić chciałem. Ależ to z nimi wytrzymać nie można! My z I Brygady, powiedzieli, a pan był na froncie? — Biedny majorzyna, trochę mu się zimno zrobiło. Jeden z nich sięgnął do kieszeni, długo w niej dłubał i gdzieś z tyłu wyjął order *Virtuti Militari*, ale order austriacki, tak tylko nazwany i powiedział: Masz! Potem gdzieś z tyłu wyciągnął pruski order: Masz! Oni mają te same! — Zawrócili i poszli. Te ordery obce, na tyłach noszone, a na piersiach dumne odznaki z mymi literami <sup>3)</sup>. To jest moja Brygada.

I znów pieszczoty, pieściwe dzieło, co sięgnąć może do dumnego czoła, co dumne oczy przed śmiercią nie mrużąc, zapieści, zacałuje. Dumnym sam będąc, umiałem chować i pracować nad moimi żołnierzami — i w ojczyźnie, co dumy nie znała, dumni być potrafili. To wspomnienie zawsze mnie pieści. Baciary lwowskie, na tyłach noszące obce ordery!

Jeszcze jedno wspomnienie. Brygada w owe czasy dostała państwo, a ich Komendant dostał Naczelnika. W tym samym mundurze, w którym pośród innych chodziłem, reprezentowałem państwo polskie, przyjmując posłów z całego świata. Byłem Naczelnikiem i żywo sobie przypominam śmieszne określenie, które jeden z przybyłych z Rosji generałów powiedział, patrząc na mnie: «Ni to Kościuszko, ni to Korsikan». Był to czas, moi panowie, dość zabawny, gdy hymny obcych państw śpiewano bardziej ochoczo, niż polski. Był to czas ten, gdy Polska ubogim kopciuszkiem słynęła. I wtedy, proszę państwa,

<sup>1)</sup> Skrót zawierający prawdopodobnie myśl, że były to czasy, w których władze austriackie poczęły kokietować nieco legionistów.

<sup>2)</sup> O zdarzeniu tym mówił Piłsudski już w swym odczycie «O wartości żołnierza Legionów» (por. t. VI, str. 74).

<sup>3)</sup> Mowa o odznace I Brygady, na której były litery: J. P.

w Warszawie było jakieś święto żołnierskie <sup>1)</sup>, nie powiem jakie, i nie powiem kiedy. Przyjechałem na to święto. Święto to ubierano, wedle mody warszawskiej, w jakieś śpiewy, muzyki, deklamacje i innego rodzaju artystyczne utwory. Słuchałem, siedząc na pierwszym miejscu. Dość się nudziłem i tęskno wyglądałem, gdy przerwa nastąpi. Nareszcie przyszła. Wstałem, aby obejrzeć lokal. Obchodząc lokal, zabłądziłem do bufetu. W bufecie było dość dużo ludzi. Obejrzałem się i podszedłem do bufetu. Podskoczyło do mnie kilku podoficerów. «A kolega z którego pułku?» — «Z piątego. Komendant jak do nas przyszedł, to my tu zaraz wstawiamy. Dać wódki! My płacimy! Komendant nie płaci!...»

A dokoła attachés wojskowi obcych mocarstw z przerażeniem spoglądali na bratanie się Naczelnego Wodza z podoficerami. I szła wódeczność za likierem, likier za wódecznością. Ja mam głowę mocną, przepiję nawet podoficera. Wydobyłem świeżo otrzymaną w prezencie od oficerów belweder-skich papierośnicę. «Ho, ho, ho, to ci Komendant fajną papierośnicę wyfasował! A wie Komendant, że Komendant mnie papierosa dłużny?» «Zwracam dług». Wziął, obejrzał, powąchał: «Dawniejsze austriackie pewno były lepsze?»

Gdy tłum dokoła mnie stanął, dokoła Naczelnika Państwa, panowie podoficerowie rozporządzali się w bufecie, sięgając od kielbas do tortów, od tortów do jakichś innych smakołyków. «My płacimy za Komendanta, Komendant nic tu nie płaci». Ogłosiwszy to, jeden z nich mówił: «A ja na Komendanta jestem obrażony». «Dlaczego?» «Bo widzę, że Komendant mnie nie poznaje». «Nie poznaję istotnie». «A do kogo to Komendant w Dynaburgu w szpitalu najpierw podszedł?» <sup>2)</sup> Powiadam, że na sali w Dynaburgu, gdzie leżało mnóstwo chorych, mających palce u rąk i nóg odmrożone wskutek mrozów, które panowały, spojrzałem i zobaczyłem od razu rozśmianą szeroką twarz. To mnie pociągnęło i podszedłem. «A pamięta Komendant, co ja wtedy powiedziałem? Ja wiedziałem już z góry, że Komendant zapomniał. Byłem ranny». «Jakaż to rana?» «W koalicję byłem ranny». «Ja wiem, rana w koalicję bardzo szybko przechodzi!...»

To miłe wspomnienia po pamiątkach szczerych. Co to znaczy? Co to jest? Attachés wojskowi zapisywali dokładnie

<sup>1)</sup> Mowa o obchodzie rocznicy 5 p. p. Legionów dn. 18 grudnia 1920 r., w sali Stowarzyszenia Techników w Warszawie.

<sup>2)</sup> Por. t. V, str. 141.



zdarzenie, jakie się wydarzyło w Warszawie, w różnych językach, na świat cały. Wszystko mi było bardzo miłe. «Ni to Kościuszkę, ni to Korsykanę». O Korsykanę marzyła młoda głowa, gdy biegał po tym mieście. O Korsykanę naczytałem się tyle anegdot, tyle baśni. Gdy wróciłem do Belwederu, przypomniało mi się natychmiast, że Napoleon źle jeździł konno i często z konia spadał. Jechał gdzieś w bój i wówczas jeden z gwardiaków spadł z konia, a Napoleon mu powiedział: «Niezgraba». Lecz Pan Bóg go ukarał, bo po ujechaniu 60 kroków Napoleon spadł z konia, a wtedy mija go w pełnym galopie gwardiak i pyta: «A teraz, kto niezgraba?»

Niechno panowie pozwolą. Ostatni fakt miły. Jeden z najmilszych, które przypomnę. Gdy siedział w Magdeburgu, istotnie stał nad głową kat. Nie byłem nigdy pewien życia. Był to jak grób zamknięty. Izolowany byłem bardzo od świata i wtedy właśnie myślałem o miłem, co, jak poduszka, do trumny z człowiekiem idzie. Jedno z najmilszych, jakie mam i jakie przeżyłem, jest Wilno, jest miasto moje rodzinne. I nieraz tam, w Magdeburgu, o Wilnie myślałem, do Wilna tęskniłem. Miłe miasto. Rzędem bieżąca mury, pagórki, otoczone zielenią, pieszczą mury. Mury tęsknie na pagórki spoglądają. Miłe miasto. Gdy na który z pagórków się wyjdzie, ku niebu przez mgłę oparów błyszczą do góry wieżycy, wieżyczki, na których, gdy dzwony zadzwonią, nie wiadomo, czy się skarżą, czy o łaskę proszą, czy tęskny tylko do nieba głos wznoszą. Miłe miasto. Miłe mury, co mnie dzieckiem niegdyś pieścili, co kochać wielkość prawdy uczyły, miłe miasto z tyłu, tyłu przeżyciami. Miasto — symbol naszej wielkiej kultury i państwowej ongiś potęgi. Dynastia Jagiellonów, co nad wieżyczkami Krakowa i wieżami Wilna potężnie niegdyś panowała. Wilno Stefana Batorego, co uniwersytet zakładał i mieczem nowe granice wybijał. Wielcy poeci i wieszczowie, co naród pieścili słowem i w czar zakuwanych słowami życie narodowi dawali... Nie gdzie indziej, jak tu, w tej samej szkole, gdzie ja biegałem w tych murach, pięknie wołających do Boga, uczyli się, jak ja kiedyś, w przeklętej rosyjskiej szkole<sup>1)</sup>.

Wszystko piękno w mej duszy przez Wilno pieszczone. Tu pierwsze słowa miłości, tu pierwsze słowa mądrości, tu wszystko, czym dziecko i młodzieniec żył w pieszczocie z murami i w pieszczocie z pagórkami. Jedno z najpiękniejszych miast w świecie! I biegłem ku Wilnu pieszczotliwą myślą, tworząc sam dla siebie pieściwe pieszczoty dziecko. Jedna z mo-

<sup>1)</sup> Por. t. V, str. 112.



ich książek tam właśnie powstała, w murach Magdeburga <sup>1)</sup>). Czar, zakuty we wspomnieniach, urok odrodzenia, rzucony w szale tam niegdyś. Wszystko to razem składało się na marzenia człowieka, co nie wie, czy jutro do grobu się nie położy. Minęło lat parę i byłem znowu z wami i gdym marzył i myślał o Wilnie, w warszawskim Belwederze zamknięty, myślałem także i o was i gdym w bój zawołał, by Wilno zdobyć, was do siebie powołałem; marzyłem, sądziłem, że dwa serca zbratane dadzą mi to, o czym dusza marzyła. Wilno musi być moje! I jak wyście mi na to odpowiedzieli, żywo pamiętam tę chwilę. Wilno w owym czasie, gdy Polska ledwie żyć począła, gdy ze wszystkich stron żądano naszej ziemi, dłonie ku niej wyciągano, gdy bitwy na wszystkich ścianach Rzeczypospolitej i wojna trwała, gdy inne państwa już były spokojne, gdy działa u nas grzmiały, gdy tam spokoju już doznali, Wilno dalekie było od myśli i Wilno dalekie było od zakłopotania serca wszystkich. Wyście stanowili najpewniejszego żołnierza, żołnierza, który mnie nigdy w wojsku nie zawiódł, który dał mi wszystko, co żołnierz wodzowi dać musi. Was powołałem <sup>2)</sup>). Szła wielkanocna pora, gdy batalion za batalionem, szwadron za szwadronem do Wilna śpieszyły. I szła pogwarka wśród wiary — Komendant nasz Wilno kocha, na Wielkanoc Wilno w prezencie mu damy... Prezent wspaniały. I gdy myślę, że nie sądząc nawet o ważności Wilna dla nas, jako prezent, jako pieśczoła dla serca Komendanta, wieleście mi dali i gdy pomyślę, że tam gdzieś na Rossie u wrót cmentarzy mogiłka za mogiłką leży, jedna przy drugiej, jak żołnierze w szeregach, ci, co życie dali, by Komendanta serce pieścić, to mówię, że miłym to być musi, i gdy serce swe grobem poję, serce swe tam na Rossie kładę, by wódz spoczął z żołnierzami, co mogli tak pieścić dumnego wodza czoło, co mogli tak życie dawać jedynie dla prezentu. I miłe to musi być wrażenie przeżyć życiowych w Legionach, miłe wrażenie i teraz, gdy z wami się żegnam; gdy kończę, i kończę w Wilnie, życzę wam, byście dzień dzisiejszy, dzień naszego święta, spędzili istotnie tak, jak było to niegdyś, byście miastu spokój zakłócili, by miasto zadrżało w waszych objęciach, tak, jak drżało ongiś, gdyście tu marszem zwycięskim wchodzili...

<sup>1)</sup> Mowa o «Moich pierwszych bojach», por. t. IV, str. 248—402.

<sup>2)</sup> Mowa o 1 dywizji legionowej, użytej przy zdobywaniu Wilna w kwietniu 1919 r.

PRZEMÓWIENIE NA OBIEDZIE WYDANYM PRZEZ RUMUNSKIEGO MINISTRA SPRAW ZAGRANICZNYCH  
ARGETOIANO

(1 października 1928 r.)

*Dnia 19 sierpnia 1928 r. wyjechał Piłsudski na sześciotygodniowy wypoczynek do Rumunii. Przed powrotem swym do kraju przybył Piłsudski dnia 1 października 1928 r. do Bukaresztu dla złożenia tam kurtuazyjnych wizyt. W tym dniu ówczesny rumuński minister spraw zagranicznych Argetoiano wydał obiad, na którym po toaście Argetoiano na cześć Prezydenta Mościckiego i Piłsudskiego, Piłsudski wypowiedział poniżej przytoczone przemówienie.*

*Podajemy je według «Głosu Prawdy» z dn. 3 października 1928 r.*

Pobyt mój w Rumunii wzmocnił uczucie sympatii i głębokiego szacunku, jakie żywiłem zawsze dla waszej pięknej ojczyzny i narodu rumuńskiego, którego szlachetną gościnność miałem ponownie sposobność ocenić.

Jestem szczęśliwy, mogąc stwierdzić, że węzły serdecznej przyjaźni, które łączyły zawsze nasze narody, zacieśniają się w dalszym ciągu ku pożytkowi cywilizacji i ku uspokojeniu Europy. Wypowiadając życzenie, aby nasze połączone wysiłki powiodły nas ku szczęśliwym przeznaczeniom, wnoszę toast za pomyślność zaprzyjaźnionej i sprzymierzonej z nami Rumunii, za zdrowie króla Michała <sup>1)</sup>, rodziny królewskiej, wysokiej regencji <sup>2)</sup> oraz rządu.

Z PRZEMYSŁEN NACZELNIKA PAŃSTWA

(Częste przemyslenia)

(5 listopad 1928 r.)

*Pod powyższym tytułem pojawił się w «Expressie Povernym» z dnia 11 listopada 1928 r. poniżej przytoczony artykuł, datowany 5 listopada 1928 r., o ludziach «bez wczor-*

<sup>1)</sup> Po śmierci króla Ferdynanda I królem został jego wnuk Michał, gdyż syn — Karol II, wyrzekł się wtedy praw do tronu.

<sup>2)</sup> Rada regencyjna składała się z patriarchy bukareszteńskiego Mirona, prezydenta najwyższego sądu Buzdygana, oraz ks. Mikołaja, stryja małego króla Michała.

*raj», bo wstydzących się swej przeszłości i o ludziach «bez jutra», bo śmiesznych budowaniem nierealnych planów.*

*Tekst podajemy wealug «Expressu Porannego» z dnia 11 listopada 1928 r., w którym to numerze zostało zamieszczone i facsimile rękopisu tego artykułu.*

Ludzie bez wczoraj, ludzie bez jutra. To wczoraj — było, lecz mieszkał tam wstyd. Wstyd niemały, wstyd duży. Gdzieś ktoś kupował, gdzieś ktoś się sprzedawał, gdzieś ktoś zrzucił dolne ubranie, gdzieś ktoś nieprzyzwoicie całował. I we wczoraj mieszka wstyd. Lepiej go nie mieć, lepiej o nim zapomnieć, lepiej przykryć je kłamstwem i blichтром słowa, lepiej nie być wczoraj, gdzie mieszka wstyd. Ludzie bez wczoraj...

Ludzie bez jutra. Czy jutro, co spotka nas — gdy myślimy o nim dzisiaj — czy słońcem rumianym, czy schmurzonym nieba obliczem, to jutro, co je codziennie inną nazwą dnia w tygodniu chrzcimy, jest podobne w czymkolwiek do tego jutra, które spotykać będą nasze dzieci czy prawnuki? Czy można te jutra, tak odległe od siebie w czasie, zbliżyć i utożsamiać? Wątpię i nie mogę się zgodzić, by nie odróżniać prawdy od metafory. I oto gdzieś ktoś buduje kanały, którymi morskie olbrzymie okręty i statki do Warszawy przez Wisłę sprowadzi, i wyrzuca na to realne — nie metaforyczne — pieniądze; ktoś gdzieś armię w projekty i pomysły uzbraja, gdy żołnierz nie ma butów i zwykłego karabinu, — i na te projekty łoży nie metaforyczne, lecz realne pieniądze; ktoś gdzieś obowiązkowe nauczanie wprowadza, nie myśląc ani o budynkach szkolnych, ani o nauczycielach. Gdzieś zamki na lodzie — i to wiosną — budują, gdzieś gwałtem z piasku bicze kręcą, licząc, że bić nimi będą, aż ziemia zadudni. Ludzie bez jutra!...

Ludzie bez wczoraj i ludzie bez jutra — ludzie bez cienia. Jeden cień wstecz się cofa, tam, gdzie wstyd mieszka, od innych cieni zmyka w dal, tam, gdzie śmiech zamieszkuje. Ludzie bez wczoraj, ludzie bez jutra! Czyż może dzisiaj należeć do tych, co cienia nie mają?!

\*

Czy widział kto kiedy efemerydy? Gdym czytał niegdyś dzieckiem, że są potworki jakies, co żyją zaledwie pół dnia i mniej, to znaczy — po urodzeniu się zaraz umierają, sądziłem, że to jakies zupełnie małe pajęczki czy robaczki, zatem prawie nic nie widzą i nic nie słyszą. Z tym dziecinnym wyobrażeniem jakiegoś dziwactwa przyrody żyłem spokojnie do wieku dojrzałego. I wreszcie raz je ujrzałem. Pamiętam, było to

w Wilnie, w czerwcowy, upalny i nieco duszny dzień. Szedłem od wspaniałej katedry po prospekcie Świętojerskim, co go dzisiaj Adama Mickiewicza ulicą nazwali, szedłem, jak bezdomny tułacz, śpiesząc wieczorem na przygotowany nocleg, gdzieś za mostem Zwierzynieckim, by bezdomną głowę w bezpiecznym miejscu na poduszce skłonić. Wydawało mi się, że czas idzie na burzę. Gdym się do mostu zbliżał, spostrzegłem wysokie łukowe latarnie, jak gdyby przyćmione od oparów, i grupki ludzi, stłoczonych i żywo rozmawiających, tak, jakby wypadek jaki zdarzył się na ulicy. Zwolniłem kroku i nagle poczułem na sobie dotknięcie jakiegoś owadu; trwało to chwilę tylko i owad już był na murze, by zaraz potem znaleźć się na chodniku i za chwilę znowu — w rynsztoku. Gdym ruszył dalej, znalazłem się w jakiejś gęstwie tych owadów, które czyniły ruchy, nie zatrzymując się ani na chwilę, ruchy, z tak wyraźną i tak jaskrawą bezcelowością i bezmyślnością czynione, że nie można było z niczym dotąd widzianym tego bezmyślnego stanu porównać. Koło łukowych lamp owadów było mnóstwo — jakaś gęstwa istot, które poruszały się wszędzie z tą samą bezmyślnością i jakąś tępą prawdą głupoty w różne strony — na dół, na górę, na bok, na lewo, na prawo. Jakieś ćwierć życia, ćwierć chęci, ćwierć myśli i ćwierć istnienia. Gdym mijał most, spojrzałem w wartkie nurty Wilii — tam w cieniu działało się to samo, co wysoko przy lampie elektrycznej, rzucającej jaskrawe, blade-niebieskie światło w przestrzeń.

Kiedy nazajutrz z rana wracałem ze Zwierzynca do miasta, stróże kamieniczni zmiatali dużymi miotłami gęstwę efemeryd do kloaki.

Patrzyłem na tę bezmyślną zielonkawą masę i myślałem — a jednak, a jednak i to jest życie! I może pomiędzy bezmyślnymi ruchami, czynionymi przez efemerydy, może przez chwilę jedną taka istota upajała się myślą, że zaraz zmieni się w człowieka i siłą swoją zmusi człowieka stać się efemerydą? Może, zamarzona, myślała, że zamieszka w ludzkim mieszkaniu, a człowieka wyśle latać bezmyślnie nad rzeką czy przy lampie łukowej? Kto wie?! Dostatecznie bezmyślne są takie istoty...

5/XI. 1928 r.

J. Piłsudski.

## PRZEMÓWIENIE NA KOMISJI BUDŻETOWEJ SENATU

(28 lutego 1929 r.)

Stosunki między rządem a sejmem zaostrzały się coraz bardziej. Sejm dla zamanifestowania swego opozycyjnego stanowiska do rządu Bartla skreślił dnia 11 lutego 1928 r. przy uchwalaniu budżetu na r. 1929/30 całą kwotę na fundusz dyspozycyjny Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Dnia 19 lutego 1929 r. wpłynął na plenum wniosek o postawienie w stan oskarżenia przed Trybunałem Stanu ministra skarbu Czechowicza, a dnia 26 lutego 1929 r. odbyła się w sejmie nad tym wnioskiem namiętna debata.

Piłsudski nie chcąc narażać oficerów na incydenty obraźliwego ustosunkowania się postów do nich i nie chcąc wywoływać konfliktu przez ostre reagowanie tak, jakby tego honor oficerski wymagał, nie przysłał reprezentantów Ministerstwa Spraw Wojskowych zarówno na posiedzenie komisji budżetowej, gdy ona w dniu 15 stycznia 1929 r. obradowała nad budżetem tego ministerstwa, jak i na posiedzenie Sejmu, gdy on dnia 8 lutego 1929 r. rozprawiał nad budżetem wojska.

Na dzień 28 lutego 1929 r. została zwołana komisja budżetowa Senatu, na porządku dziennym której była rozprawa nad budżetem Ministerstwa Spraw Wojskowych. Piłsudski wziął udział w tym posiedzeniu dla zaznaczenia swego odmiennego stosunku do Senatu, wykazującego wówczas większy umiar w debatach i dla wykazania w przemówieniu na tej komisji wypowiedzianym jak nieuzasadnionymi były poprawki, które Sejm do budżetu wojska wprowadził.

Przemówienie podajemy według «Monitora Polskiego» z dn. 1 marca 1929., wprowadzając pewne zmiany tekstu zgodnie z urzędowym protokołem Senatu z tego posiedzenia komisji budżetowej.

Szanowni panowie! Przede wszystkim wyjaśnić muszę, dlaczego przemawiam w senacie, nie w sejmie. Stało się to nie z mojej winy. Już przed przyjściem pod obrady sejmu budżetu, przygotowanego przez rząd, uprzedziłem pana szefa gabinetu<sup>1)</sup>, że nie będę się mógł zgodzić z tym rodzajem pracy sejmu, który stawia ministra nie jako referenta swego budżetu przed sejmem, gdyż system ten daje, zdaniem moim, pracę lichą i marną.

Jest to, zdaniem moim, jeden z tych zwyczajów i obyczajów sejmowych, które należą do przeżytków i które dają w rezultacie głuportę prowadzenia pracy.

<sup>1)</sup> Premierem był wówczas Kazimierz Bartel.



Referent, gdyby był nawet najlepszym, nie daje ani gwarancji znajomości przedmiotu, ani też wzajemnego układu różnych części budżetu ze sobą, ani też nie daje systemu pracy nad wykonaniem budżetu.

Kiedy się nieraz zastanawiałem, jeszcze przed przyjsciem na świat sejmu w Polsce, nad różnymi pracami sejmów, dziwiłem się, jak dużo tam jest nonsensów i jak gdyby rozmyślnego prowadzenia pracy tak, aby praca była marna i licha.

Do tych zwyczajów i obyczajów należy także i stawianie swego referenta do spraw, których ten nie może znać dobrze.

Dlatego też powiedziałem p. Bartłowi, że ja nie jestem w stanie podlegać temu nonsensowi, i dlatego, jeżeli moi koledzy ministrowie się tym zgodzą, żądam, ażeby mój budżet był rozpatrywany ostatni. P. Bartel na to się zgodził i dlatego przyszedłem ostatni do dania mego budżetu. Również lojalnie postąpiłem i z referentem, p. majorem Kościałkowskim, którego poprosiłem do siebie i stwierdziłem, że nie zwracając się przeciw niemu personalnie i uważając, że z tych możliwych referentów, jakich może sejm wystawić, on jest najlepszy, — stwierdziłem mu, że tak jednak postępuję i że nie będę referował nic, w razie, jeżeli nie będę jedynym referentem budżetu mego w sejmie.

Wreszcie uczyniłem to i w stosunku do p. Daszyńskiego, powiedziawszy mu to samo, co mówię tutaj.

Nie mogę nie stwierdzić, że występując starannie i stale przeciwko mnóstwu przeżytków z życia parlamentarnego — a jest ich wielka ilość — widzę, że ciągle stają one w sprzeczności czy to z życiem, czy to z pracą, czy to z czasem, czy to wreszcie nawet z prawem. Nie mogę nie podkreślić jak najbardziej starannie, że uczyniłem brak mojej pracy w sejmie jedynie z tego powodu. Powód był i drugi, chociaż mniej ważny, lecz nadzwyczaj dotkliwy dla wszystkich tych, którzy mundur wojskowy noszą, i jest związany z honorem.

Honor jest jednym z silnych ogniw, wiążących każdą grupę wojskową. Jest to konieczne dla wojska, gdyż, będąc w otoczeniu rozchętanej prawdy życia, rozchętanej i rozwydrzonej, trudno jest mieć wojsko, nie mieszające się do polityki, w razie, jeżeli się nie wynajdzie ogniw, które ludzi od tego powstrzymują. Jednym z tych ogniw, wspólnym dla ludzi w mundurze, w porównaniu do ludzi bez munduru, jest poczucie honoru. Dlatego też prawda honoru jest nadzwyczaj silnie zaopatrzona prawem i regulaminem właśnie w wojsku.

Nie wolno oficerowi przestąpić prawa zwykłego, przeciętnego honoru pod grozą wykluczenia go z armii za czyn nieho-

norowy. I dlatego określenia muszą być bardziej rozważne i bardziej powściągliwe. Honor ten nie pozwala na słuchanie słów w stosunku do siebie obraźliwych i oficer musi wystąpić czynnie i to natychmiast, w razie, jeżeli nie ma być zdyskwalifikowany.

Wobec rozchelstanej prawdy panów posłów, którzy o to nie dbają, jest tak trudna dla oficerów praca jakakolwiek w sejmie. Obciąża się ta sytuacja jeszcze bardziej, gdy wezmę pod uwagę to, co jest honorem służby. Honor służby w wojsku, tak ostro dowodzonym i indywidualnie dowodzonym, prowadzi nieraz do konfliktów, kończących się śmiercią. Być może, że jest to złe, ale tak jest.

Honor służby bowiem nakazuje obronę przełożonego i dlatego jest tak ciężką prawda służby wojskowej. I wobec tego, że przełożonym jestem ja, nie mogę się zdobyć nigdy łatwo na wysyłanie kogokolwiek do sejmu, oprócz mnie samego. Zawsze się obawiam tych konfliktów wewnętrznych u moich podwładnych, którzyby byli postawieni w sytuacji możliwej dyskwalifikacji siebie, jako oficerów. Nadto ciężka jest ta męka służby w tych warunkach, które dają niepowsściągliwe języki i łatwość niepowsściągliwych określeń panów posłów.

Dlatego też nie mówiłem w sejmie, dlatego też, moi panowie, nie jestem w stanie i tutaj mówić tak, jakbym mówił o całości budżetu wojskowego, gdyż wtedy musiałbym pominąć główne moje zadanie, zadanie, związane z odparciem tych poprawek, które zostały zrobione przez sejm w moim budżecie.

Biorę tylko stamtąd — z przygotowanych przeze mnie prac na sejm — biorę jedną rzecz, rzecz porównawczą, związaną z budżetami przeszłości. Na sejm bowiem przygotowałem, jako wstęp, historię budżetów wojskowych.

Jeżeli, proszę państwa, weźmiemy porównanie roku 1924 i preliminowanego budżetu na rok 1925 w przeszłości i porównamy go z obecnym, to przy przewartościowaniu złotego, wobec zniżki waluty przy jej stabilizacji, znajdziemy porównania następujące:

W r. 1924 budżet wynosił 701 milionów dawnych złotych, co przy przewartościowaniu daje 1.206,500.000 złotych. Budżet preliminowany na r. 1925 wynosił 725 milionów złotych, co przy przewartościowaniu daje 1247 milionów złotych, wtedy, gdy obecny mój budżet wynosi 814 milionów, t. zn., że w stosunku do 1924 i 1925 r. jest mniejszy o 400 i coś milionów, czyli o jedną trzecią zmniejszony.

Jeżeli zaś wezmę punkty, zaczepiane przez sejm, to znajdę przy przewartościowaniu następujące różnice:

W dziale 1, § 8 w r. 1925, bo przedtem tego działu nie było i on był przenoszony do innych działów, to jest reprezentacja — wynosił preliminowany budżet 465 tysięcy, gdy mój obecnie wynosi 236 tysięcy.

Dział 2, § 3 wynosił 29 milionów złotych w r. 1925, 21 milionów złotych w r. 1924, mój budżet wynosi 11496 tysięcy złotych.

Dział 2, § 12 wynosił w 1924 r. 21 milionów, w 1925 r. wynosił 12 milionów, w moim budżecie wynosi 7300 tysięcy.

Dział 1, § 8 to jest dział reprezentacji, dział 2, § 3 to są podróże służbowe i przesiedlenia, dział 2, § 12 to są wydatki uboczne przy wyżywieniu. W tych trzech działach zatem zmniejszenie budżetu mego w stosunku do tego, który był, jest bardzo jaskrawe i widoczne. Jest jeszcze § 4, podobny, który nosi tytuł «Różne»; w ustawie z 1925 r. wynosił 2700 tysięcy, w naszym budżecie wynosił 240 tysięcy. Inne zaś wymagają nieco ścisłej analizy dlatego, że one są bardzo zabawnie zatytułowane. O tym będę mówił później. Budżety dawniejsze przy ich rozpatrzeniu i przy ich stwierdzeniu istotnej wartości noszą u mnie zawsze miano «wesołych budżetów», albowiem smutna historia naszych budżetów wojskowych polega nie na czym innym, jak na kradzieży wyraźnej budżetów wojskowych i na defraudacji, możliwie daleko posuniętej. Są to «wesołe budżety», gdyż znam wypadki wydawania z budżetów wojskowych na sute libacje z dziewczynami z publicznych domów, robionymi dla panów posłów przez panów ministrów. «Wesołe budżety» były złotymi czasami dla panów posłów z sejmu. Z budżetu utrzymywano nie tylko ich kochanki, ale i utrzymywano również i partie, z budżetu kradziono najbezcenzuralniej w świecie, i dlatego ja zawsze nazywam te budżety «wesołymi budżetami».

Jeśli pójdę dalej w analizie, to wykażę, że system tej pracy wesołego zużytkowania budżetu nie mógł nie zaczepić właśnie tych części, które teraz są zaczepione przez panów posłów z sejmu. Z tych właśnie części, jako najbardziej możliwych, użytkowano pieniądze nie na wojsko, lecz na wesołe spędzanie czasu budżetowo-sejmowo, no i ministrowo.

Przechodzimy, proszę panów, do tych punktów, zaczepionych przez sejm. Jest ich w całości sześć; proszę panów, jeżeli przeczytam ich tytuły, to one muszą zwrócić bezwiednie uwagę. Więc: 1) inne wydatki, 2) podróże służbowe i przesiedlenia, 3) wydatki uboczne przy wyżywieniu, 4) szkoły i kursy

żegluga powietrznej, 5) fundusz dyspozycyjny, 6) różne <sup>1)</sup>). Już same nazwy zaczepionych części budżetu wywołać tu muszą pewne zdziwienie, gdyż jasnym jest, że zaczepiają one nie samą istotną prawdę budżetu wojskowego, lecz jakoś bezwiednie czepiają się tego, co jest bardzo uboczne; nawet jeden z tytułów nosi nazwę: wydatki uboczne przy wyżywieniu. Jeżeli teraz zechcemy analizować ściślej i dalej, to znajdziemy np., że takie wydatki uboczne przy wyżywieniu, które tak śmiesznie są zatytułowane, rozkładają się według naszego preliminarza na rzeczy następujące:

Zakup urządzeń laboratoryjnych, modeli dla instytutu technicznego, doświadczenia z dziedziny piekarstwa — 4000 złotych; zakup urządzeń — 6500 złotych; badania nad konserwacją mięsa i innych środków żywności pochodzenia zwierzęcego — 10000 złotych; studia i doświadczenia nad wprowadzeniem nowoczesnych urządzeń technicznych w dziale żywnościowym — 4500 złotych; modele sprzętu żywnościowego — 1000 złotych; model połowego pieca piekarskiego składanego — 5000 złotych; model kuchni samochodowej — 25000 złotych; analizy żywnościowe 17000 złotych; dezynfekcja magazynów żywnościowych — 25000 złotych; drobne wydatki, jak opłaty stemplowe, karty rejestracyjne, przesyłki żywnościowe — 5000 złotych. Suma cała wynosi 103.000 złotych. Jak panowie widziecie, można to spokojnie nazwać grochem z kapustą, czego bowiem tu nie ma? Modele pomieszczone z urządzeniami laboratoryjnymi, doświadczenia piekarstwa z dezynfekcją magazynów żywnościowych, studia i doświadczenia nad wprowadzeniem nowoczesnych urządzeń z badaniami nad zwalczaniem szkodników zbożowych itd. Jest to czysty groch i kapusta!

Jeżeli weźmiemy specjalną pozycję, związaną ze szkołami i kursami żegluga powietrznej, to zaczepiona suma wynosi rzeczy następujące: uzupełnienie i konserwacja sprzętu sportowo-gimnastycznego, uzupełnienie biblioteki wypożyczalnych filmów, zawodów szkolnych, materiały tarczowe komi-

<sup>1)</sup> Sejm zmniejszył budżet Ministerstwa Spraw Wojskowych na r. 1929/30 w następujących pozycjach:

Dział	§	Tytuł budżetowy	M. S. Wojsk. preliminowało:	Sejm zmniejszył o:
1.	8	Inne wydatki . . . . .	263.000	65.000
2.	3	Podróże służbowe i przesiedlenia . . .	11,496.361	1,041.436
2.	12	Wydatki uboczne przy wyżywieniu . .	7,376.385	53.000
8.	13	Szkoły i kursy żegluga powietrznej . .	814.000	31.890
9.	12	Fundusz dyspozycyjny . . . . .	8,090.000	1,996.400
9.	16	Różne . . . . .	240.000	140.000

sji celowniczej, stypendyści na politechnice warszawskiej i zaokrąglenie jeszcze tej sumy w postaci 1760 złotych.

Jeżeli ja przejdę do tytułu «Różne», to znajduję: doradców technicznych i specjalistów, angażowanych z poza wojska, udział w instytucie naukowej organizacji pracy, badanie stanu i rozwoju przemysłu wojennego za granicą, opłata prywatnych biur informacyjnych, normalizacja. Przeważają tu wszędzie sumy, nie przewyższające albo 10, albo 20, albo 30 tysięcy złotych. W tych trzech przeczytanych przeze mnie i analizowanych «grochu i kapuście» znajdziemy jedną sumę, przewyższającą 100 tysięcy złotych, t. j. 174 tysiące na doradców technicznych i specjalistów, angażowanych z poza wojska dla różnych prac przemysłowych. Mamy więc pomiędzy 6 punktami zaczepionymi 3 punkty zaczepione, złożone z grochu i kapusty. Ja nie będę, proszę panów, stwierdzał, czy jest dobrze robić w budżecie ten groch i kapustę, a że groch i kapusta są konieczne przy wszelkich pracach wydatkowych i wszelkich pracach administracyjnych, to jest prawda. Tedy niepodobna pakować takich drobnych wydatków na jakiegokolwiek wyraźne działy poprzednie i jeżeli się przepakowuje tymi drobnymi wydatkami działy większe, to z tego wypada nonsens i nie zostaje wtedy nic innego, jak te wydatki t. zw. «różne», t. zw. «inne» i t. zw. wydatki «uboczne» pakować w jakąś osobną rubrykę, ryzykując po prostu robienie z tego grochu z kapustą.

Pośród panów, naturalnie, jest wielu ludzi, którzy mają mus wydatkowania większych sum w tym czy innym interesie, który prowadzą, i ci wszyscy doskonale wiedzą, ile grochu z kapustą przy każdym interesie być musi, a cóż dopiero przy interesie tak złożonym i skomplikowanym, jak praca wojska, rozłożona na tyle specjalności i licząca w swoim budżecie aż 800 milionów złotych.

Ja nie tyle jestem stronnikiem grochu i kapusty, ile jestem pełen podziwu, dlaczego to panowie posłowie tak są zamilowani w grochu i kapuście. Skąd ta nagła, tak perwersyjna miłość do grochu i kapusty?

Z 6 punktów zaczepionych, mam akurat 3 groch i kapustę. Taki grochowo-kapuściany pomysł, taki właśnie punkt zaczepienia jest tak oryginalny, że kiedy pracowałem wczoraj wieczorem nad tym interesem, który tu załatwiam, to zdumiony myślałem o tendencji ludzi, umiejących znaleźć zamilowanie w grochu i kapuście. Panowie posłowie z sejmu poszli jeszcze dalej, gdyż co do wszystkich tych punktów sejm, gdy skreślił tyle a tyle, tyle a tyle, tyle a tyle bez podania pozycyj,



które właśnie chce skreślić, — t. zn., że przeszedł do porządku nawet nad grochem i kapustą, t. zn., że czyniąc nonsens, skrócił go nawet o głowę, jako obiekt nieprzyjemny dla siebie, pozostawiając problem skreślenia poszczególnych pozycji już nie sobie.

Jedyny wyjątek, któremu głowę oszczędzono, to są podróże służbowe i przesiedlenia. Jeżeli rozpatrzemy ten dział, który w sumie ma 11496 tysięcy złotych, a w poprzednim budżecie miał 29 milionów, to znajdziemy podział podróży i przesiedleń na następujące działy i paragrafy: diety przy podróżach służbowych o charakterze ogólnym, diety przy podróżach służbowych inspektorów armij przy Głównym Inspektoracie Sił Zbrojnych i inspektorów terytorialnych; diety przy podróżach służbowych w celach szkolenia wojska; diety z tytułu uczestnictwa absolwentów wyższych szkół oficerskich w wycieczkach taktycznych i krajoznawczych i podróże wyższej szkoły wojennej; diety i koszty przejazdów w czasie podróży za granicą; diety członków komisji poborowych i rozpoznawczych<sup>1)</sup>; diety członków komisji kontrolnych; dodatki przy przeniesieniach oficerów i podoficerów do szkół i na kursa celem specjalizacji i doskonalenia; dodatki przy przeniesieniach służbowych ze względu na przejściowy przydział do formacji i oddziałów. Wreszcie przesiedlenia i koszty użycia podwód i pobranych koni podczas ćwiczeń międzydywizyjnych.

Mamy więc masę poddziałów i w tym wypadku panowie posłowie nie skracali nonsensu o całą głowę, lecz wyraźnie wybrali te punkty, które mają być zmniejszone. Jednym z tych punktów jest pozycja z tytułu uczestnictwa szkół oficerskich w wycieczkach taktycznych i krajoznawczych podróży wyższej szkoły wojennej oraz diet i kosztów przejazdu w czasie wyjazdu za granicę. Jest to praca szkolenia, praca kształcenia. To zostało obcięte o 1,041.436 złotych.

Wreszcie wydatki przy przeniesieniach służbowych oficerów i podoficerów do szkół i na kursa, celem specjalizacji i doskonalenia. Idzie tu, proszę panów, o pewne musy, związane z awansem oficerów, gdyż awanse nie mogą iść, zgodnie z naszymi urządzeniami, jeżeli oficer nie przesłucha kursu, przygotowującego do wyższej służby. Nie można dać oficerowi młodszemu kompanii, dopóki nie wysłucha on kursu dowo-

---

<sup>1)</sup> Komisje rozpoznawcze służą do ponownego zbadania poborowego, gdy na komisji poborowej była różnica zdań, lub gdy zajdą okoliczności, uzasadniające konieczność ponownych przeglądów poborowych, uznanych za niezdolnych.

dzenia kompanią, nie można dać dowództwa batalionu lub baterii, dopóki oficer nie wysłucha kursu dowodzenia baterią, szwadronem albo batalionem, i nie można objąć pułku, nie mając również poprzednich odpowiednich kursów, które nieraz trwają długo i pozbawiają panów oficerów możliwości mieszkania w jednym domu z rodziną, t. zn., że gdzieś te kursa muszą być urządzone poza tym miastem. Żaden awans nie jest możliwy, dopóki nie ma pewności, że oficer przeszedł odpowiedni kurs.

Dziwnym więc zbiegiem okoliczności tam, gdzie nadarzała się, tak, jak przy grochu i kapuście, sposobność skrócenia nonsensu nawet o głowę, nie zrobiono tego, a tam, gdzie chodzi o naukę i szkołę, to tam znaleziono miejsce do skracania i wskazano wyraźnie, że te właśnie punkty mają być zmniejszone, że o milion ma być mniej nauki w wojsku.

Są to zatem skrócenia, które tu określiłem, a pozostaje mi jeszcze do powiedzenia jedno — wydatek, związany z funduszem dyspozycyjnym ministra spraw wojskowych, i drugie — fundusz dyspozycyjny tak zwany sztabu. Streszczam więc to, co mówiłem w stosunku do tych skreśleń, które rozpatrzyłem. Wszędzie, przy każdej wielkiej gospodarce musi być dział, zatytułowany «inne wydatki, różne, uboczne» itd. I przy administracji wojskowej, zdaniem moim, to, co jest tu napisane, jest w ogóle za małą sumą przy liczeniu na 800 milionów złotych i polega to tylko na tym, że niektóre wydatki udało się wstawić w całość działów i dlatego pozostałość jest względnie niewielka. To znaczy, że wynosi bardzo niewielką sumę, liczone 103 tysiące złotych, 61 tysięcy złotych, 240 tysięcy złotych, to znaczy nic prawie przy liczeniu milionami<sup>1)</sup>. Te właśnie działy nie tyle szkodzą wojsku, ile szkodzą autorom pomysłów grochowo-kapuścianych, i mógłbym nawet nie bronić tej sprawy, bo te zmniejszenia nic dla mnie nie stanowią. Dodam do tego, wobec porównywania z dawnymi budżetami, że te właśnie działy były poprzednio suto zaopatrzone, dlatego, że «różne» i «inne» najwięcej się nadają do wesołego potraktowania. Więc gdy namyślałem się nad tendencjami tego, to nie wiem, czy tendencja miłości dla grochu i kapusty i pomysłów grochowo-kapuścianych działała w sejmie, czy też dziwna tęsknota do złotych, dobrych i wesołych czasów, które były dawniej.

<sup>1)</sup> Mowa o kwotach preliminowanych przez Min. Spraw Wojsk. na «wydatki uboczne przy wyżywieniu», na «inne wydatki» i na «różne». Wskutek zapewne błędu stenogramu cyfry tu przytoczone nie zgadzają się z cyframi podanymi w przyp. 1, na str. 136.

Przechodzę teraz do funduszków dyspozycyjnych. Fundusze dyspozycyjne są to te fundusze, z których rachunków się nie składa. Tak określa fundusz dyspozycyjny prawo. Ale fundusz dyspozycyjny musi istnieć, jako fundusz z jednej strony reprezentacji, gdzie jest niezwykle trudno wchodzić w groch i kapustę reprezentacji, składającej się niekiedy z kieliszka wódki, a niekiedy i z bardzo bogatej prawdy reprezentacji, to jedno, a drugie — fundusz dyspozycyjny jest najczęściej funduszem, w którym wydatki nie znoszą jawności dlatego, że wtedy straci się istotę i sens pracy. Dlatego, że wtedy straci się istotę i sens prawdy. Fundusz dyspozycyjny, reprezentacyjny ministra spraw wojskowych, jak panowie widzą, zmniejszył się. Z jednej strony zawdzięcza to wojsko mojej osobie, która w ogóle nie znosi ciężaru reprezentacji i cofa się od reprezentacji jak najchętniej. Natomiast nie mogę nie powiedzieć, że wojsko musi być reprezentowane w państwie w ten czy inny sposób, dlatego, że tak żyje świat. My nie potrafimy wyrwać się z tych zwyczajów i narzucić światu inny zwyczaj.

Dążenie do reprezentacji wojska jest bardzo silne. Dlatego jest to krzywda dla wojska, odczuwaną bardzo głęboko, gdy ta reprezentacja jest zmniejszona. Specjalnie ciężką prawdą naszą jest prawda reprezentacji lokalnej pułków, które mają jedno jedyne święto, święto pułków, gdzie się łączą one z przeszłością swoją i gdzie mnóstwo osób, które w pułku służyły, przyjeżdżają na święto swego pułku. My mamy bardzo wielki ciężar nie z innego powodu, jak z tego, że pułki wysadzają się zanadto i oficerowie wchodzi natychmiast w długi na pokrycie reprezentacji swego pułku.

Jest to jeden z wielkich kłopotów zarządów wojskowych, jaki zawsze istniał. Staranie się i naciskanie na to, ażeby reprezentacja nie szła za wysoko, jest stałe i ciągłe, ażeby nie mieć skutków z długami oficerskimi.

Musimy jednak często dopomóc pułkom, specjalnie wtedy, gdy reprezentacja nabiera charakteru nie ściśle rodzinnego, wojskowego, i gdy nie jest to tylko rodzinne zebranie pułku, lecz przychodzi mus reprezentacji wojska i na zewnątrz. Takimi np. są wszystkie pułki warszawskie, gdzie natychmiast miesza się do fet pułkowych cały świat zagraniczny, uważając to za zrobienie, że tak powiem, komplementu wojsku, i wtedy jest mus podniesienia tego. Jest mus podniesienia wszystkich świąt sztandarowych, gdy sztandar daje się pułkowi — sztandar jest dany zawsze przez Pana Prezydenta, który przyjeżdża ze światą, i znów jest podniesienie, że tak po-

wiem, wydatku normalnego, który pułk znieść może i które trzeba wyciągnąć do góry. Reprezentacja wreszcie naszego wojska jest, że tak powiem, licha, to znaczy się — niewysoka i ogranicza się tylko do świąt. Otóż, pieniędzy na wszelkie reprezentacje my nie dajemy i dlatego ta cała praca reprezentacyjna wojska jest właściwie za mało wyciągnięta, jeżeli chodzi o samo wojsko. I, powtarzam, ciąży na małości tej sumy nie co innego, jak moja osoba, która, stojąc na czele w wojsku, nie znosi sama reprezentacji i nie chce brać udziału w wielkich reprezentacjach wojskowych. Dlatego też to zaczepienie jeszcze o kwotę 65 tysięcy<sup>1)</sup> złotych mogę uważać jako tendencję personalną w stosunku do zarządu wojskiem i nic więcej.

Wobec tego zaś, że jestem przekonany, iż rząd mnie tę sumę zwróci, nawet gdyby sejm zechciał to uchwalić, więc wobec tego ja jej nie bronię. A mógłbym od rządu zażądać, żeby mi cztery razy więcej dano i zawsze rząd mi to wyda. Więc tych 65 tysięcy nawet nie bronię.

Inaczej jest z funduszem dyspozycyjnym sztabu. Fundusz dyspozycyjny sztabu jest jakoby tajemnicą. Wszystkie sztaby muszą mieć fundusz dyspozycyjny na najrozmaitsze potrzeby, z trudem dające się rachować. Pierwsze to są prace wszystkich attachés wojskowych, których liczbę ja zmniejszałem stale, związane nie z reprezentacją naszej armii gdzie indziej, ale z poznaniem armij innych, nie naszej; tam jest mnóstwo pracy, wyjazdów, objazdów, mnóstwo pracy zaznajomienia się z armią i jej metodami życia i metodami pracy, co wymaga ruchu, a to znów wymaga rewanżu reprezentacyjnego przy przyjęciach. I dlatego ta praca daje nam niekiedy dość dużo, skoro porównamy siebie z innymi armiami, ale jest bardzo kosztowna. Wobec tego, że ministerstwo spraw zagranicznych tego pokryć także nie może, musi to pokryć sztab ze swego dyspozycyjnego funduszu. Jest to bardzo duża część wydatków, a to z tego względu, że, jak powiadam, wszędzie wojsko wyciąga do góry reprezentację i wtedy, gdy idzie o rewanż, on nie może być traktowany lada jako, inaczej pracuje się bezcelowo. To są zwyczaje i obyczaje wojska, jak są zwyczaje i obyczaje sejmu.

Wreszcie druga część funduszu dyspozycyjnego jest skierowana na obronę od szpiegostwa Polski. Ja, proszę panów, w Polsce pracuję na obronę od szpiegostwa od czasu, kiedy

---

<sup>1)</sup> Mowa o zmniejszeniu przez Sejm o 65 tysięcy kwoty z paragrafu: «Inne wydatki», który obejmował i wydatki reprezentacyjne.

Polska istnieje. Jako Naczelnik Państwa i jako Naczelný Wódz i późniejszy minister, śmiem stwierdzić ze smutkiem, że nie ma chwili w życiu moim, kiedy nie byłem szpiegowany osobiście i, zgodnie z moją dawną wyrobioną pracą oczu, odczuwam to doskonale. Nie ma zatem ani jednej chwili przez życie moje, pomimo tego, że jestem w wolnej, niepodległej Polsce, ażeby życie moje wyglądało inaczej, niż tak, jak wyglądało za dawnych czasów, kiedy byłem ścigany przez różne psy gończe, jak zając. Szpiegostwo jest tak gęste i tak silne w Polsce, że ja nazywam Polskę rajem dla szpiegów.

Nigdzie bowiem tak łatwo i tak dokładnie nie rozpracowano pracy szpiegowskiej w całym świecie, jak w Polsce. Ja z tym stale i ciągle muszę mieć do czynienia, nie tylko dla zdrowia personalnego, ale też dla pracy obrony państwa od szpiegostwa, od zarazy szpiegostwa. Ja świat znam dobrze i stwierdzam, że zaraza szpiegowska jest najbardziej rozpowszechniona nie gdzie indziej, jak w Polsce. Dlatego też te 2 miliony, skreślone z funduszu dyspozycyjnego<sup>1)</sup>, uważać muszę wobec tego, że to nie jest tajnym, na co fundusz dyspozycyjny się wydaje, lecz jako chęć ułatwiania szpiegostwa w Polsce.

Ja, proszę panów, przeszedłem swoich 6 paragrafów zaczepionych i tem, niestety, zakończyć swoją pracę nad budżetem muszę, gdyż to jest jedynym zadaniem moim w senacie. Ja rozumiem, że wyszedłem poza normy zwykłych określeń, związanych z krytyką działania sejmu, że w moich określeniach przekroczyłem normy, używane dotąd; czynię to zupełnie rozmyślnie, czynię to zupełnie spokojnie, gdyż jeżeli ja mam wysłuchiwać, sądzić i mieć jako sprawę groch i kapustę, to muszę mieć z tego powodu i niestrawność. To też tę niestrawność konstatuję.

*Po przemówieniu Piłsudskiego zabrał głos przewodniczący komisji wicemarszałek Gliwic, który zaznaczył zrozumienie Senatu dla potrzeb armii i wyraził pewność, «że te wszystkie sumy i te wszystkie pozycje, które zostały niesłusznie skreślone w Sejmie, tu na pewno będą restytuowane».*

*W odpowiedzi na to Marszałek Piłsudski oświadczył:*

— Będę panom bardzo wdzięczny. Przy dyskusji nie będę, zostawiam gen. Konarzewskiego i mego szefa gabinetu<sup>2)</sup> dla pewnych wyjaśnień, jeżeli poszczególne punkty będą nie-

<sup>1)</sup> Zmniejszenie przez Sejm funduszu dyspozycyjnego wynosiło 1,996.400 zł.

<sup>2)</sup> Szefem gabinetu Ministra Spraw Wojskowych był wtedy ppłk. Beck.



jasne, bo trzymałem się tylko tych punktów, które są zacze-  
pione, i nic więcej.

*Senator Gaszyński: — A zmniejszenie żołdu? <sup>1)</sup>*

— Ja mogę złożyć tylko takie oświadczenie: przeciwko  
powiększeniu budżetu wojskowego występować nie mogę i nie  
będę, jest to rzecz ministra skarbu i mego szefa gabinetu; ja  
przeciw nim także występować nie będę.

## DNO OKA

czyli wrazenia człowieka chorego z sesji budżetowej w Sejmie  
(5 kwietnia 1929 r.)

*Jednym z objawów walki między Sejmem a rządem  
była sprawa t. zw. dodatkowych kredytów.*

*Wskutek pomyślnej ówczesnej sytuacji gospodarczej  
zaczęły powstawać nadwyżki budżetowe to znaczy dochody  
państwowe stawały się wyższe niż wydatki. Dawalo to mo-  
żność użycia znacznych kwot na inwestycje niezbędne dla  
potrzeb państwa jak n. p. na rozbudowę portu gdyńskiego.  
Piłsudski, jako premier, nie chciał wydatków inwestycyj-  
nych poddawać pod obrady Sejmu, z obawy, że Sejm w ów-  
czesnym składzie nie potrafi nimi racjonalnie rozporządzić.  
Sejm uważał, że w ten sposób pozbawia się go jednego  
z jego praw.*

*Powstał spór czy rząd w ogóle ma prawo wydawać  
jakieś sumy bez uprzedniej zgody ciał ustawodawczych,  
a jeżeli to zrobił, to w jakim terminie musi uzyskać akcep-  
tację tych wydatków przez parlament. Sejm był niezadowo-  
lony, że rząd Bartla odrazał terminy wniesienia do Sejmu  
odpowiednich ustaw i mógł dać wyraz swemu niezadowole-  
niu w formie uchwalenia votum nieufności dla gabinetu.*

*Sejm nie mógł się zdecydować na tę otwartą taktykę.  
Przy ówczesnym bowiem realnym układzie sił wiedział, że  
nie może zmienić gabinetu Bartla na rząd uniezależniony  
od woli Piłsudskiego.*

*Partie opozycyjne postanowiły więc skorzystać z usta-  
wy o Trybunale Stanu, pozwalającej postawić w stan oskar-  
żenia przed nim członków rządu. Ponieważ za przekrocze-  
nia budżetowe był odpowiedzialny gabinet Piłsudskiego,  
mógł Sejm pozwać Piłsudskiego przed Trybunał Stanu. Na  
to jednak partie opozycyjne nie miały odwagi się zdobyć  
i dlatego całe oskarżenie skierowały na Czechowicza, który  
w rządzie Piłsudskiego i w rządzie Bartla piastował tekę  
ministra skarbu.*

*Dnia 19 lutego 1929 r. wpłynął na plenum wniosek  
o postawienie Czechowicza w stan oskarżenia przed Trybu-*

<sup>1)</sup> Senatorowi Gaszyńskiemu chodziło o stosunek Piłsudskiego do  
sprawy podniesienia żołdu.

nałem Stanu. Dnia 26 lutego 1929 r. uzasadniał ten wniosek na posiedzeniu Sejmu pos. Woźnicki. Dnia 14 marca 1929 r. obradowała nad tym wnioskiem komisja budżetowa, postanawiając przedłożyć Sejmowi uchwałę postawienia Czechowicza w stan oskarżenia przed Trybunałem Stanu, a dnia 20 marca 1929 r. Sejm powziął, po referacie pos. Liebermana, taką uchwałę.

W związku z tymi faktami napisał Piłsudski niżej przytoczony artykuł pełen oburzenia na formę walki zastosowaną wówczas przez partie opozycyjne, uważając ją za niemoralną i nielogiczną.

Na podstawie notatki K. Świtalskiego na brulionie maszynopisu tego artykułu stwierdziliśmy, że był on napisany dnia 5 kwietnia 1929 r.

Artykuł podajemy według «Głosu Prawdy» z dn. 7 kwietnia 1929 r.

W zeszłym roku, gdy zapadłem na niewyjaśnioną dotąd chorobę i gdy grupa lekarzy badała mnie ze wszystkich stron, zaglądając w tajemnicę choroby, która mnie dręczyła, nagle jeden z nich tonem zupełnie zwyczajnym zawołał do swoich kolegów:

«Oto zapomnieliśmy, trzeba jeszcze Panu Marszałkowi zbadać dno oka, zrobimy to jutro».

Wyznam, że struchlałem, powiedzmy otwarcie — stchórzyłem; nie wiedziałem, że oko ma jakieś dno. Lecz gdy pomyślałem, że moje biedne oko gdzieś w swoim dnie będzie dotykane czy rękami, czy instrumentami, bałem się wprost panicznie takiej operacji. I chociaż pan doktor mówił o tym zupełnie obojętnym tonem, to mnie nie uspokajało. Bo o czym ci panowie lekarze zupełnie obojętnie nie mówią, — należy to do ich fachu. Odczucie mego tchórzostwa, do którego otwarcie się przyznaje, było mi niezmiernie przykre i wstydzilem się tego, jak jakieś głupie dziecko. A wiedziałem, że w tej chwili pobiegły już jakieś telefony, zamawiające jakieś nieznanne mi maszyny czy instrumenty, umawiają się o czas, kiedy moje nieszczęsne oko ma być w jakiś dziwaczny sposób może wyjmowane z orbity, dotykane jakimiś instrumentami czy rękami. Powtarzam, byłem i przerażony, i zawstydzony tym, że mogę tak stchórzyć. Wstydzilem się pytać dokładnie o tę sprawę, gdyż czułem, że obudzi się we mnie dziki bunt w obronie mego nieszczęsnego oka. Było to może dziecinne i śmieszne, lecz, niestety, tak było. Nazajutrz już rano miałem to badanie. Przyszędłem na to badanie cały spotniały, spotkałem zaś tak miłego doktora w wojskowym mundurze, gdyż badanie odbywało się w szpitalu Ujazdowskim, że to nieco mnie uspokoiło, gdy sobie powiedziałem, że wreszcie, w ostateczności strachu, mogę

tego doktora postawić na bacność i nie pozwolę mego oka ruszyć.

Nadzwyczajnie miłe i serdeczne ujęcie sprawy przez doktora i brak jakichkolwiek ostrych instrumentów, co od razu sobie zanotowałem po obejrzeniu gabiletu, zaczęło mnie uspokajać do tego stopnia, że już bardziej odważnie siadłem na wskazanym mi fotelu, a z zupełnym już odetchnięciem i ulgą usłyszałem wyjaśnienie, że zostawia mnie w zupełnej ciemności z jedynym obowiązkiem nacelowania oka w jednym tylko kierunku i patrzenia przez pewien czas w jakieś śmieszne aparaty, przypominające aparat fotograficzny. «To, to potrafię» — pomyślałem już z zupełnym spokojem i po kilku chwilach patrzenia w jakieś światelka, operacja została zakończona. I po co używać takich strasznych nazw dla prostej zupełnie operacji, i po co niepotrzebnie straszyć ludzi taką okropnością, jak badanie dna oka? Czy nie można tego zrobić rozumniej bez narażania na strach ludzi?!

Jeżeli tę całą śmieszność, należącą do historii personalnej, anegdotę opowiedziałem, to dlatego, iż w czynnościach większości sejmu istnieje także to straszne dno oka w postaci Trybunału Stanu. Nigdy dotąd w Polsce, pomimo i wielkich nadziej, nawet powiedzmy lajdactw, żaden minister nie był zaczepiany groźbą Trybunału Stanu, oprócz znanych wielkich brudów, związanych z ministerium finansów Kucharskiego, które zresztą nie zostały odesłane do prania w Trybunale Stanu, gdyż większość sejmowa z tym się nie zgodziła <sup>1)</sup>. Je-

---

<sup>1)</sup> Były minister Władysław Kucharski w czasie swego urzędowania, jako Minister Przemysłu i Handlu, zniósł w sierpniu 1923 r. zarząd przymusowy nad Zakładami Zyrardowskimi, który — wobec niechęci ze strony właścicieli uruchomienia i odbudowy zakładów — został w maju 1919 r. ustanowiony. Zarząd ten uruchomił i odbudował przedsiębiorstwo za pomocą uzyskanej od rządu pożyczki w wysokości 2,586.168 franków szwajcarskich. Znosząc zarząd przymusowy Władysław Kucharski zawarł z Tow. Akc. Zakładów Zyrardowskich umowę, w myśl której powyżej wspomniana pożyczka 2,5 mil. fr. szwajc. została zredukowana do 448.484 fr. szwajc., czyli do 17,3% swej wartości i polecił P. K. O. udzielić w tej wysokości pożyczki Tow. Akc. Zakł. Zyrardowskich na warunkach, umożliwiających — wobec ciągłego i coraz szybszego spadku marki polskiej — temu Towarzystwu spłatę zaciągniętej w kwocie 448.484 fr. szwajc. pożyczki — przez zwrot tylko 18.810 fr. szwajc.

Dnia 2 kwietnia 1924 r. posłowie Pączek, Moraczewski i inni wnieśli do Sejmu wniosek, by oskarżyć za to Władysława Kucharskiego przed Trybunałem Stanu. Wniosek ten był rozpatrywany przez Sejm na posiedzeniu 17 grudnia 1924 r. Za wnioskiem głosowało 175 posłów, przeciw — 138, zabrakło więc wymaganej kwalifikowanej większości,

dynie zacięty poseł Moraczewski, który sprawę przeciwko Kucharskiemu prowadził, został i wysmiany, i zlekceważony za chęć dotknięcia jakiegokolwiek ministra Trybunałem Stanu. Zdarzyło się to jednak po raz drugi w naszej historii w stosunku do kolegi mego p. ministra finansów Czechowicza, człowieka, który pracą swą uporządkował otrzymany w zupełnym nieporządku system podatków i doprowadził swą pracą państwo do tego, że przykładem świecić może wszystkim innym państwom, gdy Polska przy jego zarządzie skarbem dotąd bilansuje swój budżet nie deficytem, lecz przewyżką dochodów nad wydatkami <sup>1)</sup>).

Czyżby więc obecny sejm, sięgając do tak wyjątkowych praw, jak Trybunał Stanu, chciał w ten sposób powiedzieć, iż woli brudy i nadużycia, niż uczciwą pracę?

Nie mogę nie powiedzieć także, że ta próba sejmu ma jedną stronę, która zaprzecza wszelkiemu poczuciu najzwyczajszej, najprostszej sprawiedliwości.

Byłem wtedy na nieszczęście ciężko chory, tak, iż przypuszczałem, iż jedną nogą stoję po tamtej stronie życia, i dlatego byłem mocno zobojętniały na wszystkie zjawiska tego świata. Pamiętam jednak dobrze, że przyjechał do mnie p. Bartel, szef naszego gabinetu, stwierdzając mi początek owej operacji, straszącej Trybunałem Stanu, pytając mnie o moje zdanie w tej sprawie. Odpowiedziałem, że uważam siebie osobiście, jako szefa byłego gabinetu, za odpowiedzialnego za te przekroczenia t. zw. ustawy skarbowej, które są związane z budżetem inwestycyjnym. Pamiętałem bowiem dokładnie, iż całe moje staranie, bardzo usilne, kierowałem zawsze dla zgwałcenia p. Czechowicza, aby wszystko to, co jest inwestycją, nie szło pod obrady sejmowe. Zawsze bowiem obawiałem się, że wtedy

---

gdyż do postawienia ministra w stan oskarżenia przed Trybunałem Stanu niezbędna była większość 3/5 oddanych głosów.

<sup>1)</sup> Gabriel Czechowicz był ministrem skarbu w gabinecie Piłsudskiego od dn. 2 października 1926 r. do dn. 27 czerwca 1928 r. i w gabinecie Bartla od dn. 27 czerwca 1928 r. do dn. 8 marca 1929 r.

Zamknięcia rachunków państwowych z tego okresu wykazują następujące nadwyżki budżetowe:

w czasie od 1 kwietnia 1926 r. do 31 marca 1927 r.	—	zł 160,375.323
» » » 1 » 1927 » » 31 » 1928 »	—	» 214,663.121
» » » 1 » 1928 » » 31 » 1929 »	—	» 167,272.890

podczas gdy w okresie od 1 stycznia 1926 r. do 31 marca 1926 r. był niedobór budżetowy w wysokości zł 53,540.444.

będzie nie inwestycja, ale zgodnie z tradycją sejmu lekkomyślne trwonienie pieniędzy podatkowych. P. Bartel mi odpowiedział, że on to dobrze rozumie i że nie może także, jako szef obecnego gabinetu, pozwolić na oskarżanie jednego z ministrów bez swojej za niego odpowiedzialności. Dodał przy tym, że będąc głównym czynnikiem pracy gospodarczo-finansowej, nie mógł także często nie gwałcić p. Czechowicza, który u nas w gabinecie należał do najostrożniejszych ministrów pod względem funduszków skarbowych. Zakończył zaś krótką wizytę u mnie stwierdzeniem, że zgłosi natychmiast swoją solidarność z oskarżonym ministrem i że będzie żądał raczej Trybunału Stanu dla siebie, niż dla ministra Czechowicza <sup>1)</sup>.

Gdy ja myślę o sądach, jako o próbie wymiaru sprawiedliwości, to od razu stwierdzę, że nie ma na świecie takiego sądu, któryby się ośmielił zneglizować oświadczenia czyjegokolwiek, że oskarżony nie jest winien, a winien jest oświadczający. Jest to tak zgodne z wymiarem jakiegokolwiek sprawiedliwości, że gdyby znalazł się sąd, któryby tej prostej prawdzie sprawiedliwości zaprzeczył, toby otrzymał nazwę nikczemnego sądu, i gdyby w ucieczce od skutków nikczemności schował się w mysią dziurę, to tam jeszcze nadeptać go nogą trzeba, ażeby znikł i zdechł, jako próba wymiaru sprawiedliwości. I czy wezmę najwyżej rozwinięte sądy, jak w anglosaskiej rasie, czy w dzikim i krwiożerczym plemienu jakichś

---

<sup>1)</sup> Na posiedzeniu Sejmu z dnia 19 lutego 1929 r. premier Bartel oświadczył co następuje: «Wobec zapowiedzianego wniosku o pociągnięcie do odpowiedzialności konstytucyjnej Ministra Skarbu p. Czechowicza za przekroczenie budżetu na r. 1927/28 i nie przedłożenie dotychczas Sejmowi ustawy o kredytach dodatkowych, stwierdzam: 1) przekroczenia budżetowe czynione były przez wszystkie rządy poprzednie z tą różnicą, że przeważnie nie były one nawet wnoszone na Radę Ministrów, ale decydowane wyłącznie przez ministrów skarbu. Tym nie mniej nie usiłowano nigdy pociągać ministrów skarbu do odpowiedzialności konstytucyjnej; 2) kredyty dodatkowe w r. 1927/28 były otwierane nie inaczej, jak na podstawie uchwały Rady Ministrów w każdym poszczególnym wypadku po stwierdzeniu przez Rząd konieczności państwowej i 3) uzależnienie terminu przedłożenia ustawy o kredytach dodatkowych od ukończenia zamknięć rachunkowych jest stanowiskiem rządu jako całości, czemu dałem już kilkakrotnie wyraz na komisji budżetowej.

W związku z powyższym uważam, że wniosek skierowany wyłącznie przeciwko osobie Ministra Skarbu jest nieusprawiedliwiony. Wywolać on może niepożądane dla finansów państwowych komentarze w opinii kraju i za granicą.

Jeżeli Wysoki Sejm uważa, że ten stan uzasadnia odpowiedzialność konstytucyjną, to wniosek odnośny winien być skierowany przeciwko całemu rządowi».



Zulusów czy Botokudów <sup>1)</sup>, wszędzie sąd taki byłby nikczemny. Nawet przy krwawych rozprawach sądów wojennych podczas wojen i walk bratobójczych, walk domowych, taka nikczemność nie jest i nie była dopuszczalna. Może jedynie wśród ludożerczych plemion Papuasów, czy innych im podobnych, wybierają przy takich sądach dla wspólnej uczytłustszych, a akurat p. Czechowicz był tłustszy.

I gdy pomyślę, co może prowadzić ludzi do tego rodzaju znikczemnienia, to nie mogę nie powiedzieć, że usprawiedliwić i wyjaśnić to znikczemnienie może jedynie przyzwyczajenie do w ogóle nikczemności zwyczajów i obyczajów sejmu w Polsce. W tych zwyczajach i obyczajach leży wychowanie posła w sposób najbardziej nieprzyzwoity, najbardziej hultajski, jaki sobie wyobrazić można, gdyż główna myśl i główne staranie tych panów jest zawsze o utrzymanie zupełnej bezkarności posła za wszystkie jego czynności, chociażby najbardziej nieprzyzwoite i najbardziej sprzeczne z najelementarniejszym poczuciem honoru. Polska przecie chowała swych posłów w pierwszym sejmie, t. zw. suwerenów, w bezkarności zdrady państwa podczas wojny, bezkarności płatnego szpiegostwa w stosunku do armii, będącej w polu i umierającej za ojczyznę. W drugim zaś sejmie, w którym bodaj połowa posłów pochodziła z owej kuźni zdrady państwa, posłowie wychowywali się w korupcji, tak dalece sięgającej i tak często uprawianej, że głos posła kosztował niekiedy nie więcej, jak 50 złotych. Z tej zaś błotnistej prawdy sejmu wyszło przecie do 110 posłów i w obecnym sejmie.

W tej amoralnej atmosferze, w tej atmosferze «moral insanity» <sup>2)</sup>, słabe głowy tak przesiąkają swoją niczym nieusprawiedliwioną wielkością, że staje się dość niemożliwym obcowanie z takimi ludźmi, tak, powiedzmy, jak dość trudnym jest obcowanie nawet dla lubiących bardzo dzieci z dziećmi z zakładów poprawczych. Ci panowie, konkurujący wiecznie z jedynym suwerenem państwa, gdyż sami się czują suwerenami, dochodzą w swoim postępowaniu — powtarzam, przy bardzo słabych często głowach — do mniemania, że jeżeli brzuch go zaboli i jest z tego powodu w złym humorze, to to jest najważniejszy wypadek dla całego państwa. A gdy się pan taki zafajda, to każdy podziwiać musi jego zafajdaną bieliznę, a jeżeli przy tym zdarzy mu się wypadek, że zabzdzi, to to jest

<sup>1)</sup> Zulusi jest to szczep afrykańskich Kafrów, zamieszkujący Afrykę południową; Botokudzi jest to szczep Indian, koczujący we wschodniej Brazylii.

<sup>2)</sup> Zgnilizna moralna.

już prawo dla innych ludzi, a najbardziej dla ministrów, którzy muszą nie pracować dla państwa, ale obsługiwać i faga-sować tym zafajdanym istotom.

W sposobie zachowania się wychowywanych w «moral insanity» panach jest coś tak bezczelnego i tak ściemniającego pod względem umysłu, gdyż nawet idiotyzm jest bezkarny — a nieszczęsna Polska i to szanować musi — że każdy cokolwiek rozumny człowiek z trudem wytrzymuje to towarzystwo, gdy wymagają od niego, żeby szanował głupstwa, chociażby pluł sobie potem w oczy, żeby milczał, gdy go obrażają, i li-zał ich zafajdane ubranie.

Do tego doprowadziło to gwałtowne staranie o bezkar-ność za wszelką zbrodnię, do tego prowadziło czynienie z sejmu związku zawodowego ludzi chorych na fajdanitis poslinis. I trzeba nie mieć wstydu, zatracić go zupełnie, żeby w tym fajdanitisie poslinim widzieć główny «prestige»<sup>1)</sup> sejmu.

Jednym z moich licznych projektów dla uleczenia tego raka życia polskiego była myśl o daniu przed wysłuchaniem ministra korepetytorów dla panów posłów dla nauczania, jak rozumnie stawiać pytania. Lecz porzuciłem tę myśl, gdyż nie wątpiłem, że panowie posłowie odmówią wycofania części ich gaży dla opłaty korepetytorów i w dodatku przy chorobie na fajdanitis poslinis nie można przecie pedagoga bez różgi po-stawić dla nauczania.

W tych warunkach praca tych, co krajem rządzą i któ-ryzy tyle roboty swojej wkładają w swoje resorty, że praca ich przewyższa najczęściej przeciętnie wymaganą ilość pracy ludzkiej, w tych warunkach — powtarzam — życie takich mini-strów z panami, chorymi na fajdanitis poslinis, stać się musi jakąś katorgą nie do zniesienia. To też nigdy nie zapomnę określenia jednego z najinteligentniejszych naszych ministrów, że po rozmowie musowej dla niego z panami posłami ma on wrażenie, że wyszedł z menażerii, zapełnionej złośliwymi mał-pami, załatwiającymi wszystkie swoje potrzeby publicznie i nie starającymi się wcale być podobnymi do ludzi. I, doprawdy, ni-gdy nie rozumiem, jak w takim fajdanitis poslinis szukać ja-kiegoś «prestige'u» sejmu, kiedy to tylko obniżenie człowie-czeństwa.

Przy takiej charakterystyce panów z większości sejmo-wej może i można znaleźć wytłumaczenie tak nienaturalnie skonstruowanej prawdy o sprawiedliwości, jaka była zastoso-

<sup>1)</sup> Godność.

wana w sejmie do p. Czechowicza, z jakimś bezczelnym negliżowaniem oświadczenia p. Bartla, do czego ja, będąc tak ciężko chory, przyłączyć się nie mogłem. Taka nikczemna sprawiedliwość nie może być wytłumaczona inaczej, jak nabytymi przez dłuższy czas przyzwyczajeniami do ludożerstwa, gdzie wybór pada na tłustszego, tym bardziej, że rozporządza workiem złota.

Przechodzę jednak do wrażeń człowieka chorego, który, powtarzam, był mocno zubożętniały na wszystko, prócz może własnych dzieci. P. Bartel, jako szef gabinetu, przyszedł do mnie raz jeszcze na krótką bardzo chwilę, chcąc przed gabinetową radą ministrów wziąć i moją opinię o sytuacji parlamentarnej. Powtórzyłem mu swoje zdanie wyżej wymienione raz jeszcze i radziłem, żeby p. Czechowicz, jako oskarżony, negliżował całą sytuację tak dalece, że nie chodziłby na jakiegokolwiek posiedzenia, związane z jego oskarżeniem<sup>1)</sup>. Dodałem, iż należy przypuszczać, że budżet będzie odrzucony i że wobec tego musi nastąpić zmiana gabinetu i cały kłopot spadnie na głowę Pana Prezydenta. Prosiłem więc, aby powiedział Panu Prezydentowi, że wydaje mi się, iż wszelkie niebezpieczeństwo życia zaczyna ode mnie się już odsuwać, i że Pan Prezydent w zupełności liczyć może na mnie, jako tego, co gabinet poprowadzi.

Jakież było moje zdziwienie, kiedy nazajutrz, czy w dzień potem spadł do mnie p. Bartel, z przerażeniem stwierdzając, że na radzie gabinetowej ministrowie nie dali sobie rady z samym p. Czechowiczem, który chciał widzieć swój honor urażony, gdyby nie stanął do odpowiedzialności, gdy jego właśnie mogą oskarżać o jakieś nadużycia skarbowe. Stwierdził mi, że p. Czechowicz jest tak rozdrażniony i tak się czepia uraz swego honoru, że sesja skończyła się niczym. Wzruszyłem na to ramionami, gdyż gdzież szukać honoru u jakichś małp? Odpowiedziałem jednak, że my nie możemy stanąć w takim razie na innym stanowisku, jak że honor jest zawsze indywidualnie pojmowany i że my w żadnym wypadku honoru swego kolegi narazić nie możemy. W ten sposób stanął p. Czechowicz do rozpraw sejmu<sup>2)</sup>. Ja nie chcę urażać honoru p. Cze-

<sup>1)</sup> Na posiedzeniu komisji, do której wniosek o pociągnięcie Czechowicza w stan oskarżenia przed Trybunałem Stanu odesłano, odbyłym dnia 2 marca 1929 r. nie było żadnego reprezentanta rządu.

<sup>2)</sup> Stało się to na drugim posiedzeniu komisji, do której wniosek o pociągnięcie Czechowicza w stan oskarżenia przed Trybunałem Stanu odesłano, odbyłym dnia 8 marca 1929 r. Czechowicz wystąpił na niej jednak już w charakterze ministra «in statu demissionis», gdyż tego dnia złożył podanie o dymisję.

chowicza, lecz doprawdy po co honor w brudnych miejscach umieszczać?

Wyznam, że będąc chorym, przeczytywałem dwa pisma, ot tak, dla zabicia czasu, i dlatego mogę spokojnie postąpić odpowiednio do tytułu, że piszę tylko o wrażeniach chorego człowieka. Albowiem w kwestii zasadniczej oczekiwałem, jako prostej logiki zdarzeń, odrzucenia budżetu p. Bartłowi i więcej myślałem o tym, jak postąpię przy formowaniu gabinetu, niż o detalach pracy panów ministrów w sejmie. Posyłałem codziennie Panu Prezydentowi zapewnienie, że czuję, iż powracam do zdrowia i że z zupełnym spokojem na mnie będzie mógł włożyć obowiązki formowania nowego gabinetu. Nie mogę jednak nie powiedzieć, że różne perypetie, które się zaczęły dziać z p. Czechowiczem w ludożerskim towarzystwie, niezmiernie mnie bawiły.

Po pierwsze wyskoczył tam nagle jakiś Lieberman, jako główny tenor w tej smrodliwej operce. Pan ten ciągle stawiał jakieś tezy, tak, jak gdyby był Lutrem, chcącym te tezy przybić do wrót kościelnych. Gdy starałem się zrozumieć cel i treść tych tez, co kilka dni wyrzucanych na świat, tom ani razu nie mógł dojść do ich pojęcia i zrozumienia. Gdym zmęczony chorobą wieczorami niekiedy sobie przypominał tę śmieszna komedię, to zawsze widziałem, jak ten Lieberman występuje jako fakir i stwierdza, że on zaraz tak się zakręci, że nóg nie będzie widać wcale, a tylko kręcący się w młynku tułów, lecz za to skądś wydobędzie tezę, którą rzuci zdumionemu światu. I widziałem istotnie, jak Lieberman powoli tracił nogi, nie opierając się zupełnie na ziemi, jak widocznymi były poły fraka adwokackiego, unoszące się nad jego brzuchem i odwrotną częścią ciała, i jak to z gęby, to z innych części ciała wydobywał jakieś kulki, rzucając nimi dokoła siebie. Lieberman był to komiczny dyszkant opery sejmowej. Ciężkim zaś i bardzo ciężkim tenorem był niejaki p. Woźnicki.

Ten pan, jak zresztą i Lieberman, już posłuje w trzecim sejmie, jest więc żelaznym posłem i do niego w całej rozciągłości zastosować można to, co mówiłem o chorobie fajdanitis poslinis.

Znałem tego pana od dawna, gdy w pierwszym jeszcze sejmie zajmował stanowisko t. zw. mego sympatyka <sup>1)</sup>. Był już wtedy bardzo ciężki na umyśle, tak, że nieraz rozmowę kończyłem propozycją, aby może zechciał o swoich wysokich my-

---

<sup>1)</sup> Posel Woźnicki był członkiem «Wyzwolenia», które sprzyjało Piłsudskiemu.

ślach pomówić z moją Wandą, wówczas jeszcze dwuletnią, zamiast rozmawiać ze mną. Gdy zaś stał się już teraz ludożercą, polującym czy na tłuszcz p. Czechowicza, czy na jego worek, to stężał mocno w swoim umyśle. Przypominam sobie z bardzo dawnych czasów, gdy wypadkowo, zastępując swego koleżę, miał coś w rodzaju korepetycji chłopca, chcącego złożyć egzaminy z czterech klas gimnazjalnych, i pamiętam dobrze, jak musiałem jemu wyklądać algebrę, która rozpoczynała swą wędrówkę po główkach chłopców już w klasie trzeciej. Osobiście, będąc bardzo zdolnym chłopcem, nie mogłem sobie przypomnieć, aby te początki algebry stanowiły dla mnie jakąkolwiek trudność. Jakież jednak było moje zdumienie, gdy nie mógł tego biednego chłopca przekonać, że jeżeli dodamy do  $a$   $b$ , to suma będzie  $a + b$ , gdyż ten nieszczęśliwiec uważał, że to będzie  $ab$ , czyli zmieniał dodawanie na mnożenie. Pracowałem nad tym zagadnieniem cierpliwie dwa długie tygodnie co dzień, tracąc z dniem każdym cierpliwość i możność posiadania jakiejkolwiek względności dla tego biedaka. Biedny chłopak w końcu drugiego tygodnia, przy podejściu do tej tak prostej dla mnie kwestii, zaczynał potnieć tak gwałtownie, że zdawało mi się zacznie mdleć. Sama jednak kwestia nieszczęsnej abstrakcji, związana z pojęciem wielkości « $a$  i  $b$ », nie udawała mu się ani razu, gdyż jego biedny umysł przerabiał to ciągle na zwykłe litery  $a$  i  $b$ . A mój kolega nie przyjeżdżał i z obowiązku musiałem to nieszczęście ciągnąć dalej. W końcu po dwóch tygodniach straciłem zupełnie cierpliwość i ja, który nigdy dziecka palcem nie dotknąłem, zdecydowałem, że jedyną formą nauczania takiego hebesa jest sieć go różgami, tak, by przynajmniej mechanicznie odzwyczaił się od głupiego mieszania liter z wielkościami matematycznymi.

Ten nieszczęsny biedak żywo mi przypomina p. Woźniczego, posła z trzech sejmów i ludożercę, polującego nie wiadomo czy na tłuszcz p. Czechowicza, czy na jego worek. Naturalnie, zdarzają się takie wypadki, że wielki Stwórca świata komuś zapomni zawiesić w głowie latarnię. I cóż na to poradzisz? Czyż można Panu Bogu zaglądać w Jego kuchnię ludzką? A może wielki Stwórca w Swym miłosierdziu nad naszą biedną i skołataną ojczyznę chciał z tego durnego hebesa stworzyć ilustrację bodaj najjaskrawszą, jak fajdanitis poslinis jest nie tylko nikczemnym, ale i idiotycznym. Niewątpliwie wielkie przysłowie polskie twierdzi, że lepiej z rozumnym przegrać, niż z durniem wygrać. Przysłowie słuszne i dlatego fajdanitis poslinis, gdy jeszcze jest piekielnie głupim, jest najbar-



dziej wstrętnym i obrzydliwym. Bo trudno, latarnia w głowie nie zawieszona i może się stworzyć przysłowie «głupi, jak Woźnicki», ale za to każdy minister ma słuchać z powagą głupstw tego pana, paskudnych jego oskarżeń i ma zafajdaną i zapoconą od wysiłku myślowego zawodowego idioty bieliznę jeszcze lizać.

Kiedy więc, słuchając przy słabnącej już gorączce radia sejmowego, w którym to komiczny dyszkant Liebermana, to tępy do niemożliwości tenor Woźnickiego się rozlegał, myślałem wciąż, że logicznym zakończeniem tej fajdanistycznej opery musi być odrzucenie budżetu. Tymczasem w tej nieodpowiedzialnej a zafajdanej dostatecznie atmosferze i logika nie obowiązuje. Zamach na Czechowicza, który może trochę tłuszczu stracił, lecz worka nie popuścił, został zakończony tryumfalnym marszem fajdanów poselskich z protestem nowego prądu zbawczego dla Polski, a reprezentowanego przez klub bezpartyjny. Natomiast budżet rządu, który się solidaryzował i ciągle to powtarzał z oskarżonym przed Trybunałem Stanu p. Czechowiczem, budżet ten został uchwalony <sup>1)</sup> i w ten sposób rząd otrzymał tak, jak votum zaufania.

Cała więc sprawa stanęła tam, gdzie istnieje fajdanitis poslinis, to jest w jakimś błocie. To znaczy marsz tryumfalny dla «prestige'u» fajdanitis poslinis, dla jego wielkości i znaczenia, natomiast umizg do jedyne go możliwego obecnie rządu może o worek pieniędzy. W ten sposób jakoby rośnie «prestige» sejmu i chorych na fajdanitis poslinis posłów. Najciekawszym jest, że rząd, którego główni przedstawiciele solidaryzowali się z oskarżonym, ma teraz dla większego «prestige'u» fajdanitis poslinis organizować Trybunał Stanu na jednego ze swoich kolegów i mają siebie tak zhańbić, jak się zhańbiła większość sejmowa ze swoją sprawiedliwością. Rząd ma się postawić na równi jednakowej ze śmierdzącym fajdanityzmem. Jeżeli, czegobym zresztą w tym wypadku życzył, miałbym być prezesem gabinetu, to oświadczam publicznie, że Trybunał Stanu nie ośmieli mi się zebrać ani razu, gdyż takiej równi z fajdanami ja sobie nie życzę.

Dodatkowy zupełnie przysmaczek, całkiem już oryginalny, o którym się dowiedziałem, jest ten, że do ostatniego posiedzenia budżetowego sejmu <sup>2)</sup>, jakby dla upiększenia cho-

---

<sup>1)</sup> Budżet na r. 1929/30 został uchwalony przez Sejm w trzecim czytaniu dnia 11 lutego 1929 r.

<sup>2)</sup> W dniu 29 marca 1929 r.

rych na fajdanitis poslinis ludzi, ściągano do sejmu jakieś bojówki partyjne. Żałuję mocno, że byłem tak chory, że nie mogłem być czynnym w tym dniu, gdyż nie mógłbym po prostu wytrzymać bez ataku na te bojówki, złożone z bandytów, którychbym osiekl publicznie na podwórzu sejmu. Cóż to za nowe magnaty polskie, zbierające swoje wojska dlatego, by Polska nierządem stała, coż to za takie prawa przyswaja sobie fajdan poselski, żeby bandyckie sfory czynić udziałem w pracach państwowych? Wyznam, że podziwiam pana ministra spraw wewnętrznych, że mógł pozwolić na takie bezecństwa. Usprawiedliwienie może jedyne ma p. Składkowski w tym, że zastępować musiał chorego szefa gabinetu, lecz oświadczenie ostrzegam, że fajdanizm w tym wypadku idzie za daleko i że pan fajdan wraz z bandytami może znacznie więcej odpowiedzieć, niż sobie wyobraża, za takie bezecne czynności.

Pomijając ten bohaterski bas bandytów fajdanistycznych, cała afera sesji budżetowej skończyła się komizmem, który, jak mówiłem, już jest obrzydliwy i wstrętny. Ośmieszono i znieważono wszystko: i sejm, i rząd, i nieużywane dotąd słowo Trybunał Stanu, wymalowano wszystko na kolor fajdanów. I teraz, gdy niekiedy spokojnie na tę bzdurę patrzę, to jednak przypomina mi się moje biedne dno oka. Ten Trybunał Stanu jest zdumiewająco podobny do dna oka. Przepraszam zaś z góry jak najmocniej i najsilniej sympatycznego doktora, ubranego w mundur, że go do jakichś fajdanów przyrównuję. Nie chciałbym go w żadnym wypadku tak głęboko obrażać. I naturalnie różnica dna oka, tego tajemniczego dna zwyczajnego człowieka, nie może być podobna do stwardniałego oka, używanego oka do wszelkich nadużyć i łajdactw, z którymi my mamy do czynienia przy fajdanitis poslinis, oka, które kary żadnej nie chce mieć.

Kto wie, może przy użyciu stameski <sup>1)</sup>i młotka, takie dno oka da także jakieś tajemnice, nam dotąd nieznane. A chowane tak gorąco w ciepłe upragnionej bezkarności i nieodpowiedzialności nawet honorowej, której żądają i życzą stale panowie posłowie, jeszcze raz z zaszczytnym wyjątkiem największego klubu sejmowego, klubu Bloku Bezpartyjnego, gdy zazna odpowiednich instrumentów, może się nauczyć choć wstydu i przyzwoitości.

---

<sup>1)</sup> Dłuto.

PRZEMÓWIENIE NA PRZYJĘCIU WYDANYM DLA  
KAZIMIERZA BARTLA

(16 kwietnia 1929 r.)

*Premier Bartel po trzechletniej służbie państwu w charakterze Prezesa Rady Ministrów lub wicepremiera podał się do dymisji dla poratowania swego zdrowia. Dnia 13 kwietnia 1929 r. Prezydent Mościcki przyjął tę dymisję i następnego dnia zamianował rząd K. Świątalskiego.*

*Dnia 16 kwietnia 1929 r. Piłsudski zaprosił do Belwederu ustępującego prezesa Rady Ministrów i na herbacie, w której wzięli udział członkowie gabinetu Bartla i gabinetu Świątalskiego, wypowiedział niżej przytoczone przemówienie, akcentując w nim zasługę Bartla podniesienia techniki pracy państwowej na wyższy poziom.*

*Przemówienie podajemy według «Głosu Prawdy» z dn. 17 kwietnia 1929 r.*

Panie Kazimierzu! Wśród wielu rzeczy, które przeżyłem w ostatnich latach, ty byłeś tym, który mi najwięcej pomagałeś. Wśród spraw, których dokonałeś, zostanie jedna rzecz, która jest «aere perennius»<sup>1)</sup> — technika pracy państwowej, która dzięki tobie stała się znacznie wyższa, niż dawniej. Polska technika państwowa stała do niedawna na stopniu tak niskim, że brała rozpacz, gdyż była gorsza od techniki najmniejszych państw. Pod tym względem, panie Kazimierzu, stworzyłeś to, że Polska nieraz jest podziwianą pod względem umiejętności rządzenia.

Spotykałem nieraz ludzi, z którymi o rzeczach państwowych rozmawiałem, i po tobie nie umiałem się z nimi zupełnie porozumieć. Nie brali oni pod uwagę tego, że za twoich czasów wiele odskoczyliśmy od tamtych dni, gdy jeszcze najmniejsze państwo było pod względem techniki rządzenia od nas lepsze.

Ty sam może nie doceniasz tej twojej zasługi wobec państwa, a przecież państwo może istnieć tylko wtedy, gdy umie się rządzić. Wyjeżdżasz obecnie celem poratowania twego zdrowia, twoich nerek, jak mówią ludzie, którzy umieją anatomicznie, po lekarsku badać ustrój. Wrócisz po powrocie twego zdrowia do nas, jak swój, jak kolega.

Niechże zginą twoje «nerwy», niechże zginą twoje «nerki»!...

---

<sup>1)</sup> Trwalszy od spiżu.

## KOMUNIKAT PRASOWY W SPRAWIE ZMIANY NA STANOWISKU DOWÓDCY KORPUSU OCHRONY POGRANICZA

(7 maja 1929 r.)

Wzwiązku ze zwolnieniem gen. Henryka Minkiewicza ze stanowiska dowódcy Korpusu Ochrony Pogranicza gen. Dreszer opieczętował dnia 7 maja 1929 r. z polecenia Piłsudskiego papiery kancelaryjne gen. Minkiewicza.

Dnia 7 maja 1929 r. Piłsudski przystał premierowi Świtalskiemu z prośbą o zakomunikowanie prasie niżej przytoczony komunikat, podający motywy, dlaczego zastosował tę formę przy zwolnieniu gen. Minkiewicza ze stanowiska dowódcy K. O. P.

Komunikat podajemy według «Polski Zbrojnej» z dn. 8 maja 1929 r.

Proszę Pana Prezesa Rady Ministrów o zakomunikowanie prasie, co następuje, z powodu zwolnienia przeze mnie dowódcy Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP).

Przy zwolnieniu gen. Minkiewicza zastosowałem formę, która może dać powód do głupich plotek i jeszcze głupszych domysłów i podejrzeń w stosunku do gen. Minkiewicza. Dla wyjaśnienia stwierdzam, że zastosowałem tę formę nie z jakiegokolwiek innego względu, jak z tego, że w naszym państwie istnieje zwyczaj, nadzwyczajnie rozpowszechniony wśród ludzi, zajmujących wyższe stanowiska, utrudnienia swemu następcy spełniania swego obowiązku. Czyni się to z wielką łatwością, gdy, uważając rzecz publiczną za prywatną, zabierze się z sobą po odejściu ze służby różne papiery i korespondencje, tak, iż następcą ma skutki rozpoczętych poprzednio spraw bez ich początku, i musi poświęcać masę czasu na zrozumienie nieraz małego interesu. Zwyczaj ten nie tylko, że jest bardzo rozpowszechniony, ale doprowadza do zupełnej zatraty etyki państwowej, tak, iż dokumenty o państwowym znaczeniu giną zupełnie lub też leżą w ukryciu po najrozmaitszych składach i składzikach u prywatnych zupełnie osób.

Państwo przy tego rodzaju etyce wygląda nieledwie jak publiczny dom i to bankrutujący, z którego każdy wynosi, co chce, i ukrywa, stwierdzając w ten sposób, że mieszka tam jakiś wielki wstyd.

Nie mogę przy tym nie zauważyć, że bodaj ja jeden, gdym odchodził ze stanowiska Naczelnika Państwa, nie zrobiłem wstydu swemu urzędowi, lecz za to byłem też i ukarany, gdyż następujące po mnie rządy porozkładały moje papiery, fałszo-

wały moje podpisy, ba! — nawet rozkładały moją prywatną własność.

Jeżeli więc uczyniłem formę oddania następcy p. gen. Minikiewicza dość drażliwą dla niego, to nie dlatego, bym gen. Minikiewicza o coś zdróżnego podejrzewał, lecz dlatego, że nie widzę innego sposobu dla wdrożenia w państwo bardziej uczciwych i bardziej etycznych metod życia.

Minister Spraw Wojskowych  
Józef Piłsudski.

OŚWIADCZENIE W SPRAWIE PRZEKROCZEŃ BUDŻETOWYCH W BUDŻECIE 1927/28 R.

(1 czerwca 1929 r.)

*Po uchwale Sejmu z dnia 21 marca 1929 r. o postawieniu Czechowicza w stan oskarżenia przed Trybunałem Stanu, Trybunał zgodnie z art. 16. ustawy o Trybunale Stanu z dnia 27 kwietnia 1923 r. powierzył dnia 11 kwietnia 1929 r. sędziemu Sądu Najwyższego Stanisławowi Zaleskiemu przeprowadzenie śledztwa wstępnego.*

*Dnia 27 maja 1929 r. sędzia Zaleski zgłosił się do Piłsudskiego celem przesłuchania go w charakterze świadka. Piłsudski oświadczył wtedy do protokołu: «że jako świadek zeznawać nie będzie, uważa bowiem, że występować w tym wypadku musi jako szef gabinetu z jego prawami w stosunku do sądu, do oskarżycieli i do oskarżonego».*

*Piłsudski w liście swym z dnia 29 maja 1929 r. do prezesa Trybunału Stanu Leona Supińskiego wyłuszczył obszerniej powody, dla których odmówił zeznań. Uważał on, że stanowisko premiera jest tego rodzaju, że przy ocenie działalności jakiegokolwiek z ministrów nie może być premier pomijany i traktowany jako świadek, skoro w sprawie, o którą chodziło, odegrać musiał dominującą i rozstrzygającą rolę.*

*W tymże liście zawiadomił Piłsudski Supińskiego, że prześle sędziemu Zaleskiemu oświadczenie «związane z budżetem dodatkowym na r. 1927/28». Zgodnie z tą zapowiedzią Piłsudski napisał w dniu 1 czerwca 1929 r. niżej przytoczone oświadczenie o powodach nieprzedłożenia Sejmowi dodatkowych kredytów.*

*Oświadczenie to otrzymał sędzia Zaleski dnia 4 czerwca 1929 r. Pojawiło się ono w prasie z dnia 9 czerwca 1929 r.*

*Ponieważ teksty w prasie ogłoszone odbiegają od oryginału, podajemy to oświadczenie według oryginału, będącego w aktach Trybunału Stanu.*



Warszawa, dnia 1 czerwca 1929 r.

Do

Sędziego Śledczego przy Trybunale Stanu  
Sędziego Sądu Najwyższego Pana Zaleskiego  
w Warszawie.

W związku z protokołem, sporządzonym przez pana u mnie w dniu 27 maja, przesyłam panu moje oświadczenie w sprawie przekroczeń budżetowych w budżecie za rok 1927/1928.

Historia przekroczeń budżetowych, w budżecie przeprowadzonych przez gabinet pod moim kierownictwem, jest następująca:

Dochody tego roku przekroczyły i przekraczały stale miesięcznie preliminowane w budżecie dochody w wyraźnym nieproporcjonalnym stosunku <sup>1)</sup>. Gdy jako szef gabinetu starałem się to pocieszające zjawisko zanalizować, przychodziłem zawsze do wniosku, że głównymi przyczynami tego faktu były przede wszystkim: a) usunięcie wielkich nadużyć z pieniędzmi skarbowymi, które się działy przy poprzednich rządach partyjno-sejmowych; b) olbrzymia praca p. ministra Czechowicza, który system podatkowy uporządkował w ten sposób, iż nie było unikań tyłu płacenia podatków przez osoby, chociażby w najmniejszym stopniu protegowane, a wreszcie c) i temu przypisuję mniejszą wagę — poprawienia się stanu ekonomicznego kraju, który z okresu anarchii i bezładu, spekulacji i niepewności jutra zaczynał wychodzić.

Oprócz tego zawarta została po długich i żmudnych pertraktacjach przy moim personalnym nacisku pożyczka w Ameryce na dogodnych dla Polski warunkach. Pożyczka ta, t. zw. stabilizacyjna <sup>2)</sup>, jeszcze bardziej utrwaliła pewność sytuacji ekonomicznej i zawierała, jako jeden z punktów, punkt, który dozwalał Polsce wydać z tej pożyczki 10 milionów dolarów na inwestycje <sup>3)</sup>.

<sup>1)</sup> Por. t. IX, str. 146, przyp. 1.

<sup>2)</sup> Pożyczka stabilizacyjna, zaciągnięta przez Polskę w 1927 r. — miała na celu «stabilizację złotego na podstawie złotej, ustalenie kredytu Polski w kraju i za granicą oraz zabezpieczenie podstawy dla gospodarczego rozwoju kraju» (rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dn. 13. X. 1927 r.). Pożyczka udzielona została przez konsorcjum banków amerykańskich na sumę 62 mil. dolarów i 2 mil. funtów szterlingów na 7%, z okresem amortyzacyjnym do 1945 r. i z zabezpieczeniem na dochodach z cel.

<sup>3)</sup> W załączniku do wyżej wspomnianego rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 13 października 1927 r., zawierającym

Z tych powodów nagromadzała się stale w kasie państwowej względnie wielka ilość pieniędzy poza preliminarzem dochodu obliczonym ostrożnie. Nie sądziłem, aby można było zatrzymywać te pieniądze w kasach, nie wydając ich możliwie szybko drogą państwową. W przeciwnym bowiem wypadku nie moglibyśmy, jako rząd, dostatecznie silnie zwalczyć zgubne zło w naszym kraju, lichwę pieniężną i wszelką inną. I tylko w ten sposób wydając pieniądze, osiągnęliśmy ten wysoki rezultat, iż obniżyliśmy bardzo głęboko stopę procentową, istniejąca w Polsce <sup>1)</sup>).

Gdy więc mus wydawania pieniędzy z przekroczeniem budżetu jest dostatecznie wyjaśniony, przechodzę do formalnego stosunku w tej materii — do sejmu. Gabinet swój ułożyłem w ten sposób, iż od razu zażądałem od wszystkich ministrów, a więc i od p. Czechowicza, że stosunek do sejmu jest określany i przepracowywany jedynie przeze mnie osobiście i nikt z ministrów nie ma prawa samodzielnie bez mego na to zezwolenia prowadzić stosunek do sejmu samodzielnie. Zabezpieczyłem w ten sposób pewność siebie w pracy panów ministrów oraz szybkość i względnie sprawną ich robotę i decyzję, bez oglądania się na to, czy komuś to się spodoba, czy nie. I brałem w ten sposób jedynie na swoje barki całą formalność, związującą rząd z sejmem. W r. 1927 sejmu nie zwoływałem wcale, dociągając do końca pełnomocność ówczesnego sejmu bez jakiegokolwiek posiedzenia <sup>2)</sup>). W tej zaś sprawie specjalnie nie chciałem wcale szukać jakiegokolwiek opi-

plan stabilizacyjny, w części IV. ustęp 1. było powiedziane, że rząd z 60 milionów dolarów pożyczki użyje 15 mil. dolarów na cele rozwoju ekonomicznego.

<sup>1)</sup> Stopa procentowa Banku Polskiego wynosiła w 1926 r. — 11%, w 1927 r. — 8,3%, w 1928 r. — 8%. Najwyższe ustawowo dozwolone odsetki były w 1926 r. — 20%, w 1927 r. — 13%, w 1928 r. — 12%.

<sup>2)</sup> Mowa o drugiej połowie 1927 r. Dzieje sesyj parlamentarnych w tym okresie czasu były następujące: Gdy Sejm dnia 27 sierpnia 1927 r. zażądał zwołania sesji nadzwyczajnej, Prezydent Rzeczypospolitej zwołał ją od dnia 13 września 1927 r. Na drugim posiedzeniu tej sesji w dniu 20 września 1927 r. wicepremier Bartel przed porządkiem dziennym odczytał zarządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej o odroczeniu jej na dni 30, a dnia 19 października 1927 r. wyszło zarządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej, które zamknęło sesję nadzwyczajną. Dnia 21 października 1927 r. Prezydent Rzeczypospolitej zwołał sesję zwyczajną od dnia 31 października 1927 r. i na pierwszym posiedzeniu tej sesji w dniu 3 listopada 1927 r. wicepremier Bartel przed porządkiem dziennym odczytał zarządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej, odraczające sesję do dnia 28 listopada 1927 r., w którym to dniu Prezydent Rzeczypospolitej rozwiązał Sejm i Senat z powodu upływu czasu, na który zostały wybrane.

nii sejmu, gdyż uważałem, że sejm ten jest tak splugawiony korupcją i nieuczciwą w stosunku do państwa pracą, iż niepodobna mu oddawać spraw większego państwowego znaczenia do rozstrzygnięcia. Nie mówiąc już o tym, że żadna sprawa, wymagająca szybkiej decyzji, przez sejm prowadzona być nie może, gdyż sama metoda pracy sejmu, nawet przy najlepszych jego chęciach, ze zwyczajami i obyczajami, dotychczas istniejącymi w Polsce, tak każdą sprawę przeciąga i podlega tylu śmiesznym i nonsensownym formalnościom, iż każdy termin miniętym będzie, a sprawa rozstrzygniętą nie zostanie.

Dodam jednak, iż p. Czechowicz pomiędzy mymi ministrami stanowił może pod jednym względem wyjątek, że chciał być najbardziej ze wszystkich w zgodzie ze wszystkimi przepisami, wytworzonymi przez poprzednie życie, i zawsze uważał za swój obowiązek lojalnie wskazać mi na to, iż przekraczam przy swojej pracy ten czy inny przepis lub w jego wyobrażeniu ustawę.

W historii formalnego stosunku mego do sejmu przechodząc do obecnego sejmu, w którym budżet, przedstawiony przeze mnie na następnny rok, został przyjęty.

Przy pierwszym spotkaniu się z tym sejmem od razu oceniłem, że większość tego sejmu chce pozostać wierną najwstrętniejszym tradycjom sejmowania u nas i nie chce zmienić — co uważałem za główne — głupich metod swojej pracy. Dlatego też postanowiłem od razu uniknąć przedłużania dyskusji budżetowej przez prowadzenie długotrwałej, nudnej i głupio prowadzonej dyskusji nad dodatkowymi wydatkami. Czyniłem to tym bardziej usilnie, iż spostrzegłem od razu, że przy tej metodzie przeciążanie pracą u panów ministrów jest tak niezwykle wielkie, iż niepodobna było oczekiwać przy sesji sejmowej normalnej i rozumnej pracy rządu. Dlatego też w samym początku sesji sejmowej przy zwykłej naradzie o finansach państwa z p. Bartlem, moim pomocnikiem, i p. Czechowiczem, ministrem finansów, poleciłem przeprowadzić rachunek zakończenia roku budżetowego jak najdłużej, tak, aby wszystkie obliczenia, związane z nadmiarem pieniędzy, nie mogły być dokonane w takim czasie, aby się zjawiała konieczność przedstawienia sejmowi budżetu z dodatkowymi kredytami.

Bąłem się wtedy bardzo o jedno, że spóźnię się z rozpoczęciami robót budowlanych, projektowanych na szerszą skalę, i gdy nie będę czynił zawczasu usiłowań do zrobienia szczegółowych kosztorysów i planów. Postanowiłem tedy zrobić coś w rodzaju fuszerki, t. zn. wyznaczyć kredyty — że tak powiem — na wyrost, bez ścisłych obliczeń, gdyż uniknąłem

w ten sposób największej fuszerki, jakiejbym dokonał, gdybym spróbował normalnej — że tak powiem — pracy preliminowania nadzwyczajnych kredytów przez sejm. Wobec tego, że w końcu sesji sejmowej ciężko zachorowałem, mieszają mi się do pewnego stopnia w pamięci daty tych czy innych rozmów oraz daty tych czy innych moich decyzji, danych p. Czechowiczowi. Pamiętam jednak, że nie dopuściłem do naturalnego na czas zakończenia rachunków z ubiegłego już roku budżetowego i przeciągnąłem w ten sposób możliwość zakończenia obliczeń co do wydatków dodatkowych poza sesję sejmową. Największą trudnością — powtarzam — było dla mnie rozpoczęcie różnych budowli bez jednoczesnego przy tym wyłożenia ich do budżetu.

Dodam na usprawiedliwienie swej fuszerki, w stosunku do państwa, że dla państwa ona groźną nie była, gdyż kredytowanie na wyrost i kredytowanie nawet przy przypuszczeniu, że dana praca nie będzie mogła być wykonana, zostawia jednak pieniądze niewydane w kasie państwowej. Pamiętam jednak, że przy wszystkich rozmowach, które w tym czasie z p. Bartlem i z p. Czechowiczem prowadziłem, obaj ci panowie nosili się jednak z zamiarem przedstawienia tych nadzwyczajnych wydatków na uchwałę sejmu i ustępowali zawsze pod moim wyraźnym naciskiem.

Dodam do tego oświadczenie, że nie mogę dostrzec w tym moim postępowaniu ani jednej chwili, abym przekraczał czy Konstytucję czy jakąkolwiek ustawę.

Wobec tego, iż pan w rozmowie ze mną podzielił całość t. zw. przekroczeń budżetowych na dwie całkiem nierówne części, tak, iż w jednej jest wszystko, a w drugiej jest 5 milionów, oświadczam, iż w tej właśnie kwestii 5 milionów, które zostały przelane do mojej dyspozycji jako szefa gabinetu, nie chcę w tej chwili wchodzić «in meritum» sprawy, natomiast stwierdzam, iż przy żądaniu przeze mnie tych 5 milionów, na co ma pan w aktach mój list do ministra skarbu z datą 16. XII. 1927 r., miałem, jak zwykle i w innych wypadkach, zastrzeżenie, uczynione przez p. Czechowicza<sup>1)</sup>. Nie widzę jednak żadnego powodu, aby te 5 milionów w jakikolwiek sposób się

<sup>1)</sup> Mowa o 5 milionach, których prezes Rady Ministrów Piłsudski zażądał jako zwiększenia funduszu dyspozycyjnego listem do Czechowicza z dn. 16 grudnia 1927 r. Czechowicz na akcie asygnującym tegoż dnia wypłacenie tej sumy zaznaczył, że robi to na żądanie premiera Piłsudskiego «mimo brzmienia artykułów 6 i 7 ustawy skarbowej na r. 1927/28».

różniły od wszystkich innych wydatków t. zw. przekroczeniem budżetowym.

Na zakończenie podkreślam, że gabinet mój był tak urządzony i tak postawiony przeze mnie, że wszystkie formalności, związane w stosunkach ze sejmem, leżały na mnie jedynie i że żądałem od wszystkich ministrów, aby zaniechali czynić te rzeczy na własną rękę, tak, że oskarżenie p. Czechowicza wydaje mi się nie tylko nonsensownym, ale i wysoce nieetycznym.

J. Piłsudski.

## PRZEMÓWIENIA NA TRZECIM POSIEDZENIU RADY NAUKOWEJ WYCHOWANIA FIZYCZNEGO

(22 czerwca 1929 r.)

Dnia 22 czerwca 1929 r. odbyło się trzecie plenarne posiedzenie Rady Naukowej Wychowania Fizycznego w sali konferencyjnej Ministerstwa Spraw Wojskowych pod przewodnictwem Piłsudskiego, który wygłosił na nim kilka przemówień. Podajemy je według urzędowego protokołu z tego posiedzenia wydanego drukiem nakładem Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego p. t. «Trzecie Plenarne Posiedzenie Rady Naukowej Wychowania Fizycznego» (Warszawa, Drukarnia Techniczna).

Przemówienia przytaczamy w takiej kolejności, w jakiej zostały wypowiedziane, opuszczając tylko te odezwania się Piłsudskiego natury porządkowej, które musiał wypowiedzieć z racji prowadzenia przewodnictwa.

Dla zrozumienia przemówień Piłsudskiego musieliśmy nieco szerzej streścić przebieg dyskusji.

W dyskusji nad sprawozdaniem z działalności Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego prof. dr Ciechanowski z Krakowa podnosił brak ścisłego określenia roli i zadań Komitetów wojewódzkich Wychowania Fizycznego, domagając się rozszerzenia ich działalności i uposażenia ich w pewne fundusze, w granicach których stawiałyby one wnioski do Państw. Urzędu Wychow. Fiz. Poza tym podnosił potrzebę rozsyłania sprawozdań na parę dni przed posiedzeniem dla możliwości przestudiowania ich przez członków Rady. Na to Piłsudski odpowiedział:



Nim udzielię głosu <sup>1)</sup>, chcę odpowiedzieć na to, co się dotyczy roli Komitetów Wojewódzkich, albowiem całą winę biorę na siebie. To była moja instrukcja. Wtedy, kiedy przeprowadzaliśmy organizację razem z płk. Ulrychem, zastanawialiśmy się nad sprawą, czy nie będzie ona za trudną dla samego Urzędu Wychowania Fizycznego, który jest zaopatrzonej w niewielkie środki i siły, jeżeli zwalimy na niego całą pracę pod względem ilości; dlatego trzeba było ograniczyć się i wybrać rzeczy co najważniejsze. A znając temperament mego kochanego współpracownika, bałem się, że weźmie wszystko na siebie i zanadto wpadnie w szczegóły. W tej myśli kazałem zwrócić uwagę na powiatowe komitety, żeby możliwie dopomóc i wesprzeć to, co nie jest kierownicze, ale to, co robi. Chociażby ze względu, że cała sprawa była nowa i trudna do przeprowadzenia, jest tu różnorodność wielka; popierać trzeba to, co idzie i to, co łatwo idzie, bo tymi środkami i siłami, którymi rozporządzał płk. Ulrych, nie można było wszystkiego zrobić. Może w Krakowie jest lepiej, bo pan, p. profesorze, upiększa swoją osobą Komitet Wojewódzki krakowski, jako wybitny członek-specjalista, ale wiem, że w innych Komitetach Wojewódzkich pachniało tylko formalnymi pracami i mówiło się «my nie mamy wyjścia». Urzędy wojewódzkie są przepracowane najrozmaitszego rodzaju pracami. One muszą się zająć zdrowiem, higieną, muszą 40 komisji wojewódzkich prowadzić, więc w dodatku jeszcze jedna komisja wydawała mi się niebardzo właściwą. Rozumiem, że mogą być wyjątki i dlatego cały nacisk kazałem płk. Ulrychowi kłaść na powiatowe komisje, aby szła realna praca nad wychowaniem fizycznym i nad urządzeniem wychowania fizycznego w tych powiatach, gdzie ono istnieje.

Trzeba pamiętać również o jednej rzeczy, mianowicie, że pieniądze państwowe na tę rzecz idą bardzo małe, tak, że P. U. W. F. stanowi, że tak powiem, dodatek do dodatków budżetowych. Jeżeli wziąć konstrukcję budżetu, to fundusz ten nie wchodzi do normy budżetowej i dlatego jest on najczęściej zależny od tego, czy rok jest dobry pod względem finansowym, czy nie. Teraz dopiero panowie zrozumieją trudności, jakie ma Urząd. Nie wiem, czy to może się poprawić w najbliższym czasie, bo przy ścisłości budżetowej bardzo silnym, trudno przypuścić, żeby ta rzecz mogła szybko być odpowiednio finansowana i dlatego ja np. zwracałem uwagę

---

<sup>1)</sup> Płk. Kilińskiemu dyrektorowi Państw. Urzędu Wych. Fiz., który objął to stanowisko po płk. Ulrychu.

plk. Ulrychowi, że o ile budżet wychowania fizycznego nie będzie oparty na funduszach samorządowych, to z wielkim trudem ta sprawa pójdzie. Takie jest moje zdanie.

Przy dyskusji proszę więc panów nie brać adresu źle, dlatego, że ten adres co do Wojewódzkich Komitetów Wychowania Fizycznego jest skierowany do mnie, gdyż uważałem, że nad Urzędami Wojewódzkimi należy spokojnie przejść do porządku dziennego, a zwrócić uwagę na te części kraju i na te powiaty, które zaczynają i które chcą pracować, ponieważ liczyłem, że wtedy jedynie przy pomocy samorządów rzecz stanie na nogi.

Jeszcze jedno chciałem poruszyć, to jest kwestię związaną z życzeniem p. profesora o wcześniejsze rozsyłanie sprawozdania z pracy Państwowego Urzędu. Ile razy przewodniczyłem na posiedzeniach jakichkolwiek komitetów i jakichkolwiek rzeczy, zawsze są te same skargi. Bardzo się cieszę, że wszyscy Polacy są podobni do mnie i pracują w ostatniej chwili. Słuszna skarga, ale naturalnie całą odpowiedzialność składam na wiceprzewodniczącego <sup>1)</sup>. Zresztą pan sam, panie profesorze, tak robi na pewno... To są wyjątkowe typy, które potrafią te rzeczy.

*Prof. Ciechanowski chciałby jednostki najwybitniejsze wciągnąć do Komitetów Wojewódzkich, a wtedy mogłyby one być «rodzajem organów pośrednich, które orzekałyby o pewnym zakresie pracy komitetów powiatowych, czy jest słuszny czy nie». Na to Piłsudski odpowiedział:*

Nie mam nic przeciw temu, ale co zrobią wojewodowie, którzy mają czterdzieści takich rzeczy. To byłoby tylko formalne.

Nim wychowanie fizyczne rozwinie się i stanie się stałą prawdą życiową, nim zacznie się wymaganie takiego musu pracy państwowej, czy innej — dotąd to wisi w powietrzu. Nie będę sądził, jak to zrobić i kto zrobiłby tę prawdę życia. To zależy najczęściej tylko od człowieka. Jeżeli jest taki człowiek — wszystko pójdzie dobrze, jeżeli nie ma — nic nie pójdzie. I to nie tylko w tej sprawie, ale w całym mnóstwie spraw państwowych.

*Gdy dyskusja rozwinęła się nad trudnością wychowania fizycznego młodzieży akademickiej, Piłsudski wypowiedział następującą opinię o złym stanie zdrowotnym młodzieży:*

Stwierdzam, że zdrowotne prawo, związane z wiekiem oficerów rezerwy stoi bardzo nisko. Jeżeli weźmiemy szkoły

<sup>1)</sup> Wiceprzewodniczącym Rady był gen. dr Rouppert.

oficerskie, przez które przechodzą dziesiątki tysięcy ludzi rocznie, to mamy 33% odpadków. Trzecia część ludzi odpada, nie mogąc przetrzymać pracy ćwiczeń wojskowych.

To samo jest ze studentami: trzecia część nie może wytrzymać. Tłumaczę to sobie tym, że mamy rekruta z pokolenia, które dojrzewało podczas wojny. Poza tym mamy do czynienia ze społeczeństwem, gdzie praca tego rodzaju była źle widziana. Była to nie tylko niechęć, ale wprost zwyczajne zaniedbywanie sprawy przez młodzież, starszych, profesorów i w ogóle wszystkich. Moje wrażenie jest, że rady z tym nie damy. Niedorozwój fizyczny, obok tego, że tak powiem, niedorozwój państwowy jest bardzo silny w starszym pokoleniu, stąd nieumiejętność dostosowania się do państwa, do jego obrony — na to wszystko Polska dopiero czeka, licząc, że przyjdą ludzie inni, niż ci, których my reprezentujemy.

Jeżeli chodzi o oficerów rezerwy, to 33% odpada, nie mogąc wytrzymać jednego roku na ćwiczeniach, naturalnie dość intensywnie prowadzonych, ale to jest mus, bo inaczej nie zdążymy z wykształceniem oficerów. Jestem przerażony i nie wierzę swoim oczom, gdy patrzę na to, że chłopak 21—23 lat mający wygląda jak 16-letni. Chyba on potem może dopiero się rozwija pod 30-stkę, kiedy już wyjdzie z wojska i wtedy naprawdę staje się jakimś dorosłym człowiekiem, a może w ogóle żyć będzie krócej. I to jest powszechne. Jak patrzę na kompanię — to połowa ludzie niedorozwinięci. Rozpacz mnie bierze na ten widok.

Ogólnie co do sprawy uniwersytetów, jest to jeden z punktów, który chciałbym poruszyć przy moim referacie. Przyznaję, że jedyne wyjście, jakie znalazłem, jest zawsze jedno — przymus; ale przymus nakłada obowiązki.

*W dalszym ciągu dyskusji na temat wychowania fizycznego młodzieży akademickiej Piłsudski po raz drugi zabrał głos i wskazał na trudności znalezienia terenów sportowych.*

Zwracam uwagę, że bez momentu obowiązku rzecz ta w całości udać się nie może. Obowiązku być sportowcem na nikogo włożyć nie można, jest to zupełnie wykluczone, ale wprowadzić obowiązek wychowania fizycznego jest koniecznym. Tylko jak obowiązek ten urządzić, skonstruować i wykonać.

Pan minister oświaty już przytoczył kwestie, związane z czasem i zarobkowaniem<sup>1)</sup>, ale poza tym jest jeszcze jedna

<sup>1)</sup> Min. Oświaty Czerwiński wskazywał, że większa część młodzieży akademickiej zarobkuje i dlatego może nie mieć czasu na ćwiczenia fizyczne.

prawda, mianowicie ta, że dla uniwersytetów i w ogóle wyższych zakładów nie można zrobić źle, byleby starczyło — to musi być zrobione doskonale. Natomiast trzeba się liczyć z trudnościami terenowymi, zwłaszcza w Warszawie. Chociaż jeżeli wezmę i inne uniwersytety, a wszystkie je znam, wydaje mi się, że sprawa terenów i tam stanie na przeszkodzie. Może z wyjątkiem Wilna, bo Wilno jest łatwe, ponieważ ma kształt pająka rozsuniętego w różne strony i wciska się: tu góra, tu teren jasny, niezadymiony; to jest Wilno, tam można wszystko zrobić. W Krakowie nie jest też łatwo, chyba Błonie.

Raz jeszcze powtarzam: musi być to urządzone dobrze, inaczej nie warto robić, inaczej przymus jest śmieszny. I oto stajemy przed wydatkami względnie bardzo dużymi, stajemy również przed techniką pracy w związku z wykładami i najrozmaitszymi innymi sprawami<sup>1)</sup>.

*Gdy płk. dr Osmolski podnosił myśl, czy nie możnaby kierować nauczycieli, odbywających służbę wojskową, do oddziałów starannie wyposażonych w instruktorów i sprzęty sportowe, Piłsudski odpowiedział:*

Co do wojska, to najzupełniej nie da się zastosować. Element nauczycielski, który idzie do wojska, musi być rozproszony możliwie wszędzie dlatego, że wtedy dopiero zapewnia kadry inteligentniejsze i intelektualniejsze.

*W momencie gdy prof. dr Ciechanowski wypowiedział się przeciw używaniu trenerów zagranicznych i twierdził, że tańszym sposobem byłoby posiadać w tej dziedzinie siły własne po odpowiednim wyszkoleniu ich za granicą, Piłsudski zaznaczył:*

Aczkolwiek taniej, wątpliwym jest, czy z pożytkiem dla sportowców.

*W dalszym ciągu posiedzenia Piłsudski wygłosił referat «O postulatach wychowania fizycznego», w którym poruszył konieczność indywidualizacji w tym wychowaniu i potrzebę znalezienia jego miernika.*

Wziąłem na siebie referat związany z wychowaniem fizycznym, obawiając się, że jeżeli tej kwestii nie poruszę, to pozostanie ona bez dotknięcia, i chociaż nigdy nie zajmowałem się wychowaniem fizycznym, to jednak zabieram głos, jako człowiek reprezentujący interesy dzieci. To jest pierwsze.

Drugie — to pewna obawa, że kiedy mamy do czynienia z rzeczami zupełnie nowymi, niestosowanymi w naszym kraju,

<sup>1)</sup> Dr Kopczyński upominał się o stworzenie katedr wychowania fizycznego i o branie przez uniwersytety na swój etat instruktorów wychowania fizycznego.



mogą one ulec projektomanii, chęci upiększania nowości zbędnymi przybudówkami. Następnie, jeżeli nowe rzeczy formalnie traktujemy i formalnie ujmujemy, wynikają sprawy od razu trudne do wyrozumienia, zwłaszcza w zastosowaniu do szkolnictwa.

Podzieliłem swój referat na 2 części: jedna część to są uwagi, które czynię z zupełną śmiałością, jako przedstawiciel dzieci i jako przedstawiciel dzieciennego sposobu ujmowania tej sprawy w stosunku do istniejących, że tak powiem, praw wychowania fizycznego we wszystkich szkołach; druga część dotyczy podciągnięcia wychowania fizycznego i pracy wychowania fizycznego, która jest związana z wynalezieniem miernika powodzenia wychowania fizycznego w szkole tak, jak on istnieje dla każdego innego przedmiotu przez określenie minimum tego, czego się wymaga, a nie maximum.

Z obowiązku muszę bardzo podziękować p. dr Lewickiej za dostarczenie przewodniczącemu, który bierze na siebie referat rzeczy nieznaney, wszystkich materiałów. Niestety na tych materiałach mało się będę opierał, gdyż będę mówił rzeczy apriorystycznie przemysłane.

W uwagach chciałbym przede wszystkim zaznaczyć konieczność wprowadzenia pewnej indywidualizacji dalej idącej, niż obecnie. Wymaganie indywidualizacji tyczy się specjalnie młodszych klas i młodszych dzieci. Z tym wiekiem niewięcej mam do czynienia dlatego, że egoistycznie myślę zawsze o swoich córkach. Próba jakiegokolwiek upodobnienia wychowania fizycznego do programu łaciny, t. zn. oparcia się na tym, co było przed tym, żeby iść dalej, nie wytrzymuje zupełnie krytyki w zastosowaniu do dzieci młodszego wieku. Przyglądając się moim pannom, przyszedłem do przekonania, że z powodu silnego wzrostu, rozwoju siły, rozwoju użycia swych mięśni i swoich nóg, rok do roku nie jest podobny i dlatego trudno stosować te same metody, jakie się stosowało poprzednio.

Śledząc zabawy dzieci, mianowicie zabawę «w chowanego», u dziecka młodszego i starszego zaobserwowałem, że to «chowane» jest całkiem różne u jednego i u drugiego. Musiałem słuchać długich wyjaśnień, co to właściwie oznacza. Skomplikowanie gry i szukanie formy ruchu coraz bardziej zawięlej wzrasta z roku na rok; widziałem, że wysiłek, jaki dzieci robią przy zabawie, jest tak olbrzymi, że rok temu te same dzieci nie mogłyby mu podolać.

Stwierdzam, że byłaby to duża przegrana pedagogiczna, gdyby upodobnić metody zabaw, gier itd. w I, II i III-ej klasie.



Następnie należy zwrócić uwagę na silnie i niezwykle ostro zaznaczoną u dzieci klas wyższych pogardę dla klas niższych t. zw. «bąków». Trzeba co innego robić, aby nie stanąć w szeregu «bąków».

Z drugiej strony jest ogromna różnica między klasą V i VI-tą, związana z dojrzewaniem płciowym. Ażeby system wychowania fizycznego pod tym względem zindywidualizować, trzeba z jednej strony uważać na psychikę rozwijającego się ustroju, a z drugiej — wyzyskać ogromnie szybko rosnący organizm.

Mówię, jako ojciec bardzo kochający dzieci i obserwujący je ciągle. Jeżeli wychowanie fizyczne będzie szło, nie zwracając uwagi na powyższe dwa postulaty, to stanie się ono nudne i uciążliwe dla dzieci; przy czym znacznie łatwiej łączyć starsze klasy, gdzie różnice zaczynają się już zacierać.

Drugim rodzajem indywidualizacji, na którą szczególną zwróciłbym uwagę, jest niejednakowość typu wychowania fizycznego w wielkich miastach, miasteczkach i wsiach.

Zupełnie inne są warunki na wsi, gdzie dziecko samo nieraz musi robić znaczne wysiłki fizyczne. Różnica miast większych w stosunku do mniejszych zaznacza się brakiem terenów, które w większych ośrodkach trzeba specjalnie tworzyć i czas dany dzieciom musi być dostosowany do warunków przestrzennych. Podciągnięcie tu wychowania fizycznego pod pewien strychulec, którego się obawiam, byłoby bardzo szkodliwe, a szkoły mają przeważnie takie przymusowe podciągnięcia.

Teraz wkraczam w dziedzinę t. zw. dyplomowanych instruktorów. Uważam tu za wielce wątpliwą konieczność dyplomowanych instruktorów w stopniu takim, w jakim ujmuje się ją dla niższych klas, a to z następujących powodów. Wszelka praca wyższa, o wyższym znaczeniu pociąga za sobą obciążenie wiedzą formalną i trzeba mieć specjalne zdolności, aby można było to wielkie obciążenie przewyciężyć.

Dla dzieci młodszych, nawet dla chłopców, najlepszą jest kobieta, która chociażby przez instynkt ma dar do dzieci, łatwość ujęcia, łatwość uchwycenia. I tu nie należy sięgać do wielkich prawd, związanych z wychowaniem fizycznym, raczej iść tym, co jest zabawą, ruchem, co jest małym wymaganiem.

Kiedy przejrzałem program związany z Instytutem Wychowania Fizycznego, to wyznam, nie mogłem trochę się nie uśmiechnąć, ponieważ przedmioty wykładane tam nie mają charakteru metodyki wyższego wykształcenia. Są tam tylko rzeczy związane z anatomią, fizjologią i t. p. Metodyka jest

tylko powierzchowna i to dotknięcie jest prawie takie samo, jak w średnich zakładach naukowych. I dlatego połowa uniwersyteckiego wykształcenia nie może być nazwana wyższym wykształceniem. Znacznie łatwiej trafia do młodszych dzieci umysł, który nie ma za dużo formalnych prawd i formalnych słów, który bierze dziecko tak, jakim ono jest. Ważniejsza znacznie jest wtedy pedagogia, niż wszystkie inne formalne prawdy, którymi się obciąża młodsze pokolenie.

Skończyłem z moimi uwagami. Nie są one ani krytyką, ani chęcią zmniejszenia wartości tej pracy. Są to tylko uwagi, jak powiadam, tego, który reprezentuje dzieci i trochę się obawia, że wychowanie fizyczne stanie się przedmiotem nudnym.

Byłbym bardzo rad, gdybym wywołał ze strony panów i pań uwagi pod tym względem w stosunku do pracy w Ministerstwie Oświaty, t. zn. do pracy szkolnej; natomiast przejdę do rzeczy głównej, z powodu której wzięłem na siebie referat.

Proszę panów, w pracy wychowania fizycznego w szkolnictwie jest jedna trudność bardzo wielka i daleko sięgająca.

W szkole trudno jest o postawienie jakiegokolwiek miernika powodzenia pracy w dziedzinie wychowania fizycznego. Miernikiem tym nie może być zdrowie, gdyż inne warunki w silniejszym stopniu wpływają na zdrowie. Poprawa zdrowia za pomocą wychowania fizycznego i osobny pewien miernik, dający się uzyskać przez określenie medycznego stanu przedtem i stanu potem, jest niemożliwy do znalezienia.

Druga próba pod tym względem, próba zdolności do wykonywania pewnych ruchów, których przedtem wychowanek nie mógł, a teraz może zrobić, jest już związana z wychowaniem fizycznym. Może ta druga jest lepsza.

Ja przy przemyślaniu miernika, według którego mogłaby istnieć pewna kontrola osiągniętych rezultatów i pewien cel postawiony, nie mogłem sam, nie będąc specjalistą, tego wymyśleć. Od razu się wyrzekłem myśli miernika zdrowia, bo chociaż wychowanie fizyczne niechybnie poprawia zdrowie, ale określenie miernika tej poprawy jest niepodobieństwem. Sądzę jednak, że przy dogmatyce metodyki szkoły, jeżeli się nie określi miernika, do którego się dąży, to będzie trochę tak, jak z kaligrafią w dawnej szkole.

Pamiętam siebie w gimnazjum, kiedy w pierwszych dwóch klasach trzeba było się zajmować t. zw. «czystopisanjem». Wobec tego, że lubiłem Napoleona, a Napoleon paskudnie pisał, nie zwracałem uwagi na «czystopisanje». To było wolno, mogłem mieć pałkę i było mi wszystko jedno, gdyż to nie wkraçało w dziedzinę praw przechodzenia z klasy do klasy.

System zaś dzieci jest taki, że przechodzenie z klasy do klasy jest dla nich główną rzeczą. Doskonale skonstatowałem to z moją Wandzią, gdy dostała dwójkę i zaczęła beczeć; pocieszyłem ją, że przejdzie z jedną dwójką do następnej klasy. Skonstatowałem to również dawniej na sobie; skoro wiedziałem, iż wystarczą mi trójki, to ambicji do piątek nie miałem.

Baczmy więc na to, żeby wychowanie fizyczne nie stało się «czystopisanjem», musi ono łączyć się z inną prawdą, którą jest minimum osiągniętego wysiłku. Szkoły idą programami. Program musi być skończony. Na to składają się wysiłki nauczycielstwa, wysiłki biednych dzieci i rodziców. Jeżeli się żąda minimum wysiłku, to wprowadza się bardzo daleko idącą niezgodność z instytucją szkolną. Wtedy jest bardzo łatwe odrzucenie tego nieszczęsnego przedmiotu albo ze stanowiska «czystopisanja» — kaligrafii, albo ze stanowiska dodatkowego języka, którego można się nie uczyć.

Rozumiem, że popełniłem pewne sprzeczności, bo z jednej strony obawiam się braku indywidualizacji, a z drugiej — boję się braku norm. Myśląc jednak o tym nowym przedmiocie, który daje tak piękne rezultaty, boję się, że on stanie się przy dalszym rozwoju często czymś dodatkowym, a nie będzie tam podciągania i nauczycieli i dzieci do pewnych rzeczy koniecznych.

Wynalezienie miernika i minimum jest, zdaniem moim, rzeczą pierwszorzędną wagi dla samej pracy wychowania fizycznego. Dlatego przygotowałem wnioski, w którym proszę, aby Rada Naukowa określeniem miernika i minimum się zajęła, biorąc pod uwagę pracę szkoły, t. zn. tych godzin, które szkoła daje i tych możliwości, które ma. Dlatego sformułowałem dwa wnioski, bo być może zechcą panowie utworzyć dwie Komisje:

1. Rada Naukowa wyznaczy Komisję dla próby ustanowienia miernika powodzenia w wychowaniu fizycznym szkolnym na równi z innymi wykładanymi przedmiotami.

2. Rada Naukowa wyznaczy Komisję dla ustalenia minimum wysiłków, osiąganych przez wychowanków i wychowawce w wychowaniu fizycznym, a minimum musi być ustanowione odpowiednio do wieku, z tego powodu, że w niższych klasach trzeba iść z każdą klasą zupełnie osobno.

I wtedy, proszę panów, być może, dojdę do swego wymarzonego, że dojrzewanie płciowe będzie uwzględnione zarówno u mężczyzn, jak i u kobiet. Jest to rzecz jedna z główniejszych, która dotąd, pomimo moich próśb, za mało zajmuje panów i panie. Przy uzasadnianiu tej właśnie strony muszę

zwrócić uwagę, że trzecia i czwarta klasa gimnazjalna, są to klasy, w których załamało się najwięcej ludzi, najwięcej moich kolegów; przypisuję to dojrzwaniu płciowemu chłopców, przypadającemu na ten okres. I wtedy czy pewne zmniejszenie ćwiczeń, czy pewna ich różnorodność powinna specjalnie dotyczyć wieku, dla którego dojrzwanie stanowi epokę bardzo ważną. Może nawet u dziewcząt trzeba to bardziej jaskrawo stosować.

Streszczam to, co powiedziałem: zacząłem tę pracę dlatego, żeby wysłuchać uwag możliwie szerokich w stosunku do prac szkolnych. Osobiście obawiam się dla szkoły dwóch rzeczy, związanych z wychowaniem fizycznym: jedna — to jest zbyt mała indywidualizacja, a zbyt strychulcowe prowadzenie pracy, druga — to brak norm i celów, które się stawia pedagogom do osiągnięcia w ciągu jednego roku. Uwaga zaś moja jest skierowana ku młodszym dzieciom; nie należy stosować zbyt daleko sięgających wymogów związanych z intelektualnym wykształceniem instruktorów wychowania fizycznego, a dokonać większych rzeczy związanych z umiejętnością obchodzenia się z dziećmi. To jest wszystko.

*Gdy prof. Ciechanowski mówił w swym przemówieniu, że nie wie czy gdziekolwiek w Europie wymyślono osobne formy wychowania fizycznego dla środowiska miejskiego, a osobne dla wiejskiego i że «jakieś odbłyśki może i są», czego przykładem jest duński nauczyciel gimnastyki Bukh, «który dostał do nauki parobków wiejskich». Piłsudski przerwał:*

To wojsko u nas robi, z takiego nieporadnego człowieka robi zręcznego, wojsko przerabia takich parobeczków.

*W dalszym ciągu dyskusji zabrał głos Piłsudski. by zwrócić uwagę na konieczność znalezienia mimo trudności, jakie się tu następują, miernika wychowania fizycznego.*

Co do indywidualizacji, rozumiem, że żądanie jej idzie bardzo daleko. Moje powiedzenie nie jest jednak żądaniem, jest tylko zwykłym zwróceniem uwagi.

Co do wieku, stwierdzam na podstawie osobistych obserwacji, że więcej tam chodzi zawsze o skomplikowanie gry, o pewne dodatki, które wymagają większej pracy inteligencji. Jeżeli gra nie jest skomplikowana, to dziecko jest znudzone. Dodatki komplikujące muszą być dodawane co rok, bo wtedy dziecko się bawi, gdy musi przyłożyć trochę swej inteligencji, gdy umie rozwiązać to, czego dotąd nie umiało. Rozumiem dobrze, że wprowadza to pewien chaos, jednak bez pewnej indywidualizacji nie dojdziemy do celu.

Co do wsi i miast, to radziłbym tu pracować w inny spo-

sób. Jeżeli dziecko wiejskie przebrnie po zaspach śnieżnych codziennie dwa kilometry, to ono tę pracę, która jest podstawą wychowania fizycznego już wykonało, podczas gdy dziecko w mieście codziennie do tak wielkiego wysiłku nie jest zmuszone. I kto wie, czy dobrze jest te same metody stosować tu i tam.

Natomiast co do miernika chcę się uprzeć; rozumiem, że trudno jest go wynaleźć. Byłoby bezmyślnym jednak zatrzymać się przed wynalezieniem miernika. Nie jestem Radą, nie moją rzeczą jest nauczać, tylko żądać. Tego miernika wymagam, bez miernika nie można pójść dalej i ułożyć żadnej konstrukcji. Kiedy jest miernik, jest pewien cel i praca jest istotna oraz cel nie tylko dla nauczyciela, ale i dla uczniów. Gdy tego nie ma, nie można stawiać stopni z wychowania fizycznego, a przecież nowa dwójka to nie pies.

Pan prof. Ciechanowski słusznie potwierdził, że nie można brać zdrowia, bo trudno jest określić miernik zdrowia. Ja proponuję ruchy; czy uczeń może wykonać pewne ruchy w tej klasie takie, w tej klasie takie. Pan proponuje mierzyć nerwy. Dobrze, można mierzyć nerwy, ale mocno wątpię, czy nauczycielstwo potrafi to zrobić. Mnie zdziwiła pańska myśl, bo to znaczy, że wychowanie fizyczne zdąża do wyrobienia wytrzymałości, «tenacité», w pewnych wysiłkach bez zmęczenia. Ja pana tak rozumiałem. Tak, to jest bardzo ładna rzecz, ale czy mierzenie za pomocą złożonego instrumentu prowadzi do celu <sup>1)</sup>. Pan (*zwracając się do ministra oświaty*) potrafi nauczyć i panowie również, ale czy potrafią nauczyciele — mocno wątpię. To jest rzecz laboratoryjna, ale to nie jest szkoła. Musi być prostszy jakiś środek. Twierdzę, że odszukanie takiego miernika, aby mógł być stosowany w szkole, byłoby wielkim zwycięstwem i wielkim problemem dla szkoły. Nie powinien on być zanadto skomplikowany dlatego, że nigdzie nie znajdzie zastosowania. Ale, proszę państwa, miernik musi być wynaleziony — i ja wolę, panie ministrze, żeby był wynaleziony przez Radę Naukową.

Jeszcze jedna rzecz co do układu komisji; od razu ostrożnie powiedziałem: dwie komisje. Jedna będzie pracowała nad minimum, druga nad miernikiem, może to da się razem złapać. Powiedziałem sobie, że to jest dobre, co jest trudne.

Panowie mają czasu po temu, nie jest to konieczne dziś,

<sup>1)</sup> Prof. Ciechanowski mówił, że miernikiem może być tylko szybkość reakcji na zmęczenie i że pewne typowe badania psychotechniczne mogą dać wskazówki pod tym względem.



nie chodzi tu bynajmniej o nastraszenie całego świata. Można pracować długo, ale trzeba pracować ze szkołą, nie można pracować teoretycznie; trzeba wiedzieć, do jakiego celu się idzie i czego się chce.

*Gdy ppłk. Walerian Sikorski mówił o swoich obserwacjach, że uczniowie 15-letni wyglądają często pod względem fizycznym na 11-letnich, Piłsudski powiedział:*

Zastanawiałem się nad kwestią, skąd to pochodzi. Sądzę, że dobra metoda pracy i dobry nauczyciel — to najlepsza propaganda wychowania fizycznego.

Co do przedmiotu nauki, uważam, że program i przedmiot powinny być w zgodzie z rozwojem, zwłaszcza w wieku przejściowym. Dotychczas postulat ten nie zawsze był uwzględniony. Jesteśmy w stadium rewizji przepisów. Gdyby okres przejściowy był mniej przeładowany, nie byłoby przemęczenia. Zmęczenie chwilowe nie jest samo groźne, bo organizm je zwalczy.

Oдноśnie metod badania sprawności, które przedstawił prof. Ciechanowski, są one kwestiami naukowymi, lecz należą one raczej do przyszłości. Pracy naszej wymaga teraźniejszość i to jest przyczyna, dla której, nie zamykając oczu na definicje naukowe, powinniśmy tworzyć w możliwościach realnych. Próby sprawdzianów powinny być jak najprostsze.

*Gdy prof. Strumillo wysuwał myśl, czyby jako miernik nie wziąć radości dzieci ćwiczących — Piłsudski rzucił żartobliwą uwagę:*

A to jacy panu na egzaminie udał radość zupełnie łatwo.

*Przy końcu dyskusji Piłsudski wypowiedział następujące uwagi:*

Wysłuchałem z niesłychaną ciekawością wszystkich uwag ze względu na to, że dotyczą spraw, które mnie serdecznie obchodzą. Wyznam jednak, że spośród nich najbardziej zainteresowała mnie organizacja pracy. Z chwilą, kiedy mamy do czynienia z prowadzeniem czegoś, musimy mieć do czynienia z organizacją. Najwięcej powiedział tu płk. Sikorski, rozkładając rozwój fizyczny na szereg lat<sup>1)</sup>.

Kiedy mówił płk. Sikorski, to sobie przypomniałem zaraz salę gimnazjum wileńskiego, do którego chodziłem. Otóż

<sup>1)</sup> Płk. wizytator Walerian Sikorski mówił w czasie dyskusji, że Wydział Higieny Szkolnej Ministerstwa Oświaty, zgodnie z uwagami Piłsudskiego, stara się ułożyć program wychowania fizycznego z uwzględnieniem różnic wieku, rozwoju, płci, przy czym na podstawie własnych badań mógł się przekonać jakie są olbrzymie różnice w sprawności fizycznej u uczniów jednej i tej samej klasy.

z lekcji gimnastyki uciekałem po prostu, gdyż prowadził je oficer rosyjski. Ponieważ oficer ten był terroryzowany, stawiano pedla, który pilnował, aby uczniowie nie uciekali. Lekcje gimnastyki odbywały się po południu, co było przeciąganiem godzin lekcyjnych. Robiono to we wszystkich starszych klasach. Te lekcje gimnastyki były próbą rosyjską wprowadzenia między uczniów przyzwyczajenia do pewnych rzeczy o charakterze militarnym. Otóż wówczas widać było od razu różnicę olbrzymią między chłopcami. Jak kto jednak nie chciał, to odchodził sobie.

Urządzenie gimnazjum pod względem gimnastycznym było wzorowe, wszystko było postawione na poziomie luksusowym. Najlepiej tam widziałem różnicę ogromną sprawdzianów ludzkich przy ćwiczeniach na przyrządach; niektórzy robili skoki, najrozmaitsze inne rzeczy zupełnie o cyrkowym znaczeniu, zaś inni nic nie umieli. To samo mówiła p. Zabawska o rozwojowym prawie.

Tylko mnie się wydaje, że ta wielka różnica nie przeszkadza wcale zagadnieniu, o którym mówiłem, t. zn. minimum i miernika dla minimum. Dlatego, że wszystko, co jest ponadto, nie przeszkadza. Te rzeczy podlegają ogólnym prawom zdolności. Jeżeli panowie weźmiecie środowisko ludzi, zajmujących się jakimkolwiek fachem na świecie, to zawsze znajdziecie niechybnie, że najmniejsza część jest zdolnych, reszta przeciętna i pewna ilość poniżej przeciętnej. To jest prawie we wszystkich fachach, istniejących na świecie, czy to będzie szewc, czy generał, to wszystko jedno. Jest to prawo ogólne: przeciętnych jest najwięcej, wybitnych, czy więcej niż wybitnych, najmniej. Jednak jedno drugiemu nie przeszkadza.

Natomiast zastrzegłbym się bardzo, wybaczenie panowie lekarze, ale to nadmierne, że tak powiem robienie chorych przez lekarzy, to jest rzecz niemożliwa. A specjalnie co do dzieci; ta przewaga chorób u dzieci i strach przed nimi, to moim zdaniem działa zabójczo. Mam dwie córki: jedna jest bardzo wytrzymała, spokojna, znosi znacznie więcej niż przeciętna w jej wieku, a druga — Jagódka zapada na najrozmaitsze nieszczęścia chorobowe i biedaczka nie może nadażyć Wandzi w ruchach, bo jest za słaba. Słusznie. Ale po pierwsze dziecko żyje, chorego pod tym względem nikt nie powstrzyma od życia, przeciwnie w dziecku wzbudza się tylko protest przeciwko nadużyciu potęgi lekarskiej. A druga rzecz, to ta przesada w stosunku do gruczołów. Nigdy dawniej «gruczołów» nie było, a chociaż były, nic nikomu złego nie robiły. Na miły Bóg, czego wy chcecie? — to jest koniec świata!

Różnice pod względem usposobienia dziecka i organizmu dziecięcego są rzeczywiście bardzo duże w poszczególnych obiektach. Ale stąd nie wynikają wcale takie chorobowe zjawiska, jakimi tu p. Kopczyński przeraża <sup>1)</sup>). Ja się boję, a cóż dopiero robić będą dzieci ciągle chore i chore? Rozumiem, że się wymyśla dla nich różne choroby, sędzę jednak, że tak daleko iść nie można w wyszczególnianiu tych chorób, trzeba iść w obcinaniu. Ja właśnie pomyślałem o moich pannach. Nie trzeba zanadto bawić się w gruczoły; ja tego nie rozumiem.

Wiem, że jest dążenie, aby lekarze panowali nad światem, ale tu specjalnie chcę się zastrzec.

Pragnę, żeby panowie zwracali baczną uwagę na cel szkoły. Celem tym jest osiągnięcie rok rocznie pewnych rzeczy, które zawsze są postawione. Panowie chcą skomplikować miernik badania tak wielkiej organizacji, jaką jest organizm ludzki i włączają w to chemię, fizykę, radio i inne rzeczy. Takiego człowieka, któryby to wszystko mógł wytrzymać nie ma na świecie. Te rzeczy muszą być prosto robione, one wtedy dają wynik szkolny.

Zależy mi na tym, aby wychowanie fizyczne było upodobnione do innych przedmiotów. Musi być ułożona jakaś dyscyplina i wychowanie fizyczne powinno być pod nią podciągnięte. Jeszcze raz powtarzam, że ja rozmyślnie, za zgodą p. ministra <sup>2)</sup>), przepraszam, że mu na pięty włożę, chcę obciążyć Radę Naukową, aby ona, mimo trudności, szukała miernika i minimum dlatego, że nie postawimy tego, co jest dla każdej rzeczy, obejmującej większą ilość ludzi konieczne: miary poziomu. Tej miary zmierzyć indywidualnie nie sposób i trzeba zmierzyć ją według pewnego miernika; musi więc być ten miernik znaleziony, choćby miał być bardzo uproszczony, ale jakaś miara być musi, bo inaczej nie ma dyscypliny.

Dlatego będę jednak żądał włożenia obowiązku na Komisję, wyłonioną z Rady Naukowej, która, mam nadzieję, będzie to zagadnienie ujmowała tak, jak ujmował je płk. Sikorski, t. zn. pojechał, zobaczył, przekonał się. Panowie musicie to doradzać, a nie kto inny. Panowie specjaliści należą także do Rady Naukowej i ich do tej pracy można zaciągnąć, np. wciągnąć płk. Sikorskiego.

<sup>1)</sup> Dr Kopczyński mówił w czasie dyskusji: «Mając do czynienia z powojenną młodzieżą stwierdzamy, że są różne odstępstwa od normy z powodu n. p. gruczołów, podniesionej temperatury i t. d. i wobec tego spieszyć się z miernikiem dla dziatwy szkolnej jest ryzykowne».

<sup>2)</sup> Ministra Oświaty Czerwińskiego.

## LIST DO MERA MIASTA VERDUN

(23 czerwca 1929 r.)

*W dniu 23 czerwca 1929 r. odbyły się w Verdun wielkie uroczystości, związane z zakończeniem odbudowy miasta i odsłonięcia «Pomnika Zwycięstwa» dla bohaterskich obrońców tej twierdzy. Mer miasta Verdun specjalnym piśmie zawiadomił Piłsudskiego, jako Ministra Spraw Wojskowych i obywatela honorowego miasta Verdun, o dniu tej uroczystości i prosił go o wzięcie w niej udziału. Niżej przytoczony list jest odpowiedzią na to zaproszenie.*

*Podajemy go według «Głosu Prawdy» z dn. 23 czerwca 1929 r.*

Szczerze wzruszony zaproszeniem pańskim na uroczystości zakończenia odbudowy i inauguracji pomnika Zwycięstwa i Żołnierzy bohaterskiego Verdun, zawiadamiam pana, iż tylko z racji nawału pilnych spraw bieżących na uroczystość tę przybyć, niestety, nie mogę.

Przesyłając na ręce pańskie moje najserdeczniejsze pozdrowienia dla tego miasta, które swą bohaterską obroną nowymi wawrzynami nieśmiertelnej chwały okryło sztandary Francji, proszę o przyjęcie również najlepszych moich życzeń dla miasta Verdun w imieniu wojska polskiego i moim, jako obywatela honorowego.

## OSWIADCZENIE NA ROZPRAWIE TRYBUNAŁU STANU

(23 czerwca 1929 r.)

*Sledztwo wstępne w sprawie Czechowicza zostało ukończone dnia 5 czerwca 1929 r. Dnia 21 tego miesiąca Trybunał Stanu uchwalił wyznaczyć rozprawę na dzień 23 czerwca 1929 r. Rozprawie przewodniczył prezes Trybunału Stanu Leon Supiński. Sędziami było ośmiu członków Trybunału wybranych przez Sejm (adwokaci: Józef Bielawski, Antoni Bogucki, Aleksander Lednicki, Jarosław Oleśnicki, Wacław Szumański, Tadeusz Tomaszewski, Piotr Zubowicz i b. minister rolnictwa Aleksander Raczyński) i czterech członków Trybunału wybranych przez Senat (b. wiceminister spraw wewnętrznych Józef Beck, adwokat Adolf Suligowski, Stanisław Thugutt i gen. Lucjan Żeligowski). Oskarżycielami wybranymi przez Sejm byli posłowie: Herman Lieberman, Jan Pieracki i Henryk Wyrzykowski. Obrońcą Czechowicza był adwokat Franciszek Paschalski.*

*Po zeznaniach ministra Czechowicza, ministra Spraw Wewnętrznych Składkowskiego i ministra Przemysłu i Handlu Kwiatkowskiego przewodniczący zarządził przerwę, po której oznajmił, że «Marszałek Piłsudski życzy sobie złożyć oświadczenie w sprawie niniejszej».*

*Wtedy Piłsudski wypowiedział niżej przytoczone oświadczenie, w którym poddał krytyce ustawę o Trybunale Stanu, konstytucję marcową i system pracy sejmowej. Nadto stwierdził, że jako premier sam wyłącznie regulował sprawy związane z Sejmem i dlatego za zaniechanie przedłożenia Sejmowi dodatkowych kredytów on ponosi odpowiedzialność a nie kto inny.*

*Oświadczenie było podane w ówczesnej prasie z pewnymi różnicami w tekście. Oparliśmy się przy ustalaniu tekstu na urzędowym, stenograficznym protokóle z rozprawy przed Trybunałem Stanu.*

Proszę panów! Niestety zacząć muszę od samego Trybunału Stanu, albowiem muszę zacząć od ustawy o Trybunale Stanu i muszę związać Trybunał Stanu, ustawę, z p. Czechowiczem, ministrem skarbu, z którym miałem zaszczyt pracować, oraz z samym sobą.

Wybaczą panowie, że dopiero wczoraj dotknąłem się do tej ustawy, po raz pierwszy przejrzałem ją i przeczytałem. Jeżeli będę mówił o Trybunale Stanu i jego ustawie, to nie chcę najzupełniej, aby panowie brali cokolwiek do siebie, albowiem nie panowie tworzyli tę ustawę i nie panowie ją fabrykowali <sup>1)</sup>).

Wczoraj akurat byłem w sytuacji zupełnie trudnej dla siebie, albowiem byłem zniechęcony do wszystkiego i dlatego w tym, że tak powiem, złym humorze, przeczytałem ustawę o Trybunale Stanu. I wyznam panom, że gdy przeczytałem artykuł 1-szy ustawy o Trybunale Stanu, to wybuchnąłem śmiechem, albowiem konstrukcja tego artykułu 1-go, na który powołuje się oskarżenie, jest tak oryginalnie zabawna i tak oryginalnie koncyrowana, że wyznam, iż nie śmiać się nie można. Ja ją przeczytam tak, jak sam przeczytałem: «Minister odpowiada konstytucyjnie przed Trybunałem Stanu za działania i zaniechania, wynikłe z winy umyślnej lub nieumyślnej, którymi w zakresie swego urzędowania, lub też w zakresie ogólnego kierunku działalności i polityki rządu, naruszył Konstytucję Rzeczypospolitej lub inną ustawę, naraził państwo na niebezpieczeństwo, lub interesom państwa oczywistą i znaczną wyrządził szkodę.

Na tych samych zasadach minister odpowiada za działania i zaniechania Prezydenta Rzeczypospolitej, albo zastę-

<sup>1)</sup> Ustawa o Trybunale Stanu została uchwalona dnia 27 kwietnia 1923 r.



pującego go marszałka sejmu, a nadto we właściwym sobie zakresie urzędowania za działania i zaniechania podległych organów, a w zakresie ogólnego kierunku działalności i polityki rządu także za działania i zaniechania Rady Ministrów oraz innych ministrów, jeżeli owych działań lub zaniechań stał się bezpośrednio winny lub dopuścił do nich z winy umyślnej lub nieumyślnej».

Jeżeli panowie przejrzą to bogactwo określeń i bogactwo pojęć, rzuconych do tej ustawy, jeżeli panowie zechcą porównać to z ubóstwem tych pojęć w Konstytucji, związanych z działalnością ministrów i jeżeli znajdziecie, że w działalności ministrów w Konstytucji nie ma tych pojęć, które tutaj są zawarte, i że one wszystkie są ogólnikowe. Rzecz tak literacko napisana, że dwa słowa muszą stać obok siebie, np. «ogólny kierunek działalności», co jest użyte w Konstytucji<sup>1)</sup>, obok zaś stoi, dla zaciemnienia sprawy, «polityka», co jest rzeczą bardzo względną, każdy mówi o polityce, każdy mówi inaczej. Jeżeli panowie weźmiecie, że minister nieznaczne szkody państwu czynić może, a tylko znacznych czynić nie może, pojęcie bardzo ogólnikowe i nic nie znaczące. Jeżeli zestawicie wszystkie urzędy, które tu są wymienione — to ja się zastanawiałem ciągle nad p. Czechowiczem, który jest oskarżony, co ten nieszcześliwy człowiek zaniechał: «organy» z «marszałkiem sejmu» — «znaczne szkody» z «Prezydentem Rzeczypospolitej»? Wszystko jakies tak skoncypowane rzeczy, że one podstawy myślowo-prawnej dać się mogą. A czegoż ten p. Czechowicz zaniechał?

W akcie oskarżenia jest, że zaniechał sejmu. Ale sama ustawa o sejmie nie mówi, zatem pozwala na zaniechanie sejmu. Ja też, jako szef gabinetu, to czyniłem stale. Nie ma za co mnie ganić, należy chwalić. Jest ta ustawa partactwem pracy, można w niej znaleźć wszystko, ale nie można znaleźć sensu. Podobne to jest raczej do dziennikarskiego artykułu, niż do prawnych koncepcyj.

Ja rozumiem, proszę panów, że panowie, jako Trybunał Stanu, z tego powodu macie dość ciężkiej pracy, by wybrnąć z nonsensu, zrobionego bez was, bo rzucono wam ten nonsens do zgryzienia i zrobiono z was tak, jak gdyby prawdę prawną w bezprawiu pojęć, które tu są rzucone. To jest rzecz trudna. Dlatego też mówiąc o Trybunale Stanu, zwracam się od razu

---

<sup>1)</sup> Ustęp 1 art. 53 Konstytucji marcowej brzmiał: «Rada Ministrów ponosi solidarną odpowiedzialność konstytucyjną i parlamentarną za ogólny kierunek działalności Rządu».

do was, żebyście umieli potrafić z rzeczy śmiesznej robić rzecz nieśmieszną, gdyż ustawa o Trybunale Stanu jest śmieszna.

Nie mogę panom nie powiedzieć mego zdania, że pod tym względem Trybunał Stanu i jego ustawa jest zbudowana tak, jak gdyby była «à part»<sup>1)</sup> od Konstytucji, z Konstytucją nie wiąże ją dużo, a natomiast jest tak rzucona na bok, jak gdyby nie mogła stanowić jakiegokolwiek obowiązku dla kogokolwiek.

Proszę panów, muszę natomiast ze smutkiem powiedzieć, że dzielicie pod tym względem los całej Polski. Jeżeli taka parlamentarna robota, związana z Trybunałem Stanu i z jego ustawą, należy do rekordów śmieszności i głupoty, to, niestety, cała Konstytucja jest robiona w ten sposób, że jedne działy przeczą innym działom, paragrafy przeczą paragrafom i nawet części paragrafów przeczą ich reszcie. Wygląda to niekiedy, proszę panów, tak, że Konstytucja zbudowana była w ten sposób, ażeby każdy mógł sobie znaleźć wszystko, co chce w tej nieporządnej prawdzie Konstytucji.

Ja, proszę panów, znany jestem z tego, że zdecydowałem się pracować i rządzić, występując przeciwko tym bezceństwu sejmowi, który brał na siebie ustawicznie nie co innego, jak suwerenność w pracach państwowych, kiedy suwerenem jedynym jest Prezydent Rzeczypospolitej. Ja występowałem przeciwko sejmowi i ani razu nie naruszyłem Konstytucji, albowiem we wszystkich pracach swoich znajdowałem paragrafy, jakiegokolwiek chcieć, ażeby zaniechać sejmowi.

Są suknie od stanu i do stanu i są trybunały od stanu i do stanu. Szanowni panowie, wy macie nieszczyście być trybunałem od stanu, który stanu nie ma. Niestety Polska odziana jest w szatę konstytucyjną także od stanu, która jest budowana tak nonsensowo i tak sprzecznie, że niestety często to, co ludzie trzymają odkryte, tu jest zakryte, a to, co jest wstydliwie chowane, tu jest obnażone.

Nie chcę wchodzić w historię naszej Konstytucji. W owym czasie byłem Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem i wiem, co za panowie czynili tę Konstytucję, panowie, którzy zasługiwali na szubienicę raz po raz. Jedną z hańbiących prawd naszego życia jest nasz pierwszy sejm i ten nonsens zrobiony historycznie trwa dotąd, ubliża on Rzeczypospolitej i czyni hocki klocki z Polski.

Przechoǳę, proszę panów, do aktu oskarżenia. Ten także czytałem dopiero wczoraj, albowiem przyznam się, bzurstwami

<sup>1)</sup> Poza nawiasem.

sejmu nie lubię się zajmować. Pierwsza rzecz, która mi się rzucała w tej elukubracji, jest to pierwszy paragraf, który przyswaja sobie prawa nieboszczyka. Pierwszy bowiem paragraf dotyczy się ubiegłego sejm<sup>1)</sup>, który z chwilą, kiedy skończył swoje pełnomocnictwa personalne, skończył swoje prawa. I przyswajanie sobie praw nieboszczyka przez terazniejszy sejm jest, zdaniem moim, nonsensem. Jeżeli ci panowie wolą być nieboszczykami, to dlaczego nie zastosować do nich praw, związanych z pierwszym sejmem. Ja spokojnie ich powieszę i zastosuję prawa im należne. Ludzie, którzy zdradzali państwo podczas wojny, ludzie, którzy nikczemne targowisko z Polski czynili, nie zasługują podczas wojny inaczej, jak na śmierć, — niechże nieboszczyków nie wołają. Natomiast, proszę panów, jeżeli ja wezmę wywód, zrobiony w stosunku do p. Czechowicza o zaniechanie sejm<sup>2)</sup>, to zwrócić muszę uwagę nie na co innego, jak na to, że taka czy inna praca, związana z sejmem, nie należała do zakresu działań p. Czechowicza.

Artykuł 56 Konstytucji stwierdza, że każdy minister w swoim zakresie ponosi odpowiedzialność<sup>2)</sup>. Prawda, że artykuł Trybunału Stanu robi ministra odpowiedzialnym i za Radę Ministrów, czyniąc go niejako wyższym od Rady Ministrów, a nie mówi o szefie gabinetu. W każdym razie w zakresie p. Czechowicza nie był stosunek do sejm<sup>2)</sup>. Ten stosunek do sejm<sup>2)</sup> brałem ja sam na siebie i wyznam panom, że dumny jestem ze swojej pracy i nie znajduję w sobie nie tylko winy, ale zasługę, że przeciw sejmowi szedł, że sejm ukrócił i sejmowładztwo usunął.

Nie mam pod tym względem żadnego wstydu. Ale p. Czechowicz ma swój zakres pracy — zakres zaś pracy w stosunku do sejm<sup>2)</sup> jest jedynie mój. Ja jeden miałem tę odwagę w państwie, że spokojnie wziął na siebie zadanie, którego inni podejmować się nie śmieli, zadanie ukrócenia suwerenności sejm<sup>2)</sup> w stosunku do Prezydenta i w stosunku do rządu.

Nie mogę nie powiedzieć, że w systemie oskarżenia p. Czechowicza w tej mierze widzę chęć sfalszowania prawdy historycznej, zrobienia sobie wstydu, a mnie ubliżenia.

<sup>1)</sup> Pierwszy punkt oskarżenia dotyczył przekroczeń budżetowych od dn. 1 kwietnia 1927 r. do końca listopada 1927 r., t. j. czasu, kiedy trwała jeszcze kadencja poprzedniego Sejm<sup>2)</sup>, która się zakończyła dnia 28 listopada 1927 r.

<sup>2)</sup> Ustęp 2 artykułu 56 Konstytucji marcowej mówił, że odpowiedzialność konstytucyjną i parlamentarną «ponoszą ministrowie oddzielnie, każdy w swoim zakresie, za działalność w urzędzie, a to zarówno za zgodność tej działalności z Konstytucją i innymi ustawami Państwa, za działanie podległych im organów, jak i za kierunek swej polityki».

Jest to próba mordu rytualnego, popełnionego na człowieku, który odpowiada za nieswoje czyny. Ja nie mogę nie powiedzieć, że ten system jest nieczny i nikiemny. Artykuł 56 czyni zakres działania, mówmy, jaki chcąc, byleby był ten zakres działania. Ja zaś na siebie, w gabinecie, prowadzonym przeze mnie, brałem wszystko to, co odnosi się do sejmu, na swoje barki. I wyznam, że to tym bardziej wygląda mi na mord rytualny, nieczny i nikiemny, gdy chodzi o człowieka, który stał się pomiędzy nami wszystkimi najbardziej, że tak powiem, sejmowym człowiekiem. Nie chcę wchodzić w motywy p. Czechowicza, nie chcę wchodzić w jego pobudki, lecz on był najbardziej jeżeli nie zgodny z sejmem, gdyż to jest trudno, to był najbardziej, że tak powiem, zwracający uwagę na wszystkie rzeczy, związane z prawnym według niego stosunkiem do sejmu. Zawsze we wszystkich wypadkach na wszystkie ustawy się powoływał, zawsze ich szukał, zwracał uwagę, ostrzegał mnie personalnie dziesiątki razy. Dlatego też mord rytualny, który oskarżyciele chcą zrobić na p. Czechowiczu, zdaniem moim, jest niecznym, nikiemnym i niskim.

Ja zwrócę uwagę panów przy tym, że akt oskarżenia, zawierający spis najrozmaitszych przekroczeń budżetowych, zwraca specjalnie uwagę na punkt, związany z 8 milionami w sumie, rzuconej na moją dyspozycję, jako szefa gabinetu. Dobrze sobie przypominam tę chwilę, gdy to uczynił, i pamiętam dobrze, że nie chciałem mieć za sobą nawet uchwały Rady Ministrów, chciałem wziąć to na siebie w całej pełni, nie chcąc nikogo z Rady Ministrów wciągać do odpowiedzialności, któraby mogła być cięższą, gdyby wybory wypadły inaczej, niż wypadły. Potwierdzam tu raz jeszcze nie co innego, jak stan w gabinecie, gdyż ja przypominałem panom ministrom o ich zobowiązaniach, wziętych w stosunku do mnie, że oni nie biorą na siebie pracy z sejmem. Cała praca z sejmem leżała na mnie. Ja rozmyślnie to silnie podkreślałem.

Proszę panów z Trybunału Stanu! Ja nie mogę nie przemówić do panów z chęcią wejrzenia, że tak powiem, w motywy i pobudki, które kierują ludźmi. Nie chcę pod tym względem robić «plaidoyer»<sup>1)</sup> obrońcy, chcę jednak wtedy, gdy motywy i pobudki w sądach bierze się pod uwagę, chciałbym, żebyście panowie wzięli pod uwagę motywy, pobudki i przyczyny, które zrodziły ten komizm sejmowy z tym aktem oskarżenia.

Ja nie patrzę na rzeczy tragicznie, ja raczej skłonny je-

<sup>1)</sup> Mowa adwokata w obronie oskarżonego przed sądem.

stem do komizmu. Proszę panów, pobudką, przyczyną i istotnie głęboką prawdą jest metoda pracy w sejmie. Proszę panów, miałem wielu przyjaciół serdecznych i bardzo przeze mnie kochanych, którzy zasiadali na ulicy Wiejskiej <sup>1)</sup>, i byłem zdumiony, jak szybko następuje u nich zaciemnienie umysłu, jak szybko stają się oni czymś w rodzaju ludzi, mających aberrację, błędne widzenie, daltonizm specjalny. Stawali się oni ludźmi, uważającymi, że rozmowa bez kłótni dwóch panów z sejmu przy stoliku w kawiarni jest wypadkiem większej wagi, niż trzęsienie ziemi w Tokio, że to jest główna praca myślowa, którą ludzie mają się zajmować. Z podziwem oglądałem takie zciemnienie umysłów, następujące tak szybko u ludzi, wchodzących na ulicę Wiejską. Nie trzeba zatem rzeczy tych brać tak tragicznie i trzeba spokojnie osądzać tę pracę.

Proszę panów, widziałem niedawno zabawkę bardzo zabawną. Boję się nieco obrazić panów uszy, gdy powiem jej nazwę, gdyż nazywa się ona w handlu «pierdołka». Zabawka przedstawia człowieczka o odpowiedniej tuszy, ze skróconymi najzupełniej kończynami, mającego dwa otwory, jeden otwór pod nosem, a drugi na odwrotnej stronie medalu. Urządzona zaś ta zabawka jest w ten sposób, że gdy postawi się ją lub położy w jakiegokolwiek pozycji, to zaczyna ona przemawiać obu otworami i zaczyna tak szybko się poruszać, że przedtem dźwięki, łapane osobno, zaczynają zlewać się w przedudną kakofonię, tak przedudną kakofonię, że nieraz, gdy puszczałem w ruch tę zabawkę, to wydawało mi się, że jednak zdążę złapać jeden dźwięk grubszy i drugi dźwięk cieńszy w tej potwornej kakofonii zabawki. Nie uchwyciłem jednak pomimo przysłuchiwania się i pomimo prób wielu ludzi, którym pokazywałem tę zabawkę, ani razu nie udało mi się i ani razu nie znalazłem człowieka, któryby znalazł różnicę pomiędzy obu otworami.

Proszę panów i prześwietny Trybunale, gdy zechcecie szukać, a to wam się może przydać, motywów i wytłumaczenia tego komizmu, który w sejmie robią, tych rekordów partactwa pracy, które oni czynią, to zróbcie próbę sami, stańcie się na chwilę tą zabawką. Przyjąć taką pozę łatwo i pokiwać się także łatwo. Dla nowicjusza, jestem przekonany, wystarczy pięć minut, ażeby zapomniał imienia ojca i matki, dla fachowych — toż oni się pierdołą miesiącami, toż oni zatracają na tyle wszystkie pojęcia, że mogą zapomnieć nawet swoje nazwisko! To jest, proszę panów, tłumaczenie mądrości całego

<sup>1)</sup> Przy ulicy Wiejskiej mieści się gmach sejmowy.



aktu oskarżenia, całego komizmu pracy waszej i całej przekłętą pracę Polski, która w tym komizmie sejmowym kręcić się dotąd, niestety, musi.

Proszę panów, kończę. Mówię nie dlatego, bym chciał kogokolwiek obrazić, gdyż nie mogę znaleźć tak śmiesznego paragrafu, jak paragraf o zaniechaniach, gdzie pojęć jest tyle do zaniechania, a tak mało w tym sensu istotnego, z czym wy będziecie mieć do czynienia w tej tragedii sprzeczności sukni, w którą Polska jest ubrana, i w tej śmieszności sytuacji, która jednak na was ciąży, że rząd, prowadzony przez największego człowieka w Polsce, którego ręce nie śmierdzą tak, jak wasze<sup>1)</sup>, może być oskarżony i otworzyć sobą pierwsze posiedzenie Trybunału Stanu.

Ten komizm historyczny! — Moje ręce w Polsce zaczynały wiele rzeczy i dumny jestem, że zostawię w Polsce prace, które przejdą wieki, — z tego rozpoczęcia pracy Trybunału Stanu dumny nie jestem, tak, jak przypuszczam i panowie. Natomiast komizm jest olbrzymi, komizm ten zaś niczym innym wytłumaczony być nie może, jak tym nieszczęsnym zaciemnieniem umysłu sejmowego, które musi nastąpić w bardzo nieprzystawnej zabawie, trwającej miesiącami.

Ja nie mam nic więcej do powiedzenia, chcę jednak podkreślić niećność rytualnego mordy, dokonanego z fałszerstwem prawdy historycznej na p. Czechowiczu, który był, powtarzam, najbardziej skłonny do pracy, chociaż ciężkiej i bardzo dla niego męczącej, w stosunku do wszystkich bzdurstw sejmowych, wtedy, kiedy miał przeszkodę zawsze we mnie, który tego nie chciałem. Skończyłem.

---

## LIST NA ZJAZD LEGIONISTÓW W NOWYM SĄCZU

(6 sierpnia 1929 r.)

*Doroczny zjazd legionistów w rocznicę aktu 6 sierpnia został w 1929 r. zwołany do Nowego Sącza. Piłsudski przysłał na ręce prezydium zjazdu niżej przytoczony list, datowany z Druskienik dnia 6 sierpnia 1929 r. W liście tym Piłsudski przeciwstawia bohaterstwo Legionów nikczemności ich otoczenia.*

*List podajemy według «Monitora Polskiego» z dn. 12 sierpnia 1929 r.*

---

<sup>1)</sup> W protokole jest zaznaczone, że Piłsudski słowa te wypowiedział, «zwracając się w kierunku oskarżycieli».

Kochani Koledzy i Towarzysze broni! W tym roku, niestety, przybyć na doroczne święto legionowe nie mogłem. Muszę wyzyskać sierpień na mój urlop zdrowotny i muszę zatem wyrzec się przyjemności pobytu między wami, co stało się zwyczajem moim, jak i waszym.

Tak się już przyzwyczailem, że rok po roku staram się obudzić w sobie, jak i w was, wspomnienia naszej wspólnej pracy, naszych wspólnych bólów, bojów i trudów, tak, jak gdybym, jak ongiś, przy ognisku wieczorem siedział i mógł tak gwarzyć i myśleć, jak się gwarzyło, myślało i marzyło kiedyś. Dodawałem w ten sposób roku każdego cegielkę pod budowę historii dla nas, historii, nie tej kłamanej i fałszowanej, a tej, co prawdę głosi i o sprawiedliwość woła. Gdy zaś nie jestem w stanie przemawiać, zdecydowałem chociażby napisać, by zwyczajowi zadość się stało.

Wstydy, nam zadawanych, przeżyliśmy niemało, wstyd zaś najcięższy, wstyd pałacy nosiliśmy nie od kogo innego, jak od Polaków. Ileż to razy w przeciągu naszego istnienia, jako legionistów, ze złością mówiłem i powtarzałem silny wiersz wielkiego poety: «Niewolnicy, gorzej — słudzy niewolników!». Przeciw nam, przeciwko naszym dążeniom wyrzucano zawsze płatnych, najętych Polaków, których zawsze posiadano dostateczną ilość, tak, aby ci — nie sami zaborcy — handlowali dla swojej korzyści czy kariery naszą krwią na łuty i funty. A ile razy ja, jako wasz wódz i przedstawiciel, szukałem jakiegokolwiek siły, chociażby nikłej i słabej, lecz polskiej, dlatego, aby jak najsilniej podkreślić, że służymy tylko Polsce, a nie zaborcom, tyle razy byłem sprzedany także na łuty i funty dla uzyskania protekcji u tych, co byli płatnymi i najemnymi Polakami.

Kiedy zaś pomyślę, że już w państwie polskim podczas wojny działo się akurat to samo, prawie z fotograficzną ścisłością, powtarzam to zawsze, przychodzę do mojej syntezy, moich syntez, naszej i własnej historii. Gdy więc myślę o pięknie prawdy historycznej, gdy myślę o bohaterstwie, zawsze przy porównaniach historycznych stwierdzam, że konkurencję wytrzymać możemy z najpiękniejszymi przykładami w historii i własnej, i ludzkości. Gdy zaś myślę o otoczeniu tego piękna i tego bohaterstwa, to bardziej nędznego i pozbawionego honoru i godności otoczenia trudno wynaleźć. W większości naszego narodu, gdyśmy w szlachetniejszy metal dzwoniли, gdyśmy kusili pięknem i bohaterstwem, mieliśmy co najwyżej westchnienie, niekiedy głupie łezki. Większość zaś odwracała się od nas ku tym, co sprzedajnym łańcem byli, co rozłajda-

czne pyski hardo nosili — jako ku autorytetom być może brzydkim, lecz rozumnym i praktycznym. Poparcie znaleźli oni — potworki ludzkie — nie my.

Przyjmijcie, kochani Koledzy, ten list, jako przyczynek do naszej historii.

Józef Piłsudski.

## GASNĄCEMU ŚWIATU

(22 września 1929 r.)

Dnia 24 czerwca 1929 r. Marszałek Sejmu Daszyński był w Belwederze. W rozmowie swej z Piłsudskim wysunął on możliwość wytworzenia większości sejmowej, złożonej z Bloku Bezpartyjnego, stronnictwa ludowego Wyzwolenia i Polskiej Partii Socjalistycznej. Piłsudski radził Daszyńskiemu, by zwrócił się w tej sprawie do ówczesnego premiera Świtalskiego i do prezesa Bloku Bezpartyjnego Sławka, czego Daszyński nie zrobił.

Dnia 21 sierpnia 1929 r. odbyła się w Druszenikach konferencja Piłsudskiego z premierem Świtalskim i pik. Sławkiem. Piłsudski polecił wtedy premierowi Świtalskiemu zwrócić się do Marszałka Daszyńskiego z propozycją odbycia narad z przedstawicielami klubów parlamentarnych na temat przyszłej pracy budżetowej ciał ustawodawczych

Premier Świtalski uczynił to w rozmowie z Marszałkiem Daszyńskim, odbytej dnia 4 września 1929 r. O fakcie tym został wydany urzędowy komunikat, w którym zaznaczono, że Piłsudski wyraził chęć wzięcia udziału w zamierzonej naradzie. Marszałek Daszyński obiecał dać odpowiedź na wysuniętą przez rząd propozycję po porozumieniu się z klubami sejmowymi. Po ich naradach Marszałek Daszyński w rozmowie z premierem Świtalskim, odbytej dnia 13 września 1929 r., zakomunikował mu pismo Klubu Narodowego (N. D.), który postanowił nie wysyłać swego przedstawiciela do prezesa Rady Ministrów, uważając tylko plenum Sejmu i jego komisje za właściwy teren omawiania prac budżetowych — i pismo, podpisane przez przedstawicieli klubów: Piasta, Wyzwolenia, Stronnictwa Chłopskiego, P. P. S., Nar. Partii Robotniczej i Chrześcijańskiej Demokracji, które stawalo na stanowisku, że tylko prezydium Sejmu z jego Marszałkiem na czele może omawiać z rządem sprawę prac budżetowych.

Rząd w komunikacie wydanym dnia 17 września 1929 r. uznał oba pisma za odmowę ze strony klubów opozycyjnych wzięcia udziału w proponowanej przez rząd konferencji z udziałem Piłsudskiego.

Dnia 22 września 1929 r. pojawił się w prasie artykuł zatytułowany: «Gasnącemu światu», który jest komentarzem Piłsudskiego do wyżej przytoczonych faktów i w któ-

*rym Piłsudski streszcza te wywody na temat budżetu, jakie miał zamiar wypowiedzieć na proponowanej przez rząd konferencji z przedstawicielami stronnictw.*

*Artykuł podajemy według «Głosu Prawdy» z dn. 22 września 1929 r.*

Naprzód «ad rem». Gdzieś w czerwcu, gdyż ściśle daty nie mogę sobie przypomnieć, zgłosił się do mnie p. Daszyński, marszałek sejmu polskiego. Gdy go zapytałem, czemu mam zawdzięczać jego wizytę, rozpoczął od długiego, bardzo nieudolnie skonstruowanego opisu niezwykle rozpaczliwego stanu kraju pod względem finansowym, ekonomicznym i gospodarczym. Gdybym był naiwny albo bardzo, bardzo nierozsądny, tobym popaść mógł w wielką rozpacz z powodu zbliżającej się pełnej ruiny Polski i jej z tego powodu zguby. Następnie zaś zauważył, że po powrocie swoim z zagranicy spostrzegł w obozie socjalistycznym wielką zmianę, polegającą na tym, iż wielu z jego partyjnych towarzyszy, dotąd nieprzyjaźnie względem rządu usposobionych, staje się jego zwolennikami i nie chce dalej prowadzić taktyki bezpłodnej opozycji. Zauważył dalej, że po zjeździe Wyzwolenia<sup>1)</sup>, gdzie nie wybrano do zarządu partii wszystkich zdecydowanych nieprzyjaciół rządu, zacytował przy tym p. Thugutta, nie można nie widzieć także i w tym stronnictwie jakiejś przemiany, analogicznej do tego, co mówił poprzednio o socjalistach. Jako wywód z tego, z czym do mnie wystąpił, dał swoje przypuszczenie, iż może stan ten daje możliwość uformowania stałej większości parlamentarnej, złożonej z Bloku Bezpartyjnego oraz stronnictw socjalistycznego i Wyzwolenia. Usunęłoby to, zdaniem jego, różne niedokładności życia państwowego polskiego. W odpowiedzi na to zakomunikowałem p. Daszyńskiemu, iż nie będąc szefem gabinetu, wolałbym tę rozmowę oddać w ręce premiera, p. Świtalskiego, sądząc, że on łatwiej, niż ja, zając się tym jest w stanie, poradziłem mu również w sprawie Bloku Bezpartyjnego skierować siebie drogą naturalną — do p. prezesa tego klubu, p. Sławka. Tak się w czerwcu rozpoczęła historia, której zakończenie mamy obecnie.

Naturalnie, z całą lojalnością zakomunikowałem zarówno p. Świtalskiemu<sup>2)</sup>, jak i p. Sławkowi całość tej rozmowy czerwcowej. Wobec zbliżającego się urlopu wypoczynkowego p. premiera oraz lipcowego i sierpniowego zacisza politycznego, p. premier po rozmowie ze mną zdecydował odłożyć swoje

<sup>1)</sup> Zjazd Wyzwolenia odbył się w dniach 13—14 czerwca 1929 r.

<sup>2)</sup> Dnia 21 sierpnia 1929 r.

kroki na czas września, o ileby sam p. Daszyński nie wystąpił z dalszymi krokami w tej sprawie. W ten sposób sprawa się przeciągnęła prawie do końca sierpnia, gdy się kończył i mój urlop wypoczynkowy. Przy rozmowie, jaką miałem w Druskiennikach z p. premierem Świtalskim<sup>1)</sup>, zdecydowaliśmy podjąć inicjatywę z naszej strony, ze strony rządu, w takiej formie, aby w nieoficjalnej rozmowie w ważnej państwowej sprawie móc stwierdzić, czy owa zmiana, zapowiadana przez p. Daszyńskiego poprzednio, ma jakąkolwiek podstawę racjonalną i czy można liczyć na jakąkolwiek rzeczowość jakiegokolwiek dyskusji. Wobec zbliżającej się sesji zwyczajnej sejmku, związanej z budżetem państwowym na rok przyszły, zaproponowałem, aby jako tą sprawą ważną dla państwa, któraby była sprawdzianem możliwości rzeczowych dyskusyj w sejmie, była wybrana praca nasza, rządowa nad tym budżetem. Już w ogłoszonym «exposé»<sup>2)</sup> p. ministra finansów uderzać muszą pewne nowe, związane z obecną sytuacją finansową państwa, nowe nuty i nowe poglądy. Uważałem, iż przygotowanie zawczasu opinii różnych panów w sejmie da może możność uniknąć bezpłodnych dyskusyj, łamania drzwi otwartych i dziwacznych ekscesów, tak cechujących niesmacznie i niezdrowo wszystko to, co w sejmie się odbywa podczas dyskusji nad budżetem. Nie przypuszczam bowiem, aby przy braku zupełnym rzeczowości w mówieniu, można było mówić poważnie o czymkolwiek bądź, tym bardziej zaś o jakichkolwiek zmianach w polityce rządu, który już czwarty dobiegający rok idzie jedną i tą samą drogą, wzmacniając siły i powagę państwa na zewnątrz i wewnątrz. Takim więc był drugi etap rozpoczętej już przez p. Świtalskiego pracy dnia 4 września niniejszego roku.

Co do mnie osobiście, miałem według ułożonego z p. Świtalskim planu zabrać głos, jako drugi po p. Matuszewskim przed rozpoczęciem dyskusji z panami z sejmku. Znanym już jest «exposé» p. Matuszewskiego. W pierwszym więc rządzie chciałem podtrzymać krytykę p. Matuszewskiego systemu budżetowania państwa<sup>3)</sup>. P. Matuszewski opuszczał bowiem w dysku-

<sup>1)</sup> Rozmowa Piłsudskiego z premierem Świtalskim na ten temat odbyła się dnia 25 czerwca 1929 r.

<sup>2)</sup> Mowa o wywiadzie udzielonym dnia 20 września 1929 r. przedstawicielowi Pol. Agencji Telegraficznej przez ówczesnego kierownika Ministerstwa Skarbu, Matuszewskiego. W wywiadzie tym Matuszewski przewidywał, że na poważną zwyżkę dochodów w przyszłości liczyć nie można i że zatem koniecznością staje się powstrzymanie wzrostu wydatków.

<sup>3)</sup> Min. Matuszewski we wspomnianym wyżej wywiadzie wskazywał na braki w układzie budżetu, jak n. p. na brak rozróżnienia wy-



sjach ze mną najważniejszy, zdaniem moim, argument, mianowicie niemożliwość budżetowania każdej funkcji państwowej tą samą zupełnie metodą, gdyż wtedy budżet nie odpowiada najzupełniej treści pracy i nie daje możności zorientowania się w kierunku pracy każdego z ministrów. Prowadząc ministerium spraw wojskowych, które zabiera prawie trzecią część naszego budżetu, przekonywałem się stale, że gdy sam chcę mieć swoją orientację, muszę odrzucić na bok całą książkę i przerabiać budżet na nowo.

Sekretem bowiem naszego budżetowania jest nie co innego, jak że przystosowany on jest jedynie do pracy urzędników, nie do pracy państwowej i treści pracy ministrów.

Poza tym poruszyć miałem kwestię zupełnie nową, związaną z t. zw. przeze mnie luzami budżetowymi w budżetach każdego z ministrów. Bez bowiem takich luzów śmieszny etatyzm budżetowy daje w swoim wyniku prawie niemożliwość przeprowadzania zmian w zarządzie praktycznym państwa. Jednym ze stałych punktów porządku dziennego Rady Ministrów jest żądanie zmiany punktów budżetowych na inne z powiększaniem jednych i połączonym z tym zmniejszaniem innych. Gdy zaś zważymy, że w skomplikowanym mechanizmie państwowym zmiany przeprowadzane muszą niekiedy trwać nie tylko miesiącami, lecz latami; jeżeli uwzględnimy specjalnie polskie warunki bytowania z komplikacją istnienia trzech, a nawet czterech rodzajów praw<sup>1)</sup>, którymi jesteśmy dziedzicznie obciążeni; jeżeli uwzględnimy niemrawą i bardzo często nieudolną pracę urzędników, to łatwo będzie dostrzec, że budżetowy system polski, nie dopuszczający luzów budżetowych, jest najbardziej skuteczną i najbardziej zarazem nonsensowną zaporą do wszelkiego postępu.

Wreszcie w trzecim rządzie i ostatnim chciałem się zwrócić do panów posłów, zaproszonych na konferencję, aby może zechcieli znaleźć w swoim rozkładzie zajęć choć jeden mały kącik, w którym rzeczowo można byłoby prowadzić dyskusję nad tak ważnym problemem, jak budżetowanie państwa. Zdaniem bowiem moim, najbardziej skutecznie kompromitują Polskę panowie posłowie sejmowi, utwierdzając świat cały

---

datków, będących wynikiem stosowania istniejących ustaw, od wydatków, których wysokość lub w ogóle istnienie zależy od swobodnej decyzji rządu i ciała ustawodawczych.

<sup>1)</sup> Na terenach b. zaboru pruskiego obowiązywały różne przepisy prawa niemieckiego, w Małopolsce prawa austriackiego, w b. Kongresówce kodeksu Napoleona, a na Kresach różne przepisy prawa rosyjskiego.

w powszechnym do niedawna mniemaniu, że Polacy nie są zdolni, jako naród, do rządzenia sobą i że prowadzą zaraz nie co innego, jak «*polnische Wirtschaft*»<sup>1)</sup>, czyniąc z siebie t. zw. «*Saison-Staat*»<sup>2)</sup>).

Niechybnie to moje przemówienie i roztrząsanie stałoby w sprzeczności z moim żądaniem, które postawiłem już od dawna, aby budżet, przedstawiony w tym roku, był prawie kopią zeszłorocznego. Wszystkie bowiem moje rozmyślenia i doświadczenia przeszłości nie mogły mnie prowadzić do zaufania, aby stosunki w sejmie mogły ulec jakiegokolwiek zmianie, i dlatego wołałem mieć budżet kopiowany z tamtego roku, że w ten sposób może uniknąćby się dało powtórki długiej i bezowocnej tej samej dyskusji budżetowej, która nie tyle jest męczącą, co wstrętną.

Przechodzę teraz do trzeciego etapu całej historii, mianowicie — do odpowiedzi różnych panów z sejmu na propozycję konferencji w sprawie budżetu, uczynioną przez p. premiera Świtalskiego dnia 4 września. Jeżeli użyłem wyrażenia różni panowie z sejmu, to dlatego, iż prawie połowa sejmu, — gdyż odliczam największy klub Blok Bezpartyjny, endeków, którzy dali odpowiedź osobno i wszystkie mniejszości narodowe, — w odpowiedzi p. Daszyńskiego nie brała udziału. Przede wszystkim wynikła wśród tych panów «*Kanape-Frage*», czyli kwestia kanapowa. Polegała ona na tym, że ci panowie z sejmu zwątpili w możliwość prawną zwoływania jakichkolwiek konferencji przez p. premiera naszego gabinetu, uważając, iż wtedy tylko konferencja dawać może rezultat, gdy zebrana jest nie gdzie indziej, jak na ulicy Wiejskiej. Wobec tak poważnej wątpliwości zaczęły się niezliczone dyskusje w każdym z klubów z osobna z odpowiednim zamętem i chaosem formuł, uchwał, konwentyklów, zebrań grupowych i wszelkich akcesoriów, t. zw. sejmowych, przy poważnym nastroju sejmu i przy największych kwestiach. Wobec jednej wątpliwości zaczęły wyrastać i inne. Wydaje się, że główną inną kwestią było pytanie, czy w ogóle rząd p. Świtalskiego jest legalnym rządem Polski, gdy p. Świtalski nie był ani razu na posiedzeniu sejmu jako prezes gabinetu<sup>3)</sup>). Słyszałem, że jeden ze znako-

1) Polska gospodarka.

2) Państwo sezonowe, nietrwale.

3) Premier Świtalski nie mógł być do tego czasu na żadnym posiedzeniu Sejmu, gdyż objął urządowanie po zamknięciu sesji obradującej nad budżetem roku 1929/30, a zwyczajna sesja, mająca obradować nad budżetem roku 1930/31, została otwarta dopiero później — dnia 31 października 1929 r.

mitości sejmowych, trochę niezdrowy na żołądek, wyskoczył przerażony, że nie wzięto pod rozwagę dyskusji kwestię, co ma zrobić nieszczęśliwy poseł, gdy na konferencji u p. Świtalskiego podadzą czarną kawę. Prawdopodobnie równie poważnych wątpliwości była mnoga ilość.

Gdy rosły wątpliwości i zwykły chaos i zamęt, nie można było dojść do żadnej wspólnej uchwały. Dlatego też wysmażono elukubrację negatywną. Dlatego zaś, aby ona nie była także negatywną, smażenina na kiepskim oleju była tak niezrozumiała, że dopiero p. prezes gabinetu Świtalski rozciął wątpliwości stwierdzeniem, że «może więc uważać odpowiedź tych panów za odmowę» i zapytał p. Daszyńskiego<sup>1)</sup>, czy to jest słuszne, czy nie. Odpowiedź znowu tego pana była wahająca się i niepewna, skłaniająca się jednak ku temu, iż odpowiedź jest odmowna.

W samej treści tej odpowiedzi uderzyła mnie od razu uwaga tych panów, przypominająca rządowi, że marszałek sejmu jest zawsze reprezentantem tej instytucji<sup>2)</sup>. Zwróciłem więc uwagę i ja ze swej strony, że w tym wypadku p. marszałek sejmu nie może reprezentować zebrania kilkudziesięciu panów, jako sejm, gdyż sejm, jako instytucja, działać może tylko wtedy, gdy prawnie przez Pana Prezydenta jest zwołany na sesję, i sesja jest prawnie przez przedstawicieli Prezydenta otwarta.

Jeżeli więc moja próba ustalenia możliwości dyskusji rzeczowej w jakimkolwiek przedmiocie spełzła na niczym, to znowu wyrastała prawda o fajdanitis poslinis do śmiesznych i prawie nieprawdopodobnych rozmiarów. Utożsamianie zebrań klubowych, nawet małych konwentyklów, ze sejmem widzieliśmy już bardzo często w historii sejmu w Polsce. Należy to, jak mnie się zdaje, do dobrego tonu wielu z panów posłów

<sup>1)</sup> W rozmowie z nim w dniu 13 września 1929 r., której przebieg tego samego dnia zreferował premier Świtalski Piłsudskiemu.

<sup>2)</sup> W piśmie opozycyjnych klubów centrowych i lewicowych, zakomunikowanym premierowi Świtalskiemu przez Marsz. Daszyńskiego dnia 13 września 1929 r., był następujący ustęp: «W odpowiedzi na zakomunikowaną przez p. marszałka sejmu inicjatywę rządu, dotyczącą omówienia sposobu prowadzenia prac budżetowych, stronnictwa podpisane proszą p. marszałka sejmu, by zechciał przedstawić rządowi potrzebę przyśpieszenia zwołania sesji sejmowej oraz omówił z rządem imieniem Sejmu wszystkie szczegóły, tyżące się usprawnienia prac budżetowych zarówno ze strony Sejmu, jak i rządu. Stronnictwa stwierdzają, że po zamknięciu sesji sejmowej jedynym organem, uprawnionym do reprezentowania Sejmu jest jego prezydium z marszałkiem na czele».

i wyrosło nie skądinąd, jak z niecej pamięci pierwszego sejmku Rzeczypospolitej Polskiej. Idzie się ku temu, co prawda, wykluczając spokojnie wbrew zasadzie t. zw. demokratycznej całe grupy posłów, całe kluby i w ogóle wszystkich niezgodnych z fajdanizmem poselskim. Przecież niejedyn z tych panów dochodzi w swojej ewolucji fajdanizmu do tego, że uważa siebie, t. zn. poszczególnego posła, za sejm Rzeczypospolitej i chce wymagać dla siebie personalnie wszystkich przywilejów, zastrzeżonych przez prawo sejmowi. Na szczęście zawikłani stale w «Kanape-Fragen», są przedstawicielami gasnącego już świata, świata, który odchodzi, a swym postępowaniem dają raz po raz, że ta diagnoza jest niemylna.

Są światy gasnące i są wschodzące słońca. I jeżeli w dzieje ludzkości się spojrzeć, znajdziemy zawsze, znajdujemy ciągle, wschodzące słońce i gasnące światy. I niemylną gaśnienia cechą jest wymieranie treści, a wzrost znaczenia formy. Zjawia się wtedy jak gdyby aberacja myślowa, jak gdyby wykoszławienie duszy ludzkiej do tego stopnia, że człowiek poważny błaznem się staje i, jak opętany zatruty jadem degeneracji, o treści każdej pracy zapominając, czepia się formy, czepia się literek, nawet nie słów, tak kurczowo i konwulsyjnie, jak gdyby zatrzymać chciał musowe zatonięcie w mrokach przeszłości przez niegrabne kurcze i konwulsyjne ruchy. A obok ludzi poważnych kroczą mniej poważni. Ci, co wyrosli na to, by przez małpie grymasy, przez pajacowe ruchy kompromitować i ośmieszać to, co chcą utrzymać, a co zginać musi.

Gdy malcem małym byłem, gdy młodzieńcze życie rozpoczynałem, byłem zachwycony światem klasycznym, pięknem dawnych Greków, żelazną potęgą Rzymu. Piękne baśnie o bohaterach, cudowna, piękna mitologia pogańska, cuda Olimpu, powaga senatu i dyktatorów rzymskich chwyciła mój umysł i wyobraźnię niekiedy tak silnie, iż życie, w które za ledwie wchodziłem, wydawało mi się nikłe, marne i bez wartości. Dlatego z pewnym bólem dotykałem potem do ksiąg, co dzieje upadku, dzieje degeneracji i Olimpu, i senatu, i dyktatorów opowiadały. Powiadają, że augurowie, ci, co wielkie zwycięstwa z wróżb ogłaszali, ci, co chwale oręża rzymskiego i potędze swojej ojczyzny wiernie służyli, że ci właśnie podczas upadku i potęgi, i chwały przy spotkaniach z sobą na głos się śmieli, wysmiewając swoje wieszczby i czyniąc z siebie błaznów.

Pamiętam też także trochę bólu i wewnętrznej przykrości, gdym po raz pierwszy był na znanej operetce «Piękna Helena». Wydawało mi się dzikim i nieładnym, gdy niegdys lu-

dzie głowy łożyli za piękno Olimpu, za prawdy Grecji, tak publicznie i tak bezczelnie na pośmiewisko to wystawiać. I ze sceny tej właśnie «Piękną Heleną» najbardziej utkwiła mi w pamięci scena ostatnia, gdy ową piękną śmiertelną namawiają ludzie wraz z kapłanem na to, by usiadła na wóz bogini Wenerę, który na scenę zajężdża. I podczas śpiewu barytona Calchasa, co sławę i piękno bogów wielbi, wpada karczemna nuta szynkowni, kankan wesóły. I kapłan kończy już pieśń bogom i na nutę kankana wesóło podryguje nogami.

I pamiętam nieraz, przy studiach tej czy innej epoki, przypominałem tę scenę, jako świadectwo prawdy gasnących światów. Pamiętam nawet nieudolny wierszyk o Calchasiu, który ułożyłem, i tym wierszykiem pisaninę swoją zakończył:

Wyśpiewując sławę bogom,  
Podryguje, rusza nogą  
W kankan, kankan płynie.  
O, mądrala! Ten nie zginie  
Nigdy, nigdy nam na świecie  
Wiedźże, durniu, wiedźże przecie!

## ROZMOWA Z MARSZAŁKIEM DASZYŃSKIM

(31 października 1929 r.)

Zarządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 24 października 1929 r. sesja zwyczajna Sejmu została zwołana na dzień 31 października 1929 r.

Pierwsze posiedzenie miało się odbyć tego dnia o godzinie 16-tej. W hallu wejściowym gmachu sejmowego zgromadziło się w tym czasie kilkudziesięciu oficerów. Piłsudski, który w tym dniu zastępował premiera Świtalskiego, przyjechał do Sejmu pięć minut przed godz. 16-tą i przez ppłk. Becka, szefa swego gabinetu, zawiadomił Marsz. Daszyńskiego, że przybył na posiedzenie w roli zastępcy premiera.

Marsz. Daszyński uznał pobyt oficerów w przedsiönku sejmowym za akt presji, ociągał się z otwarciem posiedzenia i wysłał pismo do Prezydenta Mościckiego z zawiadomieniem, że wobec «wdarcia się przemocą do gmachu sejmowego przeszło 90 uzbrojonych oficerów» nie może wykonać zarządzenia Prezydenta o zwołaniu sesji sejmowej.

Piłsudski, który oczekiwał otwarcia posiedzenia w pokoju przylegającym do sali sejmowej i który o fakcie wystąpienia przez Marsz. Daszyńskiego wspomnianego pisma nie był zawiadomiony, wszedł po 17-tej godzinie do apartamen-



tów Marsz. Daszyńskiego w towarzystwie Ministra Spraw Wewnętrznych gen. Składkowskiego i szefa swego gabinetu pplk. Becka.

Przebieg rozmowy pomiędzy Piłsudskim a Marsz. Daszyńskim został podany do publicznej wiadomości w sprawozdaniu gen. Składkowskiego i pplk. Becka, z dnia 2 listopada 1929 r., a ogłoszonym w prasie dnia 3 listopada 1929 r.

Komunikat, przez nich podpisany, zaczyna się od słów następujących:

«Wobec rozbieżnych interpretacji rozmowy p. Marszałka Piłsudskiego z p. Marszałkiem Daszyńskim zarówno w prasie, jak i oświadczeniach osobistych, my: gen. Sławoj-Składkowski, minister spraw wewnętrznych i pplk. dypl. Beck, podajemy co następuje, jako naoczni świadkowie rozmowy:

Rozmowa p. Marszałka Piłsudskiego z p. Marszałkiem Daszyńskim dnia 31 października 1929 r. w apartamentach Marszałka Sejmu».

Komunikat gen. Składkowskiego i pplk. Becka kończy się zaś następującym ustępem:

«Ponieważ p. Marszałkowi Piłsudskiemu trudno było opisać dokładnie rozmowę, tym bardziej, że jest zmuszony w tej samej sprawie współpracować z p. Prezydentem Rzeczypospolitej, uważaliśmy za swój obowiązek zrekonstruować tę rozmowę szczegółowo sami. P. Marszałek Piłsudski przeczytał powyższy tekst rozmowy, stwierdził jego ścisłość i uzupełnił go paru zapomnianymi przez nas szczegółami».

Komunikat podajemy według «Gazety Polskiej» z dn. 3 listopada 1929 r.

Pan marszałek Daszyński, wskazując na gen. Składkowskiego i podplk. Becka:

— Może pan generał i pułkownik zostaną (wskazuje na salonik).

Pan Marszałek Piłsudski: Nie. Pan przekreśla wszystko, i dlatego wzięłem dwóch świadków (krótki uścisk rąk, siadają).

Pan Marszałek Piłsudski: Słyszałem, że miał pan jechać do pana Prezydenta, więc nie przychodziłem do pana, teraz widzę, że pan jest tu, więc przychodzę i chcę pana spytać, po co robi pan te hece. Czy ja mam długo czekać na otwarcie sejmu? Czemu pan nie otwiera sejmu? Co znaczą te hece?

Pan marszałek Daszyński: Czy to, że tu są panowie oficerowie w sejmie?

Pan Marszałek Piłsudski: Nie, nie to, ale to, że pan nie otwiera posiedzenia sejmu. Czegóż pan go nie otwiera?

Pan marszałek Daszyński: Pod bagnetami, karabinami i szablami izby ustawodawczej nie otworzę. W hallu są uzbrojeni oficerowie.

Pan Marszałek Piłsudski: A jak to pan dowiedzie?

*Pan marszałek Daszyński: Mówili mi to moi urzędnicy.*

*Pan Marszałek Piłsudski: Oh, pańscy urzędnicy! Jeżeli pan tego nie chce, to trzeba to było ogłosić zawczasu. Nikt tak nie robi, a przed wąskim wejściem, gdzie ogłoszenia nie ma, zawsze tłum zebrać się musi. A później jacyś fagasi, albo któryś z posłów każą oficerom wychodzić <sup>1)</sup>. Po co te głupstwa?*

*Pan marszałek Daszyński: Jest pan moim gościem, więc nie chcę z tego, co pan mówi, robić użytku.*

*Pan Marszałek Piłsudski: Z czego?*

*Pan marszałek Daszyński: Pan mówi, że robię głupstwa.*

*Pan Marszałek Piłsudski: Ja nie jestem gościem, jestem tu oficjalnie.*

*Pan marszałek Daszyński: Ja też oficjalnie!*

*Pan Marszałek Piłsudski: Więc proszę pana o trzymanie języka (uderzenie w stół ręką) i pytam pana, czy zamierza pan otworzyć sesję?*

*Pan marszałek Daszyński: Pod bagnietami, rewolwerami i szablami nie otworzę.*

*Pan Marszałek Piłsudski: To pańskie ostatnie słowa?*

*Pan marszałek Daszyński: Tak jest.*

*Pan Marszałek Piłsudski: To pańskie ostatnie słowo?*

*Pan marszałek Daszyński: Tak jest.*

*Pan Marszałek Piłsudski kłania się lekko i, nie podając ręki, opuszcza gabinet pana marszałka Daszyńskiego. Przechodząc przez salonik pana marszałka sejmu, mówi głośno: To dureń.*

## KOMUNIKAT PRASOWY O ZAJŚCIACH

W DNIU 31 PAŹDZIERNIKA 1929 R.

(31 października 1929 r.)

*Piłsudski po rozmowie z Marsz. Daszyńskim udał się do Prezydenta Mościckiego. Tam dowiedział się on o treści listu wystosowanego przez Marsz. Daszyńskiego do Prezydenta Rzeczypospolitej (por. str. 192). Prezydent Mościcki napisał list do Marsz. Daszyńskiego z propozycją odłożenia posiedzenia na inny dzień, by mogły być wyjaśnione*

<sup>1)</sup> Odnosi się do faktu, że, ówczesny dyrektor Biura Sejmu, Pomorski z polecenia Marsz. Daszyńskiego zwracał się do oficerów z żądaniem opuszczenia przedsonka sejmowego.

*sprzeczności między relacją Piłsudskiego a relacją Marsz. Daszyńskiego o przebiegu zajścia w Sejmie.*

*Daszyński po naradzie z prezesami klubów ogłosił około godziny 20-tej następujące obwieszczenie:*

*«Z powodu zajęcia przemocą frontowej sieni wejściowej i poczekalni gmachu Sejmu przez uzbrojonych oficerów wojsk polskich w liczbie około stu kilkudziesięciu, którzy na dwukrotne wezwanie urzędowe organów Marszałka Sejmu gmachu sejmowego nie opuszczają, oświadczam, że pod szablami panów oficerów posiedzenie dzisiejsze odwołuję. O terminie następnego posiedzenia zostaną panowie posłowie zawiadomieni. Marszałek Sejmu Daszyński».*

*Piłsudski po bytności w Zamku przybył do premiera Świtalskiego i tam podyktował niżej umieszczony komunikat, który za pośrednictwem Pol. Agencji Telegraficznej został rozesłany prasie.*

*Komunikat podajemy według «Gazety Polskiej» z dn. 1 listopada 1929 r.*

Z powodu niewyjaśnionego dotychczas zajścia z grupą oficerów, znajdujących się w przedsionku sejmowym, marszałek sejmu uważał za słuszne nie otwierać posiedzenia sejmowego, tłumacząc panu Marszałkowi Piłsudskiemu, zastępującemu niedysponowanego pana premiera, że «pod bagnętami i szablami» nie jest w stanie rozpocząć posiedzenia.

Ten sam motyw podał marszałek sejmu w liście swoim do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, prosząc go jakby o interwencję. Pan Marszałek Piłsudski, który przybył na otwarcie posiedzenia sejmu i o wysłanym liście p. Daszyńskiego do Pana Prezydenta nie był zawiadomiony, udał się do Pana Prezydenta z relacją o niczym nieusprawiedliwionej niechęci pana marszałka Daszyńskiego do otwarcia posiedzenia. Wtedy pan Marszałek Piłsudski dowiedział się o treści listu p. Daszyńskiego do Pana Prezydenta. Wobec tego, że między przedstawieniem sprawy przez p. Daszyńskiego a relacją pana Marszałka Piłsudskiego zachodziły bardzo daleko idące sprzeczności, Pan Prezydent zaproponował listownie panu marszałkowi Daszyńskiemu odłożenie posiedzenia na inny dzień, aby mieć możliwość wyjaśnienia przy panu premierze tych sprzeczności <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Konferencja taka nie odbyła się z powodu stanowiska Marsz. Daszyńskiego, który dnia 3 listopada 1929 r. zawiadomił listownie Prezydenta Rzeczypospolitej, że na konferencję razem z Piłsudskim nie przyjdzie.

## SPRAWOZDANIE O ZAJŚCIACH W SEJMIE

W DNIU 31 PAŹDZIERNIKA 1929 R.

(7 listopada 1929 r.)

Dnia 7 listopada 1929 r. Piłsudski przystał premierowi Świtalskiemu niżej przytoczone sprawozdanie o zajściach w Sejmie w dniu 31 października 1929 r., stwierdzające, że aktów przemocy ze strony oficerów, którzy weszli wtedy do gmachu sejmowego, nie było, że oficerowie ci nie byli uzbrojeni i że wobec bytności w gmachu Ministra Spraw Wojskowych zwracanie się funkcjonariuszy sejmowych z poleceniami do oficerów było niestosowne.

Sejm uchwałą z dnia 21 grudnia 1929 r. powołał komisję dla zbadania zajść w dniu 31 października 1929 r. Na posiedzeniu tej komisji w dniu 13 lutego 1930 r. jej przewodniczący poseł Czetwertyński oznajmił, że otrzymał z Prezydium Rady Ministrów sprawozdanie Piłsudskiego o zajściach, polecił jednak referentowi tej sprawy, posłowi Liebermanowi, zaznajomić członków komisji jedynie z treścią sprawozdania. Wniosek członków komisji, należących do klubu Bezpartyjnego Bloku, by sprawozdanie zostało w całości odczytane, upadł.

Gdy «Robotnik» dnia 15 lutego 1930 r. podał urywki z tego sprawozdania, agencja prasowa «Iskra» podała w tym dniu do wiadomości pełny tekst tego sprawozdania.

Sprawozdanie podajemy według «Kuriera Porannego» z dn. 16 lutego 1930 r.

Przystępując do mego sprawozdania z zajść, wywołanych przez marszałka sejmu, p. Daszyńskiego, w gmachu sejmu dnia 31 października b. r., stwierdzić na początku muszę, że w zastępstwie chorego prezesa ministrów, p. Świtalskiego, przybyłem do gmachu sejmu o godz. 4 bez pięciu minut. Gdy wchodziłem do gmachu sejmu, spostrzegłem grupę oficerów, którzy, utworzywszy szpaler, oddali mi należne honory. Przechożąc zaś przez następną salę, widziałem całe mnóstwo ludzi, którzy w spokojny sposób krążyli po sali, ustępując mi miejsca do przejścia. Natychmiast po wejściu do pokoju rządu kazałem swemu szefowi gabinetu, p. ppłk. Beckowi, zawiadomić marszałka sejmu o moim przybyciu, ze stwierdzeniem, że jestem w zastępstwie p. premiera, który jest niezdrów. Po pewnym przeciągu czasu p. ppłk. Beck wraz z p. ministrem spraw wewnętrznych Składkowskim wrócił, komunikując mi, iż p. marszałek sejmu Daszyński oświadczył, że wobec wkroczenia siłą do sejmu oficerów nie otworzył posiedzenia izby.

Gdym to usłyszał, zdecydowałem od razu, że ten pan jest nieprzytomny i jest wariatem, i muszę dlatego pozostawić załatwienie sprawy z wariatem czynnikom sejmowym, bez mego w tej sprawie udziału.

Przy przeprowadzaniu dochodzeń w stosunku do panów oficerów za podstawę wzięłem ogłoszony w dniu następnym przez tego pana komunikat prasowy. W stosunku więc do niego stwierdzam, co następuje:

a) Co do zajęcia przemocą części gmachu sejmu przez panów oficerów.

Co do przedSIONKA (inni nazywają to hall'em) wzięć trzeba pod uwagę, że znajduje się tam oddział pocztowy, wolny w dostępie każdemu, tak, iż mowy być nie może o zajmowaniu przedSIONKA przemocą. Dochodzenie, jakie zrobiłem, stwierdza, iż żaden z oficerów tam obecnych nie był ani pytany, ani zatrzymywany, ani też w jakikolwiek sposób nie przeszkadzano mu w wejściu do tej części sejmu. Co się tyczy wejścia dalszego, stwierdziłem, iż tylko niektórych pytano, w jakim celu przybywają, przy czym, gdy prawie większość miała na celu wystaranie się o bilety na galerię lub w ogóle wejścia na sejm przez znanych sobie posłów, niektórych z nich odsyłano do jakichś innych wejść, gdzie znaleźć można było przejście do sal klubowych, innych zaś puszczano i dalej, gdy można było skonstatować, że dany poseł lub inny jakiś znajomy znajduje się gdzieś w pobliżu.

Wobec tego, iż nie chciałem przypuszczać, że całe zajście jest zmyślane przez tego pana, zacząłem poszukiwać — co mi zajęło dużo czasu — jakiegoś chociażby drobnego zajścia pomiędzy którymś z oficerów, a pomiędzy kimkolwiek w gmachu sejmowym. Przypuszczałem, że mogła być jakaś ostrzejsza rozmowa lub nawet próby czynnego znieważenia. Stwierdziłem jednak, że nie ma ani jednego takiego wypadku, tak, iż dumnym być mogę z umiejętności taktownego zachowania się panów oficerów, nawet w najprzykrzejszych sytuacjach.

Kłamstwem więc jest twierdzenie tego pana o tym, iż w dniu 31 października oficerowie przemocą zajęli jakąkolwiek część gmachu sejmowego.

b) Co do uzbrojenia oficerów.

Przy przejściu moim przez szpaler oficerów, oddających mi honory, rzucałem wedle zwyczaju okiem w prawo i w lewo. Stwierdziłem od razu, iż przy szabli mogła być zaledwie połowa oficerów, inna zaś część zewnętrznie nie miała na sobie broni. Dodam, iż sam osobiście byłem przy szabli i miałem w ręku białe rękawiczki. Co prawda, pan ten w ostatnich ustę-



pach swego ogłoszenia publicznego mówi tylko o szablach <sup>1)</sup>, gdy mnie osobiście mówił o bagnietach, karabinach i rewolwerach. Dla wyjaśnienia więc stwierdzam, że szabla dawno już przestała być bronią i z wyjątkiem kawalerii nigdy nawet nie bywa ostrzona, stanowiąc tylko tradycyjną część uniformu. Ta część uniformu jest w niektórych wypadkach nawet nakazana do noszenia. Dodam, że przy długich dyskusjach, które się toczyły z powodu szabli, jako broni, zawsze powtarzałem ulubiony mój frazes, że wolę dobrą laskę, niż szablę, jako broń. Już przy rozmowie, ogłoszonej przeze mnie, z p. Daszyńskim byłem zdziwiony tym twierdzeniem o uzbrojeniu oficerów i pytałem go, czym on tego dowiedzie. Wobec zaś tego, iż pan ten innych dowodów poza tymi, które słyszałem w ogłoszonym przez siebie komunikacie, nie przytoczył, pozostaje mi jedynie do stwierdzenia, że kłamstwem jest, jakoby oficerowie, którzy byli w sejmie, byli uzbrojeni.

c) Co do liczby oficerów.

Dochodzenie w tej sprawie było mi bardzo trudne ze względu na to, iż część oficerów, względnie zresztą niewielka, przychodziła do sejmu na bardzo krótki okres czasu i zaraz potem gmach sejmu opuszczała. Liczba takich oficerów, stwierdzona przeze mnie, dochodzi do 8 (ośmiu). Co się tyczy liczby oficerów, którzy w gmachu stanowili grupę, dzięki niemądrym i niestosowanym zarządzeniom tego pana, to nie dochodzi ona do pięćdziesięciu i stanowi cyfrę 47. Gdybym więc nawet dodał owych ośmiu oficerów i gdybym dodał całą liczbę oficerów, która była z przepustkami stałymi do sejmu, to nie dojdzie ona nigdy nawet do liczby osiemdziesięciu, a cóż dopiero do liczby «stu kilkudziesięciu», która jest zgłoszona przez komunikat tego pana. Stwierdzam więc, że kłamstwem jest jakoby w inkryminowanym przez tego pana dniu 31 października znajdowało się stu kilkudziesięciu oficerów w gmachu sejmu.

d) Co do dwukrotnego wezwania panów oficerów do opuszczenia gmachu sejmu.

Wszyscy oficerowie, którzy w inkryminowanym przez tego pana dniu byli w przedsionku sejmowym, stwierdzili mi w swoich raportach, iż z chwilą, gdy jako minister spraw wojskowych przybyłem do gmachu sejmu, to mogli usłuchać mego rozkazu czy polecenia, lecz nie mogli słuchać nie zrozumiałych dla nich zaprosin do wyjścia za drzwi i pozwolenia zrobienia sobie w ten sposób afrontu. Gdy zaś pan ten, substy-

<sup>1)</sup> Por. t. IX, str. 195.

tuując siebie w stosunku do oficerów przez nieznanego zupełnie komukolwiek pana <sup>1)</sup>), wkraczał w dziedzinę kryminalną, to oficerowie nie byli w stanie poddać się takiemu nakazowi i zmuszeni byli czekać rozkazu swego przełożonego. Jeżeli twierdzę, że w ten sposób wkracza się w dziedzinę kryminalną, to dlatego, iż rozkazodawstwo w stosunku do wojska, do jego grup i jego oddziałów, jest bardzo ściśle oddane przez państwo w określony zupełnie sposób określonym osobom i istnieją paragrafy karne, które niewczesną substytucję dowodzenia karzą bardzo surowo. Nie mówię, naturalnie, tego, że bym nieodpowiedzialnego pana proponował pociągnąć do odpowiedzialności, lecz dlatego, gdyż system taki nie odpowiada ani powadze, ani stanowisku marszałka sejmu polskiego. Dodam, że w przeciągu całego mego pobytu w sejmie, który trwał do godziny 5.30 wieczorem, ja, zastępujący prezesa gabinetu, ani razu nie byłem zawiadomiony o tych niesmacznych próbach substytuowania prawa rozkazodawstwa w stosunku do wojska przez p. Daszyńskiego i przez podwładne mu organy.

Z powyższych więc powodów podaję swój wynik, który streszczę w krótkich słowach. Kłamstwem więc jest, że panowie oficerowie w dniu 31 października wywołali jakiegokolwiek zajście w gmachu sejmowym, natomiast prawdą jest, że zajście to wywołał marszałek sejmu, p. Daszyński. Wreszcie dodaję, że sprawa ta wywołała bardzo żywe i silne zaniepokojenie wśród wszystkich oficerów wojska polskiego, którzy nagle dowiedzieli się, że gmach sejmu jest dla oficerów niedostępny. Nad zajściami w gmachu sejmowym na zebraniach oficerskich dyskutowano z kodeksem honorowym w rękę. Dlatego też zmuszony byłem wydać rozkaz oficerski, kończąc to zajście tym rozkazem. Rozkaz ten w załączeniu przesyłam.

Minister Spraw Wojskowych  
J. Piłsudski  
Marszałek Polski.

Warszawa, dnia 7 listopada 1929 r.

### ROZKAZ OFICERSKI

Dnia 31 ubiegłego miesiąca zaszedł dla oficerów przykry wypadek, a mianowicie — kiedy oficerowie dla różnych powodów do gmachu sejmowego przybyli, spotkali się tam z afrontem.

<sup>1)</sup> Por. t. IX, str. 194, przyp. 1.

Oficerowie ci odczuli, jako afront, skierowane do nich przez przedstawiciela władz sejmowych wezwanie do opuszczenia przedsionka sejmowego, dostępnego zwykle dla szerszej publiczności i w krytycznym momencie zajętego przez cywilną publiczność, przez nikogo niezmuszaną do usunięcia się z miejsca, gdzie z niezrozumiałych powodów pobyt został wzbroniony oficerom.

Wezwanie to uraziło oficerów tym dotkliwiej, że zostało powtórzone w chwili, kiedy osobiście znajdowałem się w gmachu sejmowym, to jest, kiedy mieli słuszne prawo oczekiwać ode mnie, nie od kogo innego, takich czy innych rozkazów i poleceń. Oficerowie w wyżej wymienionym niewłaściwym i nietaktownym odniesieniu się do nich przedstawiciela panów posłów widzieli — nie bez słuszności — lekceważenie i nieposzanowanie munduru.

Stwierdzam przeto, że wobec tego, iż poseł do sejmu jest nieodpowiedzialny, powyższe zajście muszą oficerowie uważać za zlikwidowane i dla siebie bez uszczerbku na honorze załatwione.

J. Piłsudski.

## WSPOMNIENIE O GRZYBOWIE

(9 listopada 1929 r.)

*W dniu 10 listopada 1929 r. odbywał się w Warszawie obchód poświęcony uczczeniu 25-letniej rocznicy krwawej demonstracji na placu Grzybowskim. Demonstracja ta, która odbyła się dnia 13 listopada 1904 r., była dziełem P. P. S. na znak protestu przeciw mobilizowaniu Polaków do wojna rosyjskiego na wojnę z Japonią. Demonstranci stawili pierwszy raz wtedy zbrojny opór władzom rosyjskim.*

*W związku z obchodem 25-letniej rocznicy tej demonstracji Piłsudski ogłosił w prasie w dniu 9 listopada 1929 r. niżej podane wspomnienie o trudnościach zorganizowania protestu przeciw udziałowi Polaków w wojnie rosyjsko-japońskiej, o wartości demonstracji na placu Grzybowskim i jej skutkach.*

*W archiwum «Instytutu Józefa Piłsudskiego» znajduje się odbitka maszynowa tego artykułu z własnoręcznymi poprawkami i podpisem Piłsudskiego.*

*Tekst podajemy według «Głosu Prawdy» z dn. 9 listopada 1929 r.*

Jakżeż to daleko Grzybów! Wydaje mi się niekiedy, gdy swoje wspomnienia odgrzebuję, że jest gdzieś daleko, w ja-

kimś kącie, co najmniej w Australii, że nie jest to wcale znany w Warszawie plac Grzybowski z kościołem, plac, po którym ludzie spokojnie chodzą, dzieci biegają, ale że jest to jakiś plac z bajki życia, które tak gwałtownie i szybko się zmieniło, że chyba i kościół, i bruki, i ludzie co najmniej do innej części świata należały.

Grzybów należy do moich wspomnień, chociażby dlatego, że w wypadkach, które na tym placu się zdarzyły 25 lat temu, «magna pars fui»<sup>1)</sup>). Prawda, że w wielu wypadkach byłem tą wielką i największą częścią. Prawda, że niejednen z tych wypadków błyskawicowo ogromnej jest miary i przerasta wypadki grzybowski historyczną swoją prawdą tak bezmiernie, że biedny, mały Grzybów ginie w ich cieniu. Nie mogę jednak nie powiedzieć, że Grzybów należy mi do wspomnień, które nieraz pieczę, należy do pieczętów mego życia. Prawdą też jest, że i ja, obecny Marszałek Polski, były Naczelnik Państwa, z nazwiskiem znanym po całym świecie, nie byłem takim rozgłośnym, jakim jestem obecnie. Nie chcę nawet powiedzieć, że ta rozgłośność od Grzybowa się zaczyna, lecz są w Grzybowie i w grzybowski wypadkach momenty, które dotyczą najgłębiej istoty mojej, które czynią mnie nieco sentymentalnym i tak jakby pieczętowanym przez wspomnienia i zarówno wspomnienia pieczętującym.

Jeżeli wezmę wymiar historyczny, to grzybowska manifestacja jest jednym z nieznaczących epizodów wielkiego zdarzenia historycznej dziejowej miary, jakim była wojna Rosji z Japonią. Wojnę tę wielkie potężne mocarstwo rosyjskie przegrało z małą w stosunku do niego, nieznaczną wówczas w świecie odgrywającą rolę — Japonią.

Grzybów i grzybowska manifestacja wyrasta tylko wtedy, gdy się zatrzymamy ściśle na Polsce, gdyż był to pierwszy, bardzo nieznaczący, przejaw, lecz w każdym razie przejaw walki zbrojnej przeciwko zaborcy rosyjskiemu.

Gdy wojna z Japonią wybuchała w lutym 1904 r., stałem na czele najsilniejszej w owe czasy organizacji polskiej i silnej nie tylko liczbą, lecz i największą w Polsce odwagą wystąpienia. Mówię tu o ówczesnej Polskiej Partii Socjalistycznej. Dla charakterystyki ówczesnego stanu umysłów przytoczę tu wspomnienia własne z samego początku wojny, t. zn. z lutego 1904 r.

Wiadomość o wybuchu wojny zastała mnie w Siedlcach, gdzie przyjechałem dla rozmówienia się z pewnym młodym lekarzem<sup>2)</sup>), który się zgodził urządzić mieszkanie dla podręcznej

<sup>1)</sup> Brałem znaczny udział.

<sup>2)</sup> Mowa o doktorze Wiktorze Majerczaku.

tajnej drukarni, gdy centrala znajdowała się daleko w Rydze <sup>1)</sup>, albowiem odczuwała się gwałtowna potrzeba drukowania odezw i ulotek bliżej centrum ruchu. Miałem się tam zjechać u tego pana z głównym w owe czasy technikiem rozwożenia druków, obecnym gen. Rożeniem <sup>2)</sup>, który niedawno wyszedł z wojska rosyjskiego i stanął do mojej dyspozycji dla pracy tak zwanej w owe czasy «technicznej». Gdym tam o wojnie i manifeście cara się dowiedział, dowiedziałem się zarazem, że cały plan siedlecki przewraca się do góry nogami, gdyż nasz, mój i Rożena, gospodarz został zmobilizowany jako młody lekarz i już nazajutrz miał się stawić do poboru. Miał być wysłany do Mandżurii. A że miał u siebie skład nielegalnych wydawnictw, żądał od Rożena, aby można było jak najszybciej mieszkanie oswobodzić. Pamiętam, śmiałem się z siebie, że wojna, którą w duchu błogosławić zacząłem, zmusza mnie od razu do tak lichych i małych czynności i daje małą ilustrację tej olbrzymiej przewagi sił, z którą my, Polacy, i my, partia P. P. S., mamy do czynienia. Natychmiast też się zająłem skonstruowaniem chociaż jakiego takiego planu, któryby dał możliwość jakiegokolwiek bądź reakcji na wypadek tak wielkiej miary, jak wejście w stan wojny państwa zaborczego. Wiedziałem bowiem dobrze, że setki i tysiące ludzi czekać gorączkowo musi, nieraz w męce, na to, jakie my stanowisko zajmiemy w stosunku do wypadków, męczyć się musi tą bezmocą i bezsiłą, gdy może i my, jako poddani Rosji, zmuszeni będziemy do oddania krwi i życia na rzecz swego wroga.

Rozumiałem, że zrobić dużo nie jesteśmy w stanie, rozumiałem dobrze, że znikomo mali jesteśmy wobec ogromu wysiłków, do których zmusza wojna każde państwo. W dodatku zaś Rożen grubym basem tłumaczył znaczenie mobilizacji i jej aktów przerażonemu gospodarzowi, któremu mobilizacja życie rujnowała. W każdym razie pozostawał i musiał istnieć najprostszy, najzwyczajniejszy dla nas sposób reakcji, to znaczy odezwa. Siadłem więc i pisałem swoją odezwę, zapowiedziawszy

---

<sup>1)</sup> Po aresztowaniu Piłsudskiego i zajęciu przez żandarmerię tajnej drukarni w Łodzi w lutym 1900 r., nowonabytą drukarnię i redakcję nielegalnego «Robotnika» umieszczono początkowo w Kijowie, później zaś — na skutek propozycji Piłsudskiego — na przełomie lat 1901/1902 przeniesiono do Rygi. Redaktorem «Robotnika», zarówno w Kijowie, jak i w Rydze, był Feliks Perl. Po aresztowaniu Perla w Warszawie w r. 1904 redakcję «Robotnika» objął Józef Kwiatek.

<sup>2)</sup> Władysław Rożen, skończył szkołę kadetów i służył jako porucznik w wojsku rosyjskim. Podał się jednak do dymisji i wstąpił do politechniki lwowskiej. Studia w niej przerwał, aby oddać się pracy rewolucyjnej.



Rożenowi, że wprost stąd pojedzie do Rygi, by oddać odezwę do druku, ja zaś zaraz się zajmę ułożeniem bardzo skomplikowanej pracy, związanej z przygotowaniem aparatu odbiorczego w całym kraju dla odezwy, która ma być wydrukowana. Tą odezwą chciałem przygotować chociażby trochę nastroju dla przyszłej pracy, która musiała nabrać charakteru bardziej realnego i zbliżającego do otwartego protestu przeciwko udziałowi Polaków w tej dalekiej i obcej dla nas zupełnie wojnie.

Jakież więc było moje przerażenie i zdziwienie, gdy po wszystkich żmudnych pracach nastawienia aparatu przyjechałem do Rygi, do naszej drukarni, i z przerażeniem się dowiedziałem, że ówczesny redaktor pisma «Robotnika», zresztą mój przyjaciel, Felek Perl, napisał już i puścił na druk inną odezwę<sup>1)</sup>, w której, jak ja się śmiałem, stwierdził, że gdy dwie burżuazje się biją, to proletariatu nic po temu. Zbesztalem Felka, tak, jak może rzadko człowieka besztalem. Pierwszy bowiem mój krok najzupełniej zawiódł. Naprawić szkody już nie mogłem, gdyż wybrać inną metodę, to znaczy zmusić do drukowania mojej odezwy nie było sposobu. Wszystkie bowiem terminy już nastawione pękłyby i trzeba byłoby puścić w ruch nowe, bardzo skomplikowane poruszenia, przejazdy i nastawienia, równie skomplikowane prace drukarni, związane z papierem, farbą i innymi drobiazgami, co by wszystko zajęło mnóstwo czasu. Postawiłoby to wielkim znakiem zapytania moje osobiste plany rozjazdów, które już sobie ułożyłem, i mnóstwo ludzi pouprzedzałem. A wszystko przecie w owe czasy odbywało się tak konspiracyjnie, bez żadnych listów, bez żadnych depesz i telefonów, że terazniejsi ludzie wyobrażenia nawet nie mają — i dlatego na początku odsyłam ich aż do Australii lub do Buszmenów<sup>2)</sup> — o tych olbrzymich trudnościach, jakie musiano mieć przy zebraniu się nawet trzech ludzi razem.

Z tego małego faktu pierwszego mego zawodu podczas wojny rosyjsko-japońskiej wnosić łatwo można, jaki olbrzymi przeskok uczynić trzeba było do manifestacji zbrojnej na placu Grzybowskiem w listopadzie. Wiedziałem dobrze, że wojna zaczyna się od mobilizacji. Udałem się więc do Petersburga, żeby sobie skontrolować, w jakim stopniu i gdzie zaczepia mobilizacja Polskę. Nawet przez niewielkie stosunki, jakie posiadałem, zdobyłem wiadomość główną, że wobec stanu kolei sy-

---

<sup>1)</sup> Mowa o odezwie wydanej w formie ulotki w maju 1904 r. przez Centralny Komitet Robotniczy P. P. S. Odezwa ta nawoływała między innymi do dezercji z szeregów rosyjskich żołnierzy Polaków.

<sup>2)</sup> Buszmeni, szczep murzyński, zajmujący głównie pustynię Kalahari w południowej Afryce.

birskiej, która nie dopuszczała do szybkiego przewozu wojsk, o jednoczesnej i wielkiej mobilizacji nie ma mowy i że w każdym razie mobilizacja w pierwszym rządzie odbywać się będzie na samej Syberii i w niektórych tylko częściach moskiewskiego i kazańskiego okręgu wojskowego. Zrobiło mi się znacznie źlej. Miałem więc jeszcze dużo czasu. Nie chcę się zatrzymywać na tych długich miesiącach, które leniwie i powoli biegły ku listopadowi. Wobec tego, że wbrew konspiracji zaangażowałem otwarcie swoje nazwisko w najrozmaitszych rozmowach, które toczyłem z ludźmi, najzupełnie do konspiracji nieprzyzwyczajonymi, a czyniłem to w dwóch miejscach, w Petersburgu i Warszawie, departament policji ówczesnej z Petersburga rozesłał moje fotografie na wszystkie granice i do wszystkich zarządów żandarmerii z poleceniem aresztowania mnie, przy czym, jako motyw, dano, że przygotowuję powstanie polskie. Co prawda, że byłem w owe czasy wielce pod wrażeniem historii powstania 1863 r., którą z różnych źródeł studiowałem, i nieraz w tych rozmowach, które prowadziłem, wskazywałem na moment branki, jako moment niebezpieczny dla stanu umysłów, i wskazywałem na różne jej skutki. Zmusiło mnie to do większej ostrożności, niż zwykle, i do pokazania siebie w Krakowie, skąd po pewnym przeciągu czasu, według moich obliczeń, muszą dojść dane do Warszawy, tak, że agentura wreszcie z powodu mej osoby się uspokoi. Tam właśnie, w Krakowie, doszła mnie wiadomość, że i Polska ma być dotknięta mobilizacją. Nie było dla mnie mowy o tym, byśmy mogli odpowiedzieć na brankę tak, jak ojcowie nasi odpowiadali w 1863 r. byliśmy na to zanadto słabi, zanadto nieumiejętni i zanadto — powiedzmy — teoretyczni. O tym zaś, by kto inny poza P. P. S. mógł się odważyć choć na cień protestu, mowy być nie mogło z góry.

Pomimo woli przypuszczałem, że Rosja pójdzie śladami dawnej Rosji i Wielopolskiego i zaangażuruję się w mobilizację najbardziej żywego materiału ludzkiego, w mobilizację ludności miejskiej.

Dla mojej głównej idei protestu byłoby to bardzo na rękę. Wezwałem więc do Krakowa przede wszystkim głównego menera warszawskich organizacyj, Kwiatka <sup>1)</sup>, zmarłego

---

<sup>1)</sup> Józef Kwiatek — ściślejsze stosunki z P. P. S. nawiązał około 1898 r. — w okresie studiów uniwersyteckich w Dorpacie. Później czas jakiś spędził w Berlinie, następnie w Krakowie jako współpracownik «Gazety Robotniczej», «Przedświtu» i «Naprzodu». W r. 1904 po aresztowaniu Feliksa Perła był redaktorem «Robotnika» i członkiem Centralnego Komitetu partii.

już obecnie, milego przyjaciela. Nim przyjechał, stwierdziłem już z pism, że i tym razem spotkał mnie zawód. Rosja mobilizowała niektóre powiaty w Kaliskim, Płockim i Suwalskim, akurat w tych miejscach, w których my, jako organizacja, nie posiadaliśmy ani wpływów, ani znajomości, ani możliwości szerszej nielegalnej pracy, nawet odezwowej. Nie pamiętam już, ile nocy spędziłem bezsennie, chodząc po pokoju, paląc papierosa jednego za drugim i pijąc całe mnóstwo herbaty. Myślałem ciągle nad formą, w jaki sposób można wobec tego faktu znaleźć wyraz protestu i wyraz naszego stanowiska. Naturalnie, wiedziałem, że pomimo wielkiej niechęci i nienawiści do myśli, że się będzie umierało za Rosję, wbrew sobie i wbrew swoim uczuciom, rezerwiści stawią się tak, jak im państwo nakazuje. Tak, jak jakieś bydło, na rzeź prowadzone, mają Maćki i Bartki leżeć do wagonu i jechać na kraj świata, umierać, chorować, cierpieć i dawać z ciała i życia swego ofiarę na rzecz mocy swego wroga. I wszystko tak bez protestu, i wszystko, nie mówiąc ani słowa, i wszystko, nie stawiając żadnych przeszkód aktowi przemocy! Nie mogłem prawie żyć z rozpacz!

Wreszcie przyjechał Kwiatek. Przy pierwszej rozmowie z nim stwierdziłem od razu, że przy decyzji zrobienia jakiejś manifestacji głośniejszej nie znajdę wielkich przeszkód, chyba w samej technice wykonania. Kwiatek upierał się przy tym, aby Warszawa wzięła na siebie pracę manifestacji, gdyż ta najwięcej daje rozgłosu i może dać najwięcej efektu realnego na późniejszy rozwój wypadków. Moje uwagi szły w kierunku obliczenia możliwych skutków dla największej naszej organizacji warszawskiej, gdy tak łatwo można było rozbić centrum naszej pracy, wydatkując od razu wszystko, co mamy. Twierdziłem, że możnaby myśleć i o innej metodzie, gdyby manifestacje rozlać szerzej po kraju, zmniejszając ich jaskrawość i ich — że tak powiem — ostrość. Kwiatek zaś sądził, że wtedy zaniknąć może siła impresji i cała praca może spalić na panewce, gdy to nie będzie dostatecznie powszechne. Specjalnie zaś nas obu zniechęcała myśl, że właśnie tam, gdzie mobilizacja się odbędzie, nie znajdziemy żadnego oddźwięku. Stało więc w ten sposób, że wystąpi Warszawa i że może się uda dodać w najgorętszych i najlepiej zorganizowanych punktach jakby dodatki mniej ostre. Przyjęta też została forma manifestacji zbrojnej.

Co do mnie, radziłem zbrojność zmniejszyć pod względem ilości uzbrojenia, gdyż wskazywałem, że nie mamy dostatecznego obycia z bronią i możemy narazić się może na

śmieszność, za którą krwawo zapłacimy. Radziłem więc mieć uzbrojony tylko ściśle określony oddziałek, z ludzi zimnej krwi złożony, aby uniknąć tak smutnego skutku. Mówiłem, że sam bym z ochotą pojechał, by technicznie przeprowadzić tę pracę, lecz obawiam się, że za dużo będę musiał stracić czasu na poznanie ludzi, którzyby tę czy inną pracę musieli wziąć na siebie. Kwiatek brał wszystko na siebie i prosił mnie, abym w ten sposób nie ryzykował i nie narażał swojej osoby. Na siebie więc brałem zakup broni i przemycanie jej do Warszawy.

Pierwszy raz w owe czasy zetknąłem się z tym zajęciem. Jeżeli byłem specjalistą do łamania granic, to znowu z bronią palną ani w zakupie, ani w sposobie jej przemycania nigdy nie miałem do czynienia. Sprawilo mi to dużo kłopotu. Większość broni była zakupiona w Katowicach i Bytomiu.

Przebiegu samej manifestacji nie opisuję, jako że nie brałem w niej bezpośrednio udziału. Słyszałem tylko opisy różnych uczestników tej manifestacji i opowiadania o niej różnych panów i pań z Warszawy. Wywód mój, który sobie zaraz uczyniłem, był bardzo przykry i smutny dla mnie. Nie mogłem się bowiem powstrzymać od technicznej oceny pracy, która o ile była dowcipna, o tyle też z trudem mogła nastraszyć kogokolwiek z tych, których zamierzaliśmy straszyć. Lecz że dała efekt bardzo duży i że wpłynęła na zmniejszenie do minimum zakresu mobilizacji w Polsce, więc uczestnicy tej manifestacji poszczycić się istotnie mogą, że wpłynęli na losy Polski w sposób znaczny, znaczniejszy, niż przypuszczali. Z powodu tej manifestacji skonstruowałem sobie aforyzm, że dowcip w historii często więcej znaczy, niż siła.

---

## PISMO DO POSŁA SEWERYNA CZETWERTYŃSKIEGO

(1 luty 1930 r.)

*Prezydent Mościcki zarządzeniem z dnia 5 listopada 1929 r. odroczył sesję zwyczajną Sejmu na dni trzydzieści. Na pierwszym posiedzeniu Sejmu zwołanym po upływie tego terminu t. zn. dnia 5 grudnia 1929 r. wpłynął wniosek Bezpartyjnego Bloku o zwołaniu komisji z piętnastu osób dla zbadania zajść w Sejmie w dniu 31 października 1929 r. Celem wniosku Bezpartyjnego Bloku była chęć wykazania, że Marsz. Daszyński nie miał podstawy do nieotwarcia posiedzenia Sejmu w dniu 31 października 1929 r.*

*Uchwałą Sejmu z dnia 21 grudnia 1929 r. utworzona została komisja dla zbadania zajść z 31 października 1929 r., której przewodniczącym został obrany pos. Czetwertyński. Pos. Czetwertyński zwrócił się z ramienia komisji dn. 28 stycznia 1930 r. do Ministerstwa Spraw Wojskowych z prośbą o przysłanie materiałów, związanych z zajściami w Sejmie dnia 31 października 1929 r.*

*W odpowiedzi na tę prośbę Piłsudski napisał dnia 1 lutego 1930 r. niżej przytoczone pismo, które podajemy według książki Juliana Malickiego: «Marszałek Piłsudski a Sejm», str. 446.*

MINISTER  
SPRAW WOJSKOWYCH

Warszawa, dnia 1 lutego 1930 r.

Do

Pana Posła Seweryna Czetwertyńskiego

w miejscu.

Panie pośle!

List Pański, zaadresowany do Ministerstwa Spraw Wojskowych, otrzymałem.

Opóźnienie w odpowiedzi zechce Pan przypisać niewłaściwemu i niezrozumiałemu adresowi.

W odpowiedzi komunikuję, co następuje:

materiały, związane z zajściem w Sejmie dnia 31 października 1929 r. składają się z dwóch działów:

1) sprawozdanie moje do rządu z dnia 7 listopada 1929 r., które, o ile wiem, znajduje się w rękach komisji,

2) indywidualne raporty 47 oficerów, którzy dnia tego byli w Sejmie i z których każdy w swym raporcie oświadczył, że czuje się obrażonym przez bardzo niesmaczne zachowanie się marszałka Sejmu p. Ignacego Daszyńskiego, i jego wysłannika, urzędnika Kancelarii Sejmu <sup>1)</sup>.

Wobec istnienia faktu obrazy dotykającej honoru, nie mogę przesłać tych raportów w ręce czyjeś, gdyż przeczyłoby to formie postępowania honorowego.

Nazwiska oficerów prześlę Panu w najbliższym czasie.

Minister Spraw Wojskowych  
Józef Piłsudski  
Marszałek Polski.

---

<sup>1)</sup> Por. t. IX, str. 194, przyp. 1.



## LIST DO HELENY DYBOWSKIEJ

(2 luty 1930 r.)

W dniu 1 lutego 1930 r. zmarł we Lwowie profesor uniwersytetu Benedykt Dybowski, uczestnik powstania 1863 r., autor licznych prac z dziedziny nauk przyrodniczych i «Pamiętników od 1862 do 1878 r.».

Niżej przytoczony list napisał Piłsudski do wdowy po Benedykcie Dybowski.

Tekst listu podajemy według «Polski Zbrojnej» z dnia 5 lutego 1930 r.

Warszawa, dnia 2 lutego 1930 r.

Czcigodna Pani! Z najgłębszym smutkiem dowiedziawszy się o śmierci ś. p. Małżonka Jej, profesora Benedykta Dybowskiego, śpieszę wyrazić Pani mój serdeczny żal i współczucie w nieszczęściu, które Ją spotyka.

Piękna i czysta postać ś. p. profesora Benedykta Dybowskiego, gorący Jego patriotyzm, który tchnął tyle ducha i wiary, oraz spuścizna naukowa, którą pozostawił po Sobie, stanowią i stanowiąc będą bezcenny skarbiec ducha dla przyszłych pokoleń.

Józef Piłsudski.

ARTYKUŁ O MOTYWACH UCHYLENIA SIĘ OD MISJI  
TWORZENIA RZĄDU

(18 marca 1930 r.)

Rządowi Świtalskiego Sejm uchwalił votum nieufności dnia 6 grudnia 1929 r. Następnego dnia Prezydent Mościcki przyjął dymisję tego rządu. Dnia 29 grudnia 1929 r. został mianowany gabinet Bartla. Dnia 14 marca 1930 r. Sejm uchwalił votum nieufności dla Ministra Pracy i Opieki Społecznej Prystora. Ponieważ premier Bartel oświadczył poprzednio, że wynik głosowania nad tym wnioskiem będzie uważał za wyraz stosunku Sejmu do jego gabinetu jako całości — przedstawił Prezydentowi Mościckiemu dnia 15 marca 1930 r. podanie o dymisję.

Według oficjalnych komunikatów Prezydent Rzeczypospolitej, otrzymawszy to podanie, wyraził zdziwienie, że «Sejm spowodował otwarcie przesilenia rządowego w chwili, gdy prace nad budżetem państwa nie zostały jeszcze zakończone», i odbył tego samego dnia naradę z Piłsudskim w celu «omówienia wytworzonej sytuacji oraz zasiągnięcia

*jego opinii, jako osoby, mającej najdłuższe doświadczenie w kierownictwie sprawami państwa».*

*Dnia 17 marca 1930 r. Prezydent Mościcki przyjął dymisję gabinetu Bartla i tego samego dnia zwrócił się do Piłsudskiego z prośbą, aby podjął się on misji tworzenia nowego rządu.*

*Następnego dnia napisał Piłsudski niżej przytoczony artykuł, w którym podaje motywy swego uchylania się od misji tworzenia rządu.*

*Artykuł podajemy według «Gazety Polskiej» z dn. 19 marca 1930 r.*

Wczoraj, to znaczy w poniedziałek, po decyzji Pana Prezydenta o przyjęciu dymisji gabinetu p. Bartla, Pan Prezydent zwrócił się do mnie z żądaniem, abym objął prezydium i sformował nowy rząd. Nie zwykłem odmawiać Panu Prezydentowi jakiegokolwiek pomocy w jego urzędowaniu. Nie zwykłem dlatego, że zawsze w pamięci mam ten piękny i niepiękny dla mnie czas, kiedy byłem Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem armii, będącej w wojnie, i zostałem zupełnie samotny ze swoją pracą tak dalece, iż z wyjątkiem bardzo ścisłego otoczenia nie miałem w centrum państwa żadnej szczerzej, żadnej chętnej pomocy. Długą jednak rozmowę z Panem Prezydentem ku swemu wstydowi zakończyłem, nie powiem zupełną odmową, lecz prośbą w stosunku do Pana Prezydenta, aby zechciał zrobić inne próby, niż ze mną, gdyż nie mógłbym nie stwierdzić, że to zadanie byłoby w tej sytuacji, w jakiej żyjemy, dla mnie prawie ponad siły. Dodałem zaś Panu Prezydentowi, że nie będę mógł nie wytłumaczyć publicznie motywów, dla których tak nieładnie w stosunku do Prezydenta postąpiłem.

Przypuszczam, że niejednemu z Polaków i niejednej z Polek jest znanym mój wstręt organiczny do metody pracy, którą w ogóle parlamenty, a nasz sejm specjalnie, stosują do swoich robót. Istotnie wydaje mi się niekiedy, że metoda pracy sejmowej jest wymyślona dlatego, żeby wzniecić u każdego pogardę dla tej metody. Tak przeczy ona bowiem każdemu pojęciu o pracy, tak przeczy ona bowiem wszystkiemu, co może być nazwane sumiennym, produktywnym, a już nie mówię — rozumnym, czy nawet rozsądnym. Każda bowiem praca techniczna — a rząd każdy pracy czysto technicznej ma najwięcej — staje się atehniczną, treść sama pracy otrzymuje cios natychmiast, gdy minie przedsięwzięcie pewnego gmachu na ulicy Wiejskiej. Lecz nie był to ten motyw, który mnie zmuszał do odmownych w stosunku do propozycji Pana Prezydenta myśli. Nad tym przeszedłbym nietrudno do porządku dziennego.

Przeszkody główne dla mnie, które Panu Prezydentowi krótko wyłuszczyłem, są całkiem innej natury. Pierwsze — jest to niezwykle łatwość u panów posłów brudzenia sobie języka niezwykle łatwym u nich oszczerstwem. Nie mogę nie zwrócić uwagi na to, iż przerażony byłem tą stroną życia panów posłów jeszcze wtedy, gdy byłem Naczelnikiem Państwa. Przy czym rzeczą najcharakterystyczniejszą i najbardziej nikczemną jest zawsze to, że taki oszczerczy język zaczyna swoją niecną pracę nagle i niespodziewanie wtedy jedynie, gdy chodzi o osobę, która wchodzi w ten czy w inny sposób w jakąś grę polityczną. Tak, że taki oszczerczy język nie może nie dać powodu do myślenia, że działają w tym wypadku nie inne motywy, jak drobny nawet interes własnej korzyści czy zazdrości, czy też korzyści jakiejś grupy, czy grupki panów posłów. Nie szczędzą wtedy ci panowie ani przyjaciół, ani nieprzyjaciół, utrzymują zresztą z takim panem, zaszczekanym i zabrudzonym ich brudną śliną, stosunki nawet zażyłej znajomości. Tak, że to postępowanie wygląda mi zawsze jako nieodłączne od fachu pana posła, jako coś, co wydaje się prawdopodobnie tym panom za pracę pana posła konieczną i obowiązkową. Dodam, że nie szczędzą wtedy ani czci kobiet, ani dziecka, ani kogokolwiek nawet z bliskich znajomych danego obiektu dla ich brudnej śliny. Dodam jeszcze, że taki pan nadzwyczajnie łatwo ustępuje, bardzo łatwo, przy najłżejszym nacisku, od takiego oszczerstwa.

Wobec tego, iż w życiu swoim, nie znosząc w ogóle oszczerstwa, wyrzucałem za drzwi co najmniej setki osób za próby oszczerstwa w stosunku nawet do dalszych moich znajomych, wobec tego, że większą ilość skrzyczałem i zbeształem tak, że języka w gębie zapominali, nie jestem w stanie przypuszczać, abym mógł łatwo, a nawet i bardzo trudno oddychać atmosferą przepełnioną taką nikczemnością.

Drugie — w zwyczajach i obyczajach panów posłów istnieje jakaś śmieszna, jakaś nieprzyzwoita forma bytowania, która dla mnie jest po prostu niedopuszczalna, mianowicie — mówienie nierzeczowe o każdej kwestii i o każdej pracy. Taka zwykła gadalnia. I zawsze sobie mówię — a niechby sobie tak i mówili! Ale dlaczego ja, sumienny człowiek, który się na rzeczy zna i rzeczowo o niej myśli, ma słuchać tych słów nierzeczowych? Dlaczego się ma męczyć i wymyślać określenia, któreby analfabecie wytłumaczyć mogły to, czego on niezdolny jest rozumieć? Naturalnie, że ten sposób jest bardzo męczący i bardzo trudny, lecz nad tym przejść do porządku także można. Lecz nie mógłbym łatwo i trudno nawet znosić ton pa-

nów posłów, który pozwala nie na uszczypliwość i złośliwość, gdyż to także jest mniejsze, lecz na ton wyższości swego często durackiego sądu w stosunku do ludzi, którzy masę pracy włożyli w to, aby o rzeczy rzeczowo mówić. Tego nikczemnego tonu wyższości, który jakkolwiek oznacza prestiżowe stanowisko pana posła, tej napastliwej, głupio przyczepskiej formy ja osobiście po prostu nie znoszę. Bez względu na to, czy tyczy się mnie, czy kogo innego. Jeżeli użyłem słowa nikczemność, to jedynie dlatego, że i w tym wypadku nie mogę nie dostrzegać stale i ciągle, że zwyczajem i obyczajem panów posłów jest bezceremonialny stosunek jedynie wtedy, gdy chodzi o osobistą korzyść lub zawiść, lub też o korzyść tak zwanej przeze mnie wygódki partyjnej.

Nie chcę, ażeby mnie źle tłumaczono. Człowiek głupi i niewykształcony bardzo często ma bardzo piękną duszę. I zwykle ja sobie z góry mówię, że jest gdzieś jakiś zakątek pracy ludzkiej, gdzie ja znacznie jestem głupszy i mniej wykształcony i znacznie mniej rzeczowy, niż taki osobnik. I wcale się nie wstydzę swojej w tej mierze skromności, i szukaćbym nie mógł, bobym się wstydził jakiejś supremacji w takich właśnie zakątkach. Lecz pan poseł, jako nieodpowiedzialny ani honorowo, ani pod względem czci, ani pod względem rozumu, ani pod względem rozsądku, ani pod względem pracy i uciekający jak najstaranniej nie od czego innego, jak od odpowiedzialności, czyni z siebie po prostu potworka, który, dla swego jakoby prestiżu, skacze po różnych pracach, w każdej chwili zmieniając swój sąd o rzeczy i czepiając się ludzi w sposób jakiegoś galgąńskiego psa.

Nie kto inny, jak ja, był w Polsce wynalazcą sejmu, a zatem i wynalazcą panów posłów. I nie mogą nie powiedzieć, że natychmiast nauczony nikczemnością niecnego sejmu pierwszego i przypatrując się obyczajom i zwyczajom tego nowego w Polsce zjawiska, twierdziłem sobie ciągle i dotąd to twierdę, że pomiędzy nowymi nabytkami, które Polska ma od czasu swego niepodległego bytu, bodaj najnikczemniejszym jest pan poseł do sejmu. Dotąd w pamięci mi ciągle stoją postępowania tych panów w stosunku do Prezydentów Rzeczypospolitej. Oto jeden z charakterystycznych obrazków. Wszyscy u nas przysięgali, przysięga więc każdy z ministrów, przysięga Pan Prezydent, przysięga każdy sędzia, przysięga każdy oficer, ci panowie jakoby ślubują<sup>1)</sup>. I widziałem tę scenę, jak ja nazy-

<sup>1)</sup> Konstytucja marcowa w art. 54 nakazywała Prezydentowi Rzeczypospolitej składać «przysięgę» a posłom «ślubowanie» (art. 20).



wam, słabowania <sup>1)</sup>). Taki bezczelny pan, który od innych przysięgi żąda, rozwalony z rozpiętymi spodniami łaskawie wymawia, tak, że nikt go nie rozumie, jakieś słowa zaczynające się na ś. I takie słabowane portki chcą odbierać przysięgi i chcą się panoszyć swoim brudnym, jakoby prestiżowym językiem.

Ta nieprzyzwoita forma prestiżu, tak uchybiająca człowiekowi forma bytowania, należy do tych właściwości charakteru polskiego, które znoszę z takim trudem, gdyż w życiu tę właściwość spotykam, że nie mogę nie twierdzić, iż bez zmniejszenia tego prestiżu, chociażby gwałtem, nie mógłbym przeżyć z takimi panami nawet dwóch dni.

Wreszcie przechodzę do trzeciej prawie niemożliwości mego współżycia nawet z sejmem, już nie mówię o współpracy. Mówię tu o poczuciu honoru. Gdy myślę o honorze, zawsze przypominam sobie moje próby określenia honoru i potrzeby jego w życiu, którą zawsze mam w pamięci. Mianowicie, że honor jest surogatem cnoty i dlatego jest bardzo potrzebny w życiu. Cnota tak wysokie stawia od człowieka wymagania, że rzadko człowiek może odpowiedzieć wymogom cnoty. Honor zaś, idąc niżej od cnoty, wymaga znacznie mniejszych wysiłków ludzkich, dlatego, by się utrzymać na przeciętnej ludzkości. Ja osobiście, o ile sobie przypominam, nigdy w życiu nie potrafiłem naruszyć granic honoru i dlatego jestem niezwykle wrażliwy, gdy wymogi honoru są naruszane z widoczną dla niehonorowego człowieka łatwością. Niestety, panowie posłowie już w samym początku istnienia u nas sejmu poszli na drogę wymazania ze słownika swego słowa «honor». Ba, więcęcej — urządzono się w ten sposób, aby nieodpowiedzialność posła rozciągnięto obowiązkowo dla posła w kierunku nieodpowiedzialności honorowej. Tak daleko, jak świat cywilizowany sięga, nie poszła żadna instytucja, żadna grupa, żadne stowarzyszenie, a tym bardziej żadna instytucja o państwowym charakterze. Ja nie przypuszczam, aby można było znaleźć bezwstyd tak daleki i tak nikczemny, jak ten, który został wynaleziony dla panów posłów właśnie w Polsce. Wyznaję, że będąc Naczelnikiem Państwa przypuszczałem, że znajdę w Polsce, gdzie jakoby honor stoi wysoko, jakiś odruch, niweczący to niecne dzieło p. Trąmpczyńskiego. Osobiście widziałem ludzi, którzy mnie prosili o pozwolenie, jako swego Wodza, zastrzelenia kilku panów, pomiędzy innymi i p. Trąmp-

---

<sup>1)</sup> W dniu 27 marca 1928 r. przy otwieraniu drugiego Sejmu zwyczajnego.



czyńskiego, i którzy, gdym im tego odmówił, szukali śmierci samobójczej.

Niestety, tego spodziewanego odruchu nie znalazłem. I jedynie w ostatnich czasach, gdy z powodu ostatnich wyborów weszło do sejmu grono ludzi całkiem świeżych, którzy z brudami panów posłów nie mieli do czynienia, mam nareszcie w tym samym sejmie najliczniejszy klub, mianowicie — klub Bloku Bezpartyjnego, który publicznie się wyrzekł przywileju nietykalności poselskiej, łącząc to razem z unikaniem nieodpowiedzialności honorowej <sup>1)</sup>. Jeżeli jednak postępowanie większości panów posłów właśnie dlatego największy klub poselski wyłącza z miana posłów, to moja sytuacja w takim towarzystwie staje się nie do wytrzymania.

Wyłuszczając te motywy Panu Prezydentowi, zakończyłem prośbą do niego, aby zechciał może próbować innych wyjść, nie robiąc dla mnie tak wielkiego wysiłku, w którym dusza moja zanadto łamać się będzie. Pozostał jednak we mnie wstyd, że Panu Prezydentowi mogłem odmówić pomocy. I pomimo woli przypominały mi się moje złote sny dziecka. W dzieciństwie bowiem, kiedy byłem małym chłopcem, sądziłem naiwnie, że nie ma granic dla tego, co znieść mogę, i granic dla tego, co mogę na sobie wymóc. Pamiętam śmieszne moje dziecinne eksperymenty — kładłem więc palec do palącej się świecy, robiłem wszystkie próby dla przewyciężenia naturalnego u dziecka uczucia strachu, robiłem wszystkie błędnostwa i wszystkie miary tego, co dziecko wytrzymać może, i podniecałem wciąż swoją wyobraźnię i stawiałem jej coraz nowe wymogi i coraz nowe żądania. Jednak i wtedy cofałem się przed niektórymi rzeczami. Zwykłym cofaniem się, które do główki dziecinnej stale wracało, była samokrytyka, że jednak pewnych rzeczy na sobie wymóc nie potrafię. I wtedy zawsze stawiałem przed sobą talerz z ekskrementami, twierdząc: więc spróbuj! Ta próba dziecinnej prawdy, gdy dziecko rosło w wielkość, powracała mi często pod tą właśnie nazwą, jako jakiś

---

<sup>1)</sup> Uchwała Klubu Parlamentarnego Bloku Bezpartyjnego Współpracy z Rządem, powzięta na plenarnym posiedzeniu Klubu dn. 8 lutego 1930 r. miała następujący ustęp: «B. B. W. R. chcąc się odгородzić jasno od nadużywania przywilejów poselskich deklaruje: 1) że posłowie i senatorowie B. B. W. R. nie będą korzystać z uprawnień nietykalności, jaką im obowiązująca konstytucja obecnie nadaje; 2) że nikt z posłów i senatorów B. B. W. R. nie będzie się zasłaniał nietykalnością poselską w sprawach, mogących wyniknąć z oskarżenia publicznego czy prywatnego, jak również nikt z posłów i senatorów B. B. W. R. nie będzie się usuwał od odpowiedzialności i od udzielenia satysfakcji za swe czyny».

egzamin do złożenia, gdy stawałem przed jakoby niemożliwościami. To samo wspomnienie na myśl mi przychodziło, gdy Panu Prezydentowi wreszcie odpowiedział, że gdyby Panu Prezydentowi inne próby się nie udały, staję do jego rozporządzenia.

## ROZMOWA Z MARSZAŁKIEM SENATU SZYMAŃSKIM

(25 marca 1930 r.)

*Po przyjęciu dymisji gabinetu Bartla dnia 17 marca 1930 r. misję tworzenia gabinetu otrzymał dnia 18 marca 1930 r. Marszałek Senatu, Szymański, który po całym szeregu konferencji z przedstawicielami klubów sejmowych zdał Piłsudskiemu dnia 25 marca 1930 r. w Belwederze sprawę z sytuacji.*

*Po tej rozmowie Marsz. Szymański udzielił przedstawicielom prasy informacji o przebiegu swej dotychczasowej akcji. Między innymi powiedział on co następuje:*

*«Znalazłem nowe możliwości współpracy, wyczułem ogromne pragnienie pokoju i chęć lojalnej współpracy oraz gotowość zapomnienia dawnych zadrażnień.*

*System pomajowy, polegający na zasadzie niemieszania się Sejmu do wewnętrznego trybu rządzenia, jednak już zrobił swoje: żadna partia prócz jednego wyjątku nie poruszyła sprawy personalii. Rozmowy toczyły się na płaszczyźnie czysto rzeczowej i mogę śmiało powiedzieć „sine ira et studio”.*

*Dalej Marsz. Szymański powiedział, że przedstawił ten stan rzeczy Piłsudskiemu i odtworzył odpowiedź Piłsudskiego, którą podajemy niżej według relacji, jaką o tej konferencji Szymańskiego z przedstawicielami prasy umieścił «Kurier Poranny» z dnia 26 marca 1930 r.*

Polska ma dlatego dziś uznanie za granicą, że system pracy rządowej został nadzwyczajnie wysoko wykwalifikowany, że to, co kosztowało dawniej 10 godzin, dziś robi się w ciągu 10 minut, że jeżeli przy nowym kursie panowie posłowie znowu zaczną mieszać się do rządzenia, to będziemy ich mieli wszędzie w biurach i robota na tym tylko ucierpi, zdeorganizuje się.

— Ja na to nie pójdę, ja widzę, że oni chcą zgody, bo są zapędzeni w ślepy zaułek. Pan chce ich stamtąd wyciągnąć, ja zaś chcę mieć gwarancję, że dzieło, z takim wysiłkiem tworzone, nie zostanie zniszczone. Dlatego też stawiam ze swojej strony punkty, od których nie odstąpię:

Jeżeli chcą rzeczywiście współpracy, to muszą się zgodzić na rzeczy następujące:

- 1) posłowie i partie nie wtrącają się do spraw, związanych z rządem i personaliami rządu;
- 2) posłowie i partie nie wtrącają się do spraw, związanych z uchwalonym już budżetem;
- 3) przy uchwalaniu budżetu zostaje wycofany punkt 6 ustawy skarbowej<sup>1)</sup>;
- 4) sejm w ciągu co najmniej pół roku nie będzie zwołany.

*Wkońcu Marszałek Polski zapowiedział kategorycznie, że w razie nieuwzględnienia przytoczonych powyżej czterech warunków, nie mógłby w żadnym razie wejść do pacyfikacyjnego gabinetu.*

## O ROLI PODOFICERA

(28 marca 1930 r.)

*W organie podoficerów wychodzącym w Warszawie w numerze 1 «Wiarusa» z dnia 6 kwietnia 1930 r. zostały umieszczone niżej podane uwagi Piłsudskiego o roli podoficera w wojsku.*

*Tamże znajduje się facsimile tego pisma.*

Kiedy co rok napływa do koszar tysiące i tysiące młodych chłopców, co ani z bronią, ani z ruchami, ani z porządkiem wojskowym nigdy nie mieli do czynienia, a w krótkim czasie trzeba ich przerobić na zdatnego do pracy żołnierskiej człowieka — to nieraz w głowie się mąci, czy to się daje dobrze wykonać.

<sup>1)</sup> Art. 6 ustawy skarbowej dotyczył uprawnień rządu co do otwierania kredytów, nie objętych budżetem. Sejm brzmienie tego artykułu zaostrzał w kierunku ograniczenia coraz bardziej praw rządu w tej dziedzinie. Gdy poprzednio artykuł ten wymagał, by dodatkowe kredyty były przez rząd przedkładane Sejmowi do zatwierdzenia, w 1929 r. Sejm uchwalił, że dodatkowe kredyty wymagają przedniej zgody ciał ustawodawczych, a w r. 1930 Sejm zaostrzył brzmienie tego artykułu do tego stopnia, że rząd dla każdego otwarcia dodatkowego kredytu musiałby w okresie niefunkcjonowania parlamentu zwoływać sesję nadzwyczajną dla otrzymania uprzedniej zgody ciał ustawodawczych na wydanie tych pieniędzy, co w praktyce dałoby permancję obrad sejmowych.

Rola wtedy podoficera olbrzymieje, rola jego w wojsku staje się dużą i wielką. Wtedy każda minuta, jak w boju, jest droga i, zda się, sił nie wystarczy, by wszystkiego dokonać. Mówię, jak w boju, gdy sobie dni bojów wspominam, gdy dzień bojów mijał, nocy nie dosypiałem, by przemyśleć prace następne, i gdy nie znam wypadku, bym sobie nie wyrzucał, że wszystko, co należy, zrobiłem.

Józef Piłsudski.

Belweder, 28 marca 1930 r.

## KOMUNIKAT PRASOWY O PRZYJĘCIU MISJI TWORZENIA GABINETU

(23 sierpnia 1930 r.)

Po dymisji rządu Bartla w dniu 17 marca 1930 r. Prezydent Mościcki mianował dnia 29 marca gabinet Sławka.

Partie opozycyjne, dążąc do obalenia pomajowego systemu rządu, odniosły się dnia 9 maja 1930 r. do Prezydenta Rzeczypospolitej z żądaniem zwołania sesji nadzwyczajnej Sejmu i Senatu.

Prezydent zwołał Sejm na sesję nadzwyczajną od dnia 23 maja 1930 r. Tego dnia odroczył on sesję na dni trzydzieści, a następnie zarządzeniem swym z dnia 20 czerwca 1930 r. zamknął sesję nadzwyczajną.

Partie opozycyjne uznały zarządzenia te za pogwałcenie Konstytucji. Opozycyjne stronnictwa centrowe i lewicowe zawarły ściślejsze porozumienie, zwane wówczas «centrolewem». Na dzień 29 czerwca 1930 r. partie te zwołały do Krakowa zebranie swoich członków nazwane przez nich «Kongresem Obrony Prawa i Wolności Ludu». Na zebraniu tym uchwalono między innymi domaganie się, by «Prezydent Rzeczypospolitej niepomny przysięgi (jaką złożył na Konstytucję) ustąpił». Prokuratura wszczęła dochodzenie karne przeciwko organizatorom zebrania. Opozycyjny zespół partyj centrowo-lewicowych począł robić przygotowania do odbycia w wielu punktach Polski zebrań o podobnym charakterze, jaki miał zjazd w Krakowie.

Wewnętrzne stosunki zaostrzyły się. Piłsudski postanowił stanąć na czele rządu. Premier Sławek, przy bytności swej u Prezydenta Mościckiego dnia 23 sierpnia 1930 r., zgłosił zamiar podania się do dymisji, motywując ten krok «niemożnością pełnienia jednocześnie dwu funkcji — szefa rządu i prezesa Bloku Bezpartyjnego». Tego samego dnia Prezydent Mościcki zaproponował Piłsudskiemu objęcie urzędu Prezesa Rady Ministrów. Komunikat Kancelarii Cy-

wilnej Prezydenta Rzeczypospolitej, wydany tegoż dnia, podawał do wiadomości niżej przytoczoną odpowiedź Piłsudskiego na uczynioną mu przez Prezydenta propozycję.

Tekst podajemy według «Kuriera Porannego» z dn. 24 sierpnia 1930 r.

Oceniam najzupełniej motywy płk. Sławka. Najbardziej zaś mi się podoba to, że nie chce on być «Mädchen für alles» <sup>1)</sup>. Sam taką «Mädchen für alles» być nie mogę i dlatego poszukam systemu pracy zarówno z panami kolegami ministrami, których zmieniać nie chcę, jak specjalnie z ministrem skarbu, tak, abym mógł znaleźć ułatwienie swojej pracy, jako prezes gabinetu. Omówię to później szczegółowo z Panem Prezydentem.

## I WYWIAD MIEDZIŃSKIEGO

(26 sierpnia 1930 r.)

Po rozmowie premiera Sławka z Prezydentem Mościckim w dniu 23 sierpnia 1930 r., o której został wydany poprzednio wspomniany komunikat Kancelarii Cywilnej Prezydenta Rzeczypospolitej, odbyło się tego samego dnia posiedzenie Rady Ministrów, na którym premier Sławek zawiadomił ministrów o swej decyzji podania się do dymisji, a Piłsudski oświadczył, że w razie przyjęcia szefostwa rządu pragnie zachować nadal współpracę wszystkich ministrów z gabinetu Sławka z tym, że zamierza powołać do rządu w charakterze wicepremiera pplk. Józefa Becka.

Dnia 25 sierpnia 1930 r. Prezydent mianował rząd Piłsudskiego. Piłsudski z chwilą, gdy postanowił objąć gabinet, miał już gotową decyzję, że rozwiąże Sejm i Senat i że zarządzi nowe wybory.

Dla wpływania ze swej strony na opinię postanowił Piłsudski co pewien czas dawać wywiady oświeclające najważniejsze zagadnienia państwowe. Pierwszą taką enuncjacją jest niżej przytoczony wywiad udzielony dnia 26 sierpnia 1930 r. posłowi Miedzińskiemu.

W wywiadzie tym poruszone są następujące zagadnienia: Konstytucja marcowa powinna być zmieniona. Ustawa ta jest źle zredagowana, co pozwala na naginanie jej dla różnych potrzeb. Musi być postawiona zasada, że posłowie nie mają prawa rządzić i że pieniądze państwowe nie mogą iść na potrzeby partyjne.

Wywiad podajemy według «Gazety Polskiej» z dn. 27 sierpnia 1930 r.

<sup>1)</sup> Służąca do wszystkiego.



— *Jaki jest program Pana Marszałka, jako szefa rządu, na najbliższy okres czasu?*

— Pan, jako poseł, postawił pytanie po poselsku — to jest tak, że odpowiedzieć na nie niesposób; albowiem poseł do sejmu jest stworzony na to, ażeby głupio pytał i głupio mówił. To też, wie pan, ja osobiście nieraz wątpię o jakiegokolwiek wartości tak zwanych demokratycznych pojęć, a jeszcze mniej o wartości tak zwanego parlamentaryzmu, gdyż on prowadzi do musu oszukaństw i do musu życia w świecie oszukańczym. Postaram się jednak odpowiedzieć panu chociażby w przybliżeniu.

Każdy z szefów rządu, gdy idzie do pracy, idzie na troski i kłopoty. Musi jednak wybrać te troski i kłopoty, które są główne, i nimi się zajmować, odrzucając na bok te troski i kłopoty, które nie są ważne dla danego czasu. Jestem pod tym względem człowiekiem, który «Mädchen für alles», to jest dziewczyną do wszystkiego, nie może być; i dlatego zawsze szukam głównej troski, spokojnie odkładając na bok wszystko inne. Za taką zaś główną troskę muszę uważać w Polsce zmianę tych prawnych zasad podstawowych, które nazywamy Konstytucją. Nazwa jest głupia dlatego, że jest cudzoziemska; i dlatego prawdopodobnie ludzie nie chcą często rozumieć, jak wiele pracy włożyć trzeba, aby być w zgodzie z Konstytucją i z zasadami prawnymi, gdy się stoi na czele rządu. Jeśli zaś Konstytucja jest niechlujnie ułożona i napisana, wytwarzać ona musi chaos prawny tak daleki, że utrzymanie porządku w myślach prawnych staje się niekiedy niepodobieństwem. Jako przykład tego niechlujstwa dam panu posłowi system układu Konstytucji naszej, związany z pracą sejmu. Mamy więc kilka sposobów wyrażania woli czy zgody sejmu — i wszystkie są nieokreślone, są chwiejne. Mamy więc w artykule trzecim bardzo pompatyczne słowa, które brzmią: «Nie ma ustawy, bez zgody sejmu wyrażonej, w sposób, regulaminowo ustalony». W samej zaś Konstytucji nie jest nigdzie powiedziane, co to słowo «regulaminowo» ma oznaczać; tedy każda ustawa jest zachwiana jakąś śmieszną nieokreślonością, wątpliwością, czy jest «regulaminowo» ustalona — i każda ustawa może być zczepiona, że nie jest ustawą.

— *Pozwolę sobie zauważyć, Panie Marszałku, że istnieje uchwalony regulamin sejmowy.*

— Słusznie, proszę pana posła, ale regulamin nie jest Konstytucją, bo jest — i w każdej chwili może być — dowolnie zmieniany; bo jest zwyczajnym regulaminem obrad.

Zaś w artykule 58<sup>1)</sup>, proszę pana posła, mamy wprowadzenie — już nie wiem, czy «regulaminowe», czy nie — pojęć nowych. Mamy więc odpowiedzialność parlamentarną rządu, gdzie wymagana jest zwyczajna większość — to znaczy dosłownie 223 głosów<sup>2)</sup>, bo wtedy dopiero jest zwyczajna większość. Wszelka więc parlamentarna odpowiedzialność musi być dla rządu wyrażona za pomocą 223 głosów — nie mniej, panie posle. I każdy rząd, który nie otrzyma przeciw sobie 223 głosów, może pozostawać spokojnie bez żadnego uchybienia Konstytucji<sup>3)</sup>.

W artykule zaś 59<sup>4)</sup> mowa jest już o konstytucyjnej odpowiedzialności, tak, jak gdyby parlamentarna odpowiedzialność nie była konstytucyjną. Lecz dla konstytucyjnej odpowiedzialności trzeba głosów znacznie mniej, niż dla parlamentarnej, gdyż wymagana jest obecność co najmniej połowy ustawowej liczby posłów, czyli 222, i wtedy wystarcza  $\frac{3}{5}$  oddanych głosów — nawet nie 222, ale oddanych głosów tylko. «Konstytucyjna» więc odpowiedzialność postawiona jest znacznie niżej, niż odpowiedzialność «parlamentarna».

Jak pan widzi, panie posle, układ Konstytucji jest tak chwiejny i nieokreślony, napisana jest tak niechlujnie, jak niechlujnym jest umysł panów posłów. W ogóle powiedzieć panu muszę, że ta niechlujna pisanina czyni z naszej Konstytucji coś w rodzaju kiepskiego bigosu, w który obok zgniłej szynki pakują nadgniłą słoninę i kładą to obok niedokiszonej kapusty; tak, że można i należy każdy paragraf i artykuł brać zupełnie osobno, nie wiążąc go z niczym innym, z żadnym innym, z żadnym innym artykułem. Naturalnie, zgniła szynka jest dla pana Prezydenta, nadgniła słonina dla pana rządu, no a po-

<sup>1)</sup> Ustęp 1. art. 58 Konstytucji marcowej brzmiał: «Do odpowiedzialności parlamentarnej pociąga ministrów Sejm zwyczajną większością. Rada Ministrów i każdy minister z osobna ustępują na żądanie Sejmu».

<sup>2)</sup> Sejm składał się z 444 posłów.

<sup>3)</sup> W praktyce art. 58 Konstytucji marcowej rozumiano w ten sposób, że do uchwały o votum nieufności dla członków rządu wymagana była obecność na sali  $\frac{1}{3}$  ogółu ustawowej liczby posłów t. zn. najmniej 148 posłów i jeżeli większość obecnych posłów t. zn. teoretycznie już 75 głosów oświadczyło się za wnioskiem minister musiał podawać się do dymisji.

<sup>4)</sup> Ustęp 1 i 2 art. 59 Konstytucji marcowej brzmiał: «Konstytucyjną odpowiedzialność ministrów i sposób jej urzeczywistnienia określi ustawa».

Uchwała stawiająca ministra w stan oskarżenia musi być powzięta w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów większością  $\frac{3}{5}$  oddanych głosów».

słom zostaje niedokiszona kapusta. Jak pan rozumie, żołądki wtedy nie mogą nic zrobić i wychodzi z tego smród, tak, że ulica Wiejska cała śmierdzi — proszę pana. I wyjście z tego chaosu jest możliwe tylko przez zmianę Konstytucji i napisanie jej w przyzwoity sposób.

Dodam do tego, że nikt nie ma prawa interpretować Konstytucji. Interpretacja jest zakazana — i wobec tego państwu pozostaje tylko bigos.

— *Czy nie sądzi Pan Marszałek, że zakaz interpretacji jest właściwie fikcją, że interpretują ją wszyscy, a przede wszystkim posłowie?*

— Pewnie, proszę pana, że interpretują, bo bez interpretacji iść trudno, przy posiadaniu tak niechlujnej Konstytucji, która śmierdzi chlewem poselskim. Wie pan, nieraz slyszalem o najrozmaitszych sposobach ujmowania Konstytucji i szukaniu oparcia dla swoich twierdzeń czy żądań jakoby na naszej Konstytucji. A ja tego, proszę pana, nie nazywam Konstytucją, ja to nazywam konstytutą. I wymyśliłem to słowo, bo ono najbliższe jest do prostytutki. Gdy w szanownym waszym sejmie autorytetami prawnymi są jakieś kauzyperdy w rodzaju Liebermana <sup>1)</sup>, albo jakieś ciemne indywidua, w rodzaju napędzonych złodziei, to — proszę pana — możliwą jest i taka interpretacja, ale ona prawną nie jest i nikt tego przyjąć, jako prawo, nie jest w stanie. Ten system nałamywania Konstytucji do różnych potrzeb czynić musi z Konstytucji zwyczajną dziewczkę — i tego dopuszczać nie wolno. Ja, naturalnie, zawsze przechodzić będę do porządku dziennego nad wszystkimi tego rodzaju pomysłami, nie prowadząc przy tym żadnych sporów prawnych.

— *Pozwolę sobie zauważyć, Panie Marszałku, że zrozumienie konieczności zmiany Konstytucji dojrzało w społeczeństwie. Nawet nie wszystkim posłom ten obecny «kiepski bigos» smakuje.*

— Pan wprowadził znowu, po poselsku, dwa pojęcia — społeczeństwo i posłów. Pozwoli pan jednak, że ja to rozdzielę. Społeczeństwo wyrazu swojego zajęcia się czymkolwiek nie ma. I dlatego każdy może o społeczeństwie mówić, co chcąc. Natomiast co do panów posłów, to panu powiem całkiem inne rzeczy. Proszę pana, w Konstytucji jedno jest zupełnie wyraźne: że poseł nie ma prawa rządzić. Tymczasem pan poseł tylko to właśnie chce robić. Jeżeli pan przysłuchiwał się kiedykolwiek uważnie, co jest trudne, obradom panów posłów, to musiał

---

<sup>1)</sup> Poseł adwokat Herman Lieberman należał do P. P. S.

pan dostrzec, że pan poseł chce być nadinżynierem, nadkonduktorem, nadlekarzem, nadprawnikiem, nadagronomem, nadrządem, nadprezydentem — i szuka, że tak powiem, swojej chwały w bredzeniu, tak, że uszy wędną. Albowiem takiego uniwersalnego człowieka nie ma na całym świecie, tylko pan poseł chce udawać taki «uniwersał», istniejący w nieszczęsnej Polsce. System przecie panów posłów, nad czym ja dziesiątki razy się zastanawiałem, polega na jakiejś chęci pokazania, że on jest rozumniejszy od wszystkich. Połączone to zaś jest z żądaniem, ażeby wszyscy stali na śmietniku i składali ukłony: «chapeux-bas», kapelusze z głowy — chociaż pan poseł same głupstwa bredzi. Czy pan wie, że ja przyglądałem się nieszczęsnym panom ministrom od dawna — i zawsze spostrzegałem śmieszne zjawisko, że każdy z ministrów, przychodzących na nowo, chciał myśleć, że jemu właśnie się uda przekonać kogokolwiek z panów posłów; i zawsze kończyło się to abominacją tak głęboką do jakiegokolwiek rozmowy z panami posłami, że bałem się wciąż, iż panowie ministrowie pojedą do Rygi, że rzygać będą po każdej rozmowie z posłami. A jest tych posłów aż 444. Toż, proszę pana, zawartości żołądka nie wystarczy na takie obcowanie, a już chętki stać «chapeaux-bas» na śmietniku — nikt nie ma. Wszystkie próby, dotąd czynione, dawały w rezultacie kompletne fiasco. Pan poseł, to nikczemne zjawisko w Polsce, pozwala sobie bowiem na czynności tak upakarzające — zarówno sejm, jako instytucję, jak i samych siebie, jako posłów — że powtarzam, cała praca w sejmie śmierdzi i zaraża powietrze wszędzie. Ja, proszę pana, nie jestem w stanie pozwolić wbrew Konstytucji rządzić panom posłom i uważać ich za jakichś wybrańców do rządzenia. Zdaniem moim, w każdym urzędzie pana posła należy usuwać za drzwi; jeżeli zaś przy tym coś im dolożą — to także nie szkodzi. Bo, proszę pana, pan poseł obstawia siebie jakimś śmiesznym pojęciem o nietykalności, wtedy, gdy Konstytucja mówi tylko o nietykalności sądowej<sup>1)</sup>; wszystko inne, panie pośle,

<sup>1)</sup> Ustęp 4 art. 21 Konstytucji marcowej brzmiał: «Przez cały czas trwania mandatu posłowie nie mogą być pociągani do odpowiedzialności karno-sądowej, karno-administracyjnej i dyscyplinarnej, ani pozbawieni wolności bez zezwolenia Sejmu. W wypadku schwytania posła na gorącym uczynku zbrodni pospolitej, jeżeli jego przytrzymanie jest niezbędne dla zabezpieczenia wymiaru sprawiedliwości, względnie dla unieszkodliwienia skutków przestępstwa, władza sądowa ma obowiązek bezzwłocznego zawiadomienia o tym Marszałka Sejmu dla uzyskania zezwolenia Sejmu na areszt i dalsze postępowanie karne. Na żądanie Marszałka przytrzymany musi być niezwłocznie uwolniony».



jest tykalne! Opowiem panu jedną śmieszłą bardzo anegdotę. Pewien taki niehonorowy pan, w pewnym mieście<sup>1)</sup>, został obity po buzi i zwrócił się do komendy miasta z żądaniem ochrony. Pan generał<sup>2)</sup>, do którego się udał, odpowiedział mu bardzo solidnie i spokojnie, że on nie jest prochnią, ażeby musiał «karauły»<sup>3)</sup> stawiać przy nim i dlatego «karaułu» nie postawi. Dlatego też i rząd «karaulów» żadnych nie postawi — bądź pan przekonany.

Proszę pana, jako ilustrację stanu rzeczy powiem panu słów parę o przyzwoitości. Panowie posłowie już zatracili wszelką przyzwoitość, tak, jak gdyby chcieli powiedzieć, że poseł do sejmu chociażby był kryminalistą, łotrem i chociaż nie robi nic, a tylko dokucza każdemu, — to jednak wszyscy muszą stać przed nim na śmietniku i kłaniać mu się nisko. Ja, proszę pana, na taką sytuację nie mogę pozwolić; państwo wtedy bowiem idzie na anarchię — wpada w anarchiczny chaos. Jeżeli pan zechce spojrzeć, jak ta nieprzyzwoitość wygląda w Konstytucji, to pan znajdzie, że od Prezydenta wymagana jest przysięga, od każdego z ministrów wymagana jest przysięga, Konstytucja obstawia pracę Prezydenta i pracę ministra tak zwanymi Trybunałami Stanu, które mają równie niechlujne urządzenie prawne, jak niechlujnie jest pisana Konstytucja. Natomiast pan poseł nie przysięga, bo do żadnych obowiązków względem państwa się nie poczuwa. Panowie posłowie tylko «ślabują»; chyba dlatego, żeby nie być pociągniętymi o krzywoprzysięstwo. Proszę pana, ja otwierałem wszystkie sejmy Rzeczypospolitej i nigdy nie zapomnę swego obrzydzenia przy akcie «ślabowania». Na przykład w ostatnim sejmie. Pamięta pan ten śliczny obrazek<sup>4)</sup> — naprzód idzie zwyczajna burda szynkowa; pamiętam — siedziałem w ławach rządowych i przyglądałem się tej burdzie szynkowej; widziałem, jak różne «lwi» podnosiły krzyki i hałasy; nie mogłem, wyznam panu, wytrzymać ze śmiechu, gdy oczekiwałem, kiedy ten «lew» zaśmierdzi ze strachu; tak się też i stało. Samo «ślabowanie» — w jakiejże to formie się odbywa! Prześladuje mnie po prostu ten obraz. Taki pan z rozpiętymi spodniami nie raczy nawet przyzwoicie wstać i odpowiedzieć swoje: «ślabuję». Takie brudne ślabowane portki, od których państwo ma zależeć! To jest rzecz niemożliwa do zniesienia. Niechlujna praca, nicpoństwo, wprowadzenie anarchii — temu raz koniec trzeba postawić!

1) Mowa o Wilnie.

2) Mowa o gen. Pożerskim.

3) Warta.

4) Por. t. IX, str. 107.



Czy pan wie, nad czym ja najczęściej się zastanawiam? Nad dziwną aberacją myślową panów z «gasnącego świata». Pan mi mówił o społeczeństwie. Ci panowie zaś mówią o sejmie; czy ich jest dwóch, czy ich jest trzech, czy ich jest dwunastu, każdy stanowi sejm i każdy mówi o swojej zgodzie, czy o swojej woli, jako o zgodzie sejmu. A gdzie jest ta zwyczajna większość? Bo «ślabowane» portki nie pracują — ich nawet zebrać trudno — a pieniądze za to biorą. Świeżo np. powstało urządzenie «lewskiego centra» albo «centrego lwa» <sup>1)</sup>. Także mądre urządzenie. Jakieś uniwersały rozsyłane wszędzie — i to wszystko w imieniu sejmu, kiedy sejm istnieje tylko wtedy, gdy jest posiedzenie i kiedy jest 223, a nie jakieś bzdury. Toż, proszę pana, można zebrać łotrów, bo jest ich dużo w sejmie, jakąś setkę — i mówić, że to sejm. I od takich łotrów ma państwo zależeć?

Druga rzecz, proszę pana, nad którą się nieraz zastanawiałem, to są motywy, dla których ta banda w tak anarchiczny sposób postępuje. Moje przekonanie, wyciągnięte z kilku lat stałej i ustawicznej myśli, jest jasne i nieodwołalne — panom posłom trzeba pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy. Niech rząd kradnie pieniądze, z podatków zbierane, a daje im. I trzecia rzecz wygódki partyjne; to znaczy, że z pieniędzy podatkowych mają być utrzymywane partie, mają być płaceni ich agitatorowie, ich wypędki najrozmaitsze. To jest ich cel, ich dążenie. Mają być subsydiowane ich towarzystwa, które panowie partyjnicy okradną — i to wszystko z pieniędzy, składanych z podatków. Wszystko dla nich musi być darmo robione i każdy ma stać na śmietniku przy panach posłach, którzy dążą tylko do zupełnej bezkarności. Ten system anarchii, wprowadzany przez różne «centry» i «lwi» oraz ich cichych współników, którym wstyd jest być «centrami» i «lwami», — jest największą chorobą nowoczesną. Dlatego też na pytanie pana, co jest największą moją troską — twierdzę, że największą moją troską jest odparcie ataku na pieniądze skarbowe, na wydawanie ich na wychodki partyjne. «Partiów kawałek» <sup>2)</sup> nie istnieje dla rządu. Muszę panu powiedzieć, że zatracenie zupełnie przyzwoitości jest charakterystyką nowych czasów. Ja nieraz wzdychałem: żeby choć przyzwoicie! Lecz pan poseł chce być wolnym od praw, które karzą sędownie, od praw honoru i od

<sup>1)</sup> Mowa o ściślejszym porozumieniu zawartym między opozycyjnymi partiami centrowymi i lewicowymi. Por. t. IX, str. 216.

<sup>2)</sup> Piłsudski cytował bardzo często wyrażenie jednego z uczestników deputacji włościańskiej: «Kijów na nich Panie Naczelniku, tych partiów kawałek trzeba skończyć».

praw przyzwoitości; i w ten sposób zwalnia i innych od tychże praw przyzwoitości. Muszę wyrazić swoje głębokie zadowolenie, że jednak najliczniejszy klub wyłączył się z tego chlewu, ogłosiwszy, że stawia się jego członkowie do każdego sądu, który ich zażąda, chociażby do odpowiedzialności karnej, i nie chcą podlegać prawom o honorze, robionym przez panów posłów<sup>1)</sup>. Daje to nadzieję poprawy i daje możność myślenia, że «partiów kawalek», żądający pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy, nie będzie panującym w Polsce.

## II WYWIAD MIEDZIŃSKIEGO

(6 września 1930 r.)

*Dnia 29 sierpnia 1930 r. zostało wydane następujące zarządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej:*

*«Po dojrzałym namyśle stwierdzam, że najważniejszą rzeczą do pracy wszystkich obywateli Polski jest naprawa zasadniczych praw, rządzących Rzeczpospolitą, gdyż stanowią one podstawę dla wszystkich praw, istniejących w państwie.*

*Naprawa jest konieczną, gdyż, niestety, dotąd uniknąć nie można chaosu prawnego, istniejącego w Rzeczypospolitej.*

*Gdy przekonałem się, że naprawy tej pomimo moich usiłowań dokonać nie potrafię za pomocą istniejącego obecnie Sejmu Rzeczypospolitej, zdecydowałem rozwiązać istniejący Sejm i Senat.*

*Wobec tego na podstawie artykułu 26, ustępów 2 i 3 Konstytucji rozwiązuję na wniosek Rady Ministrów Sejm i Senat z dniem 30 sierpnia 1930 r., oznaczając termin wyborów do Sejmu na dzień 16 listopada 1930 r., zaś termin wyborów do Senatu na dzień 23 listopada 1930 r.*

*Warszawa, 29 sierpnia 1930 r.*

*Prezes Rady Ministrów  
Józef Piłsudski.*

*Prezydent Rzeczypospolitej  
Ignacy Mościcki.*

*Nastąpił okres wyborczy. Piłsudski dnia 6 września 1930 r. udzielił redaktorowi Miedzińskiemu niżej przytoczonego wywiadu, w którym, wychodząc z zasady, że gdy Sejm jest rozwiązany nie ma posłów — krytykuje udział w Państwowej Komisji Wyborczej przedstawicieli klubów rozwiązanego Sejmu i omawia sprawę diet dla członków prezydium nieistniejącego już Sejmu i dla członków Komisji dla kontroli długów państwowych.*

*Wywiad podajemy według «Gazety Polskiej» z dnia 7 września 1930 r.*

<sup>1)</sup> Por. t. IX, str. 213.

— *A więc, Panie Marszałku, od tygodnia weszliśmy w okres wyborczy?*

— Wie pan, okres wyborczy istnieje obecnie przede wszystkim dla rządu, no i dla możliwych, że tak powiem, kandydatów na posłów. Co do tych kandydatów, nic na razie mówić nie będę, gdyż imiona ich nie są mi znane. Natomiast mnie ten pierwszy tydzień wyborczy dał się we znaki bardzo silnie, muszę bowiem mieć do czynienia z całym szeregiem praw i przepisów, w których, naturalnie, jest zwykły chaos i masę sprzeczności. Poza tym mam, nie wiadomo dlaczego, mus zajęcia się byłymi posłami do sejmu — i wyznam panu, że to drugie zajęcie zmusza mnie do pracy bardzo wstrętnej, mianowicie — do babrania się w nieczystościach. Gdy bowiem hasłem istotnym u panów byłych posłów jest: pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy — albo dla siebie, albo dla partyj nawet najrozmaitszych — to nasuwa się mus wchodzenia w nieczystości i brudy, co dla mnie jest specjalnie uciążliwe, gdyż jestem dostatecznie znany z nieumiejętności zrobienia jakiegoś brudnego uczynku.

Lecz wróćmy do praw. Przede wszystkim więc musiałem mieć do czynienia z tak zwaną ordynacją wyborczą. Pierwszym moim kłopotem było to, czy mogę uznać prawa, wyraźnie sprzeczne z Konstytucją. W Konstytucji bowiem nie znajdzie pan żadnego artykułu, któryby gdziekolwiek choć w jednej literze mówił o partiach, o klubach i o jakiegokolwiek wewnętrznej organizacji posłów. Przeciwnie, Konstytucja ciągle wymaga od posłów zupełnej swobody rozstrzygania tej lub innej sprawy według swego własnego sumienia, nie według nakazu jakiegokolwiek partii czy organizacji, którą może zaprzeczyć sumieniu. Na te «ślabowane portki» nawet ślubują. I nagle, według ordynacji wyborczej t. zw. Państwowej Komisji Wyborczej, muszę mieć do czynienia z przedstawicielami tych klubów, z przedstawicielami partyj, które w dodatku mają jakoby pilnować czystości wyborów<sup>1)</sup>.

Przyznam się panu, że się zawahałem co do możliwości wykonywania przeze mnie tego nieczystego prawa. Boć przecie ta Wyborcza Komisja Państwowa ma zostać i po nowych wyborach, na cały czas do rozpisania następnych wyborów,

---

<sup>1)</sup> Ustęp 1. art. 17 Ustawy z dn. 28 lipca 1922 r. o ordynacji wyborczej do Sejmu brzmiał następująco: «Państwowa Komisja Wyborcza składa się z Generalnego Komisarza Wyborczego, jako przewodniczącego, oraz z 8 członków, względnie 8 ich zastępców, przedstawionych Generalnemu Komisarzowi Wyborczemu przez osiem najliczniejszych klubów poselskich ustępującego Sejmu».

t. zn. że jakiś klub może przy nowych wyborach okazać się nieistniejącym, może zdechnąć, być zwyczajnym ścierwem — a jednak mieć jakieś znaczenie, mieć opłacane, naturalnie, swoje podróże, swoje diety, hotele, tak, że jakiś «były poseł» znajdzie choć darmową wyżerkę. Wahanie moje było ciężkie, gdyż nie ma paskudniejszej rzeczy w państwie, jak zdemoralizowana banda byłych posłów, zdeklasowanych jakichś klaczy czy marnych wałachów, którzy krzyczą: pieniądze, pieniądze, pieniądze i mogą «per procura» <sup>1)</sup> mieć jakieś mandaty. Wyznam panu, że rozstrzygnięcie tych moich wątpliwości prawnych — gdy ten śmierdzący «kawalek» partyjny wyraźnie przeczy Konstytucji — było mi bardzo ciężkie. Pierwszym moim rzutem była chęć skasowania tego zupełnie bezwzględnie i wyrzucenia za drzwi tego ścierwa, które sprawę wyborów tylko komplikować może.

Ten «partiów kawalek» należy do tych systemów, których jest mnóstwo: dokradania przez najrozmaitsze dodatki do Konstytucji uprawnień, oznaczających tylko pieniądze, pieniądze, pieniądze i darmową wyżerę dla panów posłów do sejmu. Jeżeli tego nie zrobiłem, to dlatego, iż w tak szybkim czasie ułożenie czegoś innego byłoby za trudnym; to był jedyny powód, dla którego dopuściłem różne ścierwa do istnienia i zarażania powietrza.

— *O ile mi wiadomo, Panie Marszałku, rząd miał coś w rodzaju konfliktu z sejmem o pogrobowe pretensje do pieniędzy skarbowych?*

— Aha, to pan zapewne mówi o głodującym p. Daszyńskim i innych kolegach jego. Muszę panu powiedzieć, że ta sprawa zajęła mi także sporo czasu, lecz ja stanowczo odrzucam wszystkie zamachy na pieniądze skarbowe. Przede wszystkim, proszę pana, w artykule Konstytucji, który mówi o rozwiązaniu sejmu, nie ma ani jednego słowa o tym, żeby pozostający marszałek sejmu i jego zastępcy mieli pobierać jakiegokolwiek pieniądze <sup>2)</sup>. Doczepieni do tego panowie wicemarszałkowie nie są nawet wspomnieni w tym artykule jako wice-

<sup>1)</sup> Z pełnomocnictwa czyjegoś.

<sup>2)</sup> Ustęp 1 i 2 art. 26 Konstytucji z dn. 17 marca 1921 r. brzmiał następująco:

«Prezydent Rzeczypospolitej rozwiązuje Sejm i Senat po upływie czasu, na który zostały wybrane. Prezydent Rzeczypospolitej może rozwiązać Sejm i Senat przed upływem czasu, na który zostały wybrane, na wniosek Rady Ministrów umotywowanym orędziem, jednakże tylko raz jeden z tego samego powodu».

marszałkowie; mowa tylko o zastępcach<sup>1)</sup>. A wobec tego, że tenże Daszyński zastępuje siebie nieraz wcale nie posłami, jak to było w znanym wypadku z oficerami, gdy jakiś biedny urzędniczyna zastępował Daszyńskiego<sup>2)</sup> — to ja nie wiem nawet kogo się to tyczy, gdy tak daleko rozciągnięte być może pojęcie zastępcy. Jeszcze raz jednak zwracam uwagę, że w Konstytucji ani słowa nie ma o jakiegokolwiek placę.

Wysłuchałem całej masy zawitych wywodów prawnych w tej sprawie i wszystkie one przy bardzo dalekiej i głębokiej analizie skłaniają się do mego zdania, nie do zdania Daszyńskiego. Naturalnie, różne kauzyperdy konstytucję-prostytucję mogą sobie wykrecać inaczej, ale to nie pomoże nic a nic, gdyż ja nie jestem skłonny wydawać bezprawnie pieniędzy, tak ciężko zbieranych z podatków, na byłych posłów sejmowych. I na pewno nie wydam ani grosza nawet.

To samo tyczy się i panów z t. zw. Komisji Długów<sup>3)</sup>, którzy mają pobierać wynagrodzenie wtedy, kiedy nie mają diet i również podczas przerw w posiedzeniach sejmowych. Nie można jednak rozwiązania sejmu uważać za przerwę. Że ci panowie zamiast diet zrobili sobie bezprawnie gażę, a w dodatku, dla lepszej wyżerki, podczas przerw jeszcze zbierają dodatkowe pieniądze, to nie oznacza wcale, abym mógł uważać nieistnienie sejmu za przerwę. Dlatego też, proszę pana, z tej darmowej wyżery nie będzie nic.

Zastanawiałem się w ogóle nad celowością 29 artykułu Konstytucji, na którym Daszyński się opiera, a który nic nie mówi o wynagrodzeniu<sup>4)</sup>. I wyznam panu, że dojrzałem pewną

---

1) Art. 28 Konstytucji marcowej brzmiał: «Sejm wybiera ze swego grona Marszałka i jego zastępców, sekretarzy i komisje. Mandaty Marszałka i jego zastępców trwają po rozwiązaniu Sejmu aż do ukonstytuowania się nowego Sejmu».

2) Por. t. IX, str. 194, przyp. 1.

3) W myśl Ustawy z dn. 25 września 1922 r. o kontroli nad długami państwa, wykonanie parlamentarnej kontroli nad długami powierza się Komisji Kontroli Długów, złożonej z czterech posłów i dwóch senatorów.

4) Ustęp 1. art. 29 Konstytucji marcowej brzmiał: «Sposób i porządek obrad sejmowych, rodzaj i ilość komisyj, liczbę wice-marszałków i sekretarzy, prawa i obowiązki — określa regulamin sejmowy». Art. 84 ówczesnego regulaminu sejmowego, który nie był ustawą, określał: «Posłowie otrzymują jako zwrot kosztów utrzymania, począwszy od 1 grudnia 1923 r., ryczałt miesięczny, równy iloczynowi mnożnej, ustalonej przez Radę Ministrów dla obliczenia uposażeń urzędniczych przez 1.800, wraz z dodatkiem stołecznym i regulacyjnym. Wszelkie zarządzenia, powodujące wyżkę uposażeń urzędniczych w stosunku do



dozę celowości w tym urządzeniu, gdyż zaplątane rozrachunki z pieniędzy wydawanych na sejm wymagają jakiegoś okresu likwidacji. Przecież są zaliczki, pobrane przez panów posłów, masa ich długów, które włożą im na diety, zaległości w restauracji, w hotelu, które muszą być w jakiś sposób uregulowane. Obliczenie zaś, że to wszystko, co się należy za fotel, za hotel, za burdel i za serdel, ma opłacić rząd z pieniędzy skarbowych — to musi zawieść. Dlatego też prawdopodobnie jest zostawiony okres do zebrania się przyszłego sejmu dla uregulowania tych rachunków — i to tak, aby była jakaś dyscyplina na byłych posłów. Naturalnie konstituta czy prostituta może sobie to tłumaczyć inaczej, bo ten naturalny cel nie jest wcale wymieniony w Konstytucji, ale nie wymienione są i inne cele. I jeszcze raz powtarzam, że w artykule tym ani słowa o wynagrodzeniu nie ma.

— *O ile dobrze rozumiem, to Pan Marszałek nie zamierza uznawać instytucji «byłych posłów» i jakichkolwiek ich uprawnień?*

— Pan postawił mi pytanie, na które z natury rzeczy wypływa odpowiedź. Gdy sejm jest rozwiązany, to posłów nie ma — nie istnieją — i każdemu wolno sądzić, że o ile chcą zatrzymać swe uprawnienia, to mogą być uważani, jak to podkreślałam, za zwyczajne ścierwo, które musi zatruwać swoim istnieniem powietrze. Otóż ja panu powiem, że, dzięki moim zresztą wypadkom, myślałam dużo o tak zwanej aberacji myślowej. Jest to sprawa, którą się zajmuję od bardzo dawna, nieledwie od wczesnej mojej młodości stawiałem sobie często pytanie, skąd u ludzi pochodzi ta dziwna chęć do zmiany realnych rzeczy, realnych faktów — na nierealne, nieistniejące — i skąd pochodzi ta chęć upiększania jak gdyby dla siebie swojej małości i nicości nierealnymi faktami i nierealnym życiem myślowym tak, iż ta aberacja myślowa prowadzi się zdaje ludzi do szpitala wariatów. To, zdaje się, można zastosować w zupełności do panów byłych posłów sejmowych.

Jeszcze niedawno rozmawiałem z jednym z wybitnych mężów stanu Europy i, mówiąc o jednym z państw istnieją-

---

uposażeń, wyplaconych w dniu 1 grudnia 1923 r., mają zastosowanie i do diet poselskich. Marszałek otrzymuje czterokrotne diety, wicemarszałkowie półtorakrotne. Marszałkowi służy ponadto prawo do mieszkania służbowego i powozu, tudzież prawo używania inwentarza reprezentacyjnego. Diety są płatne z góry». Na tym opierał się były Marszałek Daszyński, gdy w piśmie do Prezydenta Mościckiego z dnia 2 września 1930 r. uzasadniał prawo pobierania diet przez członków prezydium rozwiązanego Sejmu.

cych — nazwy tego państwa nie wymienię — mówiłem, że mamy do czynienia z ludźmi chorymi, którzy naprzód zachorowali na daltonizm, czyli że widzieli jaskrawą zieleń wiosny w kolorze żółtym czy czerwonym, natomiast kolor czerwony widzieli jako zielony. Choroba, jak kiedyś czytałem, dosyć rozpowszechniona. Lecz gdy choroba u tych ludzi postępowała dalej, zaczęli chodzić na głowie, brykając nogami w górze, a że takie chodzenie jest niewygodne i cały świat widzi się na wywrót, więc sprowadza to ból głowy; i wtedy skarżą się, także na wywrót, na kogoś — że ich głowa boli.

Byli posłowie, proszę pana, niezwykle przypominają mi to państwo. Przede wszystkim wyobrażają sobie, że oni są istotnymi posłami do nieistniejącego jednak sejmu i dlatego próbują urządzić ze związku zawodowego byłych posłów do sejmu państwo w państwie, państwo nowe pod tytułem «Ulica Wiejska». «Państwo» to chce być z Polską, jako państwem, w stanie wojny — może w obronie darmowego serdelu, może w obronie darmowego hotelu. Sądzą oni, jak owe państwo, o którym mówiłem, że jeżeli być w stanie wojny, to może coś się wygra, może choć darmowy serdel się oberwie przy tym, może darmowy hotel. Pozwalają więc sobie przy takim stanie wojny korzystać z budynków rządowych jak gdyby ze swojej własności; pozwalają sobie jako «rządzące» partie robić sobie jakieś senaty, wkrótce może wybiorą sobie prezydenta i wyznaczą nowe rządy. Nadaje się już bodaj wielu z nich do szpitala wariatów, jeżeli nie do kryminału. Na przykład, proszę pana, zmusili już do poszukiwania broni, na dowód, że oni znajdują się w stanie wojny — i chcą, zdaje się, przede wszystkim zatruć wyziewami tego, kto dowodzi stroną przeciwną, czyli szefa rządu, zmuszając go do babrania się w nieczystościach.

Najzabawniejszą jednak rzeczą jest u panów posłów inna jeszcze aberacja myślowa, to jest stałe ogłaszanie, że im jest ich mniej, tym bardziej reprezentują oni sejm. Obawiam się, że wreszcie pozostanie ich kilku, którzy z pompą ogłoszą, że «mi, to jest sejm» i to sejm suwerenny; bo przy znanej tendencji panów posłów do sejmu, aby być nadszoferem, nadprezydentem, nadinżynierem i nadkonduktorem, ta rzecz łatwo zdarzyć się może. Ja sędzę, że będzie najłatwiej dążyć z ratunkiem dla poszarpanego zdrowia tych panów z sikawką pożarną, aby ich nieco przyprowadzić do przytomności. Dawna to, proszę pana, metoda — oblewać wariatów zimną wodą. I pomyśleć, że to wszystko walczy pod sztandarem darmowego serdelu. No, czyż może istnieć takie śmieszne «państwo»? Pań-

stwo zawodowego związku byłych posłów, stających w obro-  
nie czystości wyborów! No, no, panie, tego już za wiele: dar-  
mowy serdel i czystość wyborów — połączone razem!

Więc, jak pan widzi, dość już miałem kłopotów wybor-  
czych, jak na jeden tydzień.

### III WYWIAD MIEDZIŃSKIEGO

(13 września 1930 r.)

W dniu 10 września 1930 r. Polska Agencja Telegra-  
ficzna ogłosiła następujący komunikat urzędowy:

«W okresie ubiegłej sesji sejmowej władze bezpie-  
czeństwa zarejestrowały szereg przestępstw, zarówno na-  
tury kryminalnej, jak o charakterze politycznym, popełnio-  
nych przez byłych posłów do Sejmu.

Ze względu na przepis artykułu 21 Konstytucji, doty-  
czący nietykalności poselskiej, postępowanie sądowe w spra-  
wach tych było uniemożliwione, bądź też stałe utrudniane.  
Wnioski o wydanie posłów sądom nie były załatwiane w ter-  
minach, ustalonych odnośnymi przepisami, albo, mimo wy-  
raźnych cech przestępstwa, były załatwiane odmownie, jak  
to miało miejsce ostatnio z byłym posłem Dworczaninem,  
który strzelał do policji i został aresztowany z decyzji władz  
sądowych — a pan Marszałek Sejmu zażądał wypuszczenia  
go na wolność.

Wobec wygaśnięcia mandatów poselskich, a co za  
tym idzie i nietykalności poselskiej, władze właściwe przy-  
stąpiły do wszczęcia spraw, nagromadzonych przez cały  
okres ubiegłej kadencji sejmowej.

Na tej podstawie w dniu 10 września dokonano za-  
trzymania szeregu byłych posłów, którzy dopuścili się prze-  
stępstw natury zarówno kryminalnej (kradzieże, oszustwa,  
przywłaszczenia i t. p.), jak i natury politycznej (strzały do  
policji, nawoływanie do gwałtu i nieposłuszeństwa wła-  
dzom, wystąpienia antypaństwowe i t. p.).

Dochożenia, które w sprawach zatrzymanych pro-  
wadziły władze bezpieczeństwa, będą skierowane do władz  
prokuratorskich».

Aresztowani zostali posłowie: Józef Baćmaga z B. B.  
W. R.; Norbert Barlicki, Adam Ciołkosz, Stanisław Dubois,  
Herman Lieberman, Mieczysław Mastek i Adam Prągor  
z P. P. S.; Kazimierz Bagiński i Józef Putek z Wyzwolen-  
nia; Aleksander Dębski z Klubu Narodowego; Adolf Sa-  
wicki ze Stron. Chłopskiego; Włodzimierz Celewicz, Dmytro  
Palijiw i Aleksander Wystockyj z Ukr. Klubu Sejmow.; Wła-  
dysław Kiernik i Wincenty Witos z Piasta; Osyp Kohut  
z Klubu Ukraińsk. Socjalistyczno-Radykalnej Parlamentar-  
nej Reprezentacji i Karol Popiel, poseł do I Sejmu zwyczaj-

nego, członek N. P. R. Aresztowani przewiezieni zostali do więzienia wojskowego w Brześciu nad Bugiem.

Niżej przytoczony wywiad udzielony redaktorowi Miedzińskiemu w dniu 13 września 1930 r. jest komentarzem do zarządzenia aresztowania byłych posłów, krytyką ich postępowania, a w końcu stwierdzeniem, że choć postępowanie posłów utrudnia obronę parlamentaryzmu, Piłsudski nie sądzi, «by można było obejść się bez jakiegoś przedstawicielstwa wybranego».

Wywiad podajemy według «Gazety Polskiej» z dn. 14 września 1930 r.

— Czy wolno Pana Marszałka, jako szefa rządu, zapytać o aresztowania byłych posłów?

— Ależ bardzo proszę. Historia tego wypadku jest następująca:

Jeszcze przed rozwiązaniem sejmu, gdy posłowie byli istotnymi posłami, a nie «byłymi», wpływała dość wielka ilość karnych procesów, wytaczanych przez prokuraturę różnym posłom i z bardzo rozmaitych powodów. Nie mam bowiem, proszę pana, żadnej wątpliwości, że panowie posłowie dążyli do immunitetu <sup>1)</sup>, czyli nietykalności, tak dalece rozszerzonej, że utworzyło się jak gdyby zbiorowisko ludzi uprzywilejowanych w sposób ani konstytucyjny, ani prawny, ani w żaden sposób, związany ze zwyczajną etyką.

Przy rozwoju naszego t. zw. parlamentaryzmu weszło więc w zwyczaj, że współnicy nawet takiego czy innego występku, czy zbrodni nie byli pociągani do odpowiedzialności sądowej; ta bezkarność przy ostatnim sejmie doszła już do jakichś potwornych rozmiarów, przekraczających możliwość znoszenia tego dalej.

Ja, osobiście, w ogóle nie znoszę bezkarności, prowadzącej w sposób naturalny do rozwydrzenia i obniżenia gwałtownie i szybko wszelkiego poczucia zwyczajnej moralności; dlatego też od razu zdecydowałem wykorzystać ten normalny czas, gdy posłowie stają się zwyczajnymi obywatelami państwa, aby choć raz w Polsce postawić sprawiedliwość, wymierzaną przez sądy, na normalną drogę, nienaruszaną tak bezecznie, jak to czynili posłowie z immunitetem w pyskach.

Dlatego też kazałem zebrać poruszone przez prokuraturę sprawy; i wie pan — nazbierało się ich ogromnie dużo; a przy naturalnym pędzie sprawiedliwości do niewyłączania z powodu jakichkolwiek przywilejów poszczególnej warstwy ludzi —

<sup>1)</sup> Immunitet poselski — przywilej nietykalności poselskiej.

liczba ta, rosnąc coraz bardziej, może dobiec do poważnej cyfry.

Mogę panu powiedzieć, że musiałem, niestety, zatrzymać nawet karzącą rękę sprawiedliwości, gdyż nie mógłbym dać sobie rady z taką ilością jednocześnie. A gdy policja obecnie zajęta jest mnóstwem dodatkowych prac, związanych z wyborami do sejmu, nie mogłem również przeciążać zbytnio policji. Dlatego też zdecydowałem nie osiągać rekordu i zatrzymałem się — dla pierwszej transzy — przy jednej czwartej za ledwie. Niestety, nie mogę panu powiedzieć zupełnie ściśle, za co właściwie taki czy inny pan jest ścigany przez sprawiedliwość, gdyż przy każdym nazwisku sprawiedliwość stawia paragrafy i artykuły karne, których ja, niestety, nie znam; wiem tylko, że są one bardzo rozmaite i sama liczba tych paragrafów jest znakomicie wielka — tak, że musiałbym mieć ciągle do czynienia z kodeksem karnym, co nie jest moim obowiązkiem. Wiem, że są tam strzelania do policji, jakieś macherki z wekslami, oszukaństwa i szantaże — no, i temu podobne paskudztwa.

Aresztowania są zatem, pod względem wyboru, dość wypadkowe; mógłbym wybierać co piątego, co dziesiątego. Bo przecież doprawdy ci panowie posłowie upodobali sobie dość dziwny sposób życia: dla obrony «praw wolności» niemal że siadali na ulicy, aby robić nieczystości — z immunitetami w pyskach. Toż tego znosić nie można! Takie «prawo wolności» — toż koń by się z niego śmiał, mówiąc językiem legionowym. Tam oszukać, tam szantażować, tam strzelić z rewolweru, tam ukraść — to są «prawa wolności».

To rozciągnięcie prawa immunitetu poselskiego — ze stałą ze strony marszałków sejmu odmową prowadzenia nawet dochodzeń <sup>1)</sup> — jest takim urąganiem poczuciu sprawiedliwości i takim bezczelnym deptaniem honoru samej instytucji sejmu, że chyba dalej już nie idzie. Jest to jedna z największych nieprzyzwoitości, które były popełnione w ubiegłym okresie sejmowładztwa; właśnie ta nieprzyzwoitość stale mnie skłaniała do przypuszczenia, że głównym celem pracy panów posłów jest bezkarność wobec sądów Rzeczypospolitej za wszelką cenę.

— *Pan Marszałek dąży zatem do tego, aby w okresie obecnym wymiar sprawiedliwości poszedł normalnym trybem, zahamowanym poprzednio przez wybijane potwornie rozszerzenie immunitetu?*

<sup>1)</sup> Por. t. IX, str. 221, przyp. 1.



— Gdyby mi się udało wprowadzić choć trochę przyzwoitości w te zabrudzone stosunki, tobym był bardzo dumny z tego. Zawsze zachętą dla mnie jest oświadczenie grupy byłych posłów z tak zwanej jedyńki, którzy ogłosili publicznie, że nie chcą korzystać z immunitetu poselskiego<sup>1)</sup> i nie chcą być sądzeni jedynie przez tak zwany sąd honorowy sejm.

Ale, wie pan, powrócę do swego poprzedniego tematu: aberacji myślowej. Czyż nie widzi pan u ludzi z aberacją myślową tak bezwiednej tendencji przedłużania swego stanu «jakoby posła» nawet na okres wyborczy? Czy pan wie, że w liczbie aresztowanych posłów jest kilku panów — ja pamiętam tylko nazwiska panów Kwiatkowskiego i Baćmagi — ludzi, oskarżonych właśnie o zwyczajne kryminały, którzy przy przewożeniu ich do więzienia krzyczeli ustawicznie, że oni są posłami. Zaś p. Dębski wybił nawet szybę w samochodzie, którym go przewozili; może dlatego, że kiedyś był wojewodą<sup>2)</sup>, przypisywał sobie znowu nadzwyczajne przywileje. Nie wiem, naturalnie, — może sądzili oni w swojej durnej aberacji myślowej, że gdy przechodzić usłyszy, że to jest poseł, to rzuci się, by go ratować, spełniając przy tym szczytny obowiązek bronięcia «praw wolności».

A wie pan przy tej ostatniej historii zwrócił moją uwagę wypadek, który zaszedł z p. Witosem. Ten pan przewożony był przez Kraków, gdzie przewożący go spostrzegli, że mają nieodpowiednie pieczątki, wystawione w dokumentach podróży. Wozili więc biednego Witosę po Krakowie, od urzędu do urzędu, zdobywając należytą pieczętkę. P. Witos zachował się przez cały czas tak spokojnie, że przy powszechnej nieprzyzwoitości i draństwie może być uważany za zaszczytny wyjątek. Zachował godność człowieka w sobie.

— *Przypuszczam, Panie Marszałku, że jeżeli aberacja myślowa jest uleczalna, to zostały zastosowane dość radykalne środki?*

— Powiem panu, że środek zastosowany okazał się istotnie bardzo skuteczny, gdyż nie otrzymałem dotąd z więzienia żadnego meldunku o aberacji myślowej. Dyscyplina więzienia jest twarda i może ci panowie, gdy wyjdą z więzienia, okazać się ludźmi bardziej dyscyplinowanymi, niż wówczas, gdy tak bezpiecznie «służyli Polsce» w sejmie.

Niechybnie — wracając znowu do aberacji myślowej — postępowy rozwój tej aberacji prowadzić musi do szpitala wa-

<sup>1)</sup> Por. t. IX, str. 213, przyp. 1.

<sup>2)</sup> Aleksander Dębski był wojewodą wołyńskim w latach 1925 i 1926.

riatów. Nigdy nie zapomnę, proszę pana, moich wrażeń ze szpitala wariatów. Pamiętam tam jednego pana, który dzień i noc chodził po pokoju i stukał silnie od czasu do czasu jedną nogą — nogą w przydeptanym szpitalnym pantoflu. Byłem zdziwiony tym uporczywym stukaniem i razu pewnego ośmieliłem się zapytać tego pana bardzo grzecznie, czemu właściwie stuka on, chodząc, tak mocno nogą. Popatrzył na mnie z góry — tak, jakbym ja stał na śmietniku, a on gdzieś wysoko — i spokojnie mi odpowiedział z dużym odcieniem pogardy: — «Ja tu jestem schowany, bo robiono zamachy na moją wolność i życie, ale za każdym razem, jak ja stuknę, to «gradonaczalnik» rozumie, co to znaczy!» — dodam dla wyjaśnienia, że «gradonaczalnik» był to ktoś w rodzaju naszego komisarza rządu miasta Warszawy. Ileż to, proszę pana, takich stuknięć przydeptanych pantofli ma «rozumieć» nasz biedny Jaroszewicz <sup>1)</sup>. Wątpię jednak, czy on to rozumie.

— *Pomimo tego wszystkiego, po zmęczeniu pierwszym tygodniem wyborczym widzę dziś Pana Marszałka w lepszym usposobieniu.*

— Wie pan — ratuję się, jak mogę, bo jednak to babranie się w nieczystościach, upstrzone paragrafami karnymi, — to nie jest wesola robota. Dlatego ratuję się często śmiechem, jako najlepszym lekarstwem na wstręt do pewnych prac. Opowiem więc panu, co mi się przypomniało z powodu tych najrozmaitszych prób obrony posiadania stanu «byłych posłów».

Jak pan wie, urodziłem się w Zułowie, dużym dworze pod Wilnem. Jak zwykle, wyprawiano tam doroczne dożynki. Dożynki w Zułowie robiono obfite i sute, z mnóstwem «wódeczności», gdyż ojciec prowadził i wielką gorzelnię. Co do mnie, malca, byłem szczególnie zajęty zawsze przyglądaniem się tańcom. Nie mogłem bowiem zrozumieć, dlaczego parobcy ciężkimi butami nie zmiażdżą bosych stóp dziewcząt. Wydawało mi się to niemożliwe. To było moje zajęcie. Oczywiście, z biegiem dożynek wzrastała coraz bardziej ochota i humor. Pamiętam, że pewnego roku dzieci trzy razy prosiły rodziców, by ich nie kładziono do snu, tak bardzo dożynki były huczne i ochocze. Wreszcie, gdy zupełnie ściemniało, po sutej kolacji, stanęto znowu do tańca. Zagrało równocześnie sześć harmonij: odchodziła «lewonicha» <sup>2)</sup>. Sześć harmonijek grało od ucha. Ojciec mój, bardzo muzykalny człowiek, krzywił się,

<sup>1)</sup> Władysław Jaroszewicz pełnił funkcję Komisarza Rządu względnie Wojewody na miasto Warszawę od 12. X. 1926 r. do 12. I. 1930 r. i od 28. VIII. 1930 r. do chwili obecnej.

<sup>2)</sup> Taniec ludowy na Wileńszczyźnie.

jakby jadł cytrynę; w pewnej chwili zobaczyliśmy skaczącego do góry naszego kuchcika, który wywijał rękami i olbrzymią miednicą mosiężną do smażenia konfitur — i nagle wielkim móżdżierzem zaczął wybijać takt, niezgodnie ze wszystkimi harmonijkami. Ojciec, przerażony tą okropną kakofonią, podszedł do niego i zapytał: — «Joachimku, co ty robisz?» — «Panie, panie — byle szum, byle szum!...» — odrzekł rozchulany Joachimek. Ojciec odszedł zawstydzony. Ileż to, proszę pana, u nas znowu uporczywych Joachimków się nabierało!

Skoro pan mnie zagadnął o lepszy humor, to powiem panu, że humor jest lepszy też i z tego powodu, że mogę przystąpić do racjonalniejszej pracy. Miałem więc posiedzenie Rady Ministrów, teraz zaś zaczynam pracować nad budżetem państwowym i rozmaitymi obiektami poważnymi, a mniej śmierzdzącymi, niż babranie się w kryminałach i w steku nieczystości, zostawionych przez sejm.

— *Pomimo przygotowań wyborczych nurtują w opinii publicznej wątpliwości, czy — wobec negatywnego stosunku Pana Marszałka do posłów — nie zamierza Pan obchodzić się bez nich zupełnie na przyszłość?*

— Dotyka pan kwestii, którą niegdyś podniosłem, mówiąc o gasnącym świecie. Kwestia jest bardzo poważna i bardzo głęboka, gdyż niewątpliwie parlamentaryzm wszędzie na świecie jest chory. Wszędzie też czynią próby naprawy stosunków w ten czy inny sposób.

Co do mnie, proszę pana, nie sądzę, aby można było obejść się bez jakiegoś przedstawicielstwa wybranego i czyniącego zadość poczuciu odpowiedzialności. Natomiast, nie mogę nie powiedzieć, że wszystko, co się daje zaobserwować w Polsce w tej sprawie, czyni pracę nad zachowaniem tej zasady u nas niezwykle ciężką i niezwykle trudną do obronienia. A to głównie z powodu niecnego i nieprzyzwoitego zachowywania się posłów. Jak dotąd jednak — powtarzam — nie potrafiłbym zmienić siebie o tyle; dałem zresztą tego dowód, szukając na drodze wyborów naprawy naszego chorego parlamentaryzmu.

---

#### IV WYWIAD MIEDZIŃSKIEGO

(27 września 1930 r.)

*Jesienią 1930 r. gabinet Piłsudskiego był zajęty ułożeniem preliminarza budżetowego na rok 1931/32 na to, by ciała ustawodawcze, mające być wybrane w listopadzie, mo-*

gły zgodnie z postanowieniami Konstytucji rozpocząć niezwłocznie debaty nad budżetem 1931/32 r.

Przy pracy tej nasuwają się Piłsudskiemu zagadnienia związane z budżetem państwa i im poświęca on trzy swoje wywiady. W wywiadzie niżej przytoczonym, udzielonym redaktorowi Miedzińskiemu dnia 27 września 1930 r., Piłsudski wykazuje zle strony ustawowej konieczności redagowania przez rząd preliminarza budżetowego zbyt wcześnie i zbyt wczesnej pracy nad nim ciał ustawodawczych, i wskazuje na trzy uciążliwe dla państwa wydatki: pensje urzędnicze, wydatki związane z interwencją rządu na ceny zboża i wydatki wynikające z bezrobocia.

Wywiad podajemy według «Gazety Polskiej» z dn. 28 września 1930 r.

— Po dwutygodniowej przerwie pozwolę sobie znowu zapytać Pana Marszałka o bieg jego prac, jako szefa rządu.

— Proszę pana, cały właściwie jestem teraz w budżecie, który musi być ułożony na rok przyszedły — i zaledwie drobną cząstkę siebie mogę poświęcić na co innego.

Bo, wie pan, z budżetem jest jedna bieda doroczna. Bieda ta polega na tym, że rząd musi przewidzieć dochody państwowe na rok następny, ażeby, dopasowując się do nich, ułożyć wydatki. Za dawnych, przedwojennych czasów sprawę tę prowadzono inaczej: spokojnie latano niedobory nie czym innym, jak pożyczkami, tak, że zadłużenie państw rosło z dnia na dzień, a przynajmniej z roku na rok. Teraz ten «ułatwiony» sposób budżetowania nie idzie; budżetować trzeba, zaczynając od dochodów. Ta zaś praca jest mocno utrudniona nie przez co innego, jak przez terminy składania budżetu. Przewidywać trzeba dochody po przeżyciu zaledwie jednego półrocza<sup>1)</sup>, gdyż zaraz w październiku konstytucyjnie trzeba składać budżet. Ponieważ zaś dochody państwowe u nas, jako w kraju rolniczym, właśnie są największe w końcu roku kalendarzowego, przewidywania te muszą być bardzo chwiejne i naturalną tendencją staje się aż nadto ostrożne obchodzenie się z dochodami.

Pewnie, że zupełnie spokojnie można byłoby przenieść obowiązek składania budżetu na czas po grudniu, kiedy zostaje do skończenia roku budżetowego jeszcze trzy miesiące. Wtedy przewidywania mogą być oparte na mniej chwiejnych podstawach, a zatem bardziej rozsądne. To też zawsze mnie dziwiła dziwna taktyka sejmowa, która w stosunku do budżetu chce dla pracy sejmu nad budżetem zająć pół roku, rozciągając

<sup>1)</sup> Pierwsze półrocze budżetowe zaczyna się 1 kwietnia, a kończy się 30 września każdego roku.

swoją pracę w sposób, panu zresztą znany, bez żadnej sprawności technicznej, szukając u rządu jedynie pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy dla siebie. Ten system przedłużania prac sejmowych nad budżetem najczęściej zmusza ludzi rozsądnych do pracy na chybcika, do pracy banalnej, tak, aby, że tak powiem, naprawiać budżet dopiero przy jego wykonywaniu. Co do mnie, to od razu już wprowadziłem dla rządu mus podawania budżetu dopiero w samym końcu października — to znaczy przedłużyłem możliwość robienia budżetu o jeden miesiąc. Wprowadziłem również drugi zwyczaj — wykorzystywania praw Prezydenta do odłożenia debaty sejmowej nad budżetem jeszcze o jeden miesiąc<sup>1)</sup>, tak, aby budżet wyglądał przyzwoiciej, niż może wyglądać wtedy, gdy przewidywanie dochodów opierać się musi jedynie na jakimś «zgađuj, zgađuła».

Jeżeli zaś dodać do tego biurokratyczny system w stosunku do budżetu, jaki dzięki temu powstaje, to powiem panu dziwołąg, istniejący u nas jako zwyczaj — że zaraz po uchwaleniu budżetu, bez przeżycia nawet dwóch tygodni doświadczenia zaczyna się praca nad nowym budżetem. Przy czym zaczyna się już nie od dochodów, ale od wydatków, które w tym wypadku sięgają 4—6 miliardów<sup>2)</sup>, i cały rok trwa praca nad obcinaniem budżetów wydatkowych. System ten, tak śmieszny sam w sobie, przeczy właśnie głównej zasadzie, że budżet musi być ułożony według dochodów, a nie według wydatków.

Praca nad przelamaniem tych śmiesznych i nonsensownych zwyczajów i obyczajów, wyrosłych na tle naszego chorego parlamentaryzmu, nie jest, proszę pana, łatwą pracą. Raz kiedyś — pamięta pan — udało mi się ją przelamać do pewnego stopnia; robiłem to jednak na gwałt i w pośpiechu<sup>3)</sup>. Teraz zaś pracuję nad tym «con amore»<sup>4)</sup>, choć nie mam znowu

---

<sup>1)</sup> Ustęp 1 art. 25 Konstytucji z dn. 17 marca 1921 r. mówił: «Prezydent Rzeczypospolitej zwołuje, otwiera, odracza i zamyka Sejm i Senat», a ustęp 5 tegoż artykułu brzmiał następująco: «Odroczenie wymaga zgody Sejmu, jeżeli ma być w ciągu tej samej sesji zwyczajnej powtórzone, iub jeżeli przerwa ma trwać dłużej niż 30 dni».

Sejm został odroczony w 1927 r. zarządzeniem Prezydenta z dn. 3 listopada, a w 1929 r. — zarządzeniem z dn. 5 listopada, w obu wypadkach na dni 30 i wskutek tego w obu tych latach debaty sejmowe nad budżetem rozpoczęły się o miesiąc później.

<sup>2)</sup> Mowa o budżecie brutto, t. j. z wliczeniem całkowitych dochodów i wydatków przedsiębiorstw państwowych i monopoli, a nie tylko wpłat ich do Skarbu — jak to ma miejsce w zwykłym zestawieniu budżetowym.

<sup>3)</sup> Por. t. IX, str. 53.

<sup>4)</sup> Z zamilowaniem.



tych dodatnich stron, jakie były w owe czasy, gdyśmy już wyzyskiwali pożyczkę<sup>1)</sup>, która była w biegu.

— *Czy natomiast nie będzie w tym roku ulgą to, że nowy sejm zbierze się dopiero w grudniu?*

— Oczywiście, dotychczasowy okres budżetowania przedłuży się tym razem o cały miesiąc. Natomiast wielkim utrudnieniem dla zakończenia budżetu jest czas dość ciężki gospodarczo, z którym mamy do czynienia i który całkiem nie jest podobny do tego okresu, kiedyśmy mieli w rozporządzeniu wielkie sumy, pochodzące z pożyczki. Powiem panu od razu, że ten rok budżetowy niechybnie zamkniemy bez deficytu. Ale osiągnąć to można jedynie dzięki bardzo uciążliwej pracy nad osiągnięciem celu — bezdeficytowego budżetu.

Przy wszelkich analizach naszego budżetu tegorocznego, które dotąd uczyniłem przy pomocy p. ministra skarbu<sup>2)</sup>, dochodzę zawsze do tego samego wyniku, że nad naszym tegorocznym budżetem, jak z mora, ciążyą trzy specjalne obciążenia. Pierwsze obciążenie, proszę pana, polega na niezwyklej trudności zrobienia budżetu produkcyjnym, a nie «przejadanym», to znaczy ściśle gażowym. Trzeba panu dobrze pamiętać dla zrozumienia tej strony rzeczy, że wydaliśmy dzięki pożyczce amerykańskiej z górą 135 milionów na podniesienie płacy urzędnikom<sup>3)</sup>. 135 milionów więc, wydane z pożyczki, obciąża potem budżety normalne, bezpożyczkowe. W roku przeszłym, gdy dochody państwa doszły do nieznanej poprzednio wysokości i przekroczyły 3 miliardy, dochody ze zwykłych źródeł ten nadmiar pokryły, tak, że rok przeszły budżetowy wytrzymał nawet wszystkie szkody, które nam zrobiły mrozy w za-

<sup>1)</sup> Mowa o pożyczce stabilizacyjnej z 1927 r., z której część, a mianowicie 135 mil. złotych, przeznaczona była bezpośrednio na cele rozwoju ekonomicznego, a część w sumie 75 tys. zł na utworzenie płynnej rezerwy Skarbu, z której rząd pod pewnymi warunkami miał prawo pokrywać swe bieżące wydatki.

<sup>2)</sup> Mowa o ministrze Matuszewskim, który kierował Ministerstwem Skarbu od dnia 14 kwietnia 1929 r. do dnia 26 maja 1931 r.

<sup>3)</sup> Podniesienie pensyj urzędniczych, o którym tu jest mowa, zapoczątkowane zostało rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 23 stycznia 1928 r. w postaci jednorazowego zasiłku w wysokości 45% wynagrodzenia miesięcznego. Potem weszło ono w trybie warunkowym do ustawy skarbowej z dn. 22 czerwca 1928 r., która w art. 5 upoważniała Ministra Skarbu do udzielenia funkcjonariuszom państwowym miesięcznych dodatków do globalnej wysokości 150 mil. zł, ale tylko w razie osiągnięcia nadwyżki budżetowej.

Preliminarz budżetowy na r. 1930/31 stabilizuje tę podwyżkę, wprowadzając 15% dodatek do uposażeń urzędniczych za pomocą odpowiedniego podwyższenia prelimitowanych wydatków osobowych.

przeszłej zimie, a które jednak dochodziły do 70 milionów<sup>1)</sup>. Natomiast w tym roku już to obciążenie nadzwyczajnie silnie daje się we znaki budżetowi.

Dodam do tego, że to powiększenie o 135 milionów zrobiono wbrew moim doradom i wbrew moim chęciom, gdyż ja już wtedy ostrzegałem przed podobnie nierozsądnym maszerowaniem naprzód z gazami. Co prawda, w owe tłuste lata sądzono, że się uda przeprowadzić podwyżki podatkowe, które umożliwią wyciągnięcie budżetu, tak nadmiernie wyrosłego. Lecz, jak pan wie, sejm spokojnie, po swojemu, załatwiał sprawy, podwyższając uchwałami dochody i czyniąc w ten sposób budżet zupełnie komicznym i całkiem niezdatnym do wykonania. Podwyższano więc dochody celne, które akurat spadają; podwyższano dochody monopolowe, które akurat się zmniejszają; podwyższano dochody z kolei, która dochodów nie daje. Jednym słowem, robiono z budżetu jakieś hocki klocki, czyniąc realnym tylko podwyższenie wydatków na sejm<sup>2)</sup>, to jest na panów posłów — zgodnie zresztą z zasadą, że za uchwalenie budżetu trzeba dać pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy i do kieszeni panów posłów. W ten sposób pobożne zamiary rządu spelzły na niczym, a obciążenie pozostało w całej sile.

Drugim obciążeniem naszego budżetu tegorocznego jest tak zwana interwencja na ceny zboża<sup>3)</sup>, która kosztuje miesięcznie 3 do 3 i pół milionów, co rocznie daje około 40 milionów dodatkowego wydatku. Nie dość tego, jest i trzecia dziura dość duża — w związku z wytężoną pracą nad opanowaniem zjawiska bezrobocia<sup>4)</sup>. Prawda, że ta praca dała jednak w rezultacie bardzo wielkie zwycięstwo, gdyż liczba bezrobotnych spadła w ciągu ostatnich miesięcy więcej, niż

---

1) W zimie 1928/29 r. silne mrozy wyrządziły w Polsce znaczne szkody, które odbiły się ujemnie na dochodach państwowych w roku budżetowym 1929/30.

2) Wydatki na Sejm i Senat w 1927/28 r. budż. wyniosły 8 mil. zł, a w r. 1928/29 — 12 mil. zł, a w r. 1929/30 — 13 mil. zł.

3) Rząd w celu popierania eksportu i podniesienia wewnętrznej ceny zboża stosował w owym czasie trzy zasadnicze formy pomocy finansowej: 1) zwrot ceł, 2) ulgową taryfę kolejową, 3) zwalnianie od podatku od obrotu transakcyj eksportowych. O rozmiarach tej pomocy mówi fakt, że wydatek Skarbu Państwa tylko na pierwszą formę pomocy, t. j. na wywozowe premie zbożowe — wyniósł od 16 listopada 1929 r. do końca 1930 r. okrągło 42 mil. złotych.

4) Fundusz bezrobocia wypłacił w ciągu 1929 r. — 49,8 mil. zł, a w 1930 r. — aż 104,1 mil. zł. Poza tym na pomoc specjalną dla bezrobotnych wydawało Minist. Pracy i Opieki Społ. przeszło 2 mil. zł miesięcznie.

o 100.000, spadając prawie do czasów normalnych<sup>1)</sup>). Ale że to kosztuje, to kosztuje.

To są, proszę pana, trzy obciążenia budżetu, bardzo silne i bardzo utrudniające dojście do głównego celu — bezdeficytowego budżetu. Niechybnie na mnie spadła łatwiejsza praca, niż na p. Sławka; łatwiejsza dlatego, że stoimy obecnie przed tłustszymi miesiącami, niż były miesiące letnie. Jednak praca nad naprawą szkód, zrobionych za lat ubiegłych, nie jest wcale łatwa. Gdy zaś wrócę do budżetowania przyszłego roku — to główną kwestią, nad którą zastanawiać się teraz ciągle muszę, jest określenie globalnej sumy, którą budżet się zamknie. Doład nie jestem zupełnie pewien, na czym się zatrzymam. Chciałbym odciągnąć tę chwilę na dalszy nieco termin, skracając w ten sposób przepracowanie budżetu w detalach. Pragnąłbym przy tym bardzo, ażeby nonsensowny październikowy termin dla budżetu został w jakikolwiek sposób zniesiony; aby można było budżet składać dopiero w styczniu i aby można było zmusić sejm do umiejętnościszej w przyszłości pracy nad budżetem. To jednak, jak pan rozumie, zależy od tego, czy wyborcy przestaną wybierać oczajduszów, płatnych łajdaków i ludzi, którzy mają jechać do Warszawy dlatego, żeby być nadszoferem i nadprezydentem, nadkonduktorem i nadfinansistą. W każdym razie powiedzieć panu mogę, że budżet tegoroczny zamknięty będzie bez deficytu<sup>2)</sup>) i że tak samo zupełnie postąpię z przyszłym budżetem.

— *Tedy Pan Marszałek w ostatnich czasach obciążony był głównie pracą nad budżetem?*

— No, to się pan grubo myli. Jesteśmy przecie po czterech tygodniach skończonych okresu wyborczego i moja praca nad szanownymi byłymi posłami ustać nie może. Przede wszystkim zanotować muszę ogromną swoją radość, że sądownictwo idzie mniej więcej w ten sam sposób, jak ja bym sobie życzył i to — mogę pana zapewnić — bez żadnego nacisku z mojej strony.

Bo jeszcze raz panu powtarzam, że to dziwaczne pojęcie zupełnej bezkarności panów posłów, sięgające tak daleko, że żaden z nich nie może być ścigany sądownie nigdy i w żadnym wypadku, ba — nawet dochodzenia sądowe nie są dozwo-

---

<sup>1)</sup> Liczba bezrobotnych w końcu marca 1930 r. wynosiła 289 tys., w końcu września, a więc w czasie gdy wywiad ten był dawany, wynosiła 170 tys.

<sup>2)</sup> Faktycznie rok budżetowy 1930/31 zamknięto deficytem 63,5 mil. zł, a r. 1931/32 — 207 mil. zł, a to wskutek wzmagania się kryzysu gospodarczego.

lone w stosunku do nich — że zjawisko to, tak niecne i nieczemne, musi przede wszystkim obrażać poczucie sprawiedliwości, nie mówiąc już o stałej demoralizacji, coraz bardziej zwiększającej się w tej uprzywilejowanej grupie ludzi. Demoralizacja ta od czasu istnienia Polski tak się powiększyła, a panowie posłowie tak się rozbestwili, że ja, gdy przyszedłem do władzy, postawiłem sobie za zadanie rozbić tę aberację myślową panów posłów, jakoby mieli prawo kpić z praw, z przyzwoitości i ze wszelkich norm, cenionych przez ludzi. Dlatego też zakpiłem wyraźnie ze wszystkich płaszczyków, w które ci panowie chcą ubierać swoje niecne postępowanie. I jeżeli czego żałuję, to, niestety, powolności w procedurze sądowej, która może nie nadaży za krótkim terminem, wyznaczonym na «karność» panów posłów. Lecz przynajmniej te niechlujne stworzenia wysiedzą się należycie w więzieniu; nauczą się może trochę dyscypliny, stosowanej do nich, i może trochę tej durnej aberacji myślowej panowie «pyskacze» zagubią.

Zresztą, proszę pana, te dwa tygodnie pracowałem też nad jednym jeszcze zjawiskiem, związanym z panami posłami. Jak pan wie, panowie posłowie, którzy byli urzędnikami państwa, mają prawo do powrotu do służby państwowej natychmiast po zakończeniu swojej, jakoby «służby» w sejmie<sup>1)</sup>). Panowie ci, naturalnie, jako uprzywilejowani, wracając do służby, nie chcą służyć wcale, pobierając jednak odpowiednie uposażenie; jeszcze raz: pieniądze, pieniądze, pieniądze, tym bardziej, że im się nadzwyczajnie chce prowadzić dalej swoje niecne życie, a zatem kandydować raz jeszcze. Sytuacja zaś wytwarza się taka, że posady, które ongiś ci panowie zajmowali, są zajęte i jakoby państwo wtedy powinno dla tych byłych urzędników i byłych posłów razem wyrzucać z posad ludzi, którzy tam pracowali, na rzecz panów, którzy nie chcą pracować; albo też wyszukiwać fikcyjne posady, na których ci panowie nie będą pracować, a jednak pobierać gaże. Takich panów okazało się do czterdziestu. I panowie ministrowie wraz ze mną mieli sporo pracy nad tymi dokuczliwymi jegomościami. Wybrnęliśmy jednak jako tako, nie obciążając, jak dotąd, skarbu więcej, niż tylko jednomiesięczną gażą. Ten więc haniebny proceder tak zwanych byłych posłów rozciąga się, jak pan widzi, we wszyst-

<sup>1)</sup> Art. 16 Konstytucji z dn. 17 marca 1921 r. brzmiał następująco: «Pracownicy państwowi i samorządowi, z chwilą wyboru na posła, otrzymują na czas trwania mandatu poselskiego urlop. Przepis ten nie dotyczy ministrów, podsekretarzy stanu i profesorów wyższych uczelni.

Lata, spędzone na wykonaniu mandatu poselskiego, liczą się do lat służby».

kich dziedzinach życia państwowego — od więzienia aż do ciepłej posady. I nad tym wszystkim szef gabinetu musi pracować. Niech mi pan wierzy, że pracuję jak najgorzej dla panów byłych posłów, żeby przynajmniej niecnosć życia takich ananasów wylała na zewnątrz.

## V WYWIAD MIEDZIŃSKIEGO

(4 października 1930 r.)

*Wywiad niżej przytoczony został udzielony redaktorowi Miedzińskiemu dnia 4 października 1930 r. Piłsudski, nie kwestionując prawa uchwalania budżetu przez ciała ustawodawcze, krytykuje dotychczasowe metody pracy Sejmu nad budżetem i podnosi potrzebę uczynienia budżetu więcej przejrzystym i bardziej elastycznym.*

*Wywiad podajemy według «Gazety Polskiej» z dn. 5 października 1930 r.*

— *Jakież są perspektywy doprowadzenia w pracach budżetowych do tych celów, o których Pan Marszałek mówił ostatnim razem?*

— *Wie pan, że znowu dwie trzecie tygodnia poświęciłem wyłącznie pracy nad budżetem, starając się coraz bardziej uściślić te wątpliwości i niepewności, jakie jeszcze w tej pracy pozostały. I wreszcie stanąłem przed główną kwestią w sprawie ułożenia budżetu. Pan się może zdziwi, że nazwę tę kwestię bardzo ostro i złośliwie, a jednak tak ją nazwę; zatrzymałem się mianowicie na zagadnieniu, jaką dozę «oszukaństwa» mam sobie dozwolić w budowaniu budżetu.*

*Powtarzam, niech się pan nie dziwi mojemu określeniu. Nieraz używać muszę bardzo ostrych określeń dlatego, że, niestety, tylko takie określenia pozostają w Polsce w pamięci; inne określenia, bardziej, że tak się wyrażę, dyplomatyczne prowadzą tylko do wzrostu aberacji myślowych.*

*Nigdy nie zapomnę, wie pan, jednego wypadku w swoim życiu, który mnie doprowadził do wielkiego zażenowania się. Było to w tych czasach, kiedy byłem Naczelnikiem Państwa i kiedy ówczesny premier angielski, znany Lloyd George, występował dość często przeciwko Polsce w niezwykle ostrych przemówieniach. A było to, proszę pana, w okresie tym, kiedy cała Polska chorowała na nadczułość właśnie w sprawach za-*



granicznych. W rozmowie więc z posłem angielskim <sup>1)</sup> zwróciłem mu uwagę na ten fakt ostrych wystąpień premiera angielskiego, twierdząc, że w ten sposób wymusza on prawie odpowiedź w takim samym tonie. Poseł angielski — obok innych tłumaczeń — dodał wreszcie, że ja muszę zrozumieć, iż w takim zac zadaniu, w jakim Polska w sprawach międzynarodowych pozostaje, inny sposób wystąpień jego premiera nie byłby zrozumiała i rzeczy, delikatnie wyrażone, każdyby tłumaczył na swoją jedynie korzyść. Wyznam panu, że jako główny reprezentant Polski na Bożym świecie, nie pamiętam drugiego tak głębokiego zażenowania.

Oczywiście więc, gdym mówił o «oszukaństwie», łatwiejby mi było użyć określenia «nieściskości» i «niedokładności»; w budżecie państwa bowiem liczy się na miliony i miliardy i tylko idiota, albo jakiś głupi bubek, który niedokładnie liczy nawet swoje chustki do nosa albo inne części bielizny, może sądzić, iż jakikolwiek rachunek na miliony i miliardy może być podobny do rachunku na złotówki i grosze.

Gdy jednak używam słowa «oszukaństwo», czynię to dlatego, że nasze budżety zawsze dotychczas spotykały się ze szczególnym gatunkiem ludzi i równie szczególnym systemem w sejmach. System, dotąd, niestety, spotykany w sejmach polskich, należy do najniższego gatunku pracy ludzkiej i do najnikczemniejszych sposobów postępowania z poważną pracą państwową.

Proszę pana, kiedy to mówię, to myślę o swojej pracy w tej właśnie dziedzinie, poczynawszy od wypadków majowych. Będąc zasadniczym przeciwnikiem jakichkolwiek rządów sejmowych, rządów klubowych, rządów, gdzie głównym interesem jest — wbrew Konstytucji, jak to udowodniałem — wzrost wychodków partyjnych, zdecydowałem od razu, że permanentnych sejmów w Polsce nie dopuszczę. Dlatego też zastanowić się musiałem nie tylko nad ograniczeniem czasu trwania sesji panów posłów, ale i nad przedmiotami, któreby były obiektem ich prac. Zatrzymałem się wtedy na myśli, że — szanując, naturalnie, nie posłów, lecz samą instytucję sejmu — skoncentrować muszę pracę tak zwanego parlamentu na budżecie. Gdyż właściwie budżet jest istotą praw parlamentów na świecie i z tego właśnie źródła wypłynęła walka, na całym świecie w swoim czasie toczona z absolutyzmem, która tyle krwi i tyle wysiłków kosztowała całą ludzkość. W tym kierunku też postępowiałem i uczyłem postępować to pokolenie

---

<sup>1)</sup> Posłem angielskim w Polsce w latach 1919—1920 był Sir Horace Rumbold.

ministrów, które zaczęło pracować po maju. Jednakże, przyglądając się bacznie tej właśnie pracy i tej dziedzinie życia publicznego w Polsce, przekonałem się dość szybko, że jestem, niestety, z tymi sejmami, a raczej z tymi posłami, na bardzo uciążliwej i demoralizującej drodze.

Przede wszystkim, proszę pana, pamiętać trzeba o technice pracy rządowej. Technika ta, podwyższając się co roku, stała zawsze znacznie wyżej, niż technika pracy sejmu, tak, że najczęściej była ta rozmowa człowieka z gęsią i prosięciem. Działo się zaś to głównie dlatego, że panowie posłowie — zamiast ześrodkować się na głównych kierunkach i rysach budżetu — próbowali, swoim niecnym zwyczajem, być nie tylko konkurentami, ale i zwierzchnikami rządu właśnie w drobnych szczegółach, czyniąc w dodatku małpie wysiłki w celu dobrania się, jeżeli nie do łydek, to przynajmniej do spodni panów ministrów. Tendencja ta musiała kurczyć i zmniejszać jak najbardziej ambicje panów ministrów w ich pracy. Zmuszała ich do stosowania się do poziomu najniższego. I wtedy całe mnóstwo drobnych targów i «oszukaństw» zostało z konieczności zepchnięte przez ministrów na ich urzędników. Były to śmieszne małpie grymasy, w których uważano za wielki ewenement np. zmniejszenie dotacji reprezentacyjnej o jakieś 12 złotych lub coś podobnego.

Rozwijała się ta historia według przysłowia: im dalej w las, tym więcej drzew. Tym więcej tedy było bezczelnej konkurencji w rzekomej znajomości przedmiotu, tym więcej łgarstwa śmiesznego i głupiego i tym więcej targów, chociażby poza kulisami z drobnym macherstwem politycznym, i wyciągania grosza publicznego na panów posłów i na wychodki partyjne.

Naturalnie, rozumie pan, że jeżeli idzie o taką blażeńską komedię, to górą zawsze mógłby być rząd, jako lepiej znający przedmiot, umiejętniej obracający tymiż milionami i miliardami i — jeżeli idzie o faktyczną przewagę — to mogący zupełnie nie dbać o sądy panów posłów i spokojnie oszukiwać ich, jak mu się żywnie podoba.

W moich próbach naprawienia tego stanu rzeczy zawiodłem się głęboko. Poszedłem wtedy, jak pan wie, inną drogą — skracaniem za wszelką cenę okresu gadania budżetowego, zmniejszając w ten sposób przemoczenie rządu i ministrów ustawicznymi szantażami, zarówno poszczególnych posłów, jak i całych wychodków partyjnych. A jeżeli teraz zastanawiam się nad dopuszczalnym stopniem niedokładności i nieściłości, a zatem i «oszukaństw» w sprawie budżetu, to dlatego, że mam

wciąż jeszcze do czynienia z nawykami i przyzwyczajeniami pracy dotychczasowej.

Głównym zaś rzeczowym powodem tego, że tak powiem, wzmożenia moich wątpliwości jest podniesiona już raz przeze mnie kwestia luzów budżetowych. Pewna elastyczność w budżecie wydaje mi się konieczna, już to dlatego, żeby przewidywania budżetowe ściślej przystosować do rzeczywistości gospodarki co najmniej rocznej, a w wielu wypadkach z musu sięgającej do lat czterech i pięciu; a to dlatego, że i rok rokowi nie jest równy. Nie sądzę jednak, iż mógłbym zmienić nawyki i przyzwyczajenia, i nie przypuszczam, abym mógł wprowadzić zupełnie otwarte i szczere postępowanie; muszę się tedy zastanowić nad kwestią luzów i zrobienia budżetu uczciwie bardziej płynnym w rękach ministrów.

Tracę, jak pan widzi, czas i wysiłki swoje, ażeby wydobyć choć cokolwiek dla mojej zasadniczej tendencji — zrobienia budżetu o bardziej prawidłowej budowie i podniesienia poziomu pracy nad budżetem zarówno w rządzie, jak i w sejmie. Czy mi się to uda — to jest pytanie, które postawiłem sobie na piątkowej konferencji z ministrem skarbu. Forma, proponowana mi przez ministra skarbu, niebardzo mi się podoba i nielatwo mogę się na nią zgodzić. Na tym więc, widzi pan, utknęła moja biedna praca nad budżetem.

— *Dążeniem Pana Marszałka w konstrukcji budżetu byłoby zatem uczynienie go bardziej dostosowanym do życia?*

— Zapewne, proszę pana, można to określać i w ten sposób, gdyż sama forma naszych budżetów jest niedostosowana ani do życia, ani do możliwości zrozumienia. Dość panu powiedzieć, że dzięki tej właśnie formie ja, jako minister, nigdy nie otwierałem tej księgi dla swojej pracy, gdyż musiałem, że tak powiem, przerobić ją tak, ażeby móc wyodrębnić kwestię, nad którą w danej chwili pracowałem, wyciągnąć ją z gęstwiny cyfr, ułożyć ją inaczej, ażeby mieć dostateczny przegląd dla swoich prac. I jeżeli musiałem to robić za każdym razem, kiedy przestępowałem do konkretnej pracy, to chyba dostateczny dowód, że budżety są ułożone niepraktycznie i niedostosowane do istoty pracy każdego z ministrów.

Naturalnie, proszę pana, gdy mamy za sobą taką przeszłość, gdy panowało stałe oszukiwanie, to im więcej zapłatanie rzecz ułożyć i napisać, tym więcej miejsca do oszukaństwa. Przecież, proszę pana, minister u nas zaczyna rozumieć treść swego budżetu, tak napisanego, dopiero po roku dobrej służby; przecież musiano trzymać cały szereg «speców» do tego, żeby tak napisać budżet. Zawsze sobie przypominam, gdy o tym

mówię, niejakiego majora Grosska <sup>1)</sup>, który dlatego, aby wojsko nie było zanadto naciągane i oszukiwane, nauczył się tej specjalności, tak, żeby i wojsko oszukiwać mogło. Naturalnie, nie chodziło tu o sejm, ale o inną dykasterię konkurencyjną w postaci ministra skarbu i jego urzędników. Gdyż sejm oszukać jest zawsze łatwo — to musi się pan z tym zgodzić — z tamtymi za to jest gorzej; tam bowiem siedzą główne «spece».

W tym roku, proszę pana, pójdę na pewno w tym kierunku, którego dawno się domagam: przynajmniej swój budżet, budżet ministerstwa spraw wojskowych, ułożę inaczej, niż dotąd był układany <sup>2)</sup>). Zrobię przynajmniej jakiś przyzwoity początek, gdyż nie wątpię, iż innym ministrom przyjdzie to z wielką trudnością. Cała praca nad przejrzystością budżetu wymaga, zdaniem moim, kilku dobrych lat pracy bardzo ciężkiej i bardzo mozolnej.

Więc widzi pan, że mówiąc: «dostosowalny do życia», postawił pan kwestię, która się zaraz rozpada na kilka odrębnych; gdyż życie jest zanadto ogólnikowym pojęciem i tyczyć się może nie tylko życia posłów, ale i osłów — że strawestuję mistrza Słowackiego, który w ten właśnie sposób rymował, panów posłów do osłów przyrównywując <sup>3)</sup>).

Jak pan widzi, trzymają się mnie i żarty. Ot, co znaczy odejść choć na tydzień od nieznośnej i obrzydliwej pracy barbaria się w brudach; zaraz i humor przybiera i po dawnemu nasuwają mi się cytaty ze Słowackiego.

<sup>1)</sup> Mowa o Michale Grossku, który od 1921 r. był referentem, potem kierownikiem referatu, a wreszcie — szefem biura układającego budżet Min. Spraw Wojsk.

<sup>2)</sup> Istotnie w preliminarzu budżetowym Ministerstwa Spraw Wojskowych na r. 1931/32 wprowadzono nowy szemat budżetu, dzieląc i grupując wydatki według: 1) ich przeznaczenia, 2) sposobu ich realizacji.

Co do ustalenia wydatków, to ustalono trzy główne grupy: 1) utrzymanie wojska, 2) jego zaopatrzenie, 3) jego wyszkolenie.

Wydatki czynione w każdej z tych głównych grup rozbito — stosownie do sposobu ich realizacji — na: 1) wydatki stałe, które są uskuteczniane zarówno w wysokości jak i terminach, z góry na cały rok ustalonych i 2) niestałe, których uskutecznienie, przewidziane tak co do terminu jak i wysokości w planach wykonania budżetu, zależne są jednak od różnych okoliczności i wymagają każdorazowej zgody ministra spraw wojskowych.

<sup>3)</sup> Rym ten znajduje się w jednym z rzutów pierwotnych opisu Krymu w pieśni VII «Beniowskiego»:

«Gdzie jeździec rozum swój powierza osłom...  
I spokojniejszy jest, zamknąwszy oczy...  
Niż... ja, co wierzę Sejmowi i posłom».

## VI WYWIAD MIEDZIŃSKIEGO

(18 października 1930 r.)

W wywiadzie niżej przytoczonym, który został udzielony redaktorowi Miedzińskiemu dnia 18 października 1930 r., poruszył Piłsudski następujące zagadnienia: W jakim stopniu budżet na r. 1931/32. powinien być mniejszy niż budżet na r. 1930/31. Czy mógłby każdy resort układać swój budżet w formie dla niego najodpowiedniejszej dla uniknięcia skamieniałości budżetu, co wobec płynności życia musi doprowadzać do obchodzenia budżetu i daje supremację urzędników ministerstwa skarbu, krępującą indywidualną pracę poszczególnych resortów.

Następnie Piłsudski wskazuje, że przy zbytym zaabsorbowaniu ministrów przez Sejm, w resortach muszą rządzić urzędnicy, a nawiązując do ówczesnych prób robienia zamachów, wykazuje niedorzeczność łączenia parlamentaryzmu z terrorem.

Wywiad podajemy według «Gazety Polskiej» z dn. 19 października 1930 r.

— *Minęły dwa tygodnie od ostatniej rozmowy, Panie Marszałku, pozwalam więc sobie znowu zwrócić się z zapytaniem o bieg prac Pana Marszałka, jako szefa rządu.*

— Pan, jako dziennikarz, oczekuje ode mnie, naturalnie, wynurzeń, związanych z rzeczami najbardziej epatującymi<sup>1)</sup>. Niestety, proszę pana, tymi właśnie epatującymi rzeczami ja się zajmowałem mało i dlatego od nich nie zacznę; natomiast zacznę od rzeczy, którą się najbardziej zajmowałem, to znaczy od nieszczęsnego budżetu. Pan wybaczy, że pana i czytelników pańskich będę nudził, ale kiedy przyszedłem na stanowisko szefa gabinetu — a jak myślę, z pewnym powodzeniem dotąd rządząc państwem — to od razu zdecydowałem, że specjalnie dużo będę musiał poświęcić czasu na budżet państwowy na rok przyszły; powiedziałem też sobie od razu, że jest tam właśnie dla mnie coś do zrobienia.

Przede wszystkim zaznaczyć muszę, że dotąd nie dobrnąłem do globalnej sumy wydatków, dopasowanych do dochodów, natomiast wyznaczyłem już i ogłosiłem panom ministrom termin, kiedy zasiądziemy do uchwalenia budżetu — około 1 listopada. Wytłumaczyłem również panom ministrom, że zatrzymuje mnie w tej sprawie nie kto inny, jak mój doradca finansowy, minister skarbu. A to dlatego, że ja, pomimo względnie ciężkiego stanu, chciałbym iść z budżetem o zmienionej globalnej sumie w porównaniu z tegorocznym, na-

<sup>1)</sup> Zdumiewającymi.



tomiast mój doradca finansowy nalega uporczywie, ażebym zgodził się na obniżenie budżetu. Zdecydowałem się więc omówić z każdym z ministrów z osobna kwestię, co on może ze swego budżetu ustąpić; zastosowałem to także do samego ministra skarbu. Daję przy tym ministrom, nie wyłączając ministra skarbu, zapewnienie, że swemu doradcy finansowemu nie zdradzę, jak daleko sięgnąć może każdy z nich w obcięciu swego budżetu; tego święcie dotrzymuję, tak, że dotąd nikt nie wie, jak daleko każdy minister doszedł ze mną w tej sprawie. Uprzedziłem ich wszystkich, że muszę być przygotowany przy określeniu sumy globalnej na dwie ewentualności: jedną, która wyraża moją dotychczasową opinię, że możemy nie cofać się od sumy globalnej obecnego budżetu, i drugą, to jest ewentualność, że będę musiał ustąpić swemu doradcy finansowemu, p. Matuszewskiemu, i budżet zmniejszyć.

Uprzedziłem też panów ministrów, że, naturalnie przy ostatecznej rozmowie odbędą się targi z p. Matuszewskim, że ja będę szedł in plus, a on — in minus, i wtedy dopiero podzielię globalną sumę pomiędzy ministerstwa. Z prawdziwą przyjemnością zaznaczę, że jak dotąd żaden z ministrów nie pozostał głuchym na moje żądania i każdy podał mi, choć z biedą, do wiadomości te sumy, o które może jego budżet być obcięty. Tak, że teraz w głowie mi ciągle tańczą cyfry przypuszczalnej sumy globalnej, do której w ten sposób dojść mogę.

Dodam panu do tego tę rzecz, która, jak mówiłem, jest dla mnie do zrobienia i do której nareszcie się dorwałem. Nie mogę bowiem dotąd pogodzić się z myślą, aby budżet był konstruowany i układany w ten sposób, jak dotąd w Polsce się on układał. Rozpoczynałem tę sprawę już nieraz po wypadkach majowych i za każdym razem w tym durnym systemie pracy sejmowej musiałem ją zarzucić. Teraz zaś zdecydowałem się iść do końca.

Chodzi mianowicie o zasadę, że minister odpowiada za swój budżet przed sejmem i dlatego nie należy mu przeszkadzać w układaniu budżetu tak, jak jego indywidualna obrona swego budżetu wymaga.

Jak pan rozumie, ten sposób układania budżetu wymierzony jest przeciwko dotychczasowej supremacji «redakcyjnej» ministra skarbu i jego urzędników nad ministrami resortowymi w układzie budżetu; nastęrcza to, rzecz prosta, poważne trudności.

Oświadczyłem panom ministrom na wczorajszym posiedzeniu Rady Ministrów, że każdy z nich jest wolny w układaniu budżetu swojego resortu, układając go w formie dla niego

indywidualnie odpowiedniej. Żądałem tylko jednego, ażeby wszystkie wydatki osobowe były wyodrębnione albo też zestawione dodatkowo, dla jasności sytuacji. O ile ta rzecz jest nowa, sądzić można z tego, że na tym posiedzeniu panowie ministrowie nie mówili nic, dopóki tej sprawy nie poruszyłem; wtedy dopiero zaczęły się pytania i dyskusje. Dotąd uśmiecham się wesoło, gdy ten moment sobie przypominam, a sądzę, że koledzy wybaczą mi tę niedyskrecję, popełnioną publicznie. Wybacz mi pan, że się trochę nad tym zatrzymam — dlatego, że rzecz warta jest zastanowienia.

Prace budżetowe w latach ubiegłych dążyły wiednie i bezwiednie do systemu skamieniałości. Skamieniałości, tak daleko idącej, jak gdyby można było przewidzieć, na półtora roku przed zakończeniem wykonania układanego teraz budżetu. prace każdego resortu z dokładnością nawet nie w milionach złotych, ale w setkach złotych. Ja w mojej dotychczasowej pracy liczę, rozumię i kalkuluję tylko milionami, nie dopuszczając nawet do kalkulacji półmilionami. Bo i jakżeż jakikolwiek minister może kalkulować setkami złotych? Jest to jedna uwaga.

Druga uwaga jest ta, że taka skamieniałość powtarzać się musi nieledwie rok w rok, dążąc jak gdyby do uwiecznienia. I wtedy to «paleontologiczne» ujęcie budżetu nie daje możności jakiegokolwiek postępu. A wobec tego, że to jest niemożliwe, więc duża część budżetu staje się oszukańczą i zmusza do krętaństw, specjalnie u panów urzędników bardzo daleko idących. Obok tego ta supremacja ministerstwa skarbu we wszystkich drobiazgach budżetu nie może dać skrzepowania każdego z ministrów, tak daleko idącego, że zatracą on indywidualność swojej pracy i musi podlegać nieodpowiedzialnym elementom biurowym, podczas gdy to on przecież odpowiada za wszystko. Niechybnie, proszę pana, nie można myśleć, że moja próba, uczyniona w tym roku, da wielkie rezultaty. Ja otwieram tylko drogę, którą iść należy i która w swoim rozwoju, po kilku dobrych latach, da jednak lepsze i większe rezultaty, niż ludzie myślą.

Ta główna wada naszego budżetu jest wynikiem wielkich wad parlamentaryzmu, które prowadzą do tak wielkiej dozy oszukaństwa, że w jego powodzi trudno już nawet złapać to, co jest istotną prawdą. Weźmy np. system nieodpowiedzialności. Przy dzisiejszych wyborach doradzałem ministrowi Carowi i ministrowi Składkowskiemu, żeby dali się wybrać i na wszelkie krzyki panów posłów, grożąc im kulakiem, odpowiadali językiem parlamentarnym: «Ty durniu, ja jestem poseł,

nieodpowiedzialny, jak i ty, bałwanie, — a zatem milcz i schowaj pysk do swego wychodka!»

Radziłem właśnie taką odpowiedź, jako może najlepszy system ośmieszenia tej nieodpowiedzialnej niegodziwości. To samo jednak tyczy się odpowiedzialności finansowej. Przy stałej tendencji robienia prób rządzenia za pomocą sejmu stwarza się rządy nieodpowiedzialnych urzędników, albowiem każdy parlamentarny rząd nie czym innym zajmować się musi, jak codziennym określaniem swojej sytuacji w sejmie — i poświęca na to tyle uwagi, że o istotnej pracy ministra nad resortem nie ma mowy. W tych warunkach, proszę pana, na stanowisko ministra dobiera się najzręczniejszego intryganta i ta właśnie cecha jest najwyżej ceniona. Więc po cóż tak głośno krzyczyć o jakiejś odpowiedzialności, robić z tego błazęństwa «żrenicę swobody» i używać różnych innych pięknych słów?

— *Jak widać z powyższych wynurzeń Pana Marszałka, ostatnie «epatujące» zdarzenia nie oderwały go istotnie od głównej pracy?*

— Wie pan, takim zjawiskom, jak zamach na mnie, czy na kogo innego<sup>1)</sup>, oraz te bezmyślne najzupełniej wybryki w Częstochowie<sup>2)</sup>, nie poświęcałem zbyt wiele uwagi. Jest, co prawda, przysłowie: kto wiatr sieje, ten burzę zbiera. Ale wypadki te zanadto mało podobne są do burzy. Co do mnie, spokojnie określiłem, że mamy do czynienia w obu tych wypadkach z elementami rozkładu: rozkładu wydętej i dość smrodliwej wielkości, który to rozkład dawać musi raz po raz wielkości, który to rozkład dawać musi raz po raz takie czy inne, trudne do obliczenia i przewidzenia wypadki. Kto bowiem gada o «uzbrojeniu ludu» i kto dobiera do tego elementy ciemne i mało rozwinięte — potem się zaś wyrzeka wszystkich swoich poprzednich obietnic — ten musi konsekwentnie, jako czyn-

<sup>1)</sup> Dnia 14 października 1930 r. ogłosiła Polska Agencja Telegraficzna następujący komunikat: «Władze bezpieczeństwa zaarrestowały kilku członków milicji Polskiej Partii Socjalistycznej (C. K. W.) pod zarzutem przygotowania akcji terrorystycznej. Według dotychczasowych zeznań organizatorem tej akcji był Jagodziński, który zamierzał rzucić bombę na samochód Marszałka Piłsudskiego, używając swych współpracowników do osłonięcia strzałami rewolwerowymi swej ucieczki».

<sup>2)</sup> W dniu 16 października 1930 r. Kostrzewski, członek milicji partyjnej P. P. S. w lokalu Powiatowej Kasy Chorych w Częstochowie zamordował inspektora Furmańczyka i komisarza Rejowskiego, ranił zaś ciężko parę osób, między innymi dra Biluchowskiego. Furmańczyk i dr Biluchowski kandydowali do Sejmu z listy okręgowej Bloku Bezpartyjnego.

nik nieodpowiedzialny, zrzucać na plecy innych skutki swego głupiego postępowania.

Ja nieraz rozmawiałem z panem chętnie o zjawisku abejacji myślowej, która prowadzi właśnie do tak chaotycznych i nieznośnie głupich kalkulacyj. To samo się zdarzyło z naszymi socjalistami, którzy zachorowali na nedorzeczną megalomanię i tak bezpodstawne mniemanie o sobie, że dla mnie np. byli tylko śmieszni, chociaż innych napawali obawą. Jednak próba połączenia parlamentaryzmu z rewolwerem stanowi rekord głupoty naszych socjalistów. Do takiego nonsensu jeszcze nikt się nie domyślił. Uprzedzałem tych, którym wiedzieć o tym trzeba, że skutki tej megalomanii dadzą się odczuć w Polsce dosyć długo i wątpię, by minęły szybko. Jest to jeden z powodów, dla których, gdy przyszedł okres wyborczy, zdecydowałem się od razu na zakaz wszelkich manifestacyj i pochodów i to zakaz bezwzględny. Zaś ostatnie wypadki — w dostatecznej, jak mi się zdaje, mierze — udowodniły, jak dalece ten zakaz był słuszny i celowy.

---

## VII WYWIAD MIEDZIŃSKIEGO

(24 października 1930 r.)

*Dnia 7 października 1930 r. wpłynęła do Państwowej Komisji Wyborczej lista państwowa kandydatów Bloku Bezpartyjnego, na której czele zostało za zgodą Piłsudskiego umieszczone jego nazwisko. Piłsudski w wywiadzie niżej przytoczonym, udzielonym redaktorowi Miedzińskiemu dnia 24 października 1930 r., podaje powody dlaczego zgodził się na kandydowanie z listy Bloku Bezpartyjnego, odgradza się od poglądów «cezarystyczno-rewolucyjnych», a, kreśląc dzieje swej walki z suwerennością partyj, wypowiada nadzieję, że nadchodzące wybory pozwolą Polsce zerwać z tą suwerennością i w ten sposób umożliwią lepszą pracę nad rozwojem Polski.*

*Wywiad podajemy według «Gazety Polskiej» z dn. 25 października 1930 r.*

— *Proszę o wybaczenie, Panie Marszałku, że pozwalam sobie trudzić go znowu. Tym razem chciałbym zapytać o wybory.*

— *Bardzo rad jestem, że pana widzę, gdyż rozumiem, że będę musiał wytłumaczyć publicznie, dlaczego, wbrew dotych-*

czasowemu mojemu postępowaniu, zgodziłem się dać swoje imię na wybory do sejmu. Nigdy dotąd tego nie czyniłem, pomimo, iż przy każdych prawie wyborach byłem upraszany o to. Zawsze odmawiałem stanowczo. Odmawiałem zaś przede wszystkim dlatego, że nie mogłem sobie wyobrazić swojej osoby w tej metodzie pracy, jaką ma każdy sejm i każdy parlament. Były jednak poprzednio i inne motywy, do których przywiązywałem nadzwyczajną wagę.

Nie mogłem sobie mianowicie wyobrazić, że mogę stać w jakiegokolwiek szranki partyjne. Tym bardziej, że rozwój pracy sejmu u nas prowadził partie do takiego zacieśnienia, iż każda drobna praca partii znaczyła dla posłów znacznie więcej, niż praca dla ogółu, niż praca dla wszystkich. Konkurencja partyjna poszła u nas od pierwszej chwili istnienia państwa tak dziwacznie i tak ostro, a zarazem z tak wielką ilością kłamstwa i łajdactwa, że od razu zaczęło się wytwarzać to, co nazwałem: «cloaca maxima»<sup>1)</sup>). Każde nadużycie, każde łajdactwo było dobrym wtedy, gdy robił je człowiek partii własnej, złym zaś tylko wtedy, gdy robił je członek innej partii. Chciwość zaś na pieniądze, jako czynnik siły partyjnej, rosła tak gwałtownie, że każda partia cuchnęła zbyt silnie, abym ja był w stanie wytrzymać.

Nawet, gdy przy przeszłych wyborach stanął w szranki walki o mandaty t. zw. Blok Bezpartyjny, odmówiłem i temuż Blokowi swojego imienia, — dlatego, że się bałem, iż nie potrafi on nacisku partyjnictwa wytrzymać. Minęło jednak parę lat pracy. Obserwując ją, musiałem skonstatować, że zjawienie się na arenie publicznej Bloku Bezpartyjnego Współpracy z Rządem, który wyszedł od razu na najliczniejszy klub w sejmie, spowodowało natychmiast połączenie się wszystkich partyjnych wychodków przeciwko Blokowi. Jak gdyby zostało rzucone hasło: «Wszystkie łajdaki partyjne, łączcie się, bo wspólne niebezpieczeństwo idzie!»

Niechybnie — przy tym niebezpieczeństwie, grożącym metodom, wyrobionym przez dotychczasowe sejmy, żeglujące pod banderą warcholów partyjnych, rosła zaciekłość i nienawiść, a jednocześnie wzrastała niemożliwość dalszego brnięcia w tym samym kierunku, w którym szły dwa sejmy poprzednie. Po namyśle więc zdecydowałem, że nazwisko swoje muszę dać tam, gdzie jest słuszność i większa nadzieja na poprawę tak zabagnionych stosunków Rzeczypospolitej. W Bloku Bezpartyjnym skupiają się bowiem ludzie, którzy potrafią prze-

<sup>1)</sup> Stek największych brudów.



chodzić do porządku dziennego nad wszystkimi drobnymi interesami i wygodami, nad interesami czy wygodami swej grupy, dla pracy nad dobrem ogólnym. Możliwą więc się staje przyzwoita praca i możliwą jest także naprawa zepsucia, wniesionego do Polski przez zawodowych «pyskaczy» partyjnych.

Drugą przyczyną, dla której nazwisko swoje dałem Blokowi Bezpartyjnemu, był stosunek Bloku do odpowiedzialności, którą każdy człowiek ponosić musi za swoje czyny. Osobiście nie mogę po prostu znosić tego poczucia nieodpowiedzialności, które tak silnie jest założone w charakterze Polski. Jest to, zdaniem moim, dowód słabości, gdyż silny człowiek nie może nie szukać odpowiedzialności za swoje czyny i nigdy nie zechce odpowiedzialności za nie unikać. System zaś partyjnictwa, choć nie dał u nas na szczęście przewagi żadnej partii, uczynił jednak brak odpowiedzialności zasadą życia i postępowania. Gdy zaś weźmiemy, jako punkt wyjścia, to, co mówiłem o partyjnictwie, znajdziemy łatwo tak daleko posuniętą niechęć do odpowiadania za swoje czynności, że bodaj najbardziej charakterystyczną i najbardziej rzucającą się w oczy cechą naszych sejmów było właśnie unikanie za wszelką cenę jakiegokolwiek odpowiedzialności za każdy brud, czyniony przez posłów. Demoralizacja, siana w ten sposób w naród, szła nieledwie z każdym tygodniem dalej i dalej, czyniąc życie ohydny i przebrzydłym; «cloaca maxima», zebrana na ulicy Wiejskiej<sup>1)</sup>, sięgała swym zapachem do wszystkich zakątków życia, czyniąc ten zapach charakterystycznym dla państwa. Ten system przeniósł się z ulicy Wiejskiej na urzędy, przeniósł się na samorządy, wkradał się w życie prywatne, czyniąc z nieodpowiedzialności sądowej nieledwie zasadą życia polskiego.

Blok Bezpartyjny zdobył się na tak piękny i szlachetny odruch, że jest on bodaj najładniejszą prawdą w historii naszego państwa. Mianowicie — ogłosił, że każdy z członków klubu staje do rozporządzenia każdej władzy sądowej, zrzekając się praw, tak zacięte przez resztę sejmów bronionych, praw t. zw. immunitetu<sup>2)</sup>).

Klub ten uważał sobie za dyshonor, za brak wewnętrznej uczciwości, pozostawanie w tej sytuacji, że gdy każdy z obywateli jest odpowiedzialny sądownie, to poseł — za te same czyny, przestępstwa, czy zbrodnie — pociągany do odpowiedzialności nie jest.

Wystąpieniem tym — więcej bodaj, niż czymkolwiek in-

<sup>1)</sup> Por. t. IX, str. 182, przyp. 1.

<sup>2)</sup> Por. t. IX, str. 213.

nym — Klub B. B. uczynił niemożliwym do wytrzymania zastrzeżenie stosunków pomiędzy sobą a resztą sejmu. Panowie z reszty sejmu ze zwykłą sobie bezczelnością rozpoczęli taktykę zupełnego negowania najliczniejszego w sejmie klubu za taką «błuznierczą» chęć naruszania «żrenicy wolności» lajdaków i szujów.

Te dwa motywy wystarczyły mi w zupełności, abym się wyrzekł dotychczasowej swojej abstynencji i dał swe nazwisko na wybory.

Te dwa motywy, to jest partyjnictwo i unikanie przez panów posłów za wszelką cenę odpowiedzialności, wystarczyły mi najzupełniej do postawienia mego nazwiska do dyspozycji wszystkich tych, którzy wyraźnie tym dwom nieznośnym wadom naszego życia zaprzeczyli.

Nie mogę jednak nie powiedzieć panu, że przy bacznej obserwacji naszego życia spotykać się muszę z dość wyraźną niechęcią do takowego stanowiska, gdyż ogromna ilość ludzi w Polsce sądzi najspokojniej, że z chwilą, gdy Piłsudski daje sobie radę i pracuje na rzecz ogółu i dobra publicznego, to to zupełnie powinno wystarczyć i oswabada ich wszystkich od jakichkolwiek wysiłków w tym kierunku, a zatem i od zajmowania się taką nudną kwestią, jak wybory do sejmu. Nazywam «dureńkami» tych panów, których, niestety, tak dużo w Polsce. Pogląd taki — że go nazwę cezarystyczno-rewolucyjny — jest odpowiednikiem zupełnie przeciwnego kierunku: parlamentaryzmu z rewolwerem. «Dureńki» doskonale się nawzajem uzupełniają.

Nie mogę jednak wobec tego nie zatrzymać się na historii, tak świeżej, a tak łatwo zapominanej, naszych prac od czasu powstania Polski.

Mówimy bowiem często za dużo o t. zw. budowaniu państwa, nie licząc się najzupełniej z faktami historycznymi, a licząc się jedynie ze swoimi chwilowymi nawet poglądami, które wychodzą poza realność i dają w ten sposób jeszcze raz dowód, jak aberacja myślowa, prowadząca do irrealności, jest częstą w Polsce.

Proszę pana, kiedyś 11 listopada 1918 r. wrócił z więzienia magdeburgskiego do Polski, znalazłem Polskę w takim rozgardiaszu i chaosie organizacyjnym i myślowym, żem zrazu szukał jedynie scalkowania tego rozgardiaszu i chaosu, by zacząć budowę nowego tworu historycznego: państwa polskiego. Muszę powiedzieć, że na drodze przede wszystkim stało mi nie co innego, jak rozszalałe w bezsilności swojej partyjnictwo i «dureństwo» — bądź «cezarystyczno-rewolucyjne», bądź

połączenie demokratyzmu z rewolwerami, bądź znowu tak znane niechlujstwo w pracy.

Zdecydowałem wtedy od razu — a byłem wtedy niepiśnianym dyktatorem Polski — śpiesznie zwołać sejm polski, dlatego, by skomplikowaną pracę budownictwa państwowego nań złożyć, zostawiając sobie jedynie pracę nad wojskiem i musowe dowodzenie nim podczas wojny; gdyż rozumiałem, że burza wojenna, uspokojona na Zachodzie, idzie swoją nawałnicą na nas. I teraz, gdy się zastanawiałem nad tą chwilą, nie sądzę, bym się omylił. Mogłem się omylić — i omyliłem się istotnie — sądząc moich współziomków; gdyż chciałem przypuszczać, że chwila tak wielka i tak historyczna odrodzi duszę polską. Tegom jednak w pracy swojej, niestety, nie spotkał.

Pierwszy sejm, zwołany przeze mnie do Warszawy, był sejmem najmniej udanym. Nie tylko panował w nim pełny chaos i nieumiejętność pracy; zaciekłość partyjnictwa i szukanie przewagi partyjnej nad wszystkimi i wszystkim była tak olbrzymia, że dopuszczała wszelkie — ale to wszelkie — łajdactwa, wszelkie oszukaństwa i wszelkie zbrodnie na rzecz tej absolutnej przewagi rozwydrzonego partyjnictwa. Sejm był suwerennym za moją zgodą <sup>1)</sup>, lecz ja przeciwstawiłem sobie jakiegokolwiek przewadze, jakiegokolwiek partii w Polsce — i swoje zadanie spełniłem do końca. Niestety, okupić to musiałem ustępstwami na rzecz suwerenności tak dziecinnej i — powiedzmy — tak łajdackiej, jaką była ona w tym pierwszym sejmie. Gdy wojna zwycięstwem moim się skończyła, zastanawiałem się nieraz nad kwestią, czy — wobec rozwielenia suwerennego łajdactwa — nie położyć temu kresu za pomocą rozwiązania tego sejmu, chociażby siłą, i zwołania innego, dla jednej, jedynej pracy — stworzenia dla Polski Konstytucji.

Było to dla mnie tak możliwym i technicznie tak łatwym, że nawet nie wymagałoby dużego wysiłku. To znaczy, łatwym było dla mnie stworzyć odpowiednik dla «cezarystyczno-rewolucyjnych» poglądów «durenków» polskich. Jeżeli się zatrzymałem przed tym aktem, to łatwo panu zrozumieć, że nie uczyniłem tego dla jakiegoś tchórzostwa, gdyż — powtarzam — fizycznie to było bardzo łatwe. Zatrzymałem się zaś dlatego, że nie mogłem sobie wyobrazić siebie — takiego, jakim jestem — w pracy stałej i ustawicznej, powiem wyraźnie — ze złodziejami. Jak nie mogłem — to nie mogłem. Jak nie potrafię — to

<sup>1)</sup> Mowa o uchwale Sejmu z dnia 20 lutego 1919 r., w której był następujący ustęp: «Władzą suwerenną i ustawodawczą w Państwie Polskim jest Sejm Ustawodawczy». Por. t. V, str. 62.

nie potrafię. Myślę zawsze technicznie i dlatego jedynie powiedziałem sobie, że tej pracy nie potrafię na sobie wymusić. Nie będę opisywał, co mnie to kosztowało. Powiem tylko, że zacząłem ciężko chorować, że nieledwie co miesiąc byłem w gorączce, a tymczasem ten przeklęty sejm, ten stek łajdaków i szujów wszelkiego rodzaju, przeciągał tworzenie Konstytucji<sup>1)</sup> — zresztą niechlujnie napisanej — nie na miesiące, ale na lata. Myślałem, że żywy nie wyjdę z Belwederu.

Ten załączek suwerenności, do którego dopuściłem w początkach Polski, mści się na Polsce, na życiu i na pracy sejmu dotąd, bez końca, nie dając możliwości państwu wyjść na normalne tory i drogi. Suwerenności bowiem panowie posłowie nigdy nie chcą rozumieć, jako suwerenności instytucji, chociaż i ta jest według mnie nonsensowna, ale zgodnie ze swoim partyjnictwem, usilnie rozszerzają tę suwerenność ciągle i stale na partię, a specjalnie na panów posłów, czyniąc w ten sposób z życia polskiego bagno, nie dające możliwości dla normalnej pracy.

Już mówiłem panu, że ryba cuchnie od głowy — i gdy w centralnych instytucjach przeważa cuchnięcie, w kraju całym ten zapach przeważa także.

Niechybnie, proszę pana, mam za sobą także wypadki majowe, gdy wystąpiłem ze środkami przemocy w stosunku do istniejących w owe czasy w Polsce porządków. Uczyniłem to dlatego, że — zdaniem moim — Polska w owe czasy stała na brzegu nieuniknionej i zupełnie widocznej dla mnie przepaści. Sejmowładztwo bowiem, w łączności z całym szeregiem nadużyć, stwarzało sytuację w rodzaju czasów upadku Polski, to znaczy — stawała ona otworem dla każdego, kto chciałby wejść.

Wiem jednakże, że i w owe czasy zawiodłem przypuszczenia «cezarystyczno-rewolucyjne», kierując przebieg dalszych wypadków na płaszczyznę czystego legalizmu<sup>2)</sup>.

Naturalnie, i pan, i wszyscy mogą łatwo zrozumieć, że ja, zarówno jak i wszyscy ci, którzy ściśle współpracują ze mną, przegrać nie jesteśmy w stanie, to znaczy, że niemożliwym jest przypuszczać, aby sejmowładztwo czy posłowładztwo w Polsce mogło zwyciężyć wraz ze swoją «suwerennością» w jakikolwiek sposób — i sprawa, postawiona przeze mnie na wybory, nie może polegać na jakiejś możliwości przegranej z mojej strony. Były czasy znacznie cięższe i znacznie trud-

<sup>1)</sup> Mowa o Ustawie Konstytucyjnej uchwalonej dnia 17 marca 1921 r., a więc po przeszło dwuletnim trwaniu Sejmu Ustawodawczego.

<sup>2)</sup> Por. t. IX, str. 33.

niejsze, a jednak zostały one zwycięsko przetrzymane. Jeżeli skłoniłem Pana Prezydenta do zarządzenia wyborów — to jest postawienia przed narodem pytania, na które żąda się odpowiedzi — uczyniłem to dlatego, aby raz nareszcie odwrócić kartę historii ze smutnymi dla nas wspomnieniami, z tak smutną a pełną łajdactw przeszłością; aby na przyszłość swobodniej, łatwiej i snadniej mogła być prowadzona praca nad rozwojem Polski.

To pytanie brzmi więc: czy Polska chce, aby jej sejmy były podobne do dawnych i miały cechę suwerenności partyj i wychodków partyjnych, rozzuchwalających się stale w nadużyciach, — czy też chce z tym zerwać tak, aby śladu z tej przeszłości nie zostało? Jeżeli to pytanie postawiłem, to dlatego, iż jestem przekonany, że panowie wyborcy są daleko lepsi, niż bywali ich wybrańcy, i że nie mają zepsutego gustu do smrodu i do różnego partyjnego paskudztwa.

## VIII WYWIAD MIEDZIŃSKIEGO

(26 listopada 1930 r.)

*Dnia 16 listopada odbyły się wybory do Sejmu, a dnia 23 listopada 1930 r. wybory do Senatu. Blok Bezpartyjny uzyskał w Sejmie 249 mandatów na ogólną ilość 444 mandatów, a w Senacie 73 mandatów na ogólną ilość 111 mandatów. W ten sposób obóz popierający politykę Piłsudskiego zdobył większość w obu ciałach ustawodawczych.*

*Piłsudski w niżej przytoczonym wywiadzie, udzielonym redaktorowi Miedzińskiemu, dnia 26 listopada 1930 r., wypowiada, jakie nadzieje pokłada w tym, że po uzyskaniu większości parlamentarnej przez Blok Bezpartyjny trzy główne czynniki państwowe: Prezydent Rzeczypospolitej, Rząd i Sejm będą mogły zgodnie pracować. Stawia jako główny cel parlamentu zmianę Konstytucji. Określa swój stosunek do dotychczasowych projektów jej zmiany wypracowanych przez Blok Bezpartyjny. Uważa za główny cel reformy ustroju przeprowadzenie możliwie ścisłego podziału czynności Prezydenta Rzeczypospolitej, Rządu i Sejmu.*

*Wywiad podajemy według «Gazety Polskiej» z dn. 27 listopada 1930 r.*

— *Wobec nowej sytuacji pozwalam sobie zapytać, jak Pan Marszałek zapatruje się na sprawę reformy ustroju państwa?*

— *Pan, naturalnie, zadaje to pytanie w związku z uzyskaniem większości w nowym sejmie. Mogę powiedzieć, że je-*



steśmy teraz wyjątkiem w całej Europie; wykorzystać to powinniśmy nie dla powtarzania starych błędów, ale dla próby stworzenia normalniejszych podstaw dla prac państwowych. Dlatego też ja osobiście bardzo ciekaw jestem, jak uda się nasza praca, gdy trzy główne czynniki w państwie — Pan Prezydent Rzeczypospolitej, rząd i sejm — nie będą się kłócić między sobą, lecz zgodnie pracować. Wyznam panu, że wielkie nadzieje w tym pokładam. Gdy starannie unikać będziemy, jak mówię, błędów przeszłości, możemy dojść w przeciągu najbliższych lat do ustalenia sytuacji w Polsce i wielkiej rozbudowy jej wewnętrznej pracy i mocy. Jako główną zaś pracę, która stać musi na czele wszystkich innych, stawiam nie co innego, jak zmianę Konstytucji. I bardzobym chciał, aby unikano prób zaciemnienia tej pracy za pomocą zwykłej, niestety, u nas metody przewagi zmiennych wymagań, płynących każdorazowo z chwili bieżącej i chwiejących się stale, jak pogoda w listopadzie. Chciałbym wobec tego powiedzieć panu swoje zdania o dotychczasowych próbach Bloku Bezpartyjnego w tym zakresie.

Znanym jest panu, jako dawnemu członkowi tego klubu, że usiłował on już kilka razy w przeszłym sejmie zainicjować sprawę zmiany Konstytucji <sup>1)</sup> i czynił to dosyć bohatersko, pomimo zgielku, wrzawy i nonsensów, przez przeszły sejm czynionych.

Jako dziedzictwo klub Bloku Bezpartyjnego ma za sobą swój projekt zmiany Konstytucji, wniesiony do przeszłego sejmu. Muszę stwierdzić, że klub usilnie się starał o pociągnięcie mnie osobiście do tej pracy. Nie mogę też nie powiedzieć, że ja — równie usilnie — starałem się tej pracy unikać, dla tej po prostu zwyczajnej przyczyny, że nie czuję się uzdolnionym do formułowań prawnych w jakiegokolwiek kwestii. A że jestem człowiekiem, który może zawsze za Napoleonem powtórzyć: «j'aime les choses bien faites» — lubię rzeczy dobrze odrobione — nie chciałem, pomimo starań klubu, brać osobiście udziału w wypracowywaniu wielkiej liczby pa-

---

<sup>1)</sup> Klub Bezpartyjnego Bloku złożył dnia 31 października 1928 r., a więc na pierwszym posiedzeniu II Sejmu zwyczajnego, wniosek, by Sejm przystąpił do rewizji marcowej Konstytucji. Dnia 15 i 22 stycznia 1929 r. odbyła się w tej sprawie debata na plenum Sejmu i Sejm uchwalił, że przystępuje do rewizji Konstytucji. Dnia 22 lutego 1929 r. Klub B. B. złożył wniosek, zawierający szczegółowy projekt rewizji Konstytucji, który, po debatach nad nim w ciągu czterech posiedzeń Sejmu, został odesłany do Komisji Konstytucyjnej dnia 4 marca 1929 r. Komisja Konstytucyjna drugiego Sejmu zwyczajnego odbyła 24 posiedzeń, poświęconych rewizji Konstytucji.

ragrafów, z których się Konstytucja składa. Praca ta bowiem mnie bardzo nuży i nigdy nie próbowałem nawet być zadowolonym z takiej pracy.

Niestety, nie mogę powiedzieć, żebym zdołał uniknąć w zupełności tej pracy, gdyż komisja, która wypracowywała ten projekt, w ostateczności wydelegowała mego rodzonego brata, który był głównym referentem projektu Konstytucji w sejmie<sup>1)</sup>, aby ten przynajmniej się porozumiał ze mną. Z prawdziwą biedą się na to zgodziłem — i pamiętam żywo tę chwilę, kiedy mój brat przyszedł do mnie z napelnioną papierami teką. Pamiętam, jak z przerażeniem patrzyłem na grube zwoje papieru i ze strachem myślałem, co też ja biedny z tym będę robił. A brat mój, spokojnie nałożywszy okulary na nos, powiedział, że nie uwolni mnie od siebie, dopóki przynajmniej dużej części z nim nie przepracuję. Wzdychałem, jak wieloryb, na myśl, że miałbym siedzieć tak długo i mieć do czynienia z tylu paragrafami.

Przed wszystkim oświadczyłem, że mi się bardzo nie podoba postanowienie klubu wzięcia za podstawę dotychczasowej Konstytucji; że rozumiem optymizm panów posłów, którzy sądzili, że w ten sposób ułatwią przejście chociażby części zmian konstytucyjnych, mając do czynienia z coraz bardziej zwierającą się w jedną masę tak zwaną opozycją<sup>2)</sup>). Dalej zaś od razu powiedziałem, że istniejąca obecnie Konstytucja niewiadomo po co i na co ubrała się w pieluszki dziecinne, czyniąc wstępy, złożone z samych pryncypiów i z samych jakoby zasad, podczas gdy właściwie Konstytucja ma zawierać tylko coś w rodzaju układu, coś w rodzaju kontraktu pomiędzy trzema głównymi sprężynami, poruszającymi centralę państwową; coś w rodzaju możliwie ścisłego podziału funkcji państwowych pomiędzy tymi trzema sprężynami. Gdyż główną wadą dotychczasowej Konstytucji jest zupełny brak ścisłości właśnie w dziedzinie podziału funkcji pomiędzy Prezydentem, rządem, sejmem i senatem — tak, że cała Konstytucja ułożona jest jak gdyby tylko na to, ażeby się wszyscy pomiędzy sobą kłócili. Dlatego też oświadczyłem, że przeszkadzać pracy tak potrzebnej dla państwa nie będę i będę żądał tylko pewnych rzeczy, które mnie się wydają jako konieczne w Konstytucji.

<sup>1)</sup> Poseł Jan Piłsudski został wybrany referentem projektu rewizji Konstytucji na Komisji Konstytucyjnej w dniu 15 listopada 1929 r.

<sup>2)</sup> Do zmiany Konstytucji nie wystarczała zwyczajna większość Sejmu, jaką posiadał Bezpartyjny Blok, ale potrzebna była większość 3/5 posłów przy obecności połowy posłów (Ust. 3 art. 125 Konstytucji marcowej).

W ten sposób odbudowałem dość dużo z tych pryncypiów i zasad, ogłaszających jak gdyby «prawa człowieka», które to prawa i ogłaszanie ich miały może sens w odległych bardzo czasach — gdy zresztą przy ogłaszaniu praw człowieka skracano o głowę całą masę ludzi.

Główną zmianę, którą wprowadziłem do projektu Konstytucji, jest ta, której dałem wyraz prawie natychmiast po rozwiązaniu sejmu, to znaczy zaniechanie nonsensownego immunitetu sądowego dla panów posłów. Zażądałem, aby do projektu Konstytucji wprowadzono paragraf, który przyrównuje posła w tej dziedzinie do zwyczajnego obywatela państwa, twierdząc, że koło tego nowego paragrafu skoncentrować się musi z czasem cała walka t. zw. «opozycji» i że radykalna naprawa w tej właśnie dziedzinie warta jest całego mnóstwa innych paragrafów, z których Konstytucja się składa. Żądałem zaś tego z całą stanowczością, gdyż demoralizacja, wprowadzana przez brak takiego paragrafu, wydawała mi się największą biedą Polski.

Niestety, przy chęci trzymania się jako podstawy i bazy dotychczasowej Konstytucji, nie zdołałem w projekcie Bloku Bezpartyjnego wprowadzić tak pożądanego ścisłego podziału pracy państwowej pomiędzy te trzy główne sprężyny, poruszające maszyną państwa. Dlatego też teraz chciałbym poświęcić słów parę przynajmniej głównym punktom moich dezyderatów.

Zatrzymam uwagę pana i pańskich czytelników na jednej zupełnie specjalnej dziedzinie pracy państwowej. Jest nią przesada prawna, zawarta w pojęciu o ustawodawstwie. Wszystkie próby określeń w tej mierze, czynione przez prawników, nie rozgraniczają należycie dziedzin, wymagających istotnie norm ustawodawczych, od tych zjawisk życia powszedniego, które winny być regulowane przepisami i rozporządzeniami rządowymi, posiadającymi większą możliwość i łatwość przystosowania się do życia. I dlatego rozszerzany bywa zakres ustawodawstwa tak daleko, że życie może być zatrzymanym przez niemożliwość regulowania na czas wszystkich jego potrzeb. Zarazem zaś utrzymuje się dowolność i przypadkowość tych granic pomiędzy ustawodawstwem a pomiędzy rozporządzeniami do tego stopnia, że nie potrafi wytrzymać rozumowania ludzkiej logiki pod tym względem.

Jeżeli pan zechce się zastanowić nad ciągłymi zmianami nowoczesnego życia, wywołanymi nie przez co innego, jak przez cały olbrzymi postęp techniki, dotykającej codziennego bytu ludzi, to znajdzie pan łatwo mus wzrostu przepisów, zwią-

zanych z ciągłymi zmianami tegoż życia powszedniego. Niekiedy, proszę pana, myślę z przerażeniem o tym, jak ludzkość zdąża do wytworzenia przepisowego mężczyzny, przepisowej kobiety i przepisowego dziecka — takim mnóstwem przepisów obowiązujących otoczone jest życie.

Gdy zaś weźmiemy pod uwagę, że większość wynalazków technicznych jest bardzo skomplikowana technicznie, a zarazem grozi życiu ludzkiemu niebezpieczeństwem w razie nieostrożnego obchodzenia się z nimi, to ujrzymy całą trudność ustawodawczego traktowania tych spraw. Czy weźmiemy bakterie, których nikt prócz specjalistów nie zna i które wymagają również zabezpieczeń od nich, czy weźmiemy kolej, wymagającą rozmaitych, bardzo daleko sięgających przepisów, czy wzmagający się w sposób niezwykle ruch samochodów, czy rozwój elektryczności, czy wreszcie rozwój pedagogii i jej wymagań w szkołach — wszędzie znajdzie pan jedno i to samo: potrzeba przepisów, obowiązujących ludzi, wzrasta niezmieranie szybko. Przepisy zaś wymagają giętkości, bardzo daleko idącej, a przecie ustawodawstwo nie może ani się śpieszyć, ani nie może nadążyć technicznie w dostatecznej mierze. Nie można też wносить doń nieuniknionego elementu pracy parlamentarnej, to jest polityki, bez niebezpieczeństwa zepsucia samej techniki i samej wartości przepisów. Nieraz próbowałem powstrzymać upartą logikę prawników pod tym względem, aby nie kompromitowali samego prawa nielogicznością postępowania technicznego. Jako przykład komedii prawnej przytoczyć panu mogę treść jednego z dekretów Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, który wymagał specjalnego punktu porządku dziennego na Radzie Ministrów, położenia podpisów przez wszystkich panów ministrów co do jednego, w pewnej bardzo prostej sprawie, w której przecież nikt prócz specjalistów głosu zabierać nie może; chodziło mianowicie o uregulowanie norm, którymi się kierować mają inżynierowie przy budowie kolei.

Minister komunikacji chciał bowiem wyzyskać czas braku sejmu dla ujednostajnienia w Polsce różnych przepisów, pochodzących z okresu trzech zaborów. Chodziło o pomiary przetrzeni, które w jednym zaborze liczone być musiały od środka toru, w drugim — od szyny jednej i drugiej, w trzecim — od granic posiadłości kolejowej. Niechybnie, chodziło tu o rozszerzenie lub zwężenie pewnych praw kolei, ale rozwiązanie takiej kwestii nie może być inne, niż czysto techniczne, utrzymywanie zaś rozmaitych przepisów w tym samym przedmiocie musi wywoływać zamieszanie. Z tego jednak małego przykładu

pan zrozumie, ile przeszkód i ile nonsensów wytwarza brak określonego podziału funkcji państwowych pomiędzy te trzy główne sprężyny, o których mówiłem. Nie ma wątpliwości, że takich przykładów przytoczyć można tysiące, a owe właśnie przepisy stanowią główną pracę rządu i zajmują najwięcej czasu panom ministrom.

Nie będę pana zatrzymywał, mnożąc przykłady za przykładami i opisując troski wszystkich ministrów, którzy w większości wypadków są zatrzymywani w swojej pracy niemożliwością najkonieczniejszych nawet zmian we wszystkich sprawach technicznych, jeśli tylko kiedykolwiek i w jakikolwiek sposób zostały one dotknięte prawodawstwem sejmowym, chociażby ubocznie — pomimo, że najczęściej chodzi o zmianę nie całości, ale tylko niektórych szczegółów.

Co do mnie, cały czas namawiałem panów ministrów od czasów pomajowych do niedbania o tę formalistykę prawną i przechodzenia nad tym do porządku dziennego, szukając wyjścia w ułożeniu słów tak, ażeby nigdzie i nikogo jakoby nie zaczepić. Twierdziłem zawsze przy tym, że zajmowanie nie tylko sejmu, lecz nawet Rady Ministrów takimi punktami porządku dziennego jest niesłusznym i niepotrzebnym, gdyż Rada Ministrów tak samo nie składa się z ludzi, mogących głos zabierać i sądzić w każdej technicznej kwestii. Niestety, na drodze zawsze stał prawnik, który, chociaż łysawy, wyrwał sobie włosy z głowy<sup>1)</sup>. Naturalnie, że dla wybiegów prawnych zawsze jest otworzona droga; ale jednak ogromna bieda państwowa wynika nie skądinąd, jak z braku jakiegokolwiek ścisłości w dziedzinie podziału funkcji państwowych pomiędzy trzema sprężynami głównymi centrali państwowej: pomiędzy Prezydentem, rządem a sejmem.

Niech mi pan wierzy, że kiedy tak często powtarzałem w poprzednich naszych rozmowach, że «panowie byli posłowie dążyli do tego, by być nie tylko nadprezydentem, ale i nadzsoferem, nadinżynierem i nadkonduktorem», to miałem tę biedę państwową ciągle na myśli. Pamiętam dobrze, jak były premier, p. Świtalski, śmiał się, mówiąc przy dyskusjach nad votum zaufania dla niego<sup>2)</sup>, że on z podziwem słuchać musi tej dyskusji, która w dziewięciu dziesiątych nie dotyczy zupełnie jego pracy. Konieczną więc wydaje mi się i musową praca sejmu nad samoograniczeniem siebie i to w mierze bardzo da-

---

<sup>1)</sup> Mowa o szefie Biura Prawnego w Prezydium Rady Ministrów Janie Piętaku.

<sup>2)</sup> W dniu 6 grudnia 1929 r.



lekiej — w kwestii przedmiotów i obiektów swojej pracy; koniecznym jest zwolnienie sejmu od zajmowania się wszystkim, pozostawiając wolną rękę nie komu innemu, jak rządowi, w całym mnóstwie przepisów obowiązujących, a obejmujących, niestety, tak szeroko życie codzienne ludzi, gdy ten, jak powiadam, wzrastający «technicyzm» życia zmusza do uczynienia z ludzi przepisowego mężczyzny, przepisowej kobiety i przepisowego dziecka.

Nie będę przedłużał tej kwestii; zajmuje mnie ona tak silnie, gdyż jest kwestią nie tylko naszą, polską, ale i całego świata i jest może jedną z głównych chorób parlamentaryzmu; wątpię, czy bez uleczenia tej choroby zasada sejmu w ogóle utrzyma się na świecie. Bo wszystko przemawia przeciwko sejmowładztwu w tej dziedzinie, gdy dziedziną istotną sejmu musi być najbardziej może nieokreślona i najbardziej niepoddająca się określeniu dziedzina polityki. Dlatego też sejm i prawnicy dużo nałamać sobie głowy muszą, by linię, rozdzielającą prawa i obowiązki rządu, wykreślić z jednej strony jak najostrzej, aby się ustrzec wpływu polityki na technikę, a z drugiej strony przeciągnąć tę linię demarkacyjną tak, by nie klótnię, a współpracę umieć wprowadzić w nasze życie.

Pozostawiam następną ważną dziedzinę, mianowicie — pracę jedyne suwerena w Polsce — Pana Prezydenta Rzeczypospolitej — do omówienia innym razem.

---

## WYWIAD ŚWIĘCICKIEGO

(13 grudnia 1930 r.)

*Piłsudski, po przeprowadzeniu wyborów do ciał ustawodawczych i po zdobyciu w nich większości, postanowił zrzec się swego urzędu Prezesa Rady Ministrów. Dnia 28 listopada 1930 r. na naradzie ministrów zawiadomił on, że ma zamiar podać się do dymisji wtedy, gdy poseł Sławek, desygnowany na premiera przez Prezydenta Mościckiego, sformuje nowy gabinet. Dnia 4 grudnia 1930 r. Prezydent przyjął dymisję rządu Piłsudskiego i zamianował gabinet premiera Sławka. W gabinecie tym Piłsudski zatrzymał tekę Ministerstwa Spraw Wojskowych.*

*W niżej przytoczonym wywiadzie, udzielonym red. Tadeuszowi Świącickiemu w dniu 13 grudnia 1930 r., Piłsudski wyraża swoją opinię jaka rola w Konstytucji powinna być wyznaczona Prezydentowi Rzeczypospolitej. Nie powinien*

*on być obciążony techniką pracy rządu, a ma być regulatorem maszyny państwowej, co pociąga za sobą konieczność wyposażenia go w niczym nieskrępowaną władzę w stosunku do rządu i Sejmu.*

*Wywiad podajemy według «Gazety Polskiej» z dn. 14 grudnia 1930 r.*

— *Przychodzę do Pana Marszałka już nie jako do prezesa Rady Ministrów, ale jako do ministra spraw wojskowych. Czy Pan Marszałek jest z tej zmiany zadowolony?*

— *Ja się dziwię panu, że pan tak oryginalne pytania zadaje. Wszedłem bowiem na prezesa gabinetu tylko na pewien czas i dlatego cały ten czas postępowałem zupełnie logicznie, pan zaś nie postępuje logicznie, gdy zamiast pytać o rzecz, dla której pan przyszedł, pyta pan o całkiem inne rzeczy.*

— *Przepraszam, Panie Marszałku, ale sądziłem, że wolno zapytać o sprawę, co do której Pan Marszałek jest odrębnego zdania, niż przeważna część ludzi?*

— *Być może, kochany panie, ale pan powinien byłby znać mnie o tyle, że ja zwykle myślę inaczej, niż przeważnie myślą ludzie. I dlatego wracam do rzeczy. Myślałem o tym, czy prolongować wprost dany tak dawno p. Miedzińskiemu mój wywiad poprzedni, czy też zacząć jakoś inaczej. Jeżeli pan pozwoli — trzymać się będę pierwszej drogi.*

*Mówiłem więc p. Miedzińskiemu o trzech sprężynach, jakie istnieją w głównej centrali każdego z państw. Pierwszą sprężyną jest pan Prezydent, drugą rząd, a trzecią są ciała, wybrane i stanowiące część centrali. Obiecałem poprzednikowi pana, że dać mogę swoje zdanie o roli, która w Konstytucji musiała być wyznaczoną panu Prezydentowi. Tak długo o tym w Polsce myślałem, tak długo odrzucałem wszelkie uznane teorie i teoryjki i tak długo szukałem jakiegokolwiek wyjścia z pokoju, zastawionego samymi starymi gratami, że podając swoje przemyślenia pod tym względem i swoje doświadczenia, nie sądzę, bym źle uczynił.*

*W naszej dotychczasowej Konstytucji ta jej część nadto była robiona «ad hominem», czyli w stosunku do przypuszczalnego kandydata, który uzyskałby niechybną większość, to znaczy personalnie w stosunku do mnie. Zaważyło to na całej Konstytucji, czyniąc z Prezydenta jakąś śmieszną postać, niewytłumaczalną bez tego personalnego ujęcia. Konstytucja nasza zredagowana jest w ten sposób, że wszystkie trzy sprężyny główne państwa nie mogą działać harmonijnie, a muszą stale być z sobą w sporze. Zamiast wyznaczyć możliwie ściśle, co robi Prezydent, co robi rząd, a co robi sejm, zostawiono*

wszystko, w s z y s t k o w najliteralniejszym tego słowa znaczeniu — zarówno Prezydentowi, jak i rządowi, jak i sejmowi. Niejasność ta tak się rzuca w oczy, że ten brak podziału pracy stwarza śmieszność dla pana Prezydenta, kłopoty bezpłodne dla pana szefa rządu i wieczne paskudztwo dla pana sejmu.

Jeżeli więc chodzi o naprawę Konstytucji, to uderzyć należy nie gdzie indziej, jak w wyszukanie klucza podziału pracy tak, aby ustawiczne wzajemne następowanie sobie na nogi nie miało miejsca, tak, aby każda z tych sprężyn mogła swobodnie działać w przeznaczonych jej dziedzinie. Naturalnie, że ścisłość określeń prawnych w dziedzinie politycznej jest ideałem nie-doścignionym. Im bardziej jednak do ścisłości się dochodzi, tym jest lepiej nie tylko dla zainteresowanych osób, (z wyjątkiem, naturalnie, wszelkich świń i krętaczy, łowiących ryby w mętnej wodzie), ale i dla samej rzeczy, nad którą się pracuje.

Jednym z najprostszych rozstrzygnięć, (najprostszych na pozór) — jest oddanie panu Prezydentowi rządu i złożenie na jego barki pracy rządu, tak, aby on zastąpił właściwie rolę szefa rządu. Nie powiem, aby Konstytucja obecna temu z nadto zawadzała; stwarzała ona tylko bardzo śmieszny i głupi mus rządu nie bezpośrednio, lecz przez kogo innego, przy czym «tym innym» był także jeden człowiek, tak, że ci dwaj ludzie — pan Prezydent, najwyższy przedstawiciel państwa, i szef rządu, — stworzeni byli na to, by jak kule na bilardzie stale o siebie uderzali i stale rozskakiwali się w różne kąty. Nie przypuszczam, ażeby nawet dwaj rodzeni bracia, już nie mówię kochające się małżeństwo, mogło długo wytrzymać w tej dziwnie śmiesznej roli; dzieje się to chyba dla «tertius gaudens», który, jak dotąd, stale miał także pretensje do rządu i rządu.

Zwróć przy tym uwagę, że o bezpośrednich rządach mowy być nie może już chociażby dlatego, że one przy komplikacji życiowej obecnych czasów nie są możliwe dla nikogo, gdyż rządy biegną nie tylko drogą hierarchii służbowej, ale nawet i w pewnej przestrzeni, nie dopuszczającej bezpośredniości. Czasy, gdy pod jaworem siadano, rozciągnąwszy kobierzec dla jednych, dla drugich zaś zostawiając gołą ziemię, gdy pod jaworem sprawiano i sądy, i rządy, dawno minęły; i trudno dziś tęsknić do powrotu do takich dobrych czasów. Gdy się zaś ma do czynienia z trzydziestu milionami ludzi, to taka piękna prawda o bezpośredniości rządów musiałaby zająć dla jednego człowieka półtora wieku życia i to, kto wie, czyby tak długi przeciąg czasu mógł takiemu bezpośredniemu panu wystarczyć. To jest mocno wątpliwe.

Najprostszym sposobem rozstrzygnięcia nazywam go dlatego, że tak myślą najczęściej ludzie, którzy myśleć nie chcą albo nie umieją. I pomimo, że pociągać on może umysł brakiem komplikacyj w konstrukcji, to jednak ten brak komplikacyj nie odpowiada najzupełniej istniejącej komplikacji życia i środków do życia i to tak dalece, iż najprostszym istotnie sposób ten nie jest.

Spróbuję więc podejść do kwestii drogą zupełnie inną, spróbuję iść drogą nieskomplikowanych także cyfr.

Pomiędzy trzema sprężynami państwowej centrali mamy jedną, to jest pana Prezydenta, gdzie jest tylko jeden człowiek; mamy drugą — rząd, gdzie jest ich już czternastu<sup>1)</sup>, mamy i trzecią — sejm i senat, gdzie liczba ludzi dochodzi do sześciuset<sup>2)</sup>. Gdy zastanowimy się nad tymi liczbami, to łatwo dojdziemy do wniosku, że każda praca taka czy inna inaczej wyglądać musi przy przejściu jej przez Prezydenta, inaczej przy przejściu przez rząd, a jeszcze inaczej przy przejściu przez sejm i senat. Przecież zwykły spacer, gdy jest zrobiony przez jednego człowieka, inną metodą jest robiony, niż wtedy, gdy to robi czternastu ludzi, a już bardzo i bardzo inną, gdy jest czyniony przez kilkuset ludzi. Często bowiem na ulicy zabraknie miejsca dla takiego masowego spaceru i często musiałyby być zatrzymywane tramwaje, bieg aut, chybaby — auta ten tłum trawowały. Pomijam te wszystkie materialne warunki pracy, które wydać się mogą tu znanadto prosto przytaczane, chociaż z nich więcej konsekwencji wypływa, niż to ludzie chcą widzieć. Lecz w psychicznych prawdach system jednego człowieka jest inny, niż system kilkunastu, a już różni się, jak niebo od ziemi, od systemu kilkuset.

I wtedy nie można jednego człowieka obciążać techniką pracy tak dalece, iż jeden człowiek gdyby był nawet olbrzymem, toby temu nie podolał; gdyby nawet żył wieki, to nie potrafiłby tego uczynić. Gdy zaś z metodą pracy indywidualnej jest związany i odpoczynek indywidualny i właśnie taki spacer, to zarówno wzrost musi być odpowiednio zwiększony, jak i długowieczność odpowiednio przedłużona.

Dlatego też pozostawić należy rządowi, który się podzielić na kilkanaście gałęzi może, wszystko to, co jest rządem istotnym, i wszystko to, co jest związane z techniką pracy rządowej, i nie należy Prezydenta, najwyższego ze wszystkich oby-

<sup>1)</sup> Gabinet składał się wówczas z 14 ministrów.

<sup>2)</sup> Sejm składał się z 444 posłów, Senat z 111 senatorów.

wateli państwa, obciążać rzeczami techniki rządzenia, pozostawiając jemu swobodę w innej dziedzinie pracy rządowej.

Już z tego, co powiedziałem, jest, zdaje mi się, widocznym, że tak zwane najprostsze sposoby są, niestety, najczęściej wcale nie prostymi i przeczącymi komplikacji życia; ci, którzy w kierunku jakoby najprostszyc rozstrzygnięć idą, wydają mi się kuropatwami, które, aby nie myśleć, chowają głowy w śnieg, wystawiając resztę ciała na wszystkie uderzenia losu. Maszyna bowiem pracy centralnej jest ciągłą mieszaniną dwóch bardzo trudnych do określenia i ścisłej chemicznej analizy esencji. Jedną z nich jest polityka, drugą zaś jest technika życia i technika pracy. I dlatego tak trudnym jest regulowanie każdej pracy u nas, podobnie, jak trudnym jest do retorty domieszać coś takiego, co burzliwym falom, grożącym jej rozsadzeniem, daje spokój lub, odwrotnie, — podniecie.

Niestety, za często trzeba brać u nas pod uwagę burze w szklance wody.

Niechybnie jednak maszyna, która jest ciągle smarowana tego rodzaju nieokreśloną esencją, psuć się i zgrzytać często musi lub chrypieć i skrzypieć, jak zakaszlany astmatyk. I dlatego, zdaniem moim, rola Prezydenta sprowadzać się musi nie do czego innego, jak do musu regulowania całej maszyny centralnej państwa. Zgadza się to najzupełniej z wielkością roli Prezydenta, dla której równej nie znajdziemy w państwie i dla której każda Konstytucja również wyjątkowe prawa stanowi, gdyż tyczy się ona tylko jednego człowieka, gdyż w rolę tę wchodzi esencje, nie poddające się określeniu lub w dodatku rozmyślnie fałszowane. Praca ta regulowania wydaje mi się o tyle konieczna, że brak tej pracy daje się nadzwyczajnie odczuwać nie tylko u nas, ale i na całym Bożym świecie. Oddawać zaś ją należy nie stronom, lecz człowiekowi, który od stron jest uniezależniony. A to jest możliwe do urzędzenia tylko dla jednego człowieka, nie zaś dla setek, nie dla tysięcy.

Gdy nieraz nad tą kwestią się zastanawiałem, przyszedłem do wniosku, że główną pracą Prezydenta musi być regulowanie najwyższej pracy państwowej, tak, aby ona zbyt wielkich zgrzytów nie miała i by przeszkody, które napotyka, nie były rozwiązywane zanadto jednostronnie, to znaczy, że praca Prezydenta, jako najwyższa, dbać musi o równowagę i harmonię, pomimo wszelkich tarć i nawet walk. Lecz wtedy, gdy ta właśnie rola przypada Prezydentowi, nie może Prezydent być pozbawiony bezpośredniej władzy nad wszystkimi stronami, które dają starcia, brak harmonii i zgrzyty. Nie może zatem Konstytucja nie dać Prezydentowi praw bezpośrednich



w stosunku do każdego z ministrów, tak samo, jak w stosunku do sejmu czy senatu. Niechybnie powiedzą mi, że Prezydent tą władzą jest obdarzony, gdyż wątpić nie należy, że konflikt zdania ministra z Prezydentem kończyć się musi dymisją ministra. Lecz jest to tylko zwyczajowy zwyczaj, ale nie zapisana w Konstytucji możliwość Prezydenta zwolnienia każdego z ministrów, i ta praca musi być oddana pod bezpośrednią władzę, a nie pośrednią, poprzez kogoś. To samo jednak tyczyć się musi i pracy sejmu i senatu, nie tylko w wypadku rozwiązania sejmu, gdyż to nie jest regulowanie pracy i to nie jest codzienne dbanie o to, by maszyna zanadto nie skrzybiała. I gdyby Prezydent miał możność swoje postanowienia w samym porządku pracy sejmu rozkazowo załatwiać, to kto wie, ilu głupstw i ilu nonsensów, z namiętności pochodzących, zdolanoby uniknąć. Dodam, że wstydem by było dla takiej Konstytucji, aby ośmielała się w wypadkach postanowienia Prezydenta w stosunku do poszczególnych ministrów, jak i do sejmu i senatu, żądać jakiegokolwiek kontrasygnaty. Nie wydaje mi się bowiem możliwym stwarzanie jakiejś specjalnej prawdy, związanej z kontrasygnatami, w wypadkach, gdy chodzi jedynie o osobiste rozstrzygnięcie w najwyższych sprawach państwowych.

Nie na to właśnie wybieramy Prezydenta, jedynego człowieka w całym państwie, na którego wkładamy najcięższy obowiązek reprezentowania całości państwa, a nie poszczególnych jego kawałków, nie poszczególnych grup i nie poszczególnych stowarzyszeń, abyśmy mieli prawo w stosunku do niego pracować tak wstrętne i ohydne, jak nasze nieczne i nikczemne przyzwyczajenia. Nie na to stawiamy go poza nawias codzienności zjawisk życiowych ze wszystkimi życia drobiazgami, w których tak chętnie nurzamy swoje oblicza i inne części ciała, i nie na to usuwamy go od wszystkiego, co jest brudem życia, sami łapczywie łapy wsuwając wszędzie, gdzie brud, aby nie dać praw zarazem Prezydentowi do spełnienia swej roli pierwszego obywatela Rzeczypospolitej, o czym chętnie i sroki krzyczą. W sprawie więc regulowania maszyny, pracującej ze zgrzytami, w sprawie więc wszystkiego, co jest kryzysem państwowym, mus jest użycia indywidualnych sił jednego człowieka, lecz wara wtedy przeszkadzać jemu w tej wielkiej pracy. Ile razy zastanawiałem się nad tym właśnie rozstrzygnięciem jednej z najważniejszych prawd konstytucyj nowoczesnych państw, tyle razy myśl moja, bezwiednie analityczno-krytyczna, biegła ku próbom takiej właśnie jednostki, pozostawionej w najkrytyczniejszych dla kilkudziesięciu milionów ludzi mo-

mentach samej sobie, pozostawionej bez pomocy w największych i najcięższych wątpliwościach i w bezradnej nieraz chwili, przeklinającej swoje istnienie. Ja należę do ludzi bardziej silnych, powiedziałbym bardzo wyjątkowo obdarzonych siłą charakteru, ale i mocą decyzji, a zajmowałem urząd nie tylko Naczelnika Państwa, ale i Naczelnego Wodza podczas wojny, co — zdaniem moim — znacznie większe presje na duszę wywiera, niż codzienne w porównaniu z wojną tarcia życia politycznego. A jednak, mając tak wyjątkową siłę, przechodziłem wahania tak silne i mocne i tak piekielnie męczące, że wątpię, by inna męka porównałaby się dała z podobną. I wiem dobrze, jak człowiek w takich położeniach szuka jakiegoś oparcia, by chociaż na chwilę odetchnąć, by wiecznie nie być samemu.

Dlatego też zupełnie spokojnie mówiłem sobie, że w tych największych decyzjach, związanych z nieuniknionymi kryzysami państwa, nie wolno nakazywać lub też zaczepiać te czy inne sposoby, których używa Prezydent dla stworzenia w swej głowie jasności sytuacji lub pewności w doborze środków, jest wtedy doprawdy wszystko jedno, gdy komuś pozostawiono decyzję, jakimi drogami człowiek do decyzji dochodzi. Nieraz się śmiałem, znając bezecność sądu mojego plemienia, które takim brakiem decyzji jest piętnowane, gdy szuka jakichś przepisów niemądrych dla załomów duszy ludzkiej, szukającej decyzji. Ja np. latałem, jak dziki, po kilku pokojach, stukając nogami, jak dziki osioł, i nieledwie rzucając się z kułakami na każdego, kto mi w tej chwili przeszkadzał. A będzie mi wtedy jakiś pan przepisywał, że ja się muszę radzić wtedy z jakimś łajdakiem. Inny może zechce w takich wypadkach zajrzeć do kina. I co komu znowu do tego? I jest takich sposobów indywidualnych całe mnóstwo, gdy dusza szuka spokoju i jasności myślenia.

Jakkolwiek jednak patrzylibyśmy na decyzję tych ludzi i na sposoby jej uzyskania, niechybnym wydaje mi się faktem oddanie decyzji we wszystkich kryzysach państwowych w ręce jednego tylko człowieka, który obowiązany jest swoją decyzję przekazać innym do spełnienia. Jest to więc ta wysoka praca regulacyjna całości państwa, która musi być oddana Prezydentowi z pełnym zabezpieczeniem możliwości jej wykonania przez niego i możliwości czynienia tego bez specjalnych przeszkód, robionych mu przez namiętności i zawiści ludzkie. W jakie kto paragrafy to moje żądanie ubierze — jest to mi dość obojętne. Nie staram się nawet myślał pracować nad nimi, lecz czuję, że uczyniłbym bardzo źle w moim własnym

mniemaniu, gdybym tej sprawy nie podniósł, nie starał się jej bronić i publicznie jej nie przedstawiał.

Na zakończenie dodam, że wiązę zawsze całość poruszonych przeze mnie kwestyj z wyborem Prezydenta inną drogą, niż przez sejm i senat, tak, by uczynić i prawnie, i zwyczajowo Prezydenta możliwie od tej strony niezależnym i wybranym zatem inną drogą przez cały kraj. I wtedy niech mi wolno będzie najśmieszniejszą prawdę wypowiedzieć, że zarzuty, pod tym względem czynione, jakoby ta droga oznaczała demagogię — czynione są przez najgłupszych i najdurniejszych demagogów.

---

## POPRAWKI HISTORYCZNE

(początek 1931 r.)

*«Poprawki historyczne» napisane zostały przez Piłsudskiego w czasie jego trzymiesięcznego pobytu na Maderze, t. j. od końca grudnia 1930 r. do końca marca 1931 r. Maszynopis, pisany pod dyktando Piłsudskiego przez płk dra Marcina Woyczyńskiego, przyjęty został w dniu 14 kwietnia tegoż roku przez Instytut Badania Najnowszej Historii Polski i wydany drukiem w następnym miesiącu w nakładzie 10.000 egzemplarzy. Rękopis, obejmujący 58 stron pisma maszynowego, z poprawkami poczynionymi ręką Piłsudskiego i Woyczyńskiego, znajduje się w archiwum Instytutu Józefa Piłsudskiego.*

*O genezie i intencji «Poprawek historycznych» pisze sam Piłsudski w przedmowie do tej swej pracy.*

*Tekst podajemy według wspomnianego wyżej wydania tej książki przez Instytut Badania Najnowszej Historii Polski (Warszawa 1931).*

### PRZEDMOWA

Dając do druku moje «Poprawki historyczne», nie mogę nie poprzedzić ich specjalnym wstępem. Wstęp wydaje mi się nieodbitnie potrzebnym, gdyż boję się, że zostanie niezrozumiałą nie tylko moja praca, lecz i sam system, do którego, niestety, byłem zmuszony.

Moje «Poprawki historyczne» tyczą się okresu, w dziejach naszych znaczonego wybuchem wojny w sierpniu 1914 r. i samymi początkami Polski. Dziwię się nieraz, że takie proste prawdy i fakty historyczne są stale przekręcane i stale fałszowane. Nie ma bowiem żadnej wątpliwości, że przy wybuchu wojny w 1914 r. Polacy i Polska byli w stanie zupełnej prostracji i zupełnej bezsilności. Niezaprzeczoną jest więc faktem, że w każdym z zaborów wszyscy Polacy uczynili wszystko to, co im zaborca rozkazywał, to jest dali przede wszystkim bez żadnego zaprzeczenia i bez żadnych warunków życie i mienie, bo to jest dla wojny wymagane. Fakt ten jest

tak niezaprzeczony i taki prawdziwy, że z prawdziwą przykrością czytać i słuchać można zaprzeczenie tego faktu przez upiększanie siebie i zresztą tylko siebie w jakieś siły i jakieś prace. Z wybuchem wojny nastąpił fakt, oczywisty dla wszystkich państw, które wojnę prowadziły. Ten fakt oczywisty polegał na daniu siły władzy i decyzji nieraz w bardzo drobnych szczegółach tym, którzy wojnę prowadzili, to znaczy dowódcom wojskowym i ich sztabom, w odróżnieniu od niedawnych czasów, gdy ciż sami dowódcy wojskowi i ich sztaby nie znały tak dużo i tak wielkich praw decyzji nie miały.

Jeżeli pominiemy ten fakt oczywisty, związany z Polską we wszystkich trzech zaborach, będziemy nie w historii, nie w prawdzie, ale w bajkach i w fałszu. Natomiast bardzo wielu ludzi w Polsce stara się niewiadomo po co opowiadać bajki i żyć w stałym fałszu. Robią oni na mnie wrażenie, jak gdyby robak, deptany przez ludzi, chciał ubierać się w skórę lwa albo przynajmniej lamparta, albo też chciał zrobić z siebie wielkość słonia, który sam depcze, nie będąc przez nikogo deptany.

Ta namiętność i ta śmieszność, z jaką ludzie starają się upiększyć siebie, dodać sobie siły, której nie mieli, i dodać rozumu, którego nie mieli także, jest niekiedy jakby znamieniem prób historycznych, czynionych dotąd w stosunku do tych wielkich wypadków, których świadkami było pokolenie, na szczęście schodzące już do grobu. Kiedy myślę o tym, zawsze jestem przepelniony zdumieniem. Niechybnie bowiem najprostszym jest uznanie faktu takim, jakim on był, i nie tylko zgodzenie się z nim jako z faktem historycznym, ale i uczynienie tego z zupełnym spokojem. Albowiem fakt ten może być bardzo przykrym historycznie i może Polskę, to jest dwadzieścia kilka milionów ludzi, pokrywać wstydem, ale poszczególny człowiek, gdy fakt ten jest tak powszechnym, tak jednolitym, jak może żaden fakt historyczny w Polsce, nie może mieć ani wstydu, ani czuć jakiegoś upokorzenia, gdy fakt ten jest powszechnym i dotyczącym każdego. Uczynić to każdy spokojnie może, tym bardziej, że gdy z rozwojem wypadków otworzyły się drogi, przy których Polak mógł zacząć coś znaczyć, to ogromna ilość Polaków zaczęła próbować nie tylko swoich sił, ale i pokazywania zębów zaborcom. Wstydu zatem personalnego ogromna większość Polaków mieć nie może. Ale po co wyolbrzymiać ciągle karła, po co się ubierać w skórę lamparta i robić menażerię na odwrót?

Niewątpliwym więc jest faktem historycznym, że wraz z wybuchem wojny w sierpniu 1914 r. wszystko to, co stano-



wiło fakty historyczne i co za tym podłożem historii być musi, są władze wojskowe zaborców, które nieraz decydowały o małych nawet szczegółach życia historycznego. Władze te wojskowe, depcząc spokojnie wszystko, co polskie, zostawiły jednak jedną furtkę dla Polaków, to jest zupełną swobodę przeskadzania każdemu Polakowi w czynieniu czegokolwiek, co nie jest ściśle zależne od tychże władz wojskowych i ich organów. Nie mogę zaprzeczyć ściślemu faktowi, że wszystko to, co Polskę mogło reprezentować, skwapliwie to czyniło, czyniąc ją bardziej słabą i bardziej oddaną w ręce zaborców. A że tych zaborców było trzech, którzy na ziemiach Polski się bili, pustosząc ją przy tym co wlezie, ta służba zaborcom czyniła coraz dalsze postępy; ponieważ zaś władze wojskowe, będące w wojnie, wiecznie są niesyte danych i wiadomości i wiecznie niepewne pracy nad odniesieniem zwycięstwa, powiększają stale i ustawicznie, nie żałując na to pieniędzy, system szpiegostwa, złączonego z użyciem człowieka do wszystkiego. Niechybnym więc jest także faktem, że Polacy, którzy wyobrażali sobie, że będą mieli drogą jakąś wpływ i znaczenie na wypadki, poszli na drogę szpiegostwa, gdzie wrota były otwarte na oścież. Szpiegostwo to natychmiast przez zaborców skierowane zostało przeciwko Polakom i przeciwko wszystkim, kto siły Polski chciał budować. Drogi pod tym względem były łatwo otwierane i nosiły charakter najrozmaitszy. Robiono więc małe dogodności wszystkim tym, którzy dane i wiadomości dawali szpiegom. Dobierano na zewnętrzne wpływy i znaczenie tych, którzy tej pracy szpiegowskiej nie przeskadzali, albo ją popierali. Ten fakt historyczny niechybnie już hańbi poszczególne osoby i czyni bardzo nierozumnymi i głupimi wszystkich tych, którzy temu systemowi ulegali. Także zaś niechybnym jest faktem, że zgodnie z tendencją ubierania się w skórę lamparta i w trąbę słonia — co jest tak rozpowszechnione w Polsce — i ci ludzie, którzy się shańbili szpiegostwem w stosunku do Polski i Polaków, ubierają się także w szaty Catonów, a przynajmniej Ciceronów, walczących z Catillinami.

Dlatego też sędzę, że system fałszu, związanego z wywyższaniem siebie do roli lamparta czy słonia, nadzwyczajnie silnie popiera wszystko to, co było hańbą, i wszystko to, co było nikczemnym, w niedawnej jeszcze historii polskiej. I zawsze, gdy myślę o tym, nie mogę nie powiedzieć, że ta śmieszna mania wielkości mogłaby być usuniętą z historii zupełnie swobodnie, gdyż w ogólnej bezsilności i poddaniu się niewolniczemu losowi Polski nie ma ani osobistej hańby, ani nawet

wielkiego upokorzenia. Niewątpliwym bowiem — co jeszcze raz powtarzam — jest fakt niezaprzeczony, że po paru latach wojny nadszedł czas znacznie lepszy dla Polaków, gdy Polacy mogli coś znaczyć i zaciężyć na własnych losach. I wtedy niewątpliwie znalazła się duża część Polaków, która nie tylko usilnie szukała dróg i środków dla zwiększania siły Polski, ale ryzykowała nawet swoje życie i oddawała swoje mienie nie dla zaborców, ale dla Polski. Co prawda, i w tym okresie siłą istotną, siłą, znaczącą swoimi decyzjami bieg historii, byli zborcy, nie Polacy. I wtedy wszystko to, co Polskę chciało uzewnętrznić, szło na kondominium, czyli na wspólnotę z tym czy innym zaborcą.

Niechybnie w tym stadium historii wszystko to, co było hańbą Polski, to jest szpiegostwo w stosunku do Polski, szpiegostwo płatne, było musowo dopuszczonym do tegoż kondominium, tak, ażeby Polska była słaba, a usiłowania tych, co Polskę chcieli zrobić silną, — jak najslabsze i praca jak najbardziej najeżona przeszkodami. Nie mogę więc i dla tego okresu ubierać ówczesnych prób zniszczenia siły Polski w skóry lwa i lamparta czy też dawać tym usiłowaniom trąbę słońca, depczącego spokojnie inne stworzenia.

Najzabawniejszymi — że ich tak nazwę — niezgrabiaczami cyrkowymi na arenie piśmiennictwa historycznego są ci panowie, którzy robią strasznie niezgrabne przeskoki z roku 1914 do tej chwili, gdy Polska mogła być i silną, i możliwie niezależną od nikogo. Te śmieszne łamane sztuki takich panów nie posiadają nigdy nawet zręczności istotnych pajaców cyrkowych, którzy, czy udając idiotę, czy też czyniąc niezgrabne poruszenia, muszą być istotnie inteligentni i posiadać niezwykle wyćwiczone ciało, aby publiczność wprowadzić w szczyry śmiech i nieraz zachwył. Tymczasem ci panowie starają się połączyć swoją absolutną niemoc i bezsilność z czasami, gdy Polska, jeżeli nie była nadzwyczajnie silną i potężną, to w każdym razie mogła wykonywać swoje własne decyzje, czyniąc swoją własną historię.

Próba łączenia początków wojny w r. 1914 z r. 1918, a raczej jego końcem, jest zawsze tak idiotyczna, że człowiek to czyniący nie może nie być zaliczonym do głupich, bo nie tylko zmienił się cały świat, a w nim i Polska, ale przede wszystkim zmienić się musieli i ludzie i musowo stać się czymś innym, niż to było w r. 1914. Przeskok człowieka, który był nicością zupełną, nierachowaną, niekalkulowaną przez nikogo, do znaczenia i siły nie tylko dla siebie i dla Polski, ale i dla świata, jest tak wielki i tak zmieniający postać rzeczy,

że każda próba łączenia w jakiś musowy i logiczny związek jest skończonym idiotyzmem. Jednak ludzie to ciągle czynią.

Niechybnym faktem historycznym jest również fakt, że moja osoba w tym okresie historycznym stała się centralną osobą dla tego okresu. Nie chcę ani szukać motywów historycznych dla tego faktu, ani też kogokolwiek pod tym względem poprawiać, lecz rzeczą jest niezaprzeczoną, że osoba Józefa Piłsudskiego stała się centralną dla całego okresu od r. 1914 do początków Polski. Fakt ten niechybnie wymusza na każdym historyku specjalną pracę, poświęconą mojej osobie. Ze smutkiem jednak powiedzieć muszę, że wszystkie prace, które w stosunku do mojej osoby są czynione w tegoczesnej Polsce, dają osobę moją, to jest Józefa Piłsudskiego, najczęściej zupełnie mi nieznanego. Jakaś podobizna bez podobizny, jakaś często mała głupia, która nie wiadomo dlaczego i po co stała się centralną figurą całego najważniejszego dla Polski okresu. Przy czym najczęściej fakty z mego życia są poprzekręcane w sposób głupi tak, że ja nawet swego życia nie poznaję.

Niechybnie życie moje było zupełnie niepodobne nie tylko do życia mego pokolenia, ale i do życia kogokolwiek bądź w Polsce. Życie pełne bajek, które jednak były prawdziwymi, pełne niebezpieczeństw stałych dla życia, pełne dziwacznych awantur i dziwacznych przygód. Życie takie z trudem niechybnie poddaje się jakiegokolwiek kontroli i jakiegokolwiek ścisłości dla każdego oprócz mnie. Jest mi zupełnie obojętnym, czy nazwie mnie kto awanturnikiem, czy nazwie mnie szczęściarzem bez rozumu, jakąś wypadkową figurą w historii, czy też zechce mi przyznać talent i to duży, czy nazwie mnie najrozumniejszym człowiekiem w Polsce. Jest to bardzo obojętnym dlatego, że sąd nad taką centralną figurą należy do dalekiej potomności, a nie do tego pokolenia, z którego taka centralna figura w historii wychodzi.

Tegoczesna jednak Polska lubuje się po prostu w przypieciu nieszczęsnego Piłsudskiego do każdej osoby w Polsce. To zaśmieszenie historyczne mojej osoby — wybaczy każdy — wydaje mi się obrzydliwym. Dla przykładu opowiem parę faktów. Oto np. jeden pan, mieszkający gdzieś w okolicach Dęblińskich, pisze do mnie list następujący — znajduje się w biedzie i w ciężkim położeniu materialnym i dlatego przypuszcza, że wreszcie sobie przypomnę, że kiedyś przy swojej ucieczce od policji rosyjskiej do Galicji byłem u niego i pożyczylem od niego narzutkę czy palto i że mu ten dług spłacę. Ja doskonale pamiętam wszystkie — jak je nazywałem —

dziury w granicy rosyjsko-galicyjskiej, przez które przejeżdżałem, przechodziłem, i żadna z dróg moich nigdy na Dęblin nie prowadziła. W Dęblinie zaś i okolicy Dęblina byłem raz tylko w życiu swoim, będąc Naczelnym Wodzem wojsk polskich i prowadząc swój znakomity kontratak od Wieprza w stronę Łomży i Białegostoku <sup>1)</sup>). Oto drugi fakt: jeden pan, mieszkający stale w mieście Łodzi, pisze do mnie list z natarczywym żądaniem, żebym mu zwrócił 200 rubli, które od niego wziąłem dla wykupienia siebie z rąk policjantów, którzy mnie prowadzili do więzienia. Naturalnie, nigdy tak śmiesznego faktu w życiu moim nie było, gdyż mnie w Łodzi przy aresztowaniu <sup>2)</sup> i wszelkich przesunięciach wożono zawsze w karecie z należytą osłoną, niekiedy dowodzoną przez oficera. I tacy panowie opowiadają na pewno i znajomym, i nieznanym o czarnej niewdzięczności pana Piłsudskiego, który nie chce pamiętać o swoich małych długach, zrobionych w chwilach ciężkich dla jego życia.

Jeżeli przytaczam te przykłady, to dlatego, że faktów podobnych musiałbym naliczyć tysiące z opowiadaniem mi w oczy rzeczy, których nigdy nie było w moim życiu.

Jeżeli napisałem, że najzabawniejszymi wydają się mi ci ludzie, co robią śmiało, ale niezwykle niezgrabne przeskokki od początków wojny w 1914 r. do r. 1918, 1920 i nawet 1930 — to muszę przyznać, że gdy mnie do tych przeskoków przyczepiają, muszę sobie wyglądać tak samo śmiesznie i zabawnie, jak i oni. I zawsze się dziwię, po co to ludzie czynią. I zawsze odpowiadam, że może to czynić człowiek, nie szanujący absolutnie siebie. Jest to dla mnie tak niewątpliwy fakt i tak jasny, jak słońce, świecące na niebie.

Takie zaśmianie mego życia, mojej pracy, moich myśli, nieraz dawało powód dla mnie do marzeń, że mi się uda może zrzucić z siebie całe to niepotrzebne śmiecie. Nie mogłem jednak nigdy znaleźć metody i znaleźć możliwości w sobie, ażeby z tym zaśmieceniem mojej osoby walczyć i zmusić ludzi chociażby do milczenia. W tej niepewności, jak uczynić, jak znaleźć jakąkolwiek drogę, jak wymusić na sobie chociażby trochę pracy dla tego celu, trwałem bardzo długo. I jak zwykle w takich wypadkach, gdy mnie coś dręczy długo, zaczynam nienawidzić siebie za brak decyzji i postanowienia, gdyż jestem nadzwyczajnie decyzywny i nadzwyczajnie stanowczy,

---

<sup>1)</sup> Mowa o przeciw uderzeniu polskim w sierpniu 1920 r.

<sup>2)</sup> Por. t. V, str. 174.

i nie mogę nie wstydzić się przed sobą, gdy decyzji powziętej nie wykonuję. Dlatego też, gdy zdecydowałem, że po wielkim zmęczeniu wyjadę z Polski na parę miesięcy z nadzieją urządzenia sobie życia tak, abym nie był ciągle teatrem dla ludzi, zdecydowałem najzupełniej stanowczo, że uczynię pod tym względem jakąkolwiek próbę. Namyslałem się, co prawda, nie jeden wieczór, chodząc samotnie w pałacu namiestnikowskim <sup>1)</sup>, jaką metodę wybiorę, gdyż czułem, że będę gardzić sobą, jeżeli postanowienia nie wykonam. Zmusić siebie do czytania całej literatury, związanej ze mną, absolutnie nie mogłem. Dlatego też od razu zrzekłem się myśli zrobienia czegoś większego, gdyż moim ciągłym marzeniem przez długie czasy było napisanie monografii o sobie. Po długich namysłach zatrzymałem się na dwóch pamiętnikach, których, zaznaczam, nigdy nie czytałem, to jest pamiętnikach p. Daszyńskiego i p. Bilińskiego. Wiedziałem, że są wydane i z góry przypuszczałem, że całe mnóstwo szczegółów, związanych ze mną, musi być fałszywe. Przynajmniej byłem tego najzupełniej pewny co do pamiętników p. Daszyńskiego. Kazałem więc do rzeczy swoich, które brałem na Maderę, zapakować zarówno pamiętniki Daszyńskiego, jak i Bilińskiego.

Mieszkając długo w okolicach Funchallu <sup>2)</sup> raz po raz obmyślałem, że muszę zacząć od przeczytania tych pamiętników. Spotkałem od razu tak głębokie i tak silne przeszkody moralne, że zacząłem się obawiać, że swojej decyzji nie wykonam. Z niechęcią do siebie otworzyłem na chybił trafił pamiętniki p. Daszyńskiego i z przestachem natychmiast książkę rzuciłem. Powiedziałem wyraźnie sobie — co zresztą w «Poprawkach historycznych» jest napisane — że lepiej chyba będzie, gdy ja sam napiszę pamiętniki Daszyńskiego, gdyż wtedy będą prawdziwsze i bardziej zgodne z prawdą. Po namyśle więc zdecydowałem metodę następującą. Mianowicie — zatrzymam się jedynie na tych ustępach, które wyraźnie są związane z moim nazwiskiem, i każdy fałsz będę prostował. To wydawało mi się jeszcze możliwym.

Sądziłem przy tym, że idąc tą metodą, będę także i najbardziej historycznym, gdy prostuję rzeczy, związane tylko ze sobą, nie tykając treści jakiegokolwiek, czy to związanej z innymi osobami, czy to związanej z osobą p. Daszyńskiego. Nie-

---

<sup>1)</sup> «Pałac namiestnikowski» — siedziba Prezydium Rady Ministrów. Piłsudski przed wyjazdem na Maderę od 25 września 1930 r. do 3 grudnia tegoż roku był prezesem Rady Ministrów.

<sup>2)</sup> Funchall — stolica Madery.



chybnie, trzymając się tej metody — zdaniem moim — ściśle historycznej, utrudniłem znacznie czytanie moich «Poprawek historycznych». Lecz niech mi wybaczą wszyscy moi czytelnicy — ale nie byłem w stanie ani przeczytać tego, co napisał p. Daszyński i p. Biliński, ani też za nich pisać istotną historię p. Daszyńskiego i p. Bilińskiego.

Dlatego też nie mogę i nie będę miał pretensji do nikogo, kto książeczki mojej nie zechce przeczytać. Zrobiłem w każdym razie swoją próbę odświeżenia historii mojej osoby.

UWAGI DO PAMIĘTNIKÓW IGNACEGO DASZYŃSKIEGO  
(«Pamiętniki» — tom I i II, Kraków, 1924, 1926, nakładem  
Drukarni Ludowej)

I.

1) Po raz pierwszy w pamiętnikach p. Daszyńskiego nazwisko moje spotykam na stronie 162 pierwszego tomu. Wobec tego, że nazwisko moje nie jest związane z żadnym faktem, lecz z «nienawiścią do mnie podolskiego hrabiego<sup>1)</sup> i jego pomocnika prof. Strońskiego w Krakowie<sup>2)</sup>», a ja nie jestem w stanie sprawdzić stopnia tej nienawiści, pomijam ten ustęp bez żadnego sprostowania.

2) W rozdziale, zatytułowanym «Wojna rosyjsko-japońska», na stronie 214 spotykam znowu swoje nazwisko.

Pominę najzupełniej wszystko to, co jest charakterystyką moją, daną przez p. Daszyńskiego. Nie mogę bowiem odmówić komukolwiek prawa czynienia tej czy innej mojej charakterystyki, chociażby była nieścista lub wręcz fałszywa. Zaznaczam jednak, że w r. 1901 wcale nie osiedliłem się w Krakowie, jak to pisze p. Daszyński, był to bowiem okres czasu, kiedy baza P. P. S. nie została jeszcze przeniesiona do Galicji, jak tego wymagałem ciągle od swoich przyjaciół w Londynie<sup>3)</sup>, i dlatego w 1901 r. po krótkim pobycie we Lwowie i Zakopanem wyjechałem do Londynu.

<sup>1)</sup> Prawdopodobnie mowa o hr. Tadeuszu Cieńskim, polityku galicyjskim, należącym do t. zw. «podolaków», prezesie Rady Narodowej we Lwowie, pośle na sejm galicyjski.

<sup>2)</sup> Stanisław Stroński, b. profesor romanistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim, b. poseł na sejm galicyjski i b. poseł do trzech sejmów polskich.

<sup>3)</sup> Mowa o Komitecie Zagranicznym P. P. S. w Londynie, przeniesionym później do Krakowa.

3) Pomijając więc całą stronę 215, związaną z charakterystyką mojej osoby i związaną właściwie z rozdziałem, zatytułowanym «Rewolucja w Królestwie», zatrzymam się jedynie na końcowej alinie stronicy, gdzie jest omówiony mój wyjazd do Japonii.

Przede wszystkim data wyjazdu jest postawiona fałszywie. Działo się to bowiem nie «w zimie 1905 r.», lecz w lecie 1904 r.<sup>1)</sup>

Następnie cel wyjazdu jest tak śmieszny u p. Daszyńskiego, że wybuchnąłem wesołym śmiechem, gdy to przeczytałem. Mianowicie, p. Daszyński każe mi jechać do Japonii, «aby ustalić, jakie prace przeciwko caratowi mogą wykonać zesłańcy polityczni na Syberii».

Faktem istotnym jest, że gdzieś w maju 1904 r. zostałem zaproszony przez rząd japoński, abym przyjechał do Japonii dla rozmowy, bliżej nieokreślonej w zaproszeniu. Mogłem być się zgodzić na wyjazd innych osób, lecz zdecydowałem jechać osobiście. Uczyniłem to dlatego, iż nie mogłem nie przypuszczać, że najprawdopodobniejszą treścią tej rozmowy będzie udzielanie informacji o charakterze wojskowym państwu japońskiemu i w tak drastycznej sprawie nie chciałem nikomu dać pełnomocnictwa. Państwo japońskie zwracało mi wszystkie koszty podróży. Gdym jechał, przepływając oba oceany i przejeżdżając kontynent amerykański w poprzek, miałem dość czasu, — gdyż podróż moja trwała więcej, niż miesiąc, aby się namyślić nad sposobem mego zachowania się w Japonii.

Zdecydowałem od razu, że zgodzić się mogę na zorganizowanie pracy informacyjnej tylko w tym wypadku, jeśli Japonia zgodzi się na udzielenie mi pomocy technicznej w broni i nabojach, gdyż nie przypuszczałem, aby wypadek tak wielki, jak wojna, toczona przez Rosję, mógł przejść bez śladu dla państwa rosyjskiego i nie doprowadzał nas, Polaków, do sytuacji, gdzie za pomocą siły dałaby się osiągnąć znaczna poprawa w losach Polski.

Zgodnie z listem rekomendacyjnym, danym mi przez posła japońskiego w Anglii<sup>2)</sup>, musiałem złożyć wizytę w ministerium spraw zagranicznych w Tokio, by potem przejść do rozmowy specjalnej z zastępcą szefa sztabu japońskiego<sup>3)</sup>. Rozmowa moja, gdzie od razu wysunąłem na pierwszy plan tech-

<sup>1)</sup> Piłsudski wyjechał do Tokio z końcem maja 1904 r., dokąd przyjechał w lipcu tego roku. Por. t. II, str. 249.

<sup>2)</sup> Posłem japońskim w Anglii był w tym czasie ambasador Hayashi.

<sup>3)</sup> Mowa o gen. Muratu.

niczną pomoc Japonii, rezultatów praktycznych nie dała, tak, że jedynym rezultatem, który osiągnąłem, było wydzielenie w osobną grupę jeńców wojennych Polaków, wśród których musiała być spora ilość poddających się chętnie i z ochotą, wraz z możliwością z naszej strony oddania do dyspozycji sztabu jednego z naszych ludzi, jako pośrednika pomiędzy sztabem a pomiędzy jeńcami-Polakami <sup>1)</sup>.

Wobec tego śmieszne twierdzenie p. Daszyńskiego o celu mojej podróży do Japonii jest zupełnie fałszywe i polega na jakiejś dziwacznej hipotezie, podanej zresztą jako twierdzenie, gdy ja ani razu p. Daszyńskiemu nie mówiłem o mojej pracy, związanej z Japonią, i nigdy go nie chciałem w te sprawy wtajemniczać.

4) Na stronie 224 tegoż tomu p. Daszyński w rozdziale, zatytułowanym «Rewolucja w Królestwie», charakteryzując tę rewolucję, jeszcze raz mówi o mnie. Przytaczam ten kawałek literalnie: «Naprawdę Piłsudski zabijał strach przed Moskwą w szeregach robotniczych, naprawdę starał się stworzyć siłę zbrojną z rewolucjonistów w formie «organizacji bojowej», naprawdę zorganizował «krwawą środę» w r. 1906 i szeregi terrorystycznych zamachów na najokrutniejszych gnębieli rosyjskich, — rewolucja nie stała się ruchem zbrojnym masy polskiej przeciw rządowi rosyjskiemu».

Wszystkie trzy twierdzenia, zrobione przez p. Daszyńskiego o mnie, są fałszywymi. Po pierwsze więc nigdy nie sądziłem, by można było «stworzyć siłę zbrojną z rewolucjonistów w formie organizacji bojowej».

Po drugie — nie organizowałem «krwawej środy» <sup>2)</sup> w 1906 r. i byłem tej imprezie przeciwny. Po trzecie — byłem przeciwnikiem terroru personalnego i nigdy żadnego zamachu nie organizowałem. Wreszcie twierdziłem i twierdzę, że jeśli nie jedynym, bo to byłoby niesłusznym, to jednak jednym z powodów, dlaczego rewolucja nie stała się «ruchem zbrojnym», były trzy powyższe twierdzenia, przypisywane przez p. Daszyńskiego właśnie mnie.

5) Na stronie 233 znajduje się ostatnia wzmianka o mnie w pierwszym tomie pamiętników p. Daszyńskiego. Wzmianka ta ma postać następującą: «Myśl walki zbrojnej z caratem nie umarła. Przechował ją i w życie wcielił Piłsudski, tworząc najpierw «Związek Walki Czynnej», a potem «Związek Strzelecki», na którym usiłowały się wzorować wszystkie organi-

<sup>1)</sup> Pośrednikiem tym został Polak, Jakub Douglas.

<sup>2)</sup> «Krwawa środa», por. t. III, str. 32.

zacje zbrojne, które powstawały przed wojną światową w Galicji».

Przede wszystkim nie ja stworzyłem «Związek Walki Czynnej», gdyż został on stworzony przez gen. Sosnkowskiego, w czasie, gdy ja kilka długich miesięcy spędziłem nie w Galicji, a w zaborze rosyjskim<sup>1)</sup>; przy czym zarówno forma, nadana organizacji, jak i program kształcenia, zawierał, zdaniem moim, dużo błędów, tak, że miałem potem wiele kłopotu i musiałem dużo wysiłku uczynić, aby te błędy usunąć. Następnie «Związek Strzelecki» była to organizacja najzupełniej legalna, oparta na ustawach ogólno-austriackich, które zezwalały na naukę strzelania z wojskowych karabinów, z możliwością otrzymania tych karabinów od wojska; jednym słowem, organizacja, podobna do tej, jaką mamy obecnie w Polsce w postaci Przystosobienia Wojskowego. Istotnie popchnąłem wszystkich swoich zwolenników na tę ułatwioną, bo legalną formę pracy wojskowej, po naradzie z oficerami sztabu generalnego austriackiego, z którymi w owym czasie byłem w kontakcie.

## II.

6) Na stronie 35 drugiego tomu jest wspomniane moje nazwisko w związku z napadem na pociąg na stacji Bezdany. P. Daszyński pisze o sobie: «część wywłaszczonych pieniędzy rosyjskich próbowałem zmienić w Europie zachodniej przez przeróżne pośredniczące osoby». Wobec tego, że wszystkie te pieniądze przechodziły przez moje ręce, ja zaś do p. Daszyńskiego nie zwracałem się ani razu w poruszonej przez niego sprawie, wątpię mocno, aby to twierdzenie p. Daszyńskiego było prawdą.

7) Na stronach od 41 do 45 włącznie opisywana jest «potężna rola historyczna Józefa Piłsudskiego, który dał obozowi niepodległościowemu odpowiedź na pytanie, co Polacy mają robić w ewentualnej wojnie Austrii z Rosją». Z wielką trudnością poznaję siebie w tych opisach i dlatego nie podejmę się nigdy sprostowania nieścisłych i zatem bardzo jednostronnych sądów p. Daszyńskiego o mojej «potężnej roli historycznej». Ograniczę się jedynie do kilku sprostowań.

Po pierwsze więc p. Daszyński raz jeszcze na stronie 42 mówi o «Związku Walki Czynnej» i przytacza kilka wyją-

---

<sup>1)</sup> Z. W. C. został założony w czerwcu 1908 r., w czasie kiedy Piłsudski przygotowywał w Wilnie akcję bojową na Bezdany.

ków z jego regulaminu <sup>1)</sup>). Stwierdzam więc, że te wyjątki nie były przeze mnie pisane i właśnie w tych wyjątkach są te ustępy, które, jak mówiłem wyżej, sprawiały mi przez długi czas dużo kłopotu i zmuszały do ich usunięcia za pomocą wielkich i długotrwałych wysiłków.

Następnie zaznaczyć muszę, że do bojówki P. P. S. nie należałem aż do 1914 r. — jak to mylnie twierdzi p. Daszyński — lecz usunąłem się z jej szeregów znacznie wcześniej.

Nareszcie na stronie 45 p. Daszyński pisze o Związku Walki Czynnej, że «w razie konfliktu posłowie socjalistyczni mieli obowiązek bronięcia Związku Walki Czynnej i jego bezpieczeństwa». Zaznaczę, że ja osobiście, jako główny dowódca Związku Walki Czynnej, ani razu nie zwracałem się ani do p. Daszyńskiego, ani do któregośkolwiek z posłów socjalistycznych z propozycją, czy też prośbą o taką obronę, i nie przypominam sobie ani razu takiego wypadku, aby taka obrona była przez posłów socjalistycznych wnoszona. Osobiście aż do 1914 r. opierałem całe zabezpieczenie mojej pracy wojskowej w Galicji na kontakcie, jaki miałem w owe czasy z kilku oficerami austriackiego sztabu generalnego. Uważałbym zaś wszelką domieszkę do tego zabezpieczenia krzykliwych i zwykle przesadnych wystąpień posłów socjalistycznych, mających charakter wybitnie antymilitarny, nie za zwiększenie, lecz za zmniejszenie tegoż zabezpieczenia.

8) Na stronie 95 p. Daszyński pisze o tym, że «Piłsudski wszedł w owym czasie w styczność z sztabem generalnym Austro-Węgier i miał konferencje z wojskowymi austriackimi we Lwowie i Przemyślu. Uznał za potrzebne wtajemniczać mnie stale w treść tych rozmów». O ile pierwsza część jest prawdą, chociaż nie ścisłą, o tyle ostatni frazes jest zupełnie fałszywy, gdyż ani razu z p. Daszyńskim w tej kwestii nie rozmawiałem, nie uważając dla siebie za możliwe wtajemniczać jego w te sprawy. Przede wszystkim związany byłem obustronną wymianą słowa honoru, że się na zewnątrz nikomu o tych rozmowach nie mówi, a nie zwykłem łamać kiedykolwiek słowa honoru. Obok tego p. Daszyński byłby w moich oczach ostatnim, z którymbym o tym mógł mówić, gdyż znając egotyczny charakter p. Daszyńskiego, nie wierzyłem nigdy, aby tajemnica innego człowieka dla niego kiedykolwiek coś znaczyła.

9) Doprawdy niebardzo rozumiem, dlaczego p. Daszyń-

---

<sup>1)</sup> Por. Juliana Stachewicza: «Początki Związku Walki Czynnej». «Niepodległość», t. II, str. 43—60.



ski tak «stale i wiernie» doczepia moje nazwisko czy do swoich przemówień, czy do swojej pracy w Galicji. Tym razem na stronie 97 doczepione jest również nazwisko p. Moraczewskiego, gdyż obaj ci panowie «stale i wiernie popierali każde zamierzenie Piłsudskiego i («horribile dictu») jego strzelców», czym «tłumili głosy krytyki pacyfistycznej w naszych szeregach». Nie chcę temu zaprzeczać, lecz odniosę cały ten ustęp, związany z moim nazwiskiem, do zwykłych w pamiętnikach p. Daszyńskiego nadużyć stylowych.

10) Na stronie 102 nazwisko moje wspomniane jest w związku z wystąpieniem p. Daszyńskiego z krytyką reformy wojskowej w Austrii i z jego żądaniami «w duchu demokracji i najnowszych doświadczeń na polach Mandżurii». Przy czym «wszystkie dane z tej wojny» otrzymał p. Daszyński ode mnie. Gdy czytam następną prawie całą stronę 103, zajmującą ową krytykę i żądania, stanowczo stwierdzam, że z tą krytyką i żądaniami nic a nic nie mam wspólnego i że śmieszne nieraz i dowodzące absolutnej nieznamości organizacji wojska twierdzenia p. Daszyńskiego nie są moje, lecz własne p. Daszyńskiego. Faktem zaś jest, że nieraz nie tylko p. Daszyńskiemu, lecz dziesiątkom innych panów często opowiadałem różne anegdoty wojenne z wojny mandżurskiej, którą istotnie studiowałem zawzięcie i stale. Dodam, że o zamiarze p. Daszyńskiego wystąpienia z krytyką i żądaniami w sprawie reformy wojskowej w Austrii nic nie wiedziałem, a zatem z formą, w jaką to on ubierał w parlamencie austriackim, nic a nic wspólnego nie miałem.

Przypominam sobie w podobnej sprawie jeszcze jeden fakt, związany z pewną rozmową, zaczęłą przez p. Daszyńskiego. Nie mogę odnieść jej do jakiegoś określonego czasu, lecz w każdym razie w rozmowie tej ani razu nie było mowy o wystąpieniu p. Daszyńskiego w sprawie reformy wojskowej. Mianowicie — pewnego razu zwrócił się do mnie p. Daszyński z prośbą, bym zechciał dopomóc p. Liebermanowi w jego pracy w komisji wojskowej w parlamencie austriackim. Gdym wyraził swe zdziwienie, że właśnie p. Lieberman został wysłany do komisji wojskowej, tłumaczył mi p. Daszyński ten fakt tym, że p. Lieberman był posłem z Przemyśla, jednej z największych fortec austriackich, i że w ten sposób może potrafi uzyskać lepsze warunki dla swojej pracy w Przemyślu, niż to było dotychczas. Wymawiałem się bardzo usilnie od tego rodzaju propozycji, twierdząc, że bez jakichkolwiek materiałów i bez oznaczenia celu nie mógłbym w niczym pomóc p. Liebermanowi. Gdy jednak p. Daszyński nastawał co-

raz usilniej, rozpoczynając rozmowę po kilka razy, zdecydowałem na odczepnego dać krótką zapiskę o znaczeniu dobrego wykształcenia rezerwowych oficerów i w ogóle rezerwistów, gdyż z nich właściwie składać się musi nowoczesna armia, gdy jest zmobilizowana. Tak też i uczyniłem, starając się najusilniej, aby ani jedno słowo nie było pisane moim pismem, tak, abym mógł zawsze się wyprzeć wszelkiego udziału w pracy p. Liebermana w komisji wojskowej wiedeńskiego parlamentu.

11) Na stronie 114 p. Daszyński wspomina moje nazwisko w związku z całym szeregiem różnych organizacyj o charakterze wojskowym, które rozwinęły się w bardzo silnym stopniu w Galicji pod wpływem wojny bałkańskiej. Cała charakterystyka poszczególnych organizacyj nie należy do mnie, lecz do p. Daszyńskiego.

12) Od strony 116 idzie cały szereg ustępów, gdzie nazwisko moje wspomniane jest prawie na każdej stronie w związku z utworzeniem i pracą znanej w historii ostatnich lat przed wojną światową «Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych» <sup>1)</sup>. Historia tej organizacji przedstawiona jest przez p. Daszyńskiego dosyć fałszywie. Istotnie rzecz się miała, jak następuje: w drugiej połowie 1912 r. Austria, widząc nadzwyczaj usilne przygotowania do wojny, czynione przez Rosję, zdecydowała przerwać te przygotowania za pomocą odpowiedniego, prawie wojennego nacisku na Rosję. Tak przynajmniej twierdzili mi panowie z generalnego sztabu, z którymi miałem kontakt, którzy, uprzedzając wypadki, zaczęli omawiać ze mną zupełnie już praktycznie sprawę mego wystąpienia wspólnie z armią austriacką. Dodam od razu, że warunki, do których w owe czasy się dogadałem, były co najmniej dziesięć razy lepsze, niż te, z którymi miałem do czynienia w lipcu 1914 r. Zmuszony więc byłem do praktycznego podliczenia swoich własnych sił i wszystkich moich możliwości. Wobec tego, że w stawianych mi warunkach sprawy polityczne nie odgrywały żadnej roli, były zatem pozostawione mnie samemu, uznałem od razu, że występować jedynie w swoim imieniu nie będę w stanie, a więc muszę się starać o to, aby wytworzyć lub zorganizować chociażby pozorną bazę polityczną, na którą mógłbym niejako zrzucić odpowiedzialność za moje kroki, tak, aby ta odpowiedzialność nie spoczywała jedynie na moich barkach. Unikałem zaś przede wszystkim wyłączności socjalistycznej, jako rzeczy,

---

<sup>1)</sup> Komisja Tymczasowa Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych powstała w dniu 10 listopada 1912 r. Por. t. III, str. 171—172.

która raczej szkodzić, niż pomócby mi mogła. Wobec tego, że samo zorganizowanie jakiegokolwiek centrum poprzedzić musiały bardzo liczne i bardzo przykre nieraz rozmowy, brałem do pomocy dla tych spraw zwykle p. Walerego Sławka i p. Michała Sokolnickiego, odkładając rozmowę o tej sprawie z p. Witoldem Jodko <sup>1)</sup>, ówczesnym głównym przedstawicielem P. P. S., na sam ostatek, gdyż obawiałem się ogromnie jego namiętnej chęci dominowania nad wszystkimi innymi z chęcią upieczenia chociażby małej pieczeni partyjnej. Co się tyczy partii P. P. S. D. z p. Daszyńskim na czele, nie wchodziła ona całkiem w pierwszych moich krokach w rachubę, głównie ze względu na osobę p. Daszyńskiego, którego niesmaczny, stale mentorski i głupio guwernerski ton mógł mi w pierwszych krokach zepsuć wszystko, com rozpoczynał. Ustąpiłem pod tym względem bardzo usilnym namowom p. Witolda Jodki i jeszcze usilniejszym i nieraz zabawnym prośbom p. Hipolita Śliwińskiego <sup>2)</sup>. Było mi wtedy bardzo obojętnym, kto i w jakim celu wszedłby do takiej rozszerzonej odpowiedzialności — wiedziałem bowiem dobrze, że cała praca z chwilą wybuchu wojny spadłaby tylko na mnie i że nie dałbym nigdy nikomu prawa skrzepowania mnie czymkolwiek.

Zaostrzenia o charakterze wojennym przeciągały się aż do początku 1913 r. Były gdzieś w okolicy Bożego Narodzenia momenty tak ostre, że ze sztabu pierwszego korpusu austriackiego w Krakowie zawiadomiono mnie, abym przez najbliższe dni nie wychodził z domu, gdyż każdej chwili można oczekiwać rozkazu rozpoczęcia przygotowań do mobilizacji i wtedy, zgodnie z umową, miałbym prawo rozpocząć zwieźlenie wszystkich gniazd strzeleckich do umówionego miejsca w Wadowicach. Zaostrzenie to minęło, jak mnie opowiadali oficerowie austriaccy, w sposób niezwykle zabawny. Mianowicie — główną przeszkodą w postawieniu ultimatum Rosji był stary cesarz Franciszek Józef. Dla podniecenia starego monarchy zdecydowano, że wszyscy dowódcy korpusów austriackich po kolei mieli się zameldować u cesarza, zgłaszając, że korpus tak i taki gotów jest na wszystkie ewentualności. Jakoby cesarz wysłuchiwał spokojnie tych raportów i na ostatku, jako swój wywód, powiedział, że on to już raz w życiu słyszał od znanego generała Benedeka <sup>3)</sup>, który przegrał wojnę

<sup>1)</sup> Por. t. III, str. 161.

<sup>2)</sup> Por. t. III, str. 155.

<sup>3)</sup> Ludwik Benedek (1804—1881), gen. austriacki, dowódca armii północnej w wojnie z Prusami w 1866 r.

z Prusami 1866 r. w znanej bitwie pod Sadową <sup>1)</sup>. Cesarz wtedy postanowił raz jeszcze przemówić jako dynasta do dynasty i wysłał do cesarza Mikołaja II w specjalnej misji ks. Lichtensteina. O ile ta historia jest prawdziwa w szczegółach — nie wiem, lecz opowiadali mi ją ze szczegółami moi znajomi oficerowie sztabu austriackiego.

Pamiętam dobrze, że czekając w owe ostre dni na zawiadomienie o możliwości rozpoczęcia mobilizacji z mojej strony, liczyłem ciągle całą kasę, którą miałem w kieszeni. Zawierała ona równo 340 koron, co konstatowałem z niezwykle smutnym i gorzkim uśmiechem. Dlatego też rozpocząłem zaraz starania o to, aby przynajmniej na przyszłość nie być w podobnie bezradnej sytuacji. Dało to początek instytucji, zwanej «Polski Skarb Wojskowy» <sup>2)</sup>, przy której najczynniejszymi byli znowu p. Walery Sławek i p. Michał Sokolnicki.

Gdy więc historia istotna wygląda w ten sposób, jak to przedstawiłem, to w pamiętnikach p. Daszyńskiego ta historia unika najstaranniej pracy w owe czasy decydującej, to znaczących stosunków austriacko-rosyjskich, zatrzymując się jedynie na przypadkowych rzeczach, związanych z osobą p. Daszyńskiego. A wtedy moja osoba i moje nazwisko, wtykane przez p. Daszyńskiego to tu, to ówdzie bez żadnego systemu, wyglądać musi niezwykle zabawnie i całkiem nieodpowiednio do istotnego stanu rzeczy i do istotnej mojej pracy.

13) Od strony 126 nazwisko moje spotyka się coraz rzadziej i wspomniane jest właściwie w jednym tylko wypadku, gdzie «z wojskiem nie było wszystko w porządku» <sup>3)</sup>. W tej części ostatniej rozdziału XXIII p. Daszyński przechodzi do r. 1913, kiedy — jak pisze — bezpośrednia groza wojny minęła, a zarazem do roku ostatniego, gdy pokój panował jeszcze na świecie. Pomimo, że te dwa lata, 1912 i 1913, tak zasadniczo były inne w historii naszej, u p. Daszyńskiego te dwa lata są pomieszane pomiędzy sobą w jakąś dziwną kaszę, w której rzeczy, związane z r. 1913, kiedy groza wojny minęła, są wplecione do tego czasu, kiedy groza wojny dochodziła do najwyższego napięcia. Z tego też powodu nadzwyczajnie trudnym jest dla każdego szukającego prawdy orientować się w tak dziwacznej historii, z niezwyklej płataniną czasu, wypadków i ludzi,

---

<sup>1)</sup> Bitwa pod Sadową odbyła się w czasie wojny austr.-pruskiej w dniu 3 lipca 1866 r.

<sup>2)</sup> «Polski Skarb Wojskowy» powstał w dniu 26 sierpnia 1912 r.

<sup>3)</sup> Daszyński mówi na str. 126 t. II o tarcjach między Związkiem Strzeleckim a Drużynami Strzeleckimi.

podlewanej wszędzie niesmacznym sosem partyjnictwa i egoistycznego ujmowania najdrobniejszej nawet rzeczy.

Istotnie zaś rok 1913 dał w rezultacie niezwykle rozwój organizacyj o charakterze wojskowym, tak, że liczba tych organizacyj nie pozwalała już na sąd, że było ich tylko dwie, mianowicie «Związki Strzeleckie» i «Drużyny Strzeleckie» i jeżeli nowy pogląd taki był z gruntu fałszywy, gdyż tylko te dwie organizacje prowadziły systematyczne szkolenie swoich członków w zawodzie wojskowym, to jednak krzykactwa partyjne wszelkiego gatunku, ze zdziczałymi formami prasy i przemówień galicyjskich, czyniły zawsze z zera miliony, a z setek i tysięcy zero. Nie przeszkodziło to jednak, że w r. 1914, czyli przy istotnym wybuchu wojny, kalkulacja, zrobiona przez sztab austriacki, poszła daleko w kierunku ujmowania sprawy na sposób galicyjskiego krzykactwa, tak, że warunki, mnie poddyktowane, były dziesięć razy gorsze, niż te, które miałem w 1912 r.

Z przedstawienia rzeczy przez p. Daszyńskiego, który «magna pars fuit»<sup>1)</sup> tegoż galicyjskiego krzykactwa, nie można nic innego wyciągnąć, jak tylko tę istotną rzeczywistość, że p. Daszyński stał bardzo i bardzo daleko od tych prac, które były przeze mnie prowadzone i które tak silnie zaważyły na szali dziejów naszego narodu. Dlatego też, nie prostując słów p. Daszyńskiego o mnie, zakończę swoją pracę w stosunku do rozdziału XXIII.

14) Gdy wezmę rozdział XXV, nazwisko moje oraz moje czynności spotykają się raz po raz i nic w tym dziwnego, gdyż mowa tam o mobilizacji strzelców i o dniu 6 sierpnia 1914 r.

Rozdział ten, wbrew dotychczasowej metodzie, przeczytałem od deski do deski, stronica za stronicą; tyle tam jest błędów historycznych, tyle nieścisłości w datach i tyle fałszywych oświeleń mojej pracy, że właściwie musiałbym napisać cały inny rozdział, aby ułożyć należyte sprostowanie błędów p. Daszyńskiego co do mojej pracy i mojej osoby. Naturalnie, p. Daszyński, nie będąc wtajemniczany przeze mnie nigdy w stosunki moje ze sztabem austriackim, który był w tej chwili dominującym czynnikiem w całej Austrii, a więc i w Galicji, nie mógł zdać sobie najmniejszej sprawy ani z mojej sytuacji, ani też z moich czynności i zapewne stąd pochodzą dziecinne sądy p. Daszyńskiego i dziecinnie śmieszne jego wyobrażenia o wypadkach, których był świadkiem. Co do mnie, przypominam dokładnie moje wrażenie, jakie miałem z powodu p. Da-

<sup>1)</sup> Brał wielki udział.



szyńskiego w tych chwilach, które uważam dla siebie za najcięższe. Pan Daszyński, zaskoczony ogromem wypadków, zmalował tak widocznie i tak nie wiedział, co czynić, że stracił zwykły tupet, nieznośną chęć swoją do wywyższania siebie, do mentorowania i zatracił wyraźnie swój niesmaczny ton.

W pamiętnikach swoich jednak p. Daszyński olbrzymio staje się podobnym do siebie. Dlatego też, nie chcąc pisać innego rozdziału o mobilizacji strzelców i dniu 6 sierpnia 1914 r., zatrzymam się jedynie na sprostowaniu paru faktów, fałszywie przez p. Daszyńskiego przedstawionych.

Na stronie 158 p. Daszyński pisze: «Ponieważ Komisja Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych powzięła uchwałę, żeby wojsko strzeleckie wkroczyło w granice caratu po wypowiedzeniu wojny przez Austrię, a głównie dlatego, że było bardzo mało czasu dla przygotowania wymarszu strzelców, ociągnął się ten wymarsz aż do 6 sierpnia». No, kto może takie śmieszne rzeczy pisać, jak nie p. Daszyński! Stwierdzam więc, że przez cały czas moich przygotowań do wymarszu, ani jednej chwili nie myślałem o jakiegokolwiek uchwale tej Komisji; składała się ona bowiem z ludzi, tak samo zatraconych i tak samo nie wiedzących, co czynić, jak p. Daszyński. Natomiast istotnym powodem daty 6 sierpnia był fakt, że do 6 sierpnia nie miałem pozwolenia sztabu austriackiego do przekroczenia granic państwa rosyjskiego. Dozwolono jedynie na przekroczenie granicy małym grupkom, nie przekraczającym dziesięciu ludzi. Wykorzystałem zaś ten fakt, wysyłając już 2 sierpnia siedmiu ludzi konnych, mianowicie — pierwszy patrol Beliny.

Następnie sprostować muszę daty p. Daszyńskiego o konferencji, która się odbyła u p. dra Lea, prezydenta Krakowa i prezesa Koła polskiego w Wiedniu. Wbrew temu, co p. Daszyński pisze, inicjatorem tej konferencji był nie p. Daszyński, ale ja.

Przede wszystkim parę słów co do daty tej konferencji. Ściśle tej daty nie pamiętam, lecz zestawiając wszystkie zdarzenia w owym czasie, byłbym pewniejszym siebie, gdybym cofnął datę 4 sierpnia, podaną przez p. Daszyńskiego, o parę dni wstecz. Następnie z pewnością stwierdzić mogę, że o «przedłożeniu projektu wzięcia udziału różnych stronnictw w pracach Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych» <sup>1)</sup>, ja nie tylko nie wiedziałem, ale i nie mógłbym być

---

<sup>1)</sup> Daszyński na str. 160 t. II pisze: «Dnia 4 sierpnia (1914 r.) udałem się do p. dra Lea, prezydenta Krakowa, aby mu przedłożyć projekt

na takiej konferencji, z takim celem zwoływanej, gdy — jak pisze p. Daszyński — 3 sierpnia usunąłem się z tej Komisji. Istotna historia tej konferencji jest następująca.

Rozmowa moja z przedstawicielem austriackiego sztabu generalnego, gdzie warunki wystąpienia mojego zostały znacznie pogorszone, zmusiła mnie do wzięcia paru dni namysłu na odpowiedź. Wrażenie moje z tej rozmowy, które odniosłem, polegało na tym, że rok 1913 nie darmo minął nie tylko dla Galicji, ale i dla sztabu austriackiego.

Rozwój organizacyj wojskowych w Galicji i krzykactwo wszelkiego rodzaju partyjników galicyjskich uczyniło najwidoczniej kalkulację sztabu inną, niż była ona w 1912 r. Zaczęto widocznie liczyć się bardziej z galicyjskim sposobem widzenia, niż z możliwościami, które spotkać można było w zaborze rosyjskim. Dlatego też, dla poprawy tych ciężkich dla mnie warunków, myślałem poszukiwać chociażby pozornej i chociażby chwilowej pomocy i oparcia w galicyjskich t. zw. mężach stanu. Najlepszym mi się wydawał do tego p. Leo, jako demokratą, nie zarażony chęcią supremacji i panowania nad wszystkim. A że go nie znałem, zwróciłem się do p. Daszyńskiego z prośbą, by mi ułatwił porozumienie się z p. Leo. Nie dało mi to nic pozytywnego, gdyż minęło kilka dni, nim zostałem do p. Leo zaproszony, a termin, prawie ultymatywny, dany mi przez sztab austriacki, mijał, tak, że musiałem się zgodzić na ciężkie warunki, a na ową konferencję poszedłem już po umowie ze sztabem austriackim.

Gdy do gabinetu p. Leo zostałem z p. Daszyńskim wprowadzony, znalazłem tam czterech panów, z których pamiętam trzech. Jeden był p. Leo, drugim był p. Jaworski, trzecim p. Dwernicki<sup>1)</sup>; co do czwartego, nie jestem zupełnie pewien. Zdumiony tym zebraniem osób, których nie znałem, zdecydowałem od razu mieć się na baczności i z żadną inicjatywą nie występować.

Pierwszy zagaił zebranie p. Leo, twierdząc, że on, jako prezes Koła Polskiego, chciałby przed zebraniem Koła Polskiego, które musi nastąpić, ułatwić wszystkie możliwe porozumienia się pomiędzy ludźmi; i, czyniąc gest w kierunku p. Daszyńskiego, stwierdził tym, że oczekuje od p. Daszyńskiego, który nie wchodził do Koła Polskiego, jakiegoś dania przykładu. Następnie

---

wzięcia udziału różnych stronnictw w pracach Kom. Sfeder. Stron. Niep. i wstąpienia ich ewentualnie do mającego się utworzyć rządu, który byłby politycznym zastępstwem polskiej siły zbrojnej».

<sup>1)</sup> Tadeusz Dwernicki, adwokat lwowski, należał do t. zw. demokratów.

mówił p. Daszyński. Przemówienie jego pamiętam doskonale i stwierdzam raz jeszcze, że ani jednym półsłowem nie zaczął Komisji Niepodległościowej, ani nikomu nie proponował wzięcia udziału w jej pracach, ani też nie stawiał żadnego wniosku o jakimkolwiek rządzie, «który byłby politycznym zastępstwem polskiej siły zbrojnej». Zaczął p. Daszyński od stwierdzenia grozy sytuacji Polaków, którzy zmuszeni będą do strzelania do siebie i do niszczenia siebie wzajemnie, gdy wojna austro-rosyjska wybuchnie, — wojna bowiem pomiędzy tymi obu państwami nie była jeszcze ogłoszona.

Opisując wszystkie okropności tej sytuacji Polski, zaczął także twierdzić, że wobec zamknięcia zakładów przemysłowych w zaborze rosyjskim, mogą nastąpić tam akcje rabunków i akty gwałtów, gdy przy ucisku rosyjskim ludność tameczna nie jest dostatecznie zorganizowana; nawoływał zaś do konieczności pomyślenia o tej sytuacji i o wymyślenie jakichś środków zapobiegawczych. Pamiętam dokładnie moje niesmaczne wrażenie z jego przemówienia, sam zaś nie mówiłem dotąd nic, oczekując wciąż, jak mi się zarekomendują inni panowie, którzy tam byli zebrani.

Zaczął znowu p. Leo, z miną nieco zawiedzioną i niechętną, twierdził, że na tak szerokie wymagania odpowiedzieć sam nie może i że może odpowiedzieć po zebraniu Koła Polskiego, które niechybnie jakąś decyzję poweźmie i po porozumieniu się z rządem austriackim będzie w stanie rozpocząć jakąś pracę. Mówił jeszcze p. Dwernicki, uznając także konieczność zwołania Koła Polskiego.

Czułem, że wszyscy patrzą na mnie, jako na osobę, na owe czasy nadzwyczaj ciekawą, oczekując ode mnie prawdopodobnie rewelacji, związanej z umową moją ze sztabem austriackim.

Nie mogłem również nie widzieć i nie odczuwać, że ci panowie nie zdają sobie najzupełniej sprawy z żelaznych praw wojny, z całej potęgi jej techniki i wyobrażają sobie, że Koło Polskie mieć będzie cały czas te same przywileje, jakie miało podczas pokoju i że spokojnie będą mogli się zjeżdżać, wysyłać depesze, rozmawiać telefonicznie i obradować całymi miesiącami.

Moje przemówienie jest streszczone u p. Daszyńskiego względnie przyzwoicie <sup>1)</sup>. Konferencja ta zakończyła się twierdzeniem p. Leo, że życzyłby sobie, żeby ją można było powtórzyć.

<sup>1)</sup> Na str. 161 t. II «Pamiętników» Daszyńskiego.

Jasnym więc jest, że konferencja u dra Lea z moim udziałem nie miała na celu, jak pisze p. Daszyński, przedłożenia mu projektu «wzięcia udziału różnych stronnictw w pracach Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych i wstąpienia ich ewentualnie do mającego się utworzyć rządu, który byłby politycznym zastępstwem polskiej siły zbrojnej». Wobec tego, że p. Daszyński wylicza cały szereg osób, które były na opisywanej przez niego konferencji, być może, że spłatał on kilka konferencyj razem ze sobą, w każdym jednak razie ja na konferencji żadnej nie byłem, na którejby p. Daszyński przedkładał p. Leo projekt, poprzednio wzięty w cudzysłów.

Wreszcie słów parę o moim oświadczeniu dla Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych. P. Daszyński mówi o tym na stronie 158, o konferencji zaś z p. Leo na stronie 160, chronologicznie zaś było to akurat odwrotnie — konferencja z p. Leo była przedtem, następnie zaś w dobre kilka dni rozmawiałem z Komisją Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych. Główną przyczyną, dla czego tę rozmowę odkładałem, było nie co innego, jak fakt, że Drużyny Strzeleckie bardzo długo się wahały, czy mają iść ze mną razem, czy też zajmą wyczekujące stanowisko. Nie mogłem więc zwoływać całej Komisji, gdy nie byłem pewien, jak zebranie się ułoży <sup>1)</sup>.

Drugim zaś powodem był fakt, że wszystkie umowy, które sztab austriacki chciał zawierać, były wyraźnie umowami z moją jedynie osobą, z niemożliwością dopuszczenia do tego kogokolwiek innego. Zajęty więc byłem parę dni obmyśleniem politycznej barwy, z którą mogę wystąpić. Zatrzymałem się wreszcie na jedynym możliwym projekcie spróbowania przynajmniej na czas pewien postawienia siebie w zależność od nieistniejącego wcale tajnego Rządu Narodowego w Warszawie. Gdy przebiegałem listę osób, których mógłbym do tego celu użyć, zrzekałem się od razu myśli i próby urzeczywistnienia tego projektu, gdyż miałbym zawsze do czynienia z ludźmi, tak dalece wahającymi się i tracącymi głowę w każdej okoliczności, że właściwie musiałbym robić wszystko za nich, kierując nimi prawdopodobnie w najdrobniejszej nawet rzeczy.

Dlatego też wolałem tajną i daleką od Krakowa fikcję, niż cokolwiek innego. Od tego też czasu datuje się moja dłu-

---

<sup>1)</sup> Na zebraniu K. S. S. N. w dniu 31 lipca 1914 r. polskie Drużyny Strzeleckie poddały się komendzie wojskowej przy K. S. S. N.

goletnia samotność, która mi się tak dała we znaki w moim życiu.

Na zakończenie omawiania rozdziału XXV, słów kilka o dniu 13 sierpnia, gdzie p. Daszyński stwierdza, że mu wtedy powiedziałem o wymaganiach, by strzelcy włożyli czarno-żółte opaski <sup>1)</sup> i dodałem znane mi dobrze określenie, że «nie pozostaje mi nic innego, jak sobie w łeb strzelić».

Stwierdzam więc, że dnia tego nie mogłem mówić o tych wymaganiach, gdyż tych wymagań wtedy mi nie stawiano, natomiast moje słowa, słusznie przez p. Daszyńskiego przytoczone, tyczą się czego innego, a nie tego śmiesznego wymagania.

15) W stosunku do rozdziału XXVI nie mogę nie zastosować tej samej metody, co poprzedniego rozdziału. P. Daszyński bowiem raz po raz popełnia tyle nadużyć stylistycznych, związanych z moim nazwiskiem, a tyczy się ten rozdział tak ważnej części mojej pracy, że musiałbym pisać inny cały rozdział, zamiast tego, który napisany jest przez p. Daszyńskiego. Unikając więc tego, zatrzymać się mogę jedynie na kilku ważniejszych częściach, które chcę sprostować.

Przedewszystkiem zaznaczę, że cały okres czasu, który jest wzięty jako treść tego rozdziału, spędziłem nie w Krakowie, lecz na froncie, w okolicy Kielc i w Kielcach samych. Dlatego też zarówno przemiana Koła Polskiego w Wiedniu na Naczelny Komitet Narodowy (N. K. N.), jak i jego pierwsze czynności nie odbywały się przy mnie, ani też z jakimkolwiek moim udziałem. Dlatego też, prawdopodobnie przy udziale p. Daszyńskiego, została jakoby powzięta uchwała połączonych Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych z Centralnym Komitetem Narodowym we Lwowie <sup>2)</sup>. Uchwała ta, przytoczona na stronicach 169—170 <sup>3)</sup>, nie była mi nigdy ogłaszana, ani też o istnieniu jej nie wiedziałem, dopóki

<sup>1)</sup> Mowa o następującym ustępie w «Pamiętnikach» Daszyńskiego: «Dnia 13 sierpnia z Krakowa, ze sztabu I korpusu przyjechał Piłsudski autem do Miechowa i powiedział mi, że zażądano od niego, aby Strzelcy włożyli czarno-żółte opaski i stali się oddziałem «Landsturmu» (pospolitego ruszenia) austriackiego». T. II, str. 166.

<sup>2)</sup> «Centralny Komitet Narodowy» we Lwowie był złożony z reprezentantów stronnictw polskich Galicji wschodniej. Rolę dominującą odgrywali w nim narodowi-demokraci i konserwatyści Galicji wschodniej, t. zn. podolacy. «Sokół» i «Drużyny Bartoszwowe» uważały ten Komitet za swój wykładnik polityczny.

<sup>3)</sup> Mowa tu o uchwale powziętej w Krakowie dnia 16 sierpnia 1914 r. o zlanie się «Centralnego Komitetu Narodowego» i «Komisji Skonfeder. Stron. Niepodległościowych» w «Naczelny Komitet Narodowy».



nie przeczytałem jej na stronicach pamiętnika p. Daszyńskiego, dlatego też żadnym motywem mojego postępowania ona nie była.

Zaznaczyć też muszę, że kiedy przyjechałem na pół dnia do Krakowa, zastałem Naczelny Komitet Narodowy już sformowany wyraźnie i wyłącznie z posłów galicyjskich do parlamentu wiedeńskiego i nie bez zadowolenia skonstatowałem, że p. Daszyński z socjalistami wszedł do tegoż Naczelnego Komitetu, jak i do zebrania posłów galicyjskich, jako integralna składowa część.

Nie mogę nie powiedzieć, że gdy w poprzednim rozdziale p. Piłsudski musiał od p. Daszyńskiego w pamiętnikach wysłuchać dużo gorzkich uwag za opuszczenie Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, to w niniejszym rozdziale autor pamiętników przechodzi z niezwykłą łatwością do porządku dziennego nad takimże postępkem p. Daszyńskiego. Ani jednej gorzkiej uwagi, pomimo, że wszedł do Koła Polskiego, które stale i namiętnie oskarżał i namiętnie obalał poprzednio.

Co do mnie, wszedłem od razu w pertraktacje z prezesem Koła Polskiego i Naczelnego Komitetu Narodowego, p. Leo. Z pamiętników p. Daszyńskiego wnoszę, że p. Leo nie zechciał nigdy komunikować p. Daszyńskiemu treści tych pertraktacji, chociaż powoływał nieraz do wspólnej rozmowy ze mną p. Jaworskiego.

Pertraktacje z p. Leo tyczyły się głównie ulepszenia uzbrojenia mego oddziału w polu i uregulowania stosunków pomiędzy mną a austriackim wojskiem; p. Leo najczęściej miał wtedy przy sobie jakiegoś kapitana, Czecha<sup>1)</sup>, nie należącego nawet do sztabu generalnego, który jakimś mentorskim tonem pouczał p. Leo, prezesa Koła Polskiego i prezesa Naczelnego Komitetu Narodowego, o swoich czy czyichś poglądach na każdą sprawę. Pouczał zawsze w niemieckim języku, chociaż po polsku widocznie rozumiał, gdyż ja w rozmowie nie użyłem ani razu słowa niemieckiego. Wyznaję, że ten obrazek zawsze mi stoi w pamięci i zawsze go zestawiałem z nadętą figurą p. Lea przy pierwszej konferencji przed moim wymarszem z Krakowa.

Nie wchodząc jednak w żadne głębsze analizy, zdecydowałem od razu zrobić akces do tego pierwszego politycznego przejawu o charakterze czysto polskim, który jednak szedł w kierunku zbrojnego wystąpienia polskiego w tym czasie, gdy wszyscy na szalę wypadków rzucali miecze. Teraz, gdy tyle lat

<sup>1)</sup> Mowa o kpt. Brochu z komendy austriackiego korpusu w Krakowie.

minęło od tej chwili, nieraz zastanawiam się nad tym, czym dobrze postąpił, czyniąc to właśnie tak szybko. I nieraz wydaje mi się, że mogłem znacznie dłużej przeciągnąć moją absolutną niezależność, wykorzystując znacznie dłużej stworzoną przeze mnie fikcję Rządu Narodowego.

Główny zawód, jaki mnie po przystąpieniu do Naczelnego Komitetu Narodowego spotkał, tyczył się nie czego innego, jak stosunków z armią austriacką. Przede wszystkim słów parę o tych stosunkach. Ten oficer, który w imieniu sztabu zawierał ze mną pierwszą umowę, przeznaczony na wypadek wojny do sztabu jednej z armij, idącej w pole, najzupełniej lojalnie o tym mnie uprzedził i dał mi nazwisko innego oficera, który miał się zgłosić sam do mnie, gdyż ja także odchodziłem w pole. Tak się też i stało, i to zaraz po moim pierwszym marszu do Kielc. Depeszę od niego wręczył mi motocyklista austriacki zaraz po zajęciu przeze mnie dworca kieleckiego. Depesza zawierała prośbę, żebym tegoż dnia wieczorem był w Krakowie, aby się z nim zobaczyć.

Istotnie, odjechawszy autem z Kielc, spotkałem się z nim w jednej z kawiarni krakowskich na dość długiej rozmowie. Ten p. podpułkownik powiedział mi, że stosunki się nieco zmieniły, jak powiedział, — na lepsze, gdyż prawdopodobnie da się utworzyć z części posłów wiedeńskich coś w rodzaju organizacji politycznej, do której sądzi, że najlepiej mnie przystąpić, obawia się on bowiem, że w przeciwnym razie mógłbym mieć dużo kłopotów i oddział mój mógłby być narażony na najrozmaitsze przykrości, tak, że nie mógłbym osiągnąć swoich zamiarów. Gdym stwierdził, że nie jestem w stanie dać jakiegokolwiek odpowiedzi, nim nie będę dokładnie poinformowany o składzie personalnym tej zamierzonej instytucji, zakończył ze mną rozmowę, prosząc, bym jeszcze raz się z nim zobaczył, tym razem w Pińczowie, dokąd w tych dniach musi wyjechać.

Kiedym w parę dni potem po kilku potyczkach z Moskalami w okolicach Kielc już miał nieco spokoju z frontem, udałem się do Pińczowa, gdzie ku wielkiemu memu zdziwieniu dowiedziałem się, że ten podpułkownik <sup>1)</sup>razem ze sztabem tak zwanej grupy gen. Kummera opuścił Pińczów w niedającym się określić kierunku. W ten sposób urwała mi się na razie

---

<sup>1)</sup> Mowa o podpułkowniku austriackiego Sztabu Generalnego Janie Nowaku, jak o tym świadczy kopia listu Piłsudskiego do niego z dnia 22 sierpnia 1914 r., będąca w archiwum «Instytutu Józefa Piłsudskiego». W liście tym Piłsudski wspomina o swych próbach w Pińczowie skomunikowania się z pplk. Nowakiem.

wszelka nić konsekwentnego związku mego ze sztabem, z którym jednak czułem się związany słowem honoru.

Po zniknięciu, jak kamfora, obu tych panów zdecydowałem na pewien czas zostawić sprawę w spokoju, nim nie zakończę pierwszego okresu organizacji swego oddziału, która to organizacja była dopiero w zaczątku. Niestety, zaraz po zawiązaniu Naczelnego Komitetu Narodowego zaczęto poza moimi plecami, bez mego udziału jakieś targi o mój udział i, gdy przyjechałem do Krakowa, dowiedziałem się o istnieniu jakiejś komendy austriackiej <sup>1)</sup>, która się miesza jakimiś rozkazami do tych oddziałów, które były przygotowywane przeze mnie w Krakowie do dalszego wymarszu. Udałem się od razu do tej komendy, gdzie zastałem dwóch panów. Jeden z nich był to gen. Baczyński <sup>2)</sup>, drugi zaś — kpt. Zagórski <sup>3)</sup>. Obaj mówili po polsku, jeden powoli i bardzo z niemiecka, drugi szybko i za to czysto po polsku. Gdym od generała zażądał odpowiedzi, jakim prawem on się miesza swoimi rozkazami do oddziałów, do niego nie należących, odpowiedział mi, że on nie wie, dlaczego on nie ma prawa rozkazywać tym oddziałom i majestatycznie wskazał mi ręką na kapitana. Kapitan zaś zaczął mówić szybko i dużo, kłamiąc przy tym tak bezczelnie w oczy o faktach, które już stwierdziłem, że zacząłem się silnie irytować. Na wszelkie moje wymagania, aby ten kapitan stwierdził przez kogo on jest upoważniony do rozmowy ze mną, kapitan ani razu nie wspomniał nazwiska tych dwóch panów, z którymi poprzednio mówiłem, tylko powoływał się albo na Naczelny Komitet Narodowy, albo na głównego dowódcę wojsk austriackich, gen. Conrada <sup>4)</sup>. Wobec tych wszystkich niespodziewanych dla mnie zajść, zakończyłem rozmowę dość brutalnie, stwierdzając, że nie uważam ich za jakichkolwiek dowódców. P. Baczyński zaś i p. Zagórski oświadczyli mi, że oni zabronią jakimukolwiek z oddziałów, zebranych pod Krakowem, wychodzić poza granice państwa austriackiego, do niedawna istniejące.

Wyszedłem więc i zdecydowałem zasięgnąć języka u p. Lea i w jego biurach.

Od p. Lea nie dowiedziałem się nic określonego. Zdało mi się, że jak i gen. Baczyński, chciałby on majestatycznym ruchem wskazać na kogoś, kto by lepiej, niż on, mnie

1) Mowa o Komendzie Legionów Polskich.

2) Por. t. IV, str. 10.

3) Por. t. IV, str. 11.

4) Conrad v. Hötzendorf. Por. t. VI, str. 181.

poinformował, natomiast w długim i rozwlekłym wywodzie chciał, abym wyraził mu zdanie swoje co do przysięgi wojskowej, która będzie ode mnie i od mego oddziału wymagana. W biurach zaś twierdzono mi, wedle zwyczaju, różne rzeczy, oparte na wszelkiego rodzaju plotkach. Twierdzono jednak, że p. Leo ma być w Przemyślu w głównej kwaterze austriackiej, dokąd jest wzywany. Stwierdzono mi również, że zamiarem tak zwanego Naczelnego Komitetu Narodowego jest utworzenie dwóch Legionów — jednego wschodniego, drugiego zachodniego, gdyż obie części Galicji nigdy dotąd w niczym zgodzić się nie mogły. Dalej, że jakoby wschodni Legion oddany został pod komendę znanemu mi, dawno już dymisjonowanemu gen. Fijałkowskiemu<sup>1)</sup>, który wypłynął na widownię w r. 1913 jako nauczyciel wojskowy w organizacji sokołów galicyjskich. Jakoby zaś nowy mój znajomy, p. gen. Baczyński, miał być wybrany na dowódcę Legionu zachodniego, przy czym zapewniano mnie, że p. gen. Baczyński nigdy w polu dowodzić nie będzie i zatem całe dowodzenie zostanie w moich rękach.

Było to wszystko tak niespodziane dla mnie, a zarazem tak śpieszyłem do oddziałów, do nadzwyczajnie trudnej pracy zorganizowania kilku tysięcy ludzi w jakiś przyzwoity oddział wojskowy, że zdecydowałem nie zmieniać nic w dotychczasowym odmówieniu prawa dowodzenia p. Baczyńskiemu i p. Zagórskiemu i po daniu odpowiednich rozkazów na miejscu w Krakowie wyjechać natychmiast do Kielc.

Musiałem sam się dobrze namyślić, jak mam wybrnąć z tak dzikiej i nonsensownej sytuacji, narzuconej mi nagle przez Naczelny Komitet Narodowy.

W Kielcach więc, po załatwieniu mnóstwa najdrobniejszych spraw organizacyjnych, po przejściu przez szereg najrozmaitszych odpraw, do których stawało mi nieraz po kilkunastu oficerów, jednym słowem — po załatwieniu codziennej niesłychanie męczącej pracy zostałem sam ze swoimi wątpliwościami. Przede wszystkim więc skonstatowałem dla siebie wyraźnie, że dotychczasowa prosta i nie zawierająca żadnych politycznych cech umowa ze sztabem austriackim zaczęła się rozchwiewać na dobre. Zaczęła się też rozchwiewać ona i pod względem technicznym, gdyż związek i dotychczasowa prosta także łączność zaczęła się rozplýwać w jakiejś mgłę, a o na-

---

<sup>1)</sup> Piotr Fijałkowski, em. plk. austr., kmtd Legionu Wschodniego do dnia 16 września 1914 r.

wiązaniu jej w sposób naturalny przy tylu zajęciach, jakie na mnie spadły, mowy na razie być nie mogło.

W pierwszej sprawie, sprawie politycznej, sam skomplikowałem ją niezwykle przez pośpiech przyłączenia siebie do pierwszej powstałej na ziemiach polskich organizacji politycznej o charakterze wojennym. Mógłbym być, naturalnie, przeciągnąć sytuację, czyniąc z przysięgi motyw dla ratowania zagrożonej przez postępowanie Naczelnego Komitetu Narodowego niezależności Polski, lecz wtedy stawiałem na kartę możliwość dalszego swobodnego rozwoju nie przez co innego, jak przez istnienie niezaprzeczonego faktu, że więcej, niż trzy ćwierci mego oddziału, składało się z Galicjan, zatem z wyraźnych austriackich poddanych, którzy nawet mogli być ścigani za to, że noszą broń bez złożenia żołnierskiej przysięgi. Przecież na moje żądanie wycofano do 20 oficerów rezerwowych z szeregów już zmobilizowanej armii austriackiej, a jednego cofnięto nawet z placówki, wystawionej w kierunku nieprzyjaciela na froncie serbskim <sup>1)</sup>). Samo zaś przystąpienie do Naczelnego Komitetu Narodowego po sprawdzeniu tej organizacji wydawało mi się oddaniem oddziału i siebie w ręce najmniej pewne i najmniej odpowiednie. Była to organizacja, złożona z posłów do parlamentu wiedeńskiego, w którym ja, jako nieaustriacki poddany i nie poseł, nie mógłbym ani zasiadać, ani tym bardziej pracować. W organizacji tej panowały ustawiczne spory, ustawiczna niezgoda i sejmikowanie, tak, że praca wojskowa nie mogła tam mieć żadnego dobrego kąta dla spokojnej i rozsądnej roboty i dlatego prawdopodobnie zostałaby zrzuczona zgodnie z tym, co dotąd obserwowałem, nie na kogo innego, jak na takie czy inne części wojska austriackiego. Rozumiałem więc dobrze skomplikowanie prostej dotychczas sytuacji i cały ciężar, leżący na mnie, przy chęci związania wszystkich moich zamiarów z całą nikłością dotychczasowej pracy polskiej.

Gdy zaś dodam, że wszyscy panowie austriaccy poddani byli, chociaż nie chcieli tego, zdaje mi się, zrozumieć, poddanymi państwa, będącego w stanie wojny, i zatem podlegali bezwzględnie presji wojennej tego państwa i że Galicjanie odznaczali się szaloną ignorancją we wszystkich sprawach, związanych z zaborem rosyjskim, oraz że instytucje Naczelnego Komitetu Narodowego czy Koła Polskiego w Wiedniu nie miały żadnego znaczenia i żadnego wpływu w zaborze rosyjskim, to moja praca, która się wiązała ustawicznie w wypadku wo-

<sup>1)</sup> Mowa o por. Franciszku Pększycu-Grudzińskim.



jennym nie z Galicją, a z zaborem rosyjskim, stawała od razu pod wielkim znakiem zapytania. Wyznaję, że nieraz nie widziałem żadnego wyjścia, żadnej możliwości dla uratowania sytuacji poprzedniej i zabezpieczenia zarówno sobie, jak i całemu oddziałowi większej dozy niezależności dla swobodnego rozwoju.

Tych parę dni i parę nocy należą do najbardziej męczących chwil mojego życia. Bardzo powoli zaczynałem zdobywać się na decyzję, pełną wątpliwości i pełną męczących chwiejności. Przede wszystkim więc, odrzuciłem od razu możliwość jakiegokolwiek czy formalnej, czy faktycznej zależności mojej i mego oddziału od Naczelnego Komitetu Narodowego, jako najzupełniej sprzecznej z moją zasadą pracy, opartej o zabór rosyjski. Następnie zdecydowałem, że zarówno organizacja wojska, jak i wszystkie stosunki z zaborem rosyjskim zostaną wyłącznie w moim ręku i nie zostaną przez mnie dane ani Naczelnemu Komitetowi Narodowemu, ani armii austriackiej. Zgadzałem się raczej rozstać z życiem, niż pod tym względem ustąpić. We wszystkich innych rzeczach zdecydowałem pracę, którą dla siebie nazywałem zawsze sztukowaniem. To znaczy, dawałem sobie swobodę cofania się od takich czy innych decyzji i przedsięwzięcia prób wszelkiego rodzaju we wszystkich możliwych kierunkach, biorąc jako główny cel rozwój wojska o charakterze czysto polskim i możliwe dobre i doskonałe zachowanie się całego wojska w polu. Co się tyczy przysięgi, zdecydowałem, że wszyscy Galicjanie muszą stanąć do przysięgi, natomiast wszystkim Królewiałkom zostawiłem zupełną swobodę przysięgania lub nie. Zdecydowałem przy tym, że w rozmowach z p. Leo o przysiędze będę stawał tak dużo obiekcij i tak dużo wątpliwości, ażeby to moje sztukowanie darmo nie minęło. Temu memu postanowieniu zostałem wierny, dopóki wreszcie nie zakończyłem tej pracy w twierdzy magdeburskiej.

Dodam, że o tym moim postanowieniu nikomu nie mówiłem, nawet ze swoich najbliższych kolegów pracy, a tym bardziej p. Daszyńskiemu, którego, że powtórzę raz jeszcze, nigdy w nic nie wtajemniczałem, gdyż do utrzymania jakiegokolwiek tajemnicy nigdy nie był zdolny. Z posłów zaś galicyjskich pracowałem w tych sprawach niekiedy z p. Moraczewskim, który jednak wolał zawsze siedzieć w oddziale wojskowym, niż pracować politycznie czy w Kole Polskim, czy też w Naczelnym Komitecie Narodowym.

16) Na stronie 170 tegoż rozdziału p. Daszyński jeszcze raz wspomina moje słowa, że mogę sobie w łeb strzelić, tym

razem już nie w związku z czarno-żółtymi opaskami, ale z rozwiązaniem oddziału przez Austriaków. Stwierdzam więc, że te słowa mu powiedziałem w związku z pierwszym zawodem, który mnie spotkał ze strony panów z Naczelnego Komitetu Narodowego, którzy poza moimi plecami dla swojej wygodki sprzedali Austriakom zarówno mnie, jak i mój oddział. Dodam jeszcze, że w przysiędze, złożonej w Kielcach<sup>1)</sup>, istotnie odczytano nam przy słowach «cesarzowi Austrii» również słowa «królowi Polski». Nieraz przy wielu dalszych ciężkich przejściach migłała mi myśl na te słowa się powołać i w ten sposób grać na wyodrębnienie jeszcze dalsze mojej Pierwszej Brygady z wojska austriackiego. Jednak nie mogłem ze siebie wydobyć nawet w dziedzinie sztukowania powoływania się na tę przysięgę.

17) W następnym rozdziale XXVII nazwisko moje zgodnie ze skorowidzem nazwisk, pomieszczonych na końcu książki, wspomniane jest pięć razy. Nie zatrzymuję się na niektórych z tych wypadków, gdzie nazwisko moje jest wspomniane, dlatego, że związane to jest w książce z tymi czy innymi określeniami sytuacji, czy też mojej działalności, w co, naturalnie, nie wchodzi, pozostawiając swobodę p. Daszyńskiemu, jak i innym, w sądach o mnie.

Przechodzę więc do faktów. Na stronie 195 p. Daszyński opowiada o zebraniu we Frysztacie dnia 15 listopada 1914 r.<sup>2)</sup>, na którym to zebraniu miałem być ja wraz z sześciu innymi panami. Stwierdzam, że na tym zebraniu nie byłem i zatem nie wynosiłem żadnych frysztańskich uchwał, na które tak często potem powołuje się p. Daszyński. Dnia 9 listopada wyszedłem z częścią mego oddziału do Krakowa przez Ulinę i od razu wpadłem w olbrzymie kłopoty, związane z komendą fortecy krakowskiej, która żądała, abym oddział swój wyprowadził z Krakowa, gdyż nie należy on do załogi fortecy, gdy ta weszła już w kontakt z nieprzyjacielem. Nie mogłem nawet oddać kilkudziesięciu jeńców rosyjskich, których z sobą przyprowadziłem, i zaledwie wytargowałem dwa dni zatrzymania w Krakowie dla wykąpania żołnierzy i jakiego takiego uporządkowania odzienia, zniszczonego przez długie marsze od Dębłina aż pod Olkusz. Natomiast musiałem natychmiast się zajmować urządzeniem mego pierwszego kontaktu z główną

---

<sup>1)</sup> Mowa o przysiędze, złożonej w Kielcach w dniu 5 września 1914 r. przez oddziały Pilsudskiego.

<sup>2)</sup> Mowa o zebraniu, na którym zapadła decyzja połączenia «Polskiej Organizacji Narodowej» z «Naczelnym Komitetem Narodowym».

kwaterą austriacką w Cieszynie i zarządzeniami, związanymi z resztą mego oddziału, który zostawiłem pod Krzywopłotami.

Pamiętam, że m wyjechał z Krakowa autem z p. Sokolnickim; zatrzymałem się 15 listopada na krótki czas u p. Ryszarda Kunickiego we Frysztacie i rozmawiałem tam z p. Sokolnickim o sprawach, które mogą mieć związek z treścią tego, co p. Daszyński nazywa frysztackimi uchwałami. W każdym razie w tym czasie tak silnie przeważały we mnie wszystkie sprawy, związane z oddziałem moim, który musiałem połączyć w jedno, że na żadne zebrania nie miałem ani chwili czasu. Natomiast co do treści, związanej z Polską Organizacją Narodową, dałem swoje rozporządzenia znacznie przedtem, w początkach października, kiedy przyjechałem do Krakowa spod Nowego Korczyna, jeszcze chory od grypy, którą schwyliłem, przeziębiony na Wiśle <sup>1)</sup>). Rozporządzenia moje dla cywilnej organizacji, poprzednio stworzonej przeze mnie w Kielcach <sup>2)</sup>), musiały być wydane, gdy likwidowałem wszystkie swoje urzędy i wojskowe, i cywilne przez ewakuację prawie wszystkiego, co było skompromitowane udziałem w pracy mojej w zaborze rosyjskim. Sądziłem wtedy, że najlepiej jest zlikwidować całą pracę cywilną i za to skoncentrować cały swój wysiłek na ochronę wszystkich, którzy musieli wyjechać do Galicji jako emigranci, gdyż obawiałem się, że Austria odeśle wielu z nich do obozu internowanych, żeby nie mieć z nimi kłopotów. Dodawałem zawsze, że w ten sposób pozbedziemy się dodatkowych i niepotrzebnych elementów, żeby móc silniej i pewniej się rozrosnąć, gdy wypadki pozwolą na to. Radziłem przy tym nie wahać się przed obciążeniem tą pracą krakowskiego Naczelnego Komitetu Narodowego. Do zarządu tą całą pracą wyznaczyłem, jak i poprzednio, p. Sokolnickiego i p. Walerego Sławka. Forma, w którą zlaćby się mogły usiłowania Polskiej Organizacji Narodowej i Naczelnego Komitetu Narodowego, obchodziła mnie bardzo mało, tak, że żadnym inicjatorem w tej właśnie sprawie nie byłem i o tym w każdym razie nigdy z p. Daszyńskim nie rozmawiałem.

Co się zaś tyczy pomieszczonego na końcu rozdziału rozważania przez p. Daszyńskiego kwestii, czy Piłsudski wyzykiwał Naczelną Organizację Narodową, czy Naczelną Organizację Narodową Piłsudskiego, głosu swego zabierać nie będę, gdyż już

---

<sup>1)</sup> Piłsudski wyjechał z Kozłowa (miejscowość koło Nowego Korczyna) w dniu 26 września i przebywał w Krakowie do dnia 7 października 1914 r.

<sup>2)</sup> Mowa o «Polskiej Organizacji Narodowej».

poprzednio określiłem w swojej decyzji, że liczyć się w swojej pracy z decyzjami Naczelnego Komitetu Narodowego nie chciałem i nie liczyłem się. Natomiast uważałem zawsze Naczelny Komitet Narodowy jako jedną z organizacji polskich, które się w całej Polsce wytworzyły w związku z wielką wojną europejską. Dlatego też nigdy przed władzami austriackimi tej organizacji nie robiłem nic złego i nie wykorzystywałem żadnej sposobności, których miałem bardzo wiele, aby tej organizacji szkodzić. Niestety, o «*réciprocité*»<sup>1)</sup> ze strony Naczelnego Komitetu Narodowego w stosunku do mnie nigdy mowy nie było, gdyż Naczelny Komitet Narodowy systematycznie i stale mnie szkodził u tych właśnie władz austriackich.

18) W rozdziale XXXIII nazwisko moje wspomniane jest dwa razy. Zaczynam po kolei. Na stronie 204 p. Daszyński opowiada o wydaleniu z Legionów kilku oficerów «z Moraczewskim, Boernerem, Zamorskim (Kordianem) na czele». Dlaczego na czele, tego ja nie wiem, prawdą zaś jest to, że wbrew rozkazom zatrzymałem tych wszystkich oficerów w wojsku. Natomiast poważnym nadużyciem stylowym p. Daszyńskiego jest pomieszanie wymienionych oficerów z jakimiś mężami zaufania Naczelnego Komitetu Narodowego, którzy «zaopatrzeni w legitymacje ministerstwa spraw zagranicznych, mieli organizować opinię ludności Królestwa». I «właśnie za tę działalność niepodległościową oficerów I Brygady kapitan austriackiego sztabu Zagórski... spowodował wydalenie z Legionów». Wszyscy wymienieni oficerowie nie czynili nic a nic z ramienia Naczelnego Komitetu Narodowego, natomiast, zaopatrzeni w legitymacje moje, potrafili przeciągnąć pracę I Brygady na dalekich tyłach w Królestwie, nie słuchając nieraz wyraźnych rozkazów, dawanych im na dalekich etapach, tak, że ściągnęli tam na siebie wielkie niezadowolenie władz wojskowych i okupacyjnych. Dość prawdopodobnym mi się wydawało, że obciążeni byli również donosami agentów Naczelnego Komitetu Narodowego i p. Władysława Sikorskiego. Zajmowali się ci oficerowie przeszwarzowaniem wielkiej ilości młodzieży z Galicji, która była zagrożona w tym czasie wzięciem jej do wojska austriackiego.

19) Na stronie 208 p. Daszyński opowiada o swoim pobycie w I Brygadzie w okopach nad Nidą w czasie koło 19 marca 1915 r. Co do mnie, nie przypominam sobie, abym widział p. Daszyńskiego podczas obiadu imieninowego w Grudzynach, natomiast jest możliwe, że jakąś jedną chwilę wi-

---

1) Wzajemność.

działem się z p. Daszyńskim w tychże Grudzynach. Nie mogę jednak ani rusz powiązać tej jego wizyty z mymi imieninami i obiadem.

20) W rozdziale XXIX p. Daszyński traktuje sprawy, związane z przełomowym dla Polski rokiem 1915. Już na stronie 214 p. Daszyński bez żadnej zresztą podstawy mówi o mnie, że podczas mego pobytu w Warszawie w sierpniu tegoż roku <sup>1)</sup> «brednie różnych polityków doprowadzały go wówczas do rozpaczy». Mogę z zupełną pewnością zaświadczyć, że rozpaczy nie odczuwałem, a że brednie różnych polityków galicyjskich, a jeszcze bardziej ich czynności robiły mnie tysiąc razy więcej przykrości, niż oszłomienie Warszawy, zajętej przez Niemców. Na stronie 216 p. Daszyński pisze, że «Piłsudski wydał hasło nie werbować. Ponieważ zaś młodzież rwała się do I Brygady, więc kilkuset zorganizowanych pod dowództwem Tadeusza Żulińskiego <sup>2)</sup> młodzieńców wymaszerowało do Brygady, ale werbunku, prowadzonego przez Departament Wojskowy, niepodległościowcy nie uznawali». Te wszystkie słowa wydają mi się odbiciem tej burzy w szklance wody, która w głowach polityków Naczelnego Komitetu Narodowego z ich «bredniami» odbywała się codzien w innej postaci. Więc przede wszystkim dla mnie miarodajnym było nie to, co się dzieje w burzy w szklance wody galicyjskiej, ale stan mojej organizacji, prowadzonej przez Żulińskiego, oraz stosunek Niemców do wszystkiego tego, co się dzieje w zajętej Warszawie. Natomiast rozmowy moje z tak zwanymi przez p. Daszyńskiego politykami były tylko orientacyjne, gdyż rozumiałem dobrze, że gwałtowna zmiana, która w życiu Warszawy zająć musiała, dopiero powoli wyrobić może sądy o rzeczy. Przekonałem się od razu, że w stosunku do mnie i prac moich spotkać muszę względnie szeroki oddźwięk, tak, jak go spotkałem w znacznie jaśniejszym i większym rozmiarze w Lublinie. Co się tyczy organizacji Żulińskiego, to przede wszystkim liczyła ona nie kilkuset, a kilka tysięcy zorganizowanych ludzi. Tę, niestety, najbardziej zorganizowaną część Warszawy spotkało przykre rozczarowanie z powodu stosunku, jaki istniał dla I Brygady zarówno ze strony władz austriackich, jak i Naczelnego Komitetu Narodowego. Wobec tego zarządziłem natychmiastowe odmaszerowanie do Brygady wszystkich najgorętszych i pozostawienie reszty tam, gdzie się znajdowali.

---

<sup>1)</sup> Mowa o pobycie Piłsudskiego w Warszawie i Otwocku w dniach od 15 sierpnia do 4 września 1915 r.

<sup>2)</sup> Por. Tadeusz Żuliński, kmdt P. O. W. Por. t. IV, str. 45.



A wobec wielkiej prośby ś. p. Żulińskiego, abym mu pozwolił chociażby na czas mały odejść do Brygady, ku wielkiemu memu niezadowoleniu musiałem wyznaczyć komendę nową. Jako zasadę na czas pewien kazałem przyjąć odsyłanie do Brygady wszelakimi sposobami i drogami wszystkich tych, którzy się skompromitują wobec władz niemieckich i austriackich. Dla reszty zaś dałem rozkaz pozostawać w spokoju, możliwie rozszerzając organizację, nakazałem przy tym dużą ostrożność w stosunku do organizacji Naczelnego Komitetu Narodowego i p. Sikorskiego, gdyż przesiana ona jest najohydniejszym szpiegostwem. Żadnego zaś hasła «nie werbować» nie wydawałem, sprawa zaś sama werbunku rozdęta była właśnie w sposób taki, jak p. Daszyński pisze, przez Naczelną Komitet Narodowy i przez Departament Wojskowy z p. Sikorskim na czele, gdyż ani władze austriackie, ani władze niemieckie nie podnosiły tej sprawy i nie czyniły z niej czegoś ważnego. Przyszło do tego znacznie później.

21) W rozdziale XXXI na stronie 246 p. Daszyński opowiada o podaniu się moim do dymisji z wojska. Wiążąc przy tym to moje wystąpienie z wojska z najrozmaitszymi motywami i wypadkami, mówi o jakimś «wyczerpaniu wszystkich środków walki» przeze mnie, tak, że sam ten akt wyjścia z Legionów nie ma całkiem podobieństwa ani do tych motywów, które oficjalnie podałem, ani do dodatkowych motywów, których w oficjalnym podaniu się do dymisji nie przytoczyłem. Decyzja moja o moim wyjściu z Legionów zapadła akurat rok przedtem, gdy wróciłem z Warszawy do wojska, które pod Kowłem rozpoczęło kampanię na Wołyniu. O tym zaś powiadomiłem wszystkich oficerów w mojej Brygadzie do dowódców kompanij włącznie<sup>1)</sup>. Rozumiem, że p. Daszyński, niepowiadamy przeze mnie o tym zamiarze, może robić jakie chcąc przypuszczenia o tym ważnym dla rozwoju wypadków fakcie, w każdym jednak razie ustępy, związane z moją dymisją, nie odpowiadają prawdzie i nie mogą być brane jako podstawa dla jakiegokolwiek historii.

W innych wypadkach (dwóch) nazwisko moje jest wspomniane tak okolicznościowo, że nie mam w nich nic do powiedzenia<sup>2)</sup>.

<sup>1)</sup> Mowa o t. zw. «odprawie kowelskiej» we wrześniu 1915 r., na której Piłsudski zakomunikował oficerom swoją decyzję ustąpienia z dowództwa Brygady, czego jednak nie uczynił pod wpływem usilnych próśb, by nie opuszczał szeregów. Por. t. VIII, str. 21.

<sup>2)</sup> Na str. 247 t. II mówi Daszyński: «Ale tyle (Beseler) z polityki zasadniczej Piłsudskiego zrozumiał, że trzeba Polakom dać choćby tytuł

22) W rozdziale XXXII nazwisko moje wspomniane jest przez p. Daszyńskiego na początku rozdziału z powodu Rady Stanu i z powodu P. O. W. Przede wszystkim powiedzieć muszę, że wszystko to, co p. Daszyński mówi o P. O. W., ku wielkiemu memu zdziwieniu jest tak mętne i tak pomieszane z jakimiś dodatkami, jakby rozmyślnie wiążącymi P. O. W., to z ruchem niepodległościowym, to z moją ideą, lecz za nic w świecie wyraźnie z moją osobą, że przypomina mi to bezwiednie także groźby, robione przez p. Daszyńskiego w stosunku do mnie w sprawie Komisji Tymczasowej Stronnictw Niepodległościowych na początku wojny. Tak więc p. Daszyński pisze, że jacyś nie wymienieni niepodległościowcy, łudząc się, «zaczynali się naradzać nad ujawnieniem Polskiej Organizacji Wojskowej i oddaniem jej Radzie Stanu». Ależ P. O. W. była pod wyraźną moją komendą i miała na czele oficerów I Brygady, których dla tego celu odkomenderowałem do Warszawy. Nie było więc mowy o tym, ażeby P. O. W., która była jak gdyby rozciągnięciem I Brygady w Królestwie, mogła cokolwiek postanowić bez mego wyraźnego na to rozkazu. Istotnie jest słuszne, że byłem znacznie ostrożniejszy, niż wszyscy panowie z Rady Stanu, i nie życzyłem sobie rozszerzenia Legionów, dopóki nie stanie się jasnym, w jakiej formie ma to być przeprowadzone. Wiedziałem zaś z zachowania się zarówno p. Beselera, jak i płk. Paiča, który był w Warszawie reprezentantem armii austriackiej, jak i z rozmów z nimi, że obie armie — niemiecka i austriacka — chciałyby bardzo widzieć Legiony silnie wzmożone.

Następnie, p. Daszyński, podając jakoby historię P. O. W., zupełnie spokojnie miesza dwie rzeczy: jedną P. O. W., dowodzoną istotnie przez ś. p. Żulińskiego, która pracowała jeszcze w zaborze rosyjskim, z inną P. O. W., inaczej prowadzoną i inne cele sobie stawiającą podczas panowania niemiecko-austriackiego w Królestwie. P. O. W. wtedy, gdy istniała Rada Stanu ze mną, jeszcze niezaaresztowanym, była pod komendą oficera z mego sztabu, p. Tadeusza Kasprzyckiego. Wydaje mi się tym dziwniejszym to jak gdyby pomieszanie pojęć o P. O. W., gdy właśnie w całym Królestwie P. O. W. więcej znaczyła realnie, niż wszystkie partie, będące w Królestwie.

23) W rozdziale XXXIII p. Daszyński wspomina moje

---

własnej państwowości, bo inaczej werbunek nie uda się wcale». A na str. 249 mowa o manifestacjach na cześć Piłsudskiego w Krakowie w listopadzie 1916 r.

nazwisko kilka razy, raz jeden zaś tylko w związku z moimi czynnościami. Czynności te związane są z P. O. W. i moją pracą w Radzie Stanu. Przede wszystkim stwierdzić muszę, że tak nonsensownego planu, jaki mnie przypisuje p. Daszyński, nigdy nie miałem i nigdy takim planem się nie zajmowałem. Mianowicie — p. Daszyński po stwierdzeniu, że p. Sikorskiemu nie udało się werbunek, mówi: «Wówczas Piłsudski, który był członkiem Rady Stanu, postanowił użyć P. O. W. do tego, aby Rada Stanu uzyskała stanowisko samodzielne przez oparcie się na kadrach wojska polskiego, jakimi była P. O. W.»<sup>1)</sup>. Wygląda mi to tak zabawnie i tak śmiesznie, że tylko człowiek bardzo i bardzo naiwny mógłby takie głupstwa powiedzieć. Więc P. O. W. nigdy kadrami wojska polskiego być nie mogła, następnie zaś nie mogłem nigdy być tak naiwny, abym oddawał w ręce Rady Stanu samą P. O. W.; po pierwsze — P. O. W. nigdy na to by się nie zgodziła, po drugie — Rada Stanu, tak, jak Naczelny Komitet Narodowy niegdyś, sprzedałaby natychmiast wszystko, co było i P. O. W., i Legionami, nawet za małe wygody życia. Natomiast władze wojskowe, zarówno niemieckie, jak i austriackie, ze mną targowały się stale tylko o P. O. W. Moje zaś stanowisko, które p. Beselerowi kilka razy powtarzałem, było zawsze jedno i to samo, mianowicie — że werbunek udać się nie może nigdy z chwilą, gdy stosunek do formacji wojska polskiego ma być niezmienny. I gdy Austriakom ta metoda się nie udała, to tym mniej może się udać Niemcom, do których stosunek ludności jest daleko gorszy, niż do Austriaków. Twierdziłem przy tym, że metody, obostrzone przez Niemców, są tego rodzaju, że wydaje mi się ciągle, jak to było zresztą z Austriakami, że się rozmyślnie robi wszystko, aby powstaniu wojska polskiego możliwie szkodzić. Dlatego też, powtarzam, tego śmiesznego planu, przypisywanego mnie przez p. Daszyńskiego, nie miałem.

Następnie co do przysięgi, której zażądano od Legionów, — co do mnie, wyraźnie zabroniłem składania tej przysięgi<sup>2)</sup>. Wiedziałem wtedy dobrze, że nieomal całość swojej dotychczasowej pracy prawie zupełnie kasuję, kazałem więc P. O. W. wejść możliwie głęboko pod ziemię, wchłaniając w siebie wszystkich tych legionistów, którzy wyjdą z wojska. Co do siebie samego, postanowiłem zaraz zająć się wszelkimi przygotowaniami do przejścia z kilku ludźmi na drugą stronę drutów, to znaczy do Rosji, gdzie zaczęła się praca rozkładu

<sup>1)</sup> Cytat z t. II, str. 274 «Pamiętników» Daszyńskiego.

<sup>2)</sup> Mowa o kryzysie przysięgowym w lipcu 1917 r.

dotychczasowego systemu i gdzie, jak wiedziałem, na pierwszym zjeździe wojskowych Polaków wybrano mnie jako honorowego dowódcę wszystkich wojsk polskich<sup>1)</sup>). Śmiałem się zawsze w tym czasie, że sprawa polska przy ogólnym tchórzostwie grana jest stale przez Polaków nigdy «in plus», a zawsze «in minus», wtedy, kiedy ja prowadzę ją stale «in plus», a nie «in minus». Przyrównywałem to do gry w winta i twierdziłem, że wobec tego, że nasz kolor jest dotąd najniższy, to znaczy, że mamy piki, to dociągnąłem po tej stronie frontu do trzech pików, po tamtej zaś stronie można już zacząć od czterech pików.

Ten plan mój już mi się nie udał. Nie udał się głównie dlatego, że z chwilą odmówienia przysięgi przez olbrzymią większość legionistów wszyscy polscy politycy ówczesni, jak gdyby uprzedzając zamiary czy chęci władz okupacyjnych, zaczęli mówić w Warszawie, Krakowie, w Wiedniu, że Niemcy wszystkich, którzy odmawiają przysięgi, rozstrzelają i zrobią z nich nową hekatombę. Zdecydowałem wtedy, że nie mogę wobec tego opuścić szeregów, tak wiernie mi oddanych, i dlatego zostawiam pewien czas, który określiłem na dwa tygodnie, kiedy oddaję się do dyspozycji na równi z moimi towarzyszami broni. Jako też zostałem przed upłynięciem tych dwóch tygodni aresztowany i razem z Sosnkowskim wywieziony<sup>2)</sup>).

Taką więc była istotna historia, wtedy, kiedy u p. Daszyńskiego w jego pamiętnikach nie tylko ja, lecz i Legiony i tym bardziej P. O. W. wyglądają, jak przyczepka do przemówień i pracy p. Daszyńskiego, do jakiejś lewicy demokratycznej i do jakichś nieokreślonych «ruchów».

24) W następnych rozdziałach p. Daszyńskiego aż do ostatniego rozdziału, gdzie się zaczyna «powrót Piłsudskiego z niewoli», nazwisko moje wspomnane jest okolicznościowo. Najczęściej, o ile mogłem skonstatować, nazwisko moje łączy się z wszelkiego rodzaju żądaniami, stawianymi to Niemcom, to Austriakom o zwolnienie mnie z Magdeburga. Wobec tego zaś, że byłem izolowany od Polski przez dobrych kilkanaście miesięcy, nie mogłem brać udziału w żadnej z prac, które w owe czasy w Polsce robiono, więcej nawet, nie mogłem o tych pracach nawet nic wiedzieć, gdyż żadne pismo polskie

---

<sup>1)</sup> Mowa o wyborze na prezesa honorowego Ogólnego Zjazdu delegatów Związków Wojskowych Polaków w Piotrogradzie, odbytym w dniach 7—22 czerwca 1917 r. Wyboru dokonano w pierwszym dniu obrad. Por. t. V, str. 220.

<sup>2)</sup> Aresztowanie Piłsudskiego nastąpiło dnia 22 lipca 1917 r.

do mnie nie dochodziło i jako jedyne pismo miałem nacjonal-liberalne «Magdeburger Zeitung», które akurat o Polsce nigdy nic nie pisało. Dlatego też nie mam właściwie nic do sprostowania we wszystkich tych rozdziałach p. Daszyńskiego.

Jeden mały wyjątek zrobić muszę, gdyż nie odpowiada on najzupełniej prawdzie. Mianowicie — na stronie 323 p. Daszyński opisuje wizytę u siebie w Krakowie p. Władysława Seydy i to w styczniu 1919 r., to jest w tym czasie, gdy byłem już w Warszawie i prowadziłem Polskę do zebrania sejmu w tejże Warszawie. P. Daszyński pisze, że «groźba Piłsudskiego, że Komitet (Narodowy) każe zamknąć do aresztu, położyła kres tym endeckim pomysłom; szło, jak pisze p. Daszyński, o propozycję p. Władysława Seydy, aby razem z socjalistami nie dopuścić do wyborów <sup>1)</sup>».

Stwierdzam więc, że nigdy od p. Daszyńskiego o tej propozycji p. Seydy nie słyszałem i zatem nie potrzebowałem wcale grozić ani p. Władysławowi Seydzie, ani żadnemu Komitetowi.

25) W ostatnim rozdziale XXXVIII p. Daszyński traktuje «powrót Piłsudskiego z niewoli i utworzenie pierwszego rządu państwa polskiego». Kiedy po kilka razy przeczytałem historię utworzenia pierwszego rządu, nie mogłem nie podziwiać, jak bez ceremonii p. Daszyński stale obchodzi się z historią, z faktami, datami i ze wszystkimi okolicznościami zewnętrznymi w stosunku do siebie. Siebie, naturalnie, nie poznałem zupełnie. Jakiś inny Piłsudski, nie grający przy tym żadnej roli, taka jakaś kulisa sceniczna. Dlatego też z wielkim trudem szukałem metody, jakąbym mógł iść celem sprostowania historycznego. Za dużo w tym wszystkim jakichś kłamanych anegdot historycznych, jakichś poplątanych zupełnie faktów, mających ciągle jako wiązadło p. Daszyńskiego. Trudności zwiększają się dla mnie jeszcze dlatego, że piszę to na Maderze i nie mogę z pewnością i ścisłością trzymać się dat historycznych, których na dalekim oceanie sprawdzić mi gdziekolwiek jest trudno, a pamięci dat, niestety, nie posiadam.

Otóż p. Daszyński opowiada, że 11 listopada, po telefonicznej ze mną rozmowie, przyjechał wieczorem około godziny

---

<sup>1)</sup> Daszyński na str. 323 t. II pisze: «Narodowa Demokracja opierała się na idei wyborów sejmowych aż do samego niemal ich terminu. Jeszcze w początkach stycznia 1919 r. próbowała utworzyć zamiast Sejmu «Komitet Narodowy», a p. Wł. Seyda był u mnie w Krakowie i proponował mej partii wybitne w Komitecie zastępstwo, byle tylko do wyborów nie dopuścić. Propozycję odrzuciłem, a groźba Piłsudskiego, że Komitet każe zamknąć do aresztu, położyła kres tym endeckim pomysłom».



dziesiątej do Warszawy, gdzie przyjął go Piłsudski z żółtą i niezdrową cerą twarzy, mocno zdenerwowany i bardzo zmęczony, i po długich rozmowach zdecydował, że powierza Daszyńskiemu utworzenie gabinetu. Dodaje przy tym: Piłsudski «miał wówczas faktyczną władzę i był rzeczywistym naczelnikiem państwa, bo nie tylko regencja mu ją oddała, ale naród cały ją bez protestu uznał»<sup>1)</sup>. W dalszym zaś ciągu na początku strony 329 p. Daszyński pisze: «w listopadzie koalicyjny rząd był w Polsce niemożliwym. Piłsudski pragnął tego rządu, lecz i on liczył się z przeszkodami i zdecydował się na rząd ludowy».

Ręce mi opadają od tego zbioru kłamstw i przekręceń.

Faktycznie pierwsze dni moich prac w Warszawie po powrocie z Magdeburga wyglądały następująco:

Doskonale pamiętam dzień 10 listopada, jako pierwszy dzień mego pobytu w Warszawie. Cały ten dzień spędziłem na ulicy Moniuszki i starałem się choć trochę poorientować w sytuacji w Warszawie, choć trochę chwycić fakty z całej długiej przestrzeni czasu, kiedy ja byłem w Magdeburgu, najzupełniej izolowany od Polski; a czułem, że stosunki pomiędzy ludźmi, nawet mnie bliskimi, zupełnie się zmieniły. Przy tym cały czas drzwi się nie zamykały; wbiegali najrozmaitsi ludzie, żeby na mnie choć popatrzeć, choć słowo do mnie przemówić. Przychodziły różne delegacje z mowami, odbywała się pod balkonem manifestacja, do której musiałem wychodzić. I to wszystko odbywało się po dzikich wrażeniach nagłego zwolnienia mnie z Magdeburga z powodu wybuchu rewolucji w tym mieście, po nagłych berlińskich wrażeniach i po wybuchu rewolucji w stolicy Niemiec i po długiej niespanej nocy, spędzonej w wagonie w extra pociągu, którym mnie z Berlina odesłano do Warszawy<sup>2)</sup>.

Kiedy wreszcie około godziny dziesiątej wieczorem zakażalem kogokolwiek puszczać do mnie i zastanowiłem się nad sytuacją, w której się znalazłem w stolicy Polski, w której panował Beseler, zdecydowałem natychmiast wyjechać z Warszawy, gdy Austria już upadła, a całe pół Królestwa, czyli okupacja niemiecka, stała jeszcze bez zmiany. Zdecydowałem jechać do Lublina, gdzie był gen. Śmigły, i do Krakowa, gdzie był Roja, o czym się dowiedziałem od różnych ludzi. Chaos, z którym się spotkałem w Warszawie, był tak bezmierny, że bez zastanowienia się i obeznania się z charakterem tego chaosu

<sup>1)</sup> Cytat ze str. 328 t. II «Pamiętników» Daszyńskiego.

<sup>2)</sup> Piłsudski wyjechał z Berlina 9 listopada 1918 r. późnym wieczorem; do Warszawy przyjechał 10 listopada o godz. 7 rano.

uważałem za niemożliwe dla siebie przystąpić do jakiejś pracy. Obciążał tę moją decyzję bardzo fakt, że ledwie chwilę tylko mógł widzieć swoją córkę, która mi się urodziła podczas mego pobytu w Magdeburgu<sup>1)</sup>. Z tą decyzją położyłem się spać — żeby choć trochę się przespać.

Nie sądzono jednak spać mi tej nocy. Wkrótce po zaśnięciu zostałem obudzony i zaraportowano mi, że przyszła do mnie delegacja od Soldatenratu<sup>2)</sup>, czyli Żołnierskiej Rady, z jej przewodniczącym na czele, który w imieniu tej Rady objął komendę nad całym wojskiem niemieckim, które jeszcze w generał-gubernatorstwie warszawskim istniało. Gdy, zdziwiony tą delegacją, zapytał, czego mogą chcieć ode mnie, stwierdzili, że są gotowi poddać się wszystkim moim zarządzeniom, byleby im zagwarantował życie i swobodny odjazd do ojczyzny. Gdy zaś zdziwiony zapytał, dlaczego zwracają się do mnie, a nie do kogo innego, gdy ja świeżo przybyły z Magdeburga nie mogę mieć w ręku żadnej organizacji, tak pewnej i silnej, ażeby woła moja była zagwarantowana w dostatecznej mierze, odpowiedzieli mi w sposób nadzwyczajnie dowcipny. Mianowicie — stwierdzili, że nie chcą przeszkadzać Polakom w żadnej ich pracy w Polsce, lecz nie mogą zwrócić się do nikogo oprócz mnie, dlatego, że widzą, iż gdyby się zwrócili do kogo innego, czy do jakiejś grupy, to właśnie dlatego, że się zwrócili do takiej grupy czy człowieka, zostaliby wyróżnieni przez innych. Twierdzili przy tym, że gdybym się na to nie zgodził, to muszą zaraz dać rozporządzenie ostrego pogotowia i będą musieli siłą otwierać sobie drogę do Niemiec. Po krótkim namyśle musiałem dać odpowiedź, zapytałem więc, czy oddadzą w moje posiadanie broń niemiecką, która istnieje na tym terenie; drugie — czy oddadzą w ręce moje wszystkie lokomotywy i wagony, które są na terenie od nich zależnym i wreszcie, czy cała łączność telefoniczna i telegraficzna będzie dana mi do użytku dla rozmów i depeesz. Najbardziej w odpowiedzi wahano się co do broni, nie tylko w obawie życia, ale dlatego, że niektóre oddziały nie zechcą usłuchać takiego rozkazu. Byłem jednak bezwzględny i obstawałem przy swoim. Jeżeli czułem, że przedstawiciele Soldanteratu zaczynają ustępować, to znowu dla mnie następował okres wahania się; jakżeż ja to zrobię; dlatego też powiedziałem, że w tej chwili na takie rzeczy zdecydować się nie mogę; wtedy panowie ci odpowiedzieli

---

<sup>1)</sup> Mowa o pierworodnej córce Piłsudskiego, Wandzie, urodzonej 7 lutego 1918 r.

<sup>2)</sup> Por. t. V, str. 13.

mi ostatecznie, że oni mogą czekać na moją odpowiedź tylko do ósmej rano dnia następnego, gdyż wtedy muszą natychmiast dać odpowiednie rozkazy.

Kazałem więc wtedy podać sobie mocnej herbaty i siadłem do rozmyślenia nad nową decyzją. Broń, lokomotywy i wagony stanowiły w tym czasie takie precjoza, że warto było zagrać na tę umowę, której nawet z pewnością nie mogę dotrzymać. Pamiętałem dobrze swoje myśli w wagonie, pędzącym z Berlina do Warszawy i unoszącym mnie poprzedniej nocy z więzienia na swobodę, i pamiętałem, jak jedną z najbardziej dokuczliwych dla mnie myśli była, że nas okupanci mogą zostawić bez jednej lokomotywy i bez jednego telefonu, czyniąc z nas prymitywy pod względem techniki życia. Nazajutrz rano dałem odpowiedź, zgadzającą się na gwarancję, stwierdzającą jednak, że muszę mieć czas do uporządkowania kraju, dając przy tym z mojej strony wybranego przeze mnie oficera dla stałego pracowania u nich dla ich jak najprędszego wywiezienia. Wybrałem do tego jednego z najenergiczniejszych moich oficerów, doskonale mówiącego po niemiecku, p. Boerenera, obecnego ministra poczt i telegrafów. Drugi warunek, który im postawiłem, była ochrona dla nich narzucona wszystkich oficerów niemieckich, z którymi mogą sobie czynić w swojej ojczyźnie, co chcą, u nas zaś nie wolno było ich obrażać, nie wolno było zdzierać im odznak, wolno było tylko ich rozbrajać. W ten sposób zmieniłem swoją poprzednią decyzję wyjazdu z Warszawy i dopiero drugiego dnia po przyjeździe zacząłem myśleć o utworzeniu rządu w Warszawie.

Nim przystąpię do opisu przeżyć, z tym związanych, stwierdzę raz jeszcze, że tu, na Maderze, nie jestem w stanie sprawdzić ściśle dat takich czy innych moich czynności, lecz z pewnością powiedzieć mogę, że zobaczyłem się z p. Daszyńskim i z całym rządem lubelskim na pewno nie drugiego dnia po moim przybyciu do Warszawy, lecz musiało to się stać, jak mnie się zdaje, czwartego lub piątego dnia. Drugi dzień cały, zatem 11 listopada, poświęciłem przede wszystkim na zorganizowanie choć jakiegokolwiek pomocy sobie w pierwszych moich krokach i na jakim takim zorientowaniu się w sytuacji możliwie w całym kraju. Przychodziło mi to z nadzwyczajną trudnością, gdyż najbliżsi mi ludzie raczej rozpytywali mnie, niż w czymkolwiek mnie orientowali, a — powtarzam — spostrzegłem zmiany w stosunkach między nimi, w których sam nie mogłem się zupełnie zorientować. Obok tego przyjmować musiałem stale i ciągle całe mnóstwo znajomych i niezajomych, którzy wbiegali powiedzieć mi o swojej radości, albo raczej

orientowali się u mnie, niż ja u nich. Wszyscy zaś chcieli najwyżej trzech minut albo czterech, które się przeciągały do dziesięciu albo piętnastu, przy czym wszyscy ofiarowywali mi swoją pomoc, pozostając w pokoju, gdzie ja przyjmowałem i po 10 i 15 minutach. Służba zaś wewnętrzna po przeprowadzeniu tysiąca klótni machnęła na wszystko ręką i tylko z radosnymi minami wносиła mi ciągle gorącą herbatę i pchała we mnie rozmaite przekąski i zakąski. Szukałem wciąż coraz innego pokoju, gdziebym cokolwiek i z kimkolwiek mógł porozmawiać. Miłość więc do mnie pozostawiała mi niezwykle mało czasu do zastanowienia się i pobierania decyzji.

Z tych skąpych jednak informacji zdążyłem zrozumieć, że mam w Polsce co najmniej już cztery rządy; jeden z nich był w Warszawie w postaci umierającej i wchodzącej do grobu Regencji <sup>1)</sup>, drugi był w Krakowie, oparty na patencie cesarza Karola i złożony z posłów do zaginionego już parlamentu wiedeńskiego <sup>2)</sup>. Rząd ten opierał się więc na kondominium z zagasłym już rządem austriackim, chociaż wojsko było jakoby w rękach pułkownika Roji, na którego mogłem liczyć śmiało. Trzecim był rząd ludowy i lubelski, który chciał objąć zarządzeniami byłą okupację austriacką <sup>3)</sup>. Czwartym wreszcie był rząd Soldatenratu w Poznaniu <sup>4)</sup>, do którego wchodziłi i przedstawiciele Polski. Piątym nareszcie byłem ja sam, który chciał urządzić rząd bez żadnych przymiotników dla całej Polski. Dodam, że do rządu ludowego i lubelskiego wchodził i płk. Smigły, na którego także liczyłem na pewno. W Warszawie zaś liczyć mogłem, że wszystko, co jest wojskiem, stanie pod moim dowództwem.

Gdy więc ja nie mogłem już wyjechać z Warszawy, tak, jak zamierzałem, do Lublina i Krakowa, zamierzałem zacząć od rządu ludowego i lubelskiego, ażeby go sobie poddać. Wydawało mi się to najłatwiejszym, i zresztą miał on ten plus w porównaniu z innymi, że nie opierał się na żadnym kondominium z byłymi zaborcami Polski.

Nie pamiętam już teraz, czy przed ściągnięciem całego rządu lubelskiego do mnie do Warszawy, rozmawiałem z prezesem tego rządu, Daszyńskim, osobno, czy też rozmawiałem również osobno z innymi członkami tegoż rządu bez posiedzenia, zacząłem jednak od tych twierdzeń, którymi i zakończy-

<sup>1)</sup> T. j. Rady Regencyjnej.

<sup>2)</sup> Mowa o «Polskiej Komisji Likwidacyjnej». Por. t. VIII, str. 92.

<sup>3)</sup> «Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej». Por. t. V, tr. 15.

<sup>4)</sup> W Poznaniu władzę sprawowała Rada Robotniczo-żołnierska, w składzie: 6 Niemców i 5 Polaków.

łem na posiedzeniu tegoż rządu u mnie w mieszkaniu na Mokotowskiej <sup>1)</sup>). Twierdzenia te były następujące: po pierwsze, że dążyć będę do rządu koalicyjnego, który znowu dążyć będzie do możliwie szybkiego zwołania sejmu w Warszawie, po drugie zaś, że nie chcę dopuścić, by rząd był ubrany w jakiegokolwiek przymiotniki, gdyż to jest śmiesznym naśladownictwem eksperymentów, idących od wschodu. Na te spory o słowa, o szyldy musiałem zużyć dużo energii i wtedy zażądałem, aby rząd odbył posiedzenie w Warszawie u mnie. Pamiętam żywo to posiedzenie, na którym osobiście przewodniczyłem. Postawiłem tam kwestię zupełnie wyraźnie, żądając, żeby rząd się rozwiązał, pozostawiając mnie swobodę działania. Spotkałem opór ze strony p. Daszyńskiego i kwaśne miny ze strony części tego rządu. Zwróciłem się wtedy do pułkownika Śmigłego, żądając odpowiedzi, czy staje natychmiast pod moją komendą. Płk. Śmigły stanął na baczność i stwierdził, że zawsze był moim podwładnym i chce nim pozostać. Dodam jeszcze, że zarówno p. Daszyński, jak niektórzy z członków lubelskiego rządu, chcieli urządzić rewolucję przeciwko Regencji, której zresztą odmawiali wszelkiego wpływu i znaczenia, co zresztą było ścisłą prawdą. Pozostawiłem więc po odebraniu wojska pod moją komendą rząd lubelski na naradzie u mnie, żądając odpowiedzi możliwie szybkiej i gdy po niejakiś czasie zostałem znowu zaproszony na posiedzenie, Daszyński w imieniu rządu stwierdził jego rozwiązanie, dodając, że gdy odebrałem rządowi ministra wojny, rząd utrzymać się nie może. Zdecydowałem wtedy od razu, że będę musiał oddać sformowanie gabinetu p. Daszyńskiemu; czyniłem to z pewną wewnętrzną niechęcią, lecz postanowiłem od razu, że postawię dwa zasadnicze warunki. Jeden z nich tyczył się natychmiastowej i pośpiesznej pracy nad zwołaniem sejmu w Warszawie, drugi zaś tyczył się zaniechania jakiegokolwiek pracy prawodawczej i wprowadzania jakichkolwiek praw o charakterze socjalnym, nim sejm nie zbierze się w Warszawie. Zdawało mi się, że te zastrzeżenia wystarczą. Natomiast zdecydowałem, że przedtem, nim oddam sformowanie gabinetu p. Daszyńskiemu, muszę uczynić coś w rodzaju narady czy wysłuchania opinii całego szeregu ludzi, reprezentujących choć cokolwiek z mnóstwa tajnych dotąd organizacyj o charakterze politycznym. Nie mogłem bowiem dopuścić, abym, czyniąc taki wy-

---

<sup>1)</sup> Piłsudski po przyjeździe z Magdeburga do Warszawy zamieszkał od dnia 10 listopada przy ul. Moniuszki 2, potem od dnia 17 listopada 1918 r. wieczorem przy ul. Mokotowskiej 50.



łom w pojęciach ludzi w Polsce, dając na czoło rządowi człowieka, zupełnie nieznanego w przeważnej części Polski, nie miał nawet próby porozmawiania chociażby nawet mylnie wybranych ludzi. Wielce pomocnym przy tym doborze ludzi był mi p. Artur Śliwiński, który mi bezstronnie oświetlił sytuację polityczną w Warszawie.

Poświęciłem na to całe dwa dni i po kolei wysłuchałem czterdziestu kilku ludzi, nie mówiąc sam przy tym nic a nic, a tylko wysłuchując różne opinie, narzekania i, co najważniejsza, absolutną odmowę dania mi jakiegokolwiek rady czy wymienienia jakiegokolwiek nazwiska w sprawie utworzenia rządu w Polsce<sup>1)</sup>. Zdecydowałem wtedy, że jestem już wolny od narad, i zgodnie ze swoją decyzją oddałem tworzenie gabinetu p. Daszyńskiemu. A że wszystkim panom mówiłem o konieczności współpracy i utworzeniu koalicyjnego rządu, dlatego też to polecenie dałem również p. Daszyńskiemu. Nie wiem, dlaczego p. Daszyński w swoich pamiętnikach tak starannie opuszcza moją pracę nad utworzeniem rządu, czyniąc fałszerstwo historii i usuwając mnie i moje żądania, i pisze, że ja się zdecydowałem na rząd ludowy (strona 329).

Przy rozmowie z Daszyńskim i niektórymi innymi członkami rządu lubelskiego stwierdziłem, że główną przeszkodą dla rządu koalicyjnego była niemożliwość nawet rozmowy z Narodową Demokracją. Na moje usilne nalegania skończyło się możliwością rozmowy z narodowymi demokratami, ale tylko poznańskimi. Tymczasem późnym wieczorem czy tegoż dnia, gdy publicznie stało się wiadomym, że Daszyński ma misję tworzenia rządu, czy też nazajutrz potem zgłosił się do mnie niejaki p. dr Paderewski<sup>2)</sup>, znany przedstawiciel Narodowej Demokracji w Warszawie. Ja leżałem w łóżku, gdyż miałem gorączkę, przyjąłem więc tego pana w łóżku. Pan ten począł mi mówić o niemożliwości dla Narodowej Demokracji pracy z p. Daszyńskim, natomiast uważał za możliwe pracę z p. Moraczewskim. Przy czym pomiędzy rozmaitymi argumentami przeciwko p. Daszyńskiemu czynił kilkakrotnie z obleśnym uśmiechem bardzo brzydkie i ubliżające uwagi o p. Daszyńskim. Wreszcie przerwałem te wynurzenia, zbesztalem tego pana za podobne traktowanie rzeczy i przerwałem wszelkie z nim rozmowy. Postanowiłem jednak wykorzystać tę rozmowę dla usunięcia p. Daszyńskiego, gdyż z jego pracy już do-

<sup>1)</sup> Por. t. V, str. 18.

<sup>2)</sup> Mowa o Zbigniewie Paderewskim, b. pośle do I Dumy z gubernii piotrkwskiej.

tychczasowej wywnioskowałem, że tworzenie rządu będzie trwać bardzo długo i skończy się, jak zwykle u p. Daszyńskiego, którego przecie znałem, oskarżaniem wszystkich absolutnie, nie wyłączając nawet i mnie.

Dlatego też już nazajutrz rozmówiłem się z p. Moraczewskim, któremu opowiedziałem ze wszystkimi szczegółami rozmowę z p. Paderewskim. Namawiałem usilnie p. Moraczewskiego, ażeby przy tych samych warunkach, jakie stawiałem p. Daszyńskiemu, zgodził się na formowanie rządu<sup>1)</sup>. P. Moraczewski mi ulegał, twierdził jednak, że zgodzić się może tylko wtedy, gdy p. Daszyński ustąpi sam od oddanej mu misji, rozmawiać zaś z nim o tym absolutnie nie chciał. Spadła więc ta przykra rozmowa na mnie.

Rozmowa z p. Daszyńskim poszła mi znacznie łatwiej, niż przypuszczałem. Sądzę, że p. Daszyński był już bardzo zniechęcony chłodnym przyjęciem, jakie spotkał w Warszawie, tak, że rozmowa mi poszła dość szybko i bez żadnych trudności. Odetchnąłem więc ze znaczną ulgą. Na końcu jednak p. Daszyński postawił mi jedno z najśmieszniejszych wymagań ze wszystkich śmiesznych wymagań, jakie człowiek postawić może, mianowicie — zażądał ode mnie, ażebym go zwolnił od misji za jego kontrasygnatą i żebym wyznaczył p. Moraczewskiego także za jego kontrasygnatą<sup>2)</sup>. Zaczął mi przy tym tak zawile i z taką mądrą miną przekonywać o konstytucyjnej wartości takiego pierwszego aktu, a p. Moraczewski tak zacięcie i uporczywie milczał przy tym, że zacząłem się obawiać rozchwiania się tak udatnie zakończonej sprawy albo jej odciążenia jeszcze na kilka dni. Machnąłem więc ręką na całą śmieszność, byle sprawę czym prędzej zakończyć. Pamiętam, jak p. Daszyński z lubością spoglądał na ten akt konstytucyjny i powiedział: «no, tak, to dobrze».

Czy p. Daszyński brał udział w utworzeniu rządu p. Moraczewskiego i czy zatem prawdziwymi są sceny, które p. Daszyński opisuje w stosunku do p. Moraczewskiego, — nie wiem, lecz wydaje mi się pewnym, że już nazajutrz p. Daszyński opuścił Warszawę i wyjechał do Krakowa. Dlatego też słowa p. Daszyńskiego na stronie 332: «po pięciu dniach pracy mogłem Naczelnikowi Państwa przedstawić listę gabinetu» są zupełnie niesłuszne i nieprawdziwe, nie mówiąc już o tym, że tytułu Na-

<sup>1)</sup> Por. t. V, str. 24.

<sup>2)</sup> W «Monitorze Polskim» z dnia 18 listopada 1918 r. są te dwa akty, o których mówi Piłsudski, z kontrasygnatą Daszyńskiego, która była sprzeczna z wszelkimi zwyczajami prawnymi.

czelnika Państwa wtedy nie miałem i nikt o takim tytule wtedy nie mówił<sup>1)</sup>.

Nie mogę więc zgodzić się z przypisywaną przez p. Daszyńskiego samemu sobie zasługą, że on, a nie kto inny, utworzył pierwszy rząd polski.

## UWAGI DO PAMIĘTNIKÓW LEONA BILIŃSKIEGO

(«Wspomnienia i dokumenty» — tom I i II, Warszawa, 1924)

### I.

W stosunku do «Wspomnień i dokumentów» ś. p. Leona Bilińskiego zastosowałem ten sam system, co do pamiętników p. Daszyńskiego, to znaczy, że związuję swoją pracę jedynie z tymi miejscami jego wspomnień, gdzie moje nazwisko jest przytoczone. Natomiast nie wchodzę najzupełniej w żadne wywody ani sądy p. Bilińskiego we wszystkich innych miejscach jego wspomnień, których ani czytałem, ani prawdopodobnie nie będę w stanie przeczytać.

1) Po raz pierwszy nazwisko moje spotyka się na stronie 295 pierwszego tomu, gdzie p. Biliński, występując przeciwko gen. Conradowi, głównemu dowódcy armii austriacko-węgierskiej, pisze: «kiedy całe społeczeństwo polskie w Galicji we wszystkich bez wyjątku stronnictwach stanęło po stronie Legionów, kiedy naczelnik tajnej organizacji warszawskiej, Józef Piłsudski, złożył dobrowolnie tę godność, ażeby swoją organizację niezawisłościową połączyć z organizacją legionową, — p. gen. Conrad nie przychylił się w swej głównej kwaterze do ustnej prośby prezesa Lea, by Legiony, zmuszone łączyć się z armią austro-węgierską, jako część t. zw. «Landsturmu», mogły do przysięgi wierności cesarzowi dodać wierność ojczyźnie polskiej».

W tej cytacie nie mogę nie zatrzymać się na nadaniu mi godności naczelnika tajnej organizacji warszawskiej. Z wrażeń moich to jakieś tajemnicze nazwanie mojej godności w przeciwstawieniu do jawnej organizacji galicyjskiej jest może naj-

---

<sup>1)</sup> Piłsudski jako Naczelnik Państwa objął władzę na podstawie dekretu o najwyższej władzy reprezentacyjnej Republiki Polskiej, wydanego w dniu 22 listopada 1918 r. Por. t. V, str. 25.

bardziej charakterystyczne dla pojęć ówczesnej Galicji. Ignorancja panów Galicjan w stosunku do zaboru rosyjskiego przekraczała wszelką wyobrażalną miarę. Po raz pierwszy zetknąłem się z tym przy moich stosunkach z Naczelnym Komitetem Narodowym i z wielką ilością oficerów polskich, którzy służyli w armii austriacko-węgierskiej, a byli oni wszyscy informatorami we wszystkich dowództwach armii austriackiej. Dla charakterystyki przytoczę jedną zabawną rozmowę, którą w samym początku wojny toczyłem z jednym z takich panów. Kiedyś, mówiąc o sytuacji w zaborze rosyjskim, wspomniał o Łodzi, jako o Manchesterze polskim i jako o mieście, posiadającym więcej, niż pół miliona mieszkańców, pan ten prawie się obraził, twierdząc, że na miano Manchesteru zasługuje Bielsk i Andrychów. Tak wielką była ta ignorancja w geografii, statystyce, w podziale administracyjnym i, co najgorsza, w historii wszystkich części Polski z wyjątkiem swoiście ujętej historii Galicji. Byłem ciągle zdumiony, jak armia austro-węgierska jest słabo przygotowana pod względem znajomości głównego teatru wojny, który miała, to jest zaboru rosyjskiego. Znajomość ta była znajomością kretyna, zupełnie zidiociałego. A — powtarzam — informatorami z urzędu w całej Austrii byli Galicjanie.

2) Drugi raz w pierwszym tomie nazwisko moje jest wspomniane na stronach 299—300. Całe opowiadanie w tym miejscu — jest to tak śmiesznie zmyślona bajeczka z zupełnie zmyślonymi szczegółami, że aż wierzyć się nie chce, aby mogło to wyjść spod pióra p. Bilińskiego, człowieka doprawdy wyższej miary, który tu wychodzi, jak jakiś opowiadacz zupełnie fałszywych anegdot.

Więc przede wszystkim z p. Bilińskim widziałem się w życiu moim wyraźnie dwa razy, więc wszystkie opowiadania o jakichkolwiek z nim stosunkach z mojej strony są nieprawdziwe i zmyślone. Pierwszy raz spotkałem się z nim nie na wiosnę 1915 r., lecz na wiosnę 1916 r. Z całego roku 1915 byłem w Galicji pierwsze dwa miesiące, to jest styczeń w Lipnicy Murowanej, niedaleko od frontu, cały zaś koniec stycznia i luty w Kętach pod Oświęcimiem, gdzie stałem w rezerwie dowództwa armii austriackiej na odpoczynku i reorganizacji, i p. Bilińskiego nigdy tam nie widziałem. Drugi raz w tym roku gdzieś w początkach czerwca<sup>1)</sup> przejeżdżałem przez Kraków do Cie-

<sup>1)</sup> Biliński na tych stronicach pisze: że «wiosną 1915 r.» komendant Legionów gen. Puchalski i brygadier Piłsudski, «między którymi nie było zgody, przybyli do niego gwoli jej przywrócenia, poruczając mu tym samym misję bardzo zaszczytną»; że u niego odbyła się konfe-

szyna<sup>1)</sup> do głównej kwatery austriackiej armii, gdyż byłem tam wezwany i miałem otrzymać odznaczenie nie gdzie indziej, jak w głównej kwaterze, i wtedy po raz pierwszy i ostatni rozmawiałem z gen. Conradem, który mnie przeproszał za zbyt małe odznaczenie i wysunięcie do góry, gdyż moją pracę na froncie cenił bardzo wysoko. Zatrzymywałem się zaś w Krakowie jeden dzień, jadąc do Cieszyna, i jeden lub dwa dni, jadąc z powrotem. P. Bilińskiego i tym razem tam nie widziałem. Miałem zaś rozkaz śpieszenia stamtąd na front jak najbardziej. Cała reszta 1915 r. minęła mi na froncie albo w Królestwie, albo na Wołyniu, gdzie wreszcie przed Bożym Narodzeniem zapadłem na bardzo ciężką gripę. Już po świętach dostałem dłuższy urlop na odbycie rekonwalescencji, którą odbyłem we Lwowie, i pamiętam dobrze, że ostatni dzień mego pobytu we Lwowie był dzień 19 marca, gdym był w teatrze, urządzonym mi przez miasto w dzień moich imienin z wieczną «Halką»<sup>2)</sup>). Wyjechałem stamtąd do Cieszyna, gdyż zostałem tam wezwany. Tam rozpocząłem, jak zwykle, stały proces o nielitościwe i stałe szykany, zwrócone przeciwko Brygadzie, którą dowodziłem, przy czym twierdziłem, że pozostać długo nie będę w stanie w takich warunkach i że będę zmuszony podać się do dymisji, jeżeli te paskudne warunki nie ustaną. Nie pamiętam, czy te rozmowy trwały jeden czy dwa razy, gdyż w końcu ogłoszono mi, że zostaną zarządzone poważne zmiany w organizacji Legionów w duchu moich żądań. Przy końcu zaś p. płk. Hranilović<sup>3)</sup> zaproponował mi nagle wolny przejazd do Wiednia. Odmówiłem dlatego, że nie miałem żadnego interesu jeździć do Wiednia. P. Hranilović zaczął jednak mnie namawiać, tak, że byłem tym niezmiernie zdziwiony i wreszcie p. pułkownik powiedział, że dlatego mnie namawia, że może

---

rencja Piłsudskiego i Puchalskiego, w której brał udział Habicht «bliiski bardzo brygadierowi» i na której miało dojść do porozumienia między Piłsudskim i Puchalskim; że na drugi dzień był Piłsudski u Bilińskiego «gwoli politykowania» i że podczas tej wizyty «omówili całą kwestię austro-polską, nie wyłączając części wojskowej»; że wreszcie następnego dnia Biliński był z rewizytą u Piłsudskiego, podczas której miały być znowu poruczane sprawy austriacko-polskie.

<sup>1)</sup> Piłsudski wyjechał z Konar 20 czerwca 1915 r. Dwa dni (21 i 22 czerwca) przebywał w Krakowie, 23 czerwca był w Cieszynie, 24 czerwca był na froncie pod Bidzinami.

<sup>2)</sup> Po przebytej chorobie w Karasinie, Piłsudski w dniu 2 marca 1916 r. wyjechał do Lwowa, a stamtąd do Cieszyna, Wiednia (25 marca) i Krakowa. Powrót na front nastąpił w dniu 29 kwietnia 1916 r.

<sup>3)</sup> Hranilović, por. t. IV, str. 220—221.



dobrze byłoby i dla mnie, gdybym się zobaczył z eksc. Bilińskim. Zastanawiałem się kilka chwil nad tym, bo była to dla mnie zupełna niespodzianka, po chwili odpowiedziałem, że mogę pojechać i do Wiednia i p. pułkownik wydał przy mnie zarządzenie o wydanie mi dokumentu podróży do Wiednia. Dotąd zrozumieć nie mogę, co za cel miał płk. Hranilović, tak usilnie namawiając mnie do zobaczenia się z p. Bilińskim.

Po przyjeździe do Wiednia przykomenderowano do mnie nieznanego mi wcale dotąd p. Habichta <sup>1)</sup>, który z moim adiutantem Wieniawą układał wszystkie rozmowy, które miały być przeprowadzone. Rozmowa moja z p. Bilińskim trwała nie więcej, jak kwadrans lub dwadzieścia minut. Nie tyczyła się ona żadnej poważnej rzeczy ani też nie była związana z zagadnieniami jakimikolwiek, które mnie obchodziły. Ja nie nastawiałem na nic i czekałem cierpliwie, co za interes mógł mieć p. Biliński do mnie, sam zaś p. Biliński z jakimś dobrotliwym uśmiechem wyrażał swą radość z powodu zobaczenia mnie, tak sławnego żołnierza, i twierdził, że teraz, gdy tyle z moich żądań zostało spełnione, mogę być spokojny, że nikt mi teraz żadnej krzywdy nie robi, twierdząc, że on zna osobiście bardzo dobrze gen. Puchalskiego i że ten jest także bardzo dobry żołnierz i bardzo dobry człowiek. P. Biliński zrobił na mnie wrażenie jednego z bardzo wielu ówczesnych Polaków. O wojsku nie chciał mówić, gdyż zupełnie się na tym nie znał, natomiast Legiony najprawdopodobniej uważał za jakąś głupią zabawkę, która biednemu Bilińskiemu, jak i wielu innym galicyjskim biednym mężom stanu, robi tylko kłopoty. Rozmowa, niestety, nie podtrzymywana mocno przeze mnie, zakończyła się bardzo szybko. Nie przypominam sobie ani jednej kwestii, obchodzącej czy mnie, jako polityka, czy też mnie, jako oficera, którąby p. Biliński ze mną poruszył, lub okazał jakiegokolwiek zainteresowanie.

Z pobytu mego w Wiedniu najbardziej zajęła mnie rozmowa, jaką miałem na obiedzie u p. Korytowskiego i to nie z p. Korytowskim <sup>2)</sup>, który miał ten sam typ, co p. Jaworski i p. Biliński, ale z p. Koźmianem <sup>3)</sup>, autorem słynnej niegdyś książki «Rzecz o 1863 roku». P. Koźmian był zaproszony na ten obiad, gdyż chciał się ze mną poznać. Pytał zaś mnie

<sup>1)</sup> Habicht, prokurator, był sekretarzem prezydiąlnym Nacz. Komitetu Narodowego.

<sup>2)</sup> Witold Korytowski, minister skarbu austriackiego 1906—1908 r., namiestnik Galicji 1913—1915 r.

<sup>3)</sup> Stanisław Koźmian, literat, współpracownik «Czasu», współautor «Teki Stańczyka».

o stosunki na froncie i o zatarg mój z austriackim wojskiem. Pamiętam dobrze, gdy mu opowiadałem o niezwykle hardym zachowaniu się wszystkich moich podwładnych w stosunku do armii austriackiej jako odpowiedź na ciągle szykany, stosowane przez nią w stosunku do nas, to gdy p. Korytowski ciągle niespokojnie się oglądał, spoglądając podejrzliwie na drzwi, czy ktokolwiek nie słyszy, to u p. Koźmiana stopniowo zapalały się niebieskie oczy i widać było człowieka, który ongiś przeżył sam wypadki 1863 roku. Zawsze mówiłem, że miałem do czynienia z dwoma pokoleniami: jedno, co umiało walczyć i żyć w wojnie, drugie — które uległo i dobrze się czuło w niewoli.

Wobec tego, com napisał już o widzeniu się moim z p. Bilińskim w Wiedniu na wiosnę 1916 r., pozostaje mi tylko zwyczajne sprostowanie wszystkich fałszów, w skomponowanej bajeczce, pomieszczonej o mnie na stronach 299 i 300 w pierwszym tomie «Wspomnień» p. Bilińskiego.

Więc: a) Nigdy żadnej rozmowy z p. Bilińskim nie miałem wspólnie z gen. Puchalskim, żadnej misji mu nie poruczałem do godzenia mnie z Puchalskim.

b) Po raz pierwszy poznałem p. Bilińskiego na wiosnę 1916 r. i nigdy przedtem nie odwiedzałem go przy Johannesgasse <sup>1)</sup>.

c) Nigdy p. Habicht nie był mnie «bliskim» i nigdy «na konferencji w biurze prezesa Koła» z p. Habichtem nie byłem.

d) Wszystkie szczegóły zatem, z tą konferencją związane, są absolutnie zmyślone.

e) «Gwoli politykowania» nie byłem «na drugi dzień» u p. Bilińskiego i nie omawiałem z nim «całej kwestii austro-polskiej, nie wyłączając wojskowej».

f) Cała reszta rozmowy, związanej z «komendą niemiecką» i «obroną krajową», jest całkowicie zmyślona, jak i wizyta w hotelu Müllera, którą jakoby składał mi p. Biliński <sup>2)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Biliński na str. 299 pisze: Piłsudskiego «miałem już sposobność poznać za czasów, gdym piastował godność wspólnego ministra finansów; odwiedził mnie przy Johannesgasse (siedziba austriackich ministrów finansów)». Biliński był austriackim ministrem finansów od 1912 r. do 7 lutego 1915 r.

<sup>2)</sup> Biliński na str. 300 pisze: że podczas wizyty u niego Piłsudski «zgadzał się na całą konstrukcję austro-polską, a nawet zrozumiał, że armia wspólna austriacko-węgiersko-polska będzie miała nadal komendę niemiecką, zaś tylko «obrona krajowa», w którą się po wojnie przemieniły Legiony, komendę polską»; że Biliński «wolałby słyszeć nazwę «gwardia narodowa»; i że wreszcie gdy Biliński był u Piłsudskiego z re-wizytą w hotelu Müllera, Piłsudski miał powiedzieć: «Niech tylko ce-

Wreszcie

g) Nigdy już w niepodległej Polsce nie byłem na żadnej konferencji ministrów, jako Naczelnik Państwa, w której brał udział p. Biliński, jako minister finansów<sup>1)</sup>.

## II.

W drugim tomie wspomnień p. Bilińskiego cały szereg miejsc, gdzie nazwisko moje jest wspomniane, związane jest z różnymi wypadkami, gdzie właściwie moje nazwisko jest użyte dla komplementów pod moim adresem. Dlatego też te miejsca pomijam. Zatrzymam się na tych tylko, które mają do czynienia z faktami i moją pracą, związaną z p. Bilińskim.

Tak więc na stronach 203 i 204 p. Biliński opowiada o objęciu przez niego teki ministra finansów.

Pamiętam dobrze, że któryś z prezesów ministrów<sup>2)</sup> zgłosił się do mnie z propozycją wzięcia na ministra finansów p. Bilińskiego<sup>3)</sup>. Ja zaś wyraziłem na to zgodę. Miałem wtedy z nim jedną jedyną rozmowę, gdy się p. Biliński przedstawił mi w Belwederze. W rozmowie tej, to pamiętam dobrze, wskazałem mu na jeden punkt — na mus usunięcia ze wszystkich zakamarków finansowych rubla rosyjskiego, gdyż, zdaniem moim, nie ma on już żadnej wartości. Wskazałem przy tym, że napotka on pewno wielkie trudności, gdyż finansowe poglądy narodowych demokratów i ich głównego finansisty, p. Władysława Grabskiego, idą nie w innym, jak w rublowym kierunku. Poza tym rozmowa, jak słusznie mówi p. Biliński, «wypadła dość blado». Dodam, że później ani razu p. Biliński nie był u mnie na audiencji ani w parku Belwederskim, ani ja nie byłem z nim nigdy na «ważnych konferencjach ministerialnych nocnych»<sup>4)</sup>.

---

sarz da nam język polski, to ja się zadowolnię nazwą: obrona narodowa».

<sup>1)</sup> Biliński na str. 301 pisze, że «cześć jego przemieniała się w podziw, gdy na konferencjach ministrów słyszał niejednokrotnie ze strony Naczelnika słowa, pełne zarówno dziwnie wzniosłej i oryginalnej wymowy, jak głębokiej mądrości wytrawnego męża stanu».

<sup>2)</sup> Prezesem Rady Ministrów był w tym czasie Ignacy Paderewski.

<sup>3)</sup> Urząd ministra Skarbu sprawował Biliński od dnia 31 lipca 1919 r. do dnia 9 grudnia 1919 r.

<sup>4)</sup> Biliński pisze na str. 204: «Później niejednokrotnie bywałem u Piłsudskiego: raz na audiencji, która się bardzo mile i interesująco odbyła w parku belwederskim, a kilka razy na ważnych konferencjach ministerialnych nocnych».

Inne wypadki, opisane przez p. Bilińskiego wraz z moim nazwiskiem, nie są mi zupełnie znane i ani rusz przypomnieć sobie nie mogłem, czy kiedykolwiek te sprawy opierały się o mnie <sup>1)</sup>). Zatrzymam się więc tylko na jednym wypadku, opisanym na stronie 321, pod tytułem «Propaganda zagraniczna». Opisuje tam p. Biliński zatarg, jaki miał ks. Eustachy Sapięha z p. Daszyńskim w kwestii propagandy zagranicznej. Przy tym p. Biliński stawia mnie po stronie p. Daszyńskiego. Mogę zapewnić, że tą sprawą nigdy się nie zajmowałem i dotąd nie zajmuję i dlatego nie wiem nawet, o co tym panom w zatargu chodziło <sup>2)</sup>).

---

---

<sup>1)</sup> Biliński na str. 299 pisze, że zapytywał raz ministra Spraw Zagr. Skrzyńskiego, czy rząd polski nie ułatwiłby przyjazdu do Warszawy «incognito» ukraińskiemu politykowi Mikołajowi Wassilce i że Skrzyński, z powołaniem się na Piłsudskiego, dał odpowiedź odmowną. Drugi raz Biliński wspomina nazwisko Piłsudskiego na str. 313. Pisze, że wystosował w okresie ofensywy bolszewickiej latem 1920 r. pismo do Piłsudskiego z gotowością wstąpienia do służby pomocniczej i że na to pismo nie otrzymał odpowiedzi.

<sup>2)</sup> Biliński na str. 321 pisze, że Daszyński, wstępując w 1920 r. do gabinetu Witosa, zastrzegł sobie u Naczelnika Państwa prawo urzędzenia i kierownictwa propagandy polskiej za granicą, że ówczesny minister spraw zagranicznych Eustachy Sapięha uważał to za wchodzenie w kompetencję jego ministerstwa i próbował oponować, ale «nie mógł się ostać wobec siły Naczelnika Państwa i Daszyńskiego».

## DEPEZA DO ALEKSANDRA ZELWEROWICZA

(7 maja 1931 r.)

*Dnia 5 maja 1931 r. obchodził artysta dramatyczny, w owym czasie dyrektor teatrów miejskich w Wilnie, Aleksander Zelwerowicz jubileusz swej trzydziestoletniej pracy na scenie polskiej.*

*Z tej okazji Piłsudski wysłał do Aleksandra Zelwerowicza niżej przytoczoną depezę, którą podajemy według «Gazety Polskiej» z dnia 7 maja 1931 r.*

W dniu jubileuszu trzydziestolecia pracy artystycznej, w ciągu której położył pan tak chlubne zasługi dla sceny naszej i przyczynił się do rozśławienia imienia sztuki polskiej, ślę panu w imieniu wojska i własnym serdeczne gratulacje oraz życzenia zbierania dalszych równie pięknych plonów swej twórczej działalności scenicznej.

Józef Piłsudski  
Marszałek Polski,  
Minister Spraw Wojskowych.

---

## LIST NA ZJAZD LEGIONISTÓW W TARNOWIE

(8 sierpnia 1931 r.)

*Doroczny zjazd legionistów w rocznicę aktu 6 sierpnia został zwołany w 1931 r. do Tarnowa na dzień 9 sierpnia.*

*Prezes Związku Legionistów, Stawek odczytał na tym zjeździe niżej przytoczony list, który podajemy według «Gazety Polskiej» z dnia 10 sierpnia 1931 r.*

Warszawa 8. VIII. 1931 r.

Kochani Koledzy!

Przyzwyczajony jestem na naszych zjazdach sierpniowych zawsze bywać i mówić. Gdy zaś mówić nie jestem w stanie, postanowiłem tym razem na zjeździe i nie być.



Myślą i sercem będę z Wami, jak Wy wszyscy przeżywał tę chwilę. Gdy zdawało się, że stare słońce zgasło, a wstało nowe, całkiem inne — paliło ono i grzało całkiem nowymi i innymi promieniami, darząc wiosną, choć była jesień.

Przyjmijcie serdeczne pozdrowienia od Waszego Komendanta.

Józef Piłsudski.

---

### LIST DO HOŁÓWKOWEJ

(3 września 1931 r.)

*Dnia 29 sierpnia 1931 r. w Truskawcu został zabity przez członków tajnej organizacji ukraińskiej Tadeusz Hołowko, przez pewien czas członek P. P. S., żołnierz I Brygady Legionów, działacz P. O. W., ochotnik 201 pułku piechoty, ciężko ranny w wojnie polsko-bolszewickiej, naczelnik Wydziału Wschodniego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, poseł na Sejm, wiceprezes Bloku Bezpartyjnego.*

*Piłsudski wysłał do matki Tadeusza Hołowki niżej przytoczony list, który podajemy według «Gazety Polskiej» z dnia 3 września 1931 r.*

Czcigodna Pani. Głęboko wzruszony wieścią o śmierci ś. p. syna Pani Tadeusza, śpieszę wyrazić Pani cały mój żal i współczucie. W osobie Zgasłego traci Polska jednego z najlepszych Jej synów, gorącego patriotę, bojownika walk o niepodległość i niestrudzonego, pełnego energii pracownika na polu twardej, codziennej pracy pokojowej.

Świadomość, iż ta wielka i ciężka strata okrywa żalobą kraj cały, niechaj umniejszy ból pani.

Józef Piłsudski  
Marszałek Polski.

---

### DEPEZA DO BISKUPA BANDURSKIEGO

(10 stycznia 1932 r.)

*Z okazji 25-letniej rocznicy sakry biskupiej ks. Władysława Bandurskiego Piłsudski wysłał do niego niżej przytoczoną depeszę, którą podajemy według «Gazety Polskiej» z dnia 10 stycznia 1932 r.*

W 25 rocznicę sakry biskupiej zechce wasza ekscelencja przyjąć moje najgorętsze i najserdeczniejsze życzenia dalszych, jak najdłuższych lat pełnej poświęcenia i zasług służby pasterskiej.

Marszałek Józef Piłsudski.

PRZEMÓWIENIA NA CZWARTYM POSIEDZENIU RADY  
NAUKOWEJ WYCHOWANIA FIZYCZNEGO

(22 maja 1932 r.)

*Dnia 22 maja 1932 r. odbyło się w sali konferencyjnej Ministerstwa Spraw Wojskowych czwarte plenarne posiedzenie Rady Naukowej Wychowania Fizycznego. Podczas pierwszej części tego posiedzenia, odbywającej się rano, przewodniczył Piłsudski i wypowiedział kilka przemówień, które podajemy według urzędowego protokołu z tego posiedzenia, wydanego nakładem «Rady Naukowej Wychowania Fizycznego» (Warszawa — Drukarnia Gospodarcza) p. t.: «Czwarte Plenarne Posiedzenie Rady Naukowej Wychowania Fizycznego».*

Po sprawozdaniu z działalności Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego rozwinęła się dyskusja, w trakcie której Piłsudski wypowiedział następujące przemówienie:

Jako przewodniczący konstatuję, że dotychczasowy tok dyskusji prowadzi do tego, iż mnogość przedmiotów, o których się dyskutuje, daje w wyniku zapominanie tego, co poprzednio mówiono i daje rezultat niedobry. Dlatego chcę przerwać ten sposób dyskusji i odrębnie omawiać poszczególne sprawy, które wysuwają się bądź ze sprawozdania, bądź z dyskusji i pragnę, ażeby je traktować osobno. Dyskutowanie ogólne ma jedną bardzo wielką wadę, że przestaje być dyskusją, a zaczyna być bawieniem się w mówienie. Jednego to interesuje, drugiego — co innego, wskutek czego dyskusja staje bardzo nieprodukcyjna.

Zanotowałem te sprawy, które dadzą się wyodrębnić. Jedna kwestia, która zajmowała z początku bardzo wiele uwagi, to uczelnie wyższe<sup>1)</sup>. Inną znów grupę stanowi wieś<sup>2)</sup>, która wystąpiła w sprawozdaniu i w dyskusji jako rzecz odrębna.

<sup>1)</sup> Mówiono o wychowaniu fizycznym młodzieży akademickiej.

<sup>2)</sup> Poruszono zagadnienie wychowania fizycznego ludności wiejskiej.

P. prof. Wyrobek i p. Olszewska dorzucili sprawę dziecka <sup>1)</sup>. Płk. Ulrych poruszył kwestię sportu, która tu zajmuje główne miejsce, a prof. Ciechanowski wystąpił przeciwko sportowi <sup>2)</sup>. Ja wolę sportowanie, niż sport. Robię obserwacje z moimi paniami <sup>3)</sup>, które sportowaniem się bardzo zajmują, ale do sportu nie należą. Moim zdaniem, to daleko lepsze, niż sport. I potem, płk. Osmolski jeszcze dorzucił sprawę CIWF <sup>4)</sup>. Ale CIWF został uwzględniony w oddzielnym punkcie porządku dziennego. Poruszono także sprawę odznaki sportowej, ale i ta sprawa jest dalej w porządku dziennym uwzględniona.

Wyodrębniłem więc poszczególne zagadnienia i proszę w dyskusji trzymać się wyznaczonych czterech tematów: uczelnie wyższe, wieś, dziecko i sport. Na pierwszym miejscu stawiam sprawę uczelni wyższych, bo ta sprawa zajęła nam dużo czasu i musi być doprowadzona do końca.

*W ciągu dyskusji nad wychowaniem fizycznym młodzieży akademickiej Piłsudski rzucił uwagę:*

Mnie również chodzi nie o co innego, jak o to, żeby przedłużyć wyniki osiągnięte w szkole średniej, żeby one miały miejsce i na uniwersytecie.

*Gdy dyskusja nad wychowaniem fizycznym młodzieży akademickiej dobiegła do końca, Piłsudski powiedział:*

Następną jest kwestia wsi, podniesiona przez pp. Kilińskiego, Sikorskiego i innych. Stwierdzam, że na wieś wychowanie fizyczne z trudnością iść może, gdyż wieś ma swoje «wychowanie fizyczne», ludzie na wsi mają stale ćwiczenia fizyczne, czy to w orce, czy w bronowaniu, czy w jakiegokolwiek innej pracy fizycznej na roli. Wobec tego dostosowanie wychowania fizycznego do wsi jest rzeczą bardzo trudną. Praca ta zawsze przybiera charakter ćwiczeń fizycznych, stale wykonywanych. Być może, że nie odpowiadają one programowi. Ja sobie przypominam, jak któryś z panów w poprzedniej naszej dyskusji twierdził, że dziewczyna na wsi znosi znacznie łatwiej najrozmaitsze wysiłki fizyczne, w porównaniu do dziewczyny w tym samym wieku z miasta, a nawet miasteczka. Więc tam wychowanie fizyczne osiąga się przez pracę na roli.

<sup>1)</sup> Sprawę wychowania fizycznego dzieci.

<sup>2)</sup> Prof. Ciechanowski narzekał na rozpowszechnianie się sportu «widowskowo-profesjonalnego», na manię rekordów i na zbytne interesowanie się «asami sportowymi». Płk. Ulrych twierdził, że nie można «elicie sportowej» stawiać przeszkód.

<sup>3)</sup> Mowa o córkach Piłsudskiego.

<sup>4)</sup> Płk. Osmolski mówił o sprawach organizacyjnych «Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego» (CIWF).

Przypuszczałem, że zagadnienie wychowania fizycznego na wsi dotyczy młodzieży. No, to wtedy co innego. Ale — jeśli jest mowa o wychowaniu fizycznym ludzi, którzy stale podejmują wysiłki i to niejednostronne, jak się to dzieje w fabryce, lecz wielostronne, bo co innego jest kosić, co innego orać, żąć, wozić, to mnie się zdaje, że taka praca daje znacznie więcej niż programowe wychowanie fizyczne. Na wsi co innego szkodzi fizycznemu stanowi zdrowia: mieszkanie bardzo ciasne i brudne i niedostateczne odżywianie. Same wyczyny fizyczne są bezwzględnie bardzo znaczne.

*Gdy w ciągu dyskusji nad wychowaniem fizycznym po wsiach ppłk. dr Władysław Dybowski zauważył, że «wśród najwyborowszego materiału, jaki wieś może dać, z siłą i wytrwałością wyczynów jest bardzo dobrze, ale ze zgrabnością jest źle i tego tam właśnie potrzeba», Piłsudski, nawiązując do tego przemówienia, powiedział:*

Została wyodrębniona specjalna kwestia, która mnie nieco dziwi. Bo, proszę państwa, jeżeli idzie o zgrabność, to, naturalnie, element miejski jest inny, niż wiejski. Jeśli chodzi o umiejętność ręcznej pracy wszelkiego rodzaju, to ona znacznie wyżej stoi w miastach, niż na wsi. Ręce w miastach są znacznie zgrabniejsze. Ruch wiejski jest leniwy i powolny. Jednakże ja boję się, że podniesienie zgrabności i sprawności obniży właśnie wytrwałość i siłę, bo nauczy wysiłki fizyczne szybciej wykonywać kosztem nerwów. Element wiejski należy do najspokojniejszych, jakie istnieją zarówno w ruchu, jak i w pracy. Jest w nim coś z fatalizmu, podczas gdy element ruchliwości wyszukuje nerwy.

Widzę tu dążenie ze strony Dyrektora Państw. Urzędu W. F., jak może i panów do pewnej unifikacji, jednolitości tych cech. Przyznam się panom, że ta unifikacja i jednolitość nie jest moim dążeniem. Nie zniesiemy różnicy, jaka istnieje między wsią i miastem. To jest niemożliwe. Jest jeszcze i inna rzecz, o której powiedział p. Sikorski: wrażliwość i szybkość reakcji myślowej<sup>1)</sup>. Skoro podniesiemy ją — to zarazem zniszczymy spokój. Podczas swych badań nad wojną japońskorosyjską poczyniłem szereg obserwacji. Miałem do czynienia z dwiema dywizjami japońskimi: — jedna zawierała czysto wiejski element. To dywizja druga. A inna — dywizja dwunasta — składała się z żywiołu miejskiego. Proszę państwa, dwu-

<sup>1)</sup> Wizytator Sikorski mówił, że młodzież wiejska reaguje pomalą, za wolno, dlatego, że orientacja, która poprzedza reakcję, jest zbyt długa.

nasta dywizja nie mogła wytrzymać tego, co druga, gdyż nie była w stanie. Ale jeśli szło o szybkość, to dwunasta dywizja udawała kawalerię, na co nie mogła się zdobyć druga. Otóż, widoczna jest różnica między elementem wiejskim i miejskim.

Boję się, że przy tym umiastowieniu wsi — więcej się przegra, niż wygra. Panowie mówicie o piłce. W jednym ze swych dawniejszych przemówień na Radzie mówiłem, że spostrzegam ze zdziwieniem, iż młodzież na wsi zaczyna kamienie odpychać nogą, zupełnie tak samo, jak to zauważyłem w Anglii. Anglik ma drgawki w nogach, on nie może czegoś nie pchnąć nogą, on nogą ciągle coś podpycha. Broń Boże, jakiś papier leży na chodniku, to on go popchnie nogą.

Ja nie mogę zgodzić się na to, na co tak śmiało idzie p. plk. Kiliński, żeby przenosić całość programowości wychowania fizycznego na wieś. Można myśleć chyba tylko o zimie, bo latem są prace na roli, a dziecko będzie pasać gęsi. Ono zawsze ma czas zajęty. To usprawnienie może pójść jedynie w wieku t. zw. młodzieńczym. Dlatego ja niebardzo dobrze rozumiem ten marsz na wieś z wychowaniem fizycznym. Higiena, to co innego, na to można się zgodzić. Ale gimnastyka? ja nie wiem, czy to jest zdrowe.

*Gdy prof. Ciechanowski powiedział: «Nie chodzi o jednolitość zupełną wsi i miasta, a tylko o korekturę wsi. Taka poprawa jest możliwa. W Danii wymyślono ćwiczenia, które dają się specjalnie zastosować do parobczaków sztywnych. Można by się dowiedzieć, jakie to daje wyniki psychiczne» — Piłsudski odpowiedział:*

Ja się obawiam. Jest to umiastowienie wsi. Ona się i tak umiastawia, a zniesienie różnic doprowadzi do pozbawienia jej spokoju wewnętrznego. Element wiejski jest nadzwyczaj wytrwały i spokojny. Jeżeli chodzi o przejście pewnej przestrzemi, to on ją pokona z zupełną swobodą. Proszę panów, weźcie na przykład: stać cały dzień na upale i kosić! Któż to zrobi? Postanowiłem raz nauczyć się kosić. Pół dnia kosiłem, a dwa dni leżałem; nie mogłem nie leżeć, byłem zbolący, a oni koszą tygodniami, jak przyjdzie czas koszenia. I ta wytrwałość — przecież to nie jest nawet siła fizyczna, ale ta spokojna wytrwałość!

*W trakcie dyskusji nad stosunkiem wychowania fizycznego do sportu Piłsudski powiedział:*

Sport jest olbrzymim elementem propagandowym, t. zn. tym, który wychowanie fizyczne wszędzie bardzo silnie uwytłumnia. Ale, idzie się drogą złą, a zła rzecz najwięcej propagandy robi. Sportowe rzeczy mają charakter zawsze jedno-



stronny. Nigdy nie zapomnę, jak w jednej ilustracji spotkałem taką osobę, która — tak mi się wydawało — dziwne rzeczy robi. Jakaś kobieta skacze przez płotki. Ktoś powiedział mi: to jest znakomita płotkarka, jakaś XY. Dowiedziałem się, że to jest uczenica, która kończy gimnazjum i zarazem jest naszą znakomitą płotkarką. Przyznam się, że to mnie przeraziło, iż przygotowują ją, jako naszą znakomitość, do występów na arenie międzynarodowej. Pomyślałem sobie o tej biednej dziewczynie: Ona nic już nie ma robić, tylko skakać przez płotki? Ponieważ ona przygotowuje się na występy, musi więc odpowiednio trenować, zmienić swój tryb życia; ją codziennie ważą, codziennie masują i ona ciągle skacze przez te durne płotki. Jej celem jest tylko, żeby jeden płotek za drugim przeskoczyć. I ona ciągle to robi. Przecież to może życie zbrzydzić. Można unieść się w stratosferę sportu i uważać, że zadaniem życia jest wyciągnąć jeszcze minutę, jeszcze milimetr. Ale ją nie mogę się nie obawiać o tę dziewczynę w tak młodym wieku, gdy ją zrobiono znakomitą płotkarką i specem w płotkowaniu. Toż to koniec świata!

To jest jedna sprawa, a teraz druga. Mówiliśmy o futbolu. Ja lubię nawet popatrzeć na tę grę, bo tam element zgrania i solidarnej walki najsilniej występuje, tak, że przyjemnie jest patrzeć. Proszę panów, czas wyznaczony meczom w tej grze, to wyduszanie potu przez półtorej godziny, musi doprowadzić do zepsucia serca po pewnym czasie. Jednostronność wysiłku jest, proszę panów, w każdym sporcie. Mówiliśmy o jednostronnym wysiłku w pracy wieśniaka, że prowadzi ona do pochYLENIA człowieka, ale przecież każdy wysiłek sportowy jest jeszcze bardziej jednostronny. Weźmy, dla przykładu, znakomitość w rzucaniu dyskiem. Przecież to nie daje wysiłku całemu organizmowi. I tak jest w każdej dziedzinie. A więc w tym najwstrętniejszym wysiłku — boksie, potem konnej jeździe i t. d. Już z p. Lewicką mówiłem o tym, że konna jazda nie jest ćwiczeniem fizycznym, rozwijającym całość ciała, gdyż rozwija jeden mięsień specjalnie dlatego, że jeździec musi nim, a właściwie pewną częścią nogi pociśnąć konia.

Wszystkie sporty mają charakter zawsze jednostronny. Ja państwu powiem, że na terenie bardzo wąskim obserwuję moje panny i ich koleżanki. Świat sportowy może święcić tryumfy, że tak silnie moment sportu działa. Ten element propagandowy wywiera bardzo silny wpływ. Ale ja to nazywam nie sportem, a sportowaniem. Moje panny ciągle sportują, bez końca, całymi dniami, ale tak samo poprzednio bawiły się w chowanego i bieganego. Sportowanie to przecież ciągle za-

bawa. Więc teraz zabawa jest w siatkówkę, bez siatki, przez gałąź drzewa i t. d.

Prof. Michałowicz mówił o pieniactwie <sup>1)</sup>). Pieniactwo wywołane jest przez przepisy sportowe, doprowadzone do centymetrów, doprowadzone do przestrzeni takiej tylko, takiego tylko czasu. To musi być zmienione.

A pan jeszcze o futbolu mówił. Złap pan «out» <sup>2)</sup>), złap pan sędziego, który nie widział! <sup>3)</sup>) To pan wie, pan się tym zajmował i to czynnie. Ja nie mógłbym powiedzieć, że ten system propagandy musi być przez nas ceniony. On daje dużo dla całego tłumu, ale nie dla usprawnienia fizycznego. Natomiast środki, których wychowanie fizyczne używać musi, nie mogą iść drogą sportu.

*Gdy płk. Ulrych w dłuższym przemówieniu wskazywał na powszechne zjawisko zdobywania rekordów w sporcie i na popularność «asów sportowych», Piłsudski powiedział:*

Ta elita daje siłę całemu sportowi. Ja jednak powiadam, że wolę sportowanie, niż to pieniactwo.

---

## LIST NA ZJAZD LEGIONISTÓW W GDYNI

(15 sierpnia 1932 r.)

*Doroczny zjazd legionistów w rocznicę aktu 6 sierpnia został w r. 1932 zwołany do Gdyni na dzień 14 sierpnia 1932 r.*

*Na zjazd ten przysłał Piłsudski niżej przytoczone pismo, które podajemy według «Gazety Polskiej» z dn. 15 sierpnia 1932 r.*

Drodzy Koledzy i Towarzysze broni! Nie mogąc przybyć na Wasz Zjazd, muszę choć listownie przesłać Wam serdeczne pozdrowienia.

Ile razy biegnę myślą po drogach historii polskiej, tyle razy widzę jasno pokolenia, co «wiosnę mieli w życiu» <sup>4)</sup>), by zakończyć stałym refrenem, mówiącym «wiek męski, wiek kłęski» <sup>5)</sup>) — refrenem, pełnym goryczy i pełnym smutnych

---

<sup>1)</sup> Prof. Michałowicz powiedział, że «nigdzie tyle pieniactwa nie widział, ile w sporcie».

<sup>2)</sup> Rzut poza linię.

<sup>3)</sup> W tym miejscu gen. Rouppert wtrącił: «Wtedy mówią: Sędzia kalosz».

<sup>4)</sup> Cytat z «Pana Tadeusza», ks. XI, w. 78.

<sup>5)</sup> Cytat z wiersza Mickiewicza: «Połały się lzy...».

zawodów. Jeżeli my wyciągnęliśmy szczęśliwy los na loterii pokoleń i dowiedliśmy, że nie zawsze słowo «męski» rymuje się ze słowem «klęski» — to jednak los nie oszczędził nam ani goryczy, ani zawodu. Nie dziwota. Biegliśmy bowiem po drogach i ścieżkach wpoprzek wszystkich dróg Polaków, więc znieść musieliśmy tyle niespodziewanych i niczym niezasłużonych zniewag, a wypić musieliśmy tyle kielichów goryczy, że doprawdy ubiegłe pokolenia pomimo klęsk tylu, niewiele mają nam do pozazdroszczenia.

Co do mnie, w owe czasy twierdziłem nieraz, że się obawiam, by synowie w tym kraju nie pluli na groby ojców za ich głupotę, że za Polskę krew swoją lali. Na usunięcie tej goryczy z życia polskiego dałem z siebie dużo najlepszej pracy, zrobiłem wiele w najcięższym wysiłku, straciłem masę swego zdrowia — i nie sądzę, aby ta moja praca poszła na marne. Gdy zaś tak jest, nie radzę — i to mówię na wszelki wypadek — odczuwać jakąś gorycz czy zawód. Życząc więc możliwie pogodnych nastrojów, pozostaję z Wami myślą i sercem.

Józef Piłsudski.

Pikieliszki, 12 sierpnia 1932 r.

## LIST NA ZJAZD LEGIONISTÓW W WARSZAWIE

(4 sierpnia 1933 r.)

*Doroczny zjazd legionistów w rocznicę aktu 6 sierpnia zwołany został w 1933 r. do Warszawy na dzień 6 sierpnia 1933 r.*

*Na zjazd ten przysłał Piłsudski niżej przytoczony list, który podajemy według «Gazety Polskiej» z dnia 7 sierpnia 1933 r.*

Pikieliszki, 4. VIII. 1933 r.

Kochani Przyjaciele!

Na Wasz Zjazd w Warszawie — nie mogąc przyjechać — piszę list.

Kiedy teraz na brzegu pięknego podwileńskiego jeziora siedzę i słucham cichego szmeru łagodnie pluszczącej fali — wspominam dzieje swojej burzliwej, pełnej przygód przeszłości. Powtarzam wtedy cudne słowa poety:

«Bo kiedy grzebię w Ojczyzny popiołach,  
I potem ręce na harfie kładnę:  
Wstają mi z grobów mary takie ładne!  
Takie przejrzyste! świeże! żywe! młode!  
Że po nich płakać nie umiałbym szczerze» <sup>1)</sup>).

A najczęściej po głowie snują się te chwile grozy i uporu duszy, których my tak dużo, tak wiele, mamy za sobą.

Chwile, gdy serca aż łamały się z bólu i zmęczenia, gdy czoła zroszone były nie tylko potem, ale często i krwią — a ja nawoływać musiałem do trwania i wytrzymałości. Niechybnie, należały do okresu «Ojczyzny w popiołach», a więc są «ładne» ta nasza praca i nasza wytrwałość.

I — dziwnym zbiegiem okoliczności — jednocześnie, gdy chwile grozy przypominam — w modrych falach jeziora widzę oczy — oczy tak mi mile i tak szczerze kochane — oczy dziecka, pełne zachwytu i pełne ciekawości.

A zawsze myślę, że tak żyć, jak żyłem — warto było — warto było ten ból i zmęczenie przewyciężać — jak przewyciężałem.

Józef Piłsudski.

---

## DEPEZA DO KAPITANA JERZEGO BAJANA

(21 września 1934 r.)

*Dnia 16 września 1934 r. zostały ukończone międzynarodowe zawody lotnicze, w których kapitan Jerzy Bajan zdobył pierwsze miejsce.*

*Piłsudski z Moszczenicy pod Żywcem, gdzie przebywał na odpoczynku, wysłał do kapitana Bajana niżej przytoczoną depezę, którą podajemy według «Gazety Polskiej» z dnia 21 września 1934 r.*

Winszuję Panu pięknego zwycięstwa w międzynarodowych zawodach lotniczych i dziękuję Panu, Kapitanie, za dokonany wysiłek dla chwały polskiego lotnictwa.

Józef Piłsudski  
Marszałek Polski.

---

<sup>1)</sup> Słowackiego: «Beniowski», pieśń V, w. 394—399.

## DEPESZA DO MARII STACHIEWICZOWEJ

(22 września 1934 r.)

*Dnia 20 września 1934 r. zmarł gen. Julian Stachiewicz, członek Związku Walki Czynnej, oficer Związku Strzeleckiego, kapitan I Brygady, szef Oddziału Operacyjnego Sztabu Generalnego, wreszcie szef Wojskowego Biura Historycznego.*

*Piłsudski dnia 22 września 1934 r. wysłał z Moszczenicy do Marii Stachiewiczowej, wdowy po zmarłym generale, niżej przytoczoną depeszę. Depesza ta w skróconej formie była ogłoszona w prasie z dnia 25 września 1934 r. Podajemy ją według oryginału, będącego w posiadaniu Marii Stachiewiczowej.*

Po stracie kochanego Julka wyrażam kochanej Pani głębokie współczucie. Tak Go chciałem szczenić, On się pchał i pchał do pracy aż trudno było z Nim rozmawiać. Możeby Pani pomyślała o dzieciach, aby nie były w Warszawie. Pomóc może Pani generał Składkowski. Dzieci bardzo całują

J. Piłsudski.

## DEPESZA DO MARII KONARZEWSKIEJ

(4 kwietnia 1935 r.)

*Dnia 3 kwietnia 1935 r. zmarł gen. Daniel Konarzewski, b. oficer armii rosyjskiej, dowódca brygady piechoty w I Korpusie Wschodnim, dowódca grup operacyjnych na froncie ukraińskim i bolszewickim, dowódca Okręgu Korpusu w Warszawie, wiceminister Spraw Wojskowych.*

*Piłsudski do córki zmarłego generała Marii Konarzewskiej wysłał dnia 4 kwietnia 1935 r. niżej przytoczoną depeszę, którą podajemy według «Gazety Polskiej» z dnia 5 kwietnia 1935 r.*

Głęboko wzruszony śmiercią ś. p. generała Daniela Konarzewskiego, inspektora armii, tak bardzo zasłużonego żołnierza, przesyłam rodzinie na ręce Pani wyrazy mego serdecznego żalu i współczucia

J. Piłsudski.



## SKOROWIDZ NAZWISK <sup>1)</sup>

- Anusz Antoni **104, 105**  
 Argetoiano **129**
- Baczyński Rajmund 295, 296  
 Baćmaga Józef **230, 233**  
 Bagiński Kazimierz **230**  
 Bajan Jerzy **7, 331**  
 Bandurski Władysław **7, 77, 323**  
 Barlicki Norbert **230**  
 Bartel Kazimierz **6, 10, 17, 37, 53, 105, 110, 114, 119, 132, 133, 143, 146, 147, 150, 151, 155, 159—162, 208, 209, 216**  
 Beck Józef ojciec **176**  
 Beck Józef syn **6, 193, 196**  
 Benedeck Ludwik 285  
 Beseler **303—305, 308**  
 Bielawski Józef **176**  
 Biliński Leon 277, 278, 315—321  
 Biluchowski **250**  
 van Blockland Beerlaerts **101, 102**  
 Bniński Adolf **33**  
 Boerner Ignacy 301, 310  
 Bogucki Antoni **176**  
 Bojko Jakub 109  
 Briand 102, 103  
 Broch **293**  
 Bukh 171  
 Buzdygan **129**
- Car Stanisław 249  
 Catillina 273  
 Cato 273  
 Celewicz Włodzimierz **230**  
 Chaciński **30**  
 Chamberlain 102
- Chądzyński **30**  
 Cicero 273  
 Ciechanowski 162, 164, 166, 171, 172, 325, 327  
 Cieński Tadeusz **278**  
 Ciołkosz Adam **230**  
 Cromvell 106  
 Czechowicz Gabriel **132, 143, 144, 146, 147, 150—153, 157, 159—161, 176, 177, 180, 181, 183**  
 Czerwiński Sławomir **165, 172, 175**  
 Czetwertyński Seweryn **7, 54, 56, 58, 196, 206, 207**
- Daniłowska Jadwiga **92, 93**  
 Daniłowski Gustaw **92, 93**  
 Daszyński Ignacy **8, 30, 133, 185—187, 189, 190, 192—199, 206, 207, 227, 277—315, 321**  
 Dąbrowski Henryk **81**  
 Dąbski Jan **30**  
 Dębski Aleksander **30, 230, 233**  
 Długoszowski-Wieniawa Bolesław 318  
 Dobrucki **110**  
 Douglas Jakub **280**  
 Dreszer Gustaw **156**  
 Dubanowicz Edward **33**  
 Dubois Stanisław **230**  
 Dwernicki Tadeusz 289, 290  
 Dworzczanin **230**  
 Dybowska Helena **208**  
 Dybowski Benedykt 208  
 Dybowski Władysław 326
- Erdman **30**  
 d'Esperey Franchet **96, 97**

<sup>1)</sup> Stronice wydrukowane tłustymi czcionkami odnoszą się do części redakcyjnych.

- Ferdynand I **129**  
 Fijałkowski Piotr **296**  
 Franciszek Józef I **285, 286**  
 Fryderyk Wielki **91**  
 Furmańczyk **250**
- Gaszyński **30, 143**  
 Gliwic Hipolit **142**  
 Głowińska Maria **8**  
 Grabski Władysław **320**  
 Grinius **63, 65**  
 Grossek Michał **246**  
 Grudziński-Pększyc Franciszek **297**
- Habicht **317—319**  
 Hayashi **279**  
 Hołówko Tadeusz **323**  
 Hołówkowa **7, 323**  
 von Hötendorf Conrad **295, 315, 317**  
 Hranilowič **317, 318**
- Jabłrzykowski **76**  
 Jagiellonowie **127**  
 Jagodziński Piotr **250**  
 Jaroszewicz Władysław **234**  
 Jaures Jan **118**  
 Jaworski Leopold **289, 293, 318**  
 Jedynak **30**  
 Jodko Witold **285**  
 Józef II **58**
- Karol I **311**  
 Karol II **129**  
 Kasprzycki Tadeusz **304**  
 Katarzyna II **58, 91**  
 Kiernik Władysław **230**  
 Kiliński Władysław **70, 163, 325, 327**  
 Kleiner Juliusz **246**  
 Knoll **100**  
 Kohut Osyp **230**  
 Kołodziejski Henryk **8**  
 Konarzewska Maria **332**  
 Konarzewski Daniel **142, 332**  
 Kopczyński **166, 175**  
 Korytowski Witold **318, 319**  
 Kościalkowski Marian **30, 53, 54, 59, 62, 133**  
 Kościuszko Tadeusz **42, 43, 51, 125**
- Koźmian Stanisław **318, 319**  
 Krzyżanowski **30**  
 Kucharski Władysław **145**  
 Kukiel Marian **96**  
 Kummer **294**  
 Kunicki Ryszard **300**  
 Kühn Alfons **110**  
 Kwiatek Józef **202, 204—206**  
 Kwiatkowski Eugeniusz **177**  
 Kwiatkowski **233**
- Laroche **96, 99**  
 Lednicki Aleksander **176**  
 Leo Juliusz **288—291, 293, 295, 296, 298, 315**  
 Lewicka **167, 328**  
 Lieberman Herman **54, 57, 58, 144, 151, 153, 176, 196, 220, 230, 283, 284**  
 Lichtenstein **286**  
 Lipiński Wacław **8**  
 Lloyd George **242**  
 Lubomirski Zdzisław **16**  
 Luter Marcin **151**
- Łaskiewicz **30**
- Mackiewicz Stanisław **16**  
 Majerczak Wiktor **201**  
 Malczewski **18**  
 Malicki Julian **207**  
 Malinowski Pobóg Władysław **8**  
 Marek Zygmunt **30**  
 Maria Teresa **91**  
 Mastek Mieczysław **230**  
 Matuszewski Ignacy **187, 238, 248**  
 Meysztowicz Aleksander **16**  
 Michalski Jerzy **30, 54, 55, 60**  
 Michał ks. rumuński **129**  
 Michałowicz **329**  
 Mickiewicz Adam **51, 131, 329**  
 Miedziński Bogusław **30, 217, 224, 231, 235, 236, 242, 247, 251, 257, 264**  
 Mikołaj II **286**  
 Mikołaj ks. rumuński **129**  
 Minkiewicz Henryk **156**  
 Miron **129**

- Młodzianowski 53  
Moraczewski Jędrzej 30, 145, 146, 283,  
298, 301, 313, 314  
Mościcka Michalina 35, 36  
Mościcki Ignacy 34—37, 53, 76,  
77, 104, 107, 111, 129, 155, 159,  
192, 194, 206, 208—210, 216, 217,  
224, 228, 263  
Moszczeński Józef 95  
Muratu 279  
Mussolini Benito 27
- Napoleon 43, 82, 127, 169  
Narutowicz Gabriel 5, 23, 34  
Niedziałkowski Mieczysław 30  
Nowak Jan 294  
Nowikow 40
- Oleśnicki Jarosław 176  
Olszewska 325  
Orłowicz Mieczysław 70  
Osmolski 166, 325
- Paderewski Ignacy 320  
Paderewski Zbigniew 313, 314  
Paič 304  
Palijiw Dmytro 230  
Paschalski Franciszek 176  
Pączek Antoni 145  
Perl Feliks 202—204  
Pieracki Jan 176  
Piętaś Jan 262  
Piłsudska Aleksandra 13  
Piłsudska Jadwiga 13  
Piłsudska Wanda 13, 152, 170, 309  
Piłsudski Jan 259  
Piłsudski Józef ojciec 235  
Pius XI 76, 77  
Plechawicius 63  
Pol Wincenty 48  
Polakiewicz Karol 30, 54, 57, 58, 107  
Pomorski 194  
Poniatowski Józef 43  
Poniatowski Julian 30  
Popiel Karol 230  
Pożerski 222  
Pragier Adam 230  
Prażmowski-Belina Władysław 288
- Prystor Aleksander 208  
Puchalski 316—319  
Putek Józef 230  
Putna Witold 95, 96
- Raczyński Aleksander 176  
Radziwiłł Albrecht 47  
Radziwiłł Stanisław 47, 48  
Rataj Maciej 7, 10, 13, 15—17, 33  
Ratti Achilles zob. Pius XI  
Rejowski 250  
Repnin 91  
Rogoziński 54  
Roja Bolesław 308, 311  
Romocki 30, 110  
Rouppert Stanisław 164, 329  
Rozeń Władysław 202, 203  
Rumbold Horace 243  
Rydz-Śmigły Edward 308, 311, 312  
Rymar 53
- Sapieha Eustachy 321  
Sauerwein 11, 12, 20, 103  
Sawicki Adolf 230  
Seyda Władysław 307  
Sikorski Walerian 173, 175, 325, 326  
Sikorski Władysław 301, 303, 305  
Składkowski Felicjan 107, 154, 177,  
193, 196, 249, 332  
Skrzyński 321  
Sławek Walery 185, 186, 216, 217,  
240, 263, 285, 286, 300, 322  
Słowacki Juliusz 72—76, 123, 246, 331  
Smetona 63  
Sokolnicki Michał 285, 286, 300  
Sosnkowski Kazimierz 58, 60, 281, 306  
Stachiewicz Julian 8, 94, 95, 282, 332  
Stachiewiczowa Maria 332  
Stanisław August 91  
Stecki Jan 30  
Stefan Batory 127  
Stołypin Piotr 25  
Stpiczyński Wojciech 110  
Stresemann 102  
Stroński Stanisław 278  
Strumiłło 173  
Sujkowski 53  
Suligowski Adolf 176

- Sułkowski August 91  
Supiński Leon **157, 176**  
Szumański Wacław **176**  
Szymański Julian **8, 214**
- Słezewicius **63, 65**  
Śliwiński Artur 313  
Śliwiński Hipolit 285  
Święcicki Tadeusz **263**  
Świtalski Kazimierz **8, 39, 78, 105, 107, 110, 144, 155, 156, 185—187, 189, 190, 192, 195, 196, 208, 262**
- Targowski **105**  
Thugutt Stanisław **176, 186**  
Tokarzewski 16  
Tomaszewski Tadeusz **176**  
Trąpczyński Wojciech 212  
Tuchaczewski Michał **94**
- Ulrych Juliusz 69, 163, 164, 325, 329
- Waldemaras **63, 65, 97—99, 101, 102**  
Waleron **30**
- Wassilko Mikołaj **321**  
Wielopolscy 41, 204  
Witos Wincenty **9, 10, 14, 18, 230, 233, 321**  
Wojciechowski Stanisław **10, 15—17, 32**  
Woyczyński Marcin **271**  
Woźnicki **30, 144, 151, 152, 153**  
Wybicki Józef **81**  
Wyrobek 325  
Wyrzykowski Henryk **107, 176**  
Wyspiański Stanisław **115**
- Zagórski Włodzimierz 295, 296, 301  
Zaleski August **12, 101, 103**  
Zaleski Stanisław **157, 158**  
Zamorski Kordian 301  
Zelwerowicz Aleksander **7, 322**  
Ziemięcki Bronisław **30**  
Zubowicz Piotr **176**
- Żeligowski Lucjan 58, 59, 93, **99, 176**  
Żeromski Stefan 82  
Żuliński Tadeusz 302—304
-

## SKOROWIDZ MIEJSCOWOŚCI

- Andrychów 316**  
**Beniaminów 85**  
**Berlin 308, 310**  
**Bezpany 281**  
**Białystok 96, 276**  
**Bidziny 317**  
**Bielsk 316**  
**Brześć n/Bugiem 231**  
**Bukareszt 123**  
**Bytom 206**  
  
**Cherburg 72**  
**Chęciny 40**  
**Cieszyn 300, 316, 317**  
**Częstochowa 250**  
  
**Dęblin 275, 276, 299**  
**Dorpat 204**  
**Druskieniki 183, 187**  
**Dynaburg 126**  
  
**Fryburg 35**  
**Frysztat 299, 300**  
**Funchall 277**  
  
**Gdańsk 72**  
**Gdynia 72, 329**  
**Genewa 102—104**  
**Grudzyń 301, 302**  
  
**Jędrzejów 40**  
  
**Kalisz 8, 78**  
**Karasin 317**  
**Katowice 206**  
**Kęty 316**  
  
**Kielce 6, 8, 39, 40, 42—44, 46, 292, 294, 296, 299, 300**  
**Kijów 202**  
**Kłajpeda 100**  
**Konary 317**  
**Kostiuchnowka 77, 123**  
**Kowel 303**  
**Kowno 63—65**  
**Kozłów 300**  
**Kraków 40, 41, 43, 44, 50, 71, 72, 78, 127, 162, 163, 166, 204, 216, 233, 278, 285, 288, 291—296, 299, 300, 306, 308, 311, 314, 316, 317**  
**Krzywopłaty 300**  
**Książ Wielki 40, 41**  
  
**Leningrad zob. Petersburg**  
**Lipnica Murowana 316**  
**Londyn 35, 278**  
**Lublin 302, 308, 311**  
**Lwów 36, 124, 278, 282, 292, 317**  
  
**Łomża 276**  
**Łódź 202, 276, 316**  
  
**Magdeburg 5, 22, 23, 31, 84, 86, 127, 306, 308, 309**  
**Malin 47**  
**Manchester 316**  
**Miechów 41, 292**  
**Moskwa 43**  
**Moszczenica 331, 332**  
  
**Nieśwież 47, 48**  
**Nowa Rarańcza 123**  
**Nowy Korczyn 300**  
**Nowy Sącz 183**



---

Olkusz 299	Tarnów <b>322</b>
Ostrołęka <b>13, 16</b>	Tokio 182, 279
Oświęcim 316	
Otwock <b>302</b>	Ulina <b>50, 299</b>
Petersburg 25, <b>95, 203, 306</b>	Wadowice 285
Pikieliszki 330	Warszawa <b>9, 13, 16, 36, 37, 71, 72,</b>
Pińczów 294	93, 102, 103, 126, 127, 130, 158,
Poznań 21, 311	<b>162, 166, 199—201, 204—208, 215,</b>
Przemyśl 282, 283, 296	234, 240, <b>271, 291, 302—304, 306,</b>
Pułtusk 13, <b>16</b>	308, 310—314, 321, 322, <b>324, 330</b>
	Wiedeń 288, 297, 306, 317—319
Radzymin 95	Wilanów <b>10</b>
Rydzyzna 91	Wilno <b>5, 76, 77, 97, 99, 100, 114, 119,</b>
Ryga <b>202, 203, 221</b>	123, 127, 128, 131, 166, <b>222, 234,</b>
Rzym <b>27</b>	<b>281</b>
	Wołkowysk 95
Sadowa 286	
Siedlce 201	Verdun <b>176</b>
Sulejówek <b>7, 11, 12, 19</b>	
Szczypiorno 84, 85	Zułów 234

---

## SPIS RZECZY TOMU IX

	Str.
<b>Wstęp</b> . . . . .	1
Wywiad udzielony prasie po pierwszym dniu walk majowych . . .	9
Rozkaz do żołnierzy . . . . .	10
Wizyta korespondenta «Le Matin» u Piłsudskiego w Sulejówku . .	11
Wywiad ogłoszony w «Kurierze Porannym» z dnia 25 maja 1926 r.	13
Wywiad z korespondentem «Le Matin» . . . . .	20
Wywiad ogłoszony w «Kurierze Porannym» z dnia 27 maja 1926 r.	23
Wywiad ogłoszony w «Kurierze Porannym» z dnia 29 maja 1926 r.	27
Przemówienie do przedstawicieli stronnictw sejmowych . . . .	30
Pismo do Marszałka Sejmu o nieprzyjęciu wyboru na Prezydenta Rzeczypospolitej . . . . .	33
Enuncjacja prasowa o prof. Ignacym Mościckim . . . . .	34
Pismo do Premiera Bartła w sprawie warunków przyjęcia teki mi- nistra spraw wojskowych . . . . .	37
Mowa na Zjeździe legionistów w Kielcach . . . . .	39
Przemówienie w Nieświeżu . . . . .	47
Przemówienie przez radio w ósmą rocznicę odzyskania niepodległości	48
Przemówienie na posiedzeniu sejmowej komisji budżetowej . . .	53
Wywiad w «Głosie Prawdy» o przewrocie na Litwie . . . . .	63
Przemówienia na pierwszym posiedzeniu Rady Naukowej Wycho- wania Fizycznego . . . . .	66
Przemówienie przez radio do uczestników Zjazdu oficerów rezerwy	71
Przemówienie przy składaniu prochów Słowackiego do grobów wawelskich . . . . .	72
Przemówienie na cześć papieża Piusa XI . . . . .	76
Życzenia przysłane biskupowi Władysławowi Bandurskiemu z oka- zji czterdziestolecia jego kapłaństwa . . . . .	77
Przemówienie na Zjeździe legionistów w Kaliszu . . . . .	78
List do Jadwigi Daniłowskiej . . . . .	92
Pożegnanie generała Żeligowskiego . . . . .	93
Przedmowa do drugiego wydania «Roku 1920» . . . . .	94
Przemówienie w ambasadzie francuskiej . . . . .	96
Wywiad udzielony Polskiej Agencji Telegraficznej w sprawie Litwy	97
Przemówienie na tajnym posiedzeniu Rady Ligi Narodów . . . .	101
Wywiad z korespondentem «Le Matin» . . . . .	103
Przemówienie do grupy posłów i senatorów z Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem . . . . .	104
Przemówienie przy otwarciu drugiego Sejmu . . . . .	107
Wywiad z redaktorem «Głosu Prawdy» . . . . .	109
Przemówienie na Zjeździe legionistów w Wilnie . . . . .	119
Przemówienie na obiedzie wydanym przez rumuńskiego ministra spraw zagranicznych Argetoiano . . . . .	129
Z przemysłu Naczelnika Państwa . . . . .	129

	Str.
Przemówienie na komisji budżetowej Senatu . . . . .	132
Dno oka . . . . .	143
Przemówienie na przyjęciu wydanym dla Kazimierza Bartla . . . . .	155
Komunikat prasowy w sprawie zmiany na stanowisku dowódcy Korpusu Ochrony Pogranicza . . . . .	156
Oświadczenie w sprawie przekroczeń budżetowych w budżecie 1927/28 r. . . . .	157
Przemówienia na trzecim posiedzeniu Rady Naukowej Wychowa- nia Fizycznego . . . . .	162
List do mera miasta Verdun . . . . .	176
Oświadczenie na rozprawie Trybunału Stanu . . . . .	176
List na Zjazd Legionistów w Nowym Sączu . . . . .	183
Gasnącemu światu . . . . .	185
Rozmowa z Marszałkiem Daszyńskim . . . . .	192
Komunikat prasowy o zjściach w dniu 31 października 1929 r. . . . .	194
Sprawozdanie o zjściach w Sejmie w dniu 31 października 1929 r. . . . .	196
Wspomnienie o Grzybowie . . . . .	200
Pismo do posła Seweryna Czetwertyńskiego . . . . .	206
List do Heleny Dybowskiej . . . . .	208
Artykuł o motywach uchylecia się od misji tworzenia rządu . . . . .	208
Rozmowa z Marszałkiem Senatu Szymańskim . . . . .	214
O roli podoficera . . . . .	215
Komunikat prasowy o przyjęciu misji tworzenia gabinetu . . . . .	216
I wywiad Miedzińskiego . . . . .	217
II wywiad Miedzińskiego . . . . .	224
III wywiad Miedzińskiego . . . . .	230
IV wywiad Miedzińskiego . . . . .	235
V wywiad Miedzińskiego . . . . .	242
VI wywiad Miedzińskiego . . . . .	247
VII wywiad Miedzińskiego . . . . .	251
VIII wywiad Miedzińskiego . . . . .	257
Wywiad Święcickiego . . . . .	263
 <b>POPRAWKI HISTORYCZNE</b>	
Przedmowa . . . . .	271
Uwagi do «Pamiętników» Ignacego Daszyńskiego . . . . .	278
Uwagi do «Pamiętników» Leona Bilińskiego . . . . .	315
Depesza do Aleksandra Zelwerowicza . . . . .	322
List na Zjazd legionistów w Tarnowie . . . . .	322
List do Hołówkowej . . . . .	323
Depesza do biskupa Bandurskiego . . . . .	323
Przemówienia na czwartym posiedzeniu Rady Naukowej Wychowa- wania Fizycznego . . . . .	324
List na Zjazd legionistów w Gdyni . . . . .	329
List na Zjazd legionistów w Warszawie . . . . .	330
Depesza do kapitana Jerzego Bajana . . . . .	331
Depesza do Marii Stachiewiczowej . . . . .	332
Depesza do Marii Konarzewskiej . . . . .	332
Skorowidz nazwisk . . . . .	I
Skorowidz miejscowości . . . . .	V





[www.awirakces.pl](http://www.awirakces.pl)

Książka przygotowana na podstawie wydania z lat 1937–1938

Projekt okładki: Michał Wojciechowicz

ISBN 978-83-62761-53-1 (całość)

ISBN 978-83-62761-02-9 (tom dziewiąty)

Przygotowanie reprintu, druk i oprawa:  
Agencja Wydawnicza i Reklamowa Akces





